



★★★★★

HALLGRÍMUR
HELGASON

KOBIETA W 1000°C

AUTOR POWIEŚCI *101 REYKJAVIK*

znak tytułu
marki

Hallgrímur Helgason

Kobieta w 1000°C
Na podstawie wspomnień
Herbjörg Maríi Björnsson

*tłumaczenie z języka niemieckiego
Alicja Rosenau*

znak *litera
nova*

KRAKÓW 2013

DAMA W GARAŻU

Wiosną 2006 roku pomagałem mojej byłej żonie, polityk, w kampanii wyborczej. Otrzymałem listę numerów z Reykjavíku losowo wybranych z książki telefonicznej. Poproszono mnie, żebym pod nie dzwonił i namawiał rozmówców do zagłosowania na partię mojej byłej żony. Trzeci numer na liście należał do starszej kobiety, która na wstępie zapewniła mnie, że nie zamierza głosować na tych „przeklętych komunistów”. Ponieważ jednak wydała mi się interesująca, zamiast dzwonić pod kolejne numery z listy, rozmawiałem z nią przez cały wieczór. Powiedziała, że mieszka w garażu, przykuta do łóżka z powodu infekcji płuc, ale łączy się ze światem zewnętrznym za pośrednictwem laptopa, internetu, telewizji satelitarnej i telefonu.

Byłem zafascynowany tą kobietą - sprawiała wrażenie dowcipnej i inteligentnej i najwyraźniej miała bardzo ciekawe życie. Powiedziała, że mieszkała zarówno w Buenos Aires, jak i na islandzkiej farmie, i że ma kontakt e-mailowy z ludźmi z całego świata: z Indonezji i RPA, których uczy islandzkiego przez internet. Rozmawiałem z kobietą, która była zupełnie niewidzialna dla świata zewnętrznego, a jednak stanowiła jego dynamiczną część. Fascynowała mnie myśl o tej starszej pani w garażu. Jakiś czas później chciałem ją odwiedzić i użyć tego scenariusza w swojej powieści.

Kiedy skończyłem pracę nad książką, którą wówczas pisałem, *10 ráð til að hætta að drepa fólk og byrja að vaska upp* (Dziesięć rad, jak powstrzymać zabijanie ludzi, a zająć się wyrabianiem naczyń), postanowiłem ponownie skontaktować się z kobietą z garażu. Niestety dowiedziałem się, że jakiś czas wcześniej zmarła. Po kilku godzinach szperania w internecie i wykonaniu kilku telefonów odkryłem, że nie miałem do czynienia ze zwyczajną kobietą. Nie dość, że jej dziadkiem był nasz pierwszy prezydent, to jej ojciec walczył w szeregach nazistów podczas drugiej wojny światowej - cała trójka wydała swoje autobiografie. Jej zatytułowana była *Ellefu líf* (Jedenaście żyć). Nagle okazało się, że mam mnóstwo materiału na powieść, a co więcej - oryginalną scenerię garażu.

Wtedy jednak pojawiło się pytanie: czy wolno mi to zrobić? Czy wolno mi w taki sposób wykorzystać czyjeś życie i umieścić je w powieści? Owszem, jeśli zmieni się nazwiska. Tak też zrobiłem. Uznałem jednak, że niemądrze byłoby zmieniać nazwisko naszego pierwszego prezydenta. Zależało mi na tym, by zachować wątek prezydencki, który moim zdaniem nadawał tej opowieści cenny wymiar. Ponieważ nie zmieniłem jego nazwiska, wielu moich rodaków rozpoznało kobietę z książki oraz jej rodzinę. Pojawiło się sporo

protestów: drukowano artykuły w gazetach, organizowano wykłady na uniwersytecie oraz spotkania w kawiarniach. Moja odpowiedź brzmiała: w literaturze wszystkie chwytły są dozwolone i prędzej czy później każdy pisarz coś takiego robi. Jediną różnicą jest to, że w opisywanym przypadku rodzina bohaterki była prominentna, a ja nie zmieniłem nazwiska głowy rodu. Broniełem się, że większość tych ludzi i tak opublikowała już szczegóły ze swojego życia.

W głębi serca czułem, że poznałem wspaniałą kobietę o barwnej osobowości, intuicji językowej i poczuciu humoru, która przeżyła najdramatyczniejsze wydarzenia dwudziestego wieku, a jednak mało kto znał historię jej życia i późniejsze losy. Przynależem sobie, że zbuduję jej pomnik, na jaki zasługiwała. Chciałem, by ta powieść dedykowana była jej oraz wszystkim kobietom. Chciałem przedstawić kobiece spojrzenie na drugą wojnę światową i dwudziesty wiek. Chciałem, by była to książka feministyczna.

I oto jest - powieść, którą podsunął mi bóg Przypadku i jego młodsza siostra Intuicja. Ta dwójka zawsze wydawała mi się najlepiej zorganizowana z nich wszystkich - zwłaszcza kiedy łączą siły.

Na powstanie tej powieści złożyły się dwa miesiące podróży, trzy miesiące lektury i dwa lata pisania. Choć pisząc tę książkę, świetnie się bawiłem, była to także ciężka praca. Co pięćdziesiąt stron musiałem zaczynać zupełnie nową powieść - akcja toczy się na wysepkach Breiðafjörður, w okupowanej Danii, na Wyspach Fryzyjskich... Udało mi się odwiedzić większość miejsc, o których wspominam - chciałem je zobaczyć i zebrać informacje do swojej opowieści. Byłem nawet w Polsce, choć nie w regionie, w którym toczy się akcja moich polskich rozdziałów. Nie zdołałem dotrzeć tylko do Argentyny - zabrakło mi na to czasu i pieniędzy.

To niesamowite, jak wiele rzeczy uchodzi pisarzom na sucho. Z drugiej strony - czy w powieściach nie chodzi właśnie o to? Powieściopisarz udaje, że jest starszą kobietą, która została osierocona w Niemczech podczas drugiej wojny światowej i której dziecko pochowane jest na cmentarzu Chacarita w Buenos Aires...

Rolą pisarza jest przekształcanie rzeczywistości w fikcję i fikcji w rzeczywistość. Musi on sprawić, by ta pierwsza brzmiała jak interesująca opowieść, a druga jak coś, w co czytelnik uwierzy.

Hallgrímur Helgason

Reykjavík, 1 maja 2013

Mieszkam sama w garażu, razem z laptopem i starym granatem ręcznym. Bardzo przytulnie się tu urządziliśmy. Do spania mam szpitalne łóżko, więcej mebli nie potrzebuję, oprócz ubikacji, której używanie jest dla mnie trochę trudne. Jest strasznie daleko. Trzy razy dziennie muszę się wlec tą *via dolorosa* jak zreumatyzowany upiór. Marzę o cewniku i basenie, ale moje podania utknęły gdzieś w trybikach systemu. Nikomu nie jest łatwo.

Okno mam tylko jedno, ale za to świat przychodzi do mnie poprzez monitor. Maile śmigają tam i z powrotem, a mój kochany Facebook jest coraz grubszy. Lodowce topnieją, prezydenci ciemnieją, ludzie oplakują utratę aut i domów. Przyszłość czeka przy taśmie bagażowej, uśmiechnięta i skośnooka. Tak, tak. Z mojego białego łóżka widzę wszystko. Leżę tu niczym wyzbyte potrzeb zwłoki i na zmianę czekam albo na śmierć, albo na kogoś z przedłużającym życie zastrzykiem. Przychodzą do mnie dwa razy dziennie, dziewczyny z Opieki Domowej Reykjavíku. Ta z porannej zmiany to prawdziwy skarb, za to czupiradło z drugiej zmiany ma zimne ręce, cuchnie jej z ust i opróżnia popielniczki z zaciętą, kwaśną miną.

Kiedy zamykam swoje oko na świat, gaszę światło i moją budę wypełnia jesienny mrok, widzę przez małe okienko na samej górze słynną Kolumnę Pokoju. Świętej pamięci John Lennon zamienił się w końcu w światło, jak leśne bóstwo z wiersza Owidiusza, i w długie noce oświetla morskie cieśniny. Wdowa była tak miła, że ustawiła go pionowo akurat w moim polu widzenia. Patrzę na niego jak na świeczkę z nocnej szafki i życzę mu dobrej nocy.

Oczywiście można powiedzieć, że tylko nędznie wegetuję w moim garażu, niczym skasowany samochód. Powiedziałam tak raz do Guðjóna. On i Dora wynajmują mi tę norę za 65 tysięcy koron miesięcznie. Guðjón zaśmiał się tylko i nazwał mnie Oldsmobile. W sieci znalazłam potem zdjęcie - Oldsmobile Viking, model 1929. Naprawdę nie miałam pojęcia, że jestem już tak cholernie stara. Tamten pojazd wyglądał jak podrasowana dorożka konna.

Nie mogę się ruszyć, żeby nie dostać zadyszki, jestem tylko ciężarem dla tych jeszcze nie pochowanych, jak się mówiło w dawnych czasach. Moje płuca są tak słabe po wielu latach palenia papierosów. Zaproponowali mi „maskę tlenową” z dołączoną sondą nosową,

ale żeby dostać taką butlę ze sprężonym powietrzem, musiałabym porzucić boga nikotyny - „z powodu zagrożenia pożarowego”! Tylko że on przeważnie pomagał mi bardziej niż większość ludzi, już wolę ducha wyzionąć, niż się go wyrzec. Dlatego sapię jak stara lokomotywa i każda wyprawa do kibla jest moją codzienną drogą pokuty. W domu, na wyspach Svefneyjar, była jaskinia nad samym morzem, nazywana Kącikiem Chłopców; przez stulecia nie była niczym innym jak tylko sraczem dla mężczyzn.

Och, przechodzę od jednego do drugiego, a czasem jedno czy drugie nachodzi mnie. Kiedy człowiek ma za sobą cały internet przeżyć, wielki fracht pełen dni, wtedy trudno jest coś wysortować i oddzielić jedno od drugiego. Albo przypominam sobie wszystko naraz, albo zupełnie nic.

No właśnie, moim kochanieńkim rodakom ostatnio chyba padł system; jakoś rok już będzie. Pielęgniarki i Dora twierdzą, że miasto jeszcze stoi. W Reykjavíku załamania nie widać, w przeciwieństwie do Berlina, gdzie jako młode i głupie stworzenie brykałam pod koniec wojny. Sama już nie wiem, co jest lepsze, pograć się realnie czy na kredyt. Wiem tylko, że z mojego Dundiego powietrze uszło jak z balonu, a przecież i tak wiele już się u niego nie działo. Pracował w banku KB, uzależniał swój kurs od migotania na monitorze - jakiejś czerwonej linii, którą mi pokazywał z wielką dumą.

Za to ja miałam wielką radochę z tej „zapaści”. Przez te wszystkie lata cudu gospodarczego byłam przykuta do łóżka. Chciwość wokół mnie pożarła w końcu moje oszczędności, dlatego nie było mi żal, kiedy ta cała kasa przepadła. Pieniądze już dawno nie mają dla mnie znaczenia. Harujemy całe życie, żeby odłożyć coś na starość. A potem starość nadchodzi i okazuje się, że z pieniędzmi nie ma nic wspólnego. Choć właściwie nie powinnam tak mówić; oczywiście, że byłoby miło, gdybym mogła sobie kupić jakieś niemieckie chłopię, które mnie, starej łóżkowej hienie, mogłoby półnago przy świecach deklamować Schillera. Ale obawiam się, że handel młodym ciałem jest teraz zakazany w tym kraju.

Z pewnością mam nie więcej niż parę tygodni życia przed sobą, dwa kartony palli, komputer i granat ręczny, a jednak nigdy nie żyło mi się lepiej.

2

FEU DE COLOGNE

2009

Granat to jajko z czasów Hitlera, które trafiło w moje ręce i towarzyszyło mi przez wszystkie wloty i upadki mojego życia, przez moje cierpkie i nudne małżeństwa czy

romanse. Teraz byłby świetny moment, żeby go użyć, gdyby zawlecзка nie ułamała się przed wielu laty, w jeden z gorszych dni mojego życia. Rozerwanie się na strzępy to nie jest oczywiście szczególnie przyjemny rodzaj śmierci. Poza tym przez te wszystkie lata przywiązałam się do mojej małej słodkiej bombki. Byłoby szkoda, gdyby kochane wnuczka nie mogły jej podziwiać na srebrnej misie w rodowym kredensie.

Mój ukochany granat ręczny dobrze leży w dłoni i przyjemnie ją chłodzi swoją żłobioną żelazną skorupą, napelnioną spokojem. To właśnie jest najbardziej zadziwiające w broni: Dla tych, co stoją przed nią, może się okazać bardzo nieprzyjemna, podczas gdy osobom trzymającym ją w rękach daje poczucie wielkiej ulgi. Raz zostawiłam moje jajo mocy w taksówce i nie mogłam się uspokoić, póki po niekończących się, nerwowych telefonach do centrali go nie odzyskałam. Taksówkarz stanął potem onieśmielony na moich schodach i ze ściśniętym mózgiem zapytał:

- Czy to aby nie jest stary granat ręczny?

- Ależ skąd, to jest klejnot. Czy pan nigdy nie widział carskich jaj?

Zresztą długo przechowywałam go w mojej szkatułce z biżuterią.

- A cóż to takiego? - zapytał mnie raz Bæring z Fiordów Zachodnich, kiedy wybieraliśmy się do sali balowej w hotelu.

- Perfumy, *Feu de Cologne*.

- Naprawdę? - zdziwił się wilk morski.

Faceci mogą być w pewnych sprawach całkiem przydatni - ale bystrzy to oni nie są.

Bardzo pomocna była też świadomość, że mam w torebce granat, kiedy późno w nocy jakiś idiota upierał się, żeby mnie odprowadzić do domu.

Teraz przechowuję go albo w nocnej szafce, albo między moimi gnijącymi nogami; leżę wtedy na tym niemieckim stalowym jaju jak powojenna kwoka, która chce wysiedzieć ogień. A tego przecież brakuje w tym otępieniu, w jakie popadło nasze społeczeństwo, całkiem wyprane z przemocy. Każdemu dobrze zrobi, jeśli czasem straci dom czy zobaczy, jak jego ukochanemu strzelają w plecy. Nigdy nie umiałam się dogadać z ludźmi, którzy nie mieli w swoim życiorysie żadnych trupów.

Może wybuchnie, kiedy cisnę nim o podłogę? Słyszałam, że granaty ręczne uwielbiają kamienne posadzki. Ale zanim wysadzę się w powietrze, pozwolę sobie jeszcze raz przewinąć przed oczami całe moje życie.

Przyszłam na świat w 1929 roku w Ísafjordzkiej blaszanej budzie. Po czym nadano mi to dziwne imię Herbjörg María. Pogaństwo i chrześcijaństwo łączą się w nim jak oliwa z wodą, zresztą do dzisiaj oba te żywioły we mnie walczą.

Mama zamierzała nadać mi imię po swojej matce Verbjörg, ale babcia nie chciała nawet o tym słyszeć. Twierdziła, że w rybackich chatkach, zwanych *verbúð*, ludzie wiedli pieskie życie, wegetowali w chłdzie i wilgoci, przeklinała więc swoją własną matkę za to, że ta zapożyczyła jej imię od tej hańby. Babcia Verbjörg zaliczyła siedemnaście sezonów połowów, wiosna, jesień i zima, „przy każdej cholernej pogodzie, w najgorsze sikawice, jakie w ogóle wynaleziono na tych ziemiach, a na łądzie było tylko gorzej”.

Potem mój ojciec w liście, który przysłał do Ísafjörður, wystąpił z propozycją, żeby z Verbjörg zrobić Herbjörg. Ja sama wolałabym imię mojej prababki ze strony matki, a była nią wielka Blómey Efemía Bergsveinsdóttir z Bjarneyjar. Przez długi czas była jedyną kobietą w historii Islandii o tym imieniu, aż wreszcie pięćdziesiąt lat po śmierci dostała dwie imienniczki. Jedna zajmowała się tkaniną artystyczną i długo mieszkała w rozpadającej się ruderze na Hellisheiði, druga Blómey zmarła młodo, choć nadal żyje gdzieś na dnie mojego oka i czasami ukazuje mi się w pasie granicznym między snem a jawą. Właściwie na śmierć powinniśmy być chrzczeni tak samo jak na życie, moglibyśmy sobie wybierać imiona na pogrzeb i na wieczność na krzyżu. Już sobie to wyobrażam: Blómey Hansdóttir, 1929-2009”.

Wtedy nikt jeszcze nie nosił podwójnych imion, aż pewnego razu moja mądra i piękna matka tuż przed moimi narodzinami miała wizję. W górskiej dolinie po drugiej stronie fiordu ukazała jej się Matka Boska. Siedziała na skalnym podeście i była wielka na mniej więcej sto dwadzieścia metrów. Z tego powodu otrzymałam jej imię, zresztą jakieś błogosławieństwo też musiało się chyba z tym wiązać.

María łagodzi twardość Herbjörg, choć wątpię, by dwie bardziej różniące się kobiety kiedykolwiek dzieliły jedno imię. Jedna poświęciła życie Bogu, a druga oddała swoje całej armii mężczyzn.

I choć jest to niezbywalne prawo wszystkich islandzkich kobiet, nie otrzymałam w nazwisku cząstki - *dóttir* oznaczającej córkę, tylko zostałam synem. Rodzina ze strony mojego ojca, pyszniąca się z każdej strony tytułami ministerialnymi i ambasadorskimi, zrobiła karierę za granicą, gdzie istniały tylko nazwiska rodowe. I tak cała rodzina została przybita do głowy tylko jednego, jedyne go faceta. Wszyscy więc musieliśmy nosić nazwisko dziadka Sveinna (który nawet został pierwszym prezydentem Islandii). Dlatego potem żaden potomek nie mógł utworzyć własnego patronimu, co sprawiło, że już nigdy więcej nie wydaliśmy

żadnego innego ministra czy prezydenta. Dziadek osiągnął absolutny szczyt, a naszym zadaniem, dzieci i naszych dzieci, było ostrożne dreptanie zboczem w dół. Gdy człowiek znajduje się w stanie nieustającego upadku, trudno zachować ambicje. Ale w końcu kiedyś na pewno dotrzemy na samo dno, a wtedy ród Björnssonów znów zacznie się piąć do góry.

W domu na Svefneyjar wołano na mnie zawsze Hera, ale kiedy w wieku siedmiu lat po raz pierwszy pojechałam z rodzicami do rodziny ojca do Kopenhagi, ich służąca z Jutlandii nie umiała tego dobrze wymówić i zwracała się do mnie „Herre”, czyli Pan albo „mała Pan”.

Początkowo te kpiny naprawdę sprawiały mi przykrość, zwłaszcza że wyglądałam dość chłopczo, ale to przewisko się do mnie przyczepiło i w końcu się do niego przyzwyczaiłam. Tak więc z młodziutkiej dziewczynki stałam się panem.

Kiedy po długim pobycie za granicą w latach pięćdziesiątych przedstawiano mnie w lokalach rozrywkowych miasta nad błękitną cieśniną, wzbudzałam wielką sensację: promienna młoda piękność ze szminką na ustach i światowymi manierami, taka mała Marilyn z wianuszkami osiemnastu facetów z każdej strony i z tym imieniem, które brzmiało prawie jak sceniczny pseudonim: „Wśród gości znajdowała się także Pan Björnsson, wnuczka prezydenta Islandii, która wzbudzała wszędzie wielkie zainteresowanie. Pan Björnsson wróciła właśnie z dłuższego pobytu w Nowym Jorku i Ameryce Południowej”.

Każdy dostaje w życiu jakąś liczbę, którą musi potem nosić za sobą przez cały czas. Mama dostała 1904, tata miał 1908, ja 1929, a moi chłopcy jeszcze wyższe liczby. Ale w przeciwieństwie do totolotka te liczby nie gwarantują żadnej wygranej, choć może powinnam być wdzięczna, że dane mi było zakosztować życia w całej brudnej pełni, a nie tylko lizać jego ucukrowaną stronę. Nie uważam też, żeby pokolenia urodzone po wojnie miały lepiej. Pomijając nudę dorastania pod niebem bez bomb. Toczenie wojen leży wszak w naturze człowieka i tak naprawdę niczego nie obawiamy się bardziej niż pokoju na świecie. Ale ten lęk jest niepotrzebny. Tam, gdzie jest życie, jest też i wojna.

4

LÓA

2009

O, właśnie idzie mój skarb, Lóa. Jak róża biało rozkwitająca w ciemności poranka.

- Dzień dobry, Pan. Jak się dziś czujemy?

- Ach, oszczędź mi tych komplematentów!

Dzień jeszcze nie zaczął dobrze jaśnieć, potem będzie szary jak wszyscy jego bracia.

Morgengrauen, tak nazywa to Niemiec, poranna szarość i poranna groza.

- Długo już nie śpisz? Widziałaś wiadomości?

- Tak, tak. Dalej spadają, ruiny katastrofy...

Zdejmuje kurtkę, szalik i czapkę, potem wzdycha. Gdybym była napalonym młodzieńcem z poważnymi zamiarami, natychmiast ożeniłabym się z tą dziewczyną, bo jest ona wcieleniem dobroci i słodyczy, ze swoimi niebiańsko rumianymi policzkami. Te z rumieńcami na pewno nikogo nie rozczarują.

- Jesteś głodna? - pyta Lóa, potem włącza światło w kuchennej wnęce i wsadza nos do szafek i na półki.

- Jak zwykle owsianka, tak? - Pyta mnie tak codziennie, schylając się do sześcianu lodówki, którą zostawiła mi Dora. Lodowate buczenie tego urządzenia czasami nie daje mi zasnąć. Muszę przyznać, że mała Lóa na dole jest nieco rozłożysta. Ma nogi jak pnie czterdziestoletnich brzóz. Może dlatego biedaczka na razie nikogo jeszcze nie spotkała, nie ma dzieci i nadal mieszka w domu swojej matki. Że też żaden z mężczyzn jeszcze nie pojął, ile traci, nie zwracając uwagi na tę delikatną i piękną istotę!

- No, co powiesz, jak spędziłaś weekend? Czy puściłaś się wreszcie z jakimś facetem?

- pytam i robię wdech. Jak na osobę skazaną na butlę tlenową to całkiem długa przemowa.

- Co? - odpowiada zakłopotana z biało-niebieskim kartonem mleka w dłoni.

- No wiesz, czy wyszłaś gdzieś? Trochę się zabawić? - wyjaśniam, nie podnosząc wzroku. Niech mnie diabli, w moim głosie słychać już śmiertelną chrypkę!

- Ach tak. Nie, pomagałam matce. Chciała powiesić nowe zasłony w salonie. A w niedzielę, to znaczy wczoraj, pojechałyśmy na południe, odwiedzić babcię. Mieszka w Helli.

- Musisz też trochę pomyśleć o sobie, Lóa. - Robię przerwę na oddech, żeby móc mówić dalej. - Nie możesz marnować swojej młodości z takimi starymi babami jak ja. Okres godowy szybko mija.

Tak bardzo ją lubię, że jestem gotowa zadać tę torturę moim narządom mowy, gardłu i płucom. Zawroty głowy, które po tym następują, są jak brzęczenie roju much za oczami.

- Okres godowy?

- Tak... no nie, do diabła, co on mi tu wypisuje?

- Kto?

- Mój Bakari.

- Bakari?

- Tak, tak się nazywa. Juhu, teraz naprawdę go rozgrzałam.

- Ty masz naprawdę wielu przyjaciół - mówi Lóa i idzie zająć się praniem.

- Taaak, w tej chwili ponad siedmiuset.

- Co? Siedmiuset?

- No, na Facebooku.

- Jesteś na Facebooku? Mogę popatrzeć?

Nachyla się nade mną, pachnąc przyjemnie, a ja przywołuję moją stronę z magicznych otchłani sieci.

- Wow, super zdjęcie! Gdzie to było?

- To było w Baires. Na balu.

- Baires?

- Tak, Buenos Aires.

- A co to takiego? Twój status? *Is killing dicks*. Ojoj.

- Właśnie coś takiego wychodzi, kiedy przetłumaczy się dosłownie nasz zwrot *drepa tittlingar*, czyli „przymrużyć oko”.

- Ha, ha. Ale tu jest napisane, że masz tylko stu czterdziestu trzech przyjaciół. A mówiłaś przecież, że masz ponad siedmiuset.

- Tak, to tylko jeden z moich profili. Mam ich dużo.

- Kilka profili na Facebooku? Czy to jest dozwolone?

- Nie sądzę, żeby cokolwiek na tym świecie było zakazane.

Patrzy na mnie rozbawiona i zdziwiona, potem wraca do wnęki kuchennej. Ciekawe, jak dobrze można się czuć w obecności pracujących ludzi. To chyba ta arystokratyczna część mnie. Pochodzę w połowie z morza i w połowie z pałacu, co sprawiło, że od początku musiałam rozkładać nogi. Moja arcyduńska babka była pierwszorzędnym poganiaczem niewolników. Ale najbardziej pracowita była ona sama. Była naszą First Lady. Przed każdą uroczystą kolacją kręciła się od rana do wieczora po sali bankietowej - z jedną cygaretką w ustach, a drugą w dłoni - starając się myśleć o wszystkim i kombinując, jak by tu najwłaściwiej usadowić gości. Niczego nie mogło zabraknąć, nic nie miało prawa się nie udać. Inaczej koniec z krajem i narodem. Gdyby amerykańskiemu ambasadorowi stanęła w gardle ość, plan Marshalla znalazłby się w niebezpieczeństwie. Babka wiedziała, że same negocjacje nie znaczą właściwie nic.

Bez babki Georgii dziadek nigdy nie zostałby prezydentem. Była damą w każdym calu, sprawiała, że wszyscy ludzie, czy z wyższej, czy z niższej półki, w jej obecności czuli się dobrze. Miała to coś, co Duńczycy określają *takt og ton*, i potrafiła oczarować każdego, nawet takiego gbura jak Eisenhower.

Należy oddać honor politycznej mądrości owych czasów, która wyniosła tę parę do najwyższych godności, do reprezentowania nowo narodzonej republiki: on Islandczyk, ona

Dunka. Uprzejmy gest wobec dawnego narodu panów. Podzieliliśmy z Duńczykami majątek, ale nadal pozostawaliśmy małżeństwem.

5

BAKARI

2009

Bakari Matawu mieszka w Harare, stolicy dawnej Rodezji, według Wikipedii kraj ten nazywa się teraz Zimbabwe. Od dawna pracuje na stacji benzynowej, jest czarny jak ropa naftowa, kości policzkowe ma jak Eskimos, a serce z sera. Ten chłopak szaleje za takimi starymi dzierlatkami jak ja. Ślini się do tych zakonserwowanych przez raka czterdziestu kilogramów kobiecego ciała, które mi jeszcze zostały. Dzisiaj pisze, po angielsku:

Hallo, Lindo, dziękuję za twój e-mail. Jest piękny. Kiedy oglądam twoje zdjęcie, jest piękne. Twoja twarz jest jak kostka lodu. Dobrze, że twoja złamana noga czuje się lepiej. Dobrze jest wyjechać z miasta, kiedy się ma coś takiego. Twoje nordyckie oczy towarzyszą mi rano do pracy jak jasnoblękitne koty. Zbieranie pieniędzy idzie do przodu. Wczoraj dostałem dwa dolary, przedwczoraj trzy. Może uzbieram dosyć do następnego lata. Czy nie będzie za zimno? Opowiedziałem o tobie chłopakom ze stacji benzynowej. Wszyscy zgodnie twierdzą, że jesteś piękną. Jeden, co przyjechał autem, powiedział, że pamięta cię jeszcze z wyborów miss. On mówi, że kobiety islandzkie są piękne, bo kobiety lepiej przechowywać w chłodnym miejscu. Love, Bakari. Oszczędza, żeby tu przyjechać. Biedaczysko! I naprawdę ze wszystkich sił próbuje nauczyć się islandzkiego, pakuje w siebie zamrożone na kość rzeczowniki i odmienia czasowniki z lodu. Minimum zaangażowania, jakiego Linda oczekuje od swoich najbardziej wytrwałych wielbicieli, to opanowanie jej języka, doszło więc tymczasem do tego, że prowadzi korespondencyjną szkołę językową z kontaktami na całym świecie. A wszystko dla Islandii. Linda to Linda Pétursdóttir, w 1988 była Miss World. Używam jej nazwiska i twarzy, odkąd pielęgniarz Bóas (który potem wyjechał na studia za granicę) założył mi konto e-mailowe: lindapmissworld88@gmail.com. Dzięki temu poznałam wiele pięknych historii, które uprzyjemniają mi długie i ciemne jesienne wieczory.

Bakari jest dość romantyczny, choć całkowicie wolny od zachodnich stereotypów, które po pięćdziesięciu latach na międzynarodowym miłosnym rynku już mocno działają mi na nerwy.

Niedawno napisał:

Kiedy pojawia się miłość, mówimy w moim kraju, że człowiek je kwiaty z pożądania. Robię to teraz dla ciebie, Lindo. Dzisiaj jadłem czerwoną różę, którą znalazłem w parku.

Wczoraj jem biały goździk, który mama dostała na targu. Jutro jem słonecznik, który stoi u nas w ogrodzie. Będzie cierpiał, kiedy dowie się o śmierci królowej piękności, którą będę musiała prędkiej czy później wymyślić. Wtedy w Harare wiele kwiatów i wieńców zostanie zjedzonych.

6

KAPSZTAD

1953

Kiedyś spędziłam lato w Afryce, ale takie, które należałoby raczej nazwać zimą. W Kapsztadzie naprawdę potrafi być zimno, nigdzie też nie widziałam takich powykrzywianych, karłowatych drzewek, nawet tutaj, na tym naszym wiecznym wygwizdowie.

Szczerze powiedziawszy, w Afryce Południowej czułam się podle. Przez cały czas chodziłam przepelniona wyrzutami sumienia wobec Czarnych, gdyż oczywiście wszyscy zakładali, że jako bladolica istota jestem Burką, z wbudowanym apartheidem włącznie, i to nawet pomimo tego że nigdy nie byłam dla nikogo nieprzyjemna. Wtedy znów odnalazłam w sobie rasizm, o którym sądziłam, że zostawiłam go w Danii. Jeśli są jakieś dwa narody, których kiedykolwiek nienawidziłam, to byliby to Duńczycy i Burowie. Ci pierwsi za swoje władcze zapędy, które mocno mnie naznaczyły, kiedy byłam dzieckiem, a ci drudzy za swoją znaną na świecie obrzydliwą postawę, która jak słyszałam, ponoć nadal jest w modzie, mimo wszystkich dobrych uczynków świętego Mandeli.

W Afryce najbardziej zaskoczyło mnie to, że jest tak czysto i jasno. To mi przypominało Islandię. Jazda po szutrowej drodze przez Park Narodowy Krugera była prawie jak przejażdżka leśną drogą w Þingvellir. Kruger przedstawia się jako zoo bez krat, a odwiedzający mogą się swobodnie poruszać między stadami lwów, choć nie poleca się machać hienom przez otwarte okno ręką, chyba że ktoś chce się jej pozbyć. Żeby stworzyć ten naturalny raj na ziemi, Burowie musieli najpierw wytrzebić kilka plemion tubylców. Po to, żeby biały człowiek mógł oglądać dzikie bestie, które są jeszcze bardziej krwiożercze od niego, musiał najpierw pożreć kilku Czarnych.

Mimo wszystko było to wspaniałe lato. Z Bobem jeszcze było fajnie - należał do tego gatunku mężczyzn, którzy przez pół roku są cudowni, a potem nie da się z nimi wytrzymać - udało mu się nawet prehandlować mnie na jakąś sesję zdjęciową. Przez dwa tygodnie za porządne pieniądze udawałam na zdjęciach dziwkę z ciastkami i taczkami. Bardzo mnie ta praca wkurzała, propozycję kolejnych zdjęć, na których miałam prezentować swoje nagie uda na zboczach Tafelbergu, zdecydowanie odrzuciłam. Ale muszę przyznać, że wizja moich nóg

służących do prowokowania cielesnych żądz w zakładach wulkanizacyjnych gdzieś na południowym krańcu Afryki mile łechtala moją próżność, choć równocześnie mnie brzydziła.

To jeden z naszych głównych problemów, istot płci żeńskiej: chcemy być uwielbiane i kochane na zabój, chcemy być też słuchane, ale bez patrzenia. Żądamy nieskrępowanej swobody poruszania się, a równocześnie pragniemy, żeby ciągle śledziły nas jakieś oczy i spojrzenia. Przynajmniej dopóki zachowujemy naszą młodzieńczą świeżość. Kiedy w wieku trzydziestu lat sama nauczyłam się robić zdjęcia, przestałam sobie zawracać głowę tą presją na piękny wygląd. Kto sam czyni z siebie obraz, traci swój język, bo nawet jeśli obraz może powiedzieć więcej niż tysiąc słów, to są to słowa oglądającego, a nie osoby ze zdjęcia. I tak zresztą większość mężczyzn chciałaby mieć niemówiące kobiety. Widziałam wiele kobiet, które najpierw domilczały się do małżeństwa, ale gdy tylko uroda zaczęła przemijać, zaczynała się paplanina. Moja tutejsza Dora też jest taką minioną pięknoscią, która teraz o wiele za dużo gada, tak dużo, że Guðjón woli siedzieć w swojej terenówce. Najlepiej byłoby oczywiście, gdyby mężczyźni mogli nas traktować jak samych siebie, jakbyśmy też były mężczyznami, tylko z o wiele lepszą cerą.

Ale wtedy, kiedy mój Bob nosił mnie na rękach z jednej knajpy Kapsztadu do drugiej, kiedy na pokładzie okrętu na południe od równika trzykrotnie odrzucałam oświadczyzny, czy też kiedy na łonie rodziny w Bessastaðir, siedzibie prezydenta, brałam udział w uroczystej kolacji, podczas której nie mogłam oderwać wzroku od Marleny Dietrich, wtedy nie potrafiłabym sobie wyobrazić, że będę kończyła życie samotnie w kiepsko ogrzewanym garażu w Grensás, dzielnicy Reykjavíku, nieuczesa i gnijąca w pościeli, z przestarzałym komputerem na łóżku i szponami śmierci na ramieniu.

7

SVEFNEYJAR

1929

Urodziłam się, jak już mówiłam, 9 września na Mánagata w Ísafjörður. Wywieziono mamę, żeby wydała na świat to, czego nikt nie chciał oglądać i czego nigdy nie powinno być: mnie. Aby zostać przyjętym do wytwornej rodziny mojego ojca, należało osiągnąć odpowiedni wiek, dlatego pierwsze siedem lat spędziłyśmy z mamą u chłopca Eysteinna z Svefneyjar i jego żony Ólíný Sveinsdóttir z Hergilsey, którym mama pomagała na gospodarstwie.

Lína była wspaniałą kobietą, szerokiej budowy, o potężnych piersiach, zawsze z pieśnią na ustach, choć śpiewała nieco piskliwie, ale miała do tego niewiarygodnie silne

ramiona. Z czasem nogi jej trochę zeszywniały od reumatyzmu. Prowadziła wielki dom jak kapitan, jednym okiem zerkając na fale, drugim na kuchenkę. Dla mojej mamy była jak matka, bo babcia posiadała wprawdzie wiele wybitnych cech, lecz matczyne ciepło do nich nie należało.

Gospodarz Eysteinn był mężczyzną o wyrazistej twarzy, pokrytej miękkim zarostem, i zaczerwienionych od morza policzkach, miał wielkie dłonie i szerokie bary, a jego oczy wyglądały jak spokojne zatoczki; w ostatnich latach, kiedy brzuch zaczął mu obwisać, podpierał się laską. Był „dobrym i dobrym” człowiekiem, jak zwykła mawiać babcia Vera. Obie strony jej rodziny pochodziły z Breiðafjörður, zbierała siano z ponad stu tamtejszych wysepek. Pochwały zawsze wypowiadała podwójnie. „Och, jest taki wyborny i wyborny”, mogła powiedzieć o kawałku kandyzu albo o jakimś miłym człowieku. Babcia miała sto lat, kiedy przyszedłem na świat, i sto lat, kiedy umarła. Przez całe stulecie miała sto lat. Ochrzczona na cześć morza, zahartowana na wielu rybackich rejsach, niczyja córka, poślubiona Islandii, matka mojej matki i wieczna bohaterka moich rozmyślań: Verbjörg Jónsdóttir.

Właśnie, i tak dane mi było spędzić siedem cudownych lat w Breiðafjörður, póki mojemu ojcu nie wróciła pamięć i nagle przypomniał sobie, że w tamtej części islandzkiego wybrzeża ma jeszcze żonę i córkę. Moje dzieciństwo było usiane wyspami. Wyspami pełnymi ludzi obeznanych z żeglugą i żrącego wodorosty bydła. Błyszczące w słońcu, porośnięte żółtą zeszloroczną trawą wyspy, opryskiwane morską pianą przez wiatry ze wszystkich możliwych kierunków.

Mówi się, że kto odwiedzi wszystkie wyspy w Breiðafjörður, ten żywy z tego nie wyjdzie, bo wiele z nich leży pod poziomem morza. I skoro podczas przypływu jest ich takie mrowie, to przy odpływie jest to nieskończone mnóstwo, jak wiele rzeczy w życiu, których nie można ogarnąć do końca. W ilu miejscach mieszkałam? Ilu miałam mężczyzn? Ile razy byłam zakochana? Każda przypominana chwila to wyspa nad głębią czasu, jak powiedział kiedyś poeta, i jeśli Breiðafjörður jest moim życiem, to jego wysepki są dniami, które sobie przypominam, i teraz z terkotem krążę sobie pomiędzy nimi z nowomodnym silnikiem zewnętrznym, zwanym komputerem, na mojej łodzi łożka.

Terk, terk, terk.

Teraz zapadam się wraz z nim w głębinę materaca, który jest miękki jak puch i

lodowaty, śmiertelnie błękitny i duszący, a w nim ofiary morza, marynarze, kobiety i wielcy poeci na wyłożonym płastugami dnie zajmują się swoimi sprawami. Moi drodzy mieszkańcy dna, patrzcie, teraz i ja tonę, z całym ładunkiem, z wiosłami i żaglami. Z wszystkimi moimi kłamstwami.

Zaciskam powieki i słyszę, jak wylatują ze mnie pęcherzyki powietrza. Peruka odrywa się od mojej głowy i zamienia się w niezwykle zbitą meduzę, która swoimi mackami włosów macha do dorszy i plamiaków, podczas gdy niemowlęcy puszek na mojej głowie faluje w wodzie jak niedożywiony plankton, a szpitalne spodnie wydymają się w kroku. Pięty są zapadnięte jak prastare wtyczki elektryczne, które na cienkich jak druciki ścięgnach wiszą przy łydkach, choć prądu już dawno nie przewodzą, nie tańczą już tanga, jak wtedy w Baires. Góra od pizamy w kształcie żagla oblepia stelaż z cienkich rurek, który kiedyś obrastało jędrne, białe ciało. Z rozpięcia pod szyją wypływają worki skórne w kształcie kondomów, które nazywa się piersiami... och, co za żalność!

Tutaj tonie chory gruchot, gnijący garażowy bożek, marmurowa mumia, która nie zasłużyła na nagrobny krzyż, najwyżej na łopatę.

Tak, patrzcie na mnie, starą nędzę, i słuchajcie, jak śpiewam, idąc na dno:

O, morze, morze, oczy w głębinie, idę na dno i wszystko ginie! Ale cóż tam mogę zobaczyć, kiedy tak unoszę się w mroku morskiej głębi? A jednak widzę przepaść życia, widzę moje lodowate, przesolone życie, moje wieczne boskie skaranie. Miasta zarysowują się tam w dole, wyspy, kraje. Faceci szczerzą się jak szczupaki, rekiny, oznaczone niemieckim krzyżem żelaznym, pływają całymi stadami, a z daleka słychać syreny przeciwlotnicze wielorybów.

Z zielonej ciemności nadpływa cała moja rodzina jak ławica tuńczyków: dziadek i babka ze swoim arystokratycznym klanem aptekarzy, babcia Vera w przesiąkniętych wodą wełnach z Breiðafjörður, Eysteinn i Lína, szczęśliwi i wyczerpani jak zawsze, prababcia Blómeý, jak wygładzony przez morze drewniany maszt, ale ani trochę nie nadgniły; są tam mama i... tata... płyną ramię w ramię; za nimi z uroczystymi minami ciągną bracia i siostry ojca: Beta, Kylla, Henni, księżę Óli i Puti... a na samym końcu mała dziewczynka, maleńka dziewczynka... jasne włosy falują przy jej uszach jak miękko poruszające się płetwy. O, biada mojej duszy! Przyjrzyjcie się tylko wyrazowi tej buźki! Tak śliczna, tak niewinna, a jednak wyrządziła więcej szkód niż nocny nalot bombowy w Berlinie...

Płyną dalej, wszyscy z takim samym wyrazem błogości na twarzach jak śniące dusze na obrazach tego norweskiego malarza, który chciał kupić dom przy Skothúsvegur; ale ja nie chciałam go sprzedawać, uważałam, że jest zbyt mocno zakorzeniony, żeby go przenosić, nie

mogłam sobie też wyobrazić, że jakiś niedomyty, goły facet z Norwegii będzie się snuł po domu moich rodziców... O, właśnie odpływają, moja kochana rodzina.

A ja zapadam się coraz głębiej. Coraz niżej w tysiące objęć, które stanowią ludzkie życie. Pod sobą widzę miasto w stanie wojny, czarno-białe, płomienie ognisćie czerwone. Chwytam się bomby, spadającej bomby. Jestem Norną z miotaczem ognia, wiedźmą na zaczarowanej miotle, która właśnie zmienia się w deszcz... tak, rozpuszcza mnie w tysiące kropelek, spadam... spadam...

Teraz spadam nad Þingvellir; rozciągam się nad całą połacią Þingvellir. W dniu założenia republiki: 17 czerwca 1944 roku - dniu, kiedy spadł wielki deszcz. Przesiąkam flagi i lance, kapię na tarcze i miecze, na balustrady, kapelusze, ronda, oparcia krzesel i stoły i, no właśnie, kapię też na dokument, który podpisuje dziadzio Sveinn, mój dziadek Sveinn Björnsson. Przesączam się dalej, na ziemię i jeszcze głębiej, głęboko pod podpisem mojego dziadka, w skorupę ziemską, przez szczelinę aż do magmy pod naszym krajem, płynnej lawy, gdzie Hitler wali pięścią w pulpit w samym środku ognia, którego płomienie buchały przez całe moje życie...

- Zjesz teraz owsianki?

- Co?

- Pytałam, czy chcesz owsiankę?

- W piekle się nie jada.

- Słucham?

- W piekle nikt nie potrzebuje jedzenia!

- Proszę, to twoja owsianka. Czy mam ci pomóc?

- Nikt nie może mi pomóc.

- Wolisz jeść sama? Musisz coś zjeść.

- Kto tak mówi?

- Wszyscy musimy jeść.

- Wpychasz to we mnie tylko dlatego, żebym potem musiała iść do kibla. Koniecznie chcesz, żebym musiała srać. Żebyś miała co robić. Podcierać mi zadek. Tego właśnie chcesz. Ale ja nie chcę chodzić do kibla. Skończyłam już ze sraniem!

Po tej płomiennej przemowie jestem wykończona.

- Pan...

- Blómey! *Blumeninsel! Die Blumeninsel im breiten Fjord. Das bin ich.*

- Ja nie umiem po niemiecku, przecież wiesz.

- Ty w ogóle niczego nie umiesz.

Patrzy na mnie, mnie, prychającą wściekle kocicę, mnie, pomarszczonego potwora w komicznej peruce, przez chwilę trzyma buzię na kłódkę i talerz w dłoniach jak uosobienie głupoty. Zaslługuję na coś lepszego. Do jasnej cholery! Zasługuję na coś o wiele lepszego. Zawsze myślałam, że będzie mi dane umrzeć w swoim własnym łóżku, może nawet w obecności tych, których można określić „moją rodziną”. Ale moi chłopcy nie mogą się zdecydować, czy woleliby mnie odwiedzić, czy od razu uziemić. Czcij ojca i matkę swoją, ktoś kiedyś tak napisał, ale kto w dobie komputerów jeszcze pamięta, co figurowało na starych tablicach? Przez całe trzy lata nie słyszałam ani słowa ani od moich synów, ani od ich towarzyszek życia z obwisłymi cyckami. Ale mam swoje kanały, którymi mogę ich obserwować.

- Może jednak jesteś głodna?

- *No tengo cinco años.*

- Co?

- Nie mam pięciu latek.

- Może zabrać komputer, żeby ci postawić jedzenie na uchylnym stoliczku.

- Na policzku?

- Nie, uchylny stoliczek. Tak się to nazywa w szpitalu.

- Nie mów mi tu o szpitalu. Nie jestem w szpitalu.

- Nie, nie, wiem - mówi Lóa i podnosi, wcale nieproszona, oparcie łóżka, poprawia poduszki, wstrząsa kołdrę i odkrywa moje wojenne jajo. Co za nieostrożność! Zapomniałam schować. Wyjmuje je spod kołdry. Gdybym umiała się zaczerwienić, na pewno w tej chwili bym to zrobiła.

- Co to takiego? - pyta.

- To? A... To jest... chwileczkę... no właśnie, to jest tak zwana kula chłodząca. Mam ją ze szpitala, już od wieków.

- Tak?

Ale to niewinne dziecię gładko to przelyka i niczym doświadczony rekwizytor odkłada przedmiot do szuflady nocnej szafki.

Znów odzyskuję fason:

- Musisz wreszcie się jakiemuś oddać. A może chcesz zostać przykurzoną dziewczicą?

- Wiem. Wystarczająco często mi to powtarzasz.

- Twoja matka nie robi ci dzieci.

- Nie, to też wiem. Ha, ha, ha.

- Mogłabym ci załatwić faceta. Jak ci się podoba mój Bakari?

- Wydaje mi się, że wolałabym jednak Islandczyka.
- E tam, to są przecież tępe pały. Krew trzeba odświeżać. Taka mała siewka złota jak ty powinna znaleźć pelikana. Z tego powstanie coś nowego.
- Siewka czeka na wiosnę i na tego jednego, właściwego.
- Jesteś mądrą dziewczynką. Jesteś sprytniejsza niż ja, bo ja zmarnowałam swoje dziewictwo, to tu, to tam. No chodź, moja ptaszyno, daj mi wreszcie tę owsiankę!

9

„TAKSÓWKA JUŻ CZEKA”

1959

Zawsze miałam problem z girami mojego pierwszego, jak się później okazało, Jóna. Wieczorem podstawił mi je pod nos i kazał sobie zdejmować skarpety, potem musiałam masować mu palce stóp, podeszwy, pięty i łydki. Nie byłam w stanie kochać tych islandzkich męskich nóg, które wyglądały jak pnie brzozy, twarde, niezgrabne i jasne niczym świeżo okorowane drewno oraz tak samo chłodne i wilgotne. Jego palce kończyły się zrogowaciałymi, żółtymi paznokciami, które wyglądały jak zmarznięte pędy po mroźnej wiosnie. Nie wspominając o zapachu, gdyż po wojnie facetom nogi wyjątkowo śmierdziały, a to dlatego, że nosili nylonowe skarpetki i spali w butach.

Jak można było w ogóle kochać tych islandzkich mężczyzn? Bekali przy stole i bez przerwy pierdzieli. Po czterech islandzkich mężach i licznych przygodach z doskoku stałam się *vrai connaisseur* ulatniających się gazów jelitowych, umiałam już rozróżniać gatunki i style jak znawca win. „Wyjący ścichapęk”, „granat”, „bomba gazowa” i „Luftwaffe”, tak określałam najczęściej występujące warianty. „Kawowa salwa” i „chińska petarda” także należały do tych popularniejszych, jednak najstraszliwsze były „daktylowe pierdy”, specjalność Bæringa z Fiordów Zachodnich.

Islandzcy mężczyźni nie umieją się zachować; nigdy nie umieli, nigdy też się tego nie nauczyli. Ale za to często bywają zabawni. Przynajmniej tak sądzą islandzkie kobiety. Mają oni w sobie pomieszczenie awaryjne, nieprzepuszczające wody i mrozo odporne, do którego w każdej chwili mogą się schronić. Kiedy ktoś zgubi się w górach i zakopie w śniegu albo przez cały weekend siedzi w zablokowanej windzie, może zawsze sięgnąć do tego wybitnie islandzkiego wewnętrznego schronu i jakoś przetrwać w tych warunkach przy pomocy świetnej opowieści. Po moich licznych wozach po świecie oraz pobytach na kontynencie miałam już serdecznie dosyć tych dobrze wychowanych i nigdy nie pierdzących panów, którzy zawsze przepuszczali mnie w drzwiach i płacili rachunki, ale nie potrafili opowiedzieć

porządnej historii, a w łóżku z nimi albo nie działo się nic, albo chcieli się tylko miziać do bladego świtu.

Najbardziej jednak podchodzili mi niemieccy mężczyźni. Stanowili całkiem przyjemną mieszankę bekających przedstawicieli Północy i kulturalnych południowców, porządnego Zachodu i dzikiego Wschodu, choć w latach powojennych byli oczywiście rozbitkami, których przede wszystkim należało mocno wspierać. A kto by miał na to czas? Londyńczycy są otwarci i *jolly*, ale ich osławiony chłodny dystans kojarzył mi się z robotami i na dłuższą metę mnie nudził. To ten przymus ciągłego ironizowania z czasem chyba nadwerzężył jądro ich psychiki. Francuskie zagrywki z kolei to nic innego jak serio podawane pustosłowie. Włoch na ulicy każdą kobietę wielbi jak królową, a potem w domu okazuje się, że jest ona tylko dziwką. Jankes jest wesoły i myśli z rozmachem, zawsze chce cię zabrać na Księżyc. A równocześnie jest tak małostkowy jak najgorsza szydełkująca emerytka i potrafi chodzić po ścianach, jeśli ktoś na pokładzie promu kosmicznego dobierze się do jego kanapki z *peanut butter*.

Rosjanie wydawali mi się interesujący. Tak naprawdę byli najbardziej islandzcy ze wszystkich. Każdy kieliszek pili do dna, rzucali się w każdą pijatykę, potrafili opowiadać ogromne ilości historii i nigdy nie mówili poważnie, może poza chwilą kontaktu z dnem butelki, kiedy to zaczynali płakać za swoją mamą, która mieszkała dwa tysiące kilometrów stąd, ale i tak co miesiąc odwiedzała ich na piechotę, żeby zrobić pranie. Byli kompletnie szaleni, a w łóżku okazywali się jeszcze większymi wyczynowcami niż moi rodacy, ale w końcu też już miałam dość tej całej gimnastyki ziemnej.

Mężczyźni skandynawscy są tak samo nietaktowni jak Islandczycy. Już przy stole się upijają, śmieją się tubalnie i bekają, po pewnym czasie zaczynają śpiewać, i to w publicznych restauracjach, w których goście płacą ciężkie pieniądze, żeby uciec przed hałasem świata. Ale ich portfel, skrzętnie ukryty i trzeźwy jak świnia czeka w szatni, podczas gdy sakiewka Islandczyka leży na środku stołu, gościnnie otwarta dla wszystkich. Jeśli o to chodzi, Islandczycy byli o wiele większymi wikingami. „Dobra opinia to wszystko, a kto nie daje rady, jest starą rozmemłaną babą!”, wykrzykiwał mój Bæring z Bólungarvík. Każdy wieczór musiał mieć „historyczne” zakończenie, inaczej był klęską.

Mimo wszystko ich lubiłam, tych islandzkich ćwoków, przynajmniej do kolan. Poniżej już mi się to tak dobrze nie udawało. Kiedy na porodówce wyszły ze mnie giry Jóna Vorjóna, miałam już tego po dziurki w nosie. To było dokładne odwzorowanie: kwadratowe stopy Jóna, tylko w formie bonsai. W jednej chwili nabrałam nieprzezwyciężonej niechęci do ich autora i nie pozwoliłam mu nawet wejść do pokoju, żeby mógł zobaczyć dziecko.

Jeszcze słyszę ten ton zaskoczenia w jego basowym głosie na korytarzu za ścianą, kiedy położyła oznajmiła mu, że już zadzwoniła po taksówkę. Potem uczyniłam z tego regułę: pozbywałam się swoich facetów właśnie w ten sposób, zamawiając im taksówkę.

10

JÓNOWIE

1959-1969

Po drugiej wojnie światowej, a przed wojną dorszową, co drugi Islandczyk miał na imię Jón. W ciągu zaledwie dziesięciu lat trzech Jonów zrobiło mi trzech małych Jónków.

Jako pierwszy pojawił się Jón Haraldsson, kupiec z wybrylantynowanym przedziałkiem, dołkiem w brodzie i ciemnym zarostem na policzkach. Z nim miałam Haralda Pięknowłosego. Obaj głuchoniemi.

Potem był Jón B. Ólafsson, w latach sześćdziesiątych znana postać. Był to z lekka rudawy pismak z „Tíminn”, w łóżku twardy, ale poza tym miękki jak wosk. Od niego doczekałam się kanapkowego króla, Smørrebrødkönig Ólaf mieszka tymczasem w Bergen i najbardziej lubi chleb, ale dostaje nerwowej wysypki, kiedy chce go odwiedzić własna matka.

Ostatnim z tej trójcy jest Jón Magnússon, prawnik, geniusz w dziedzinie genealogii. Nonni Magg to nieco pulchny Sonnyboy, który najlepiej opanował sztukę „korzystania z życia”. Robił to codziennie, według planu, z kieliszkiem w dłoni. Jego synem jest mój Maggi, Magnús Naprawiacz Prawa. Obaj mieli niezwykle liczną rodzinę, jako że już ojciec Jóna miał trzech ojców. Sam Jón chełpił się tym, że jest jedynym żyjącym Islandczykiem, który jest spokrewniony ze wszystkimi rodakami. „Witaj, kuzynie, cześć, kuzynko!” - to były jego ulubione zwroty. Najgorsza rzecz, jaką mógł o kims powiedzieć, brzmiała: „Jesteśmy jedynie krewnymi szóstego czy siódmego stopnia”.

Dla wygody nazwałam ich Vorjón, Mittjón i Nachjón, czyli kolejno Jón Pierwszy, Jón Środkowy i Jón Ostatni.

11

GROSSE FREIHEIT

1960

No i był jeszcze Friðjón. Pokojowy John.

Kiedy odjechała taksówka, którą zamówiłam Vorjónowi, spakowałam manatki i wyjechałam do Hamburga; na dwa lata, o ile dobrze pamiętam. Na islandzką codzienność byłam za młoda, musiałam więc jeszcze trochę posmakować życia, zanim będę w stanie

pogodzić się z „dziecięcą śmiertelnością”, gdyż jak kobietom wiadomo, one same umierają, kiedy tylko wydadzą na świat dziecko. Ale ja jeszcze przed synem Jóna miałam dziecko, tylko nie godziłam się umierać z jego powodu i zostałam przy życiu - to był mój największy życiowy błąd.

Jednak po sześciu miesiącach miałam dość samotnego pchania wózka po Bankastræti w północnym wietrze czy na śniegu z deszczem. A więc oddałam syna do *Johnson & Mama* w Bræðraborgarstígur. Mama całkiem nieźle urządziła się w tej przytulnej dynastii kawowej. Przez siedemnaście lat żyła z Friðrikiem Johnsonem, podczas gdy tata ciął na kawałki swastyki, które przywiózł z wojny do domu.

To była moja ostatnia próba, żeby zostać kimś. Miałam prawie trzydziestkę na karku, a nauczyłam się jedynie obchodzić z granatem i tańczyć tango. Chciałam studiować fotografię w Hamburgu. Zawsze lubiłam rysować, a w Nowym Jorku Bob wprowadził mnie nieco w tajniki tej nowej dziedziny sztuki. Jego ojciec posiadał oryginalne zdjęcie Man Raya oraz albumy Cartier-Bressona i Brassai'a, które chwytały mój wzrok niczym czarne od farby drukarskiej szpony. Ujęcia migawkowe fascynowały mnie bardziej niż fotografie pozowane. Potem odkryłam z zachwytem zdjęcie Lee Millera, zwłaszcza z drugiej wojny. Na Islandii tymczasem nie było zbyt wiele do oglądania, ale robiłam, co mogłam, żeby być na bieżąco i czasami kupowałam sobie „Vouge'a” albo „Life Magazine”, jeśli były do dostania. Dotychczas jeszcze żadna Islandka nie wyjechała za granicę, żeby studiować fotografię, ale mój ojciec uznał, że jeśli mam jakiś talent, to właśnie do „sztuki chwili”.

Już kiedyś „w latach wojny” zatrzymałam się w tym hanzeatyckim mieście, kiedy wszystko leżało w gruzach, teraz jednak Hamburg był wysprzątnany i odbudowany. Świetnie potrafią stawać na nogi ci Niemcy. Tylko brakowało jeszcze mieszkań, musiałam więc dzielić lokum w Schanzenviertel z pewną Niemką i francuską koleżanką imieniem Joséphine. Obydwie były nieco młodsze ode mnie i lubiły się zabawić. Dołączyłam do nich i razem wychodziłyśmy wieczorami, więc moje wspomnienia z hamburskiego okresu spowijają ciemność; czas spędzałam głównie w fotograficznej ciemni albo na nocnych eskapadach.

Josie należała do tego rodzaju wielkomijskich dziewcząt, które znają tylko „właściwych ludzi”, a Astrid Kirchherr była wśród młodzieży z klubów na Sankt Pauli kimś w rodzaju wschodzącej gwiazdy. Najmodniejsze wówczas były Kaiserkeller i Top Ten Club. Pewnego wieczoru wpadłyśmy do tego pierwszego i przeżyłyśmy elektryzujący występ pewnego zespołu z Liverpoolu. Wprawdzie sala nie eksplodowała - to przyszło dopiero później - lecz czuło się, że ich muzyka stanowi coś nowego. Nie miałam oczywiście prawie żadnego pojęcia o szlagierach ani o muzyce pop, a mimo to zachwyciła mnie niewinna radość

grania tych zdolnych chłopców z grzywkami. Promieniowali świeżo zdobytą wolnością: wreszcie zostawiliśmy wojnę za sobą.

W samym środku koncertu lider i wokalista zwrócił się do publiczności tymi słowami: „*Hello, Krauts!* Wiecie, że to my wygraliśmy wojnę”.

Nikt się nie roześmiał. Wtedy ludzie na kontynencie nie znali angielskiego. Popularyzatorzy tego języka jeszcze nie dostawali kontraktów płytowych.

Los jednak dokonał naprawdę wielkiego dzieła, kiedy po wojnie w ramach odszkodowania za nieustanne naloty bombowe przysłał akurat do Hamburga tych czterech Brytyjczyków, by tu naruszyli wszelkie normy i bębniaki uszne słuchaczy. Ulica nazywała się *Grosse Freiheit*, wielka wolność.

Grali przez osiem dni tygodnia, *Eight days a week*. W ten sposób nie wychodzili z wprawy. Poza tym konkurencja była ostra. W *Kaiserkeller* nie płacono za wstęp, więc kiedy robiło się nudno, publiczność zniknęła tak samo szybko, jak się zebrała. W budynku obok mieścił się pierwszy klub ze striptizem. Tak więc świat zawdzięcza wszystkie te wspaniałe piosenki konkurowaniu z branżą porno. To jest cała tajemnica Beatlesów. To samo zresztą można powiedzieć o Szekspirze i o tonach geniuszu, które w sobie miał. Wprawdzie raczej nie walczył ze striptizem, lecz z odbywającymi się po sąsiedzku pokazami walk niedźwiedzi i psów. A ludzie twierdzą, że seks i przemoc są wrogami sztuki.

12

PARTY Z BEATLESAMI W HAMBURGU

1960

Z czasem stałam się w Hamburgu na tyle znana, że zostałam zaproszona na imprezę z idolami. Był to niezwykle moment z życia młodej Islandki, zwłaszcza że mógł się zakończyć zupełnie inaczej.

Astrid chodziła wtedy z jeszcze innym Beatlesem. Stuartem Sutcliffe'em. Był to nieśmiały i wrażliwy student malarstwa, ciągle szykanowany przez awanturnika Johna, który wyśmiewał się z jego ubrań i zachowania na scenie. Biedny Stu wkrótce wyleciał z zespołu; nie był stworzony do takiego cyrku, jaki się zaczął zaraz potem, i zmarł zaledwie dwa lata później na ból głowy. Wydaje mi się, że nie miał ani krzty talentu, ale był miłym chłopcem.

Po koncercie Astrid zaprosiła nas do siebie do domu. To była naturalnie wielka przygoda, spacerować z tymi chłopakami po Reeperbahnie, który już wtedy był pełen szemranych lokali i czerwonych latarni. John był niewątpliwie szefem zespołu. Był najstarszy i najwięcej gadał, zaczepiał panienki lekkich obyczajów i pytał, czy nie są zmęczone, czy nie

wolałyby pójść z nami na imprezę, naturalnie on zapłaci im za ten czas. John dowcipkował na temat niemieckiego akcentu Astrid i różnych nazw ulic po drodze, a my, dziewczyny, chichotałyśmy, jak to w tamtych czasach należało. Przypuszczalnie ja śmiałam się najgłośniej. W każdym razie on wtedy zwrócił na mnie uwagę.

O Paulu nie mam żadnych szczególnych wspomnień, poza wielką życzliwością, która wyczierała z jego wielkich oczu. Od razu było widać, że to porządny chłopak. John był diabłem wcielonym, natomiast Paul nie miał w sobie żadnego diabelstwa. Razem byli niepokonani.

Astrid przypominała typ Twiggy. Swój pokój pomalowała w kolorach czarnym, białym i srebrnym, z sufitu zwisały gałęzie, oczywiście nagie. To już mocno ocierało się o granicę, za którą zaczynała się dla mnie pretensjonalność. Ale przynajmniej była muzyka i coś do picia. Stare płyty Plattersów, jak mi się wydaje, i Nat King Cole. John zapytał gospodynię, czy odziedziczyła kolekcję płyt po dziadku. Wyczuwałam pewne napięcie między nim i Astrid, przypuszczalnie celem ataków był Stuart, którego John z zazdrości nazywał na przemian Shutcliff albo Stuffelit. Wtedy zwietrzyłam swoją szansę, powiedziałam, że byłam w Stanach, i chciałam się dowiedzieć, czy on zna Buddy Holly'ego. Z brylantyną we włosach John nawet trochę go przypominał. I to podziałało jak czarodziejskie zaklęcie, gdyż John zaraz zaczął mnie wypytywać o Buddy'ego, o którym wiedziałam niewiele poza tym, że nie żyje. Ale lody zostały przełamane i wkrótce tańczyliśmy ze sobą, choć John deklarował, że nigdy nie tańczy. Ktoś wyłączył światło, Plattersi zawadzili i niepostrzeżenie dziewczyna z Breiðafjörður rozpląnęła się w pocałunkach Beatlesa.

Dopiero potem sobie uświadomiłam, że był to też wielki moment islandzkiej historii, choć raczej z tych, o których lepiej nie mówić. Przecież to niewyobrażalne, żeby w „Naszym Stuleciu” napisali coś w rodzaju: „Całowała Beatlesa w Hamburgu”. A równocześnie było to coś tak bez znaczenia, że nie ma o czym wspominać. Taniec, pocałunek. Oczywiście, że czułam się jak dziewczyna, którą całował Jezus. Mój ostatni mąż, Bæring, twierdził, że powinnam o tym pocałunku opowiedzieć „Tygodniowi” lub jakiemuś innemu kolorowemu szmatławcowi, bo uważał to za wielką sensację, ale ja zdecydowanie odmawiałam, także po śmierci Johna.

W każdym razie włączyłam go do mojej kolekcji Jónów, został Friðjónem, Johnem Pokojowym. Choć wcale nie był aniołem pokoju. Sam twierdził, że jego wkład w pokój bierze się z jego wewnętrznego niepokojem, przyznawał nawet, że zdarzało mu się bić kobiety. Tak to jest z tymi rzekomymi wizjonerami.

Mimo młodego wieku już wtedy miał poczucie humoru starego wilka morskiego; promieniał pewnością siebie i czarem. Całować też umiał całkiem niezle i zapytał mnie, czy Anglicy pokonaliby też Niemców w wojnie pocałunków, po czym zdziwił się bardzo, kiedy powiedziałam mu, że pochodzę z Islandii.

- Co? Aha, to dlatego jest mi tak zimno.

- Jest ci zimno?

- Ależ skąd - wyszczerzył się w uśmiechu. - Ja też pochodzę z Islandii.

- Naprawdę?

- Tak. Przynajmniej Mimi zawsze nazywa mój pokój Islandią.

- A dlaczego?

- Bo jest tak zimno. Zawsze mam otwarte okno.

- *Smoke gets in your eyes* - wymruczał fragment piosenki Plattersów, do której właśnie tańczyliśmy. - Mimi nie chce, żebym palił.

- Kim jest Mimi?

- To moja ciotka. Albo matka. Moja prawdziwa matka zginęła w wypadku samochodowym. Przejechał ją jakiś pijak.

- To okropne.

- Tak. Muszę jeszcze załatwić tego gościa.

Ku mojemu przerażeniu to zdanie podziałało na mnie jak eksplozja bomby. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, poczułam napływające łzy, przeprosiłam i wyszłam na balkon. Mocno trzymałam się lodowatej barierki, przyglądając się domom i rzece. Światła miasta migotały przez łzy, które moja duma kazała mi powstrzymać. Nie chciałam płakać przed tymi młodymi ludźmi. Moja wrażliwość mnie zaskoczyła. Czy nadal byłam tak podatna na zranienie?

John ostrożnie wysunął głowę na wąski balkon.

- Co jest? Powiedziałem coś niewłaściwego? Czy cię czymś uraziłem?

Odwrociłam się do niego.

- Nie, nie, to tylko... chodzi o to, że ja też... kogoś straciłam w ten sposób.

- Twoją matkę?

- Nie. Małą...

- Siostrzyczkę?

Nie mogłam odpowiedzieć. Jedynie potrząsnęłam głową. To nadal tak strasznie bolało. To wciąż jeszcze strasznie boli. Myślałam, że powoli jakoś przyzwyczaję się do myśli, że straciłam córkę w wypadku samochodowym. Ale oto stałam tam, siedem lat później, i nie

potrafiłam zachować spokoju, kiedy tylko ktoś wspomniał o wypadku. I oto leżę tutaj pięćdziesiąt sześć lat później i ocieram łzy z moich sflaczałych, starczych policzków. To była prawdziwa katastrofa, zalewać się łzami akurat przed tym chłopcem, właśnie tamtego wieczoru. On zachował się bez zarzutu, ale oczywiście nasz „związek” skończył się, zanim się w ogóle zaczął. Młodzi mężczyźni nie lubią chodzić do łóżka ze starymi problemami.

- Masz na myśli... dziecko?

Skinęłam głowę, przełknęłam ślinę i próbowałam uśmiechem odpędzić łzy. Poprzez muzykę usłyszałam pociąg stukoczący w ciemności nocy. Mój Beatles odwzajemnił uśmiech, wyszedł do mnie na balkon, zapalił papierosa i wydmuchując dym, zapytał:

- Jesteś ode mnie o wiele starsza, prawda? Ile masz lat?

Z zaskoczeniem stwierdziłam, że ta jego bezczelność ma w sobie coś odświeżającego.

Poprosiłam go o papierosa i wzięłam się w garść:

- Damy nie pyta się o wiek. Czyżbyś nie był gentlemanem?

- Nie, jestem z Woolton. To ile masz lat?

- Trzydzieści jeden. A ty?

- Dwadzieścia - odparł z uśmiechem. - Ale w przyszłym roku skończę trzydzieści.

Coś w tym było. Bo oto właśnie rozpoczynała się dekada dwudziestego wieku, która miała minąć najszybciej. Patrzyłam za nim, jak otwiera drzwi balkonowe, które właściwie były oknem wielkości człowieka, znów wchodzi w gwar i staje się długowłosym, sławnym na cały świat eks-Beatlesem, który nadał kierunek muzyce minionego stulecia, zabrał pół świata na swój hippisowski odlot, do łóżka w Amsterdamie.

Zostałam sama i znów zajęłam się miastem i swoim nieudanym życiem. Gdzieś tam pośród budynków był Hauptbahnhof, na którym w samym środku wojny jednego dnia „straciłam” ojca i matkę, i gdzieś w sobie miałam ten kawałek chodnika, na którym w innym mieście bawiła się mała, jasnowłosa dziewczynka. Słyszałam jej śmiech, kiedy na chwilę wchodziłam do baru, a potem nastąpił huk, który uczynił mnie najstraszniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek istniała na świecie. Słyszę ten huk (który powstaje, kiedy na wąskiej ulicy w stolicy Argentyny główka dwuletniego dziecka zderza się ze stalowym zderzakiem jadącego trzydzieści na godzinę krążownika szos) każdego miesiąca, każdego dnia, przez całe moje życie. Kto traci dziecko, traci też rozum.

A mimo to urodziłam drugie dziecko i zostawiłam je u mojej matki, żeby móc uciec i całować tego młodego chłopaka. Teraz spało w domu babki, a ja miałam wrażenie, że nic mnie z nim nie łączy. Z dala od dwojga moich dzieci za zmarłym tęskniłam o wiele mocniej niż za żywym. Może sama już powoli zaczynałam umierać? Czy nie porzuciłam małego ze

strachu, że mogę stracić jeszcze jedno dziecko?

Doszłam do siebie, wytarłam łzy i zauważyłam w końcu, że trzymam w dłoni niezapalonego papierosa, którego dał mi John. Przetrzaśnięłam kieszenie spódnicy w poszukiwaniu zapalek, ale ich nie znalazłam. A że nie chciałam od razu wracać do towarzystwa, upuściłam fajkę na ulicę.

Teraz, kiedy leżę tu przyklejona do prześcieradła i ogrzewam się lodowatą Kolumną Pokoju, uświadamiam sobie, że powinnam była raczej zachować papierosa z pudełka Lennona, niewypalonego papierosa jako pamiątkę czegoś, co mogło się zdarzyć. Wtedy mogłabym go wystawić na eBayu razem z moim wilgotnym pocałunkiem Beatlesa i za uzyskaną kwotę przytulnie sobie urządzić garaż, kupić meble i tapety oraz jeden z tych słynnych płaskich telewizorów, na których pokazują tylko filmy oparte na mojej biografii.

13

PAN SAMEJ SIEBIE

2009

Jako kobieta byłam oczywiście bardzo osamotniona w moim pokoleniu. Podczas gdy inne dziewczyny w zbliżonym wieku chodziły do szkoły gospodarstwa domowego, ja zmagalam się z wojną światową. Wyszłam z niej jako piętnastolatka, z zaliczeniem i doświadczeniem życiowym kobiety trzydziestoletniej. W 1949 roku skończyłam dwadzieścia lat i według obowiązującego wówczas rozkładu powinnam uczęszczać do wyższej szkoły siana w głowie u kopenhaskich kramarzy albo w domu na Islandii realizować plany zamążpójścia, jako dobra partia z rodziny prezydenckiej na balu konserwatystów w Domu Niepodległości przy Austurvöllur. Poprosiłby mnie do tańca Gunnar Thoroddsen i otoczeni gromadką dzieci oraz reporterów moglibyśmy spokojnie - ze mną u boku wygrałby na pewno - wprowadzić się do siedziby prezydenta Bessastaðir. Ale ja zamiast tego wolałam się rzucać w kolejne przygody, tańczyłam na pokładach statków na południe od równika, nie czekałam, aż mnie ktoś poprosi do tańca, tylko własnoręcznie powalałam mężczyzn na deski.

Do tej przewagi, jaką wówczas miałam, należy doliczyć to, że Islandia w tamtych czasach była o jakieś szesnaście lat zapóźniona w stosunku do trendów współczesności. Stanowiłam więc ciągle przyczynę zgorzienia w moim rodzinnym miasteczku. Byłam już kobietą światową, zanim w ogóle stałam się kobietą. Byłam klasyczną lwicą salonową i w picciu biłam na głowę wszystkich znanych mi facetów, na długo zanim Ásta Sigurðardóttir została głośną skandalistką. Byłam praktykującą feministką, zanim to słowo w ogóle pojawiło się w islandzkich gazetach. Kiedy wynaleziono pojęcie „wolna miłość”, ja uprawiałam ją już

od lat.

A mimo to ciągle oczekiwano ode mnie, żebym była „taka jak inni ludzie”.

Byłam niezależna, niczego się nie bałam i nic nie mogło mnie powstrzymać, ani żadne zasady, ani plotki czy faceci. Podróżowałam, pracowałam dorywczo, jakoś sobie radziłam, urodziłam dzieci, jedno straciłam, nie pozwalałam, żeby te pozostałe mnie ograniczały, brałam je ze sobą albo gdzieś podrzucałam, parlałam ciągle dalej i nie dawałam się skłonić do małżeństwa. To było oczywiście najtrudniejsze ze wszystkiego. Na długo zanim pojawiły się młode hippiski, podrzucające potomstwo swoim matkom, żeby móc dalej wieść życie trampa, ja już wynalazłam pojęcie „matka na odległość” i je konsekwentnie realizowałam. „Nie należy dopuszczać do tego, by owoce twojego poprzedniego życia seksualnego rujnowały ci to obecne”, tak mówiła jedna z bohaterek lat sześćdziesiątych. A może to byłam ja? Simone de Beauvoir czy też Simone de Bovary, jak nazywał ją mój Mittjón, miała łatwo, bo jej kobiecej wolności nie ograniczały żadne dzieci, a i tak przez cały czas była niewolnicą miłości, bo wcześniej uzależniła się od Jeana Paula Sartre’a, tego brzydkiego karła filozofii, który był jednym z największych babiarzy stulecia, co skazało Simone na życie w nieustannej zazdrości. Próbowała się zemścić, praktykując coś, co złośliwcy nazwali *le deuxième sexe*, ale bez powodzenia, bo nie potrafiła „ruchaniem wykończyć miłości”, jak to mówią w Fiordach Zachodnich, i skończyło się na tym, że położyła się obok zwłok swojego wrednego karła jak Julia obok Romea. Wtedy w końcu miała go tylko dla siebie. To wystarczająco dużo mówi o tym, jak żalodne jesteśmy my, kobiety, jeśli nawet ta, która rzekomo jest naszą największą ikoną, nie potrafiła się uwolnić od swojego chłopca. Całkowite wyzwolenie kobiet zostanie osiągnięte dopiero wtedy, kiedy wszyscy mężczyźni zginą na wojnie. Wtedy my, kobiety, będziemy jeszcze przez jedno pokolenie szczęśliwe, liżąc sobie nawzajem krocza, głaszcząc się po policzkach i od czasu do czasu wbijając sobie nóż w plecy.

Wspólne życie Sartre’a i de Beauvoir było w swoim czasie przedstawiane jako wzór współczesnego związku mężczyzny i kobiety, który dla wszystkich miał stanowić przykład, ale za barwnymi filmikami z raję kryło się prawdziwe piekło dla drugiej osoby. Przez jakiś czas nawet interesował mnie ten głośny związek i w moim garażu utworzyłam sobie alert w Google’u. Prawie nie było miesiąca, żeby nie wyszła na światło dzienne jakaś nowa kochanka, której psychika została zniszczona przez karła, jego przyjaciółkę albo ich oboje razem. Okazało się, że ta idealna parka uwodziła swoje własne uczennice w wieku nieuprawniającym nawet do posiadania prawa jazdy, a po dokonaniu defloracji dziewczęta porzucała. W końcu zrezygnowałam z tego monitorowania dawnych historii łóżkowych. Miałam wrażenie, jakby Jean Paul i Simone grali w tenisa, tylko zamiast piłek posługiwali się

duszymi innych. Jeśli życie dało mi jakąś mądrość, to było nią odkrycie, że jedynie obrzydliwcy są w stanie osiągnąć sławę. A w wypadku pisarzy regułą zdaje się: im nudniejsze dzieła, tym ciekawsze życie osobiste.

Spotkałam go kiedyś w jakimś lokalu rozrywkowym przy placu Pigalle; nasze spojrzenia zetknęły się w wąskim korytarzu do toalety. Niewykluczone, że to wielki zaszczyt zostać obdarzoną lubieżnym spojrzeniem tak sławnych oczu, ale zupełnie mnie to nie poruszyło. Nieodparcie nasuwał mi się inny obraz: jego twarz zmieniła się w męskie genitalia. Okrągłe szkła okularów znajdowały się po prawej i lewej stronie członkopodobnego nosa, a za nimi wytrzeszczone oczy, które zdawały się pękać od nadmiaru nasienia.

Oczywiście moje życie wśród bohemy nie mogło się równać z życiem słynnych Francuzów, choć ja też miałam pewne sukcesy. Wydaje mi się, że mój nieokiełznany styl życia dopiero w ostatnich dziesięcioleciach rozpowszechnił się wśród islandzkich kobiet. Ciągle czekam na telefony od przedstawicielek młodego pokolenia z podziękowaniami za mój pionierski wkład i na wiązanki kwiatów, które mogą mi wręczać podczas krótkiej ceremonii w moim garażu. Tylko żeby nie przyprowadzały ze sobą naszej eksprezydent Vigdís! Ona zawsze zmienia mnie w kupę gówna.

14

PRZEPRAWA VERBJÖRG PRZEZ FIORD

1962

Moje studia fotograficzne powoli spełzały na niczym. Wprawdzie raz czy drugi udawało mi się „złapać moment”, częściej jednak coś łąpało mnie. Poznałam Kurta i wkrótce straciłam kontakt ze sceną Art & Party z Sankt Pauli. W końcu przeprowadziłam się do niego i zaczęłam pracować w knajpie należącej do jego brata. Kurt miał szybki samochód i uwielbialiśmy gnać nim przez most nad Elbą albo robić wypadki do Kolonii czy nawet do Amsterdamu. Za Hitlera ojciec Kurta był jakąś szyczą i to był właśnie nasz wspólny sposób na ucieczkę przed zbyt bliską przeszłością.

Jednak pewnego pięknego dnia zostałam przez Pana Boga za pomocą szczypczyków wyrwana z mojego przyjemnego życia młodej damy na kontynencie i przeniesiona na cuchnący rybami islandzki kuter. Można to sobie wyobrazić mniej więcej jak podróż Grety Garbo na Grenlandię. Największe problemy sprawiały mi moje wysokie obcasy, nie byłam w stanie postawić nogi na ojczystej ziemi i dopiero teraz widzę, jakie to wszystko wtedy było piękne.

Babcia Vera znienacka postanowiła umrzeć. Nie bylibyśmy chyba bardziej

zaskoczeni, gdyby nagle zniknęły zbocza Esji.

Zwłoki zostały wystawione na katafalku w chacie Ranakofi, o której mało kto wie, że porośnięta trawą i przycupnięta między zagrodą a przystanią jest najstarszym domem na Islandii. Świetnie się złożyło, że leżała w nim akurat najstarsza mieszkanka wyspy.

Udało mi się spędzić tam o zmierzchu chwilę z babcią i przez cały czas miałam wrażenie, że ona nie odeszła całkowicie. Na wojnie widziałam setki ciał, ale dopiero dwa razy przeżyłam śmierć bliskiej osoby. Choć od jej śmierci minęło całe cztery dni, w tym chudym ciele nadal było coś z babci Very. Jej życie jeszcze w nim siedziało niczym soczysta pestka w wyschniętym kwiecie. Jej dusza tak długo zamieszkiwała pomiędzy tymi kośćmi, że nie chciała się od nich oderwać zaraz po jednym dniu. Jej głos nadal brzmiał w mojej głowie.

- No tak, i znów dzień rozpirzony.

Kiedy wyszłam z chaty, wyspy na zachodniej stronie morza wyglądały jak lekka mgielka na stawie. Włosy trzepotały mi na wietrze przed oczami, gdy zza rogu wyszła moja matka. Zatrzymała się i przez chwilę tak stałyśmy sztywno naprzeciwko siebie przed najstarszym domem na Islandii.

- Ona jest taka... twarda - powiedziałam.

- Tak, mama była twarda - przyznała.

- Nie, nie o to mi chodzi, ja jej dotykałam i ona w dotyku przypomina drewno.

Uważałam, że powinniśmy ją raczej zatrzymać niż pochować. Była relikwią, uosobieniem historii Islandii. Najstarszy budynek w kraju był zaledwie dwa razy starszy od niej.

- Tak - powiedziała mama i dalej tak stała na rogu domu. Nie mogłam do niej podejść i obie milczaliśmy do siebie. Między nami leżały oceany. Życie rozdzieliło nas na początku wojny i dopiero potrzebna była interwencja stulatki, żebyśmy się mogły znów spotkać. W końcu ona podeszła do mnie i padłyśmy sobie w objęcia, po raz pierwszy od stycznia 1941 roku.

Ale mimo to nie mogłam na pogrzebie stać w pierwszej łodzi. Musiałam przyjąć to jako karę. Mimo uścisków matka nadal żywiła urazę, że nie zamieszkałam u niej w Bræðraborgarstígur. Szorstko wcisnęła mi w ramiona synka, kiedy wreszcie pojawiłam się koło południa.

Chyba nigdy nie widziałam nic piękniejszego niż ten kondukt pogrzebowy na Breiðafjörður. Trumna stała w pierwszej łodzi, w smudze piany za kilem powoli płynęło wiele innych, niespiesznie sunąc między skałkami i małymi wysepkami, kierując się ku Flatey. Pan zesłał tej procesji całkowity brak wiatru, a na niebie nie było widać ani jednej

łatki chmur, jak się to mówi. W cichej żałobie odległe błękitne góry ustawiły się nad Barðaströnd jak kondukt, skłoniły głowy i ramiona, patrząc w głębinę połaciami zlodowaciałego śniegu i cicho płacząc strumykami roztopów.

- Tak, tak, dobrze sobie wybrała dzień - doleciało z rufy.

W głosach mężczyzn już było słyszeć wódkę - niezbędną, gdy przeprowaiało się zmarłego przez fiord. Czasem mężczyźni wracali dopiero po kilku dniach i zbierali od żon zasłużone reprimendy: „Ile czasu może zająć pochowanie zmarłego nieszczęśnika z najdalszych szkierów w niesłonej ziemi? I to jeszcze w samym środku sezonu połowów!”.

Mama i Friðrik stali przy trumnie w pierwszej łodzi, razem z Líną i Eysteinnem. Twarz mojej matki była biała jak śnieg, włosy czarne i gęsto poskręcane leciutko się poruszały w tym żalobnym przeciągu, jaki panował w jej wnętrzu, tak samo jak najdelikatniejszy damski wąsik na świecie, który subtelnie drgał, kiedy opuszczano trumnę. Ach, prawda, ja też tam byłam, w czarnej sukience na modłę lat sześćdziesiątych, ze szminką na ustach, torebką w dłoni i jak aktorka patrzyłam na świeży, lśniąco biały krzyż:

Verbjörg Jónsdóttir, gospodyni

1862-1962

15

BLITZRAC

2009

Moja babka skończyła w szopie na łodzi, ja w takiej samej na samochody. Tak było nam przeznaczone, dwóm starym kobietom. Ale ona przynajmniej miała towarzystwo. No tak. Bo choć komputer ma nieskończoną wiedzę i przyjemnie rozgrzewa, tak jak pocziwe Gunny, przyjaciółki babki, to jeszcze nie udało mi się go nauczyć, jak się śmiać. Z drugiej strony jestem oczywiście przeszczęśliwa, że oszczędzone mi zostało chrapanie, pierdzenie i niekończące się mielenie językiem. Tak, cudownie jest mieszkać tu, w garażu. A teraz czas na lekarstwa. Wszystkie te pyszne medykamenty. Tyle ich dla nas wynaleziono.

- To jak, zaczynamy od sorbitolu? - pyta dziewczyna w szpitalnym fartuchu z krótkim rękawkiem i odmierza odpowiednią ilość kropli na łyżkę.

Ten smak kojarzy mi się z babką Georgią. Uwielbiała słodkie likiery. Potem było pokolenie mojej matki, oni z kolei przepadali za portwajnem. Moje pokolenie po prostu goliło wodę. Potem nadeszły inne rozmiary szkła. Lóa, biedaczka, mówi, że pije tylko piwo - przy

tych nielicznych okazjach, kiedy w ogóle wychodzi z domu, żeby przewietrzyć swoją dziurkę. A więc to, co się tak trzęsie przed moimi oczami, to jej piwny tłuszcz.

- Dobrze, a teraz femar. Czy on nie ma być następny?
- Ach, już zapomniałam.
- Tak, dwie tabletki popite łykiem wody. Tak... właśnie.
- Czy mogę go dotknąć?
- Kogo?
- Twojego ramienia. Wygląda na takie mięciutkie.
- Ha, ha. Tak? Naprawdę? Jest o wiele za tłuste, ha, ha.

W tej chwili jestem śliniacą się czarownicą, która obmacuje ramionka Jasia i Małgosi. No chodź, Lóa, pozwól mi, starej, wysuszonej kobiecie posmakować twojego miękkiego, dziewiczego ciała. Moim ostatnim zębem. Och, jakież jest delikatne i miękkie!

- Na pewno świetnie smakuje - mówię, tak tylko rzucam.
- Mam nadzieję, że mnie mimo to nie pożrzesz!
- Zaczekaj tylko!

To są oczywiście skutki długoterminowe. Lekarstwa sączą się we mnie kropla za kroplą jak trujące chemikalia w ziemię, w środku napotykać swoich kolegów z rodziny szkodliwych wirusów. Truciznę trzeba zwalczać trucizną, tak twierdzą lekarze, chodzi o to, żeby doprowadzić do trwałego zawieszenia broni we wnętrzościach. Nie jestem wcale zainteresowana *toma de medicamentos*. Biorę je tylko ze względu na Lóę. Tej dziewczynie sprawia wielką przyjemność, jeśli może mi coś zaaplikować.

Był rok 1991, kiedy usłyszałam od lekarzy mój pierwszy wyrok śmierci, powiedzieli, że przeżyję jeszcze tylko wiosnę. To była przepiękna wiosna. Od siedmiu lat kaszlałam z powodu rozedmy płuc, i to w kilku różnych miejscach, co nie było zbyt korzystne, lecz ja karmiłam ją nikotyną, choć omal nie doprowadziło to do masowych protestów w służbie zdrowia. Potem zniemacka doszedł do tego rak i zajmował moją klatkę piersiową jak niemiecki Wehrmacht. „To *Blitzrak*”, wytłumaczyłam lekarzom, którzy natychmiast wysłali mnie do szpitala.

Darowali mi jeszcze jedną wiosnę, ale potem w lecie miałam leżeć pod zieloną trawką. Nowego tysiąclecia powinnam już nie doczekać, a przecież byłam taka młoda, dopiero sześćdziesiąt dwa lata. Jednak po terapii jednej czy drugiej, po spekulacjach, zastrzykach, lekarstwach i jeszcze raz lekarstwach, wszystko wskazywało na to, że rosyjska zima przychodzi mi z odsieczą i Wehrmacht musiał się wycofać. Na razie. Co jakiś czas wracał, cholerne bydlę, i nadal to czyni.

W szpitalu złapałam wtedy jeszcze jednego wirusa, z tych najgorszych, i mogę tylko dziękować Bogu, że wyszłam z tego żywa. Od tego czasu nigdy więcej nie byłam w szpitalu. Zdrowie mi na to nie pozwala.

Osiemnaście lat już noszę tego urwisa raka pod fartuszkami. Raczek Björnsson to osiemnastolatek z pierwszym zarostem i pryszczami na czole, mógłby już nawet mieć prawo jazdy. Wyjdzie ze mnie dopiero wtedy, kiedy skończy medycynę, i pierwszą rzeczą, jaką potem zrobi, będzie wypisanie dla mnie aktu zgonu. Niektórzy twierdzą, że jestem Islandką, która najdłużej żyje z tym nieszczęściem. Lecz żaden prezydencki ukaz nie zawezwał mnie jeszcze do Bessastaðir, żeby przypiąć mi agrafką medal do resztek moich piersi.

Ostatnia wojna toczy się więc nadal w moim ciele, wieczna to walka. W zeszłym roku, niedługo przed Bożym Narodzeniem, Niemcy zajęli wątrobę i nerkę przy pomocy swoich zdradzieckich miotaczy metastaz i nadal się tam trzymają, podczas gdy w innych miejscach, żołądek i jelita, musieli ustąpić przed siłami aliantów. (Bitwa o piersi rozegrała się już dawno temu i jedna z nich przebywa obecnie na zlocie piersi w lepszym świecie). Ruscy atakują za to klatkę piersiową i suną prosto na serce, gdzie wkrótce zacznie łopotać czerwona flaga. Wtedy będę załatwiona i na całym kontynencie zapanuje pokój, aż przyjdzie Stalin z nożem do sekcji i podzieli moje ciało na dwie części.

Potem zostanę spopielona. To moja nieodwołalna decyzja.

Tymczasem, jak już mówiłam, minęło osiemnaście lat, odkąd to niby mam tylko trzy miesiące życia przed sobą. Przeżyłam je i wegetuję dalej, cały czas na dragach. Kiedy już znudzi mi się bycie Lindą Pétursdóttir, zaloguję się pod moim prawdziwym nazwiskiem na stronie rozpaczy zycieprywatne.is i napiszę: „Kobieta z jedną piersią i rakiem w płucach, wątrobie, nerkach i czymś jeszcze pozna zdrowego pana”.

16

CZYŚCIEC

2009

Wczoraj Lóa zostawiła u mnie swoją komórkę, kiedy na chwilę wyszła do sklepu za rogiem, żeby kupić żarówkę - te szklane gruszki to jedyne owoce, na jakie mogę sobie pozwolić. Skorzystałam z okazji i zadzwoniłam do krematorium przy kościele Fossvog, żeby dowiedzieć się czegoś o spopielaniu. Tam powiedziano mi, że dziennie kremują siedem do dziesięciu ciał. Po każdym zostaje od dwóch do trzech kilogramów popiołu (w zależności od masy ciała, rzecz jasna). Temperatura pieca wynosi do tysiąca stopni. Trzeba w nim leżeć około godziny. „Albo godzinę do półtorej, tak bym raczej powiedziała”, paplała do telefonu

jakaś młoda dziewczyna, która najwyraźniej nie miała pojęcia o ogniu i popiele, choć siedziała tuż przy samym kotle śmierci. Spodziewałam się, że to pójdzie szybciej, ale tu czas nie powinien mieć dla mnie znaczenia. Kiedy dojdzie co do czego, będę go miała pod dostatkiem. Ale ta dziewczyna była po prostu totalnie głupia.

- Chciałabym zarezerwować termin na kremację.

- Zarezerwować termin?

- Właśnie.

- Aha. Dobrze... jakie nazwisko?

- Herbjörg María Björnsson.

Głośne szeleszczenie papierami.

- Halo? Nie mam takiego nazwiska na liście. Czy pani już złożyła wniosek o kremację?

- Nie, nie. Chciałam zarezerwować termin dla siebie. Dla mnie.

- Dla pani osobiście?

- No tak, jasne.

- Ale... ehm, najpierw trzeba złożyć wniosek.

- A jak się to robi?

- Może go pani wypełnić online i nam wysłać, ale my się nim raczej nie zajmujemy, zanim... no cóż.

- Zanim?

- No więc nie rozpatrzymy tego wniosku, zanim... no wie pani... a więc, ehm... zanim nie nastąpi zgon, okay?

- Dobrze. Kiedy przyjdzie co do czego, będę martwa. Może pani na mnie polegać.

- Ach tak? Hm...

- Albo jeśli będzie za późno, po prostu przyjdę do was i wy wsadzicie mnie na żywca do pieca.

- Na żywca?! Nie. To jest... zabronione, rozumie pani?

- No dobrze, więc postaram się do tego czasu być martwa. To kiedy ma pani jakiś wolny termin?

- A kiedy by pani pasowało?

- Kiedy by mi pasowało umrzeć? Tak sobie myślałam, że najlepiej przed Bożym Narodzeniem, w czasie adwentu. A więc tak mniej więcej w połowie grudnia?

- Hm, to byłoby... tak, jeszcze mamy wolne terminy. Myślę, że to się da załatwić.

- Świetnie. Czy byłaby pani tak miła i zarezerwowała dla mnie ten termin?

- Ehm, okay. W jaki dzień?

- Powiedzmy 14 grudnia. Jaki to dzień tygodnia?

- Poniedziałek.

- Doskonale. To mi akurat pasuje: zacząć tydzień od własnej kremacji. O której?

- No więc, możliwe byłoby zaraz na początku, o dziewiątej. Jeśli pani chce. Ale mogłaby też pani przyjść po południu.

- Hm, wydaje mi się, że popołudnie jest pewniejsze. Bo to mogłoby trochę potrwać.

- Ma pani na myśli dotarcie do nas?

- Nie. Może przecież być tak, że będę musiała podciąć sobie żyły, a tego nie chcę robić w niedzielny wieczór. No i to mogłoby trochę potrwać, aż człowiek się tak porządnie wykrwawi.

- Więc wstępnie panią zapisuję na ten termin. Ale czy pani jest...?

- Jestem co?

- Chciałam powiedzieć, czy pani jest naprawdę pewna, że...?

- Absolutnie. I chcę, żeby piec był naprawdę dobrze rozgrzany, bo nie mam ochoty dusić się wolno na małym ogniu. Tysiąc stopni, tak pani mówiła.

- Tak. Możemy jeszcze dodatkowo zwiększyć temperaturę przed.

- I pewnie idzie się tam głową naprzód, tak?

Wolę piec od ziemi, choć spokojnie mogłabym sobie pozwolić na trumnę i wieńce. Moi chłopcy jeszcze mogliby sobie chyba wyobrazić, że niosą mnie w dół po kościelnych schodach, ale nie wiem, czy poświęciłabym się, żeby im zrobić tę przyjemność. Z drugiej strony nawet nie jest pewne, czy przyjechaliby na pogrzeb swojej matki. To bardzo zapracowani ludzie.

Tak. Jestem zdecydowana w adwencie się pożegnać. Nie mogę sobie wyobrazić, że spędzam w tym garażu jeszcze jedno święta. W zeszłym roku było cholernie nudno, tylko ja i komputer, było też zimno, choć poczciwa Dóra nawet przysłała mi na dół pieczoną polędwicę z sosem. Dziwne, że władze jeszcze nie wpadły na żadną metodę wtórnego wykorzystania tych, którzy chętnie uszczęśliwiliby ziemię swoimi biologicznymi odpadami. Można by na przykład przemielić nas na nawóz do kwiatów, zamiast z naszego powodu masowo kwiaty mordować. Ale pewnie i tak bym się do tego nie nadawała, z tyloma trującymi substancjami w sobie.

Tak, im więcej o tym myślę, tym bardziej podoba mi się tysiąc stopni. Chyba nawet w czyścicu nie może być goręcej.

GUĎJÓN I DÓRA

2009

W moim garażu dominuje przede wszystkim prostota. Jest tu wszystko, czego potrzebuję, a nie potrzebuję właściwie niczego. Tylko lekarstw, jedzenia i internetu. Ach, i jeszcze muszę mieć papierosy, siedem sztuk dziennie.

Moje łóżko to porządny szpitalny sprzęt, przyjechał tu z kliniki Grensás z inicjatywy życzliwych kobiet. Mogę regulować wysokość oparcia i zwykle staram się trzymać tułów w miarę prosto. Przy południowo-zachodniej ścianie bez okien, masywnej i sprawiającej solidne wrażenie, która chroni mnie przed wszelkimi ulewami życia, jak mężczyzna, którego nigdy nie spotkałam, wsuwam sobie za plecy poduszkę. Przeciwna ściana ma więc położenie północno-wschodnie. Znajdują się w niej rowkowane drzwi z błyszczącą klamką, a po lewej stronie wysoko pod sufitem trzy małe okienka. Przez nie w ponure jesienne wieczory widzę Lennona jako kolumnę światła.

Po lewej stronie pojawiła się cienka ściana przepuszczająca dźwięki. Za nią znajduje się brama garażu i graty Guđjóna. Na wschodniej ścianie z prawej znajduje się kącik kuchenny ze zlewem, lodówką i płytą; w kącie przy drzwiach moje codzienne utrapienie: kibel. Dziwne to społeczeństwo, które od śmiertelnie chorych ludzi wymaga codziennych pieszych wędrówek. Tyle razy mówiłam dziewczynom o tej sprzeczności. Nawet najbardziej sztywne społeczeństwa dawnych czasów respektowały nasze oczywiste prawo do swobodnego popuszczania.

- Przykro nam, ale możemy zajmować się wyłącznie ludźmi, którzy sami potrafią załatwić swoje pfn.

- A co to takiego pfn?

- Podstawowe funkcje naturalne.

- Ale ja nie potrafię. Nigdy tego nie umiałam.

Zapomniałam jeszcze powiedzieć o szafce nocnej, starym czworonogu po dziadku Sveinnie i babci Georgii, wyrzeźbionym z duńskiego drzewa rodowego. Stoi na niej popielniczka, spadek po ojcu, z niemieckiego mosiądzu. Aha, i jeszcze koło mojego łóżka stoi wysłużone krzesło biurowe, którego oparcie pochyliło się już naprzód. Czeka na gości i wykazuje się dużą cierpliwością.

Całe wyposażenie jest dziełem Guđjóna. Co ja bym bez niego zrobiła? Oprócz toalety wbudował też kuchenkę, postawił ściankę działową, pomalował podłogę i doprowadził światło. W niedzielne wieczory przemycą mi czasem kieliszek gorzałki. Choć z

wykształcenia jest „ekonomem firmowym” (to jego poczucie humoru) i spędza dni przy biurku w jakiejś firmie, to z zamiłowania jest stolarzem i majsterkowiczem jak wszyscy Islandczycy. Radość z rzeczy własnoręcznie wykonanych zawsze była dla nas bardzo ważna. Każdy gdzieś tam jest zajęty burzeniem ścian, budowaniem tarasów, kładzeniem parkietów albo szalowaniem. Każda z tych czynności jest pomyślana jako ratowanie małżeństwa. Przecież powszechnie wiadomo, że problemy naszych czasów wzięły się z tego, co nazywam „objaniem się facetów”. Zanim mężczyźni przestali wypływać w morze i zaczęli spędzać weekendy, wylegając się w domu, problemy małżeńskie były sprawą praktycznie nieznaną. Powoli to dociera też do samych facetów, więc znów próbują zapłacić ten wolny czas wymyślonymi, ale „niezbędnymi” pracami. „Obiecałem Gummiemu, że pomogę mu przy letnim domu”, słyszałam w zeszłym tygodniu Guđjóna przez ścianę. Na Islandii nie ma najwyraźniej takiego piekła małżeńskiego, w którym nie dałoby się czegoś dobudować.

Brakuje im zajęcia, tym dzisiejszym facetom, którzy nie wypływają na połów ani nie muszą przekraczać wpraw lodowcowych strumieni, aż rozbolą ich kości. Zawsze szcycimy się tym, że na Islandii nie ma bezrobocia, ale pomijamy przy tym skrzętnie fakt, że większość dzisiejszych „miejsc pracy” tak naprawdę z pracą nie ma nic wspólnego. Wątpię, żeby poza rybakami i obcokrajowcami ktoś wykonywał w tym kraju rzeczywistą pracę. Reszta siedzi na naradach, telekonferencjach albo obja się na najdłuższych w świecie przerwach na kawę.

Nie jestem dość ważna, żebym mogła obejrzeć rodzinnego jeepa na własne oczy, ale jego dźwięk jest potężny, a Lóa mówi, że jest biały i jego opony sięgają jej do pępka.

- GPS się to nazywa. Global Positioning System - tłumaczy Guđjón, nalewając sobie alkoholu.

- Tak, tak, znam to, w języku bardziej zrozumiałym: nawigacja satelitarna - powiedziała i umoczyłam usta w koniaku.

- Aha? No dobra. W każdym razie kiedy się ma to w aucie, człowiek zawsze wie, gdzie się znajduje. Mogłabyś nawet śledzić mnie w komputerze. Zobacz, kiedy wejdiesz na tę stronę, otwiera się mapa i tutaj jest ten punkt.

Mężczyźni są tak niesłychanie prosto skonstruowani. Kiedy tracą orientację w rzeczywistości, kupują sobie nawigację.

W sobotni poranek słyszę przez ścianę, jak Guđjón otwiera bramę garażu, po czym zaczyna grzebać w swoich rupieciach, aż w końcu rusza w góry. Prawie w każdy weekend jedzie na jeden z lodowców, parkuje gdzieś w jakiejś szczelinie i siorbie kawę. Musi być tylko wystarczająco daleko od jego żony.

Ci terenowi kierowcy najwyraźniej nie czują się dobrze, zanim nie znajdą się na

całkowitym pustkowiu. Może gdzieś tam na płaskowyżu, w jaskiniach trzymają swoje drugie żony, grubo okutane i bardzo atrakcyjne kobiety z Ukrytego Ludu, które jakoś sobie wypełniają tydzień, by w weekend zapalić w jaskini przytulny ogień. Jedna z moich przyjaciółek kiedyś mnie przekonywała, że w kraju tak małym jak Islandia zdrady małżeńskie są praktycznie niemożliwe. Za każdą firanką, w każdej szparze drzwi stoi jakaś rozplotkowana baba. Ja sądzę, że to kwestia odpowiedniej organizacji. Przynajmniej mnie udało się przez dwa lata utrzymać mojego Borisa w tajemnicy, ale on miał odpowiednią pracę, był kelnerem w hotelu Saga i wychodził z budynku tylko raz w miesiącu, żeby zanieść swoją wypłatę do banku. Był moim elfem w hotelowej skale i nigdy nie miał na sobie za dużo odzieży.

W pewien sposób współczuję Guðjónowi, bo właściwie nie bardzo można z Dorą rozmawiać, mimo jej iście maratońskiej gadatliwości. Należy do kobiet, które przez cały rok są opalone na brązowo, używają różowej szminki i sprawiają wrażenie, jakby nie miały nic wspólnego z Islandią, choć tutaj się urodziły, i pomijając czternaście urlopów wielkanocnych na Kanarach, nigdy nie były w innym kraju.

Dora ciągle wisi na telefonie i gromadzi wielkie ilości nowinek, które, jeszcze ciepłe, przynosi mi do garażu. „Wyobraź sobie, obudziła się u tego typu w mieszkaniu i na dole miała wszystko wygolone. Pomyśl tylko! A powiedziała mi to jej siostra, która jest ze mną w zarządzie Związku Hodowców Psów”.

Dzięki jakimś ciemnym siłom dysponuje dostępem do wszystkich wydarzeń w tym kraju, zna kobietę z recepcji firmy, która właśnie przechodzi kontrolę, zna też kochankę prezesa innej firmy i zawsze, ale to zawsze chodziła do szkoły z tą czy inną, które z nowym psem albo z rakiem pokazują się na okładkach pism. Wystarczy tylko rzucić jej jakieś hasło: „adopeja”, „Dorrit”, „Björgólfowie”, a ona na każdy temat potrafi klepać przez trzy kwadransy, nie dając mi dojść do słowa, choć jej największą pasją są i zawsze będą przepisy kulinarne i urodziny; na ten temat zawsze może nawijać mi pół godziny, a przecież doskonale wie, że nie zaczę się zajmować świątecznymi wypiekami.

Najgorzej było, jak zeszłej wiosny była na „macierzyńskim”, kiedy urodziło im się osiem szczeniąt i przez miesiąc siedziała w domu.

Czasem nawet udaje mi się równocześnie załatwić coś na Yahoo (jako wyszukiwarka jest tysiąc razy lepszy niż Google), podczas gdy ona u mnie siedzi, ale muszę przyznać, że zawsze czekam, aż sobie pójdzie, choć staram się oczywiście tego nie okazywać po tym wszystkim, co dla mnie zrobiła. To mi przypomina, że nie mogę uskarżać się na samotność i nie mam prawa do dodatku rozrywkowego, który wywalczyło sobie wielu przykutych do

łóżka. We Włoszech natomiast nauczyłam się, że *parlare troppo* może zostać uznane za wystarczający powód do rozwodu.

18

HÓTEL ÍSLAND

1928

Moim ojcem był Hans Henrik Björnsson, pierworodny syn Sveinna i Georgii Björnssonów, późniejszej pary prezydenckiej w Bessastaðir. Urodził się w 1908 roku, czyli był cztery lata młodszy niż moja matka, Guðrún Marsibil Salbjörg Salómonsdóttir. Ona zaś była córką wspomnianej już Verbjörg Jónsdóttir ze Stanglej i jej towarzysza z łodzi Salómóna Ketilssona z Hergilsey, który utonął w czasie wielkiego sztormu w 1927 roku.

Mamę nazywano zwykle Maszą. Otrzymała imiona na cześć trzech sióstr, które babka bardzo szanowała. Mogę powiedzieć, że w mojej mamie te siostry tak się połączyły, że powstała z nich jedna dobra. Potrójnie dobra. Bo jeśli babcia była dobra i dobra, to mama była dobra i dobra i dobra. Potem pojawiłam się ja i ani jeden raz nie byłam dobra. W jakiś sposób zanikła u mnie ta breiðafjordzka poczciwość, ta wyspiarska dobroć i ofiarność. Jestem złą matką i jeszcze gorszą babką.

Mama i tata poznali się podobno na wieczorku tanecznym w Hótel Ísland. A może też pijani w sztok wpadli na siebie w wąskiej uliczce Skuggasundu i zaraz gdzieś za śmietnikiem zerwali z siebie ubrania. Co my możemy wiedzieć o tym, skąd się wzięliśmy na świecie?

Masza była „szykowną panią” z wysp na zachodzie, mieszkała na stacji u niejakiej pani Höpfner na Hafnarstræti 5. Tata jeszcze chodził do gimnazjum i był nieśmiało spoglądającym bladym prymusem, dzieckiem z dobrego domu, wychowanym na południowym brzegu Tjörnin, miejskiego jeziora, w drugim pod względem elegancji domu w mieście, który zbudował pradziadek Björn, minister spraw wewnętrznych nr 2, ale sam mieszkał w nim tylko krótko. Dziadek i babka rezydowali już w tym czasie w Kopenhadze jako ambasador z małżonką, a tata został w tym wielkim domu sam, tylko z pomocą kuchenną Mangą i ciotką Beą, która miała pilnować chłopca i potem czyniła sobie straszne wyrzuty z powodu tego, co zaszło. Wcześniej ściągnięto ją do domu ze szkół w Kopenhadze, żeby swojemu bratu, ministrowi, pomagała organizować przyjęcia. Najlepszym przyjacielem taty był Benni Thors z domu obok, Fríkirkjuvegur 11, był to najwytworniejszy adres w kraju. Jego ojciec był najbogatszym człowiekiem na wyspie, a brat został później premierem.

Jak mogło dojść do tego, że chłopiec z takiego środowiska dał się złapać służącej z zachodu, która została poczęta w otwartej łodzi wiosłowej przy lodowcu, a ponadto była

kobietą z przeszłością? Całe cztery lata starszą od niego. Powołać mnie do życia to był przecież nie lada wyczyn. Ale Pan w ten sposób zarzucił swoje sieci i liny, że mój ojciec najpierw schlał się do nieprzytomności z braćmi Thors w piwnicy przy Fríkirkjuvegur, a potem razem potoczyli się na bal do hotelu Ísland, który wtedy znajdował się na rogu Aðal - i Austurstræti. Po drodze obrzucali kamieniami kaczkę i wykrzykiwali najnowszy szlagier *I scream for Icecream* prosto w twarz policji, jadącej z naprzeciwka od Vonarstræti. W tym czasie na Hafnarstræti mama przygotowywała się do wyjścia i chichotała razem ze swoją przyjaciółką Albertíną. Była to dziewczyna o szerokiej twarzy, córka nauczyciela ze Stykkishólmur.

Kiedy dotarli do centrum, tata musiał się oczywiście wysikać i tak długo siedział w ubikacji, aż mama zdążyła też przybyć do hotelu. W toalecie porozmawiał z urzędnikiem Eimskípu, który zapytał o jego ojca Sveinna, niegdyś armatora.

- Zdolny człowiek, twój tata, bardzo zdolny i pracowity. Co tam u niego słychać? Czy nie nudzi się na tej ambasadorskiej posadzie? Całkiem sam w służbie Islandii. A ty? Dlaczego nie jesteś za granicą?

- Muszę najpierw skończyć szkołę. A jesienią pójdę na uniwersytet. Chcą, żebym studiował prawo islandzkie.

Kiedy tata wreszcie opuścił męską ubikację hotelu, jego spojrzenie padło na młodą kobietę, która wraz z przyjaciółką usiadła przy jednym ze stolików: promienna piękność ze Svefneyjar, o silnych przedramionach i mocnych brwiach, z trzema wielbicielami za plecami i jednym przy barze. Natychmiast odwróciła głowę, kiedy tata przechodził obok. Jej ciemnoczerwona szminka wżarła się w jego duszę, wraz z jej czarnymi brwiami i błękitnymi oczami, które były jasne jak otoczaki. Skórę miała białą, w dodatku wszędzie była tak samo biała jak płomień pomiędzy tymi tajemniczymi wysepkami. Mój ojciec nie znał się na kobietach, później zresztą też nie, ale w tamtej chwili, kiedy tylko spojrzał w te oczy z Breiðafjörður, ogarnęło go, wraz z lekkim paraliżem okolicy serca, fascynujące poczucie ciepła i bezpieczeństwa.

Mama spojrzała na swoją przyjaciółkę, przewróciła oczami i obie się zaśmiały: typowy chłoptaş z Reykjavíku.

Dwa kieliszki później on przeszedł przez parkiet z maślanym spojrzeniem, lawirując jak pijany młody łosoś w ławicy śledzi, i zatrzymał się przed ich stolikiem. (Wtedy obie przyjaciółki siedziały już przy stoliku bliżej orkiestry! Skrzeczę z jajników mojej matki). Zatrzymał się chwycenie przed nimi i rozpoczął kretyńskie przedstawienie: trzymając ręce wyciągnięte na boki, podniósł prawą nogę, wysunął prawe ramię do przodu i gęgał, jakby był

gęsią, która chce sikać po psiemu. Powtórzył tę sztukę trzy razy. Mama wobec tego zidiocenia wykazała się typowo islandzką wyrozumiałością i przyznała mu trzy uśmiechy na pięć możliwych. (Żadna kobieta nie oprze się facetowi, który robi z siebie błazna. Jest to jednoznaczne wyznaczenie miłości). Przesiadła się jedno krzesło dalej i to w samą porę, zanim niewidzialny piorun trafił mojego ojca w tył głowy i rzucił go na miejsce, które właśnie się zwolniło.

- Jak masz na imię? - zapytał wilgotnymi ustami.

- Co? (Orkiestra grała akurat polkę).

- Jak się nazywasz?

- Guðrún Marsibil.

Mama spojrzała na swoją przyjaciółkę siedzącą naprzeciwko, z jej czarnymi, kręconymi włosami i zbyt szeroką twarzą.

- Guðrún Marsibil.

Mama znów spojrzała na Bertę. Ta ubawiona dalej siedziała po swojej stronie stołu, ze swoim mocnym podbródkiem i małymi oczami, między które zmieściłaby się cała dłoń.

- Guðrún Marsibil - przedrzeźniał ją po pijacku chłopak, potem westchnął ciężko jak długodystansowiec, który po całym dniu biegu wreszcie dotarł do celu i wyczerpany pada na ziemię. - Guðrún Marsibil.

- A ty?

- Co?

- A jak ty się nazywasz? (Lekkie szyderstwo w głosie).

- Ja? Nazywam się Jan Flemming Pedersen Havtroj.

- Co? Jesteś Duńczykiem?

- Jestem zasranym Duńczykiem i nie mogę się tego pozbyć!

Palcami lewej dłoni ścisnął skórę na prawym nadgarstku, naciągnął ją jak gumę do żucia i znów puścił. Powtórzył to jeszcze raz, potem zaczął się tłuc prawą ręką po głowie, w końcu sam sobie wymierzył policzek. - Po prostu nie mogę. Ech, głupi, dumny, tępy Duńczyk!

- Ale świetnie mówisz po islandzku.

- Przyszłaś tu z kimś?

- Tak.

- A gdzie on jest?

- Tam.

- Gdzie?

- Tam.

Wskazała niewysokiego faceta o wielkiej głowie, który ze śmiertelnie poważną miną chwiejnie niósł butelkę wina i trzy kieliszki.

- Ten z tym czołem?

- Tak. (Śmiech).

- A jak on się nazywa?

- Alli.

- Alli?

- Tak, Aðalsteinn.

- Aðalsteinn?

- Tak. Albo po prostu Steinn.

- Albo po prostu Steinn. Czy on nie mógłby się zdecydować? Gdybym ja był twoim chłopakiem... Twoje oczy są jak dwa kamyki. Jak kamyki.

- Tak?

- Możesz mi je dać?

Mówił bardzo niewyraźnie. Mamrotał po pijacku, czub jego włosów nad czołem nieustannie podskakiwał.

- Dać?

- Tak, czy możesz mi je dać?

I wtedy nastąpiło coś niewiarygodnego, co można wytłumaczyć jedynie tym, że los zgubił oczko.

- Tak, tak.

Niski mężczyzna z wielką głową dotarł już do stolika i postawił na nim butelkę z kieliszkami. To mogło być hiszpańskie wino. Powiedział coś, czego nikt nie zrozumiał, i usiadł naprzeciwko mamy. Jego poważne oczy pod wypukłym czołem były jak dwie chatki ubogich pod wypiętrzoną ścianą skalną.

Napełnił kieliszki. To do niego nie pasowało, sprawiał wrażenie, jakby po raz pierwszy w życiu stawiał komuś wino.

- Alli, pozwól, że ci przedstawię, to jest Jan... ehm, Flemming, prawda? Naprawdę masz na imię Jan? Nie, na pewno nie. Przecież jesteś Islandczykiem.

- To jest Björnsson, z najlepszego towarzystwa - mężczyzna z wielkim czołem odezwał się zaskakująco mocnym i niskim głosem. Wydobywał się z jego chudego ciała jak stalowa lina włoku z małego kutra rybackiego.

- Co, ty go znasz? - zapytała mama.

- Myślałem, że jako chowane pod kloszem pisklęta znad Tjörnin nie możecie się

upijać.

To zabrzmiało tak, jakby góra przemówiła poprzez krzyki pijackiej kolonii.

- Co? - zdumiał się tata i z uśmiechem błogości obmacywał oczami dwa kamyki na stole, które mama właśnie mu podarowała. Aðalsteinn nie zaszczylił go nawet spojrzeniem, tylko uniósł swój kieliszek:

- Skál!

Mama i Berta stuknęły się z nim swoimi kieliszkami.

- A więc tu jesteś! Chłopie, siedzisz przy jednym stole z bolszewikami!

Benni Thors i jego brat Hilmar zatrzymali się przy stoliku, po czym stali tak pewnie i niewzruszenie, ze świadomością własnej przewagi.

- I znów się okazało, że nie potrafisz pić. Po pijaku trzeba iść w górę, a nie lecieć w dół, jak mawia nasz brat Rikki. Wstawaj! Idziemy.

- Nie wiedziałem, że duńskie armatorskie księżątka mogą opuszczać pałacowe ogrody - rzucił Aðalsteinn.

- Idź, chłopcze, napisz lepiej książkę - odparł Benni.

Tak się czasami mówiło, kiedy poeci zbyt często zaglądali do kieliszka i każdą ich książkę postrzegało się jako kolejny milowy krok w zapomnienie.

- Dobra, napiszę książkę i potem zobaczymy, kto zajdzie wysoko, a kto spadnie na dół. Świat o was zapomni, kiedy tylko opadnie wieko trumny - odpowiedział facet z czołem.

Benni Thors chciał dać temu niepublikowanemu pisarzowi po gębie, ale jego brat Hilmar przytrzymał mu dłonie. Aðalsteinn zwrócił się do taty i znów zagrzmiął swoim głosem z gór:

- Zaraza na obydwie wasze domy!

Długo musieliśmy się zmagać z tą klątwą Steinna Steinara, największego islandzkiego poety dwudziestego wieku, który posłużył się tu ostatnimi słowami Merkucja z Szekspirowskiego *Romea i Julii*, a jeśli chodzi o rodzinę Thorsów, w niektórych gałęziach rodu klątwa nie straciła ważności aż do dzisiaj.

Bracia Thors ściągnęli tatę z krzesła i powlekli ze sobą. Na parkiecie tańczono, przy stolikach rozmawiano i flirtowano, na ścianach wisiały tanie obrazy, a przy barze mężczyźni. Wszystko było naznaczone przez Tu i Teraz, wszyscy robili miny w duchu czasów, październik 1928 roku, i nikt nie wiedział, co go czeka za drzwiami.

Tata Hansi trafił potem ze swoimi kumplami do dzielnicy Þingholt. Ktoś im powiedział, że tam na ulicy Bergstaðstræti jest jakiś nocny zlot.

Party odbywało się w mieszkaniu na mansardzie, które było o wiele za małe, bo

kolejka chętnych ciągnęła się po schodach aż na ulicę. Młodzi mężczyźni w kapeluszach stali na stopniach i kłębili się na chodniku, jak to mieli w zwyczaju. Jesienny wieczór był ciepły i spokojny, a ich głosy odbijały się echem w bezlistnych ogrodach. Bracia Thors spotkali kogoś i mój tata został sam na szutrowej ulicy, z rękami w kieszeniach, wysoki i chudy, pijany, jak młodzi ludzie w Reykjavíku w każdej epoce, i myślał o dziewczynie z Breiðafjörður, która podarowała mu dwa piękne otoczaki. Bawił się nimi w kieszeni, aż słychać było delikatny stukot, kiedy uderzały o siebie, podczas gdy nieznany jeszcze szerzej poeta po raz ostatni odprowadzał swoją dziewczynę do domu. Tak, na pewno tak musiało być. Mama przyznała tacie pierwszeństwo przed Steinem Steinarem, wołała syna ambasadora - i za to została dotkliwie ukarana, gdyż po raz kolejny sprawdziła się stara mądrość, że porzucenie poety mści się boleśnie.

19

SIEDEM SEKUND

1929

Święta Bożego Narodzenia 1928 roku Hansi spędził ze swoimi rodzicami i rodzeństwem w Kopenhadze. Dziedzic nazwiska z przyjemnością wyrwał się z nocnego życia Reykjavíku (które wtedy było nie mniej szalone niż w późniejszym okresie), mógł spokojnie chodzić do łóżka przed północą i dopiero koło południa budzić się na zapach gorącej czekolady, którą braciom Björnsson przygotowywała Helle, poczciwa Helle, duńska kucharka islandzkiej pary dyplomatów na Stockholmsgade. Młodszy bracia taty, Sveinn i Henrik, mieszkali jeszcze z rodzicami i chodzili w Danii do gimnazjum. Nieustannie wymyślali jakieś figle, ale radość w oczach najstarszego zmroziła pierwsza jesień młodzięcych szaleństw.

Wraz z tradycyjnymi potrawami z Islandii ojciec dostał list, napisany na poddaszu przy Hafnarstræti 5. Po Nowym Roku dwudziestoletni blondas złożył wizytę w gabinecie ojca (w owych czasach możni swoich krajów mieli biura we własnych czterech ścianach, choć przypominały one raczej wyłożone boazerią kaplice, w których oddawano cześć liczbom i telefonom) i przyznał mu się do pewnego zdarzenia, do którego doszło na Islandii z początkiem zimy, zdarzenia - czy wypadku, jak należałoby raczej powiedzieć, w każdym razie czegoś, co miało swoją wagę, zresztą z biegiem czasu miała ona jeszcze wzrosnąć. Wymienił imię dziewczyny i zakończył swoją zawiłą przemowę okrężnym ruchem palca wskazującego prawej dłoni, który przypuszczalnie miał obrazować krąg życia. Dziadek Sveinn zdjął okulary i wsunął kciuki za pasek spodni.

- Rozumiem. A z jakiej rodziny ona pochodzi?

I w tym miejscu sprawa przybrała zły obrót. Choć było to pierwsze pytanie, jakiego wszyscy ojcowie Islandii od zasiedlenia wyspy zadają swoim synom, mój tata zupełnie nie był na to przygotowany. Naprawdę nie poświęcił tej kwestii ani jednej myśli. Pamiętał zaledwie, że młoda dama była córką Salómóna, a jej matka staruszka mieszkała na jakiejś wyspie.

- Ehm... tego nie wiem.

- Nie wiesz?

- Nie.

Po tych słowach ambasador popadł w milczenie. Nie odzywał się wystarczająco długo, żeby syn nabrał przekonania, iż w biały dzień zaprosił swojego ojca w jego własnym gabinecie do najbliższego charlestona, jak ten, którego tańczył tamtej nocy, kiedy zostałam poczęta, z ową nieszczęsną kobietą z wysp, która na domiar złego miała na imię Masza. Równie dobrze mogłaby się nazywać Wiedźma. Jego ojciec natomiast pojechał niegdyś aż do Kopenhagi, żeby znaleźć odpowiednią żonę - nosiła godne imię Georgia - a teraz, jako pierwszy reprezentant swojego kraju, siedział na Stockholmsgade w wysokim na prawie cztery metry mieszkaniu pełnym mebli w szlifowanym lakierze. Z całą pewnością owa dziewczyna z tej nędznej wyspy wychowała się w krytym darnią domku z torfu z dwuspadowym dachem, w groteskowo biednym trawiastym wybrzuszeniu z rurą od pieca zamiast komina. Cała ta chata pomieściłaby się w ich frontowej jadalni, nawet nie trzeba by było podwieszać wyżej kryształowego żyrandola. Nie. Jednak. Nie. To było straszne. Tata Hansi był zły potem, kiedy tak siedział przed swoim nadal pogrążonym w milczeniu ojcem. Ten westchnął, wydał z siebie budzące szacunek prychnięcie. Potem jego ekscelencja ambasador milczał jeszcze przez całe siedem sekund, aż w końcu powiedział:

- No cóż, mój drogi synu...

Nie, ty masz być dobrym ojcem. Nawet o tym nie myśl! To jest tylko... to nic, to tylko dziecko, tylko małe życie. Ja...

Tata wstał i wyszedł z pokoju przez niewłaściwe drzwi, wylądował w garderobie swojego ojca. Spoglądały na niego wyprasowane koszule z krochmalonymi kołnierzykami, białe jak Islandia, a za nimi słynny frak, zdobiony wypustkami, który dla dziadka Sveinna zaprojektowała ciotka Sigga, żeby mógł w nim wystąpić przed angielskim królem, uszyty u Warrotha w Londynie. Czerwony jak pomidor Hans Henrik wrócił do pokoju i wydukał:

- Nie, to... z tego nic nie będzie - a potem znalazł właściwe drzwi.

„Z tego nic nie będzie”. Te słowa rozstrzygnęły o moim wodowaniu.

Potem nadeszły trudne miesiące w życiu młodego człowieka. Wrócił do Reykjavíku i

zaczął prowadzić podwójne życie pełne kłamstewek, aż na wiosnę wybiła godzina pożegnania, czas zdrady, kiedy tata wystarczająco długo milczał, żeby mama zrozumiała.

Ze spuszczoną głową weszła na pokład statku żeglugi przybrzeżnej „Móna”. Wieczne słońce padało na łzy młodego mężczyzny, który wracał do miasta. W oddali, na rozległej, lśniącej od słońca zatoce widział powoli malejący statek, a jeszcze dalej, nad łańcuchem górskim przesuwało się kilka chmur, jak znaki dymne z wysp, które gdzieś tam leżały uśpione.

Z tego, co słyszałam, mama nigdy nie opowiadała o tym szoku, ale jako pięćmiesięczny mieszkaniec jej ciała oczywiście wiedziałam o wszystkim. I dlatego od tamtego czasu musiałam regularnie poddawać się terapii, nie, to nieprawda: teraz zmyślam, wredna stara jędma na krzywych łapach.

No i wróciła, jak wszystkie matki przed nią: w widocznej ciąży stanęła na pomoście przy domu, w którym potem przez całe lato nosiła mnie pod fartuchem, aż wsadzono ją na statek do Ísafjörður, gdzie miała wydać mnie na świat. Nie skłamię, jeśli powiem, że miesiąc później urodziłam się wkurzona w domu jej dziadków, prababki Ingi-björg i pradziadka Ketila na Mánagata w Ísafjörður, gdzie wściekła jak diabli z powodu rozczarowania, jakiego byłam powodem, wrzeszczałam wniebogłosy i wszystkim tym draniom życzyłam kryzysu i ogólnoświatowego krachu. Co zresztą spełniło się dwadzieścia dni później, kiedy na zachodzie za morzem i fjordami nastąpiło słynne tąpnięcie.

Tej samej jesieni mój ojciec został zapisany na wydział prawa na uniwersytecie. Następne lato spędził w Vejle u wujka babci Georgii, który miał niewielką aptekę z tysiącem szufladek. Wysłany tam w celu kontynuowania terapii ojciec miał się uczyć od wuja duńskiej księgowości i sztuki zdobywania wytwornych panien.

20

ZA SIÓDMYM LATEM

1929

Kto nie ma żadnych wspomnień o swojej matce, ten miał dobrą matkę. Ja nie pamiętam mojej matki z naszych wspólnych lat na Svefneyjar, tych pierwszych siedmiu lat i zim. A przecież przeważnie spałyśmy nawet w jednym łóżku. Nikt nie pamięta czegoś, co zdaje się oczywiste, a właśnie to jest najlepsze ze wszystkiego.

W odosobnieniu na najdalszym krańcu świata doświadczałam czegoś, co mi potem zabrały europejskie metropolie: ciepła i poczucia bezpieczeństwa. Moje wczesne dzieciństwo wyglądało jak przedłużenie ciąży: mama była wokół mnie zawsze i wszędzie. Przez siedem

lat nigdzie nie wyjeżdżałyśmy, całe siedem lat na Svefneyjar.

To był nasz wspólny, mój i mojej mamy, skarb, który schowałyśmy za siódmym latem na Svefneyjar. Nikt nie mógł nam go odebrać, cokolwiek się potem miało zdarzyć. Kiedy zbliża się śmierć, także dzieciństwo znów jest w zasięgu ręki, a gdy moja dusza oderwie się od kości, mama będzie oczywiście na mnie czekała. Znużona życiem zwinę się w jej łonie i znów poczuję dawne ciepło macicy.

Och, bądź pozdrowiona, kochana mamo!

Na początku wojny straciłyśmy się z oczu i ja uznałam, że to była jej wina. Po wojnie zostałyśmy rozdzielone przez dorosłą kobietę. Brakowało mi tej bliskości z mamą, a równocześnie chciałam ją bronić przed sobą. Nie byłam już córeczką mamusi, tylko małą kobietką tatusia. Wojna zbliżyła mnie do niego i potem doszło do tego, że po kapitulacji pojechałam z nim do Ameryki Południowej. W ten sposób powstało uczucie, które zasadniczo kształtowało mój stosunek wobec matki: wina. Mama była *lepszym* człowiekiem niż ja, bardziej *ważnym*, można było na niej *polegać*. Poza tym nie zadbałam o to, żeby „do czegoś w życiu dojść”. Przez setki lat ludzie tacy jak ona żyli w niedostatku, z dala od szkół, książek i biurek. W tym tysiącleciu byłam pierwszą osobą z rodziny mającą szansę na wykształcenie, ale poszłam w świat, nie zrealizowawszy marzenia, którego moja mama musiała sobie odmówić. Trzy razy prosiła mnie, żebym to dobrze przemyślała. Może szkoła handlowa lepiej by mi odpowiadała, albo szkoła gospodarstwa domowego. Popatrz tylko, jaka Vigdís jest pracowita! Nawet pojechała do Francji, na uniwersytet. W końcu dałam się przekonać, przez trzy tygodnie chodziłam na kurs sekretarek i nauczyłam się pisanie na maszynie, z której to umiejętności korzystałam potem przez całe życie, aż do dzisiaj. Za sprawą tej dobrej kobiety!

Próbuję sobie wyobrazić, jak musiała się czuć moja matka, kiedy wróciła na zachód. Była piękną dwudziestopięcioletnią kobietą, która w rozkwicie swoich lat musiała godzić się na małżeństwo z małą dziewczynką, tkwiąc na samotnej wyspie, ciężko pracując, na mrozie i pod gołym niebem, bez mężczyzny. Wiosna za wiosną, święta za świętami. O czym mogła wtedy myśleć?

Co prawda rola taty była jeszcze gorsza, gdyż życie jest tak pomyślane, że jak mawiają starzy ludzie, każdy sweter ma prawą i lewą stronę, dobrą i złą. W każdym czynie tkwi jego przeciwieństwo: choć bolesne jest przeżyć rozczarowanie, jeszcze bardziej boli, kiedy to my musimy kogoś rozczarować. Najpierw cierpimy, kiedy zrywa się nić zaufania, ale potem pojawia się uczucie wolności. Ten, kto zerwał tę nić, uważa się wprawdzie za wolnego, ale ona owija mu się wokół szyi i się stopniowo zaciska. Bardzo powoli. Znam to.

Czasami szczęście pojawia się tylko raz i biada temu, kto wtedy rzuci karty na stół.

Obojętne, czego tata próbował, nic mu nie wychodziło. Na studiach prawniczych poległ, przed szafkami pełnymi medykamentów mdlał z wyczerpania, ćwiczył chwyt na skrzypcach i już nie trafiał w ton. Kto się zgubi w lesie, szuka właściwej drogi, ale kto siebie samego zgubi, tego już żadna droga nie interesuje.

W swojej bezradności zajął się w końcu interesem, z którego nigdy nic nie wyszło: sprowadzaniem z Niemiec spinaczy do bielizny (nadal wstyd mi o tym opowiadać). Skończyło się to tym, że jego samego o mało nie powiesili jak mokrego prania, kiedy w decydującym momencie pomylił stan konta ze stanikiem. Równie dobrze można było go zamknąć na siedem lat w jakiejś szafie. Tylko stracił kawałek życia.

Oni to potrafią, ci krawaciarze: zakonserwować swoją miłość i po siemiu latach znów wyjąć ją ze słoika, całkowicie nietkniętą, może tylko lekko kwaśną w smaku. No ale nie chcę tu nic mówić, oczywiście mama całkiem nieźle się bawiła na balach we Flatey z facetami w ciężkich trzewikach i na pewno zdarzało jej się, że na dworze pod ścianą zbliżyła się nieco bardziej z jednym czy drugim, ale chyba nic ponadto. Nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek nas odwiedzał na wyspie, żeby ktoś całował moją matkę, choć z drugiej strony prawie jej nie pamiętam z tamtego okresu.

Za to wszystkich pozostałych pamiętam dobrze. Babcię Verę, jej trzy przyjaciółki Gunny, parobka Landiego, Sveinki Romantika, gospodarzy Eysteinna i Línę, jej córkę Sigurlaug oraz jej troje dzieci. Ach tak, i jeszcze starą Fjólę, matkę Eysteinna, która była jeszcze starsza niż moja babcia, ale nigdy nie wypływała w morze i tylko chodząc po domu, kiwała się w przód i w tył jak przy wiosłowaniu.

Poza tym pamiętam oczywiście tatę. Kiedy znów się pojawił, jak anioł z morza z ułożonym na mokro przedziałkiem.

21

ŻNIWIARKA

1936

To było w lecie 1936 roku. W pewien srebrzyście pogodny dzień w połowie sierpnia - kiedy letnie dni nabierają barw, chmury ciężkie od upału wiszą nad leniwie pluskającym morzem, a góry w swojej gamie odcieni sprawiają niemal europejskie wrażenie, są ciemne i aksamitne, dojrzałe jak winogrona - pewien jasnowłosy mężczyzna przepłynął przez fjord.

- Na statku z Flatey przez cały czas stałem. Po prostu nie mogłem usiąść - opowiadał mi później tata.

Zaraz po zejściu na ląd minął siedmioletnią dziewczynkę, która z ciekawości przyszła

na brzeg popatrzeć, zupełnie nie zwracając na nią uwagi. Znalazł swoją Maszę wśród świeżo skoszonej trawy, gdzie z zapalem wymachiwała grabiami: ciemnowłosa jak wtedy, pięknooka jak wtedy, czarująca jak wtedy.

Podniosła na niego oczy i grabie na chwilę znieruchomiały w jej dłoni, a potem znów zajęła się sianem, jakby nic się nie stało. Szurała głośno grabiami i choć nie było widać słońca, jej nagie przedramiona były wyraźnie naznaczone latem. Zbrązowiałe przy pracy, jędrne ciało z wierzchu, od spodu zaś miękkie i białe, przypominające pstrąga. Na ten widok on zapragnął - jestem tego tak pewna jak swojej znajomości mężczyzn, gdyż z tak wieloma z nich dzieliłam życie, jak istnienia Świętego Mikołaja - pocałować brązową skórę i wgryźć się w tę białą.

- Witaj - powiedział tata. - Czy jeszcze mnie pamiętasz?

Dalej grabiła z zapalem.

- Nie. Kim jesteś?

- Hans. Hansi. Ty...

- Hans Henrik Björnsson? Myślałam, że on dawno umarł. I to przy porodzie.

- Maszo. Ja... teraz tu jestem.

Znów grabie zatrzymały się na chwilę, a ona spojrzała mu w oczy.

- Deszczu się spodziewałam prędzej niż ciebie.

- Maszo, wybacz.

- Przyjechałeś, żeby się tu mazać? - zapytała chłodno i zaczęła pracować jeszcze szybciej. Miała na sobie szaroniebieską roboczą bluzkę bez rękawów, a jej gruczoły potowe pod pachami nie próżnowały. Ciemne półksiężycy wyglądały jak wzór na materiale.

- Czego chcesz?

- Ciebie.

- Mnie?

Mama odstawiła grabie i zaczęła się śmiać.

- Tak, Maszo. Ja... ja mam...

Znów urwał, a mama grzebała w stercie siana, która leżała między nimi, ciągnąc się przez łąkę niczym żółknąca granica między miłością i nienawiścią. Nieopodal pracowali Sveinki Romantik i Rósa o wielkich piersiach, oboje także z grabiami w dłoniach. Rósa zajęła pozycję za jednym ze stogów, żeby móc obserwować przybysza.

- To dla mnie też było... ale teraz jestem... - tata nadal próbował włożyć swoje myśli pomiędzy pauzy.

Mama patrzyła na niego i czekała, co jeszcze zamierza powiedzieć.

Spróbował jeszcze raz:

- Teraz już wiem...

Kiedy nic więcej nie padło, poddała się i stwierdziła:

- Twoje ręce lepiej mi się teraz przydadzą. Idź do szopy i przynieś sobie grabie!

Tata opowiadał mi potem, że nigdy z większym zaangażowaniem nie brał się do pracy niż wtedy, nawet w okopach nad Dniestrem i Donem. Przez cały dzień i cały tydzień zasuwał przy sianokosach dla chłopca ze Svefneyjar, prawie wszystko załatwił sam. Pamiętam jeszcze, jak go podziwiałam, kiedy wrzucał siano do stodoły, aż jego białe mięśnie ramion lśniły.

Oczywiście otaczała go aura pewnej obcości. Tata wyglądał świetnie, wyjątkowo szlachetnie prezentował się z profilu, jak wytworny ptak, ze swoim prostym nosem i wypukłą klatką piersiową. W odróżnieniu od mieszkańców wyspy chodził zawsze wyprostowany, wyglądał wtedy jak prawdziwy *aptekarz*, zresztą mama tak później go nazywała. Białe jak papier pośród tych wszystkich ogorzałych twarzy, które zasiadały u Líny przy stole nad parującym mięsem foki i opaloną płetwą. Dopiero potem jego twarz nabrała koloru czerwonego wina. Mama wytłumaczyła mi, że ten pan to mój ojciec, ale przez pierwsze dni poświęcał mi niewiele uwagi, z nią też dużo nie rozmawiał.

Odgrywał rolę biednego chłopskiego syna, który musi przejść siedem prób, zanim król będzie mógł oddać mu rękę królowej.

Wreszcie doczekał się, kiedy zaproponowała mu, żeby popłynęli razem na „piękne południe”, jak to się mówi w Breiðafjörður, a tam znaleźli swoją wyspę miłości, której nie dało się dojrzeć przez żadną lornetkę.

We wrześniu wyjechaliśmy do miasta, tata, mama i ja. Przez całą drogę gapiłam się na tego mężczyznę w kapeluszu. Z kolejnej zimy spędzonej w Reykjavíku nie pamiętam niczego, tylko tyle, że chodziłam do Szkoły Ísaka Jónssona i tam zwracałam uwagę swoją knąbrnością i przemądrzałymi odpowiedziami.

- Umiesz czytać?

- Tylko z jaj rybitwy.

Na wiosnę przeprowadziliśmy się do Niemiec. Tata odnalazł nie tylko miłość, ale też siebie samego, zamknął definitywnie swoje skrypty prawnicze, za to otworzył inne: zapisał się na nordystykę na uniwersytecie w Lubece.

Wbrew swoim obawom mama została przyjaźnie przyjęta przez teściów. Wprawdzie pierwszy ambasador Islandii i jego duńska małżonka mieli wobec pierwotnego wielkie oczekiwania, ale w gruncie rzeczy byli miłymi ludźmi. Fakt, że mój ojciec odrzucił dziewczynę ze wsi, nie był wynikiem ich bezpośrednich czy sugerowanych żądań. To on sam

sobie ubzdurał, że dziadek Sveinn mógłby być przeciwny temu związkowi, i to wyłącznie z powodu kilku sekund milczenia.

22

ISLANDZKA TRADYCJA MILCZENIA

2009

W owym czasie milczenie stanowiło jeden z filarów nośnych islandzkiej kultury. Ludzie o wiele lepiej umieli interpretować milczenie, niż stawiać pytania. Myśleli nawet, że można przemilczeć całe życie, albo wyobrażali sobie, że niektórzy takie właśnie poczynili założenia. To zrozumiałe, gdyż wtedy dopiero co wyszliśmy z tysiąca lat milczącej egzystencji na wodzie i na lądzie, a przy tak ciężkiej harówce słowa są zbędne. Z tego właśnie powodu język islandzki wcale się nie zmienił przez tysiąc lat: prawie nigdy go nie używaliśmy.

Ludzie też spotykali się raczej rzadko. Jedynym przeказnikiem języka były rymowane sagi, czytanie na głos budujących pism i listów. Po islandzku więcej się pisało, niż mówiło. Dopiero kiedy zaczęliśmy się uczyć języków obcych, odkryliśmy, że język nadaje się też do czegoś oprócz czytania, pisania i składania rymów. Z tego rozwinął się nasz sztywny język potoczny, nieco formalny i trąący biurkiem z powodu swojego pochodzenia oraz zimnokrwisty i szorstki, bo przez wieki trzymaliśmy go w chłodni.

Słyszałam kiedyś, że wielkie islandzkie milczenie powstało wskutek paktu zawartego dawno temu z pozostałymi krajami nordyckimi: oni zostawiali nas w spokoju, a my za to przechowywaliśmy język, który oni coraz bardziej gubili, im mocniej próbowali się podlizywać na niemieckich i francuskich dworach. Tego, co przechowujemy dla innych, sami nie tykamy. Tylko że oni złamali umowę i to tak dalece, że szybko staliśmy się ich kolonią. Po tym jak przechowaliśmy dla nich język - olśniewająco czysty i praktycznie nieużywany - oni teraz go nie chcą i żądają, żebyśmy posługiwali się ich rozwodnioną mieszanką tego skarbu, który dla nich zachowaliśmy, *łaciny Północy*.

Tak więc my, Islandczycy, mamy w ustach skarb. Ten fakt wywarł na nas przypuszczalnie większy wpływ niż cokolwiek innego. W każdym razie nie „marnujemy” słów na darmo. Nasz problem z językiem islandzkim polega głównie na tym, że jest on za duży dla tak małego narodu. Z artykułów naukowych w internecie wyczytałam, że obejmuje sześćset tysięcy słów i ponad pięć milionów form. Język jest więc zdecydowanie obszerniejszy niż naród.

Inne narody zachowują świątynie i naczynia, my czegoś takiego nie posiadamy, mamy

tylko sagi i miary wierszowe, z których ciągle korzystamy. Dlatego kiedy tylko zaczynamy mówić, stajemy się archaiczni.

Niemiecki to dla mnie język niewyszukany, w końcu Niemcy używają go jak rzemieślnicy młotka, żeby budować domy dla swoich myśli, nawet jeśli nie wychodzą one zbyt piękne. Poza rosyjskim najpiękniejszym językiem świata jest dla mnie włoski, z każdego mówiącego potrafi zrobić imperatora. Francuski to przedziwny sos, który każdy Francuz chce jak najdłużej zatrzymać w ustach, dlatego też czasem mówi w kółko to samo, jakby chciał przeżuć ponownie, co prowadzi do tego, że sos kapie mu z kącików ust. Duński to język, którego sami Duńczycy się wstydzą, i chcą go jak najszybciej wyrzucić z siebie, dlatego słowa właściwie wypływają. Holenderski wchłonął w całości dwa inne języki. Szwedzki jest dla mnie francuskim Północy, Szwedzi podobnie go przeżuwają, mlaskając z zapalem. Norweski powstaje, kiedy cały naród postanawia, że będzie się starał *nie* mówić po duńsku. Angielski to już nie jest język, tylko coś uniwersalnego, jak tlen czy światło słoneczne. Hiszpański to zadziwiający potomek łaciny, który powstał w ten sposób, że cały naród cierpiał z powodu problemów językowych jękającego się króla. Ale jest to język, który najlepiej opanowałam.

Hołdując najlepszej islandzkiej tradycji milczenia, mój ojciec przez siedem lat zachowywał się tak, jakby mnie i mojej matki nie było. Przez siedem lat próbował nas przemilczeć, bo dziadek milczał o siedem sekund za długo. Ale w ciszy najlepiej słyszy się własne serce. Więc po siedmiu latach pukania w piersiach tata wreszcie podszedł do zamkniętych drzwi i otworzył je na wszystko, co się za nimi kryło. Wydawało mu się, że w ten sposób dokonał bohaterskiego czynu, przełamując „dominację ojców”, jak to się ostatnio nazywa. I nikt nie odbierał mu tego złudzenia, gdyż dziadek i babcia nigdy nie sprzeciwiliby się małżeństwu swojego pierworodnego, a wręcz się ucieszyli, kiedy się w końcu zdobył na poślubienie matki swojego dziecka, ale o tym też woleli milczeć.

23

SKAGEN

1937

Zamiast ćwiczyć chodzenie na obcasach czy zgłębiać menu w herbaciarniach, moja matka spędziła siedem decydujących lat na filetowaniu ryb, zabijaniu i patroszeniu fok. Ale potem w niewiarygodnym tempie przyswoiła sobie sposób bycia damy, gdy tylko stanęła na pokładzie parowca, choć początkowo miała trochę problemów z obcasami.

- Do licha, musiałam wyglądać jak krowa w baletkach, kiedy twój ojciec poprowadził

mnie pierwszy raz przez lśniący parkiet w Havhus. - Tak się nazywał należący do rodziny letni dom w Skagen na najdalszym krańcu Jutlandii. Najprawdopodobniej chodziło o lato 1937 roku. Prawie słyszę stukot obcasów nienaganej Maszy. Widzę, jak ją mierzą wzrokiem, babcia Georgia i jej wytworne przyjaciółki z najlepszych rodzin - niczym bezlitosne recenzentki mody. Ale nigdy nie musiałam się wstydzić za moją mamę, szybko opanowała sztukę poruszania się na obcasach, zresztą nie była wcale prostą wiejską dziewczuchą, przecież przedtem zdążyła już być kochanką znanego poety.

Więcej się dla niej zmieniło poprzedniej jesieni, kiedy z wysp wyjechaliśmy do Reykjavíku:

- Najtrudniej mi przychodziło iść do łóżka bez wydojenia krów. Całymi tygodniami ręce mnie bolały od nicnierobienia. A w Skagen miałam problemy, żeby korzystać z lata, nie wykorzystując do niczego letnich dni. Całymi dniami świeciło słońce, a ja nawet nie miałam możliwości wziąć do ręki grabi. Niewiele pomogło, że twoja babcia pozwoliła mi pobielić stajnię.

Starsza pani przyjęła ją życzliwie, choć nigdy nie przemogła się, żeby nazywać ją Maszą, tylko skrzeczała za nią po pokojach „Massebill!”, jak niemiecka dyrektorka szkoły, podczas gdy ja byłam dla niej zawsze „małą pszczołką”. Jednak od niej mama też się czegoś nauczyła, gdyż nabrała takiej samej klasy i duchowej siły, jaką dysponowała Georgia, dzięki której mogła przetrwać wszystko, co się jej zdarzało. W końcu mama wszędzie czuła się jak u siebie, obojętnie, gdzie się znalazła, czyli stała się prawdziwą obywatelką świata. Podobnie jak babka moja mama też traktowała wszystkich z szacunkiem, islandzkiego biedaka tak samo jak niemieckich arystokratów.

Jako dziecko nie mogłam nie zauważyć, że moi rodzice byli w sobie zakochani jak nigdy przedtem. A płomień miłości, który nie wygasł przez siedem lat, utrzyma się też przez lat siedem razy siedem. Długo im tego zazdrościłam, przy moim szybkim przerobie złamanych serc.

24

LONE BANG

1937

W Havhus w Skagen pierwszy raz widziałam sławną Lone Bang. Była spokrewniona z moją rodziną i w owym czasie w Danii i na Islandii uznawano ją za śpiewaczkę światowej sławy, gdyż występowała w większości miast na kontynencie. Szczególną popularnością cieszyła się w Niemczech, ale kiedy zdecydowanie odmówiła występu przed Führerem, jej

kariera w Rzeszy oczywiście się zakończyła. Lone była związana z nami na różne sposoby. Jako siostrzenica babci Georgii, poza tym urodziła się na Islandii. Jej ojciec, Mogens Bang, miał na początku wieku praktykę lekarską w Reykjavíku i Lone do dwunastego roku życia mieszkała w Kvos, póki jej rodzina nie przeniosła się do Nykøbing na Falster. Mówiła więc płynnie po islandzku, choć czasem używała nieco dziwnych wyrażen. Kiedy dziadek Sveinn w 1920 roku został mianowany ambasadorem, babcia z dziadkiem zaproponowali jej, żeby zamieszkała u nich na czas nauki śpiewu w Królewskiej Akademii Muzycznej. Dwudziestoletnia wówczas Lone wprowadziła się więc do domu swojej czterdziestoletniej ciotki i jej męża, doskonale dogadywała się też z ich dziećmi. Potem wyjechała na studia do Paryża. Przystwoiła sobie pieśni ludowe najróżniejszych krajów świata, śpiewała w siedemnastu językach, w mowie posługiwała się siedmioma. Do śmierci dziadka bywała częstym gościem w rodzinie. Zawsze mówił na nią Lóa - siewka złota, czyli ptak, którego śpiew obwieszcza początek wiosny.

Lone była nadzwyczaj imponującą postacią. Jej twarz miała taki sam wymiar jak jej głos, kości policzkowe sterczały w górę jak jej włosy, wielki nos miał interesujący kształt, często mówiono o jej „żydostwie”, choć wiele razy słyszałam, jak wyrażała ubolewanie, że nie ma w sobie ani kropli żydowskiej krwi. Uwielbiała żydowską kulturę i wykonywała wiele pieśni po hebrajsku i w jidysz. Dlatego nigdy nie mogła wybaczyć mojemu ojcu, że zadawał się z nazistami.

W lipcu 1937 roku w ciepły letni wieczór zasiedliśmy w Havhus do stołu. Wśród gości znajdowali się znany aktor Poul Reumert i jego żona Anna Borg. Mieli letni dom w sąsiedztwie i byli zaprzyjaźnieni z dziadkiem i babcią. Z tamtego wieczoru nie pamiętam zbyt dużo, oprócz stukotu obcasów mojej mamy i muzykowania po jedzeniu. Reumert usiadł przy fortepianie, żeby akompaniować ciotce Lone, która w prostej czarnej sukni stanęła obok, z brodą zadartą do góry jak jej włosy. Zapowiedziała piosenki po duńsku, przybliżyła nieco ich historię. W moich wspomnieniach jej głos jest tak samo niezwykle jak jej twarz, może nie tyle piękny, ile wyjątkowo czysty i pełen emocji. Na koniec wykonała pieśń islandzką:

Litlu börnin leika sér,liggja mónum í,Þau liggja þar í skorningum og hlæja hí, hí, hí...W samym środku oklasków dziadek zerwał się z miejsca, rozpromieniony podszedł do śpiewaczki, ujął jej dłoń i ucałował, mówiąc po islandzku:

- Przyleciała nasza Lóa!

Była to piękna, nieco podkręcona alkoholem chwila, a zaróżowiona od słońca rodzina była zjednoczona w radości, nad białymi koszulami o podwiniętych rękawach ich twarze lśniły jak rumiane jabłuszka. Pierwszy raz siedziałam w ich objęciach i był to zarazem ostatni

raz, kiedy były całe i kompletne.

25

PARALIŻ FÜHRERA

1937

Mój ojciec miał „fioła na punkcie broni”, tak powiedziała babcia Vera, i wkrótce to miało się sprawdzić. Po sposobie, w jaki zabierał się do pracy przy sianie, rozpoznała coś, czego inni nie widzieli - bezwzględne traktowanie samego siebie połączone z przekonaniem o własnym rychłym końcu.

Mój ojciec wstąpił do nazistów i był jednym z niewielu Islandczyków, którzy na wojnie walczyli po niemieckiej stronie, oraz jedynym, który z bronią w ręku znalazł się w Rosji. Ja twierdzę, że dał się raczej zwieść mundurom niż czemuś innemu. Jego dziadek był pierwszym ministrem do spraw Islandii, a jego ojciec pierwszym ambasadorem kraju. Obaj mieli w swoich szafach uniformy z wypustkami i sztywne kapelusze z pękiem piór. Tymczasem mój ojciec był jak najdalszy od wszelkich wypustek i lampasów, choć udało mu się prowadzić w Kopenhadze firmę importową, przez czternaście miesięcy. Przygoda ta skończyła się nagle i niespodziewanie w pewnym kilońskim burdelu. Pozbawiony skrupułów kolega wykradł mu kwity i listy przewozowe wraz z portfelem, więc mój ojciec przez dwa dni był więźniem panienek lekkich obyczajów, aż wkroczył do akcji islandzki ambasador i dzięki pieniądzom za nocne uciechy oraz siedemnastu tysiącom spinaczy do bielizny dla wielkiego zakładu pralniczego wyratował go z opresji.

Kilka tygodni później ojciec zameldował się w Breiðafjörður na sianokosy i wiosną następnego roku wyjechał do Niemiec, żeby poszukać sobie uniwersytetu. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że jako trzydziestoletni człowiek w dniu 5 maja 1937 roku znalazł się na terenie stoczni Blohm & Voss w Hamburgu i po raz pierwszy zobaczył tam Małego Hjaltego, który zaszczycił swoją obecnością uroczysty chrzest i wodowanie „Wilhelma Gustloff’a”, największego parowca wycieczkowego świata. (Tata, jak również inni Islandczycy w Niemczech przed wojną, zawsze mówił o Hitlerze Hjaltem, a kiedy pojawiły się słynne książeczki dla dzieci o Hjaltem, ja, na złość ojcu, zaczęłam go nazywać Małym Hjaltem). Tata często opowiadał o tym wydarzeniu. Widok Führera najwyraźniej odcisnął piętno na jego duszy. Już w tamtych czasach wydział nordystyki uniwersytetu w Lubece przekształcił się w coś w rodzaju instytucji legitymizującej narodowy socjalizm: jego korzenie można znaleźć w nordyckiej mitologii i w islandzkich sagach, a realizację ich wizji stanowili piękni jasnowłosi ludzie zaludniający Północ. Tata okazał się więc podatną

jednostką w niewłaściwym miejscu i czasie, wiking o blond włosach, władający językiem niemieckim z aryjskim akcentem, ponadto legitymował się znakomitym pochodzeniem. Na dwadzieścia minut przed rozpoczęciem wojny psy gończe Himmlera podjęły trop i odkryły, że pan Björnsson był nie tylko arcy-Aryjczykiem, ale też synem najwyższego urzędnika swojego kraju - świetny łup. Zaoferowali mu góry złota i szary mundur z runami zwycięstwa na kołnierzyku: SS.

Hans Henrik Björnsson zapadł mocno na coś, co niektórzy nazywają „paralizem Führera”, inni zaś „kultem gwiazd”. Symptomy tego zjawiska są jednoznaczne. W obecności Führera albo gwiazdy filmowej chory staje się bezwolny i traci zdolność mówienia. Rozum mu się wyłącza, a twarz przybiera psi wyraz, z wywieszonym językiem włącznie.

Pod tym względem jestem nieodrodną córką swojego ojca, z tym że moja potrzeba uwielbiana koncentrowała się raczej na artystach niż na ludziach władzy. Nie sprawiało mi najmniejszych problemów omotywanie przyjaciół dziadka, jak Vilhjálmur Þór, który przez jakiś czas był szefem dyplomacji, albo Ólaf Thors czy norweski król Olaf. A z drugiej strony przez cały dzień, drżąc z przejęcia, wyczekiwałam w Bessastaðir na przybycie Marleny Dietrich. Mój niemiecki był tak dobry, że mogłam w tym języku pisać wiersze, ale kiedy jako siedemnastolatka zostałam przedstawiona tej legendzie kina, nie byłam w stanie wykrztusić słowa, tylko bełkotałam coś nieskładnie po duńsku. Nigdy nie widziałam piękniejszej kobiety (może poza księżną Grace Kelly), zresztą ona i babcia zaskakująco dobrze się dogadywały.

To samo powtórzyło się, kiedy byłam z Bobem w Brukseli na koncercie Cheta Bakera i potem poszliśmy z nim do knajpy. Bob bardzo sprawnie umiał stosować *name dropping*, co otwierało mu wszystkie drzwi. Miał ponadto tę typową amerykańską cechę, że kiedy spotykał kogoś po raz pierwszy, człowiek ten nabierał od razu przekonania, że musieli się znać co najmniej od przedszkola. Rzucił się na Cheta i przedstawił mnie jako swoją nową wielką miłość, choć nigdy przedtem nie widział go na oczy. Przy tamtej okazji, jak już wspomniałam, też odebrało mi mowę i jak idiotka przywitałam się z jazzmanem po niemiecku. Dla mnie wyglądał jak jeden z barczystych rybaków z kutrów w Stykkishólmur. Nie miał już wtedy zębów, ale z zastygłej lawy jego twarzy wydobywał się głos czystym źródłana woda. „I get along with you very well...” Przez cały czas miałam wrażenie, że sala chciała zrobić zrzutkę, żeby zafundować mu przyjemniejszy uśmiech. Kilka lat później słyszałam jego występ w Tivoli w Kopenhadze, ale wtedy źródło było już zanieczyszczone.

Oczywiście ludzie z paralizem Führera łatwo dają się wciągnąć do grup zwolenników silnych mężczyzn. A przecież mój ojciec z natury zupełnie nie przypominał nazisty. Lubił

ludzi, a jego jedyny przyjaciel, jakiego miał po wojnie w Argentynie, był na wskroś Żydem. Tata poszedł za tą złą ideologią nie dlatego, żeby dzielił jej radykalne założenia, tylko ze słabości, zwiedziony błędnym ognikiem władzy.

Zamiast stać się synem nowej Islandii, opowiedział się po stronie morderców Europy. To był wielki tragizm jego życia, fakt, od którego nigdy już nie zdołał uciec. Jak bezpański pies błąkał się z kraju do kraju, ale obroży ze znakami SS nigdy nie udało mu się pozbyć. Nawet mama nie była w stanie mu jej zdjąć, kiedy znów wzięła go w ramiona. Śmierć też nie okazała się tu bardziej skuteczna. Pamięć o moim ojcu na wieki będzie zakłócana przez błędy, które popełnił jako trzydziestolatek.

Jak błąd mojego ojca mógłby wyjaśnić najlepszy przyjaciel? Większość ludzi wcześniej czy później popełnia mord na swoim ojcu. Niektórzy szczęśliwcy dokonują go sami, inni kogoś w tym celu wynajmują, mój ojciec zaś potrzebował aż całej niemieckiej armii pancerniej, żeby się zemścić za swoje klęski w bitwach w Reykjavíku, Vejle i Kilonii.

Mało co jest tak śmieszne jak zemsta tchórza, ale też niewiele jest straszniejszych rzeczy.

26

ALDON HEATH

2009

Aldon Heath to mężczyzna i mieszka w Australii. Tam akurat nigdy nie byłam. Ale on codziennie wieczorem pisze do mnie to, co dostaję z poranną pocztą. Czytam to później razem z nekrologami i odpisuję, o ile mam ochotę. Przeważnie są to strasznie nudne raporty na temat jego fizyczności. Kiedyś mówiło się, że antypodzi to ludzie, którzy chodzą na głowach. W przypadku Aldona to nawet mogłaby być prawda. Jego myślenie nigdy nie sięga wyżej niż do pasa, zresztą ta granica chyba określa całe jego życie.

Aldon pracuje jako kontroler mięśni w studiu fitness Downtown w Melbourne. Przysłała mi raporty na temat swojego *body* - tak jak Islandczycy piszą o pogodzie.

Wróciłem do domu z trzygodzinnego workoutu z Bodem. Nieźle to potrafi trzepnąć, tak wieczorkiem dać jeszcze trochę czadu. Bod był potem wykończony jak wyciśnięta cytryna, ale po Twoim mailu z zeszłego tygodnia jeszcze bardziej się przykładamy. Potrafię też być wredna.

Dziś wieczorem poszliśmy na całość. 60 minut na rowerku, potem sztanga aż do oporu! Bod machnął 135 kilo na ławce; nie każdy dałby radę. Wyszliśmy jako ostatni, kiedy Jeff się poddał. Jak już pisałem, dwa lata temu wygrał, a w zeszłym roku był drugi za

Hektorem. Bod już dawno zostawił ich w tyle. To zupełnie co innego, kiedy ma się u boku Miss World. Bod nadal pracuje nad masą mięśniową. Aktualne pomiary wyglądają następująco: waga 89, masa 43, ramiona 36, klatka piersiowa 67, talia 45, udo 41. Obiecuję, że jutro będą lepsze. Może zredukuję jaja do 6. LoveAldonMuszę przyznać, że mięśniak posługuje się bardzo świeżym językiem potocznym jak dla kobiety, która uczyła się angielskiego w latach pięćdziesiątych w barach Village. Lóa jest tak miła, że czasem mi tłumaczy, ale też na tyle dyskretna, że nie zadaje pytań.

Każę Lindzie nadal bezlitośnie dręczyć ten pokazowy egzemplarz mężczyzny. Biedaczysko naprawdę jest kompletnie pozbawiony mózgu i mówi o swoim ciele w trzeciej osobie, jakby chodziło o jego psa. „Dałem Bodowi siedem jaj na śniadanie”. „Bod był dzisiaj bardzo dzielny”. „Bod przesyła pozdrowienia”.

Linda przejmuje te brednie i też przekazuje pozdrowienia dla Boda, pisze, że szaleńczo pragnie go poznać i ma nadzieję, że kiedy przyjdzie co do czego, on będzie „in shape”. Ale Miss World stawia równocześnie twarde warunki. Zadaje się tylko ze zwycięzcami. Niedługo odbywają się zawody o Puchar Melbourne w bodybuildingu i nasz człowiek dokłada wszelkich starań. Rozgrzany jak piec wraca wieczorem do domu i smaży sobie jaja sadzone na swoim płaskim brzuchu, a bekon na czole. Potem ładuje się anabolikami i zapija czymś, co nazywa swoim koktajlem proteinowym.

Przyszło mi do głowy, że sama mogłabym tymi sterydami rozbudować trochę swoją „masę mięśniową”, ale Lóa twierdzi, że i tak już jestem drażliwa, ona nie wytrzyma więcej wrzasków i moich morderczych spojrzeń po anabolikach.

Bod jutro zaczyna kurację brązującą. Trzy tygodnie do zawodów i wszystko zgodnie z planem. Po zwycięstwie będziemy dalej wszystko robić tak samo, bo Bod absolutnie musi być w formie, kiedy zjawimy się w Londynie. Zakaz cipek naturalnie nadal obowiązuje. Możesz być pewna. Mięsień Lindy to strefa zakazana. Miss Pétursdóttir obiecała, że zaraz po zawodach spotka się z nim w hotelu Belvedere w Londynie. Igram z ogniem. Gdzieś na pewno jeszcze mam trochę suchej tabaki.

27

TABAKIERA

1953

Moja niemiecka przyjaciółka w Argentynie mówiła „tabakiera” na to, co inni nazywają cipą lub pisią, moja matka zaś nigdy nie określiła tego inaczej niż daktyl. W czasach, kiedy na Islandii daktyli jeszcze nie znano.

Jakkolwiek seks nigdy nie był w naszym kraju czymś wstydliwym. Po prostu się o nim nie mówiło. Na lodowej wyspie pruderyjne nie były nigdy ani skromne ślicznotki, ani wyzwolone lafiryndy.

Moje ciało obudziło się stosunkowo późno, dużo potrzebowałam czasu, aż opanowałam grę na tym intrumencie życia. Dopiero siedem lat po moim pierwszym gwałcie po długich poszukiwaniach dotarłam wreszcie do centrum rozkoszy. A było to w Baires, po wojnie. Mieszkałam wtedy z pewną Niemką ze znanej nazistowskiej rodziny. Twarda z niej była sztuka. Nauczyła mnie wielu rzeczy, w tym jednej bezcennej.

Wydaje mi się, jakbym nadal go słyszała, jej wniebowzięty, opętańczy, nazistowsko-bawarski ton kobiecego wyzwolenia w głosie. Miała na imię Hildegarde, ale chciała, by zwracać się do niej Heidi, twierdziła, że pochodzi ze Szwajcarii i nosiła na szyi krzyż bez pozaginanych ramion.

- Żar tli się w każdej kobiecie. Która nie chciałaby go rozdmuchać, by buchnął płomieniem? Posiadamy do tego odpowiednie narzędzia. Możemy to zrobić całkiem same, mężczyźni nie potrafią się posługiwać tymi narzędziami - twierdziła ta lubieżnica z blond lokami, wypinając piersi w ciasnej, wysokiej kuchni naszego położonego przy bulwarze w Buenos Aires mieszkania, gdzie często przesiadywałyśmy przy otwartym piekarniku, bo stanowił jedyne ogrzewanie, kopałyśmy papierosy jak kominy i pokazywałyśmy sobie majtki. Raz uniosła palec wskazujący i zapytała, jak się nazywa po islandzku.

- Langatöng - powiedziałam i wyjaśniłam jej, co to znaczy po niemiecku.

- Długa pinceta. Właśnie! Albo też zapalka, zapalniczka! - wykrzyknęła i mrugnęła do mnie z taką pasją, że aż podskoczyły piegi na jej twarzy. Jej cera miała ten cudowny złotawy odcień, który w swojej doskonałości wyglądał niemal sztucznie. Zupełnie nieopatrznie wybrała sobie imię. Dla takiej kobiety jak ona Heidi brzmiało jak żart. Choć żartować i śmiać się obie uwielbiałyśmy ponad wszystko, jeszcze jak; dwie młode blondynki u progu życia.

Na ulicy, za naszym kuchennym oknem, mężczyźni trąbili klaksonami, niecierpliwi, miotający przekleństwa zza kierownicy i źle ogoleni, synowie dwudziestego wieku, którzy nigdy nie opanowali sztuki właściwego otwierania kobiety.

Heidi знаła tę tajemną wiedzę. I dzieliła się nią z innymi kobietami. Pokolenie za pokoleniem. Swoją łóżkową edukację odbyła u stóp Andów u kolumbijskiej chłopki od krów, mistrzyni palcówki z lechtaczką wielkości sutka. Ta z kolei w młodych latach nauczyła się owej tajemnej sztuki od pewnej holenderskiej Mulatki podczas żeglugi po rzece. Heidi przekazała ją mnie, a ja potem też uczyłam inne kobiety. Przynajmniej przypominam sobie dwie adeptki: pewną norweską zakonnice, towarzyszkę podróży na statku, którym wracałam

do domu z amerykańskiego wygnania, potem była córka Bæringa Lilja, wielka dzidzia z Bólungarvík, która potem zdecydowała się zostać lesbijką.

Bob, mój Amerykanin, był jedynym mężczyzną, którego udało mi się trochę wtajemniczyć w zawile ścieżki kobiecości. Moi islandzcy Jónowie wykazywali większe zainteresowanie męskimi drzewami rodowymi niż żeńską seksualnością. Facet z Kansas był też jedynym mężczyzną w moim życiu, który wiedział więcej, umiał więcej i chciał więcej ode mnie. Otworzył dla mnie różne źródła rozkoszy, o których dziewczyna z Islandii miała blade pojęcie. Poza tym podarował mi wibrator, cudowną rzecz, chciał mnie potem fotografować przy tym upojnym dziele, ale ja twierdziłam, że nie pozwala na to islandzka ustawa o prezydenturze.

Ameryka, jeśli mogę tak to ująć, była moją erotyczną szkołą, zarówno Północ, jak i Południe. Do tego czasu kładłam się tylko pod chłopakami, nie myśląc nawet o własnych potrzebach, i uznawałam, że te pchnięcia, podrygi i inne wygibasy to raczej kwestia próżności niż cielesności. Przyjemność z tego wypadła raczej blado, ale można się było przynajmniej chwalić, że z tym czy z tamtym było się w łóżku. Dla mnie nie było to nic oprócz gimnastyki horyzontalnej i podskoków, jak to później w swój niepowtarzalny sposób określił Bæring.

Zawsze mówiłam, że normalna kobieta potrzebuje dwudziestu lat, żeby dobrze opanować swoje wyposażenie łóżkowe. Dlatego tak mocno namawiam Lóę, żeby jak najszybciej się do tego zabrała. Ma skończone dwadzieścia lat i już pierwsze oznaki paraliżu oziębłości na twarzy. Po muskulaturze twarzy można nieomylnie rozpoznać, która kobieta jest pracowita w łóżku i ma wtyczkę podłączoną do kontaktu.

Heidi w swoim niedługim życiu zdążyła się już trochę nacierpieć, przede wszystkim przez najbliższą rodzinę, ale pod kierunkiem kolumbijskiej czarodziejki o trzech sutkach nauczyła się wygrywać na swoim instrumencie właściwe tony.

Rodzice Heidi byli znanymi funkcjonariuszami partii nazistowskiej. A jednak udało im się uciec i spędzili resztę życia w małej miejscowości nad Río de la Plata, gdzie pod szwajcarskimi nazwiskami leżą teraz pochowani w katolickiej ziemi. Oczywiście mogłabym ich wydać - adres wyczytałam kiedyś na liście do Heidi - ale byłam tchórzem, poza tym żywiłam dla niej wdzięczność za wszystko, co mi dała: z surowością swojego ojca popychała mnie coraz dalej aż do ostatecznego wielkiego orgazmu.

- Nie możesz się nigdy poddawać! Nigdy! - krzyczała na mnie, kiedy ćwiczyłam całymi dniami u siebie w pokoju.

Po wielu uporczywych próbach wreszcie rozniósł się po mieszkaniu okrzyk zwycięstwa, który oznajmił jej, że dotarłam do celu. Potem już zawsze łatwo odnajduje się tę

drogę. Do tego czasu, intensywnie używając framug drzwi, siodełek rowerowych i kijów od szczotki, miałam tylko nieśmiałą zapowiedź kulminacji, ale pod dowództwem Heidi otworzył się we mnie palący odwiert, tymczasem niestety znów zatkany.

Wreszcie pojęłam, czym jest seks.

To musi być objaw szczególnej niechęci do kobiet ze strony Pana, że my musimy sobie ścierać palce do bólu, żeby osiągnąć najwyższą błogość, podczas gdy mężczyznom wystarczy, że dotkną swojego konara byle patykiem.

Kobieta chyba zawsze musi być trochę nazistką.

28

ZĘBATE KOŁO CZASU

2009

Nie wiem, co się potem stało z Heidi, tak samo jak nie wiem nic o pozostałych siedmiu tysiącach ludzkich żyć, z którymi byłam w kontakcie. Gdzie teraz jest Bob, gdzie jest mój Hartmut Herzfeld, najpiękniejszy mężczyzna na ziemi? Nie, on przecież nie żyje. W internecie czytam, że codziennie na świecie umiera tylu ludzi, ile liczy połowa Islandii. To daje sto osób na minutę albo 1,6 na sekundę. Możemy to nazwać tempem historii ludzkości.

Zębate koło czasu się obraca i przy każdym obrocie miażdży pod sobą setki mrówek, podczas gdy pozostałe usiłują uciec z otwierającej się pod nimi przepaści, te zaś, które są w drodze do góry, próbują „cieszyć się życiem”. Nawet nie zdążą opróżnić swojej lampki szampana, kiedy odkrywają, że znalazły się na części koła zmierzającej w dół.

Tak wygląda nasze życie, życie człowieka na Ziemi, które jakiś geniusz właśnie tak wymyślił, ograniczając je dwoma osławionymi punktami: kołyską i grobem. Życie nie odpuszcza nikomu, może oprócz mnie z moim paraliżem, kiedy daję się nieść na kole czasu w dół aż do samego końca.

29

NA PIĄTYM PIĘTRZE W LUBECE

1940

Tak, tak. Lubeka to piękne miasto, ze swoimi marcepanami, Thomasem Mannem i brukiem na ulicach. Największą wadą Lubeki jest to, że w każdym z mieszkańców tkwi kupiec. Wszystko kręci się wokół drobnych, wokół miedziaków w kieszeni. Po całych dniach ludzie byli zajęci wydawaniem właściwej kwoty reszty. Byłam wtedy dziewięcioletnią dziewczynką, która jeszcze nigdy nie widziała gotówki, oprócz sytuacji kiedy dziadek Sveinn

kupował nam lody w Skagen, ale szybko zauważyłam, że dla Lubečan pieniądze były tym, czym dla nas, Islandczyków, słowa.

Drobne monety nazywały się po niemiecku „Pfennig”, tego słowa nie dało się wypowiedzieć bez skrętu języka. My, Islandczycy, jeszcze mniej otwieramy usta, kiedy wymawiamy nic nieznaczącą nazwę naszej jeszcze mniej znaczącej najmniejszej jednostki płatniczej. Oszczędni ludzie nigdy nie byli na Islandii popularni, wielbiono za to tych, którzy szastali groszem na prawo i lewo.

Tak więc znaleźliśmy się w Lubece jako świeżo połączona trzypersonowa rodzina, w nowym kraju, w nowym mieście, z nową przyszłością. Odkąd dziadek wykupił mojego ojca z niemieckiego aresztu i od odpowiedzialności, młody człowiek nie chciał już przyjmować dalszej pomocy, zwłaszcza finansowej. Dlatego mieszkaliśmy w zwężającym się ku górze ceglany domu - który spokojnie mógłby znaleźć się na kartach *Dzwonu Islandii* - w zimnej klatce na ostatnim piętrze. Idąc na górę, naliczyłam 133 stopnie, a w dół 132.

- W górę jest zawsze dalej niż w dół - stwierdził tata Hansi.

Widok z okna kuchennego robił wrażenie. Schodkowe szczyty kamienic, niemieckie wieże z okresu średniowiecza i rozległy widok: cała Europa. Tata zapisał się na nazistowski wydział i zaczął się specjalizować w hitlerowskich urojeniach i w aryjskiej mitologii. Runy SS trzymały go, jak już mówiłam, mocno za jaja, ale długo udawało mu się utrzymać tę szaloną kochankę w tajemnicy przed żoną. Mama dorastała w Breiðafjörður, gdzie żadne głupstwo nigdy się nie zadomowiło na lądzie, odkąd w 1002 roku przywieziono do Flatey chrześcijaństwo.

Była uosobieniem niewinności.

Ale kiedy nadeszła pierwsza wojenna wiosna, nie dało się dłużej odwlekać poważnej rozmowy. Przypominam sobie tę wymianę zdań w otwartym oknie naszej wąskiej kuchni na strychu w maju 1940 roku. Mama stała w oknie, tata w drzwiach, ja siedziałam pomiędzy nimi przy mikroskopijnym kuchennym stole i od niechcienia kolorowałam flagę Islandii, która godnie jak porzucony latający dywan powiewała nad porzuconym islandzkim gospodarstwem.

Mama: Do niemieckiej armii? Po co? Za kogo... za co chcesz walczyć?

Tata: Będę walczył u boku moich przyjaciół.

Mama: Na litość boską, Hansi! Co Islandczyk ma do szukania na tej wojnie? Czy Islandczycy kiedykolwiek walczyli w jakiejś wojnie?

Tata: Nie, bo dotychczas brakowało nam męstwa.

Mama: Brakowało męstwa? I całe szczęście, tylko tyle powiem.

Tata: Maszo, właśnie dziś rano Islandia znalazła się pod okupacją.

Mama: Co ty mówisz?

Tata: Słyszałem to w południe w radiu u Petera. On odbiera wiadomości z Anglii. BBC.

Mama: Czy to nie jest zakazane?

Tata: Tak, ale on należy do partii, czyli nikt go nie podejrzewa o słuchanie wrogich stacji. Islandia została zajęta dziś rano. Nie padł ani jeden strzał.

Mama: Dzięki Bogu!

Tata: Dzięki Bogu? To tylko pokazuje, jakimi tchórzami są Islandczycy.

Mama: Hansie Henriku, co w ciebie wstąpiło? Przecież nawet Duńczycy nie próbowali się bronić.

Tata: Właśnie, bo zrozumieli, że kapitulacja jest najlepszą obroną.

Mama: Co chcesz przez to powiedzieć?

Tata: To, że znajdują się po właściwej stronie i nie muszą się obawiać wojny we własnym kraju. Mogą spać spokojnie, gdy nad ich głowami będą buczały bomby. Duńczycy są jak ten ptaszek, śnieguła, w zamieci śnieżnej. Bo to nie oni będą celem ataków, tylko Niemcy.

Mama: Sądzisz, że Anglicy nie będą próbowali wyzwolić Danii?

Tata: A po co mieliby to robić? Dania przecież nikogo nie interesuje. Tych kilka chlewików i dwa browary...

Mama: Dlaczego tak mówisz o... ojczyźnie twojej matki? Przecież Duńczycy byli tacy mili dla twojego ojca.

Tata: Mój ojciec nie ma na ich temat żadnych złudzeń, choć ożenił się z Dunką. Wie, że żaden naród nie będzie wyciągał kasztanów z ognia dla jakiegoś innego. Każdy musi myśleć o sobie.

Mama: A czyż Anglicy nie przystąpili do wojny z powodu Polski?

Tata: Anglicy myślą tylko o Londynie. Boją się jedynie tego, że z Dover będzie można oglądać niemiecką Rzeszę.

Mama: Hansi! Nie rozumiem tylko, skąd się bierze ta agresja. Dlaczego Niemcy muszą okupować te wszystkie kraje? Czego oni tam szukają? Przecież nie mogą mieszkać w Polsce czy Norwegii. Czy im się nie podoba u nich w domu? Mają taki piękny kraj.

Tata (szepcem): Maszo, uważaj, co mówisz!

Mama: Jakby ktoś tutaj mógł mnie zrozumieć.

Tata: Wilfried, który mieszka pod nami, jest z mojego instytutu. Płynnie czyta po

islandzku.

Mama (ciszej): Hansi, czy nie widzisz, co to za szaleństwo? Czy on... czy ten człowiek musi...

Tata: Maszo! Psst!

Mama (gorączkowym szeptem): Dlaczego ten człowiek musi panować nad tyloma krajami? Jak powiedziała moja matka: „Czy nie może się przejechać pociągiem, jeśli chce się rozejrzeć po świecie?”. To jest jak... jakby Eysteinn z Svefneyjar nagle wbił sobie do głowy, że wszystkie wyspy w Breiðafjörður muszą należeć do niego. Wtedy nie mógłby pracować w gospodarstwie na swojej wyspie. Przez cały czas musiałby się zajmować utrzymaniem tych innych wysp w swoich rękach. Bo kto ma wszystko, nic z tego nie ma, tak powiedziała moja matka.

Tata: Matka, matka... A co, jeśli ktoś by mu odebrał Grasey i Lyngey? Czy wtedy nie miałyby prawa zdobyć ich z powrotem? Niemcy zostały tak upokorzone w ostatniej wojnie. Mamy prawo...

Mama: Na Boga, Hansi, nie mów „my”!

Tata: A co z Sudetami, Prusami Wschodnimi, Alzacją i Lotaryngią? To wszystko są niemieckie ziemie.

Mama: Tak, i Norwegia, Dania i Islandia też. Czy ty nie widzisz, Hansi, że to nie jest nic innego jak tylko jakaś... koszmarne megalomania?

Tata: Islandia?

Mama: Tak, czy nie mówiłeś, że Islandia została dziś rano zajęta?

Tata: Tak, ale nie przez Niemców.

Mama: Co? A przez kogo w takim razie?

Tata: Przez Anglików. Islandia jest teraz brytyjską kolonią.

Mama: Przez Anglików?

Tutaj rozmowa utknęła na chwilę. Ja dalej kolorowałam islandzką flagę, ale kredka mi się złamała i na niebieskiej powierzchni pojawiły się zadrapania. Nie odważyłam się wyciągnąć ręki po temperówkę, która leżała na kuchennym blacie. Kiedy mocarstwa się kłóca, mały naród nie powinien rzucać się w oczy. Usłyszana wiadomość najwyraźniej przygnębiła mamę.

Tata: Czy teraz rozumiesz, co mówię?

Mama milczała jeszcze chwilę, odwróciła się do zlewu, odkręciła w roztargnieniu kran i patrzyła na lejącą się wodę.

Tata: Nie marnuj wody! Słyszałem, że w lecie może jej zabraknąć.

Wzięła ronderek z długą rączką, napełniła go do połowy, zakręciła kran i odstawiła garnek na kuchenkę, nie zapalając gazu. Potem znów odwróciła się do taty, który w białej koszuli z podwiniętymi rękawami stał w drzwiach i opierał się o framugę łokciem jednej ręki, a jej dłonią odgarniał sobie włosy z czoła.

Mama: I oni... zajęli całą Islandię?

Tata: Tak.

Mama: Wyspy też?

Tata: Wyspy w Breiðafjörður? Sądzę, że tak.

Mama: Ale... ich jest tak dużo.

Wobraziałam sobie, jak dwa tysiące żołnierzy zajmuje dwa tysiące wysp, a potem trzymają na nich straż, każdy osobno na małej skalistej wysepce, wyprostowani jak struny, z karabinem na ramieniu.

Taka była pierwsza myśl mamy, jej umysł kształtował się w wietrznej przestrzeni nad rozległym fiordem. Tam mieszkaliśmy w naszym całkiem oderwanym świecie, który bynajmniej nie zawsze był częścią Islandii. Podobno jakiś chłop z tamtych okolic miał powiedzieć, że na wyspach jest pięknie, gorsze są tylko te duńskie góry dookoła. A kiedy Islandia w 1944 roku wreszcie uzyskała niepodległość, babcia skwitowała to następująco: „No, to teraz może trochę z nimi pohandlujemy”. Długo żyła jako obywatelka Danii pod czerwoną flagą z białym krzyżem, choć nigdy nie uznała tego faktu. Czyż nie jest wolny człowiek, który siebie samego postrzega jako wolnego? Wydaje mi się, że to będzie rola dla nas, Islandczyków, na przyszłe stulecia, kiedy zagraniczne fundusze inwestycyjne przejmą nasz kraj. Musimy sobie *wyobrazić*, że jesteśmy narodem pośród wielu innych. Tak jak to robiliśmy przez wieki. Niewiele narodów żyje tak bardzo w swojej głowie jak Islandczycy. Babcia opowiadała mi raz o Guðrún z Prestbakki, która przeżyła brutalny napad, a potem powiedziała: „Na dole mnie skrzywdzili, ale tu na samej górze nadal jestem nietkniętą dziewczicą”. To zdanie powinno zostać wyhaftowane na islandzkiej fladze.

Mama: Co to teraz znaczy? Że jesteśmy pod okupacją Anglików?

Tata: To znaczy, że Islandia, która należy do Danii, znajdującej się pod okupacją niemiecką, teraz jest podporządkowana Anglii.

Mama: A nie możemy poprosić jeszcze kilku innych krajów, żeby nas okupowały?

Tata popatrzył na podłogę i lekko kopnął we framugę czubkiem buta. Widzę to w duchu, bo wtedy siedziałam przy stole zwrócona do niego plecami, twarzą do okna, i pochylałam się nad moim rysunkiem.

Tata: My jesteśmy jak miedziaki w kieszeniach świata, brudne i wytarte, bo

przeszliśmy przez tyle rąk. Wczoraj duński, dzisiaj niemiecki, jutro angielski. Nie mamy niczego, jesteście niczym, nic nie umiemy. Na zawsze i nieodwołalnie *kaputt*.

Mama (rozmarzona): Ale zawsze pozostaje nam jeszcze wiosna. Ona jest i zawsze będzie islandzka.

Tak czasami rozmawiali ludzie przed wojną i nigdy nie było jasne, czy wzięli to z powieści Laxnessa, czy on gdzieś to podłapał i wykorzystał w książce. Po tych słowach mama się zaśmiała, szczerze i zarazem ze smutkiem.

Dziewczyna z wyspy miała już trzydzieści sześć lat i w kąciach jej oczu pojawiły się zmarszczki życia, a na biodrach słoje jak u drzewa. Przeniesiono ją o 133 schodki wyżej, od ubijania masła w stajni na wyspie na hanzeatycką grzędę z widokiem na kontynent ogarnięty wojną.

Tamtego dnia, 10 maja roku 1940, niemiecka armia na wschodzie stała już przy rosyjskiej granicy, na północy przy kole podbiegunowym, wczesnym rankiem zaczęła szturm na Holandię, a miesiąc później miała defilować w Paryżu pod Łukiem Triumfalnym. Swastyka panoszyła się coraz bardziej i wkrótce wąsik Hjaltaiego zawisł nad całą Europą.

Koncentrowałam się ze wszystkich sił na tym, żeby wydobyć jeszcze trochę islandzkiego błękitu ze złamanej niemieckiej kredki, a kiedy wysilałam się troszkę bardziej, mogłam przez otwarte okno kuchni słyszeć cichy łoskot czołgów zza zielonego lasu na horyzoncie. Widać też było dwie wieże dawnej bramy miejskiej, Holstentor, którą mężczyźni zbudowali w średniowieczu do obrony i dla sławy, a teraz od dawna była ona bezużytecznym instrumentem. Widok piękny, ale pusty, i tak sobie teraz tu w garażu pomyślałam, u kresu mojego zmiennego życia, że historia nie jest niczym innym jak tylko długą jak grzechotnik listą absurdalnych wydarzeń, które nie mają nic wspólnego z życiem, stanowią jedynie jakąś hipertrofię męskiego szaleństwa, które kobiety wszystkich epok muszą potulnie znosić. Adolfiną Hitler byłaby z pewnością wspaniałą pielęgniarką.

Znów wyjrzałam przez okno i zatrzymałam moje dziecięce spojrzenie na tych pokrytych grynszpanem nieustających średniowiecznych erekcjach, kiedy z ulicy w dole doleciał mnie pełen podniecenia okrzyk: „Heil Hitler!”, któremu również odpowiedziało „Heil Hitler!”. Gdzie głupota odbija się echem, mądrość woli przemykać się pod ścianami.

Ile tak naprawdę rozumiałam z tego odległego zgiełku wojny? Oczywiście bardzo niewiele. Uważałam, że Niemcy to fajny kraj, mają ładną flagę, kobiety są wesołe, a mężczyźni pracowici. Potrzeba całego życia, żeby zrozumieć życie. Jesteśmy tak niewiarygodnie głupi, póki *jesteśmy*, i tylko odrobinę mądrzejsi, kiedy *byliśmy*.

Dlatego radzę wszystkim kobietom: biegnijcie w te pędy kupić koce i konserwy, kiedy

słyszycie, jak jakiś mężczyzna mówi, że żyjemy w historycznych czasach.

Rozmowa moich rodziców jeszcze się nie zakończyła.

Matka (zapytała jeszcze raz): Co to znaczy, że teraz okupują nas Anglicy?

Tata: To znaczy, że jesteśmy po niewłaściwej stronie.

Mama: Ależ Hansi... - Westchnęła i zaczęła ponownie: - Czy ty naprawdę w to wszystko wierzysz?

W naszej małej kuchni zapadło milczenie. Dzwony na kościele Świętego Jakuba wybiły ósmą, na niebie zaczął malować się ciemniejszy błękit zmierzchu. W końcu ojciec odpowiedział, w zamyśleniu wpatrując się w gołą żarówkę pod sufitem. Rzucił ciche i beznamiętne: Tak.

Mama: Jesteś pewien? Pewien, że...

Hans Henrik oderwał się wreszcie od framugi drzwi, wszedł do środka kuchni, oparł obydwie dłonie na blacie, zwiesił głowę i najpierw mówił do drewnianej powierzchni, potem do ściany, aż w końcu do swoich piersi.

Tata: Narodowy socjalizm to dobry ruch. Ruch trzymania się razem i solidarności. Tu wszyscy się angażują, żeby odbudować cały kraj, cały naród i wkrótce cały kontynent. To ruch na rzecz wspólnej pracy, dla odbudowy i przyszłości, dokładne przeciwieństwo komunizmu, który może zaoferować jedynie niewolę i poniżenie, rewolucję i krew. Tutaj wszystko kroczy naprzód i wkrótce wszyscy znów będą mieli pracę. - Spojrzał na mamę stojącą przy zlewie. - Nie rozumiesz, Maszo, że tutaj powstaje całkiem nowy świat? Żyjemy w historycznych czasach.

Mama: Ale twój ojciec mówi...

Tata: Mój ojciec to człowiek starej daty, duński parobek!

Mama: No więc czy teraz nie jest parobkiem Niemców? Jak możesz być przeciwny duńskiemu panowaniu kolonialnemu na Islandii, jeśli wychwalasz niemieckich kolonizatorów w Danii?

Tata (przez zaciśnięte zęby): Bo ci cholerni Duńczycy na to zasłużyli.

Mama: Hansi, skąd w tobie ten fanatyzm?

Tata: Wybacz! Ale przecież jest tak, że... że kiedy buduje się nowy świat, wtedy narodowości już nie mają znaczenia. Wizje nie znają granic.

Mama: Ale granice rozpoznają wizje, kiedy te rozjeżdżają je czołgami.

Moja matka potrafiła być bardzo mądrą i przenikliwą kobietą. Oczywiście bardzo trudno jest mi przytaczać tę rozmowę, równocześnie słysząc w pamięci, jak z mojego ojca wylewają się potoki głupoty. Mógłby bez problemu zrobić doktorat z dziedziny języków

nordyckich, gdyby nie był taki głupi. Kochany tato, dlaczego nie posłuchałeś swojego ojca? Dziadek Sveinn od samego początku przejrzał nazistów, w końcu musiał odbywać długie posiedzenia z tymi typami, dla których usiąść i rozmawiać to była oznaka słabości, oni woleli krzyczeć. Dziadek już wołał Anglików.

Teraz ciemny błękit, jaki znamy z naszych nocy sierpniowych, zajął całe niebo tego wielkoniemieckiego majowego wieczoru.

Tata: Maszo, ty... ty tego nie rozumiesz. Czasami trzeba po prostu pokazać siłę.

Mama (rzadko dawała wyprowadzić się z równowagi, ale teraz naprawdę się wkurzyła): A ja myślę, że rozumiem lepiej niż... Dlaczego więc ty, Hans Henrik Björnsson, Islandczyk w kwiecie wieku, nie pójdziesz po prostu piętro niżej, nie zapukasz do Jacka i Magdy i... nie, wyłamiesz po prostu ich drzwi, każesz im i ich dzieciom położyć się do łóżek, żeby w tym czasie przetrząsnąć wszystkie szuflady i szafki w poszukiwaniu wartościowych przedmiotów, a potem nie oświadczysz im uroczyście... tak po żołniersku, że ich mieszkanie należy teraz do ciebie. Że Hans Henrik Björnsson jest od teraz prawowitym...

Nie dokończyła tego zdania, bo tata zatrzęsął za sobą drzwi.

Ja: Czy tata naprawdę idzie zająć ich mieszkanie?

30

KOPENHAGA

1940

Tak zaczęła się żołnierska kariera mojego ojca: 132 stopnie w dół w trującą otchłań historii, w której spędził kolejne pięć lat. Odłożył na bok sagi Snorriego i sięgnął po Bismarcka, kiedy zapisał się na Akademię Wojskową w Berlinie. Mama i ja wylądowałyśmy u babci w Kopenhadze. Dziadek tymczasem wrócił na Islandię. Po zajęciu Danii ambasador został odesłany z powrotem, ale Niemcy zmusili go, żeby jechał okrężną drogą: najpierw na południe do Genui i stamtąd statkiem do Nowego Jorku. Tam obudził się w dzień inwazji, zaliczył konieczne wizyty i na pokładzie „Dettifoss” wrócił do Reykjavíku.

W ciągu kilku zaledwie dni wojna rozdzieliła naszą rodzinę. Podczas gdy tata kładł się na spoczynek na twardych niemieckich łóżkach polowych, dziadek znajdował się w objęciach Atlantyku, a o inwazji dowiedział się z „New York Timesa”, babcia zaś, nie mogąc zasnąć, siedziała w swoim ciepłym ambasadorskim łóżku w Kopenhadze i czytała *W czepku urodzonego* Pontoppidana, jak zwykle kiedy miało się wydarzyć coś ważnego. A mama i ja w tym czasie telepałyśmy się w pociągu Deutsche Reichsbahn, który wiozł nas przez duńską granicę. Przyciskałam czoło do zimnej, zaparowanej szyby, żeby nie zasnąć, a w końcu

musiałam się poddać.

Przez cały pierwszy wieczór mama szlochała w objęciach Helle, kucharki, podczas gdy babcia, która z powodu swojej wysokiej pozycji nie mogła się z nikim ścisnąć, siedziała naprzeciwko nich, potrząsając głową z powodu niepojętej decyzji najstarszego syna. Jak on mógł wstąpić do armii, która swoimi buciorami codziennie deptała ojczyznę jego matki? I tak siedziałyśmy, cztery rozczarowane kobiety, którym udało się znaleźć schronienie przed śmiertelnym uderzeniem czasu, i opłakiwałyśmy głupotę mężczyzn.

Rezydencja ambasadora została przeniesiona z placu Ratuszowego na Kalvebod Brygge 2-4, tuż przy Langebro. Z rodzeństwa taty w Kopenhadze został tylko Pute. Mieszkał z babcią. Henrik towarzyszył dziadkowi do Reykjavíku, a Óli i Beta już wcześniej chodzili tam do gimnazjum.

Oczywiście od razu zauważyłam, że radość życia ulotniła się z wesołej Kopenhagi. Na ulicach było spokojnie jak w niedzielę. Restauracje były pozamykane, większość okien zaciemniona, nawet dachy hełmowe wyglądały na wystraszone. Nie było prawie żadnych ofiar, nie wysadzono w powietrze żadnych domów, ale w oczach Duńczyków naród był w ruinie.

Natomiast Islandczycy cieszyli się z okupacji. Kto sam jak palec tkwi latami w jakiejś lodowatej zatoce, godzinę drogi łodzią od najbliższej skrzynki pocztowej, ten cieszy się z każdej wizyty, nawet jeśli gość puka do drzwi kolbą karabinu.

Miałam wrażenie, że okupacja bardziej dotykała duńskich mężczyzn niż kobiety. Mężczyźni brali sobie klęskę bardziej do serca, pomrukując pod nosem, że z radością poszliby nawet na pewną śmierć, gdyby przez to udało im się powstrzymać wejście Niemców do ich płaskiej ojczyzny. „Nawet gdyby to miało wystarczyć tylko na pół godziny”. Jakież to typowo męskie. Wybierają raczej śmierć niż zranioną dumę. Kobiety zachowywały się lepiej, w końcu były przyzwyczajone leżeć pod obcymi.

Mimo wszystko nie jestem pewna, czy metoda Glistrupa (zlikwidować wojsko i zastąpić je automatyczną sekretarką, która mówi: „Poddajemy się”) to rzeczywiście najlepszy sposób obrony dla naszych nieszczęsnych narodów z północnych krain. Lepiej byłoby wystawić armię złożoną z kobiet. Wtedy nigdy nie doszłoby do żadnej inwazji. Gdyż mężczyźni nigdy nie strzelają do kobiet, może tylko do nieuzbrojonych.

Podobnie jak miasto - także siedziba ambasadora straciła blask i zszarzała. Babcia postarzała się o dziesięć lat i już nie rozstawała się z papierosem. Dopiero później zrozumieliśmy, że jej małżeństwo już się rozpadło. W ostatnich latach dziadek dużo podróżował, na rokowania do Malmö czy Madrytu, w celach reprezentacyjnych do Brukseli

czy Berna... Babci nie umknęło, że takie imprezy często kończyły się występem jej siostrzenicy. „Lone nigdy nie śpiewała piękniej niż dzisiaj. Prosiła, żeby Cię pozdrowić. Świetnie jej idzie i ma terminy zajęte na długo naprzód, ale udało mi się ją namówić, żeby w maju zaśpiewała dla nas na mszy w Paryżu”.

31

HITLEROWSKI SALUT W GIPSIE

1940

Z wytwornego mieszkania na Kalvebod Brygge można było podziwiać wspaniałą panoramę Kopenhagi. Babcia opowiadała nam, że w zeszłym miesiącu, 8 kwietnia wieczorem, stała z dziadkiem przy oknie salonu i przyglądała się, jak pod Langebro przepływają rzędy niemieckich frachtowców. Babcia miała nosa do ważnych wydarzeń i od razu się domyśliła, co się tu kroi, gdyż ona i dziadek byli przypuszczalnie jedynymi ludźmi w kraju, którzy wiedzieli, że Niemcy zamierzają zająć Danię. Ambasador Islandii dowiedział się tego podczas rozmów w Londynie. Wielokrotnie próbował szepnąć coś na ten temat wysoko postawionym Duńczykom, ale jedyną reakcją, jaką napotykał, było szorstkie niedowierzanie: „Do tego nigdy nie dojdzie!”.

Wczesnym rankiem 9 kwietnia na niebie ponad królewskim miastem Kopenhaga pojawiło się tysiąc samolotów wojskowych. Dla pierwszego przedstawiciela ludu z torfowych chatek to musiało być mocne wrażenie, kiedy zobaczył, że jego zwierzchnik ugina się przed jeszcze większą potęgą. A jak było w chatach? Och, tam najpierw przez miesiąc panował dobry nastrój; potem przyszli Anglicy i wtedy dopiero zaczęło się prawdziwe *party*.

W połowie czerwca przyjechał ojciec. Podczas ćwiczeń złamał sobie rękę i dostał trzy tygodnie urlopu w domu.

- Wielki Boże, złamałeś sobie swój hitlerowski salut? - zapytała babcia i nie czekając nawet na odpowiedź, zawróciła w sieni i poszła do salonu. Przy tym tak mocno stawiała stopy, że popiół z jej cienkiej cygaretki, którą trzymała do dołu, sypał się na podłogę.

Mama ucałowała tatę w policzek swoimi mocno uszminkowanymi ustami. Nosił ten ślad aż do kolacji, kiedy Helle zapytała go, czy się nie zranił.

To było zabawne, widzieć świeżo upieczonego nazistę, jak traci pewność wobec dwóch kobiet w cywilu. Jego potulne zachowanie nie pasowało wcale do munduru Waffen-SS. Ale w domu chyba wszyscy oficerowie są tylko szeregowymi. Trochę żałośnie to wyglądało, kiedy przed parkiem Tivoli pozdrawiał swoich przełożonych hitlerowskim pozdrowieniem w gipsie.

Mogłam dalej spać na górze z mamą, bo tata nocował na dole w pokoju gościnnym, zgodnie z ideologią: niemiecki żołnierz śpi tylko ze swoją wizją i z ojczyzną.

-... i z Führerem - dodała mama ze śmiechem, siedząc z babcią w kuchni przy szydełkowaniu, plotkach i papierosach. Helle gotowała rosół.

- Kiedy faceci zamiast swoich kobiet kochają innych facetów, to musi być wojna - wymruczała kucharka do swoich garnków.

Tata szybko pojął, że z tą babską armią w domu sobie nie poradzi, więc wołał poświęcać czas mnie. W mojej pamięci są to najpiękniejsze dni, jakie przeżyłam z ojcem. Na ulicy wszyscy nas pozdrawiali, odwiedzaliśmy królewskie pałace i kawiarnie. Jego mundur zapewniał nam zalęknione uśmiechy ze strony wszystkich kelnerów czy szoferów. Często towarzyszyła nam moja przyjaciółka Ása. Była córką radcy norweskiej ambasady i mieszkała na piętrze pod nami, wesola dziewczynka w moim wieku, która właściwie miała na imię Åshild, ale nazywano ją Ásą. Nauczyła mnie gry w ping-ponga i w remika, zapoznała mnie także z Shirley Temple i z jej lokami jak korkociągi. Tata zabrał nas do salonu fryzjerskiego, kazał nam tak samo zakręcić włosy, a w drodze do domu jeszcze śpiewaliśmy i tańczyłyśmy *Animal Crackers in My Soup*. Dzięki towarzystwu taty mogliśmy się śmiać i wygłupiać na ulicy. Babcia nie była zachwycona moją nową fryzurą i następnego dnia, kiedy loki przez noc się nieco przyklepały (zawsze miałam niesforne włosy), palnęła esesmanowi solidne kazanie na temat wyrzucania pieniędzy. Starsza pani z narodu sknerów oczywiście zawsze miała problemy z rozrzutnością Islandczyków.

Ása miała ciemne włosy i zawsze chętnie płała figle, ale była też dobrze wychowana i po skandynawsku powściągliwa. Jej rodzice byli oczywiście quislingowcami, więc nabrała do mnie szacunku, kiedy mój ojciec zjawił się w niemieckim mundurze. Ja sama znajdowałam się gdzieś w środku pomiędzy tatą, mamą i babcią, próbując z każdej strony uzyskać jak największe korzyści:

- Tata nie pozwala mi wziąć cukierka. On jest nazistą!

- Mama nie pozwala mi iść w lakierkach do Tivoli. Ona nie ma pojęcia o narodowym so... socelizmie.

Ása miała roczny bilet do Tivoli. Namówiłam tatę, żeby też mi taki kupił, i potem kazałam mu się wozić po parku rozrywki jak Alicja w Krainie Czarów. Był tam amerykański autodrom, angielskie koleжки strachu i paryski diabelski młyn. Najbardziej niesamowitym uczuciem było wyjść cało z rosyjskiej kolejki górskiej. Potem kryłyśmy się w gabinecie luster, ale wojna i tam nas odnajdywała, wykrzywiała nam twarze, nadymała policzki i zaciskała powieki. Młode damy o imionach wielkich wojowniczek, Åshild i Herbjörg,

wybiegły z krzykiem z wojennego parku zabaw i przed wejściem niemal wpadły prosto w ramiona czterech niemieckich żołnierzy.

Ja: Dlaczego się ich tak bałaś?

Ona: Nie bałam się ich.

Ja: Właśnie że się bałaś! Nic nie powiedziałaś. A ja myślałam, że jesteś po stronie Niemców.

Ona: Nie należy się nigdy uśmiechać do faceta z karabinem, tak mówi mój tata. A dlaczego ty nie trzymasz z Niemcami jak twój tata?

Ja: Moja mama mówi, że całej tej wojnie jest winny tylko jeden człowiek. A jedyna rzecz, jakiej mu brakuje, to miłość.

Ona: Ale przecież my wszyscy go kochamy.

Ja: A jesteś pewna, że ona was też kocha?

Ona: Oczywiście.

Ja: Dziwny sposób okazywania miłości. On przecież tylko ciągle się wydziera.

Ona: Kiedy człowiek bardzo kocha, musi krzyczeć.

Ja: Wydaje mi się, że miłość brzmi inaczej.

Ona: Hitler kocha Niemcy jak swoje własne ramię, mówi mój tata. Jest gotów za nie umrzeć.

Ja: A dlaczego miałby umierać za swoje ramię?

Ona: Co?

Ja: Jeśli poświęcisz się za swoje ramię, to po twojej śmierci zostanie tylko samo ramię. A co można zrobić z pojedynczym ramieniem?

Ona: No wiesz, chciałam tylko powiedzieć, że on jest gotów oddać życie za swój kraj. Czy ty byłąbyś zdolna umrzeć za Islandię?

Ja: Nie.

Ona: Nie? A gdyby twój kraj był w niebezpieczeństwie? Na przykład gdyby miał go pożreć smok?

Ja: Co by to dało mojemu krajowi, gdybym umarła? Kraje nie chcą, żeby ludzie dla nich umierali. One chcą tylko być zostawione w spokoju.

Ona: A jeśli ktoś je zajmie?

Ja: Kraju nie można zająć, jak mówi moja mama.

Ona: Ech, Niemcy zajęli Danię. W dziesięć minut! A Norwegię w dwa tygodnie. Anglicy zajęli was, a... Duńczycy okupowali Islandię przez wiele stuleci.

Ja: No i co z tego? Co to dla nas zmieniło? Czy ja jestem duńska, angielska, czy

islandzka?

Popatrzyła mi w oczy i otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Odpowiedź była przecież oczywista.

32

ŚMIERĆ ŻOŁNIERZA

1940

Potem milczyliśmy przez całą drogę do domu. Rozglądałam się na boki: ludzie, ulica, domy. Można było to dosłownie poczuć: Dania była martwym krajem. Szliśmy wzdłuż bulwaru Andersena i wyraźnie widziałam, że nawet słupy latarni nie mają się dobrze. Samochody toczyły się w martwej ciszy po ulicach. Wiele okien pozasłaniano czarnymi zasłonami, a nad budynkami publicznymi trzepotała swastyka niczym złowieszczy ptak. Nagle odczułam całą grozę okupacji i przeszedł mnie dreszcz lęku. W przeblysku dojrzałości, jako dziesięcioletnia dziewczynka, pojęłam, że moja matka miała całkowitą rację: nie można zająć kraju.

Na klatce schodowej pożegnałam się z Ásą i pobiegłam na górę do naszego mieszkania, które wydało mi się tak wielkie jak cały okręg, ostatni wolny obszar w Danii, islandzka wyspa na morzu wojny, słabo zaludniona i odizolowana.

Byliśmy nawet bardziej izolowani niż ludzie w domu przy Breiðafjörður, bo nawet nie mieliśmy już połączenia telefonicznego z Reykjavíkiem. Ostatnia rozmowa odbyła się między babcią i dziadkiem.

- Chcą zrobić ze mnie coś w rodzaju regenta. To nowo utworzony tymczasowy urząd na okres trwania okupacji.

Potem babcia przekazała słuchawkę tacie i przyszły regent Islandii rozmawiał z przyszłym żołnierzem Hitlera. Widzę go jeszcze, jak stoi w długiej sieni, z jedną stopą na tureckim bieżniku i z wyrazem twarzy zbuntowanego dwunastolatka.

Dziadek: Jak powiadają, mój chłopcze, w sercu ojca, który widzi swojego syna w drodze na pole bitwy, walczą dwa uczucia. - Tu jego głos lekko zadrżał. - Z jednej strony duma, a z drugiej... lęk.

Tata: No i co?

Dziadek: Bardzo mnie to martwi, mój synu... martwi mnie, że w moim sercu czuję tylko to drugie.

Tym, co ostatecznie uchroniło mojego ojca przed śmiercią na polu bitwy, był fakt, że zmarł już wcześniej.

Mężczyzna odznaczający się słabością do mundurów oczywiście przez cały czas miał na sobie swoją szarą polową bluzę z naramiennikami i kołnierzem zdobionym patkami z SS. Babcia często go prosiła, czy wręcz rozkazywała, żeby oszczędził jej tych potworności w domu, ale ojciec powtarzał, że nie może inaczej pokazywać się ludziom.

- Ale dziś wieczorem mamy gości i chciałabym...

- Bardzo mi przykro, mamó, to niemożliwe. Przepisy Trzeciej Rzeszy są w tym względzie bardzo surowe. Poza tym choćby przez ten gips nie mogę tak łatwo się przebrać.

Wieczorem w siódmkę usiedliśmy do stołu, siedmiu krasnoludków ze śnieżnobiałej wyspy, które nie odgrywały w historii żadnej roli, ale oczywiście każdy był swoistym osobnym światem. Tym razem jedli z nami siostra i brat taty: Sveinn, zwany Puti, oraz Anna Catherine, którą w rodzinie nazywano Kylla. Ona była przepiękną kobietą koło trzydziestki, o nieco po męsku surowej, wyrazistej twarzy, on miał dwadzieścia cztery lata i studiował stomatologię, pogodny młody człowiek o policzkach wypełnionych życiem. Kylla wyszła za potomka prominentnej rodziny z Wysp Owczych. Mieszkali w zelandzkiej wsi Dalmose. Na kolacji zjawił się także Jón Krabbe, który po odwołaniu dziadka kierował ambasadą. Był w połowie duńskim Islandczykiem i babcia czasami zapraszała go do domu. Zapamiętałam go właściwie dlatego, że tak bardzo nie rzucał się w oczy, jak to często bywa w przypadku dyplomatów. Przystojny, ale sztywny jak kolek starszy pan koło siedemdziesiątki, prosty nos, białe włosy, figlarne spojrzenie, ale zdecydowany i surowy wyraz ust, do tego lekko odstające uszy. One były jego najsilniejszą bronią w gładkich dyplomatycznych pogawędkach; był człowiekiem, który świetnie umiał słuchać. Gdy miał coś powiedzieć, lekko nachylał głowę, jakby chciał zaznaczyć, że jego słowa nie są ostatecznym stanowiskiem ani jego samego, ani islandzkiego rządu, lecz stanowią materiał do dalszych negocjacji.

Babcia zajęła miejsce u szczytu stołu, nie spuszczać oczu z esesmańskich run, a tata usiadł na przeciwległym końcu. Ja wylądowałam naprzeciwko niego i przez cały czas miałam wrażenie, że siedzimy przy stole negocjacyjnym. Gdyż sytuacja była wysoce skomplikowana.

Babka była wytworną duńską damą, która wyszła za mąż za Islandczyka i gardziła Niemcami. Tata był niemieckim żołnierzem, ożenionym z Islandką, który nienawidził Duńczyków. Jón Krabbe był w połowie islandzkim urzędnikiem, który miał żonę Dunkę i codziennie musiał podporządkowywać się Niemcom. Puti był w połowie duńskim, ale zawsze

optymistycznym Islandczykiem, który marzył o niepodległości Islandii. Kylla była pół Dunką, pół Islandką oraz żoną Farerczyka, który niepodległą Islandię uważał za kompletny absurd. Mama pochodziła z Breiðafjörður i patrzyła na wszystko z morza. Ja zaś byłam dzieckiem rozwojowym.

Nasza poczciwa Helle weszła do salonu i od razu nabrała przekonania, że jej duszona rzepa i pieczeń rzymska musiały być całkowicie nieudane, skoro wszyscy tak zawzięcie milczą. Dlatego zdecydowała się coś nam opowiedzieć:

- Czy ja już kiedyś opowiadałam historię o Ebbe Roe? - Grzecznościowy śmieszek. - Nie? Naprawdę? A więc u nas w okolicy był raz hodowca rzepy, który nazywał się Ebbe Roe. Pewnego dnia wyciągnął olbrzymią rzepę. Była tak ogromna, że wszyscy mu mówili, żeby koniecznie poszedł z nią na wystawę rolniczą do Hobro. Tam Ebbe dostał za swoją rzepę medal i poszedł do gospody, aby to uczcić. Ale wtedy mu tę rzepę ukradli. - Śmiech. - Ebbe szukał jej po całym miasteczku i w końcu znalazł w salonie hazardowym na uboczu. Ktoś postawił rzepę i przegrał. A potem Ebbe Roe... - Śmiech. - Potem, kiedy Ebbe przegrał dom i zagrodę, krowy, żonę i dzieci, buty i szelki, udało mu się w końcu odzyskać rzepę i wyszedł z nią na świtający właśnie poranek. Poczul, że jest głodny, i chciał zjeść kawałek swojej rzepy. Ale okazała się obrzydliwa w smaku. - Głośny śmiech. - Była tak wstrętna, że dał ją jakiejś rodzinie biedaków, których spotkał po drodze. - Śmiech. - Później poszedł, na bosaka, i wlokąc spodnie po ziemi, prosto we wschód słońca... I taka to jest historia z Jutlandii.

Potem nastąpiło pełne skrępowania milczenie, podczas którego mieszkańcy ambasady z wymuszonymi uśmiezkami patrzyli na kucharkę. W pionierskich czasach islandzkiej dyplomacji sami musieli się nauczyć, żeby nie przerywać ludziom nawet wtedy, kiedy za długo gadają, oraz tego, że nie wygłasza się krytycznych uwag na temat obecnych, nawet jeśli chodzi o służbę. Szczyciliśmy się tym, że jesteśmy jedynymi Islandczykami, którzy przyswoili sobie światowe manery.

- Tak, to naprawdę zabawna opowieść - stwierdziła wreszcie babcia i powoli zamknęła oczy. Jej siwe włosy były rozdzielone na środku i tak ułożone, jakby dwa mocne, podcięte skrzydła otulały jej głowę. Posłała kucharce uśmiech lekko zaciśniętymi ustami i skinęła głową, co tamta natychmiast zrozumiała i szybko wycofała się z salonu, rzuciwszy jeszcze zdanie, które ciągnęło się za nią jak smuga dymu: - Mam nadzieję, że nie zepsułam państwu apetytu na moją rzepę. Ha, ha.

- To była typowa duńska historia. Tutaj pod żadnym pozorem nikt nie może się wyróżniać, być lepszy od innych czy dostać wielką wygraną.

- Nigdy nie jest dobrze dostać wielką wygraną - stwierdziła Kylla.

- Za długo mieszkasz w tym kraju - odparł tata.

- A ty myślisz, że to ty jesteś wielkim wygranym, czyż nie? - zapytał Puti i uśmiech wyźłobił jego okrągłe policzki.

- Co masz na myśli? - spytał tata.

- Chyba sam się możesz domyślić. Jesteś przekonany, że dostaniesz kawałek tej wielkiej rzepy, która rośnie i rośnie i wkrótce będzie tak wielka jak cała Europa.

- Czy to znaczy, że porównujesz Trzecią Rzeszę do rzepy? - w głosie taty dała się słyszeć uraza.

- Nie, nie do rzepy, tylko do gigantycznej rzepy - w odpowiedzi jego brat wyszczerzył zęby.

Kylla, która siedziała między tatą a Jónem Krabbe, przesunęła się na krześle do przodu i w skupieniu zaczęła wpatrywać się w jakiś niewidoczny punkt na białym obrusie pomiędzy świecznikami. Wreszcie odezwała się, a jej ułożone w fale włosy, osłaniające twarz z wydatnym podbródkiem, lekko drżały z tłumionej emocji:

- Czy ty to przemyślałeś do końca, Hansi? Co zrobisz, jeśli Hitler przegra wojnę?

Tata zrobił minę jak kogut, który znalazł się w pustym kurniku. Czegoś podobnego jeszcze nigdy nie słyszał.

- Przegra? O czym ty mówisz?

Siostra spojrzała na niego, nie odwracając głowy, i powiedziała:

- Przecież to jest bardzo prawdopodobne. Nikt nie może wygrać wojny, którą prowadzi w pięciu krajach naraz.

- Wtedy po prostu zastawi buty i szelki i odzyska swoją rzepę - wtrącił Puti, starając się rozluźnić nieco napiętą atmosferę.

Nie udało się. Dopiero teraz wszyscy przy stole naprawdę zeszywnieli. Krabbe patrzył to na jednego brata, to na drugiego, nakładając nożem resztki sosu na widelec. Mama już skończyła jeść i teraz wygładzała serwetkę, która leżała na jej szerokim łonie. Puti, siedzący między mamą a mną, wypił wielki łyk czerwonego wina i zwrócił się do babci:

- Czy to przypadkiem nie była jakaś bajka tego... Andersena?

- Nie, to opowieść jutlandzka - wyjaśniła małżonka ambasadora, potrząsając głową, i wbiła widelec w kawałek pieczeni.

- Która teraz stała się opowieścią deutschlandzką - dodał Puti z szelmowskim uśmiechem, po czym dla zilustrowania trzasnął pod stołem obcasami i wyciągnął w górę prawą rękę: - Sieg Heil!

Najmieszniejsze było to, że Puti trzymał rękę tak, jakby była w gipsie, tak samo jak

ramię taty.

Musiałam się roześmiać, mama była w stanie się powstrzymać. Tata rzucił mi spojrzenie zawierające zdumienie i przyganę. Zrobił się purpurowy na twarzy i siedział przy swoim końcu stołu jak burak czerwony w szarej bluzie. Babcia ze zdumieniem spojrzała na swojego Putiego. Jego prowokujący uśmiech potrafił każdego zbić z tropu. Tata nie wiedział, jak ma zareagować. Najpierw odsunął krzesło, jakby zamierzał opuścić towarzystwo, potem się opanował i zamiast tego zaczął mowę pochwalną na cześć Hitlera i narodowego socjalizmu. Dużo nie zdążył powiedzieć, bo babka przerwała mu, przypominając, że niemiecka zwierzchność tu nie sięga, jest wolność słowa i jeśli on chce wygłaszać peany na cześć brunatnych koszul, to czy byłby tak uprzejmy czynić to na balkonie. Potem spojrzała swojemu synowi surowo w oczy i dodała, że nie ma w zwyczaju narzucać swoim dzieciom poglądów politycznych, ale prosi go, żeby przypomniawsobnie, co mówił ojciec po powrocie z wyjazdu do Berlina. Otóż opowiadał on, że nazistowskie Niemcy wyglądały jak społeczeństwo, w którym warstwy najniższe zostały postawione na samym szczycie, gdzie piwiarnia rządziła parlamentem, uniwersytetem i Kościołem.

- Większość poglądów ojca na temat Niemiec pochodzi od... - Tata umilkł, patrząc na swoją matkę, ale potem zaczął jeszcze raz: - Właśnie te wszystkie instytucje zawiodły. Nadszedł czas na nowe, niekonwencjonalne rozwiązania. Czyż ojciec jako regent nie będzie służył Anglikom? Urzędnik zastępuje króla. Czy to nie jest stawianie świata na głowie?

Puti spojrzał zaskoczony na babcię:

- Czy to prawda, mamó? Ojciec zostanie regentem?

Pani Georgia nie odpowiedziała.

- On tego nie zrobi. Tata nigdy nie zdradziłby króla - rzuciła Kylla.

- Zdradził króla? Jakże on może mieć prawa do Islandii, skoro Islandia została zajęta przez Anglików, a on sam przez nas? - zapytał tata z wyższością i cała czerwień ustąpiła z jego twarzy.

- Przez nas? A fe! - prychnęła babcia i zawołała z oburzeniem: - Ty nie jesteś żadnym Niemcem, Hansie Henriku! Ty jesteś moim synem!

Nikt nie był przyzwyczajony, żeby babcia podnosiła głos, więc po tych słowach przy stole powstała nowa cisza, która utrzymywała się aż do chwili, gdy sięgnęła po swój kieliszek. Puti spróbował znów wprowadzić trochę życia do konwersacji:

- Panie Krabbe, to jakie jest stanowisko Islandii wobec Danii?

Krabbe pokiwał głową, zanim zaczął odpowiadać na pytanie, uważając przy tym, żeby patrzeć każdemu w oczy.

- Wydaje mi się, że Duńczycy mają pełne zrozumienie dla tego, że w tych warunkach Islandczycy do pewnego stopnia biorą sprawy we własne ręce, w ramach daleko idącej kooperacji z władzami okupacyjnymi, podobnie jak my, Islandczycy, powinniśmy respektować sytuację, w jakiej znajdują się Duńczycy wobec swoich szanownych okupantów.

W swojej wędrówce wokół stołu spojrzenie Krabbego zatrzymało się dokładnie w oczach taty. „... wobec swoich szanownych okupantów”. Potem jeszcze raz lekko skinął, jakby chciał przeprosić za swoją otwartość. Wszyscy obecni siedzieli nieruchomo na swoich miejscach. Chyba nikt nie zrozumiał uprzejmej i wymijającej odpowiedzi Krabbego, ale udało mu się nieodwołalnie zepsuć nastrój. Na wypadek gdyby jednak ktoś pojął jego słowa, radca ambasady powoli zdjął serwetkę z kolan i delikatnie wytarł nią kąciki ust, jak gdyby tamta wypowiedź miała je zabrudzić. Właśnie takie chyba było naczelne zadanie dyplomacji: dawać ludziom uprzejmą odprawę.

Potem przy stole znów zapanowało milczenie, póki nie weszła nasza jutlandzka kucharka z deserem.

34

DUŃSKA SZKOŁA PODSTAWOWA

1940

Przez całą jesień byliśmy uwięzione w Danii. Niewiele statków kursowało na Islandię, zresztą takie rejsy były ryzykowne. Niemieckie i brytyjskie U-Booty uprawiały swoje bezgłośne łowy.

Babcia Georgia jesienią wróciła na Islandię w ramach słynnego konwoju z Petsamo, w którym ponad dwustu zamieszkałych na terenie Skandynawii Islandczyków miało możliwość powrotu do domu na pokładzie „Esji”. Ale najpierw musieli udać się do Petsamo, małego portu na najdalszym północnym krańcu Finnmarku. Babcia była zdecydowanie przeciwna, żebyśmy z mamą też pojechały. „Nie wkłada się wszystkich swoich złotych jaj na jeden statek”.

Miałyśmy dojechać przy najbliższej okazji. Ale ta się nie nadarzała. W połowie lata tata wrócił do swojego wojennego rzemiosła i zostaliśmy całkiem same w islandzkiej rezydencji. Z powodu rozwoju wydarzeń ambasada została zamknięta, ale okupacja opóźniła sprzedaż domu i parceli. Początkowo miałyśmy jeszcze Helle, naszą bohaterską królową kuchni, i Rainera, pełniącego obowiązki szofera. Jak większość mężczyzn, którzy kończą w służbie dyplomatycznej jako szoferzy, nie miał swojego miejsca na świecie. Pochodził z niemiecko-francuskiej arystokracji, ale stracił wszystkie świadectwa pochodzenia podczas

pierwszego Wielkiego Przeorania kontynentu. Geny dawały jednak znać o sobie i Rainer, kiedy tylko stał gdzieś z boku lub musiał czekać przy aucie, trzymał się prosto jak struna z obcasami razem. Trzy krzaczaste brwi zdobiły jego twarz, dwie na czole, jedna na górnej wardze.

Na początku sierpnia zostałam zapisana do Classenske Legatskole - szkoły w naszej dzielnicy. Pierwszy dzień nie skończył się dobrze, bo wróciłam do domu porządnie poturbowana. Dzieci otoczyły mnie na szkolnym podwórku i wrzeszczały na mnie: „Sztokfisz, sztokfisz!”.

Następnego dnia zaczęły się lekcje. Nauczyciel był grubasem o piskliwym głosie.

- Przedstawiam wam naszą nową uczennicę, pannę Björnsson z Islandii. Czy możesz nam opowiedzieć coś o swojej ojczyźnie? Czy to prawda na przykład, że na waszej wyspie nie rosną drzewa?

- Ależ nie, rosną, ale są dość niskie. Mówi się nawet, że jeśli ktoś zabłądzi w lesie, powinien tylko się wyprostować.

Klasa ryknęła śmiechem, żeby pokazać, że śmieje się ze mnie, a nie ze starego dowcipu.

- Ale mówi się też, że jeśli chce się zobaczyć duńskie góry, wystarczy się schylić.

Za to wróciłam do domu z naderwanym uchem. Następnego dnia nie chciałam iść do szkoły i przez cały tydzień kontynuowałam mój szkolny strajk, aż w końcu mama znalazła dla mnie przytulną, małą szkołę o pięknie brzmiącej nazwie „Szkoła na Srebrnej” w pobliżu parku zamkowego Rosenborg.

Każdego ranka Rainer zawoził mnie na Sølvgade. Ulica jest położona niedaleko Øster Voldgade, gdzie nasz Jón Sigurðsson w narożnym spiczastym domu trwał na posterunku dla Islandii. Zawsze twierdzę, że to ten przypominający dziób statku front budynku pomógł mu pokonywać sztormowe fale, kiedy walczył o naszą niepodległość. Ów dziób okrętowy jest tak solidnie zbudowany, że Jón nawet nie musiał się ubierać i dzięki temu został jedynym bojownikiem na świecie, który w szlafroku doprowadził swój naród do niepodległości.

Mobbing islandzkich dzieci w duńskich szkołach na pewno został zawarty w uchwalonych przez Folketing ustawach o szkolnictwie, gdyż w drugiej szkole byłam traktowana tak samo jak w pierwszej.

Nauczycielem był wybujały blondyn o imieniu Jens, miał rzadkie włosy i okulary w rogowych oprawkach. Na końcu lekcji zwykle powtarzał moje imię przed resztą dzieci, specjalnie je przekręcając, żeby wywołać jak najwięcej śmiechu. I tak przezwisko „Hebron” rozprzestrzeniło się w pokoju nauczycielskim jak błysk granatu. Hotel Hebron na

Helgolandsgade był szeroko znanym burdelem, więc uczniowie uznawali to za szalenie zabawne.

- Cześć, Hebron!

Znów próbowałam strajkować, ale moja matka była przekonana, że wszystko się jeszcze ułoży, i co rano zaganiała mnie do auta. Ale było tylko coraz gorzej. Czasem musiałam wręcz uciekać ze szkoły. Wielką zaletą jej położenia okazało się sąsiedztwo trzech wielkich parków, w których mogłam się chować. Blisko siebie znajdowały się park wokół zamku Rosenborg, Ogród Botaniczny i Østre Anlæg. Nieźle się też składało, że pomiędzy nimi znajdowało się Państwowe Muzeum Sztuki, dokąd czasem udawało mi się uciec i zgubić moich prześladowców w długich korytarzach. Od tego czasu, z moim bystrym umysłem, zwykle bardzo szybko zaliczam muzea. W 1940 roku duńskie muzeum znajdowało się oczywiście pod niemieckim nadzorem. Nie było w nim kubizmu, fowizmu ani ekspresjonizmu, tylko nazizm.

Nawiasem mówiąc, to zadziwiające, jak pruderyjni są fanatycy, jeśli chodzi o sztukę. Naziści wysłali cały naród do komór gazowych, ale wynaturzeń na płótnie nie tolerowali. Zresztą odwrotnie też można zaobserwować podobne zjawisko: nie znam grzeczniejszego i miłszego chłopca niż mój Ólafur Helgi. Ale w swoim czasie szalał za punkiem, siedział godzinami w swoim pokoju i słuchał gitarowych łomotów na pełny regulator. Także jego uroczę przyjaciółki były w gruncie rzeczy pruderyjne, ze swoimi agrafkami w podartych rajstopach, kiedy wymykały się z jego pokoju i ze wstydu chowały głowę w ramionach, pytając, gdzie tu jest toaleta. Podejrzewam, że większość z nich wylądowała w parlamencie z ramienia liberałów.

Życie zawsze dąży do równowagi.

Kiedy odwiedziłam Państwowe Muzeum Sztuki jeszcze raz po wojnie, na ścianach wisieli oczywiście Matisse & Co. Najlepiej pamiętam *Ostatnią wieczerzę* Emila Noldego, brutalna i krzykliwa interpretacja cierpień Jezusa wśród zdrajców. Nigdy nie mogłam się pozbyć myśli, że artysta zobaczył tu przyszłość (obraz powstał w 1909 roku) i namalował samego siebie w złym towarzystwie. W końcu Nolde wstąpił przecież do NSDAP. Ale z drugiej strony był o wiele za wybitnym artystą, żeby odnaleźć się w objęciach partii. Jego obrazy są zbyt *crazy*, jak powiedziałby mój Bob. Zbyt ekspresywne dla oczu kolory, które kilka lat później miały wysadzić w powietrze Europę.

Dania to bardzo płaski kraj. Strasznie jest wystawać tutaj ponad otoczenie. Doświadczylam tego na własnej szkolnej skórze. Dzieci to okrutne bestie, mają nieziemskiego nosa i ostrą jak brzytwa intuicję. Od razu wyczuły, że ta nowa dziewczynka jest nie tylko Islandką, ale też czymś o wiele gorszym.

Mama wysłała mnie do szkoły z ostrzeżeniem, żeby nigdy nie zdradzić się przed innymi dziećmi, że znam niemiecki. Ale sama popełniła fatalny w skutkach błąd, dając mi na drugie śniadanie czarny islandzki chleb. W dodatku przekładała go foczym mięsem, które przysyłano nam z Islandii. Wreszcie kroїła kanapkę w poprzek, a nie wzdłuż, jak Duńczycy czynią od 1112 roku zgodnie z królewskim zarządzeniem.

- Co ty tu masz? Ohydny chleb z foką? I wy go kroicie w poprzek? Czy wszyscy na Grenlandii mają skośne oczy, tylko ty nie?

- Nein - przez nieuwagę odpowiedziałam po niemiecku.

Od tamtego czasu zawsze starałam się zatrzymywać w Danii tak rzadko, jak się tylko dało. Ten język do dzisiaj sprawia mi ból. Przez wszystkie lata okupacji wszyscy dorośli Duńczycy ćwiczili niemiecką dyscyplinę. Nikt nie ośmielił się skrytykować Niemców czy mówiących po niemiecku Duńczyków. Tak zwana walka wyzwolenicza zaczęła się równo z niemiecką kapitulacją, ani o dzień wcześniej, ale za to potem nagle każdy chciał być bohaterem. Wśród dzieci wszystko wyglądało inaczej. Co się w domu mówiło szeptem, one wynosiły na zewnątrz, w bramy, zaułki i na ulice, roznosiły to na szkolnych podwórkach i parkowych alejkach. W rzeczywistości duński ruch oporu istniał tylko wśród dzieci.

Duńskie określenie piekła, *helvede*, brzmi o wiele za łagodnie, żeby oddać to, co od tego momentu przechodziłam w szkole. Dziewczynki przypalały mi świeczkami włosy, chłopcy napelniali mi buty ciepłym, śmierdzącym kałem, a potem stali, rechocząc w pobliżu, i patrzyli, jak idę do szatni. Przybierałam minę podbitych narodów: *duma, duma, duma!* i jakby nigdy nic wkładałam stopy w duńskie gównno i w akompaniamencie wrednego śmiechu tych wszystkich Larsów i Björnów wychodziłam z podniesioną głową. To dziwnie uczucie, brodzić w odchodach innych. Od tego czasu zawsze mam problem z chodnikami w Kopenhadze. Ciągłe mi się wydaje, że spomiędzy palców wypływa mi ciepłe gównno. Ze łzami w oczach i kluchą wielkości granatu w gardle szłam *Købmagergade*, *Strøget* i przez plac ratuszowy do *Kalvebod Brygge*. Nasza kucharka miała wielki bujny biust, w który można było się wtulić, była niskiego wzrostu, a jej zawsze gołe ramiona przypominały świeżo wypieczone francuskie bagietki. Także jej twarz była zawsze przyprószona proszkiem do pieczenia i zawsze wyglądała jak ciasto: śmietankowobiałe zęby, pełne usta i chrupiące,

brązowe policzki usiane piegami niczym bułeczka makiem.

- Czy dzisiaj mamy jakieś zmartwienie? Ojej, a co to się stało? Musimy szybciotko iść do łazienki i coś z tym zrobić!

Obiecała nie mówić mamie, że dzisiaj zrobiłam kupkę do buta. Prawdy nikt nie mógł się dowiedzieć. Nawet moja norweska przyjaciółka Ása, która chodziła do niemieckiej szkoły. To dziecko quislingów było wspaniałym owocem niemieckiej okupacji. Wszędzie była dobrze przyjmowana, za to ja wszędzie byłam nie na miejscu. Dla Ásy byłam zbyt duńska, w szkole za bardzo niemiecka, a poza tym w każdym miejscu za islandzka. Nigdzie nie pasowałam i wszędzie mnie coś uwierało. Tak było przez całe moje życie. W Argentynie ludzie brali mnie za Niemkę i krzywo na mnie patrzyli. W Niemczech odkryli, że byłam w Argentynie, i rzucali mi podejrzliwe spojrzenia. W domu byłam nazistką, w USA komunistką. Na Islandii uchodziłam za zbyt światową, w podróżach byłam zbyt islandzka. W Bessastaðir nigdy nie byłam dość wytworna, podczas gdy w Bólungarvík przezywali mnie „primadonną”. Dla kobiet zawsze piłam za dużo, jak facet, według mężczyzn zaś upijałam się po babsku. W miłości byłam głodna, w małżeństwie nie miałam apetytu. Nigdzie na dobre się nie „zintegrowałam” i ciągle szukałam nowych imprez. Byłam zawsze i nieustannie w drodze; tak się zaczęła moja ucieczka, moja dożywotnia, nieprzerwana ucieczka, we wrześniu 1940 roku w Szkole na Srebrnej.

36

ANNELI

1940

Od połowy listopada nie chodziłam więcej do szkoły. Kiedy znów zapłakana siedziałam na ławce w parku Rosenborg, poznałam pewną dobroduszną kobietę, która się nade mną zlitowała. Potem, gdy tylko samochód ambasady zniknął za rogiem, szłam kawałek ulicą w dół do ciemnoczerwonych drzwi i naciskałam dzwonek opatrzony nazwiskiem A. Bellini.

Anneli była świeżą i zadbaną kobietą o bardzo białych policzkach, w czarnych włosach nosiła wpiętą czerwoną różę. Przeważnie siedziała przy stole stojącym pod oknem z elegijnym wyrazem żalu na twarzy. Okno wychodziło na białą ścianę domu i kawałek ceglaneanego muru, w szparze pomiędzy nimi o szerokości kolana było widać kawałek Klerkegade. Miałam wrażenie, że ona tak ciągle wpatruje się między domy, jakby czekała na jakiegoś mężczyznę.

Wyszła za mąż za włoskiego tenora, który teraz służył jako pilot w lotnictwie

Mussoliniego. Brał udział w kampanii we Francji, jednym z bardziej bezsensownych przedsięwzięć tej szalonej wojny: Włosi, którzy mieli się jak pączki w maśle, poświęcali życie po to, żeby w barach nic nieznaczących alpejskich wiosek szyld „Tabac” zastąpił napis „Tabacchi”.

To było w czerwcu, teraz zaczynał się listopad i kobietka z różą nie miała pojęcia, gdzie jej tenor teraz wyśpiewywał swoje arie.

Jeden długi ranek za drugim siedziałyśmy razem, kładąc karty, podczas gdy Caruso z tłustym podbródkiem wirował na talerzu gramofonu: „Vesti la giubba, e la faccia infarina...”.

Ja opowiadałam jej o parze islandzkich dyplomatów, a ona wtajemniczała mnie w tragiczną naturę miłości. „Szczęście to jest najgorsze ze wszystkiego. Im wyżej cię wyniesie, tym niżej spadniesz”. Poza tym tylko siedziałyśmy razem i milczały, ja, jedenastoletni podłotek z Islandii i ona, piękna, po włosku zakochana Dunka, która w mojej pamięci ma około czterdziestu lat, może nawet pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt, ale w rzeczywistości mogła mieć zaledwie trzydziestkę. Miała pewien dziwny zwyczaj, że w samym środku rozmowy potrafiła ucichnąć i długo wyglądać przez okno, milcząc jak porcelanowa lalka, która tylko od czasu do czasu trzepocze sztucznymi rzęsami. Trzy małe znamiona na jej czole tworzyły trójkąt miłości.

Z każdym dniem stawała się bledsza i za każdym razem, kiedy od niej wychodziłam, dawała mi jakiś mały prezent, zeszyt nut, płytę, sznurek pereł, kolczyki albo szminkę: „Ciemnoczerwona na dzień, jaskrawoczerwona na wieczór”.

Zamiast uczyć się na pamięć nazw rosyjskich rzek i szwedzkich jezior, pobierałam u niej nauki, jak być damą.

- Czy nigdy nie chciałaś mieć inaczej na imię?

- Ależ tak.

- A jak?

- Dana.

- Dana? - powtórzyła pytającym tonem, przeciągając samogłoski. - Dana to piękne imię.

Trochę mi wstyd, ale chyba muszę to wyjaśnić. Stara Gunna z Gunnabúð opowiadała nam czasem historie o wielkiej duńskiej królowej. Wprawdzie miała na imię Margarethe, ale Dunka to po islandzku *Dana*, więc zamiast „królowa duńska” ja zrozumiałam królowa Dana i od razu sama chciałam nosić takie piękne imię. Ale odkąd zostałam uwięziona w królestwie Dany, już nie byłam tego taka pewna.

- Bądź więc Daną, jeśli ci to pomoże. My, kobiety, potrzebujemy wszystkiego, co

może nas ochronić.

Ona sama przyszła na świat jako Gundborg Jensen, dziecko niezamężnej matki, która na rowerze przejechała w poprzek całą Zelandię, żeby znaleźć pracę w garbarni. Kiedyś po zmianie dyrektor fabryki zrobił jej dziecko w wannie wypełnionej wełną i nie chciał go potem uznać, aż wyrosło na prześliczną dziewczynkę, którą kiedyś zaczepił na ulicy, twierdząc, że jest jego. Ale dziewczynie udało się uniknąć losu matki i z Gundborg z Køge zrobiła się Anneli z Kopenhagi. Tam poznała miłego i uroczego Pera, którego jednak za bardzo kochała. Podczas rejsu na Bornholm schroniła się w ramiona Emilia z Włoch, który w północnym wieczornym słońcu z towarzyszeniem głębokich westchnień pasażerów płci żeńskiej śpiewał na statku arie i ożenił się z nią tego samego dnia, kiedy Per zginął od przypadkowej kuli w lesie na Fionii.

Teraz siedziała na swoim tłustym tyłku w wysokim mieszkaniu milczenia na Sølvgade 6, oplakując obu mężczyzn i zgłębiając logikę miłości z łatwo ulegającą wzruszeniom dziewczynką z Islandii. „Nie powinnaś nigdy słuchać wyłącznie głosu serca, a tym bardziej rozumu. Musisz czekać na zgodę ich obydwu”.

Gdybym tylko posłuchała mądrej rady mojej Anneli. Ale ja zapomniałam o niej w tej samej chwili, kiedy zamknęły się za mną drzwi, i nigdy o niej nie myślałam, dopiero teraz, całe życie i stu mężczyzn później.

37

MIŁOSNA EDUKACJA

1940

Może do mojego wychowania przyczynił się też fakt, że na pierwszym piętrze mieszkała wypindrzona lafirynda, oddająca się za pieniądze niemieckim żołnierzom, których czasami mijałam na schodach. Ci, którzy szli na górę, byli spięci, a schodzący na dół odprężeni. Anneli wyczerpująco wyjaśniła mi tę pracę w neglizu i choć jako dziecko niewiele z tego zrozumiałam, to i tak wydawała mi się fascynująca.

Zdarzało się, że przez uchylone drzwi udawało mi się dojrzeć blondynkę o szerokiej twarzy i ciężkich piersiach, która w innych czasach na pewno z pogodnym uśmiechem obsługiwałaby klientów w jakiejś piekarni. Ale teraz już wcześniej rano była uwodzicielsko umalowana i stała przy drzwiach w neglizu z łososiowego jedwabiu i z gołymi palcami wystającymi z butów na obcasie. Choć miała wielkie oczy, nieco wypukłe jak u sowy, robiły wrażenie zmrożonych, jej spojrzenie było puste jak u tresowanego zwierzęcia w cyrku.

Pewnego ranka uczniowie zauważyli mnie na ulicy i musiałam jak najszybciej

schronić się za czerwone drzwi z numerem 6, ale przez pomyłkę nacisnęłam niewłaściwy guzik dzwonka. I gdy szłam po nieoświetlonych schodach, zniemacka otworzyły się drzwi na pierwszym piętrze.

- O, dzień dobry, panienko.

Mówiła niskim, mocno przydymionym głosem, przeciągając wyrazy. Patrząc z perspektywy mojego długiego życia, wiem teraz oczywiście, że wtedy miała lekko w czubie.

- Ja... ja chcę tylko na górę.

- Ale czy ty tu mieszkasz?

- Tak... albo... nie. Ja tylko chciałam...

Wokół kostki miała złoty łańcuszek, a paznokcie jej stóp tkwiących w wysokich pantoflach były wściekle czerwone. Włosy też wściekle blond, lwia grzywa jak wielki czepek, oczywiście peruka. Poniżej znajdowały się wielkie, ale śmiertelnie zmęczone oczy, okolone głębokimi cieniami, które dodatkowo wzmacniał makijaż. Na pewno nawet przez opary alkoholu widziała, jak bardzo byłam niepewna, blada i zdyszana.

- Czy znasz tu kogoś w domu?

- Ehm... nie.

W jej mieszkaniu zabrzmiał dzwonek, a z dołu dobiegały głosy chłopców.

- Może weszłabyś do mnie na chwilę?

- Dziękuję.

W środku było ciemno, wszystkie drzwi były pozamykane, nie widziałam żadnego okna. W długim korytarzu małe kinkiety dawały żółtawe, przytłumione światło. Ostrożnie przecisnęłam się obok niej i weszłam do środka. Miałam wrażenie, jakbym musiała przechodzić przy skalnej ścianie. Jej piersi sterczały niczym kamienne nawisy. Brzuch też się lekko wypiętrzał, a moje oczy śledziły pasek okalający talię jak ścieżkę wydeptaną w tym górskim krajobrazie. Zamknęła drzwi i poszła za mną po skrzypiącej podłodze przedpokoju. Tajemnicza jak kobieta-elf i ciężka jak kobyła.

- Czy napijesz się czegoś? Może chcesz coca-coli?

Koniec korytarza rozszerzał się w pomieszczenie, w którym urządzono coś w rodzaju kącika do siedzenia: dwie wąskie bordowe sofy w stylu rokoko, zapalona lampa podłogowa z frędzlami i duża stojąca popielniczka. Na ścianie wisiało kilka obrazków z czasów przed wynalezieniem fotografii: zelandzkie pałace i jutlandzkie krowy, narysowane z europejską precyzją.

- Napijesz się czegoś? Może chcesz coli?

- Tak, poproszę.

Zniknęła za jakimiś drzwiami i za chwilę wróciła ze szklaną butelką zawierającą ciemny płyn. Kiedyś w Tivoli widziałam, jak ludzie pili coś podobnego. Wskazała mi miejsce na sofie. Usiadłam i wygładziłam moją szkolną spódniczkę, granatowy na bordowym, ona usiadła na drugiej sofie, włożyła papieros do fiki i zapaliła zapalką.

- A więc nie chodzisz do szkoły?

- Nie.

- A dlaczego nie?

- Jestem chora?

- Ależ skąd. Wyglądasz mi na zdrową dziewczynkę. A jakąż to chorobę...?

- Jestem Islandką.

- Islandką? I co w tym takiego strasznego?

- Nie mogę chodzić do duńskiej szkoły. Mogłabym zarazić inne dzieci.

Wybuchnęła głośnym śmiechem połączonym z kaszlem. Napiałam się swojej coca-coli, która miała jedną wspaniałą cechę: perliła się na języku i łaskotała w podniebienie. Jeszcze nigdy nie piłam napoju gazowanego i teraz musiałam kichnąć. Prychnęłam przy tym czarnymi kropelkami, które opadły na moją spódniczkę z grubej wełny. Kobieta nie zareagowała na to.

- A jakie są symptomy tej choroby?

Wyszczrzyła się w uśmiechu, a sformułowanie, jakiego użyła, zdradziło, że już kiedyś musiała się znaleźć w przedsionku uniwersytetu, może nawet na sali wykładowej.

- Symptomy?

- Tak. Jakie są jej oznaki?

- Człowiek czuje się po prostu taki... samotny.

- Samotny.

- Tak.

- Czy Islandczycy nie są zawsze samotni?

- Tak. Bo jest nas tak mało.

- Czy nie lepiej być czymś rzadkim, niż występować powszechnie?

- Nie. Wtedy każdy chce to mieć.

- Ale czy nie lepiej być złotem niż żelazem?

- Tylko źli ludzie chcą posiadać złoto. Poza tym złoto wcale nie jest piękne.

Wszystkim tylko się tak wydaje.

- Złoto nie jest piękne? - zapytała zaskoczona.

- Nie. Wszystko, co najdroższe, jest też zawsze najbrzydsze. A to, co się dostaje za darmo, jest najpiękniejsze.

- Kto tak twierdzi?

- Moja babcia.

Kobieta umilkła i przyglądała mi się przez chwilę, potem podniosła kieliszek do ust. Ja jeszcze raz wzięłam mały łyk mojej coli, która bardzo mi smakowała, choć tak dziwnie się zachowywała w ustach.

Potem odważnie zapytałam:

- Czy oni się na panią kładą?

- Czy co?

- Ci żołnierze. Czy oni się kładą na panią?

- Tak, czasami.

- A czy to nie boli? Czy ich broń przy tym nie kłuje?

- Nie, nie, przedtem ją odpinają. Ale... mają jeszcze coś innego podobnego do broni - odparła i ściągnęła usta, żeby się nie roześmiać.

- Czy chodzi pani o fiuta?

Na dwie sekundy odebrało jej mowę, tylko patrzyła na mnie i walcząc z atakiem śmiechu, znów zaciskała usta. Dym z papierosa ulatywał jej nosem, wyglądała jak uprzejmy smok, który nie chciał zionąć ogniem w samym środku rozmowy.

- Tak... hi, hi... to jest... hi, hi... fiut. Zabawna jesteś.

- Czy on wygląda jak broń?

- Tak, nie uważasz? - odpowiedziała pytaniem i znów zrobiła dziubek mający powstrzymać śmiech, wyjęła przy tym papierosa z ust i zduła go w popielniczkę na wysokich nóżkach, która przy tych zdecydowanych gestach zaczęła się chwiać.

- Nasza kucharka mówi, że fiut wygląda jak odwrócony kwiat.

Teraz już nie wytrzymała.

- Odwrócony kwiat?

- Tak, jak tulipan, tak powiedziała.

To wydało się jej jeszcze śmieszniejsze. Powtarzała: „tulipan”, i śmiała się dalej. Chciałam bronić porównania Helle i powiedziałam z poważną miną:

- Ale czy nie jest trudno włożyć go do środka? Bo przecież jest tak ciasno, a tulipany, tak sobie myślę, mają przecież takie miękkie łodyżki.

- Tak, rzeczywiście, taka łodyżka jest czasem... miękka. - Musiała zrobić przerwę, żeby wytrzeć łzy rozbawienia. - Ale... - prawie nie mogła mówić ze śmiechu. - Dlatego czasem trzeba... zmienić... tulipana... w ogórka.

Teraz ja byłam zaskoczona.

- W ogórka? A jak pani to robi?

Ta lekcja była jeszcze ciekawsza niż te, które pobierałam dwa piętra wyżej. Podstawówkę zaliczyłam w dwa miesiące, a teraz uczęszczałam do wyższej szkoły życia, w której byłam kształcona w połowie przez damę i w połowie przez prostytutkę.

- Powiedziałabym, że to można osiągnąć za pomocą swojego uroku.

- Uroku?

- Tak, bo kiedy mężczyzna widzi piękną kobietę, staje się wtedy... warzywem. - Wybuch śmiechu, który teraz nastąpił, wyglądał jak atak epilepsji. - Wtedy staje się warzywem!

To był prawdziwy duński śmiech tytoniowy, jaki zna się z niejednej gospody.

Poczułam zakłopotanie, jak to bywa wobec osób, które nie potrafią się opanować, i uśmiechnęłam się z rezerwą. Uznałam, że nauczycielka odchodzi od tematu, chciałam znów powrócić do przedmiotu nauki.

- A co potem wychodzi z tego fiuta? Bo coś z niego wychodzi, prawda?

- To się nazywa... sperma.

- Czy tego jest dużo?

Podniosła głowę i popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

- To jest jak... kleks dzemu. Mniej więcej tyle, ile sobie nakładasz na chleb.

- Czy pani tego próbowała?

- Tak.

- A smakuje?

- Sama nie wiem. Smakuje trochę jak... Czy jadłaś już kiedyś ostrygi?

- Tak. - Zeszłego lata byłam z mamą i tatą w Holandii i próbowałam ostryg. Mama powiedziała, że smakują jak smarki morsa, „lodowato zimne i oślizgłe”. - Czy to jest coś takiego jak ta galaretka z ostryg?

- Tak - przyznała kobieta i krótko się zaśmiała.

- Bue - wykrzywiłam się z obrzydzeniem. - A jednak można z tego zrobić dzieci?

- O tak - odrzekła Dunka z wielkimi oczami i dyskretnie ukrytym w głosie wykrzyknikiem.

Dużo później miałam się dowiedzieć, że nawet o wiele większą sztuką jest nie robić przy tym dzieci, gdyż po mojej czwartej skrobance nazwano mnie fenomenem płodności.

- Czy pani ma dużo dzieci? - zapytałam tę duńską damę trudniącą się rozkładaniem nóg.

Drgnęła zaskoczona, w jej głosie już nie było rozbawienia, kiedy w końcu

odpowiedziała:

- Tak, dwoje.

- Tylko dwoje? - zapytałam jak osioł. - Przecież do pani codziennie przychodzą mężczyźni!

- Słucham?

- Każdego dnia przychodzą do pani mężczyźni. Więc dlaczego ma pani tylko dwoje dzieci?

Patrzyła na mnie oczami wielkimi jak spodki i milczała, zbita z tropu. Mogła wymyślić najróżniejsze odpowiedzi, ale pozostała przy tej najprostszej:

- Nie, mam tylko dwójkę. Dwoje dzieci. - Teraz w jej głosie słychać było tłumione wzruszenie.

- Czy one też chodzą do szkoły na ulicy Srebrnej? - pytałam dalej jak najgłupsze dziecko świata.

- Nie - pociągnęła nosem. Czasami łyzy najpierw chcą wypłynąć nosem. - One są u swojej babci w Amanger.

- Czy to jest przyjemne?

- Przyjemne? Co?

- No, robić takie rzeczy z fiutem...?

- Przyjemne?

Zastanawiała się nad tym chwilę, łyknęła ze swojego kieliszka, potem otworzyła usta, równocześnie przejechała palcem wskazującym wzdłuż dolnej powieki, żeby osuszyć łzę, spojrzała na mnie i powiedziała z westchnieniem:

- Nie. - Wzięła oddech i powtórzyła: - Nie, to nie jest przyjemne.

Znów się napiła, żeby się nie rozplakać.

- To dlaczego pani to robi? - pytałam dalej z bezlitosną konsekwencją.

Nie odpowiedziała, patrzyła tylko gdzieś przed siebie.

- Czy to z powodu pieniędzy? - nie odpuszczałam.

- Nie - odparła w końcu bezdźwięcznie. - To nie dla pieniędzy, tylko dla mojego męża.

- Pani ma męża?

- Tak - powiedziała i wreszcie wybuchnęła płaczem. - To wszystko... wszystko robię tylko dla mojego męża. Niemcy go aresztowali. On ma być... ma zostać deportowany do Niemiec, do obozu. Ale...

Płacz się jeszcze nasilał, kiedy mówiła, dając wreszcie upust swoim uczuciom, które

miesiącami dusiła w ciasnej klatce.

Łzy rozmyły cienie do powiek, które spływały teraz po policzkach, znacząc ciemne smugi w pudrze. Opuszczone kąciki ust sprawiły, że jej szminka robiła wrażenie czegoś tragicznego, jak u klauna. W jednej chwili spadła jej piękna maska i ta wystrojona kobieta zmieniła się w kupkę drżącego ciała z pozlepianymi włosami.

- Wszystko dla mojego męża - wydawało mi się, że słyszę pośród westchnień.

A więc nie była zwykłą nierządnicą, tylko ofiarą wojny. Może nawet to ona stanowiła prawdziwy ruch oporu, kobieta, która broni się przed armią okupacyjną w jedyny sposób, jaki ma do dyspozycji, i ratuje ludzkie życie dzięki swojemu urokowi.

Przestała płakać tak samo szybko, jak zaczęła się śmiać, zaraz potem nagle się zezłościła i powiedziała, że mam się wynosić i zachować dla siebie to, co usłyszałam. Czego w ogóle szukała w jej mieszkaniu jakaś islandzka przybłęda z ulicy? Powinnam być w szkole. To, że pochodzę z zimnego kraju, to żadne wytłumaczenie, wojna też nie jest żadną wymówką.

- Nie ma tu dla ciebie żadnej islandzkiej szkoły? Powinnaś chodzić do islandzkiej szkoły.

- Nie ma. Jestem jedynym islandzkim dzieckiem, które jeszcze zostało w Europie.

Byłyśmy już przy drzwiach wyjściowych i zapach perfum, który unosił się z jej potężnego biustu, pod wpływem jej złości jeszcze intensywniejszy, łaskotał mnie w nos.

- Bzdury! Nie zamierzam dłużej tego słuchać. Wynoś się! Nie powinnaś grzebać w prywatnych sprawach innych ludzi. Uciekaj, już!

- Tornister - pisnęłam.

- Właśnie, gdzież on jest?

Nie odpowiadając, pobiegłam przez korytarz do kącika z sofami i wzięłam mój skórzany tornister, który chłopcy nazywali „Deutschland”.

Zanim znów dotarłam do drzwi, odezwał się dzwonek. Moja nauczycielka szybko zapanowała nad swoim wzburzeniem, ściągnęła je paskiem swojego szlafroka, stanęła przed lustrem i w sekundę zmieniła się z kobiety w prostytutkę. Przecisnęłam się obok niej. Szkolny dzwonek zadzwonił ponownie, kobieta podeszła do drzwi i jeszcze rzuciła mi chłodny uśmiech, zanim otworzyła:

- Dzień dobry.

Na klatce schodowej stał młody oficer w szarym mundurze ze sterczącym brzuchem. Jego wąsy wygięły się lekko, kiedy patrzył na mnie z zaskoczeniem. Wymknęłam się z mieszkania i schodami pobiegłam na górę, z mocnym postanowieniem, żeby już nigdy więcej

nie pomylić dzwonek.

38

DROŻDZÓWKI Z CYNAMONEM

1940

W drodze do Anneli zaraz na następnym piętrze otworzyły się jednak jeszcze jedne drzwi do kolejnej szkolnej klasy. Szacowna starsza dama o żółtawej skórze i srebrnoszarych włosach rozdzielonych przedziałkiem, przez co przypominała mi babcię Georgię, zapytała, czy mogłabym wyświadczyć jej przysługę i przynieść ze sklepu na dole drożdżówkę. Miała taką straszną ochotę na drożdżówkę z cynamonem. Mówiła o tym tak tęsknie, że i ja też nagle zapragnęłam zjeść drożdżówkę.

Starsza pani w żaden sposób nie wyglądała na osobę mającą problemy z chodzeniem, ale sama nie mogła iść, bo jak powiedziała, nie ma odwagi wyjść za drzwi „do Niemiec”. Była przekonana, że teren okupowany kończy się na jej progu, który wskazała mi swoją solidnie obutą stopą.

Twierdziła, że po tamtej stronie progu jeszcze istnieje coś, co się nazywa Dania. Może nawet miała rację. Widziałam, że podłoga była całkiem płaska. Mała duńska flaga wisiała bez życia na srebrnym drążku obok wielkiego czarnego telefonu.

Z głębi mieszkania dobiegała muzyka, którą znałam: *Stemningsmelodi*. Babcia czasem nam ją puszczała, oczywiście śpiewaną przez naszą Elbę Sigfúss, która często gościła na przyjęciach w ambasadzie i też śpiewała w domu Havhus w Skagen, tak samo jak ciocia Lone. Pobiegłam do piekarni po drożdżówki, a po drodze ślinka napływała mi do ust na myśl o słodkim przysmaku. Niezauważona przez nikogo wróciłam do domu pod numerem 6, przemknęłam się obok drzwi na pierwszym piętrze i kondygnację wyżej zostałam zaproszona do środka. Od razu zauważyłam, że i ta kobieta była lekko podchmielona. Trochę za długo pokazywała mi swoją kolekcję płyt, trochę za długo mówiła o „Else Sigfuss”, a kiedy dowiedziała się, że jestem Islandką, pokazała mi swoje zapasy, przeważnie znoszone przez jej siostrę, gdyż ona sama od pierwszego dnia okupacji nie wyszła z domu. Składały się głównie z konserw, ziemniaków, mydła, sera i kiełbasy, ale były tam też książki, gazety i dużo likieru.

- Pomyśl tylko, dla mnie wyjście z domu to śmiertelne niebezpieczeństwo! Jestem przecież taka impulsywna. Pewnie skoczyłabym na pierwszego lepszego niemieckiego żołnierza i zaczęła okładać go torebką. Zaraz bym wylądowała za kratami. Byłam kiedyś w Teatrze Królewskim i w samym środku przedstawienia zawołałam głośno: „Nie!”. Tak po prostu mi się wyrwało.

Czyżby to opary likieru przez nią przemawiały? W każdym razie z trudem potrafiłam sobie wyobrazić, żeby ta akurtna kobieta, która w mieszkaniu nosiła wysokie sznurowane botki, przechodząc, przejeżdżała dwoma palcami po każdym meblu i poprawiała szydełkowe serwetki na oparciu sofy, miała tłuc niemieckiego żołnierza torebką.

Potem poprosiła mnie do kuchni i zaproponowała drożdżówkę, a ściślej mówiąc - połowę, choć kupiłam ich siedem. To skąpstwo znalazło wkrótce wytłumaczenie, kiedy wyznała mi, że pochodzi z Jutlandii. Ale była miła i posługiwała się piękną kopenhaską duńszczyzną, której nauczyła się od swojego męża. Był inżynierem budowy okrętów i niedawno zginął podczas podróży służbowej w pobliżu Gdańska.

- Wyobraź sobie tylko, są takie bomby, które rozrywają ludzi na tyle kawałeczków, że oni dosłownie znikają z powierzchni ziemi.

- A nie ma bomb, które mogłyby zbombardować wojnę? - zapytałam z pełnymi ustami.

Spojrzała na mnie zaskoczona, usiłując nadać swoim wielkim, wymoczonym w alkoholu oczom mądry wyraz, a potem odstawiła filiżankę na talerzyk z nader porcelanowoduńskim, niemal królewskim dźwiękiem.

- Bomby, które zbombardują wojnę?

- Nie można zbudować jakichś... broni pokojowych? Armat dla pokoju?

- Pomyśl tylko! Co by to była za broń?

Miała nadzieję, że zyskała tym samym chwilę na łyk herbaty, ale filiżanka była zaledwie w połowie drogi do ust, gdy powiedziałam:

- To byłaby na pewno jakaś ogromna armata, która mogłaby wystrzelić sześćset śnieguł naraz. Mogłyby też być mniejsze armaty, oczywiście, na przykład miotacze motyli.

- Miotacze motyli - powtórzyła za mną i odstawiła filiżankę na stolik. - Pomyśl tylko! Wtedy chciałabym mieć coś takiego i wystrzeliłabym to na Niemców, którzy tu wystają na chodniku i palą, czekając w kolejce.

Filiżanka znów podjęła swoją wędrówkę.

- Nie powinniśmy nikogo za szybko osądzać. Ona jest w trudnej sytuacji - powiedziałam przemądrzałym tonem, po czym dodałam westchnienie.

- Co? - rzuciła zaskoczona dama i znów odstawiła filiżankę, choć nie zdążyła się napić.

- Ona się daje im wykorzystywać, żeby nie zabili jej męża. On siedzi w ciężkim więzieniu.

- Masz na myśli więzienie Væstra? To prawda?

- Tak, ona nie jest dziwką. Jest po prostu człowiekiem.

- Tak, naturalnie. Pomyśl tylko! - powiedziała dama, żółtoskóra jak Chinka o siwych włosach, i wyjrzała w zamyśleniu przez okno, przy czym coś mruzczała do siebie pod nosem. - Każdy człowiek nosi ze sobą swoją własną historię. - Potem spojrzała na mnie. - A jak brzmi twoja historia, dziewczynko z Islandii?

- Dostałam tylko połowę cynamonowej drożdżówki.

- Tak? Ależ co ja robię? Koniecznie musisz dostać więcej! - I wyciągnęła rękę po torbę z bułeczkami na kredensie. W środku znajdowało się jeszcze pięć i pół, bo sama nałożyła sobie całą. Teraz wyciągnęła połówkę drożdżówki i położyła ją na stole, niepewnie wstała z krzesła i zrobiła krok w stronę szafki, żeby przynieść nóż. Wykorzystałam okazję i położyłam tę połówkę bułeczki na moim talerzu. Ona w tym samym momencie się odwróciła i krzyknęła: - Nie, nie dostaniesz całej połowy!

Odruchowo się wyprostowałam jak struna i patrzyłam przestraszona, jak ona tę połówkę dzieli nożem na kolejne połówki i jedną z ćwiartek odkłada z powrotem do torby.

- Czegoś takiego się nie robi! - powiedziała trochę ciszej, ale ja już o wiele lepiej rozumiałam, dlaczego ona boi się wychodzić między Niemców.

Znów usiadła na swoim krześle i przez chwilę zmagala się z gorącą filiżanką. Milczałyśmy obie, aż zdobyłam się na odwagę i zabrałam się do jedzenia mojej ćwiartki.

Tak, oczywiście, w czasie wojny trzeba było ponosić ofiary. Myślałam o tych spizarniach o nazwie Dania, o tym wypastowanym na wysoki połysk kraiku, który w tych dniach też nie miał łatwego życia.

Nie, to kłamstwo. Na pewno wtedy tak nie myślałam. Tylko tak wkładałam to sobie w usta za wtedy, podczas gdy leżę tutaj poza moim życiem, już ponad nim, kiedy już w stanie rozkładu oddycham jeszcze jak człowiek, który już płynie ponad wszystkim i ogląda żywot z góry w całej jego kruchości, przebiera wszystkie odłamki i układa je tak, żeby powstał z nich obraz całego człowieka, całego życia, całego wieku.

39

BÓG KŁAK

2009

Lóa poszła. Czy zostawiła mi coś do jedzenia? Tak, coś tam stoi. Co to takiego? Chudy twarożek? Kleik owsiany? Ależ jestem zapominalska! Przecież dopiero co to jadłam. Teraz nawet nie wiem, czy jestem głodna. Albo czy byłam głodna i teraz jestem najedzona. Już sama nie wiem, co jeszcze mam w żołądku. Wszystko przeze mnie przelatuje.

Nie wiem też, jaki dzisiaj jest dzień. Im bardziej zbliża się ogień, tym dni mają coraz mniejsze znaczenie. Cóż innego widzi się przez okno niż to szare jak śluz alg niebo i pogięte przez wiatr drzewa z ich rzadkimi liśćmi, przypominającymi żółtą od smarków chusteczkę? To najlepiej pokazuje, jakim smętnym katarem jest islandzkie lato. Pluję na te gluty, które nam się wciska jako coś normalnego, a przecież pamiętamy jeszcze życie w piękniejszym świetle niż ta szara zupa, jaką tworzy pluający od niechcienia deszczyk, który kapie z szarego nieba, mokrego i śmierdzącego jak psi brzuch.

To obrzydliwe psie niebo. Sentymentalni poeci byli na tyle głupi, żeby opiewać je w orgiach wzruszeń, jak gdyby cholernym obowiązkiem islandzkich gryzipiórków było wychwalanie swojego kraju. Czasem może potrafi on nawet wytrząsnąć z brudnego lodowcowego rękawa kawałek pięknej pogody, częściej jednak obdarowuje nas błotem i chlupą, do tego beka i pierdzi ze swoich szczelin i rozpadlin.

Obrzydliwość!

Tak, znużone deszczem drzewa gną się i schylają pod wpływem fali zimna, którą bóg pogody zesłał nam od razu na kilka tygodni z góry.

Ale jak już powiedziałam, jako skazany na materac człowiek: z biegiem życia dni stają się coraz cieńsze. Kiedyś były bardziej intensywne. Jeszcze to pamiętam. Kiedyś prężyły się apetyczne, jak szesnastowarstwowa kanapka, dzisiaj są niczym więcej jak prześwitującym smętnie kawałkiem chrupkiego chleba. Właśnie, tak to wygląda. Kiedyś dni były pełne i soczyste, a nasze życie cienkie. Teraz jest odwrotnie.

Początkowo rzeczywistość wydaje się nam, w przeciwieństwie do nas samych, tak potężna, że chcemy ją w siebie wchłonąć. Marnujemy życie na to, żeby ją łykać wielkimi kęsami, aż wreszcie odkrywamy, że z niej nie da się nic wydusić, bo to my sami jesteśmy o wiele ważniejsi niż dzień, godzina i cała ta reszta zwana rzeczywistością.

To dla mnie prawdziwe wyzwolenie, nie musieć wstawać z łóżka, nie nalewać do kubka porannego mleka i nie podchodzić do drzwi, nie otwierać listów, nie oglądać telewizji ani nie rozmawiać przez telefon. Życie stało się dla mnie przyjemne dopiero wtedy, kiedy nie muszę go już żyć, tylko mogę się w ukryciu nim napawać. Niech nikt mi nie współczuje, że w tej nudnej dzielnicy wegetuję sobie w szopie na samochody, bo właśnie tutaj odnalazłam samo życie. I boga. Kiedy mam na nosie okulary, mogę go dostrzec na podłodze przy umywalce: maleńki, lekki jak piórko i przejrzysty kłaczek kurzu. Nazywam go bóg Kłak. I oddaję mu cześć takim czterowierszem:

Mój bóg to kurzu drobina, ja twarda starowina, niech on ze mną nie zaczyna, tylko mi ześle dobrego wina. Szczęście to nie posiadać nic i wierzyć w boga Kłaka.

Czasem patrzę ponad brzegiem łóżka i widzę tam w dole siebie w życiu, małą niczym pieg na odległej twarzy, jak siedzę w kuchni u tej skąpej dziwaczki, smutna z powodu ćwiartki drożdżówki i zmęczona prześladowaniami przez duńskie dzieci, a równocześnie płonąca z ciekawości wszystkiego, co wtedy wisiało w powietrzu, kiedy dzień codzienny nie był szary, tylko czarny.

Oczywiście wojna to była niezła zabawa. Oczywiście nie chciałabym, by mnie ominęła. Czasem żyło się tak intensywnie, że chwila niemal wibrowała, jak dźwignia zmiany biegów starego traktora.

Człowiek zawsze potrzebuje katastrof, więc jeśli nie dostarcza ich natura, załatwia je sobie sam. To jest prawdziwa przyczyna naszego kryzysu. Lud od dziesiątków lat nie musiał się zmagać z lawą czy epidemiami. Wojna w kraju pozbawionym armii też nie była raczej możliwa. A więc coś trzeba było zrobić. Mężczyźni, którzy przeżyli drugą wojnę światową na pierwszej linii frontu, zapewniali mnie, że żołnierskie życie wcale nie było takie najgorsze. Pod jednym względem nawet było lepsze od dnia codziennego w czasach pokoju, pod względem całkowitego stopienia się z terażniejszością. Ludzie żyli nieustannie w Tu i Teraz. „Czasem nie pojmuję, jak człowiek to wytrzymał, całymi dniami czołgać się w lodowatym błocie albo przez kilka tygodni trząść się z zimna w jakimś zaśnieżonym okopie. To było chyba najgorsze. Albo z trzydziestoma kilogramami rynsztunku na plecach maszerować pięćset kilometrów w dziurawych butach. Choć równocześnie było w tym coś takiego, że nie można narzekać - w niewytłumaczalny sposób człowiek był szczęśliwy. Dzisiaj budzę się rano i zaczynam się martwić, czy szefowi spodoba się mój raport albo czy nie zdradza mnie żona. Brakuje mi kul świszających tak blisko, że robią mi przedziałek we włosach”.

Tak mniej więcej mówił pewien Węgier, którego spotkałam krótko po wojnie w pociągu w Argentynie.

W czasie wojny wszystkim jest dobrze, bo nikt nie musi sam o niczym decydować. Kiedy nastaje pokój, zaczyna się epidemia nieszczęść, bo ludzie muszą sami wybierać. Wszystkie wojny biorą się z bezgranicznego pragnienia szczęścia u ludzi. I mało czego boją się oni bardziej niż wiecznego pokoju na świecie.

Niewielu rzeczy ludzie obawiają się tak jak brania odpowiedzialności za własny los, nie mówiąc o losie innych. Ze swojej natury człowiek jest raczej mrówką i wolałby być

wieziony przez wielkie zębate koło losu niż pchać rękę między jego szprychy. Najmniej się pali do tego, żeby samemu przejąć rolę losu, dlatego tak podziwia tych nielicznych, którzy to robią.

Jeśli chodzi o losy, wojna jest tu najradykałniejszą zmianą. Dlatego w czasie wojny jest nam dobrze, odczuwamy wewnętrzny spokój. Druga wojna była pod tym względem szczytem marzeń, gdyż była, jak określił ją Goebbels, wojną totalną. Była wszędobylska i wszechogarniająca, rozpostarła się nad całym kontynentem i nad każdym pojedynczym człowiekiem, nikogo i nic nie pozostawiła nietkniętym. Nawet kobiety, która nie godziła się na udział w niej i zabarykadowała się za siedmioma drzwiami z siedemnastoma butelkami likieru.

41

SKAZANA NA KOBIECOŚĆ

1940

Kiedy opuściłam mieszkanie pani Dróźdzówki z Cynamonem, poszłam na trzecie piętro. Nie mogłam iść do domu, nie zajrzawszy do Anneli.

Ale zanim zdążyłam nacisnąć jej dzwonek, otworzyły się drzwi naprzeciwko i jeszcze jedna kopenhazanka chciała ze mną rozmawiać.

- Ach, to znowu ty? - Jej głowa wyrastała z wzorcowego garbu, podobnie jak zwinięty w kłębek sweter wystaje z niedomkniętej szuflady. Miała wielki nos i grubo upudrowane policzki.

- Czy dzisiaj nie jest piątek?

Odwrociłam się i zadzwoniłam do drzwi Anneli.

Właśnie, taka była wojna. Na każdym piętrze w Kopenhadze mieszkały kobiety... nie, powiedzmy raczej: na wszystkich piętrach Europy, w Oslo, w Lyonie czy Lublanie, wszędzie były zamknięte drzwi, za którymi czał się ciężki los. Można było zapukać do pierwszych lepszych i one otwierały się jak tysiąc stron powieści, tragicznej, smutnej, pełnej fatalizmu, bajkowej, niewiarygodnej i przede wszystkim o wiele za długiej! Anneli podeszła do drzwi w jasnym szlafroku i zaraz wróciła do łóżka. Jej włosy, nieupięte, opadały jej na plecy. Były o wiele dłuższe, niż się spodziewałam. Poszłam za nią i usiadłam na krawędzi łóżka.

- Późno dzisiaj przyszłaś - wyszeptala słabym głosem.

- Tak.

Była niewiarygodnie piękna, kiedy tak leżała z głową do połowy zapadniętą w wielką, grubą poduchę. Jej blada twarz była otoczona masą nieposkromionych czarnych pukli.

- Gdzie byłaś?

- Ja...

Dalej nie dotarłam. To była moja pierwsza zdrada. I to w dodatku z dziwką. I z wariatką. A obie były nawalone jak stodoła.

- Nie możesz dzisiaj u mnie być za długo. Jestem taka zmęczona.

- Nie, nie. Dobrze. Zaraz sobie pójdę. I tak jest już późno.

- Czy zapamiętasz jedną rzecz, jeśli cię o to poproszę, Dano? Zrobisz to dla mnie?

- Tak. A co?

- Zawsze o tym pamiętaj, przez całe twoje życie... Nie daj się im złapać.

- Dobrze.

- Tak. Oni będą próbowali.

- Niemcy?

Uśmiechnęła się słabo jak kwiat, który rozchyła płatki na słońcu.

- Mężczyźni.

- Mężczyźni?

- Tak. Powinnaś się ich strzec!

Bardzo powoli zamknęła oczy. Rzęsy opadły jej na policzki jak skrzydła motyla.

- Wszystkich mężczyzn? Nie tylko Niemców?

- Wszyscy mężczyźni to Niemcy.

Najwyraźniej widziała w tym jakieś drugie dno, bo wydało mi się, że w kącikach jej oczu widzę delikatny uśmiech. Ale byłam przecież zaledwie jedenastoletnią dziewczynką.

- Mój tata nie. On jest Islandczykiem. Ani twój mąż. Czy on nie jest Włochem?

- Dano, obiecaj mi coś jeszcze!

- Co?

- Nigdy nie stań się kobietą!

Teraz już całkiem mnie zatkało.

- Nie być kobietą?

- Właśnie. Kobiety mają ciężko. Zostań człowiekiem. Ale nie kobietą.

- Słucham?

- Naprawdę. Obiecaj mi! Nie być kobietą.

Powtórzyła to prawie niedosłyszalnie, jak ktoś, kto biegł ze wszystkich sił i teraz wyczerpany dopada celu, żeby dysząc, przekazać ważną wiadomość. Po każdym zdaniu przymykała oczy. Była tak piękna, kiedy leżała wśród pościeli. Niemal chciałam ją pocałować, jej czerwone usta, choć wydawało się to takie dziwne. Zapragnęłam wilgotnego i

soczystego pocałunku, dotknąć jej pełnych warg moimi, jej języka moim. Skąd to się nagle pojawiło? „Nigdy nie stać się kobietą”. Czyżbym stała się mężczyzną? Wszystko na to wskazywało, jak gdyby bogini miłości Anneli swoimi słowami zmieniła mnie w mężczyznę. W moim wnętrzu zapłonął nieznany mi przedtem ogień. Już nie byłam dzieckiem. Nagle stałam przed nią niczym krasnoludek dręczony wilgotnymi snami przed Śnieżką, porażony pięknem jej hebanowych włosów, skórą białą jak śnieg i ustami czerwonymi jak krew.

- Popatrz na mnie! Leżę tutaj, tylko z tego powodu, że... Być kobietą to jest jak... To tylko choroba.

- Co?

Byłam aż zdrętwiała z pożądania.

- Bycie kobietą to choroba. Śmiertelna choroba. Jedynym lekarstwem byłoby stać się mężczyzną, ale... W końcu nazywają nas słabą płcią i przez cały czas chodzi im tylko o to, żebyśmy znalazły się w łóżku... - Ostrożnie zerknęła na lśniący biały nocny stolik. Na otwartej kopercie leżał tam list. Był złożony dwa razy i jedna część sterczała tak, że przeświecało przez nią światło nocnej lampki. Widać było niezdarne litery pisane niebieskim atramentem.

Znów spojrzała na mnie i powiedziała:

- Wszyscy mężczyźni to Niemcy. Pamiętaj o tym, Dano! I obiecuj mi, że nigdy nie będziesz nosiła żółtej gwiazdy!

Te słowa powiedziała tak cicho i spokojnie, że nie pasowało to do ukrytej pod spodem męki. Jeszcze raz pozwoliła opaść rzęsom w dół, potem znów na mnie spojrzała i powtórzyła:

- Nigdy żółtej gwiazdy.

Nie miałam pojęcia, że ta kobieta, która mogłaby występować jako modelka w reklamach wina i róż, ma w swoich żyłach tak waleczną krew. Zakładałam, że jej bogiem jest miłość. Że przede wszystkim jest kobietą, a dopiero potem człowiekiem. Tę lekcję zapamiętałam lepiej niż jej poprzedni wykład o organach miłości, może właśnie dlatego, że nie do końca zrozumiałam sens jej przesłania o żółtych gwiazdach i mężczyznach, którzy jak jeden mąż byli Niemcami. Czasami człowiek lepiej zapamiętuje to, czego nie rozumie. Ale pojęłam mniej więcej, o co jej chodziło, i postanowiłam nigdy nie kochać tak głęboko, żebym z miłości musiała kłaść się do łóżka (chyba że po to, żeby ją uprawiać). Co mi się nie do końca udało. Nigdy nie kochałam w stu procentach. To byłoby nierozsądne. Nikt nie miał prawa ugotować mojego serca na miękko. Albo lepiej - poćwiartować go i jedną czy dwie ćwiartki usmażyć na patelni, a resztę wsadzić do zamrażarki.

Pod koniec swojego wykładu Anneli była już bardzo wyczerpana i mówiła z

zamkniętymi oczami. Wstałam. Ujęła moją dłoń swoją miękką, pulchną ręką. (Teraz widzę, że jej policzki i dłonie były mocno opuchnięte z nieszczęścia i od lekarstw). Pochyliłam się nad nią i ucałowałam w policzek; na moich wiosennych wargach poczułam jej jesienny chłód. Pocałunek był pozbawiony żądz. W ten sposób ostatecznie utraciłam niewinność.

W głebie mojej duszy łądyżka kwiatu wystawiła na wierzch swoją małą jak pączek główkę, czarną i owłosioną: niezapominajka zaczęła się ukorzeniać. W jedenastoletniej dziewczynce dorosła już kobieta. A ja od razu ją odepchnęłam. Czyż właśnie nie tego oczekiwała ode mnie Anneli? Całkiem się pogubiłam wśród wszystkich przekazów tego dnia.

Anneli uśmiechnęła się do mnie przyjaźnie i wskazała oczami piękną szkatułkę, która stała na krześle obok otwartych drzwi. Miała wielkość pudełka od cygar, jakie widziałam u dziadka, była prostokątna, wykonana z czarnej laki, ozdobiona czarnymi koralikami, a w jej wieczku znajdowało się małe lustro. To była kasetka na biżuterię. Otworzyłam miniaturowy haczyk. Kasetka była pusta, ale w domu miałam kilka drobiazgów, które Anneli dała mi w ciągu ostatnich tygodni, mogłam je włożyć do środka. Wnętrze pudełka obite było różowym aksamitem, który wydzieliał bardzo pociągający zapach. Nachyliłam się nad nim i wdychałam ciężką woń, stanowiącą mieszankę najróżniejszych perfum, które w magicznych momentach znajdowały się na uwodzicielskiej skórze i mieszały się z zapachem ciała, potem z wgłębienia szyi i z rosą pod pachami.

Poczułam, jak wabi mnie ten kobiecy zapach: chodź, chodź, dziewczynko! Także i ty zostaniesz kobietą. Nie myśl sobie, że przed tym uciekniesz. Chodź, ze swoim dziecinnym łonem i dołeczkami w uśmiechniętych policzkach. Ty też będziesz wlokła przez życie piersi, wcierała w skórę kremy, perfumy i farby, zmagająca się z tłuszczem, krwawiła co miesiąc, przechodziła trudne porody, a twoja wartość będzie spadała, aż niczym jagnię ofiarne pójdziesz do krainy zmarszczek, gdzie wyrzucą cię na śmietnik życia. Kobieta. Kobieta! Więzienne radości czekają cię za czerwonymi firankami. Myślałaś, że jesteś dzieckiem, które staje się dorosłym człowiekiem, a teraz dotarło do ciebie, że będziesz jedynie kobietą.

42

MŁODA WIEDZMA

1940

Po długim dniu w szkole życia, na ulicy Sølvgade 6 w Kopenhadze, wyszłam więc na listopadowe popołudnie ze szkatułką pod pachą. (Szkatułka miała być ostatnim prezentem Anneli dla mnie. Następnego dnia nie otworzyła mi drzwi. Może umarła, a może tylko miała mnie dość? A może wreszcie się zebrała i jechała teraz pociągiem po wyciągniętym ramieniu

Hitlera w dół, przez ramię i szyję, do jednego ucha, potem z drugiego prosto do państwa Mussoliniego?) Przy ulicy kawałek dalej w poziomych promieniach słońca jarzył się kolorami jesienne złoty park Rosenborg. Powietrze było przesycone przyjemnym chłodem, który w mojej dziecinnej niewiedzy kojarzyłam zawsze z grubymi kamiennymi murami. Myślałam, że w murach tkwi zamrożone jądro, które trzyma się przez zimę, a w lecie po cichu się poci, ale promieniuje chłodem, kiedy tylko słońce przestaje oświetlać mur.

Czekałam chwilę w sieni domu, wyglądając na ulicę. Ale w pobliżu nie widziałam żadnych uczniów, więc puściłam się sprintem do następnego rogu i skręciłam w Kronprinsessegade, gdzie zwolniłam i zdyszana szłam dalej w kierunku centrum miasta, trzymając w dłoniach słońce i moją małą szkatułkę.

Na ulicy było niewiele przechodniów, więc odważyłam się wypróbować nowy rodzaj chodu, jakiego wymagał ode mnie ten dzień. Miałam wrażenie, jakby w moich krokach była swego rodzaju elektryzująca kobiecość, szłam wyprostowana i pewna siebie, czułam się trochę bardziej Daną. Moja szkolna spódniczka z grubej wełny ocierała mi się o nogi, które były gołe powyżej czarnych butów z paskiem i białych podkolanówek. Rano buty były jeszcze płaskie, teraz wydawało mi się, jakbym szła na wysokich obcasach. O tak, stałam się kobietą, właśnie tym, czym na prośbę Anneli nie miałam być. Dlatego ów pewny siebie, uwodzicielski krok łączył się z wyrzutami sumienia, a co jest bardziej dorosłe niż palące poczucie winy, że jest się zbyt sexy? Sexy była kobieta fatalna, na której widok mężczyźni wywieszali języki.

Mężczyzna w jasnym płaszczu i ciemnym kapeluszu zbliżał się z naprzeciwka. Trzymałam swój kurs, ze szkatułką kobiecości pod pachą. Szedł szybko, z głową nieco wysuniętą do przodu, kapelusz ocieniał mu twarz jak tarcza. Z pewnością był Niemcem. Kiedy znalazł się bliżej, ukazał się jego podbródek, potem nos i nie dało się tego przeoczyć, że wyglądał jak Tyrone Power, obiekt westchnień wszystkich kobiet w kinie. Miał być pierwszym mężczyzną, który stanie się świadkiem narodzin mojej kobiecości. Czułam, jak przy tej myśli rośnie moja nowa czarodziejska moc. Przy jej pomocy z łatwością będę mogła rzucić sobie do stóp tego kapelusznika. Za kilka sekund zacznę lizać to siedlisko rozkoszy, jakim stało się moje ciało, a po dziewięciu krokach we łzach będzie błagał świeżo wyklutą z dziecka młodą panienkę, by poszła z nim na kolację do d'Angleterre, a później na film do Dagmar-Theater. Wieczór miał zostać ukoronowany namiętną miłosną zabawą w koi w Nyhavn. (Dziecko nie potrafiło dojrzeć szczegółów, widziało tylko martwą naturę złożoną z ognia, kapelusza i gołych dziewczęcych kolan).

Poczułam się tak pewnie i zwycięsko, że na twarz wystąpił mi szatański uśmiezek i

nie mogłam za nic w świecie pojąć, dlaczego kobiety miałyby być podporządkowane mężczyznom, skoro posiadały nad nimi taką władzę. Podchodziliśmy do siebie coraz bliżej, nie odrywałam wzroku od runda jego kapelusza; zaraz wyskoczą spod niego dwie iskry, prosto w moje rozognione szaleństwo. Żeby mieć całkowitą pewność zwycięstwa, chciałam otworzyć moją panseksualną Puskę Dory i wspomóc się buchającym z niej duchem kobiecości.

Zameczek się zaciął. Nie mogłam otworzyć tego przeklętego pudła. Kiedy znów podniosłam wzrok, mężczyzna już mnie minął. Patrzyłam tylko za moim pierwszym dorosłym księciem, jak pospiesznie umyka w dół ulicy.

Prychnęłam z pogardą, znów nachyliłam się nad szkatułką i po krótkich manipulacjach wreszcie ją otworzyłam. Łapczywie wetknęłam do środka nos, wciągnęłam zapach kobiety głęboko aż do środka mózgu i poczułam, jak w moim łonie pęka łodyga, za sutkami pojawiło się dziwne ogłuszające uczucie. Przed oczami zrobiło mi się czarno, ale zamiast upaść zemdlna, szłam z kłapiącym wieczkiem szkatułki wzdłuż ogrodzenia, i toczyłam ślinę sparaliżowana pożądaniem.

W ogrodzeniu znajdował się mały murowany domek, neoklasycystyczna świątynia, w której później, jak mi się wydaje, urządzono restaurację, ale wtedy był to przybytek użyteczności publicznej, jak głosił duński napis. Nie widziałam nigdzie babci klozetowej, poszłam do damskiej toalety, zarygnowałam drzwi, odstawiłam tornister i skrzynię życia, a potem popatrzyłam na siebie w zaparowanym lusterku. Następnie rozpięłam bluzkę i widok mojego ciała wywołał u mnie jeszcze większe pożądanie, obnażenie załączków piersi podnieciło mnie niemal do nieprzytomności. Zaczęłam pocierać mój kwiat życia o twarde i zimny brzeg porcelanowej umywalki, potem o jej róg, co okazało się jeszcze przyjemniejsze. Zaraz odkryłam w kącie szczotkę do podłogi, którą powodowana żądzą łapczywie chwyciłam, włożyłam sobie między nogi i zaczęłam ujeżdżać jej gruby trzonek jak wiedźma z epilepsją, powtarzając przy tym po duńsku:

- Wszyscy mężczyźni to Niemcy. Wszyscy mężczyźni to Niemcy.

Magiczne poczucie w kroku narastało z każdym ruchem i wypełniało centrum rozkoszy falą doznań niczym miskę kaszą. W końcu schwyciłam kij mocno w obie ręce, z całych sił przycisnęłam do łechtaczki, potem nie zmniejszając nacisku, zjechałam w dół i poczułam to, co kobiety nazwałyby przedsmakiem orgazmu. Ale na pierwszy raz było tego aż nadto. Jeszcze przez dłuższą chwilę siedziałam skulona na brudnej podłodze, gapiłam się na lśniące białe flizy i zadawałam sobie pytania, których było tyle samo ile żółto rozjarzonych gwiazd, jakie krążyły mi przed oczami.

Pod wycięciem drzwi damskiej toalety zauważyłam po drugiej stronie parę grubych, zużytych kobiecych nóg w schodzonych drewniakach, które z towarzyszeniem odgłosu szurania ścierki sztywno chodziły tam i z powrotem.

Wstałam pospiesznie, przesadnie głośno spuściłam wodę, jak w kiepskiej sztuce za kulisami, wzięłam szkatułkę oraz tornister i poszłam. Za drzwiami zobaczyłam starą wiedźmę w niebieskim fartuchu z kijem rozkoszy w ręce. Wtedy zrozumiałam, dlaczego mężczyźni nazywali wiedźmami kobiety, które wołały kij od miotły. Też byłam wiedźmą. To wyobrażenie towarzyszyło mi przez całe życie i nigdy nie było silniejsze niż dzisiaj, choć już od dawna nie zajmuję się tym procederem. Nigdy nie uważałam się za piękną i miłą kobietę. Mężczyznom mogłam się wydawać miła, zabawna, dobra do łóżka. Ale nigdy nie byłam dobrą i miłą kobietą. Nie, naprawdę nią nie byłam, nigdy. Byłam wiedźmą.

43

JA I JA

1940

To był wielki dzień w małym życiu. Dziewczynka ze Svefneyjar nie szła do góry po drabinie, ale po kiju od szczotki.

Przypominam sobie teraz to wszystko. Mając osiemdziesiąt lat, znów stoję obok mojego jedenastoletniego Ja przy balustradzie kanału w Kopenhadze lat wojny i patrzę na miasto. Jesteśmy jak identyczne bliźniaczki, jedna młoda, druga stara, jedna w granatowej spódnicy, druga w rozczochranej peruce, ze zdemolowanymi piersiami, w wykrochmalonej, białej szpitalnej koszuli i kapciach rozdeptanych przez spocone stopy.

Czubki wież sięgają wysoko w pole widzenia. Za nimi: Morze Bałtyckie, które miało pochłonąć jeszcze niezliczone ilości ludzkich istnień; jeszcze dalej na tatę i miliony jego kompanów czekała rosyjska zatoka. Na razie wciąż są w domu i trenują samobójczy taniec, który mają wykonać w skutych lodem pustkowiach.

Tak, moja staruszko, wędrujesz po swoich dawnych śladach. Może zresztą to największa zaleta starzenia się: człowiek dostaje darmowy przelot po własnym życiu i może sobie tu i ówdzie skoczyć ze spadochronem, wylądować obok siebie na jakiejś ulicy i lekko poklepać się po ramieniu. Gdyż posiadasz tak wiele różnych Ja, kobiety. Wiedziałam to już dość wcześnie i teraz dalej o tym wiem: życie gryzie się we własny ogon i kto w trudnych chwilach stoi samotnie, nigdy tak naprawdę nie jest sam, gdyż jego własne późniejsze Ja przecież też tam jest, tak samo jak moje młode Ja teraz jest przy mnie. W każdym dziecku kryje się też stara baba, w każdej starej babie tkwi dziecko.

Spoglądałam za sobą, jak idę wzdłuż Gammel Strand, z głową pełną myśli: tak, to na pewno było dziwne odkrycie, kiedy miękki daktyl zamieniał się w twardą lodygę, która w rozkosznych dreszczach pęka i się otwiera, aż nie mogłam się doczekać, kiedy znów będę mogła to poczuć.

Zanim weszłam do domu, schowałam szkatułkę rozkoszy do tornistra. Mama powitała mnie z ulgą:

- Już się zaczynałam martwić.

Stała w czerwonej ramie drzwi, w swojej całej kobiecej wspaniałości, spocona od sprzątanía. Jedną rękę oparła w górze o framugę, tak że odsłoniła swoje futrzane zwierzątko w zagłębieniu pachy. Jej spódnica była tak opięta, że miękki brzuch zwisał nad paskiem. Mama była kobietą bardzo powiązaną z ziemią. Porządnie spoconą kobietą ze wsi, która absolutnie nie pasowała do tych drzwi, do tej klasycznej, mieszczkańskiej i pomalowanej na wysoki połysk framugi.

- Czy coś się stało?

- Nie, nie - odpowiedziałam ze wzrokiem utkwionym w jej pantoflach, jak dręczony wyrzutami sumienia pijak, i miałam nadzieję, że ona tego nie widziała. Nie widziała, że jej dziecko zniknęło, a na jego miejscu pojawił się lubieżny karzeł z płonącym krzakiem w kroku i tęsknie spragnionymi wargami, które chciały całować wszystko i każdego. Który na ulicy zaczął się na mężczyzn, a w publicznych toaletach robił sobie dobrze kijem od szczotki. Jednak ona zdawała się nie widzieć tego, co w moich oczach było tak widoczne i ewidentne, więc siedziałyśmy w milczeniu i jadły kolację, klopsiki w sosie, same w kuchni zaprojektowanej, by nakarmić sto osób za wahadłowymi drzwiami.

44

SWATKA

1940

Pierwszy grudnia przyniósł wielką zmianę. Choć sprzedaż domu przy Kalvebod Brygge nie była możliwa, dla personelu islandzkiej ambasady w Kopenhadze był to ostatni dzień pracy.

Helle, nasza kochana Helle, zegnała się we łzach i obiecała, że przyjedzie do mamy na Islandię, gdy tylko skończy się wojna i uda jej się znaleźć męża. Mama podała jej w drzwiach chusteczkę. Dopiero wtedy przysadzista kobieta zanosła się płaczem na dobre, bo przecież wcale nie było takie oczywiste, czy trafi jej się jakiś facet.

- Nikt nie będzie chciał takiej starej panny jak ja!

Obejrzałam ją od stóp do głów i już miałam skinąć twierdząco, ale mama miała większe mniemanie o duńskich mężczyznach i zapewniła ją, że faceci na Jutlandii, gdzie Helle dostała posadę kucharki w internacie dla dziewcząt, będą się ustawiali w kolejce do kobiety, która karmiła nie tylko ambasadorów i ministrów, lecz nawet artystów takich jak Poul Reumert i Elsa Sigfúss.

- Ale przecież to jest szkoła dla dziewcząt... - skarżyła się dalej Helle.

- No to pojedziesz na targi rolnicze do Hobro - odparła mama z niewzruszonym optymizmem. - I wybierzesz się na bal.

Na moment w oczach rumianej kobiety zajaśniało coś w rodzaju nadziei, ale zaraz znów zgasło.

- Może nawet znajdę jakiegoś mężczyznę, ale dzieci już nie będziemy mieć, bo... bo już jestem na to za stara.

I znów zaczęła głośno szlochać. Mama wepchnęła ją z powrotem do mieszkania, wniosła walizki i zamknęła drzwi. Mnie posłała na dół, żebym uprzedziła kierowcę, że to jeszcze trochę potrwa, więc jeśli chce, może wejść na górę. Kiedy zeszałam i zobaczyłam Rainera stojącego na podjeździe w służbistej postawie na baczność obok wypucowanego na błysk auta niczym księżę motoryzacji w rękawiczkach, przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Czy nie potrzebuje pan żony?

- Żony?

- Tak. Nie ożeniłby się pan z Helle? Ona potrzebuje męża.

- Helle?

- Tak, nie sądzi pan, że jest piękna i dobra?

- Ekhm. Ja... szczerze mówiąc, nie bardzo...

- Umie dobrze gotować, ma solidny biust i jest jeszcze dziewicą.

- Tak?

- Niedługo będzie pan miał sześćdziesiąt lat. Lepsza żona się już panu nie trafi.

Niemiecki Francuz uśmiechnął się sam do siebie.

- Cóż, he, he, chyba to prawda, chyba lepsza mi się już nie...

- To mogę jej powiedzieć, że chce się pan z nią ożenić?

- Och, nie. W żadnym wypadku!

- Dlaczego nie?

- Eh, a więc... po pierwsze, najważniejsza zasada brzmi, że szofer nigdy nie miesza się w sprawy domu. Helle jest kucharką.

- Ale pan nie ma przyszłości. Brakuje panu żony.

- Nie - odparł z westchnieniem i odruchowo uniósł dłonie. - Nie, w żadnym razie nie brakuje mi żony.

Ale ja i tak zarejestrowałam to drobne wahanie w jego głosie i spojrzeniu. Dlatego pobiegłam z powrotem na górę i zakrzyknęłam na całe gardło:

- Wszystko w porządku, Helle. Rainer zgodził się zostać twoim mężem.

- Słucham?

Zrobiła minę jak płaczące dziecko, któremu obiecano kawałek ciasta.

- Rainer chce się z tobą ożenić.

- Rainer?!

Siedziała na pluszowym taborecie przed fortepianem w salonie i patrzyła na mamę zaczerwienionymi oczami spośród mokrych policzków; potem wybuchnęła śmiechem jak bomba konfetti. To wydawało się jej niesłychanie śmieszne.

- Rainer? - Zaśmiała się jeszcze głośniejsze. - Rainer i ja?

Wtedy i mamie przyszedł do głowy pewien pomysł. W kapciach zeszła na dół i przekazała Rainerowi nowe polecenie. Zamiast zawieźć Helle na dworzec, jak pierwotnie było zaplanowane, miał samochodem ambasady pojechać z nią aż do Jutlandii. Najwyraźniej w oczach uprzedzająco grzecznego szofera wyczytała coś o brakujących drogach i mostach, bo dodała jeszcze:

- Czyżby to... było niemożliwe?

- Będziemy próbować.

45

WYSPIARSKA BIEL

1940

Mama i ja zostałyśmy same na dwustu metrach kwadratowych i jak zbłąkane owce tkwiłyśmy w rozdziale historii Islandii, który wprawdzie już został napisany, ale jeszcze nie ukazał się drukiem.

U Anneli ciągle napotykałam zamknięte drzwi, a wkrótce potem moje „szkolne wyprawy” nagle się skończyły. Zastępca dyrektora szkoły wezwał moją matkę i oświadczył, że jej córka od pięciu tygodni nie pokazywała się w szkole. Mama stała przed nim jak rażona gromem. Kiedy otrząsnęła się z pierwszego szoku, odwróciła sytuację i w najlepszym breiðafjordzkim stylu obsobaczyła duńskiego dyrektora szkoły: jak to możliwe, do diabła ciężkiego, że zwlekał z zawiadomieniem jej aż pięć tygodni? Przecież przez ten czas dziecko

mogło wylądować Bóg wie gdzie!

Jej wściekły ton i nieporadna duńska wymowa jeszcze potęgowały wrażenie. Jasne było, że oto stoją naprzeciw siebie dwie osoby, z których żadna nie ma racji.

Spróbowałyśmy zrobić w tej sytuacji najlepsze, co było w naszej mocy, i tak te kilka tygodni do świąt było dla mnie chyba najpiękniejszym okresem ze wszystkich lat wojny. Przyznałam się mamie do wagarów i opowiedziałam, jak mnie traktowano w szkole, przy czym te najgorsze rzeczy trochę łagodziłam. Mimo to zaczęła płakać, przycisnęła mnie do siebie, niemal dusząc swoimi gęstymi, czarnymi włosami. Potem postanowiłyśmy, że do świąt będzie mnie uczyła w domu. Teraz w dzień była wolna, a do Bożego Narodzenia powinno nam jeszcze wystarczyć pieniędzy. Opowiedziałam mamie o skąpej staruszce i o jej jednoosobowym państwie i od tego czasu robiłyśmy coś podobnego: prawie nie wychodziłyśmy z domu, a nasze mieszkanie nazwałyśmy Islandią. Też leżało na drugim piętrze, jak Dania z ulicy Sølvgade, poza tym oba mieszkania wyglądały podobnie - obydwie były wyspami unoszącymi się w powietrzu.

Siedziałam na parapecie z czołem przyciśniętym do zimnej szyby i przyglądałam się, jak pierwsze płatki zimy tańczą w powietrzu krótkich dni, zanim nie opadną na okupowaną ziemię.

Mama uczyła mnie duńskiego, rachunków i ortografii, ale też szycia i gotowania: nauczyłam się przygotowywać owsiankę, sos beszamelowy, purée ziemniaczane i brązowy sos mięsny. Ale najlepsze były lekcje, które nie miały konkretnego tematu, za to obejmowały wszystko.

Pod sufitem wysokim na cztery metry matka gotowała jajka, a ja leżałam na sofie i czytałam list od taty: „Budzą nas o czwartej nad ranem, jak oni tu mówią”. Raz mama weszła do pokoju, postukując obcasami, i na środku obróciła się wokół własnej osi.

- Jak ci się podoba taka wielka, wielka dama?

Cieszyła się, że może przymierzyć trzydzieści par butów, które babcia zostawiła w szafie. Na wypastowanych do połysku podłogach obcasy robiły porządny hałas. Mama Masza, masywna kobieta. W drodze do pokoju czasem przystawała przy fortepianie i palcami gładziła stojak na nuty, jakby powodowana głębokim pragnieniem wydobycia czegoś pięknego z tego trójnogiego stwora. To było coś podobnego jak obmacywanie kobiet przez mężczyzn. Kto nic nie może, do wszystkiego się bierze, mawiała babcia Vera.

Odłożyłam na bok list, oczekując na kolejny występ obuwniczy. Miałam okazję dokładnie przyjrzeć się mojej matce, podziwiać tę piękną, bardzo, bardzo kobietą kobietę. Jej uda stały się dość masywne, a brzuch trochę wystawał, podczas gdy biust się skurczył. Włosy

nadal były gęste i tworzyły wyrazistą ramę wokół jej świeżej, czerstwej twarzy, która ze swoją jasną cerą i czerwoną szminką przypominała nieco twarzyczkę Anneli, choć poza tym obydwie były zupełnie różne. Mama była piękna po islandzku, tak jak mówi się, że usypisko głązów w Þórsmörk jest piękne. Choć można to samo powiedzieć też i o duńskim bukowym zagajniku, to oczywiście chodzi tu o inny rodzaj piękna. Mama miała piękne brwi i tę wyspiarską biel skóry, tę jasną cerę, której zawsze jej zazdrościłam, i która zrobiła takie wrażenie na tacie.

Jeszcze w wieku czterdziestu lat zdarzało mi się w barze Naustið, że zmęczeni i zalani w trupa faceci u mojego boku szeptem wychwalali cerę mojej matki. Moja tymczasem wyglądała jak lniane płótno rozpięte na stelażu, pełna przebarwień od papierosów i alkoholu.

- Mamo, czy ty zostawiłaś tatę? - zapytałam na końcu tego pokazu mody.

- A czy to nie on mnie zostawił?

- To znaczy, kiedy on wróci, nie będziesz chciała, żeby znów z nami zamieszkał?

- Jeśli wróci... - Przez wzgląd na mnie nie dokończyła tego zdania i powiedziała tylko:

- Nie wiem. A co ty byś wolała?

- Ja? Ja chcę, żeby Mały Hjalti udusił się od tego całego krzyku, żeby wszystko się skończyło, niech tata wreszcie wróci, żebyśmy mogli wrócić na Islandię. Nie, do domu na Breiðafjörður. Jutro!

Moja matka uśmiechnęła się, nie otwierając ust, przekrzywiła głowę i zaśmiała się głośno.

- Ach, moja maleńka.

Potem podeszła do mnie, opadła na sofę, zmierzwiła mi włosy, jakby chciała powiedzieć, że to było głupiutkie marzenie, aż w końcu mnie przytuliła. To było cudowne uczucie.

- Jutro! - przedrzeźniała mnie ze śmiechem, a potem zaraz spoważniała: - Też sobie tego życzę, naprawdę, żeby to całe szaleństwo już jutro się skończyło.

- I wtedy przyjąłabyś tatę z powrotem?

Skierowała na mnie błękit swoich oczu; pod gęstymi czarnymi brwiami przypominały zachmurzone fiordy. Zaraz odwróciła ode mnie wzrok i przez chwilę wpatrywała się gdzieś przed siebie. Milczała, jak czasem rodzice milczą przed dziećmi, kiedy chcą im powiedzieć o życiu coś, czego nie można wyrazić słowami. Potem wstała i poszła do kuchni. Na nogach miała właśnie wysokie białe trzewiki ze sznurowaniem i szła w nich po żołniersku. Nie było wątpliwości, co jej obcaszy chciały wyrazić.

BBC

1940

Jako że cała Dania znajdowała się pod władzą niemieckiego buciora, trudno było się dowiedzieć, co się naprawdę dzieje. Powiedziano nam, że jedyna możliwość to słuchanie BBC.

Godzinami leżałyśmy w wielkim łóżku mamy i przez cały wieczór słuchałyśmy cicho nastawionego radia, bo u Duńczyków, tak samo jak u Niemców, obowiązywał zakaz słuchania „wrogich rozgłośni”. Żadna z nas nie znała angielskiego; mimo to wyłapywałyśmy pojedyncze słowa: Ribbentrop, Stalin, Finlandia. Przy ich pomocy usiłowałyśmy się domyślić reszty.

Anglicy w ogóle mnie nie obchodzili, uważałam, że są szpetni i arogancy, poza tym zajęli nasz kraj. Potem lepiej poznałam ten naród i stwierdziłam, że Anglicy i Islandczycy mają stosunkowo dużo wspólnego: są tak samo otoczeni morzem i identycznie uparci. Ale u nich konserwatyzm jest tak samo silny jak u nas zachwyty dla nowości. Żadna inna nacja nie byłaby w stanie panować nad setkami kolonii, nie zmieniając się pod ich wpływem. Jedyną rzeczą, jaką Anglicy przekazali Jej Wysokości, jest filiżanka herbaty.

Anglicy mogli pozwolić sobie na wiele rzeczy, za które innych spotkałoby potępienie. Wzbogacili się na swoich koloniach, popełniali zbrodnie wojenne i ciągle jeszcze prowadzą wojny w odległych krajach. Ale to wszystko jest tolerowane, bo oni sami tak *very gentlemanlike* opowiadają o tym w BBC. Zachowują się jak notoryczne łotry, które zawsze o pełnej godzinie spowiadają się ze swoich grzechów i po wiadomościach znów zabierają się do dzieła tam, gdzie skończyli.

Mama przytulała mnie i bawiła się płatkami mojego ucha, a spiker BBC mówił coś o Helsinkach. Z jednym uchem na jej piersi usłyszałam, że jej machina wspomnień zaczęła mrużyć jak kot.

Po chwili zapytała:

- Czy pamiętasz krótkofalówkę w domu?

- Na wyspach? Tak.

- Przypomniało mi się teraz, jak wtedy wszyscy razem siedzieli w chacie i słuchali.

- Tak - szepnęłam.

- Czy pamiętasz jeszcze Poci-Gunnę?

- Nie.

Wtedy mama opowiedziała mi historię Poci-Gunny.

POCI-GUNNA

1935

- Jak wiesz, ona była jedną z kobiet z Gunnabúð, było ich trzy, wszystkie o tym samym imieniu: stara Gunna, Gunna Sveins i Poci-Gunna. Twoja babcia też tam mieszkała. Nigdy nie mówiła na nią Poci-Gunna, tylko zawsze Piecyk-Gunna, bo grzała wszystkich śpiących na poddaszu jak piecyk. Miała w sobie niesłychany żar i zawsze była zlana potem.

A przy tym w środku była niewiarygodnie piękna. Piękna dusza w nieszczęsnym ciele, bo... nie była całkiem słaba na umyśle, choć ludzie często tak sądzą o takich dzieciach szczęścia, ale specjalnie bystra też nie była.

W rejestrach meldunkowych była zapisana jako Guðrún Lárhallsdóttir - musiałam sprawdzić kiedy... Wydaje mi się, że pierwsze lata życia spędziła w Reykjavíku. Urodziła się w tym samym roku co twój ojciec. Kiedy jej rodzice w 1918 roku zmarli na hiszpankę, umieszczono ją u krewnych w Dalir, w rodzinie, która potem rozpadła się w tragicznych okolicznościach. Potem przeszła pieszo praktycznie wzdłuż całego brzegu Skógarströnd, jak worek z pocztą przesyłano ją ze wsi do wsi, aż w końcu, ze sponiewieranym ciałem i duszą, wylądowała na wyspach.

Dopiero później dowiedziałam się, że ona wtedy - wyobraź sobie tylko! - miała już troje dzieci. Do siedemnastego roku życia została trzy razy matką!

Do rodzenia dzieci biedna Gunna się nadawała, ale nie do tego, żeby je zatrzymać. Jedno zmarło zaraz przy porodzie, dwójkę pozostałych jej odebrano. O tym wszystkim usłyszałam później. Wtedy nikt o niczym nie wiedział. Nigdy się o tym nie rozmawiało, a na Svefneyjar nikt niczego nie podejrzewał.

Tak, stara Gunna była dla tej biednej dziewczyny jak matka i wzięła ją do siebie, do swojej chaty, gdzie tamta wreszcie miała dobrze. Musiała nosić wodę i robić pranie dla starych kobiet, czasem pracowała też u Eysteinna i Líny. Czy pamiętasz jeszcze, jak pomagała przy zbieraniu pierza? Przez całą pierwszą zimę prawie wcale się nie odzywała. Wydaje mi się, że czuła się u nas bezpiecznie, ale nie zmieniało to faktu, że wszyscy nazywali ją zawsze tylko Poci-Gunna. Pod tym względem nie zachowywaliśmy się w porządku, a za plecami trochę się z niej śmialiśmy.

Za to w pracy była zręczna i już wkrótce należała do najlepszych poszukiwaczy pierza w całym Breiðafjörður. Miała szczególne wycucie do kaczek. Była tak blisko związana z ptakami, że pozwalały jej nawet wysiadywać za siebie jajka. Czasami, kiedy wiosną zdarzały

się śnieżyce i gniazda przykrywał śnieg, zdarzało się, że kaczka porzucała gniazdo, kapitulując po prostu przed matką naturą.

Wtedy do akcji wkraczała Poci-Gunna. Brała te jajka i nosiła je przy swoim ciele całymi dniami i tygodniami, podczas gdy przyszłe matki bezradnie kwakały na wodzie. To było zadziwiające, że ta niezgrabna dziewczyna, która poza tym była straszną niedorajdą, tak troskliwie nosiła ze sobą te kruche jajka jak sam płomień życia i nigdy żadne nie pękło, choć miała je przy sobie także we śnie.

- Naprawdę jej nie pamiętasz?

Mama przerwała swoją opowieść, a ja oprzytomniałam i usiadłam na łóżku.

- Ależ tak, pamiętam. Czy Poci-Gunna... nie miała tych pisklaków nawet w łóżku?

- Tylko ona potrafiła tak wychować te kaczątka, że potem matka chciała znów je przyjąć. To było jak cud.

- Tak, a my szliśmy z nią, kiedy trzeba było je odnieść do gniazda. Teraz sobie przypominam.

- Właśnie. Miała tyle żaru w ciele, że wilgoć i zimno nie mogły jej zaszkodzić, brodziła przez środek zatoki, żeby oddać edredonom ich pisklęta. A potem wracała, z ubraniem i oczami ociekającymi wodą.

48

WESELE W CUDZYSŁOWIE

1935

Pewnie, że przypomniałam sobie Poci-Gunnę, kiedy mama mi o niej opowiadała. Jej starsza siostra pracowała jako służąca na Innri-Fell w Skarðsströnd i Gunna czasem mogła ją odwiedzać w wolne dni. Raz po Wielkanocy wróciła stamtąd bardzo rozradowana i oświadczyła, że poznała „ładnego chłopca”, ma na imię Eggert, a nazywają go blond Eggert - jak w tej niemieckiej baśni, z powodu światła, którym jaśnieją jego włosy.

- On świeci po ciemku - wydukała świeżo zakochana o swoim Eggercie i spędziła ciemny wiosenny wieczór na starym wale ziemnym w południowej części zagrody, ze wzrokiem skierowanym na piętnaście wysp na Skarðsströnd.

- Jja... ja go wwiidzę. Widzisz to ś...światło tam? Tto on, mój kochany. Kocham go.

Pamiętam, jak wystraszeni byliśmy jako dzieci, słysząc tak otwarcie wypowiedziane wyznanie miłosne. W wieku sześciu lat jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby ktoś publicznie używał słowa „kochać”. W domu Gunnabúð tej nocy nikt nie zmrużył oka, zanim trzy Gunny nie pomodliły się do Boga o błogosławieństwo dla Eggerta, opowiadała nam później babcia,

która niechętnie w czymś takim uczestniczyła, bo nie pochwałała takiego „skamlenia”.

- Pozostaje tylko życzyć tej poczciwej dziewczynie, żeby była szczęśliwa. Może nie jest ideałem panny młodej, ale wytłumaczyłam jej, którądy ma go wpuścić.

W tamtych czasach ludzie niedorozwinięci umysłowo jak Gunna i Eggert nie mogli się oczywiście żenić, ale nasza spocona zapewniała, że blondwłosa już prosił ją o rękę.

A więc miało się odbyć wesele, choć Eysteinn i Lína ucinali wszelkie rozmowy na ten temat. Ale poczciwa Gunna kuła swoje gorące żelazo i czaiła się na gospodarzy jak wygłodniały pies, żeby zasypywać ich pytaniami.

- Czy ro...zmmawialiście z papapastorem?

W końcu moja matka wpadła na wspaniały pomysł, żeby urządzić coś, co nazwała „weselem w cudzysłowie”. Rodzina z Innri-Fell miała przyplłynąć do nas z jasnowłosym Eggertem na przyjęcie, a para zakochanych odbędzie weselną przechadzkę na koniec wyspy, ma się rozumieć pod nadzorem. (To było przed wojną, wtedy nie stosowano jeszcze sterylizacji, ale nie było pożądane, żeby „głupki” się rozmnażały). Poci-Gunna tak bardzo cieszyła się z dobrej wiadomości, że tamtej nocy, przypuszczalnie najjaśniejszej w całym jej życiu, prawie wcale nie spała.

Większość cieszyła się razem z nią. Tylko parobek Ástráður od czasu do czasu robił sobie z niej żarty. To był dziwny typ, rudawy, o pociągłej twarzy, z wylupiastymi oczami, posiadał tylko jeden sweter, a jego długie palce zawsze przypominały mi suche, powykrzywane gałęzie brzozy. Później mama opowiadała mi kiedyś, jak Ástráður zalecał się do niej w stodole i z wściekłością wykrzyczał na całą zatokę: „Twój mąż nigdy nie wróci, lepiej o nim zapomnij!”, gdy uprzejmie odrzuciła jego awanse. Ale kiedy w pobliżu była babcia, nie odważył się nawet otworzyć gęby.

49

NIEDZIELA NA SVEFNEYJAR

1935

Dopiero wiele lat po wojnie przeciągnięto linię telefoniczną do Breiðafjörður. Przedtem ludzie porozumiewali się przez radio. To miało tę oczywistą wadę, że wszystkie rozmowy były publiczne. Na wszystkich wyspach „podśluchiwanie” było czymś zupełnie normalnym, niektórzy chłopcy wręcz się od tego uzależnili, jak dzisiaj część ludzi od Facebooka czy innych błogosławieństw internetu, dlatego czasem mieli nawet problemy z sianokosami czy polowaniem na foki. Komunikaty radiowe były wysyłane trzy razy dziennie, o godzinie 10, o 15 i o 18, a w niedzielę o 11 i 17.

Czasami trudno było zrozumieć rozmówców, tak samo jak spikerów BBC, ale przeważnie połączenie było dobre. Treść tych rozmów stanowiły przeważnie zwykłe męskie gadki.

Jednak najdziwniejsze z tych rozmów pochodziły z naszego salonu, gdyż Poci-Gunna zaczęła kontaktować się przez radio ze swoim blond ukochanym. Wszyscy upominali ją, żeby nie wspominała o „weselu w cudzysłowie”; miała przecież rozmawiać publicznie.

- Jja oppow... opowiem tylko o momojej ssukience, i że mmogę go popocałować.

- Ależ Gunno, posłuchaj! Przecież wszyscy cię słyszą! Wszyscy, w całym Breiðafjörður. W wielu, wielu zagrodach. Dlatego...

- Tto co z ttego. Ja go kocham.

Kiedy mówiła te słowa, nigdy się nie jąkała. Wtedy nie było żadnego wahania, żadnych wątpliwości. Błogosławieni głupcy, albowiem oni wiedzą, co to miłość.

- No dobrze, Gunno, porozmawiam jeszcze z twoją siostrą Helgą, a potem koniec.

- Nie! Líno! Ttty ob... obiecałaś. Bo wwyleję mllleko do morza. Do morza.

I zaczęła płakać. Jej policzki były suche i szorstkie. Z podwójnego podbródka łuszczyła się skóra, we włosach miała łupież. Jej ciało było gorące jak zwykle. Wszystkie jej ubrania, odzież wierzchnia i bielizna, zawsze były ciemne pod pachami. Choć nie pachniała tak ostro jak Rósa, czuło się ten zapach tylko wtedy, kiedy była po kąpieli, co zdarzało się może dwa razy do roku. Dla Gunny pot był jak własny dezodorant. W ciągu kilku dni robił się taki gęsty, że już nie przepuszczał świeżych zapachów. Ale teraz zaczęła płakać. Łzy spływały po jej szorstkich policzkach i wsiąkały w suchą skórę jak deszcz w poszycie lasu. Mazała się, aż gospodyni Lína w końcu się poddała.

- A więc dobrze. Rób, co chcesz. - Niech się sąsiedzi śmieją z bredzenia o ślubie, na pewno nie uwierzą, że może w tym być coś z prawdy.

To się zdarzyło w późniejszej porze nadawania w niedzielę, o piątej po południu, kiedy ludzie zebrali się w domach, wysłuchali bicia starego holenderskiego zegara okrętowego, aż z głośników odezwało się:

- Halo Svefneyjar, zgłoś się! Tu Skarð.

Skarð to było wielkie gospodarstwo przy Skarðsströnd, a więc rodzina z Innri-Fell pokonała długą drogę ze swoim dwudziestotrzyletnim złotowłoskiem.

- Skarð, odbiór - odpowiedział Eysteinn i zamrugał z okna w stronę Skarðsströnd.

Tamtego popołudnia blask chłodnego wiatru rozciągał się na falach. Powierzchnia morza wyglądała jak chłodny, skropiony złotem błękit, tu i tam z białymi falbankami; był to kolor, który znakomicie pasował do żółtawych ścian pokoju. Lína, gospodyni domu, miała

niewiarygodną rękę do kwiatów, we wszystkich skrzynkach rosły jakieś rośliny.

Wszyscy zebrali się przy radiu (oprócz babci, która nie miała ochoty na „fale i szumy”): Eysteinn, Lína, Sigurlaug i jej dzieci, mama, ja, Rósa, Ástráður, Gunny, Sveinki Romantik i stara Fjóla, matka Eysteinna, która bujała się w fotelu na biegunach w takt zegara, gapiała się przed siebie swoimi niewidomymi oczami i przeżuwała coś bezzębnymi dziąsłami.

Dwie pozostałe Gunny przyprowadziły swoją imienniczkę, jak rodzice wiodący dzieci do confirmacji. Teraz siedziały jak zaproszeni goście w swoich długich, czarnych spódnicach w pobliżu drzwi, przy półokrągłym stoliku, który miał tylko dwie przeżarte solą nogi. Rósa siedziała na taborecie przy wschodnim oknie i szydełkowała wkładki do butów swoimi niezgrabnymi paluchami z żalobą, ale jej twarz miała wyraz reporterki plotkarskiej gazety, z wyostrozonym słuchem i ołówkiem. Poci-Gunna siedziała z Líną przy stole jadalnym i zawierzała swoje najskrytsze marzenia deskom podłogi.

Ja skuliłam się pod fisharmonią i bawiłam się, naciskając pedały rękami. Za każdym razem instrument wydawał z siebie głębokie westchnienie. Eysteinn zaczął rozmowę od męskich pogaduszek o rybach i pogodzie. Dopiero kiedy był gotów oddać głos Línie, ta wstała ciężko od stołu, poczłapała ze swoim reumatyzmem do biurka i zaczęła krzyczeć do mikrofonu, jakby tam naprawdę był jakiś przewód.

- No, to jak myślisz, to ile was przyjedzie?

Głos Helgi brzmiał jak u porządnej, umyślowo normalnie rozwiniętej gospodyni.

- „Hafliði” ze Skáleyjar nas zabierze.

Wreszcie przyszedł czas, żeby Poci-Gunna oderwała wzrok od podłogi i wstała. Kilkoma zdecydowanymi ruchami wygładziła na sobie spódnicę, jak gdyby miała wystąpić na scenie, zrobiła trzy kroki do biurka i ujęła mikrofon w drżące dłonie. Potem zaczęła mówić bez żadnego wahania. Była wyraźnie zdecydowana nie dopuścić do tego, żeby ta wytęskniona rozmowa z ukochanym stała się upokorzeniem.

- Wwwitaj, mój kochany!

Lína stała tuż obok, jak pielęgniarka przy ulubionym pacjencie, i zaraz jej przerwała: - Gunno, musisz przed każdym zdaniem powiedzieć najpierw „Skarð, odbiór”.

- Svefneyjar, odbiór. Czy to ty, Gunno?

Głos Eggerta był wysoki i piskliwy, mógłby równie dobrze pochodzić od kobiety. Był pełen samozadowolenia tego prostego z natury chłopaka.

- Skakarð, odbiór. Tak, ttu twoja Gunna.

- Svefneyjar, odbiór. Tu Eggert. Dostałem kawałek ciasta.

- Halo. Dosta...

- Nie, musisz najpierw powiedzieć „Skarð, odbiór”, Gunno.

Widziałam, jak na jej szarym swetrze rozkwitają plamy potu niczym ciemne kwiaty. Drugą ręką Gunna podrapała się szybko po głowie, aż posypał się łupież, a potem ściszyła głos:

- Skarð, odbiór. Tyty dostałeś kakawałek ciasta?

Radość, jaką włożyła w to pytanie, była tak głęboka i szczerą, jakby właśnie się dowiedziała, że Eggert wygrał okręgowe mistrzostwa w szachach. Mama i Sigurlaug wymieniły zyczliwe uśmiechy. Przypomniałam to sobie, kiedy matka opowiedziała mi tę historię w łóżku ambasady w przeddzień Wigilii roku 1940 w Kopenhadze.

- Svefneyjar, odbiór. Tak, dostałem duży kawałek ciasta u Melkokki. Ona jest tu gospodynią. Jesteśmy na Skarð.

- Ska... Skarð, odbiór. Ja wwciem. I nieniedługo tu przyjedziecie.

- Svefneyjar, odbiór. Tak. Popłyniemy łodzią, mówi Helga.

- Ska...Skarð, odbiór.

Na myśl, że wkrótce morze przyniesie jej tutaj ukochanego, z jasnym czołem i promienistą grzywą, z jedną stopą na stewie, Poci-Gunna zaczęła dygotać z podniecenia. Jej radość była tak wielka, że nie wiedziała, co ma dalej powiedzieć.

- Svefneyjar, odbiór - zawołał Eggert i zaraz zaśmiał się tak dziko, że nie było wiadomo, czy w ten sposób okazuje radość, czy to jest schadenfreude.

Lína pogładziła Gunnę po plecach i zaproponowała, że przejmie mikrofon. Ale rozgrzana dziewczyna nie chciała się jeszcze żegnać.

- Ska... Skarð, odbiór. Co ttam nonowego u ciebie, mmój ukochany?

W tych słowach, „mój ukochany”, zawierała się tak długa historia, taki ciężar, srebrzyście połyskujący triumf nad dawnymi upokorzeniami, że w każdej zagrodzie wokół Breiðafjörður słychać było głębokie westchnienia.

- Svefneyjar, odbiór. Tu wszystko dobrze. Mam swój skarb.

- Ska... Skarð, odbiór. Tak, wwciem. Ja jejestem twoim skakarbem.

- Svefneyjar, odbiór. Nie. Mam nowy skarb. Nazywa się Rannvei.

Z jego głosu nadał przebijała ta mechaniczna pewność, jakby była zegarem wybijającym każdą kolejną godzinę, nieważne, czy chodzi o radość czy o smutek.

Rósa przerwała szydełkowanie, włożyła sobie szydełko do ucha, podłubała w woszczynie i otworzyła szeroko oczy. Widziałam, jak mama przymyka powieki, zaciska usta i splata ramiona na piersiach.

- Svefneyjar, odbiór, Svefneyjar, odbiór - wołał dalej Eggert jasnym, radosnym

głosem, potem nastąpiło mniej wyraźne: - Nic nie słyszę.

Mikrofon chwiał się w dłoniach Poci-Gunny, która stała jak skamieniała z otwartymi ustami i wzrokiem skierowanym gdzieś w pustkę. Łzy zamrożone szokowo jeszcze tkwiły w gruczołach. Duńskie krzesło obrotowe zatrzeszczało, kiedy Eysteinn pochylił się do przodu, wyjął mikrofon z ręki Gunny i huknął do niego:

- Skarð, odbiór! Co ty mówisz, chłopcze?

- Svefneyjar... odbiór. Mam nowy skarb. Ona nie jest jak Gunna. Ona jest piękna.

Triumfujący ton tego blondwłosego, bezbrodego dzieciennego głosu wbił w naszym salonie szesnaście noży w szesnaście serc, a słońce opadające nad otwartym fiordem wpadało ze swoją kłującą mocą niemal poziomo przez zachodnie okno. Wszyscy byliśmy jedną rozczarowaną Gunną.

- Svefneyjar, odbiór. Zabiorę ją na naszą wyprawę łódką.

Eysteinn obrócił się na krzesło, wyciągnął rękę do odbiornika i zakończył ten koszmar.

50

NA ISLANDII NIKOMU NIE JEST CIEPŁO

1935

Mama opowiadała dalej, a łzy płynęły jej po policzkach. Jedna poszła drogą jej słów i też wpadła mi do ucha. Już dawno temu wyłączyła BBC i z milczeniem mieszały się teraz odgłosy nocy.

Powiedziała:

- Nie mieliśmy pojęcia, co moglibyśmy dla tej biedaczki zrobić. I oczywiście powinniśmy bardziej na nią uważać. Bo w nocy przeszła przez torfowisko do Dziecięcej Skały. Gunna Sveins przybiegła do nas z krzykiem i my zaraz wypadliśmy z domu, Sigurlaug i ja...

Opowieść mamy znów przywołała we mnie obraz, który towarzyszył mi przez całe życie: Poci-Gunna jak zastygła poziomo w powietrzu, z ciałem w kształcie wrzeciona. Dokładnie w momencie kiedy rzucała się w morskie fale z blond grzywami.

Pogrzeb nie był pogrzebem w cudzysłowie. W wyznaczonym dniu zjawiła się Helga ze swoimi dwiema córkami, przyплыnęła statkiem „Haflíði” ze Skáleyjar i poszerzyliśmy kondukt do Flatey o jeszcze dwie łodzie. Tam biedaczka została pochowana. „Guðrún Lárhallsdóttir, 1910-1936, z miłością” - głosi napis na nagrobku, który postawiłam tam dużo później, kiedy dowiedziałam się ostatejnej prawdy: w chwili śmierci była w ciąży.

Trzecia łódź nawet wcale nie przybiła do brzegu. Gdy tylko trumna została przeniesiona na ląd, a mężczyźni, którzy musieli się męczyć z tym ciężarem przez całą wioskę, wreszcie odstawili go na trawę między kościołem a ogrodzeniem, zobaczyliśmy, jak Ástráður tak szybko, jak to tylko możliwe, zawraca przez zatokę w stronę stałego lądu.

To był smętny islandzki pogrzeb. Zaledwie dziesięciu żałobników w pierwszych dwóch rzędach kościelnych ławek, a pastor odprawiał nową duszę według mechanicznych rytuałów kościoła: kolejne zwłoki na taśmie życia, na których trzeba postawić krzyżyk. Mama płakała przez cały czas, cicho i nieprzerwanie, nie odrywając wzroku od trumny. W tej śmierci widziała samą siebie i jak wyglądałoby jej własne życie z moim ojcem.

Cała sprawa wyglądałaby jeszcze o wiele smutniej, gdyby zgromadzeni wiedzieli, co Poci-Gunna zabrała ze sobą do grobu. Stary Sigfinnur z Einarshús, który przychodził do kościoła na Flatey na każdy pogrzeb i dla każdego zmarłego pisał wiersz, także i na tym pogrzebie skreślił nad grobem kilka wersów. Zawierały ślad głębszego zrozumienia, gdyż wiersz czasem wie więcej niż jego autor, nawet jeśli chodzi o zmarznięty czterowiersz. Liniowana kartka z bloku od kupca z niezdarnym ołówkowym piśmem poszybowała przez sierpniowy wietrzyk, zanim osiadła na przysypanej ziemi trumnie.

Na Islandii nikomu nie jest ciepło, Bo nie ma na to domów Po życiu, krótkim i w biedzie, Najlepiej iść zaraz do grobu. Mama wyrecytowała ten wiersz i zgasiła światło. Potem przytuliłyśmy się do siebie w wielkim ambasadorskim łożu, kobieta bez miłości i nastolatka, ostra jak rzodkiewka, dwie białe jak foki dusze w ciemności wojennych lat.

51

ŚWIĘTY MIKOŁAJ I NOWY ROK

1940-1941

Następnego dnia obchodziliśmy święta Bożego Narodzenia, bez choinki. Mama podarowała mi czerwony szalik, który udziergała z okupacyjnej wełny, a który jej zdaniem był mimo wszystko szalikiem islandzkim. Miał mi wiernie służyć w czasie mrozów, jakie mnie czekały. Ja dałam jej kolczyki, które dostałam przedtem od Anneli, dwa szafirowobłękitne kamienie na posrebrzanych łańcuszkach.

Po jedzeniu ktoś zapukał do drzwi - to turecki ambasador z żoną, którzy mieszkali piętro wyżej, przyszli życzyć nam wesołych świąt i przynieśli w prezencie lokum, bardzo słodki deser, który nazywa się też tureckim miodem. Jest pokrojony na maleńkie kawałeczki, a mimo to ma się wrażenie, że zawierają one cały cukier świata.

Kobieta wyglądała bardzo dobrze, ale ambasador był typowym Osmanem: mały, z

wielkim nosem i tak gęstymi wąsami, że można byłoby ich używać jako szczotki do butów. Mama natychmiast przeobraziła się w islandzką wieśniaczkę. Niezręcznie udało jej się przynajmniej zaprosić ich oboje do środka i konwersować z nimi w czymś w rodzaju szczątków języka niemieckiego. Ja w tym czasie przypatrywałam się męskiej twarzy ambasadora, która wyglądała tak nieskazitelnie, że ogarnęło mnie absurdatne pragnienie, żeby się na nią rzucić i zniszczyć. Pachniał egzotyczną wodą po goleniu i na zewnątrz obnosił twarz światowca, ale nie trzeba było wiele, żeby zauważyć, że pod tą wytworną powłoką drzemie dzikie zwierzę obdarzone instynktem łowieckim, cicho skradające się do ofiary. Jego brzuch był wyraźnie wydęty, lecz wyglądał na twardy jak szkło i dlatego w pewien też sposób robił wspaniałe wrażenie. Ów turecki dyplomata wyraźnie czuł się bardzo dobrze we własnej skórze, i to, mimo że wcale nie był przystojny, czyniło go nieodparcie pociągającym, nawet w oczach dziewczynki z Islandii.

Kiedy zjadłam słodki przysmak ze srebrnego talerzyka pani małżonki o czarnych lokach i małych piersiach, naszło mnie nieokiełznane pragnienie, żeby się trochę zabawić z tym mężczyzną. Ale jako że była przy tym moja mama, podeszłam jedynie do ambasadora i położyłam mu płaską dłoń na przykrytym białą koszulą brzuchu. Moje przypuszczenia okazały się słuszne, był twardy jak deska. Ruiny niemczyzny mojej matki ostatecznie się rozsypały. Jej śnieżnobiała cera zrobiła się purpurowa, a mój turecki buhaj przeobraził się w sympatycznego nazistę, zaśmiał się dobrodusznie pod wąsem i nieporadnie powiedział po niemiecku: „Tak, tak, jestem całkiem wypchany. Nie, jak się to nazywa? Jestem bardzo syty”.

Potem ujął lepką od masy kokosowej dziecięcą dłoń i uratował sytuację, kierując rozmowę na spożyty właśnie posiłek.

Może była to tęsknota za moim tatą. Może ta drzemiąca we mnie dziecięca perwersja, która kazała mi całować kobiety i ujeżdżać miotły, a może po prostu pragnienie kontaktu z męskim zarostem w naszej żeńskiej komunie. W każdym razie wtedy, jako jedenastolatka, po raz pierwszy poczułam pragnienie mężczyzny, które później miało zrujnować mi życie. Mężczyźni to zdradzieckie bagna na ścieżce kobiety, a ja stałam się ptakiem brodzącym.

Kiedy tureccy sąsiedzi się pożegnali, mama dziwnie na mnie popatrzyła, ale nic nie powiedziała. Oczywiście już dawno temu zapomniała niepokojące fantazje seksualne własnej młodości, pewnie wyżywała je podczas polowania na foki, a może konserwowała w solance w swoim wnętrzu i przechowywała, aż zebrało się tego wystarczająco dużo na półmisek mięs dla pierwszego mężczyzny jej życia. Na tym skończyliśmy obchodzenie świąt, a ja spałam sama w swoim pokoju, po kryjomu gładząc moją puszkę Pandory od Anneli i rozmyślając o moim tureckim Świętym Mikołaju.

Po świętach wszystko się zmieniło. Jón Krabbe, nasz uprzejmy krab, odwiedził nas z noworocznym słońcem w białych włosach i powiedział, że wreszcie udało mu się znaleźć kupca na rezydencję. Nowo przybyły do miasta mecenas niemieckiej kultury i jego żona mieli wprowadzić się za tydzień.

- Będzie pracował w ministerstwie oświaty i nadzorował kształcenie duńskich dzieci. Chcą wprowadzić wiele ulepszeń w tej dziedzinie - powiedział Krabbe, jak zwykle, unikając jakiegokolwiek wyrażania opinii w swoich słowach.

Przy wyprowadzce zostawiłam w lodówce karteczkę dla nowych mieszkańców: „Dzieci, które znają niemiecki, są bite w duńskich szkołach”.

Mama i ja zamieszkałyśmy u Kylli, siostry ojca, która ze swoim pochodzącym z Wysp Owczych mężem mieszkała w Dalmoose na Zelandii. Było tam też kilku jego rodaków, skrętnych kupczyków z przymrużonymi oczami, których jednak chętnie widywałyśmy wobec braku kontaktów z rodakami w latach wojny. My, Islandczycy, wspaniale dogadujemy się z Farerami, bo są jeszcze mniejszym narodem niż my.

U ciotki Kylli bardzo mi się podobało, spędzałam czas na przenoszeniu zelandzkich gór, obrzucając je kamykami. (Jedyna rzecz, jaka tam wystaje z krajobrazu, to woły). Raz pojechaliśmy na plażę, żeby zobaczyć „Duńskie Morze”, jeden z głupszych powodów, jakie kiedykolwiek widziałam.

Ale mama odczuwała coraz większy niepokój. Nie lubiła być uzależniona od innych. Nie mogła znaleźć pracy, może z powodu języka, a po tych wszystkich historiach o duńskich szkołach, jakie jej opowiedziałam, już nawet nie starała się specjalnie, żeby znaleźć dla mnie jakiś nowy ośrodek mobbingu.

Wreszcie z pomocą przyszedł nam tata. Po wielu telefonach udało mu się przez znajomego załatwić mamie posadę gospodyni u małżeństwa lekarzy w Lubece. Problem polegał tylko na tym, że w tym domu było już sześcioro dzieci i jeszcze jedno by się nie zmieściło. Kilka dalszych telefonów i znaleziono tymczasowe rozwiązanie: kolega taty z Towarzystwa Nordystycznego w Lubece, doktor Helmut Baum, obecnie pracujący w Berlinie, umieścił swoją żonę i dzieci w miejscu bezpiecznym, wolnym od wszelkich zagrożeń wojennych na wyspie Amrum na Morzu Północnym. Tam miałam spędzić czas do wiosny.

Więc leżę sobie tutaj, ach, w błękitnej poświacie komputera jak wychudzony,

siwowłosy bóg z czerwonym od odleżyn tyłkiem (dekubitus) i czerwonym żarem między wargami (papieros). Wystukuję światu kilka przysłówków, manipuluję trochę losami młodych mężczyzn w różnych częściach globu i grzebię pod fałszywą *face* w życiu moich potomków, ale przede wszystkim jestem zajęta umieraniem. „Palenie zabija”, tak jest napisane na mojej paczce papierosów. Ale nawet na tym nie można polegać. Umieranie. Śmierci, przybądź, oddam ci się cała.

Ona przyjdzie. Przyjdzie wkrótce.

Listopadowa ciemność jest gęsta i mokra, z rozkołysanymi gałęziami i szeleszczącymi liśćmi. Pan świata uderza nimi czasem w dach (blacha falista). Jakby chciał mnie złoić różgą.

E-maile lądują w moim komputerze z elektronicznym sygnałem, osiadają na kołdrze jak ptaki z dalekich stron, z jasnego świata, ze śmiałym spojrzeniem czerwonych oczu. Czytam te, na które mam ochotę. Bakari ma zakażenie krwi w nodze, ugryzł go skorpion, Aldon donosi z dumą, że Bod wreszcie osiągnął długo wyczekiwane sto trzydzieści siedem kilo na atlasie i świętuje to czternastoma jajkami na śniadanie. Od razu mu odpisuję, żeby wzbudzić jego zazdrość. Linda musi jeszcze raz przemyśleć tę sprawę. Jej biedny Islandczyk daje radę wycisnąć zaledwie dziewięćdziesiąt pięć. W nadchodzące noce w Melbourne ktoś nie zazna wiele snu.

Na dworze w ciemnościach kula ziemską obraca się do słońca, przetacza się w przestrzeni jak starzec w łóżku, ze wszystkimi afrykańskimi drzewami i islandzkimi górami, razem z komarami na Lofotach, wieżami w Toronto, z rojem ludzi w bombowym Bombaju i w Delhi. Ach, do diabła, ależ cudownie byłoby teraz być bogiem! Starą kobietą i bogiem naraz. Istotą, która równocześnie przyciąga i odrzuca mężczyzn. I dyryguje życiem tych wszystkich biednych Głupich Jasiów. Ten, kto chce umrzeć, może wszystko - tak mówi stare przysłowie z Purkey. Dlatego wysyłam moim synom mailem następującą wiadomość:

Zbliża się koniec. Z całą pewnością po życiu nic już nie ma, dlatego dobrze jest teraz wykorzystać okazję, póki jeszcze krew krąży w palcach. Mam nadzieję, że wy jeszcze będziecie żyli przez jakiś czas, ale ja już jestem w drodze do pieca. Rozgrzeją go do tysiąca stopni, co mi ułatwi ciepłe myślenie o was. Już nie mam nic oprócz mojego życia. Nic oprócz tego dziwnego małego strumyczka, który przepływa przez moje serce, i tych paru wysuszonych myśli, które kulają się na dnie mojego mózgu jak kamień w pralce. Nie mogę powiedzieć, żebym za wami tęskniła, gdyż nikt nie tęskni za tym, co sam zdradził i porzucił, a rozpamiętywanie własnych czynów nie prowadzi do niczego. W każdym razie na zawsze pozostaniecie moimi synami, choćbyście nie wiem jak się bronili przed tym faktem. To jest niepodważalne i będzie waszym życiowym handicapem. Jestem, jaka jestem, a od swojego

dziedzictwa nikt nie ucieknie. Bądźcie pozdrowieni, synkowie! Porzucam was bez łez. Nie zostawiam wam nic oprócz białego nocnika i względnie dobrego krzesła biurowego. Jeśli dobrze widzę, to oszczędności mojego życia już dawno przeżarliście i wysrali. Nie sądzę, żebym po śmierci miała was jeszcze szczególnie niepokoić. Choć powody by się znalazły. Zejdę z tego świata całkowicie wyczerpana i zużyta i nie liczę na to, że będę miała jeszcze ochotę wracać jako duch. Żegnajcie, moi kochani Trzej Królowie z daleka i z bliska! Niech Pan pobłogosławi was i wasze dzieci. Dobranoc, wasza mama. Piętnaście minut później przychodzi odpowiedź z Norwegii. Oni tam wcześniej wstają. Mój Óli pisze krótko:

Kochana Mamo, czy nie dostałaś naszej kartki świątecznej w zeszłym roku. Pozdrawiam. ÓHJ
Odpisałam:

Nie. Jedną z zalet mieszkania w garażu jest to, że nie dostaje się już żadnych listów. A co takiego ciekawego w niej było? Na to nie było już odpowiedzi. Maszyny do robienia kanapek zaczęły pracę.

53

MATKA KRÓLÓW

1959-1969

Haraldur, Ólafur i Magnús - tak się nazywają moi synowie. Przypadkiem tak się złożyło, że trafili mi się trzej mali norwescy królowie. Ja, Herbjörg Matka Królów. I tak jak należy w tym zawodzie - próbowałam przy produkcji książąt trzymać się w tle i jak najmniej przeszkadzać ojcowsko-królewskim genom w ich drodze przez moją macicę. Dlatego też nie są do mnie podobni z wyglądu, nie odziedziczyli też mojej łagodności ani przyjaznej natury.

Harald urodził się w 1959 roku, z wielką głową, która nadwerżyła moją miednicę. Był nieprzyjemnym dzieckiem, niezbyt lotnym nastolatkiem, a jako dorosły okazał się sztokfiszem. Geny kupieckie to nie jest najlepszy spadek. Choć Halli prawie wszędzie się angażował, to wszystkie wrażenia znikwały bezpowrotnie pod jego bujną czupryną i nigdy nie wracały. Zasysał w siebie cały świat i nigdy nie dawał niczego w zamian, zupełnie jak jego ojciec. Zawsze kojarzył mi się z bibułą do atramentu, której kiedyś używano w biurach. A głęboko w duszy nosił czarny jak sadza kleks: potępienie dla matki, że zostawiła go u babki, żeby przeżyć sexy lata sześćdziesiąte w Niemczech. Nie pomagało, kiedy chciałam go rozweselić opowieściami o moich sukcesach na prywatkach. A piosenek Beatlesów wprost nie znosił.

Tymczasem Halli Pięknowłosa już wyłysiał, ale nadal nosi swój przydomek, to chyba jedyna zabawna rzecz u niego. Jego żona nazywa się Þórdís Alva Ragnarsdóttir. Książka

telefoniczna mówi, że mieszkają w Fossvogur, niedaleko, na południowej stronie wzgórza. Ona jest nauczycielką z dość zasadniczym wyobrażeniem o swoim szkolnym autorytecie. Chyba jasne jest, że nie pozwolę się usadzić w osłej ławce w jej klasie.

Ostatnio bardzo utyla - królową piękności nie była nigdy - ale Halli zawsze dobrze wyglądał, zupełnie jak jego ojciec, pomijając brak szyi. Najwyraźniej przy akcie poczęcia musieliśmy o niej zapomnieć. Ale brak karku zauważa się dopiero teraz, kiedy stracił włosy. To sprawia, że z tyłu wygląda jakoś chciwie, jak świnia. Większą część swojego tłuszczu Halli zgromadził na ramionach. Jego knurowaty wygląd bardzo pomaga mu w negocjacjach.

Ich małżeństwo należy do związków, które nasuwają wiele pytań. On musi mieć jakąś kochankę gdzieś w Hafnarfjörður, podejrzewają wszyscy, taką apetyczną laseczkę z wyskubanymi brwiami, która chętnie przyjmie wsparcie finansowe dla swojego salonu piękności. I oczywiście to prawda. Z pewnością ma taką małą poboczną żonkę w Hafnarfjörður. Tam albo w Kópavogur. W samym Reykjavíku na pewno by tego nie robił, jest na to za porządny.

Przypuszczalnie mają czwórkę dzieci. Friðrika Hansa, Guðrún Marsibil i jeszcze dwoje, których imion nie pamiętam.

Halli jest urodzonym prawnikiem i właściwie mógł sobie darować te całe studia. Nawet proponowałam, że mogę zaświadczyć, że chłopak nie musi zdawać egzaminu końcowego, bo już w wieku trzech lat wytoczył matce przed sądem proces o zaniebdywanie, a potem jeszcze kilka innych, które wygrał. Jego samolubstwo jednak prowadziło do tego, że nigdy nie bronił nikogo innego niż siebie. Więc został rekinem rynku nieruchomości. Jego główne zajęcie to kupowanie domów i mieszkań, w których mieszkają inni ludzie.

Ólafur Helgi, święty Olaf, urodził się w 1965 roku. To imię było raczej dziełem przypadku. Z historii norweskich królów wynika, że mój Óli przypominał raczej Olafa Tryggvasona niż świętego Olafa. Ze swoim uporem osła i sercem misjonarza podejmował dalekie podróże i obwieszczał ludziom wiarę w siebie, Ólafura Helgi Jónssona. Wcześniej rozwinęła się u niego pasja kulinarna, obawiam się, że to moja wina, bo niezbyt się przykładałam do gotowania, więc ciągle chodził głodny. Popróbowował trochę tego i tamtego, potem spędził życie w różnych kuchniach w wielu krajach. Długo prowadził stołówkę w sanatorium Hveragerði i przez jakiś czas miał firmę gastronomiczną w Newcastle, aż zauważył, że Angole skąpią na jedzenie.

Teraz mieszka w Bergen, od wielu lat, rozwozi kanapki własnego wyrobu, przynajmniej tak mi się wydaje, bo co on mówi matce? Oczywiście nic. Zupełnie nic. Odkąd wiele lat temu byłam u niego z wizytą, wysyła mi jedynie suche jak pieprz życzenia

święteczne.

Właściwie w Bergen jest bardzo pięknie, może oprócz salonu dealera Toyoty, gdzie spędziłam pierwsze dni mojego pobytu, podczas gdy Óli oglądał luksusowe terenówki, a jego żona, hipopotam w polarze, przeliczała ceny na korony islandzkie. Wszystko, co odkładano przez całą zimę, trzeba było nadrobić akurat wtedy, kiedy stara matka z Islandii przyjechała w odwiedziny. Zajmować się staruszką w domu - na to nikt nie miał ochoty. To wymagałoby lepszego poznania się na nowo. W takim razie lepiej wpakować ją do kolejki linowej i wywieźć na szczyt i z powrotem, przegonić ją w ślizgaczu po fiordzie i przez cały czas stać z nią na zewnątrz, na lodowatym pokładzie, bo przecież trzeba za wszystkie skarby świata pstrykać zdjęcia. Zrobił siedem tysięcy zdjęć różnych rzeczy, tylko nie swojej matki, a Jóka w tym czasie pilnowała dzieci.

Jego żona Jóhanna była piękną rudą i piegowatą brzoźką, kiedy przyprowadził ją do mnie pierwszy raz, ale od powiększania rodziny mocno poszerzyła się u dołu. Poród był ciężki, chłopak ważył prawie pięć kilo, tak mi się wydaje, i potem już nie wróciła do stanu poprzedniego. On nazywa ją Jokehild. Właściwie, patrząc z boku, są to całkiem mili ludzie.

Oczywiście zakazane było poczęstować starszą panią czymś mocniejszym. A przecież byłam dla moich synków zawsze troskliwą i cierpliwą matką. Na wszystkich moich przyjęciach pozwalałam im siedzieć przy stole z dorosłymi. Zachęcałam ich do słuchania i uczenia się, mówiłam, że czegoś takiego jak dzieciństwo nie ma, to tylko szwedzka propaganda: ja w waszym wieku zebrałam na ulicach i spałam w schronach przeciwlotniczych. A teraz przynieście mi drinka!

Najmłodszy jest mój Magnús, leniwa diwa. Urodził się wiosną 1969 roku. Moja trzecia próba wydania na świat geniusza. Niech się śmieje, kto chce. A jednak został Magnúsem, Naprawiaczem Prawa, bo zdobył wykształcenie wyższe niż jego ojciec, Jón Nachjón, nasz rodzinny naukowiec. Jak na osobę tak na bakier z prawem, jakimś cudem udało mi się wychodzić za tych prawników i rodzić kolejnych. Maggi poszedł w ślady swojego brata i też realizuje się w świecie biznesu. Jest bankierem rodziny, czy raczej pechowcem narodu, jak można dzisiaj powiedzieć.

Spośród całej trójki Magnús jest jedynym, który mnie tu w garażu odwiedził. Oczywiście nie z czystej miłości bliźniego. W naszych biznesowych czasach każda godzina ma swoją rynkową wartość, nawet odwiedziny syna u jego chorej matki. Obydwa razy przychodził po pocieszenie. Pierwszym razem rzuciła go jego żona, a drugim razem bank. Jedno i drugie bardzo mnie ucieszyło. Magnús ożenił się z Ragnheiður Leifsdóttir i miał z nią dwoje dzieci, których praktycznie nigdy nie widywałam. W życiu ich ojca chyba nie nastąpiły

ostatnio żadne większe katastrofy losowe, bo od kryzysu bankowego więcej się u mnie nie pokazywał.

54

CZŁOWIECZEŃSTWO

2009

To dziwne, że ja, stary wrak, ciągle produkuję łzy. Właściwie tego nie rozumiem. Wkurzające przeczulenie! Fakt, że ten stary worek kości stojący nad grobem jest jeszcze zmuszany do wytwarzania fekaliów, to nic innego jak skrajnie głupi dowcip niebios. Musimy mieć zajęcie aż do cholernego końca. Męczyć się, dręczyć, cierpieć. Do ostatniego stolca.

Bóg nie ma dla mnie znaczenia. Nie jest niczym innym niż roszczeniową projekcją nas, ludzi, żebyśmy mogli się poczuć trochę ważniejsi niż wszystko inne. Czy krowy wymyśliły sobie jakiegoś bydlęcego Jezusa? Nawet mlecz nie wierzy w Boga, a przecież jest najgłupszy ze wszystkich kwiatów. A i tak wszystkie są mądrzejsze niż ludzie, one mają coś, co nazywam mądrością ziemi. Tak, rośliny i zwierzęta wiedzą, jak żyć. One wiedzą, co oznacza życie. Dlatego tak potwornie się ich boimy. Nasza dusza bowiem wie, że one wiedzą więcej od nas. Jestem pewna, że nawet najgłupszy mlecz ma więcej mądrości w sobie niż Dalajlama.

Chcę przez to powiedzieć: jeśli tutaj ktoś jest Bogiem, to jestem nim ja, człowiek, który przeżył osiemdziesiąt lat, nie tracąc rozumu, który budził się ze snu na czterech kontynentach i obok stu facetów, który urodził i stracił dzieci, stworzył całe galaktyki problemów, które potem wytrwale i ze stoickim spokojem rozwiązywał albo znosił.

Wszyscy gładzą o tym, że niedługo staną przed Bogiem, ale nie rozumieją, że w życiu byli mu bliżsi, niż kiedykolwiek im się uda w śmierci - mianowicie jako człowiek, który w świecie ludzi próbuje wszystkiego i przeszedł wszystkie próby, jakie życie na nas nakłada, i który na końcu popatrzy w oczy tej najbardziej ludzkiej prawdzie: że musi umrzeć. Umrzeć i połączyć się z Bogiem, który tworzy jądro każdego człowieka. Gdyż kiedy umieramy, nie znikamy nigdzie, tylko w samych sobie. Odczułam to bardzo namacalnie, kiedy stałam przy zwłokach mojej babki. Ona nie ulotniła się ze swojego łoża śmierci w postaci duszy, jak chmurka nad lodowcem, ale zapadła się w siebie, w tę ludzką boskość, którą nazywa się człowieczeństwem, a która z męskością nie ma nic wspólnego.

55

KONIEC DZIECIŃSTWA

1941

Po niecałym roku w Kopenhadze mama i ja wróciłyśmy do Trzeciej Rzeszy, z zapasem suszonego po farersku mięsa owczego w bagażu i z islandzkimi myślami w głowie. Trudno było rozpoznać, gdzie kończy się Dania, a zaczynają Niemcy. Wszystkie wsie nabrały nazistowskiego sznytu. Przez Flensburg pociąg jechał trochę wolniej i podróżni mieli okazję oglądać świeżo wyprane flagi, zamiecione chodniki i wypucowane okna sklepów, w których wystawiano zdjęcia Führera i jego jasnowłosych dzieci. Każda kłamka u drzwi tego miasta z czerwonej cegły jaśniała wiarą w zwycięstwo i pewnością siebie, nawet bruk uliczny nie ukrywał swojej dumy z ostatnich sukcesów: Węgry, Słowacja i Rumunia przystąpiły do paktu trójstronnego. Na dworcu wsiadłyśmy do buchającego dymem pociągu, który z wielkim hałasem powiózł nas na zachód, ku Morzu Północnemu. Tam leżał niewielki port Dagebüll, który miał się stać stacją końcową mojego dzieciństwa.

Pociąg zatrzymał się w środku „miejscowości”, która składała się z dwóch domów, hotelu i peronu. Stąd poszłyśmy do portu, dwie kobiety w płaszczach, mała i duża, jasno - i ciemnowłosa. W portfelu ziała pustka i nie mogłyśmy pozwolić sobie na dwa bilety promowe, dlatego mama chciała się ze mną pożegnać na molo. Dalej miałam sama popłynąć statkiem w nieznane.

W moich wnętrznościach pojawiła się poczwarka, która stała się larwą, potem gąsienicą, a wreszcie chomikiem. I kiedy z końca molo zobaczyłam rozpościerające się przede mną morze, chomik szybko zmienił się w wyrośniętego bobra, który wpychał mi pysk do gardła i ciągle uderzał w podniebienie. Poluźniłam mój czerwony szalik, ale to nie pomogło. Nie wiedziałam wcale, co się ze mną dzieje. Takiego gościa w klatce piersiowej jeszcze nigdy nie miałam.

Statek był niewielki, ale przyływ unosił go tak wysoko, że trap leżał prawie poziomo. Kilku pasażerów w odświętnych strojach przechadzało się ostrożnie po pokładzie. Doszłyśmy do końca mola i mama przekazywała mi jeszcze ostatnie upomnienia:

- Pamiętaj też o tym, żeby się modlić za tatę!

Nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa, nawet piśnięcie nie wydostało się przez ten cholerny bobrzy pysk. Ze wszystkich sił starałam się go połknąć, ale wtedy pękły moje oczy. Zaczęłam głośno płakać. Mamo, mamó! Nie wysyłaj mnie na morze! Nie zostawiaj mnie samej. Nie zostawiaj mnie!

Wzięła mnie w ramiona i powiedziała kilka słów pocieszenia, ale potem i ona już nie mogła dłużej wytrzymać. Kiedy wyjęła białą haftowaną chusteczkę, zrozumiałam, że jej jest tak samo smutno jak mnie, o ile nie bardziej. Patrzyłam na nią zdumiona, na najsilniejszą

kobietę, jaka kiedykolwiek się narodziła na Ziemi, a która teraz ze złamanym sercem i rozmazaną twarzą stała przede mną, z chusteczką jako jedyną ochroną. Nagle wydało mi się, że jest mniejsza ode mnie, poczułam, że powinnam ją pocieszyć, a to było takie smutne uczucie, że zaraz znów zaczęłam płakać. Jakiś mężczyzna w kapeluszu przeszedł obok nas i obrzucił spojrzeniem dwie głośno płaczące kobiety. Potem męski świat dał sygnał do odjazdu.

- Pamiętaj o tym, że cię kocham. Twoja mama cię kocha i zawsze będzie za tobą tęsknić, dzień i noc. A na wiosnę znów się zobaczymy.

Marynarz w mundurze zaniósł moją walizkę na pokład, a ja weszłam ostrożnie na trap. Na promie, który odbijał od nabrzeża tyłem, poszłam na dziób i wyczerpana machałam mamie ręką. Ona stała w miejscu i machała do mnie nawet, kiedy statek już się obrócił - poszłam wtedy na rufę - i o kilka długości oddalił się od brzegu. Patrzyłam, jak moja matka znów staje się małą dziewczynką, potem lalką i ołowianym żołnierzem. W końcu zniknęła tak samo jak słońce w morzu. Czułam, jak moje łzy przyjmują temperaturę morskiej wody.

Moja kochana mama.

Podświadomie już wiedziałam, że nasze rozstanie potrwa o wiele dłużej niż styczeń, luty, marzec i kwiecień roku 1941.

To był koniec mojego dzieciństwa.

W księdze życia, tej wyczerpującej instrukcji, która jest dołączana do każdej podróźnej walizki, jest napisane, że każdy etap życia kończy się załamaniem nerwowym. W następny etap wchodzimy jak nowo narodzeni, wyplakani i słabi, a płacz jeszcze odbija się echem po naszym wnętrzu. I tak dotarłam na wyspę Amrum; samotna islandzka dziewczynka, która w partii pokera rozgrywanej przez oprawców świata straciła ojca i matkę.

56

AMRUM

1941

Na przystani w Wittdün stała pani Baum, prosta jak świeca, w nieskazitelnie odprasowanym płaszczu i z upiętymi włosami. Jej twarz wyglądała szaro i poważnie. Mogła mieć jakieś trzydzieści pięć lat, ale ze swoimi wielkimi ustami i małymi oczkami sprawiała wrażenie zniszczonej, otaczała ją smętna aura pustki. Jej oczy od razu skojarzyły mi się z dwoma małymi groszkami na pustym talerzu, a usta z wygiętymi kiełbaskami. W jej cieniu przycupnęły dzieci, trzy niemieckie wytresowane myszki, a kawałek dalej, na łądzie, stała dziewczynka w moim wieku ze zmarszczonym czołem. To była Heike, dziecko czysto niemieckiej krwi, i miała być moją towarzyszką niedoli w tym zesłaniu do krainy dzieci. Jej

matka zginęła w pierwszym nalocie bombowym na Berlin, a ojciec w tej chwili wyżywał swoją żalobę na francuskich chłopach.

Członek załogi zaniósł moją walizkę na brzeg. Miałam w niej moje najlepsze ubrania, fabrycznie nowe kalosze, stare wydanie dwóch islandzkich sag i oczywiście puszkę Pandory od bolesciwej Anneli. Pani Baum zarekwirowała wszystko z surowym spojrzeniem.

Podobnie jak inne fryzyjskie wyspy Amrum jest zakrzywioną wydumą piaskową, od strony morza białą jak kreda, od strony lądu szarą kolorem trawy. Jest sześć razy większa niż największa z wysp u nas w Breiðafjörður, a podczas wojny mieszkało tam około tysiąca ludzi, kobiet i dzieci oraz mężczyźni niezdolnych do służby wojskowej.

Rodzina Baumów posiadała dom w Norddorf, wiosce liczącej 365 dusz na północnym krańcu wyspy. Dom był klasyczną fryzyjską budowlą, biały ze stromym, ciemnym dachem z trzciny. Wewnątrz nie było ani jednego zbędnego przedmiotu. Ściany były gołe, oprócz czarno-białego zdjęcia pana domu w mundurze wiszącego w pokoju bawialnym i kolorowego zdjęcia Führera z zaciętą miną, które zdobiło kuchnię.

Nieskrywana duma pojawiła się w głosie kobiety, kiedy oprowadzała mnie po domu. Wygłosiła długi wykład na temat jakości mojej pierzyny i oświadczyła, że rozpakuje mi walizkę. Oszołomiona patrzyłam, jak znika w swoim pokoju i nie byłam w stanie powiedzieć, co jest dla mnie najdroższe i najważniejsze, częściowo też z powodu mojej niemczyzny, która osiągnęła poziom dna.

Przez pierwsze dni prawie się nie odzywałam. Taki szok nie mija w kilka godzin. Byłam w rozpacz, onieśmielona i tęskniłam za matką jak statek za morzem. Pani Baum nie należała do zbyt rozmownych osób, a Heike patrzyła na mnie krzywo. Powiedziała, że nie zna duńskiego, a tym bardziej islandzkiego, i starannie pilnowała swoich rzeczy. Kobiety w Kopenhadze też przeżyły niejedno, ale dopiero w oczach tej dziewczynki mogłam zobaczyć cały wymiar wojennego koszmaru. Jej życie było jedną wielką dymiącą ruiną. Pierwszej nocy nie mogłam zasnąć z tęsknoty za matką i obserwowałam śpiącą Heike. Co jakiś czas wzdrygała się przez sen, kuliła i naciągała kołdrę na głowę.

Następnego dnia poszłam z nią do szkoły. Kiedy weszłyśmy do klasy, zaczęła udawać, że w ogóle mnie nie zna. Ale nie wyglądało na to, żeby miała w klasie jakieś inne koleżanki. Potem okazało się, że nie mówiła tutejszym językiem. Gdyż wprawdzie w szkole językiem wykładowym był niemiecki, ale między sobą dzieci rozmawiały po fryzyjsku. Dziwny to język. Ktoś powiedział, że fryzyjski jest jak język holenderski, który morze wyrzuciło na brzeg. Ja raczej miałam wrażenie, że brzmi, jak gdyby pijany w sztok Duńczyk, który przepłynął cały ocean jako członek załogi angielskiego frachtowca, próbował negocjować po

niemiecku z holenderską kurwą. Jeśli miałabym to określić poetycko, mogę powiedzieć, że fryzyjski to jedyny język morza. Kiedy Morze Północne wychodzi na ląd i udaje się do najbliższej knajpy, zamawia piwo właśnie po fryzyjsku. O ile wiem, od tamtego czasu Fryzyjczycy zagubili swój morski język; ową szacowną mową posługuje się teraz tylko trzynaście starych kobiet z domu starców w Husum, które wszyscy usiłują jak najdłużej utrzymać przy życiu.

Po duńskich doświadczeniach tym razem byłam zdecydowana nie dać się zepchnąć do roli klasowej ofiary. Było to łatwiejsze, niż mi się wydawało. Może dlatego, że dla fryzyjskich dzieci język islandzki nie był wiele dziwniejszy niż niemiecki. Poza tym nasza nauczycielka, panna Osinga, bardzo uważała, żeby nikt nie wypadł za burtę. Była jasnowłosa, wysoką kobietą około czterdziestki, na swój powściągliwy sposób była bez wątpienia piękna, taka Marlena Dietrich z koczkim, ale samotność i brak miłości bardzo dawały się jej we znaki, zresztą jak wszystkim kobietom na Amrum. Mieszkały tu albo wdowy, albo wdowy słomiane. Mężczyzn reprezentowało kilku starszych panów, którzy byli za starzy na wojaczkę i przyswoili już też sobie nieco kobiecej mądrości. Amrum był niemal wyłącznie wyspą kobiet.

Jako doświadczona wyspiarka bardzo szybko dostosowałam się do tego świata. Po miesiącu na Amrum miałam już fryzyjską przyjaciółkę i umiałam śpiewać w tym dziwnym języku, który nadal trzepocze mi gdzieś w zakamarkach pamięci jak wystrzępiona flaga na zardzewiałym maszcie.

Pani Baum nie była zbyt uszczęśliwiona, że ma kolejną gębę do wykarmienia. A przecież wiedziałam, że tata wysłał jej pokaźną sumę. Zresztą nie była to bynajmniej biedna rodzina. Pan profesor doktor Baum był niezłe ustawionym i wynagradzanym urzędnikiem Tysiącletniej Rzeszy. Na Wyspach Fryzyjskich rzadko się pokazywał. Często się zapomina, jakiej biurokracji wymaga cała ta machina wojenna, pan Baum nie mógł się zbyt często oderwać od swoich stosów papierów i stempli. Dom na Amrum był początkowo domem letnim, ale biorąc pod uwagę czasy i okoliczności, rozsądniej było, żeby żona i dzieci zamieszkały tam na stałe aż do ostatecznego zwycięstwa.

Brytyjskie bombowce, kierujące się nad Berlin czy Hamburg, regularnie przelatywały nad wyspą. Chłopcy ze wsi z upodobaniem je liczyli i skakali z radości, kiedy w drodze powrotnej brakowało dwóch czy trzech. Amrum oczywiście nie był żadnym ważnym celem, była to wyspa poza wojną, prawdziwy „schron przeciwlotniczy”. Znalazłam więc swoją spokojną wyspę na wstrząsanym wojną kontynencie i kiedy minął szok po rozstaniu z mamą, próbowałam się nawet z tego cieszyć. Choć Heike i ja musiałyśmy jeszcze stoczyć naszą

własną wojnę z panią Baum.

57

HEIKE & MAIKE

1941

Dzieliłyśmy pokój, bieloną cełę z kwadratowym bulajem w grubym murze i dwoma łózkami na topornych nogach. Z czasem Heike stała się rozmowniejsza, opowiedziała mi o swoim spokojnym życiu z rodzicami przed wojną, w mieszkaniu na trzecim piętrze kamienicy w berlińskiej dzielnicy Prenzlauer Berg. Jej ojciec był tramwajarzem, a matka wieczorami pracowała w kasie teatru. Zahartowana przez wojnę dziewczynka była zdania, że to właśnie pasja matki do tej pracy stała się przyczyną jej śmierci. „Los ją ukarał za to, że całym sercem nie poszła za Führerem. Musimy mocno trzymać się razem”.

Właśnie, pomyślałam, i przypomniał mi się mój ojciec.

Heike opowiedziała mi, na jakie skąpstwo była narażona w domu pani Baum. Małe dzieci dostawały do picia chude mleko, a my musiałyśmy się zadowalać wodą. Dziewczynka ze stolicy wiedziała, że według „prawa wojennego” każdy człowiek posiadał prawo do minimalnej racji żywnościowej. Ale pani Baum karmiła nas z zaciśniętymi dłońmi. Raz za razem chodziłyśmy głodne do łóżka i bez śniadania do szkoły. Ale ja jako doświadczone dziecko wyspy, wyrosłam przecież przy spiżarni Islandii, wiedziałam, że morze zawsze wyrzuca na brzeg coś jadalnego. Heike zrobiła wielkie oczy, kiedy pierwszy raz przyniosłam jej jajko rybitwy do wyssania, i całkiem pogodziła się z moją obecnością, gdy raz udało się nam nawet kilka takich jaj ugotować. Wciągnęłam ją w moją przyjaźń z tutejszą dziewczynką. Na imię miała Maike, miała blond włosy, zeza i rumiane policzki. Mieszkała niedaleko od nas w czerwonym domu z cegły, z matką, babką i braćmi, Sietem i Sjoerdem. (Czyż fryzyjskie imiona nie są piękne!) Jej ojciec był bardzo rodzinnym człowiekiem, a teraz zajmował się zrzucaniem bomb na angielskie miasteczka.

Oprócz rodziny Tieck pani Baum była jedyną Niemką we wsi, a tubylcy wyraźnie za nią nie przepadali.

Po szkole szukałyśmy w trójkę, Heike, Maike i ja, czegoś jadalnego na plaży. Na północy wyspa Sylt majaczyła jako biały pas na stalowozielonym morzu, a my wrywałyśmy rybitwom ich smaczne jajka. Jadłyśmy czerwone krasnorosty i wysuszone przez słońce brunatnice albo piekłyśmy na patykach małe rybki zwane tobiaszami. Kiedy z brzegu dostrzegaliśmy w wodzie fokę, Heike zaczynała fantazjować, że wykradamy strzelbę ojca Maike. Ta z kolei miała świetny pomysł, żebyśmy zaczęły szukać drewna wyrzucanego na

brzeg. Na Amrum stałym problemem był brak opału, a przecież na jasnym piasku leżało dużo wybielonych słońcem kawałków drewna, tylko trzeba było podejść bliżej, żeby je zauważyć. Ładowaliśmy je na mały drewniany wózek, który z trudem ciągnęliśmy po piasku. Potem chodziłyśmy po domach i za drewno dostawałyśmy świeżo upieczony chleb. Kiedy pani Baum dowiedziała się o naszym handlu wymiennym, zażądała, żebyśmy swoje znaleziska najpierw pokazywały jej. Twierdziła, że to szkodzi jej opinii, jeśli jej podopieczne chodzą zaspokajając głód do innych domów. Nasze kolejne skarby wylądowały więc u niej w komórce, a następnego ranka dostałyśmy za nie jedynie pół kromki więcej.

Dlatego nasz następny transport opału powędrował do domu Maike, gdzie w wolno stojącej szopie urządziłyśmy sobie swój mały magazyn zapasów. Biegłyśmy tam prosto po szkole i najadałyśmy się aż do kolacji. Rzadko kanapka z serem potrafiła tak smakować. Pani Baum zauważyła, że nie mamy prawdziwego apetytu, i zdecydowała:

- Sytych brzuchów nie zamierzam napychać.

- Ale my tylko zjadłyśmy kawałek żytniego chleba u Maike - tłumaczyła Heike.

- Dopóki jesteście u mnie na wikcie, macie nie jeść po ludziach. Każdy patrzy, jak tu przetrwać te trudne czasy. Mamy w końcu wojnę. Poza tym chyba wiem, jak dostajecie swój chleb.

- Ale my nie dostajemy... czasem nie... najadamy się tu do syta - Heike nie ustępowała.

- Na wojnie nikt nie je do syta - odparła ostro pani Baum. - Wszyscy musimy ponosić ofiary.

Oczywiście zauważyła moje ukradkowe spojrzenie na oblicze Führera, który ze ściany nadzorował nasze posiłki, bo dodała jeszcze:

- Dla Führera, narodu i ojczyzny.

Potem wygłosiła krótki wykład o strategii żywieniowej Rzeszy na czas wojny: Ludzie na froncie krajowym muszą zacisnąć pasa, bo nasza armia potrzebuje wszystkich dostępnych środków żywnościowych. Nocą są im dowożone specjalnymi pociągami przez tereny, które podbili za dnia. W tym celu wszyscy muszą ponosić ofiary. Sam Führer też świeci przykładem, gdyż od dawna nie jada mięsa i wszystkie jego posiłki składają się z warzyw.

Wieczorem modliłam się do Boga, żeby chronił mamę i babcię, i dziadka Björnssona i babcię Verę, tatę też i jeszcze... tak, też Adolfa Hitlera. Nie minął nawet tydzień, odkąd znalazłam się w tym ogarniętym wojną kraju, a Führer już zagościł w moim łóżku.

Pani Baum niedługo odkryła tajemnicę naszego handlu drewnem i zarekwirowała nam wózek. Musiałyśmy więc rozejrzeć się za innymi dobrami wyrzucanymi przez morze. Maike nauczyła nas „czytać mewy” i tak stałyśmy się dwunożnymi szczurami plażowymi, które śledziły swoje koleżanki na niebie w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia i zawsze pojawiały się tam, gdzie gromadziło się dużo mew. Oczywiście na rozległych plażach można było znaleźć niejedno. U-Booty pracowicie torpedowały statki, a fale Morza Północnego rozprzodzały ładunek od Skagen do Ostendy. Raz znalazłyśmy pękniętą beczkę śledzi, innym razem tysiąc pięćset żarówek, które jednak nie pasowały do żadnej lampy. Zabawnie było patrzeć, jak ptaki próbują się dobrać do tych lśniących szklanych owoców. Naszym najcenniejszym łupem były dwie drewniane skrzynie pełne okrągłych puszek z szuwaksem, które ukryłyśmy w szopie u Maike i sprzedawały po cichu, żeby nasza nadzorczyńni się nie dowiedziała. Tylko raz przy kolacji zauważyła, że ostatnio wszyscy we wsi chodzą w lśniących czernią, wypastowanych butach. Udało się nam ukryć uśmiechy, a ja powiedziałam tylko:

- To z powodu święta.
- Jakiego święta?
- Biikebrännen, w wigilię święta katedry Świętego Piotra.

Pani Baum jeszcze nigdy nie spędziła zimy na wyspie, dlatego nie знаła tego dawnego fryzyjskiego zwyczaju, który przypuszczalnie wywodzi się jeszcze z czasów pogańskich. Wieczorem 21 lutego wszyscy zbierają się na plaży, gdzie każda wieś buduje swój stos, zwany *biike*. Wszyscy tańczą i śpiewają, w niektórych wsiach pali się też Piotrusia, słomianą kukłę, która symbolizuje zimę - jej spalenie ma zapoczątkować wiosnę. Dziadek Maike opowiadał nam, że dawno temu to kobiety rozpały ogniska, żeby pożegnać swoich mężów, którzy ruszali polować na wieloryby. Jej babcia uzupełniła z dwuznacznym uśmiechem, że fryzyjskie dziewczyny tym samym wysyłały sygnał do chłopaków na lądzie, że na wyspie nie ma mężczyzn. Pani Baum ze zdumieniem wysłuchała tych historii, a potem zdecydowała, że w czasie wojny „te bzdury” są absolutnie zbędne.

- Czy naprawdę ludzie zamierzają palić ogień wzdłuż brzegu? To równie dobrze mogliby wysłać Anglikom zaproszenie, żeby przylecieli zrzucić na nich swoje miny powietrzne - powiedziała z oburzeniem, odchyliła się do tyłu na krześle, z szeroko rozstawionymi nogami, w przepoconym fartuchu, i potrząsnęła głową, aż loki jej trwałej zafurkotały wokół skroni.

- Mamo, co to są miny powietrzne? - zapytała jej córka, mała blondyneczka o rumianej buzi.

- To są bomby, które źli ludzie z Anglii zrzucają z samolotów, żeby zniszczyć domy i zabić mieszkających w nich ludzi - wyjaśniła szybko Heike.

- A dlaczego oni chcą zabijać ludzi?

- Bo mówią po niemiecku, a nie po angielsku - odparłam.

- Mamo, ja nie chcę umierać, ja wolę mówić po angielsku - powiedziała mała i zaczęła płakać. Jej matka bardzo się zdenerwowała.

- Dlaczego opowiadacie takie rzeczy? Co to za niedorzeczności! Poza tym nie chcę, żebyście ciągle mówiły po fryzyjsku. Jesteście w Rzeszy Niemieckiej, chodźcie do niemieckiej szkoły i macie mówić po niemiecku!

- Nie, mamo, ja chcę mówić po angielsku - znów zapłakała dziewczynka.

Choć miałyśmy dopiero po jedenaście lat, odebrałyśmy wybuch tej kobiety w przekobiecy sposób: oto samotna sfrustrowana kobieta tkwiła uwięziona na obcej wyspie. Jej gniew nie był w gruncie rzeczy skierowany przeciw nam, tylko przeciw czemuś całkiem innemu. Nie należało odbierać tego osobiście. Tego samego dnia przeczytałam list od mamy, który też był pełen wykrzykników: „Ach, gdybym tylko miała cię przy sobie! Tak bardzo za tobą tęsknię, dziecko! I nie zapomnij modlić się za swojego ojca!”.

Nie tylko pani Baum była zaniepokojona zapowiadzanym ogniskiem na plaży. We wsi też toczył się z tego powodu spór. Druga niemiecka rodzina z Norddorfu, Tieckowie, szaleli. Ich córka Anna opowiadała o wszystkim w szkole i prorokowała, że wszyscy, którzy pójdą na plażę, zginą od brytyjskich kul. Heike kiwała przy tym głową ze zmarszczonym czołem. Wreszcie przysłano z Berlina zarządzenie, że palenie ognia na całym wybrzeżu Rzeszy jest zakazane. Ale w tej niewielkiej wiosce nie było żadnego urzędnika spod znaku swastyki. A o niezawisłości Fryzyjczyków wiele mówi fakt, że niewzruszenie zebrali się wokół swoich ognisk, jak czynili to w ten lutowy dzień od tysiąca lat.

Heike zaraz wystąpiła z naszego fryzyjsko-islandzkiego stowarzyszenia i oburzała się na mnie spod kołdry, jak mogę się angażować w te głupstwa.

- Pani Baum ma rację. Takie archaiczne zwyczaje trzeba zlikwidować. Musimy trzymać się razem.

- Ale przecież my tego nie organizujemy. Chcemy tylko pójść i... popatrzeć.

- Herro, jesteśmy w stanie wojny! Kto pozostaje neutralny, jest tchórzem. Te ognie stanowią zagrożenie dla Rzeszy Niemieckiej.

- No dobrze. W takim razie pójdziemy tam, żeby je zgasić. Idziesz z nami?

Nie odpowiedziała.

W tygodniu kiedy przypadało święto Biikebrånnen, morze wyrzuciło na brzeg dwa srebrzyste pojemniki wielkości walizek. Heike i Maike nie chciały, żebym do nich podchodziła, wskazywały na mewy, na nasze psy myśliwskie, które od tych skrzynek trzymały się na dystans.

- Tylko dlatego, że te pojemniki nie mają żadnego zapachu - powiedziałam.

- Właśnie. Materiały wybuchowe nie pachną.

Moja głupia, po islandzku naiwna ciekawość jednak nie dała się powstrzymać. Moje koleżanki odeszły tak daleko, żebyśmy mogły do siebie krzyczeć, a ja w końcu zbliżyłam się do srebrnych skrzynek i otworzyłam zamki. O tak, w rzeczy samej zawierały materiał wybuchowy - mianowicie były pełne szminek. W środku znajdowało się sto, dwieście szminek w wojennych barwach czerwieni. Z triumfem w głosie przywołałam Heike i Maike. Kiedy już wypróbowałyśmy różne odcienie, śmiejąc się przy tym do rozpuku, napełniłyśmy sobie szminkami kieszenie, a pojemniki zakopałyśmy pod wydumą i starannie zamaskowałyśmy to miejsce.

Na wieczorne święto każda kobieta z wioski przyszła w czarnych błyszczących butach i z ognistymi czerwonymi ustami.

59

CZŁOWIEK Z NIEBA

1941

Pani Baum zabroniła swoim dziewczynkom iść na Biikebrånnen, a nas dla pewności zamknęła w naszym pokoju. Heike zgadzała się całkowicie z opiekunką i ostro się kłóciłyśmy, siedząc na swoich łóżkach, podczas gdy wieczorny mrok powoli wypełniał nasz pokój. Byłam zdecydowana tam pójść. Rzesza, która obawia się małego ogniska na brzegu morza, raczej nie utrzyma się przez tysiąc lat. Maike i ja bardzo się starałyśmy i dorzuciłyśmy do stosu niejedną solidną kawał drewna. Nie chciałyśmy przegapić ognia, który z nich powstanie.

- Chcesz dać się zabić?

- Zabić?

- Ależ tak, przecież to się tak skończy, że Anglicy zaatakują was z powietrza, kiedy zobaczą te ognie.

- Wszystko mi jedno.

- Wszystko ci jedno? Naprawdę chcesz dać się zabić?

- Tak, tak.

- Dlaczego?

- Bo... jestem ciekawa. Jak to Islandka.

Maike zapukała w szybę. Po krótkich zapasach z Heike udało mi się wyrwać z jej rąk i wyjść przez okno. Pobiegłyśmy na plażę i byłyśmy na miejscu w samą porę, tuż przed podpaleniem wielkiego stosu.

Wieczór był chłodny i bezwietrzny. W powietrzu wisiał mróz. Milczenie było tak gęste jak piasek i ciemność, póki starszy strażak nie wzniecił ognia. Około stu osób odważyło się wyjść z domów. Teraz wszyscy stali wokół trzaskającego stosu. Oczywiście nie obeszło się bez strachu, ale naciski ostatnich tygodni jeszcze bardziej ich związały. W pewnej chwili ktoś zaczął śpiewać. Kobiety i mężczyźni dołączyli się do śpiewu, położyli dłonie na ramionach ludzi stojących obok i kołysali się razem w takt ognia, płomieni i melodii:

Klink dan en daverje fier yn it roun, Dyn âlde eare, o Fryske groun! Kobiety wystroiły się na tę okazję, czerwone usta oraz lśniące buty, i wyglądały teraz jak tancerki flamenco. Bliźniaczki z sąsiedniego domu, które zwykle przemykały tylko przez podwórze ze zgarbionymi plecami, żeby ukryć kielkujące piersi, jaśniały teraz przy ogniu radością życia. Spojrzenia śmigały niczym iskry spośród płomieni i gasły w ciemnościach nocy. Nie było jednak młodych mężczyzn, żeby z tych iskier mógł powstać pożar. Oni byli daleko, daleko stąd w Lublanie czy w Afryce Północnej i łapczywie wyjadali końską kiełbasę z otwartych wagonów kolejowych. Tutaj zaś pomiędzy dziewczęcymi i kobiecymi piersiami kołysali się jedynie znużeni mężczyźni u schyłku życia, a ostatnie promienie słońca ich żądz lizały szczyty, na które kiedyś się wspinali.

Nagle z góry rozległ się jakiś pomruk. Wszyscy natychmiast przerwali śpiew i spojrzeli w niebo. Nie było nic widać, ale warkot stawał się coraz głośniejszy. A więc jednak Niemcy mieli rację; ogień zwabił angielskie bombowce. Natychmiast rozbiegliśmy się na wszystkie strony, jak najdalej od ognia. Maike i ja nie zdążyłyśmy uciec daleko, kiedy odgłos lecącego samolotu zamienił się w odgłos spadania, a my odwróciłyśmy się w jego stronę. Z ciemnego nocnego nieba wyłoniło się coś niewyraźnego, opatrzonego białymi i czerwonymi kołami, pokazało się krótko, a potem ze słonym chlupnięciem wpadło do wody, w niewielkiej odległości od brzegu. Widziałyśmy jeszcze połowę skrzydła wystającą z wody; z cichym sykiem ulatniał się z niego jasny dym. Znaki zapytania, szybko rosnące kwiaty, wyrastały na piasku, zwieńczone wielkimi oczami.

Zauważyłam, że Anna Tieck, Niemka, przywarła do piasku niedaleko nas. A więc jednak przyszła. Teraz przyglądała się nam z pogardą. W końcu jakiś rozsądny starzec, który

już nie bał się aż tak o swoje życie, podniósł się i podszedł do wody. Maike i ja ostrożnie ruszyliśmy za nim. Wkrótce zauważyliśmy, że w morzu coś się porusza, a po kilku kolejnych chwilach napięcia dostrzegliśmy płynącego w naszą stronę człowieka.

- Kto tam? - zawołał po niemiecku starzec.

Żadnej odpowiedzi. Młody człowiek w błyszczącej kurtce stanął na nogi i wyczerpany szedł ostatni kawałek w bród. Wyglądał na nieuzbrojonego. Gdy tylko dotarł do suchego lądu, zatrzymał się i krótko się nam przyjrzał, a potem opadł na kolana, z trudem łapiąc powietrze. Woda kapała mu z włosów.

- Kim pan jest? - powtórzył po niemiecku stary.

Coraz więcej ludzi podchodziło bliżej. Za naszymi plecami trzaskał jasno płonący ogień.

Mężczyzna wyprostował się i zapytał:

- Czy to jest Wannsee?

- Słucham?

- Czy to jest Wannsee?

Mówił po niemiecku z brytyjskim akcentem.

- Czy pan jest Anglikiem? - odezwał się jakiś kobiecy głos za naszymi plecami.

- Yes - odparł, podniósł do góry ręce, a potem zrezygnowanym tonem dodał po angielsku: - Aresztujcie mnie.

Fryzjczycy popatrzeli po sobie, potem spojrzeli na mężczyznę, potem znów na siebie, nie mówiąc ani słowa. Żołnierz był jeszcze młody, miał piękną twarz i ciemne włosy. Jego usta drżały z zimna. Podszedł do nas, potem odwrócił się za siebie i pokazał na morze, w stronę wraku, chciał coś powiedzieć, ale wstrząsnął nim atak kaszlu. Potem nachylił się i zwymiotował na piasek. Jakaś starsza kobieta podeszła do niego z kocem, który zarzuciła mu na ramiona. Pomogła jej jedna z młodych, a potem razem poprowadziły rozbitka do ognia. Anglik miał na sobie krótką skórzaną kurtkę, z napisem Royal Air Force na ramionach i piersi. Jego dolną wargę przecinała piękna jasna blizna, biegnąca do podbródka.

Przeszedł kilka kroków, a potem zatrzymał się i łamanym niemieckim zaczął tłumaczyć dwóm mężczyznom, że we wraku został jego kolega. I kiedy kobiety dalej prowadziły żołnierza do ogniska, dwaj Fryzjczycy zaczęli brodzić po wodzie w stronę rozbitego samolotu. Ale byli starzy i nie odważyli się wejść głębiej niż do kolan, gdyż morze było lodowato zimne. Przy wraku nie widać było żadnego ruchu, aż wreszcie poddał się łagodnemu kołysaniu fal i sterczące pionowo skrzydło z pluskiem zanurzyło się w wodzie.

Obaj zaraz wrócili na brzeg i dołączyli do reszty zebranej wokół ognia. Tymczasem

kobiety rozebrały Anglika z kurtki i koszuli i znów zawinęły w koc. Któraś z kobiet założyła mu jeszcze na ramiona czerwony szal. Na skrzyżowanych nogach, poszczękując z zimna zębami, siedział tak w piasku, otoczony przez matki i córki Fryzji, i patrzył w ogień. Maike i ja przyglądałyśmy mu się w zachwycie. Jeszcze nigdy nie widziałam tak przystojnego mężczyzny, może najwyżej w Kopenhadze w kinie. Tak pięknych i regularnych rysów twarzy nie produkuje się po tej stronie Morza Północnego. A ja myślałam, że Anglicy to zwyrodniali mordercy.

Nasza nauczycielka, panna Osinga, mówiła jako tako po angielsku. Przykucnęła obok przybysza i pozostałym przekazywała dalej informacje, że Anglik ma na imię William i jest przekonany, że spadł do jeziora Wannsee pod Berlinem. Nic więcej nie dało się z niego wyciągnąć. Był najwyraźniej zdruzgotany swoją pomyłką, która jego kolegę kosztowała życie. Nie można było mu wytłumaczyć, gdzie się znajdował.

- *Frezeland?* - powtarzał z niedowierzaniem.

Kobiety spoglądały na młodzieńca rozmarzonymi oczami i czerwienią ust. Nic tak nie porusza kobiecych serc jak piękny młody mężczyzna, któremu mogą współczuć. Całkiem zniecka trafiła się wielka gratka z samego nieba. Angielska męska seksbomba.

- On wygląda bosko, nie uważasz?

- Tak - przyznała szeptem Maike - to chyba niemożliwe, żeby był Anglikiem.

Znów rozległ się warkot silnika, tym razem z wody. Od południa zbliżała się szybko łódź motorowa, która snopami światła przeszukiwała wybrzeże. Zebrani wokół Anglika poderwali się na nogi, on także wstał. Łódź zbliżała się coraz szybciej. Światło reflektora kołysało się tuż przed płonącym stosem. Męski głos rozkazał przez tubę:

- Zgasić ogień!

Staliśmy wszyscy jak skamieniali i patrzyli, jak jeden z długich płaszczy władzy zaczyna iść w bród ku lądowi. Zobaczyłam, jak panna Osinga jedną nogą zasypuje piaskiem leżącą przy ognisku kurtkę pilota. Niemiecki oficer był wysoki i poruszał się tak, jakby nie miał stawów w kolanach, jego szczęki były surowo zarysowane. W lewej dłoni trzymał tubę. W prawej lśnił pistolet. Wrzasnął, że mamy wreszcie zgasić ten przeklęty ogień, co to jest za wariactwo.

- Zgasić ogień!

Jego czapka była głęboko nasunięta na czoło. Anglik znów zaczął dygotać. Dwóch małych chłopców uciekło z krzykiem pomiędzy wydmy. To byli bracia Maike. Ich matka popatrzyła krótko za nimi, wydała stłumiony okrzyk, ale zaraz znów się odwróciła i zobaczyła, że oficer uniośł pistolet. Błyskawicznie rzuciła się jak lwica na lufę i skierowała

strzał w inną stronę, gdzieś w ciemność za ogniskiem. Strzelec odepchnął ją, z wściekłością wystrzelił jeszcze dwa razy w kierunku wydm, a potem wycelował broń w kobietę, która leżała u jego stóp, zawodząc po niemiecku:

- Tak, niech pan strzela... lepiej niech pan mnie zastrzeli.

Ale mężczyzna w płaszczu nie miał czasu, żeby strzelać do matki, bo podeszli do niego dwaj żołnierze i wskazali na morze. Snop światła oderwał się od brzegu i teraz oświetlał wrak samolotu. Wszyscy trzej pobiegli z powrotem do wody. Maïke nie mogła się opanować i z płaczem rzuciła się na swoją matkę, która nadal klęczała na piasku.

Łódź zbliżała się do rozbitego samolotu, ale facet w płaszczu wrócił do ogniska. Jego żołnierze przynieśli wiadra i kazali fryzyjskim mężczyznom dźwigać w nich wodę do gaszenia ognia. Oficer podsunął daszek czapki trochę wyżej i sztywno, ale ze spokojem przechadzał się wkoło; uśmiechnął się na widok dwóch kobiet leżących u jego stóp. Kiedy wreszcie zrozumiał, że ma przed sobą jedynie całkowicie niewinne kobiety, młodzież, starców i dzieci, jego bojowy duch nieco zelżał, a nawet zdobył się na uśmiech.

- A więc jesteście Fryzyjczykami? Wszyscy do kupy? I wyobrażacie sobie, że wojna was nie dotyczy? Naprawdę myślicie, że możecie tu uprawiać sobie swoje gusła, jak gdyby nigdy nic? Jakby nie było niebezpieczeństwa. Palimy sobie ogień. Tak po prostu.

Za jego plecami ognisko wydało stłumiony chichot, kiedy chlusnęły na nie pierwsze wiadra wody. Maïke nadal szlochała w objęciach matki, która wierzchem dłoni ocierała sobie łzy z twarzy.

- Co się stało z tym samolotem? Widzieliście, jak spadał? - pytał dalej oficer.

- Tak - odparła nasza nauczycielka.

- Czy strzelano do was?

- Nie.

- To co się stało? Czy samolot został zestrzelony?

- Nie, nie wydaje mi się. Po prostu spadł do wody.

- Ach tak. A więc spadł z nieba, a wy sobie dalej spokojnie płasacie po fryzyjsku, jakby w ogóle nic się nie stało... - Nagle urwał, zobaczył Anglika i podszedł bliżej do niego: - Kim pan jest?

Wszyscy zebrani wstrzymali oddech.

- Wi... William - wymamrotał lotnik.

- Willem?

- Tak - przyznał młody mężczyzna o mokrych włosach, zupełnie bez akcentu. Po prostu powiedział zwykle, jasne Tak, Ja, którego nie można było do niczego przypisać;

równie dobrze mogło być niemieckie, fryzyjskie jak holenderskie.

- A jak do tego doszło, że pan jest mokry?

Młodzieniec chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wykrztusić ani słowa, jego wargi drżały jeszcze mocniej niż przedtem. Starszy mężczyzna, który wcześniej wyszedł mu naprzeciw, także i tym razem pospieszył z pomocą:

- On... wszedł do wody... żeby zobaczyć, czy pi... pilot naprawdę... nie żyje.

Zauważyłam, że Anna Tieck stała bardzo blisko mnie i nawet na nią nie patrząc, czułam, że jest bliska wybuchnięcia.

- I co? Nie żyje? - zapytał oficer.

- Tak... a raczej nie... nie całkiem... on musiał... musiał jeszcze z nim walczyć. Prawda? - Starzec rzucił Anglikowi spojrzenie, które ten szybko odwzajemnił, a potem wbił wzrok w piasek i posłusznie skinął głową.

Mężczyźni jeszcze raz przynieśli pełne wiadra i pośród syków światło ognia przygasło.

- Ach tak? A więc jesteśmy nawet bohaterem - powiedział oficer szyderczo, a potem się nadał. - Ale bohaterowie nie spuszczaają głowy! - Końcówką lufy podniósł angielski podbródek do góry i spojrzał tamtemu badawczo w oczy. - I co taki młody bohater robi tutaj na babskiej imprezie? Dlaczego nie jest pan w wojsku? A może jest pan dezercerem? - zawołał, a potem ściągnął z Anglika szalik i koc. Młody człowiek został tylko w białym podkoszulku.

Oficer wypuścił z dłoni tubę i zerwał z tamtego podkoszulek. Oczom zebranych dam i inwalidów w słabym blasku ognia ukazał się nader apetyczny tors. Z zawstydzenia, a może i ze strachu, młody Anglik znów spuścił głowę, ale oficer schwycił go za prawe ramię i odwrócił do siebie. W przypląwywie sadystycznego podniecenia kazał mu ściągnąć też spodnie.

Potem przez dłuższą chwilę spokojnie taksował młodego człowieka. Niemal słychać było kotłujące się w nim pożądanie. Wreszcie podszedł o krok bliżej, wsunął lufę za pas jego spodenek i pociągnął je w dół. Równocześnie rozkazał mu stać prosto.

- Nie ruszać się!

Stał przed nami nagi mężczyzna, prawdziwy Amor w swojej boskiej wspaniałości. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Nawet teraz, siedemdziesiąt lat później, zużyta i wyszana przez życie, dmuchawiec na łożu śmierci. Ciągle mam go przed oczami jako właściwy sens życia. Nigdy przedtem nie widziałam czegoś tak porażająco wspaniałego i tak załośnie brzydkiego zarazem, czegoś tak szalenie prawdziwego. Mimo chłodu wieczoru i setki kobiecych oczu angielski członek wyglądał zaiste imponująco i kołysał się lekko w pozycji

stojącej, kiedy ciałem jego właściciela wstrząsały dreszcze: ozłocony przez ogień Priap. Mężczyzna w czapce z daszkiem był tak samo oniemiały jak my wszyscy. Przyglądał się chwilę temu okazowi, a potem zaśmiał się i zwołał swoich żołnierzy.

- Właśnie czegoś takiego potrzebuje niemiecka armia.

Żołdacy zarechotali prostacko, a on powtórzył to zdanie i śmiał się jeszcze głośniejsze. Spektakl skończył się tak samo nagle, jak się zaczął, kiedy trzech starych Fryzyjczyków chlusnęło po wiadrze wody na ognisko. Teraz zrobiło się całkiem ciemno. Reflektor na łodzi był jedynym źródłem światła na plaży. Z wody dobiegały jakieś okrzyki, ale człowiek w długim płaszczu nie zwracał na nie uwagi, tylko zapytał nagusa o jego pełne nazwisko. Anglik wymamrotał coś niedosłyszalnie.

- Słucham? - ryknął Niemiec.

- On się nazywa... Willem... Willem Wannsee, panie oficerze - wyjaśniła panna Osinga.

- Aha. A więc Willem Wannsee - mruknął oficer, wyjął z kieszeni skórzanego płaszcza notes i ołówek, po czym zapisał nazwisko. - Odezwiemy się do pana! - szczechnął do młodzieńca, szczerząc się w uśmiechu, podszedł do niego i przyłożył lufę pistoletu do angielskiego przyrodzenia.

Znów rozległy się okrzyki z łodzi i Niemiec schował notes z powrotem. Właśnie miał się odwrócić, kiedy Anna Tieck nagle wystąpiła naprzód i otworzyła usta. Lecz zanim zdążyła zdradzić angielskiego pilota, skoczyłam na nią od tyłu i dłonią zasłoniłam jej usta. Zaczęła machać rękami, żeby się uwolnić, i razem upadłyśmy na piasek. Wylądowałam pod nią, ale udało mi się unieruchomić jej ramiona i nogi, a przede wszystkim jej niemiecki język.

Panna Osinga zawołała:

- Dziewczynki, co to ma znaczyć?

Tłum zwrócił się w naszą stronę, ale nikt nie podchodził bliżej. Mężczyzna z pistoletem prychnął na widok dziecięcej bójki, ale nie mógł wiedzieć, że tu chodziło o życie lub śmierć. Kiedy odszedł, Anna zdołała się uwolnić i wstała. Zdołałam jeszcze cudem wsunąć dwa palce za pasek spodni i znów rzucić ją na ziemię.

- On jest Ang... - zawołała za swoim rodakiem, ale ja zdusiłam jej głos płaską dłonią. Patrzyła na mnie rozwścieczona, znów się uwolniła i chciała biec za oficerem, ale pozostali, którzy otoczyli nas kołem, jej nie wypuścili.

Wrzasnęła jeszcze raz:

- On jest Anglikiem!

Wszyscy stali z otwartymi ustami i nikt nie miał dość odwagi, żeby uciszyć

dziewczynę. Zawołała jeszcze raz, ale nie mogła przebić się przez tłum. Liczne spojrzenia towarzyszyły mężczyźnie w płaszczu, kiedy brodził po wodzie, ale on się nie odwracał. Wkrótce znalazł się w łodzi, która zaraz ze swoim snopem światła obrała kurs na północ.

Maike i jej matka pobiegły na wydmy, które rozdzielały plażę i wieś. Z ciemności słysząc było, jak wykrzykują imiona chłopców, Sieta i Sjoerda.

Na brzegu zrobiło się ciemno, tylko gwiazdy jaśniały w górze. Trzy kobiety pomogły Anglikowi założyć spodnie, znów otuliły go kocem i szalem, trzy inne się temu przyglądały. Anna, Niemka, posyłała mi mordercze spojrzenia.

60

SKÓRZANA KURTKA

1941

Rozdygotana stałam jeszcze przy resztkach ogniska. Jasny od wody dym unosił się nad osmalonymi polanami. W pobliżu stosu natrafiłam na coś leżącego w piasku. Schyliłam się i wyciągnęłam kurtkę pilota. Była ze skóry, ciepło podbita i ciężka od wilgoci. Mimo to wzięłam ją ze sobą i poszłam za innymi, którzy na ukos przez jasne wydmy porośnięte piaskownicą szli w kierunku wsi.

Między ciemnymi źdźbłami połyskiwały światła, ciemne wieczorne lampki w oknach i jasne jak dzień latarnie na wysokich słupach, prostych i pochyłych. Między tymi drewnianymi masztami były rozpięte cieniutkie jak gumka przewody, które z matową poświatą transportowały światło od słupa do słupa.

Nie znalazłam ani Maike, ani jej matki, ale w jednym z oświetlonych zakątków wsi natknęłam się na bliźniaczki z sąsiedztwa, które powiedziały mi, że chłopcom nic się nie stało. Odetchnęłam z ulgą, a potem uwaga siostr skupiła się wyłącznie na kurtce, którą niosłam przewieszoną przez ramię. Chciały koniecznie wiedzieć, czy coś jest w kieszeniach.

W bocznej kieszeni była tabliczka czekolady w przemoczonym opakowaniu. Odłamałam dwa kawałki i poczęstowałam bliźniaczki, sama też spróbowałam. Smakowała gorzko, jak polewa z dużą ilością kakao.

- A co z Anną? - zapytałam. Rozświergotane twarze siostr zaraz przygasły.

W tej samej chwili usłyszałyśmy na niebie buczenie i podniosły oczy. Cztery angielskie bombowce nadlatywały nad wioskę od wschodu, żeby zniknąć dalej nad Morzem Północnym. Poprosiłam siostry o przechowanie kurtki. Nie chciałam jej zabierać do domu pani Baum. Wzięły ją i powiedziały, że Anglik jest teraz u panny Osingi i będzie tam dzisiaj nocował. Potem znów zaczęły się zachłystywać, jakież to on był piękny, przystojny i

postawny, zaraz jednak ugryzły się w język i spojrzały w niebo na zachodzie, gdzie powoli cichł odgłos bombowców.

61

PIĘTNO

1941

Zakradłam się do ogrodu, potem wzdłuż ściany domu chciałam się dostać do naszego okna, kiedy usłyszałam jakiś dziwny dźwięk. Dochodził z łazienki. Za bladezieloną zasłoną paliło się słabe światło i rozlegały się głębokie gardłowe jęki pani domu. Czyżby była chora? Jednak kiedy odgłosy stawały się coraz intensywniejsze, zrozumiałam, że miały zgoła inne przyczyny. Ucieszyłam się ze względu na nią, wspięłam się do okna, przeszłam na drugą stronę i zaraz położyłam się do łóżka.

Heike leżała na poduszce z kołdrą podciągniętą pod samą brodę. Sprawiała wrażenie, że śpi, ale w rozjaśnionej gwiazdami ciemności było widać, że to leży dziecko, które na siłę zamyka oczy przed nocnym czarnym światem. Przyglądałam się jej tak długo, aż się poddała i otworzyła oczy.

- Zdrajczyni.

- Chcesz czekolady? - zapytałam, podsuwając jej napoczętą tabliczkę.

- Czekolady?

- Tak, dostałyśmy przy ognisku.

- Nie, już umyłam zęby.

- Wiesz, kiedy mężczyzna jest nagi, to jest...

- Co? - zdumiała się Heike.

- Kiedy mężczyzna jest nagi, to nie jest niczym innym tylko mężczyzną.

- Słucham?

- Wtedy nie jest ani Niemcem, ani Anglikiem. To znaczy... dopóki nie otworzy ust, póki siedzi cicho. Popatrz tylko! - powiedziałam, podwinęłam rękawy bluzki i swetra i pokazałam jej moje obnażone ramię. - Gołe ramię, krew i kości. Nie widać, czy jest islandzkie, duńskie, fryzyjskie... czy choćby niemieckie.

Heike patrzyła na nie w milczeniu.

- Nie możesz wiedzieć, jaką ma narodowość - powtórzyłam.

Nagle jej ramiona wystrzeliły spod kołdry, jedno schwyciło mocno moją dłoń, podczas gdy druga ręka sięgnęła na nocny stolik po nożyczki. Usiadła, nadal trzymając mnie zdecydowanie i z taką siłą, że kompletnie zaskoczona nie mogłam się uwolnić. Potem w

ułamku sekundy wyryła mi na skórze tuż nad łokciem swastykę. I puściła moje ramię. Z rany sączyła się krew. Z wykrzywioną z bólu twarzą pobiegłam do łazienki. Ale jej drzwi nadal były zamknięte.

Wróciłam do pokoju i rozwścieczona rzuciłam się na Heike. Skuliła się w kącie łóżka, aż było widać tylko kawałek jej włosów, ale przez koldrę zawołała:

- Zasłużyłaś na to!

Wzięłam pończochę i przewiązałam ranę, potem się przebrałam i położyłam do łóżka. Heike chyba zasnęła, ale ja nadal leżałam z otwartymi oczami. Emocje tego wieczoru nie dawały mi spokoju i przyspieszały rytm mojego serca.

W końcu zdecydowałam się iść po szklankę wody. Miałam dziwnie zaschnięte gardło. Na czerwone płytki kuchennej podłogi padało światło, podzielone na kwadraty przez szczeliny w oknie. Wszedł księżyc. Islandzkim zwyczajem odkręciłam kran i najpierw zaczekałam chwilę, aż woda zrobi się zimna - nauczyłam się tego tamtej zimy w Reykjavíku. Ale po chwili otworzyły się drzwi łazienki i do kuchni weszła pani Baum.

- A, to ty. Co tu robisz?

- Chciałam się napić wody.

- Dobrze, to pij, ale nie lej tak dużo na darmo - powiedziała, wzięła z półki szklankę, napełniła ją, zakręciła kran i wręczyła mi wodę.

- Gdzie ty byłaś? Dokąd się wybrałaś? Może na plażę? Przecież wam zabroniłam. Tak się martwiłam o ciebie. Kiedy wróciłaś? A może dopiero teraz? I w ogóle jak ty wyglądasz, dziecko? Dlaczego tak na mnie patrzysz? Czy coś się stało? Napiłaś się piwa czy co?

Mogłam sobie wybrać jedno z tych dziewięciu pytań, ale poprzestałam tylko na wskazaniu palcem sznura pereł, jaki miała na szyi. To zbiło ją z tropu.

- Tylko chciałam przymierzyć - powiedziała.

Jeszcze nigdy nie widziałam tej sztywnej kobiety w tak uwodzicielskim wydaniu. Ognieście czerwona szminka nadała jej twarzy nawet pewnego piękna. Miała na sobie odsłaniającą ramiona halkę z jedwabistego materiału, do tego naszyjnik z pereł, który wydawał mi się bardzo znajomy. Teraz wiedziałam, jak wyglądał jej wieczór.

- To prawdziwa zaczarowana szkatułka - powiedziałam.

- Słucham?

- Moja kasetka. Ma w sobie coś specjalnego. Nie potrafię tego dokładnie wyjaśnić, ale czy pani też... coś poczuła?

- Kiedy?

- Kiedy ją pani otworzyła?

Kobieta wpatrywała się we mnie swoimi szarymi oczkami i analizowała moje pytanie: czy z jedenastoletnią dziewczynką można rozmawiać o czymś takim?

- Tak, w rzeczy samej, tam... to było... - Tu jej spojrzenie padło na pończochę, którą miałam zawiązaną na ramieniu. - A co to takiego?

- Nic, tylko się uderzyłam o coś.

- O co?

- O Niemcy.

Potem powiedziałam, że chcę wrócić do pokoju, i grzecznie podziękowałam za wodę. Przylapaną na gorącym uczynku pani Baum udawała bardzo miłą, pozwoliła mi odejść, powiedziała nawet „proszę” i życzyła mi dobrej nocy. Po tej rozmowie w rozjaśnionej księżycem kuchni nigdy już mnie nie prześladowała. Ale tamtej nocy nie dane mi było zasnąć, podjadałam jeszcze trochę czekolady pilota i przyglądałam się twarzy niemieckiego osieroconego dziecka na poduszce naprzeciwko. Była taka piękna, kiedy spała. Niech ją diabli porwą! Czy już do końca życia będę musiała chodzić z blizną w kształcie swastyki? (Sprawdźmy. Podwijam rękaw mojej białej szpitalnej koszuli. O tak, na moim liszajowatym przedramieniu nadal odznacza się kośława swastyka).

Postanowiłam, że od teraz będę Heike nazywać Haken, od swastyki, Hakenkreuz. Już nigdy więcej nie będę mogła nosić bluzek z krótkim rękawem, tylko kiedy będę u taty. On się na pewno ucieszy, kiedy zobaczy swoją córkę z wypalonym piętnem swojej wizji. Ach, dlaczego tata musiał zostać żołnierzem? Dlaczego nie posłuchał mamy, najmądrzejszego człowieka, jaki kiedykolwiek żył na świecie?

Moja kochana mamo. Śpisz teraz na twardym łóżku w domu lubeckiego lekarza i śniesz o wiośnie w Breiðafjörður. Ach, co takiego uczyniła ci miłość? Czyż nie byłaś najmądrzejszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył na świecie? Ależ tak, byłaś. Mądrość nie ma nic wspólnego z miłością. A miłość nic z mądrością. Kiedy pojawia się miłość, wszyscy tak samo głupiejemy.

62

NOC W NORDDORFIE

1941

Nie mogłam zasnąć i w końcu wyszłam z łóżka w koszuli nocnej. Noc wyglądała czarodziejско, w ogrodzie było całkiem jasno. Na wieży kościoła siedział okrągły biały księżyc w pełni niczym plasterek cytryny na koktajlowej wykałaczce i świecił na wąskie kominy i strome trzciniowe dachy. W ogrodzie po sąsiedzku bliźniaczki grały w badminton.

Teatralna cisza nocy była regularnie przerywana odgłosem uderzeń ich raketek. Podania wykonywały czymś okrągłym, nie była to lotka, tylko coś oślizgłego i bez piór. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że to było oko. Trzy razy zapytałam, skąd je mają, aż w końcu usłyszałam, że to jest oko pani Baum. A potem zaczęły zanosić się od śmiechu.

Coś gnało mnie naprzód, jakaś nieznana siła. Wyszłam na ulicę i ruszyłam przez wieś. Halemwai, Dünemwai, Oodwai, głosiły uliczne szyldy i kiwały do mnie. Nocna jasność była nierzeczywista.

Podeszłam do domu pani Osingi (przypuszczalnie od początku właśnie tam zmierzałam) i stanęłam na palcach, żeby zajrzeć przez okno. W środku moja nauczycielka siedziała na brzegu łóżka i karmiła angielskiego żołnierza, który z obnażonymi ramionami leżał na spiętrzonych poduszce. Na łyżce miała coś parującego. Panna Osinga była ubrana w cienki szlafrok z bordowego jedwabiu; siedziała zwrócona do mnie plecami. Jej jasne włosy były zebrane w luźny węzeł na karku, który naśladował ruchy jej głowy. Akurat kok lekko się zakołysał, kiedy znów zwróciła się do swojego angielskiego pacjenta z kolejną parującą łyżką, a ja z tych drobnych poruszeń wyczytałam coś o wiele większego. Widziałam to bardzo wyraźnie: nauczycielka była gotowa oddać życie za Willema Wannsee.

W końcu podjęłam na nowo moją wędrówkę i dotarłam do ostatniego domu przy ulicy, skąd miałam widok na wschodni brzeg wyspy. Po chwili stałam na niewielkiej szopie na podwórzu, stamtąd weszłam na ganek domu, a potem po drabinie leżącej na trzciniowym dachu dostałam się na samą górę. Stojąc na kalenicy obcego domu, przytrzymałam się komina.

Miałam stąd doskonały widok na całą wieś za moimi plecami. Gwiazdy wyglądały niemal jak deszcz.

W dole na ulicy kłóciło się kilka kobiet w płaszczach. Były w drodze do domu nauczycielki. Angielski pilot przypuszczalnie nie miał pojęcia, że wylądował w Chuciodorfie.

Odwróciłam się i popatrzyłam na wschodni brzeg wyspy, który jaśniał marmurową bielą, i dalej, na płytke morze między wyspami a stałym lądem. Łódź patrolowa powoli sunęła po powierzchni, a błyski na falach posłusznie ciągnęły za nią. Stałam się jednością ze wszystkim i wszystko było jednością ze mną. Po drugiej stronie morza rozpościerał się cały kontynent. Wyciągnęłam moje świeżo oznakowane ramię i dotknęłam Francji, wystawiłam nos i powąchałam Polskę, podwinęłam drugi rękaw i poczułam chłód Przylądka Północnego. Moja dusza odetchnęła głęboko i nie pasowała już do tego małego, zwinnego ciała, które postrzegała jako zabawkę. Dwie znużone mewy przemknęły tuż obok szczytu domu, od niechcenia machając skrzydłami. W pierwszym odruchu pomyślałam: Za nimi! Wiedziałam,

że naprawdę umiem latać, ale wiedziałam też, że mogę tutaj tak stać przez następne trzysta lat jako komin.

Wybrałam tę drugą możliwość i ostrym spojrzeniem, które dała mi noc, nadal spoglądałam ku innym krajom. Zobaczyłam mojego ojca w najpierwszym świetle nowego dnia, jak z ręcznikiem na biodrach pędzi naprzód wraz z osiemdziesięcioma innymi nieszczęśnikami. Każdy miał tylko trzydzieści sekund na prysznic. Nieco dalej na północ mama z podkrążonymi oczami dreptała po lubeckim bruku do piekarni. Oboje byli nieszczęśliwymi Islandczykami, głupimi ludźmi, którzy poświęcali się dla obcych, zamiast opiekować się swoim dzieckiem, które właśnie przeżywało odlot na dachu jakiegoś domu w chorej z miłości wiosce.

63

PRZYWÓDCA PARTYZANTÓW

1941

Następnego dnia okazało się, że angielska czekolada lotnicza zawierała solidną dawkę amfetaminy. Ojciec bliźniaczek, gruby aptekarz, wściekły przyszedł do nas z pretensjami, zarekwirował resztę tabliczki i wygłosił nam kazanie o tym, jak groźne są narkotyki.

- Moje córki przez całą noc grały w badmintona i ani na sekundę nie zasnęły.

- W badmintona? - zapytała pani Baum ze zdumieniem.

Pospieszyłam z wyjaśnieniem:

- Właśnie, grały w badmintona, pani okiem. Ale już je oddały, prawda?

- Słucham? - zapytała zupełnie skołowana.

- Przecież niczego pani nie brakuje? - upewniłam się i przyjrzałam się badawczo jej oczom.

Nadal byłam na haju. I tak też poszłam do szkoły. Wiedziałam wszystko, umiałam wszystko i wszystko robiłam.

Pod wieczór działanie narkotyku ustało, mój puls się unormował, a ja zamieniłam się z powrotem w płaczące dziecko. Pani Baum siedziała przy mnie, a Haken-Heike przyniosła mi szklankę wody. Aptekarz zajrzał do nas jeszcze raz i dał mi mleczny napój na uspokojenie. Wreszcie jakoś zasnęłam.

Moje życie powoli wracało na właściwe tory. Zamykałam uszy na plotki krążące po wsi: angielski Amor podobno rzucił pannę Osingę. Ktoś widział go w piwnicy przy cmentarzu z córką szewca. Widziano też, jak z dwiema kobietami szedł na plażę.

Był jedynym mężczyzną w wiosce kobiet i mógł używać sobie przez dziesięć dni, aż

dwaj naziści w mundurach przyjechali do Norddorfu ładem. Zatrzymali się przed naszym domem i powiedzieli, że szukają „niejakiego pana A.”. To byli dwaj młodzi oficerowie, najniżsi rangą w całym wojskowym spektrum. Dwóch wiejskich osiłków, mianowanych panami zupełnie nic nieznaczącej wioski na krańcu Rzeszy, którzy jednak byli zdecydowani przypodobać się swojemu przełożonemu, co czyniło ich diabelnie niebezpiecznymi. Jak zwykle u takich karierowiczów mundur był dla nich wszystkim, od starannie wyglansowanych butów z cholewami aż do wypolerowanego oficerskiego sztyletu. Kiedy tak przechadzali się po kuchni pani Baum, czekając w napięciu, aż groźny przywódca partyzantów opuści swoją kryjówkę, wyglądali jak dwaj małomiasteczkowi kawalerowie, którzy przyjechali zabrać swoje damy na bal maskowy. Haken-Heike stała w kącie, dumna ze swoich wyelegantowanych żołnierzy. Czy to ona mnie zdradziła? Daszki ich czapek uniosły się, kiedy zobaczyli, jak idę przez sień: ów słynny pan A. okazał się jedenastoletnią dziewczynką. Ale i tak zabrali mnie do bawialni, wyrzucili z pokoju panią Baum wraz z jej dziećmi, a potem zamknęli się tam tylko ze mną. Zegar ścienny zaczął odliczać sekundy życia, jakie mi jeszcze zostały, a ja usiadłam na skrzypiącym stołku.

- Czy znasz tę kurtkę?

- Tak.

- Skąd ją masz?

- Znalazłam ją przy ognisku. Na plaży.

- Co to za akcent? Skąd ty jesteś?

- Z Islandii.

- Ach, z Islandii? I jesteś tu u pani Baum pod opieką?

- Tak. Mój ojciec jest w SS. Też jest Islandczykiem. Szkolenie odbył w Landsbergu.

- Tak? To doskonale.

- A moja matka pracuje u doktora Krewalda w Lubece. Himmel to jego przyjaciel.

- Himmel? O jakim niebie* mówisz?

- Heinrich Himmel.

Ten, który mnie przesłuchiwał, odwrócił się do swojego kolegi, który bez wątpienia był wyższy rangą, nawet jeśli siedział niżej. Rozsiadł się na głębokiej sofie pod zdjęciem doktora Bauma w mundurze i gładził się po obfitych wosach. Przesłuchujący zaśmiał się, ten drugi też wyszczerzył zęby.

- Ha, ha, ha, może masz na myśli Heinricha Himmlera?

- Dokładnie. Przecież on jest bardzo wysoko postawiony - odparłam.

- Nawet pod samo niebo. Ha, ha, ha. A więc twoja matka pracuje u doktora Krewalda.

A co ty zamierzałaś zrobić z tą kurtką? Z kurtką angielskiego pilota? Gdzie ją zaniosałaś?

- Ja... dałam ją siostrze, bliźniaczkom z domu obok.

- Właśnie. A dlaczego?

- Bo... bo on... bo on im się tak bardzo podobał. Chodzi mi o tego pilota.

- Ach tak? Czy tobie też się podobał?

Przez moment wsłuchiwałam się w zegar.

- Tak.

- Tak? Dlaczego? Dlaczego ten Anglik... ten brytyjski tchórz wydawał ci się taki atrakcyjny?

Zegar odliczył cztery sekundy.

- Odpowiedz! Dlaczego tak ci się podobał?

To było to, ten sam ton, który miałam słyszeć jeszcze nieraz w moim dalszym życiu, od świeżo rozwiedzionych małżonków tak samo jak od zdradzonych kochanków. Męski instrument ma tak niewiele strun.

- No, odpowiadaj, dziewczynko!

- On był tylko... po prostu taki piękny.

- Aha. Piękniejszy od Niemców? Piękniejszy niż niemiecki żołnierz?

Młoda kobieta szybko uczy się kłamstwa.

- Nie.

- To dobrze. Znasz dziewczynkę, która nazywa się Anna Tieck?

Mój Boże! Jasne, to musiała być ona. Teraz zegar swoim tykaniem przybliżał moją egzekucję.

- Tak.

- Ona twierdzi, że przeszkodziłaś jej złożyć meldunek o Angliku. Czy to prawda?

Postanowiłam sama wygłosić swój wyrok śmierci.

- Tak.

- Wiesz, co to oznacza? Ile masz lat?

- Jedenaście.

- A już zostałaś sabotażystką i zdrajczynią.

Wtedy pękłam i zaczęłam płakać.

- W Rzeszy Niemieckiej zabronione jest płakać podczas przesłuchań. Rozkazuję, żebyś natychmiast przestała!

Z drugiej strony drzwi pani Bauman zaczęła potrząsać klamką, wołając błagalnie:

- Mój mąż pracuje dla Wehrmachtu. Profesor doktor Helmut Baum. Panowie, proszę

was!

Dobra, porządna kobieta.

- Spokój!

Zegar: dwa uderzenia. Ja: dwa chlipnięcia.

- Dlaczego nie pozwoliłaś panie Tieck powiedzieć prawdy o angielskim lotniku?

- Ja... ja nie chciałam tylko... żeby ktoś zginął.

- Żeby ktoś zginął? To nie wiesz, że na wojnie o to chodzi, żeby ginąć?

Poczułam dotyk lodowatej lufy pistoletu na czole. Straszny i zarazem szczególnie zapach stali wypełnił mi nozdrza, do dzisiaj nie mogę się go pozbyć z pamięci, choć tyle nazwisk i twarzy już z niej wywiało. Zawsze pojawia się na nowo z jakiejś głębokiej szczeliny zapomnienia, jak gaz, którego nie można się pozbyć, ów wieszczący śmierć zapach stali. Teraz wszystko zależało od właściwych odpowiedzi.

- Nie - załkałam - ja jestem przecież tylko... Islandką.

- Islandką, naprawdę? To jest... Po której stronie wy właściwie stoicie w tej wojnie? - zapytał, jakby trochę zbity z tropu.

- My... my jesteśmy... - Chciałam udzielić możliwie wyczerpującej odpowiedzi na to pytanie, ale nagle przyszło mi do głowy coś lepszego. Podwinęłam mój rękaw aż za łokieć, oderwałam z jednej strony plaster i teatralnym gestem pokazałam im z dumą moją wyrzezaną nożyczkami swastykę.

- Ach tak. Dobrze. Tylko dlaczego zakrywasz to plastrem? Na swastyce nie trzeba przyklejać plastra!

- Leciła krew.

- Krew? I co z tego, krew musi płynąć!

Krew musi płynąć. To był cytat z samego boga grzmotu? Ale jednak zamiast odstrzelić mi głowę, mężczyzna z pistoletem tylko popychał mnie coraz dalej do tyłu, aż spadłam ze stołka.

- Wstawać!

Pozbierałam się i stanęłam przed nimi, trzęsąc się ze strachu.

- Do góry broda!

Próbowałam się wyprostować.

- A gdzie Anglik jest teraz?

- Tego... tego nie wiem.

Znów przyłożył mi lufę do czoła.

- Gdzie on jest?

- Nie wiem...

Usłyszałam huk. To nie był strzał. Tylko huk. Taki sam dźwięk jak wtedy, gdy ktoś wyciąga korek ze świata, a on kurczy się jak balonik. Taki rodzaj huku.

- Nazwisko! Kto go ukrywa?

- Panna... panna Osinga.

- Panna Osinga. No proszę. Dziękuję za gotowość do współpracy. Heil Hitler!

Trzasnął obcasami, wyprostował się jak świeca i wyrzucił w górę prawe ramię. Ja trzasnęłam obcasami, wyprostowałam się i wyrzuciłam w górę moje prawe ramię z krwawą swastyką i dyndającym przy niej plastrem.

- Heil Hitler!

Jeszcze trwałam w tej pozycji, kiedy tamci dwaj wyszli i pani Baum wpadła do pokoju.

- Biedne dziecko.

Byłam blada jak trup i zastygła w tym geście; roztrzęsione dziecko w szoku. Ani ona, ani ja nie próbowałyśmy opuścić ramienia. Zaprowadziła mnie tak do pokoju, a ja położyłam się do łóżka z zakrwawionym i nieruchomym hitlerowskim pozdrowieniem i leżałam tak przez cały dzień.

- Stupor wywołany szokiem - stwierdził aptekarz. Od czasu do czasu odwiedzały mnie dzieci i wielkimi, milczącymi oczami przyglądały się tej dziwnej chorobie, która minęła dopiero po dwóch dniach.

Wieczorem rozniosło się po wsi, że znaleźli Anglika w szopie razem z córką szewca. Ona została zastrzelona, a jego zabrali. Bliźniaczki też zostały zatrzymane, ale wkrótce je wypuszczono. Za to wieczorem znaleziono pannę Osingę w ogrodzie jej domu, sztywna jak z marmuru leżała w kałuży krwi.

Zostałam zbrodniarką wojenną.

* Niem. Himmel - niebo (przyp. tłum.).

64

SYNOWE

2009

Dzisiaj uprawiam przestępczość komputerową. Żeby przynajmniej mieć jakikolwiek kontakt z moimi synowymi.

Ostatni raz miałam styczność z moją rodziną podczas wizyty córki Hallego, Guðrún Marsibil. Odwiedziła mnie w zeszłym roku przed Bożym Narodzeniem. Przyniosła pudełko

pralinek (które nadal przechowuję, choć już dawno wszystkie wyjadłam). Potem wyjechała do Australii, gdzie miała studiować coś z turystyką i trenować pływanie.

Moje problemy z rodziną zaczęły się w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy niestety udało im się wmówić mi, pacjentce z rozedmą płuc i przewlekłym rakiem, że powinnam być pod fachową opieką wśród innych półśniętych klientów. Już wtedy byłam przykuta do łóżka i od niewłaściwych lekarstw miałam budyń w głowie, nie zakręcałam kranów i woda lała się bez końca, a kartony z mlekiem trzymałam pod łóżkiem. Często nie pachniało u mnie zbyt przyjemnie. W końcu Halli zagroził mi sądem, jeśli nie zerwę z uzależnieniem od leków, a jego Alva kazała zainstalować w moim pokoju czujnik przeciwpożarowy, który ryczał na mnie spod sufitu jak rozgniewany Bóg, ilekroć puściłam dymek nosem. „Nie możemy pozwolić, żeby paliła w łóżku, przecież ona kiedyś puści z dymem cały dom”, słyszałam głos Alvy na korytarzu. Zapłaciłam chłopakowi z sąsiedztwa, żeby mi to pozdejmował, ale ten czujnik był bardziej uparty od diabła. Mój nałóg osiągnął nowe apogeum, kiedy z zatyczkami w uszach łapczywie zaciągałam się w łóżku przy akompaniamencie wściekłego wycia. Żadnym papierosem w życiu tak się nie rozkoszowałam.

W końcu dałam się jednak namówić, tak bardzo wzruszyła mnie nagła troska mojej rodziny o matkę i teściową. Tylko że ja traktowałam to jako pobyt czasowy i przez cały czas chciałam wrócić do domu moich rodziców przy Skothúsvegur, gdzie mieszkałam od śmierci matki w 1988 roku. Oczywiście brakowało mi możliwości palenia w łóżku albo wyglądanania przez firanki na miejski staw. Wywieźli mnie do Laugarás, podobno do domu seniora o nazwie „Skjól”, Ochrona, ale w rzeczywistości był to jedynie wydzielony korytarz w domu spokojnej starości dla byłych marynarzy. A więc tak znalazłam się na „Hrafnista”, złomowisku zdezelowanych ludzi, a przecież nie miałam nawet siedemdziesiątki. Halli i Alva zostawili mnie tam, w zadziwiająco świetnych humorach; oczywiście zrobili to ze względu na siebie, nie na mnie - teraz nie musieli się martwić o staruszkę, bo rzucili ją w zimne jak szkło objęcia systemu.

Spółeczeństwo musi tu udzielić wsparcia, tak się na to mówi.

Kilka lat po mojej potajemnej ucieczce z domu starców udało mi się znaleźć inną kryjówkę. Przez cały tydzień śmigałam dosłownie na swoim łóżku po głównych ulicach miasta, po asfalcie i rozmokniętym śniegu, nieustannie w poszukiwaniu jakiegoś lokum, aż pewna sprzątaczką w domu opieki przypomniała sobie o swojej siostrze i jej garażu. W ten sposób poznałam Guðjóna i Dórę, którzy byli dla mnie lepsi niż moje własne dzieci. Właściwie garaż jest całkiem niezłym miejscem na przechowywanie starych ludzi.

Islandczycy nie trzymają w swoich garażach aut, tylko najróżniejsze rupiecie, z którymi nie mają co zrobić: połamane maszty namiotów, popsute kosiarki do trawy albo właśnie starych ludzi. Na terenie stolicy znam co najmniej trzy przypadki takich garażowych wraków, współczesnej gminnej biedoty.

Jak już wspominałam, dwójka moich synów ani razu nie przestąpiła progu tego garażu w ciągu ośmiu lat, które tu spędziłam. Trzeci zajrzał tylko dwa razy. Ich niepokazywanie się to oczywiście wyłącznie wina kobiet: moja i tych, które się nazywają moimi synowymi.

Moi chłopcy poślubili mianowicie tę samą kobietę, przynajmniej ten sam typ, jak to się mówi, a kierowali się przy wyborze wyłącznie jednym kryterium: musiała się zasadniczo różnić od ich matki, jak tylko się da. Był to ten rodzaj islandzkich lasek z prostymi blond włosami i grubą wiązką nerwów na wierzchu; typ nieustannie terkoczących jak karabin maszynowy i stukających obcasami samiczek, które malują się w samochodzie i telefonują podczas odwiedzin w szpitalu, nigdy się nie zatrzymują choć na chwilę, wiecznie w drodze z jednego miejsca do drugiego, które wykrzykują „Hi” jak piła łańcuchowa i tylko wtedy pałą, kiedy papieros im się żarzy w ustach, poza tym oczywiście są „niepalące”. To samo dotyczy ich „diety” między posiłkami.

Zastanawiam się czasami, skąd ten gatunek kobiet pojawił się w naszym społeczeństwie, w każdym razie nie przypominam sobie niczego takiego przed wojną w Breiðafjörður - ani w Reykjavíku powojennego boomu. Same mówią o sobie „dziewczyny”, zresztą nimi też są, bo do kobiet im bardzo daleko, mogę im to poświadczyć na piśmie. Nigdy nie nosiły długiej sukni, nie posiadały futra ani koliai, nigdy nie były w operze, nie czytały Lessinga, nie jechały pociągiem, nie zdarzyło im się tańczyć na statku w ramionach mistrza tanga, nie mają więc pojęcia, co to wytworny styl - w końcu nasz kraj leży trzy godziny lotu od dobrych manier. Islandii brakuje nie tylko wojska, ale i dżentelmenów, jak również dam.

Kiedy trzy razy wracałam do domu po długich pobytach za granicą, plotkarska prasa zawsze tytułowała mnie „wytworną damą ze światowych salonów”, a to tylko dlatego, że paliłam papierosy z lufką i stawiałam drinki mężczyznom. Na szczęście zawsze udawało mi się alkoholem zmyć to piętno, gdyż o wiele lepiej czułam się wśród „chłopaków”. Kiedy już wszystkie kobiety poszły do domu, a ja siedziałam ze złośliwymi dżin lekarzami albo dymiącymi jak kominy hurtownikami, wtedy byłam w swoim żywiole.

Te współczesne kobiety to takie nie wiadomo co, ni z pierza, ni z mięsa. Opiekunki, które tu do mnie zaglądną, też wcale nie są lepsze, w tych swoich sportowych kurtkach, nieumalowane z zewnątrz ani w środku. Jedna przez całe lato przychodziła w traperkach i chciała mi aplikować tran. Inna człapała w klapkach.

Wytwornych dam, arystokratek czy gwiazd filmowych nigdy u nas oczywiście nie było. Może ewentualnie niejaka Vala Thoroddsen, która też wychowała się w siedzibie prezydenta i potem została naszą Grace Kelly, albo Bryndís Schram, najpiękniejsza kobieta, jaką Islandia kiedykolwiek wydała, przysięgam, jak tu leżę. Oczywiście Vigdís Finnbogadóttir też jest wspaniałą przedstawicielką islandzkich kobiet, choć nie ukrywam, że jej niesplamiona świętoszkowatość od pewnego czasu działa na nerwy. Porządnie wypełniała swoje prezydenckie obowiązki, choć w ogóle nie potrafiła się zabawić. Naturalnie powinna ponownie wyjść za mąż. Mówi się, że współczesna Islandia może się pochwalić pięknymi kobietami, ale moim zdaniem one nie mają ani krzty rozumu w głowie, za to napompowane usta i powiększone piersi. Poza tym nie potrafią ani słowa po francusku, jak na przykład moje synowe, dla których szczytem znajomości win jest zamówienie kieliszka „camembert sauvignon”.

Tak jak wielu innym, mnie też nie udało się na tym chłopskim gruncie wyhodować mężczyzn światowego formatu, choć usilnie się starałam. Ciągałam ich ze sobą na wszystkie koktajle i nauczyłam, jak mają wezwać matce taksówkę. Ale moi chłopcy okazali się bardzo porządnymi i nudnymi tępakami, więc musieli leżeć pod tymi zdzirami w dżinsach. Świętej pamięci Oddur, mój adwokat z krzaczastymi brwiami, kiedyś tak to ujął: „Tylko jedna rzecz na Islandii trzyma małżeństwa razem, a jest nią wrodzona tępota i lenistwo islandzkiego samca, który po prostu na wszystko się godzi”.

Właśnie do tego gatunku należą też moi synowie, nawet własną matkę złożyli na tym ołtarzu.

65

SKOTHÚSVEGUR 13

2009

Moja tułaczka zaczęła się, kiedy po ucieczce z tego straszego świata seniorów wróciłam do życia i nagle okazało się, że nie mam mieszkania. Dzieci wyświadczyły mi przysługę z serca i upłynniły nasz rodzinny zamek, wyrwały mi go spod tyłka. Nikt nie liczył się z tym, że jeszcze pożyję, więc bardzo się spieszyli, żeby pozbyć się domu na Skothúsvegur. Próbowali nawet opchnąć go jakiemuś śmierdzącemu, niemytemu „artyście malarzowi” z Norwegii za jego słynne autoportrety z nieustającą erekcją, które miał jakoby malować w salonie moich rodziców!

Ledwie udało mi się zapobiec tej historycznej katastrofie. Zamiast malarza zamieszkał tam przystojny, ale przede wszystkim ubogi duchem menedżer bankowy, który swoją

kosztowną gumką myszką wymazał całą historię i aurę tego domu, a potem zaczął się pojawiać w kolorowych czasopismach jako wieczny kawaler siedzący przy oknie: bogaty palant przy pustym stole w otoczeniu pustych ścian.

Mój własny dom udało mi się zidentyfikować po pięknym złotokapie, który ze zwieszonymi liśćmi stał za oknem i jak się okazało, stanowił chyba jedyne źródło złota bankiera, gdyż wkrótce dotknęło go wzorcowe niemal bankructwo. Jego bogactwo składało się z samych zamków na piasku i bank w końcu musiał przejść prawdziwy zamek jako zabezpieczenie - od tego czasu mój dom stoi pusty, żeby, jak oni to określają, „rynek się nie zachwiał”. Cóż, wiele jest praw w życiu. Niektóre domy muszą stać puste, żeby inne się nie chwiały. A więc teraz w moich pokojach mieszka bank, podczas gdy ja wegetuję gdzieś na mieście w garażu i wysyłam mu najlepsze życzenia.

Oczywiście to moje synowe nakręciły całą tę sprzedaż. „Skoro twoja matka wreszcie wyłudowała w domu starców, nie możemy pozwolić, żeby ten dom stał pusty”. Nie słyszałam tego rzecz jasna na własne uszy. Dom został naturalnie sprzedany za rekordową sumę. Z takim położeniem! Z okna salonu rozciąga się widok na miejski staw i dom Thorsów, głowa państwa rezyduje o rzut beretem w domu na Sólejargata, w którym dorastał mój ojciec, nie wspominając o królach stacji benzynowych po drugiej stronie ulicy z ich ogromnym wersalskim garażem.

No ale co zrobić? Na czym to ja stanęłam?

Ach, tak, na mojej fryzyjskiej wiośnie. Wysłałam z załamania nerwowego numer 2, a potem pogodziłam się z Heike. W czasie ferii po całych dniach przesiadywałyśmy nad morzem. Zbierałyśmy owczą wełnę, która zaczęła się na wiklinowych ogrodzeniach, i sprzedawałyśmy ją pewnej starej kobiecie, która przędła... - nie, teraz moja własna nitka splątała się w zawily kłębek. Opowiadałam o sprzedaży domu przy Skothúsvegur. Dostali za niego sto dwadzieścia siedem milionów koron. Ni mniej, ni więcej. Pieniądze podzielili między siebie jak książęta w angielskim dramacie. A że sto dwadzieścia łatwiej daje się podzielić przez trzy, postanowili w swojej hojności, że resztę dostanie stara matka, całe siedem milionów, które na wszelki wypadek zaparkowali na specjalnym koncie, gdyby na przykład okazało się, że muszę lecieć na jakąś operację do Bostonu albo że zażyczyłam sobie, żeby na moim pogrzebie zaśpiewała mała Björk. Z tego konta dzisiaj skapuje co miesiąc czynsz dla Dóry.

Od tego czasu wstydzą się, i to tak bardzo, że ani one, ani moi synowie nie odważyli się nigdy tu zajrzeć, żeby ukoronowanej peruką spojrzeć w oczy. To naprawdę wielka hańba!

Zresztą trochę się do tego przyczyniłam. Oczywiście byłam wściekła z powodu tej

sprzedaży (o której do dzisiaj twierdzą, że nastąpiła za moją zgodą) i nie omieszkałam tym pindom jasno tego powiedzieć.

I tak zaczęła się moja pierwsza zima w tym garażu. Czepiałam się tej swojej złości jak mała gałęzi, przeskakiwałam z jednej rozpaczy w drugą i trzęsłam się z rozkosznej satysfakcji, kiedy reakcje w telefonie i w komputerze były odpowiednio gwałtowne.

Ale dzika wściekłość i przykucie do łóżka niełatwo dają się pogodzić, więc zaczęłam się zastanawiać: Czy naprawdę żyłoby mi się lepiej w wyściełanych dywanami luksusach? Co prawda na Skothúsvegur posiadałam jedną czy drugą piękną rzecz, ale człowiek zajęty umieraniem chce się rozstawać z jak najmniejszą ilością rzeczy. A łóżko jest i pozostanie tylko łóżkiem, obojętnie, gdzie stoi. Czyż nie mam tutaj całkiem znośnie? Zaczęłam wykorzystywać mój gniew do podstępnych aktów zemsty.

66

HEIDI

2002

Przez pierwszy okres w garażu opiekował się mną pewien młody człowiek zajmujący się czekaniem. Nie mógł się zdecydować, czy ma zostać pastorem, czy specjalistą od komputerów w Ameryce, i w oczekiwaniu, aż właściwe decyzje spadną mu z nieba, a z jego twarzy znikną wypryski, zajmował się zmienianiem pieluch dorosłym. Miał na imię Bóas, był to chłopiec o zręcznych dłoniach, fan okularów, doskonale obeznany z techniką. Kawalek po kawałku opowiedziałam mu swoją mało budującą historię o tym, jak moja własna rodzina całkowicie mnie wydziedziczyła. Na koniec dwutygodniowego szkolenia mianował mnie komputerowym maniakiem albo freakiem, już nie pamiętam dobrze.

- Jesteś teraz hakerką, kobieto! Jak jakiś odjechany gimnazjalista - oświadczył, po czym podsunął do góry okulary na moim nosie, a potem poprawił swoje.

Pokazał mi, jak wchodzić do poczty mailowej moich synowych. Mogłam sama przeczytać, co knują („musimy nalegać na jak najszybszą sprzedaż”), a nawet odpowiadać na maile w ich imieniu.

Moje dochodzenie ujawniło, że Heidi w swoim małżeństwie gra na dwie bramki. Nieustannie wymieniała maile z pewnym mężczyzną, którego dla uproszczenia nazwiemy półpankiem Jónem Jónssonem. Brodacz kompletnie bez ikry, który swoje maile zawsze zaczynał od cytatu, a potem następowało: „Czy ty to widziałaś?”. Dalej była zwykle krótka, zwyczajna uwaga na temat wyglądu Heidi. „Wyglądałaś tak pięknie, kiedy dziś rano przyszedłaś do pracy. W czerwonym ci do twarzy”. Na co ja odpowiadałam: „Tak, a dzisiaj

wieczorem będę ciebie ujeżdżać do czerwoności”. Oczywiście nie były to moje słowa. Wprawdzie nie można powiedzieć, że bym była jakąś wstydliwą panienką, ale takie wyrażenia nie były w moim stylu. To Bóas, przyszły duchowny, odpisywał zamiast swojej podopiecznej.

Moja Heidi również nie posługiwała się takim słownictwem na co dzień, więc wprowadziliśmy trochę urozmaicenia do ich miłosnych igraszek, które jak dowiedziałam się z maili, odbywały się tylko w pracy, w schowku na szczotki lub w ubikacji dla niepełnosprawnych.

- No wiesz, parkować na miejscu dla niepełnosprawnych to jedno, ale żeby takie rzeczy w ich ubikacji... - powiedział Bóas i napisał kilka maili, które leżały poza granicami mojego pojmowania, jednak osiągnęły pożądany rezultat. Pracował kiedyś z niepełnosprawnymi, znał ich świat i teraz był wściekły w ich imieniu na „zdrowych”, że wykorzystują ich toaletę do niecnych celów.

Raz tuż przed następnym numerem na długiej przerwie wysłał Jónowi instrukcję duńskiego producenta protez: „Pamiętaj o tym, mój słodki tygrysku: najpierw wysunąć podpórkę”.

Jak to często bywa u przebiegłych ludzi, moja synowa też umiała posługiwać się obrazowymi zwrotami i aluzjami, których prosto skonstruowany Jón Jónsson często nie rozumiał.

„Musisz mi wybaczyć ten ostatni raz. Czyżbym ci narobiła smaka na sperkę?” - zapytała w jednym z porannych e-maili.

„Nie rozumiem?”

„Nieważne! Zapraszam cię potem na sperkę, a na deser dostaniesz nawet kotka”.

„Dziękuję, ale wiesz, że nie lubię się przejadać na wieczór”.

Można było nieźle się ubawić, śledząc tę korespondencję.

„Spotkaj się ze mną na zielonych manowcach” - pisała.

„Ale czy dzisiaj nie jest na to trochę za zimno?” - odpowiadał.

Bóas i ja odpisaliśmy: „Niewiele jest tak pięknych rzeczy jak biała rosa na zielonym wrzosie. Chodź, przyjacielu, wybierzmy się na grzyby!”.

- Wow, prawie wyszedł nam wiersz - stwierdził mój przyszły pastorek, rozochocony naszą współpracą pozwolił sobie nawet zostać dwadzieścia minut dłużej, żeby poczekać na odpowiedź.

- Naprawdę jesteś *beyond me* w takich sprawach. Co to ma być, ta biała rosa?

- Sperma - odparł bez namysłu Bóas.

- Padłam.

Oboje pracowali w nowoczesnym biurowcu ze szkła i stali, pamiętacie z czasów boomu gospodarczego, i my w naszej szpiegowskiej działalności posunęliśmy się tak daleko, że Bóas nawet raz się tam wybrał i przez szparę w drzwiach pstryknął im fotkę po skończonym akcie. Zdjęcie wysłaliśmy im później z anonimowego konta mailowego. To jednak okazało się kulą w płot, bo w ten sposób wszystko się wydało i następne dni były dość monotonne, ale za to mój Maggi na pewno odczuł pewną ulgę. Po pewnym czasie znów dałam upust swojej niszczycielskiej pasji. Sprytny Bóas założył mi nowe konto mailowe: biskupislands@tjodkirkjan.is, z którego Ragnheiður Leifsdóttir otrzymała następujące pismo: Szanowna Grzesznico, Kościołowi obito się o uszy, że uprawia Pani niemoralne zachowania w toaletach dla niepełnosprawnych w budynkach użyteczności publicznej. Jak powszechnie wiadomo, takie zachowanie klóci się z Boskimi Przykazaniami. Zgodnie z regulaminem Kościoła Islandii nakładamy więc na Panią następującą pokutę: przez czterdzieści kolejnych niedziel chodzić na nabożeństwa do czterdziestu różnych kościołów. Po upływie okresu pokuty oczekujemy od Pani pisemnego wyznania win wraz ze szczegółowym wykazem wszystkich grzechów. Oko Boga widzi wszystko. Kiedy powyższe warunki zostaną spełnione, otrzyma Pani od biskupa odpuszczenie grzechów wraz z błogosławieństwem, jednak nie wcześniej. Gdyby Pani natomiast zdecydowała się nie być posłuszną sługom Pana, niechaj będzie Pani przykuta do kotwicy gniewu niebios i strącona w przepaść wrzącej lawy szatana. Reykjavík, w Imię Pańskie, 14 lipca 2002 Karl Sigurbjörnsson Biskup Islandii 67

LEŃ I DIWA

2002

Kilka tygodni później ktoś zapukał do drzwi mojego garażu. Oczywiście nie mogłam zareagować. Nie byłam przygotowana na odwiedziny, nawet nie zainstalowałam dzwonka, w końcu wtedy nie mogłam podejść do drzwi, bo prawie nie chodziłam i miałam założony cewnik.

Parę dni później znów pukanie, ale tym razem pech chciał, że była u mnie Nancy, dziewczyna, która się mną opiekowała, zanim nastąpiła Lóa. Mogła wpuścić gościa, którym okazał się mój syn Magnús Ólafsson, urodzony w maju 1969 roku. Wyglądał trochę jak upasiony kocur.

Jego ojciec też zaczął wcześniej obrastać tłuszczem, i to w takich ilościach, że praktycznie się w nim zatapiałam i potrzebowałam trzech lat, żeby się z niego wygrzebać z powrotem. Maggi też pozbył się swoich włosów, biedaczysko, i wyhodował sobie solidną tłuszczową otulinę, pewnie z myślą o zimie życia, która nieuchronnie czeka każdego

mężczyznę po trzydziestce. Mój życiowy zawód oraz leń patrzył ponuro i ze smutkiem na kobietę, która wycisnęła go na ten świat.

Nancy obeszła łóżko i przyniosła krzesło biurowe z mnóstwem kółek u dołu, które od dwóch lat czekało na gości. Zauważyłam, że chłopak nadal ma okropnie icksowate nogi. A przecież przez całe dzieciństwo mu powtarzałam, że ma stać prosto jak mężczyzna, a nie garbić się jak paragraf

- Cześć, mamó - powiedział i westchnął. Podsunął do góry okulary na swoim krótkim nosie i podrapał się po brodzie, aż zachrząścił zarost. Jego ojciec, Nachjón, miał tak silny zarost, że musiał się golić dwa razy dziennie, zresztą w ogóle był panem Dwa Razy, bo na dole, mimo swojego mięśnia piwnego, też był nieźle wyposażony. Naszym łącznikiem był seks. Ale kiedy zaszłam w ciążę z Magnusem, z dwóch razy zrobił się jeden, a potem żaden. I tak ten tłusty ogień wygasł, aż musiałam mu zamówić taksówkę. „Dlaczego musiałeś przyjść na świat?!”, wyrwało mi się raz, kiedy macierzyństwo dało mi mocno w kość, a mój mały leń wkurzał mnie swoim wyciem. Ale skoro teraz przychodzi do mnie, kiedy jest nieszczęśliwy, zasłużył na ciepłe przyjęcie, pomyślałam.

- A więc tu mieszkasz? - upewnił się i obrzucił wzrokiem całe pomieszczenie, przysuwając sobie bliżej krzesło. Potem zdjął swój szeleszczący płaszcz i niedbale rzucił go na oparcie.

Zamknęłam laptopa, odsunęłam na bok i przejechałam swoimi zimnymi szponami po nagrzanym miejscu, gdzie stał.

Tymczasem Nancy błyskawicznie narzuciła swoją zamszową kurtkę, posłała nam nieśmiały uśmiech i pożegnała się swoim nowozelandzkim akcentem.

- Kto to jest? - zapytał Magnús, kiedy dziewczyna zamknęła za sobą drzwi, od zewnątrz pokryte lodem, ale z drugiej strony mające temperaturę pokojową.

- Nazywa się Nancy McCorgan, jest z opieki społecznej.

- Ach tak? - zapytał i umilkł, kąciki ust mu opadły, kilka razy skinął głową w zamyśleniu. - To... to dobrze.

W dwadzieścia sekund mój zapasiony syn przebiegł w myślach całą naszą relację matka - syn, jak przykro było mnie tu widzieć, w garażu, przykutą do łóżka, samotną i opuszczoną, ale z drugiej strony przecież na to zasłużyłam, po tym jak zrobiłam z jego dzieciństwa jeden wielki poranek na kacu i ściągnęłam do domu pięćdziesięciu różnych tatusiów.

Tymczasem ja nie mogłam się nadziwić, że mam takiego młodego syna. Jak taka charcząca płucami stara kaleka wrona mogła mieć takiego młodego syna? No tak, przecież

dopiero skończyłam siedemdziesiąt lat. Choć zdaniem lekarzy dziewięćdziesiąt. Wędzone mięso zawsze wygląda mniej świeżo. Kiedy urodziłam Maggie, byłam koło czterdziestki, prawie za stara, żeby zająć w ciążę, istniało też ryzyko, że dziecko będzie niepełnosprawne. Obawiam się, że było całkiem blisko. No, powiedz coś, mój komputerowy kotku!

- I jak długo...? Leżysz tu już od...?

- Od zeszłej jesieni. Pamiętam jeszcze, że tutaj oglądałam tę katastrofę lotniczą... mam na myśli te dwie wieże. Tutaj to widziałam w telewizorze.

- Ach tak? A co... Co robisz tak poza...?

Odczekałam chwilę i mrugnęłam powiekami, a potem rzuciłam:

- Nie powiedziałaś do końca żadnego zdania, Maggi.

- No tak, ja... Przepraszam!... Ja... trochę jestem... - Westchnął, a potem powiedział ze skupieniem jak pedagog specjalny: - Nie czuję się najlepiej, mammo.

- Mammo?

- Tak, jesteś moją mamą.

- Jestem? Naprawdę?

- Przepraszam.

- Przepraszanie nic nie da, Magnúsie Jónssonie. Gdzie są moje pieniądze?

- Jakie pieniądze?

- Gdzie jest czterdzieści milionów, które razem z Ragnheiður zgarnęliście za dom na Skothúsvegur?

- To nie było wcale czterdzieści milionów, mammo. Najwyżej dwadzieścia. Dom został sprzedany za sześćdziesiąt trzy miliony.

- Aha. A mnie makler mówił coś innego: sto dwadzieścia siedem milionów!

- Coś musiałaś chyba pomylić.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że wapnieję?

- Nie. Wiem tylko, że dostaliśmy około dwudziestu milionów, nie więcej, żeby... je dla ciebie przechować.

- Żeby dla mnie przechować?

- Tak, przecież rozmawialiśmy o tym, mammo. Te pieniądze należą do ciebie.

- Pieniądze należą do mnie? W takim razie dlaczego trafiłam tu do tej szopy jak zdezelowany ford?

- Możesz dostać swoje pieniądze, kiedy tylko zechcesz.

Zacisnęłam zęby, sztuczne na sztuczne, i warknęłam spomiędzy nich, aż każde słowo dzwoniło:

- Jak sądzisz, Magnúsie, dlaczego tutaj zamieszkałam?
- Mamo, tylko się nie denerwuj! Odłożyliśmy dla ciebie te pieniądze. W każdej chwili możesz je sobie odebrać.

- Gdzie one są?

- Tego... tak dobrze nie wiem. Ragga się tym zajmowała.

- Ragga?

- Tak.

- I ty jej ufasz?

- Ech, tak... Ona...

- Jest cudowną kobietą, porządną i godną zaufania, to chciałeś powiedzieć?

- Tak...

- Rozstaliście się?

- Co?

- Zostawiłeś ją?

- Czy zostawiłem?

- Tak, chyba nie zamierzasz dłużej patrzeć, jak się kurwi?

- Kurwi?

- Ach, przepraszam, Magnúsie, niestety nie jestem miłą starszą panią. Jestem w połowie drogi do pieca. Chcę ci tylko na stare lata dać do zrozumienia, że twojej Ragnheiður nie wystarczy jedno łóżko, jak się kiedyś mówiło w Breiðafjörður.

Zmrużył oczy jak marynarz, który czeka na kolejną wielką falę.

- Co to ma znaczyć?

- A co u niej ostatnio słyhać?

- Wszystko w porządku. Jest tylko trochę... ostatnio często chodzi do kościoła.

- Do kościoła?

- Tak, znienacka zaczęła co niedzielę biegać na nabożeństwa.

- Coś takiego! A niech mnie!

- Właśnie, to trochę dziwne. W dodatku nigdy nie chodzi dwa razy do tego samego kościoła.

- Co?

- No bo zeszłej niedzieli była w Hafnarfjörður, a tydzień wcześniej w Mosfellsbær.

Potrząsnął głową, zdjął zaparowane okulary i przez chwilę czyścił je w milczeniu. W tym czasie ja, zaśmiewając się szaleńczo, skakałam na sprężynowych butach przez najgłębsze zakątki mojego mózgu.

- Tak - powiedział i westchnął. Jego jasnoniebieskie oczy były schowane głęboko w tłuszczu policzków niczym rodzyнки wciśnięte w wyrosnięte ciasto drożdżowe. - Ona mnie zostawiła.

- Co ty mówisz? To ona cię zostawiła?

- Tak. Ale właściwie... to ja się wyprowadziłem.

- Ona cię zostawiła, ale to ty się wyprowadziłeś? To znaczy, że cię wyrzuciła?

- Nie, nie. Ja... no bo ja już się nie czułem w domu dobrze... i dlatego się wyprowadziłem.

- A teraz poniewierasz się samotny i opuszczony gdzieś po mieście. Pewnie w jakimś hotelu dla pijaków? U kogo są dzieci?

- U niej. Mogę je czasem widywać.

- Doprawdy? Co za łaskawość! A ten drugi facet już się tam wprowadził?

- Jaki facet?

- No, ten brodaty. I gdzie są pieniądze?

- Pieniądze?

- Słuchaj, czy nie mówiłeś, że to ona położyła na nich łapę?

- Tak mówiłem? Ach tak, prawda. Ale tu jest wszystko w porządku, mamó. Pieniądze są na książeczce oszczędnościowej, do której ona...

- Magnúsie, dość tego! Naprawdę już dość. Najpierw zabrała dom mnie, a teraz jeszcze i tobie. Czy przynajmniej zostawiłaś sobie auto?

- Ehm...

- Zostawiłaś sobie auto?

- Nie, wynająłem sobie drugie.

- Co za potwór z tej kobiety? I jeszcze w dodatku pieprzy się w przybytku dla niepełnosprawnych z tym ciu... tym ciałem!

Patrzył na mnie, jakbym nagle wybudziła się z komy. Potem nastąpiło ponure milczenie, które wypełniło się samymi największymi klęskami w życiu i głośno: oto siedzi tutaj razem dwoje ludzkich rozbitków. Jedyne, co oboje osiągnęli w życiu, to to, że kiedyś mieli siebie nawzajem.

- Czy ty jesteś... czy ona przychodzi codziennie, ta... Nancy? - zapytał w końcu.

- O mnie się nie martw, mam tu pierwszorzędne warunki.

- Mamó, dostaniesz swoje pieniądze, te, które leżą na twoim koncie.

Przez chwilę patrzyłam na niego wnikliwie. A potem powiedziałam powoli i ze spokojem:

- Magnúsie, od czternastu miesięcy nikt z was się tu nie pokazywał. Ty nie, Halli nie, ani Óli, ani wasze dzieci. Nikt, odkąd zabraliście mi oszczędności całego mojego życia. Nie dostałam od was nawet maila, nie mówiąc o telefonach. Choć nie, Guðrún Marsibil zadzwoniła w moje urodziny. Czy nie uważasz...?

Dalej nie mogłam, bo poczułam nagle żrące łzy w swoim głosie, gorzką złość i litość nad sobą. Trzeba u mnie głęboko wiercić, żeby natrafić na gorące źródła, ale kiedy raz się trafi na żyłę, wytryska jak fontanna.

- Masz nawet konto mailowe, mamó? - zapytał z niedowierzaniem.

- Oczywiście, że mam konto mailowe - fuknęłam. - Mam tutaj komputer i internet, stale jestem online, przecież ci mówiłam. Co to za głupie pytania? Chyba nie znasz swojej własnej matki! Nie mówiąc o swojej żonie. Czy ty ją biłeś?

- Biłem? - prychnął oburzony. - Nie, rozstaliśmy się w zgodzie.

- W zgodzie? A ona dodatkowo z innym facetem między nogami.

- Nie, nie, mamó, nie ma żadnego innego.

- Magnúsie, ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzyła, to być matką ciamajdy. Teraz pójdziesz do domu i powiesz swojej lubiącej przygody żonie, żeby... Powiedz, że masz dowody i wystarczająco dużo powodów, żeby się zrewanżować za upokorzenia. Wściekaj się, zażądaj zwrotu domu i auta, twoich dzieci oraz zwrotu tych czterdziestu milionów, które należą do twojej matki.

- Chyba dwudziestu, nie?

Jak najgorsza wyrodna matka z czasów wikingów napisałam nazwisko tego półpanka Jóna na starej kopercie i wręczyłam mu. Przeczytał i mruknął coś do siebie pod nosem, potem popatrzył na mnie jak mały chłopiec, który boi się miecza: czy naprawdę mam go zabić, mamó? Nie mogłam znieść tego tonu w jego głosie.

- Skąd... skąd ty to wszystko wiesz, mamó?

- Wszystko wie, kto jest na uboczu.

Nie pytał o nic więcej, złożył kopertę na pół, jak swoją męskość, i włożył do kieszeni. Potem przyglądałam się, jak wkłada płaszcz i nachyla się nade mną ze smrodem z zewnątrz.

- Pa, mamó.

Niezdarnie mnie pocałował, musiałam potem wytrzeć sobie policzek w poduszkę. I kiedy patrzyłam, jak człapie do drzwi wyjściowych, nie mogłam pojąć, jak ja, całkiem wyniszczona kobieta z wątrobą wielkości rodzyńka i pustymi workami piersi, byłam w stanie wysiedzieć tego stukilowego kolosa. Było to dla mnie tak samo niewyobrażalne, jak gdyby ktoś chciał wmówić kaktusowi, że jego synem jest dorastający kangur. Kiedy Magnús zęgnął

się ze mną, jego ciemnoniebieskie oczy wyrażały smutek, ale potem oczywiście nic już od niego nie słyszałam.

68

NARZĘDZIE TORTUR

2002

Mój biedny syn był teraz całkowicie sparaliżowany. Siedział dręczony strasznymi wizjami i jeszcze gorszymi fantazjami. Bolesnie odczułam to na własnej skórze. Teraz miał w głowie dość informacji o tej kobiecie, żeby się nimi zadreć przez następne lata. Niewiele rzeczy pali takim ogniem jak rany miłości, tyle wiem o życiu, a seksualne wyczyny innych potrafią podzielać na człowieka jak prawy prosty.

Zdrada jest czymś niezwykłym o tyle, że najbardziej dotyka tego, kto niczego nie zbroił, jak lawina przypiera go znienacka do szyby jego psychiki. I człowiek tkwi tam potem miesiącami i widzi tylko zdradę za zdradą swojego partnera czy partnerki. Sam niewierny lub niewierna znika z życia zdradzanego i pojawia się tylko w jego głowie jako nagi, jęczący z rozkoszy stwór. Stopniowo ten cycek sączący truciznę staje się też jednak źródłem przyjemności. Nieszczęśnik podejmuje tę zabawę z diabłem, sam maluje sobie bestię, która najbardziej go dręczy, sam wdeptuje się w błoto, gdy tylko ona pojawi się w jego chorym mózgu. Człowiek jest sam dla siebie narzędziem tortur.

„Wyłącz światło, żebyśmy mogła lizać swoje miłosne rany”, mawiała czasami babcia Vera, kiedy uznawała, że wieczór był już wystarczająco długi i powinniśmy stopniowo się wycofać. Może dlatego podsuwano nam takie sprzeczności, żebyśmy z udreki życia umieli wyssać jak najwięcej dla siebie.

Ale cóż, spokój ducha mojego syna był nieodwołalnie zrujnowany i to ja, wredna żoźła, byłam temu winna. Nawet zbliżając się do kresu moich lat, nie mogłam poskromić tej bestii w sobie. Zawsze tak było, że ja Herbjörg María Björnsson nie panowałam do końca nad swoim językiem i czynami; raczej panowała nad nimi o wiele większa moc, którą nazwałabym „życiem Herry”, a która szarogęsi się w moim wnętrzu, interweniuje i ciska bomby, aż błyski wybuchów zakwitają jak kwiaty, jedyne kwiaty w moim ogrodzie.

69

WŁAMANIE

2002

Kilka dni później w adwentowym mroku pojawił się zaskakujący gość. Wczesnie rano

Nancy otworzyła drzwi garażu przed długim płaszczem i parą wysokich obcasów, które z hukiem zaczęły stąpać po betonowej podłodze. Jasne włosy były obcięte do ramiona, bez blasku jak zgaszona świeca, za to usta błyszczały od pomadki.

W jakimś otępieniu pomyślałam, że to kontrolerka z władz miasta, jakiegoś urzędu zdrowia czy spraw socjalnych przysłała na inspekcję nielegalnej składnicy seniorów, i już spodziewałam się pytań w rodzaju: „A gdzie jest kolonoskop?”, kiedy zamiast tego usłyszałam rześkie:

- Hej, jak się masz!

Kiedy podeszła bliżej do mojego łóżka, rozpoznałam, że chodzi tu o kobietę, która z mojej krwi i kości wyprodukowała dzieci. Nawiedziła mnie Heidi we własnej osobie.

- Cześć - przywitałam się.

- Cześć, jak to miło cię widzieć. Wybacz, że się tak długo nie pokazywałam.

- Już dobrze, obojętność uzależnia.

- Słucham? Przecież tak już jest, kiedy ma się tyle rzeczy na głowie, z dziećmi i innymi sprawami. Ale powiedz, jak się masz, Herro?

- Mam się tak, jak chcę.

- Tak? Ha, ha. Dzieci bardzo mocno cię pozdrawiają. Zawsze się pytają, co tam u babci Herry.

- O, a ja myślałam, że o mnie zapomnieli, biedne maleństwa.

Do diabła, ależ moje serce się ożywiło. Nie myślałam, że ten stary silnik jest w stanie jeszcze wrzucić wyższy bieg.

- Ależ nie, oczywiście, że nie. Zawsze mówimy o tobie jako o kimś z rodziny. Możesz być spokojna.

Na chwilę jej twarz się uspokoiła, potem za maską wymuszonej radości pokazał się smutek i coś ciemnego, ale zaraz zaświergotała:

- Przyniosłam ci kilka ilustrowanych czasopism.

Po czym wyciągnęła z torby kilka kolorowych pisemek o życiu za najwytworniejszymi murami tego miasta, wszystkich pęknięciach i dramatach sercowych, które się tam rozgrywają. Położyła je na łóżku obok laptopa, który zamknęłam jak oko. Heidi rzuciła przebiegłe spojrzenie na komputer, ale zaraz odwróciła się do Nancy, kiedy ta zaczęła się żegnać. Mierzyła ją bacznie, odgarniając sobie kosmyk włosów z czoła. Z jej oczu ziała czysta pogarda. U kobiet, które nurzają się w seksie, nic nie budzi większej niechęci niż niezepsute, nieśmiałe dziewczyny, wierne swojej wielkiej miłości, której jeszcze wcale nie spotkały.

- Hm, ilustrowane pisma, powiadasz.

- Tak, pomyślałam, że może sprawi ci to przyjemność. Są tam różne plotki.

- Ale chyba nie o was?

- Co?

- Ale nie o Maggim i tobie?

Teraz straciła kontrolę, nagle zrobiła się purpurowa na twarzy i zatrzepotała powiekami.

- Ha, ha. Nie, tacy sławni raczej nie jesteśmy.

- Myślałam, że na Islandii każdy jest sławny, tylko nie prezydent. Jego nie zna nikt.

- Co? Zawsze zabawnie się z tobą rozmawia.

Zauważyłam, że brakowało jej mojego złośliwego języka, i w ogóle dowcipu teściowej, tej starej szynki, solidnie podwędzonej i pokrywającej się pleśnią. Pamiętam jeszcze, jak otwarcie przyjmowałam ją na samym początku, kiedy Maggi pierwszym razem przyprowadził ją, wyrosniętą studentkę ekonomii, na kolację w Skothúsvegur. I ona też dobrze się bawiła z tą starą zwariowaną kobietą, która gotowała kiełbaski z kapustą kiszoną i paliła żółtawe papierosy Roth Händle. Naprawdę ją wtedy lubiłam. Wreszcie mój leń znalazł sobie rozsądną dziewczynę. Wtedy było u nas wesoło. Ale od tego czasu życie raz czy drugi dało jej po nosie i teraz zawsze miała tę minę „Ach, jak strasznie jestem zajęta”, którą islandzkie kobiety przybierają z powodu swoich nader licznych obowiązków i kosmetycznych zabiegów, codziennego stresu i tego ciągłego „poradzę sobie z tym”, nie mówiąc o podejrzliwie obserwujących oczach przyjaciółek. Dzieci wysały jej piersi, ale poza tym całkiem nieźle się trzymała.

Bólu czy wyrzutów sumienia w twarzy tej islandzkiej „dziewczyny” jakoś nie mogłam się doszukać.

- Ale przecież się rozstaliście? - przeszłam do konkretów. - Magnús był u mnie niedawno.

- Co? Ach, właśnie. Tak, niestety. Takie rzeczy się zdarzają. W każdym razie musisz wiedzieć, że rozstaliśmy się we wzajemnej życzliwości i nadal pozostaniemy przyjaciółmi.

- Nikt nie rozstaje się w życzliwości.

- Ależ tak. Maggi i ja. Ha, ha.

- To byłby pierwszy raz w historii ludzkości.

- Tak, może tak. Ha, ha, ha.

- A co z pieniędzmi?

- Z pieniędzmi?

- Maggi twierdzi, że to ty masz pieniądze. Moje pieniądze.

- Chodzi ci o pieniądze za dom w Skothúsvegur?

- Tak.

- Właśnie, akurat chciałam z tobą o tym porozmawiać. Byłoby mi bardzo przykro, gdybyś pomyślała, że moglibyśmy chcieć zatrzymać dla siebie te pieniądze. My tylko postanowiliśmy zminimalizować ryzyko i dlatego podzieliliśmy je między siebie.

- Ponad rok nic od was nie słyszałam.

- No tak, jasne, też uważam, że to bardzo przykre, Herro, bardzo przykre. Ale jestem też zdania, że to sprawa między tobą a Maggim. I Hallim, i Ólim też... Ja co jakiś czas powtarzałam, że powinniśmy cię odwiedzić, ale...

- Gdzie są pieniądze?

- Pieniądze? W tej chwili? One są... są... Postanowiliśmy je podzielić, żeby nie stawiać wszystkiego na jedną kartę, rozumiesz? A więc są podzielone między różne fundusze inwestycyjne. Możemy je w każdej chwili wypłacić, jeśli chcesz. Przecież w pewnym sensie to są twoje pieniądze.

- W każdym sensie.

- No tak, nie, ale przecież twoi synowie muszą oczywiście... chciałam powiedzieć, że nie potrzebujesz przecież tych sześćdziesięciu milionów, przecież byłaś obłożnie chora, no i w ogóle. Przecież w tej sytuacji to bardzo dobrze, że...

Brakowało mi tylko porządnego noża.

- Moja droga! Dotychczas wśród większości ludów na ziemi niepisany zwyczajem jest, że ludzie nie przywłaszczają sobie spadku po swoich rodzicach, zanim ci nie umrą, nie wydadzą ostatniego tchnienia i nie pójdą pod ziemię. Póki nie leżą w trumnie, z mocno przyśrubowanym wiekiem.

Przy tych słowach chyba trochę się zatrzęślam, tak bardzo nadwreżyłam sobie płuca.

- No nie. Tak, to prawda, oczywiście.

- Na co poszły te pieniądze? Na ogrodowy domek?

- Ogrodowy domek? Ależ skąd! Co ci przychodzi do głowy?

- Bo ja... ja śledzę wszystko, nawet jeśli nie...

- Ach tak? Śledzisz wszystko?

- O tak.

Zagalopowałam się. Teraz próbowałam wrócić na właściwy tor.

- Czy myślisz... czy ty naprawdę myślisz, że mogłabym się ludzić, że wy nie tknęliście tych pieniędzy?

- No, może troszkę wydaliśmy, to znaczy z odsetek, chciałam powiedzieć.

- Odsetek?

- Tak, uznaliśmy, że skoro włożyliśmy tyle wysiłku, żeby je dobrze ulokować z zyskiem... Ale pełna suma nadal tam jest.

- No to wspaniale.

- Nie zrozum mnie źle, Herro, ale to naprawdę duży wysiłek, zajmować się tak dużą sumą pieniędzy, mówi się, że z pieniędzmi jest dokładnie tak samo jak... powiedzmy... z kwiatami: trzeba o nie dbać, dlatego uznaliśmy, że słuszne będzie, jeśli za nasze starania coś z tego dostaniemy, i dlatego może trochę...

Urwała. Nie mogła mówić dalej. Nie mogła mi powiedzieć, że sięgnęli głęboko do łoża śmierci, że przez żółtą od uryny rurkę od cewnika wygrzebali wszystko, co leżało pod materacem.

Skąd to pokolenie się wzięło w naszym kraju? Moje przodkinie, kierując się swoim nosem do ryb, pływały w otwartych łodziach po Breiðafjörður. Nie istniało wtedy nic ponad wykonaną pracę. Żadnych oczekiwań też nie było. Dawało się serce mężczyźnie, a potem, przewiązane wstążką, przechowywało je dla niego przez siedem lat, jeśli zapomniał je przyjąć. Nawet razem moi rodzice też nie mieli nic - i stracili nawet to. Znow stawali na nogi i oszczędzali, odejmując sobie od ust, na ostatnie rozdziały życia. Byli już po pięćdziesiątce, kiedy wreszcie mieli względnie porządną dach nad głową.

Heidi przejechała dłonią przez jasne włosy, wydeła policzki, popatrzyła demonstracyjnie na zegarek, potem przeniosła spojrzenie na mój laptop i zapytała:

- Czy mogłabym na chwilę skorzystać z twojego komputera? Powinnam już dawno być na zebraniu i czekam na... na e-mail.

- Czekasz na e-mail?

- Tak.

- Na moim komputerze?

- Tak, mogę i na nim otworzyć moją skrzynkę mailową, jeśli wejdę do internetu. To zajmie tylko chwilę.

Wcale mi się to nie podobało, ale tak na poczekaniu nie umiałam wymyślić żadnego sprytnego wybiegu, żeby obronić swój komputer. Podeszła do niego, wyciągnęła, z ciemnoczerwonym lakierem na paznokciach, wtyczkę z gniazdka i zaniósła mój laptop na blat kuchenny. Cwany z niej lis. Przecież to była przemoc wobec skazanej na łóżko kobiety, żeby na jej oczach wyłączyć jej mózg i zabrać na przegląd do kuchni.

- Chyba masz tu słabe łącza?

- Co? Nie. Nie, nie.

- Połączenie ciągle się przerywa. - A potem, jakby to było coś zupełnie oczywistego: - Mam też w samochodzie dostęp do sieci. Wyjdę z nim na chwilę.

Zamknęła klapę monitora, wzięła komputer pod pachę i uśmiechnęła się do mnie promiennie. - To nie zajmie mi nawet minuty. Przez ten czas możesz sobie poczytać pisma, które ci przyniosłam.

Byłam na to tak nieprzygotowana, że nie potrafiłam nawet sformułować jakiegokolwiek myśli. Ona po prostu wyszła sobie z moim komputerem! Dostęp do sieci w aucie? Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Uważałam się zawsze za jedną z bardziej wyrafinowanych wieźm, ale ta tutaj przerastała mnie zdecydowanie. Ależ sprytnie to sobie wymyśliła!

Nie było jej niepokojąco długo.

70

SKĄPY KAPITAŁ

2009

A więc leżałam przykuta do łóżka, w grudniu 2002 roku, i na własnej skórze doświadczałam błyskawicznej zmiany klimatu społecznego. Relatywizm moralny, bezczelność, chciwość, rozpychanie się łokciami. Wszystko pod maską życzliwości, z uśmiechem na ustach, ale prowadzone z bezwzględną konsekwencją. Wszystko to zważyło się do mojego garażu, przeciwieństwo jakichkolwiek wartości, w postaci przedstawicielki tego, co nigdy nie powinno nadejść.

Ale kończyły tańczyć tylko w takt muzyki, jaką zagra głowa, a chłopak i jego dwór właśnie tego chcieli, spuścili ze smyczy neokapitalizm, ów tani patent na wszelkie społeczne bolączki, który tylu ludzi zepchnął w nieszczęście. Widzieli, jak w Ameryce dokonuje dzieła zniszczenia, i pomyśleli, że chcieliby tego gościa zaprosić też do naszego kraju. Goniłwa za pieniądzem miała się zacząć.

Sama mieszkałam jakiś czas w królestwie dolara, z Bobem i potem też bez niego, widziałam wtedy, jak ten ogromny kraj schodzi na psy pod wpływem systemu, który każdą godzinę przelicza na pieniądze, ale człowiek natychmiast ląduje w rynsztoku, kiedy nie może opłacić następnej. Te byczki o szerokich jak u rugbystów ramionach i kwadratowych szczenach myślały częściej o pieniądzach niż o seksie; to o czymś świadczy. Nie było łatwo być kobietą w tej grze społecznej. Bardzo wcześnie kobiety musiały planować swoje życie z wyprzedzeniem i kalkulować każdy krok, balansując między miłością a poczuciem bezpieczeństwa, szczęściem a pieniędzmi.

Nigdy nie mogłam się do tego przyzwyczaić, że programy telewizyjne są przerywane co sześć minut na cześć mamony. To mi przypomina, jeśli mam być szczerą, hitlerowskie Niemcy albo dyktaturę komunistyczną. Dzień i noc jest się pod ostrzałem propagandy. W tamtym niedemokratycznym kapitalizmie rządził od zawsze jeden i ten sam dyktator, nazywał się Dollar Bill. Był Bogiem i diabłem w jednej osobie. Z jednej strony wymagał od ciebie nieustannie ofiar i uwielbienia, a z drugiej kusił obietnicami na każdym rogu ulicy. W tym okropnym systemie społecznym, który tresuje ludzi tylko do jednego, żeby się bogacili, ubierać prawdziwy majątek mogli wyłącznie ci, którzy oderwali się od społeczeństwa i nigdy nie musieli oglądać konsekwencji swojego powodzenia. Nie musieli nigdy zaglądać do szkolnych klas w biednych dzielnicach ani do poczekalni publicznych szpitali, gdzie młodzi mężczyźni czytają w tandetnych gazetkach o życiu seksualnym sław, podczas gdy z ich ran postrzałowych leje się krew.

Pamiętam, jak wiosną 1975 roku w żółtej taksówce jechałam po FDR Drive, żeby pokazać moim chłopcom drapacze chmur Manhattanu. Wyglądały jak lśniące uzębienie. Z pozoru bardzo zdrowe. Ale między nimi były już żółto nabiegłe miejsca, siedliska narkomanów i dzielnice gangów rewolwerowych. A od tamtego czasu Stany nie były u dentysty. Choć 11 września 2001 wybito im obydwu siekacze.

Nasz chłopak (nigdy inaczej nie nazywam wielkiego Daviða, bo znałam jego świętej pamięci babkę, która tak go wołała) sam oczywiście nigdy nie był po drugiej stronie Wielkiej Sadowki, ale ma przyjaciół, którzy oblatują świat dookoła. Ci chcieli, żeby naród, który od setek lat dobijał się do banków, przez następne sto lat żył na ich koszt. Zaczął się ciężki okres wzrostu gospodarczego, otworzyli bramki boksów startowych i psy wolnego rynku z pianą na pyskach popędziły na miejsce. Z mojego punktu obserwacyjnego w łóżku wyglądało to jak jeden szalony wyścig na oślep.

Tylko dlaczego ten boom musiał się tak katastrofalnie skończyć? Miałam dość czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Odpowiedź jest równie zaskakująca jak banalna: brak dzieci. Tak jak jego ojciec, faszyzm, neoliberalizm został wymyślony przede wszystkim przez białych, bezdzietnych mężczyzn, którzy uwielbiali się ubierać na pokaz w drogie ciuchy i saczyć koktajle ze swoimi kolegami. Zapominali przy tym o swoich kobietach, dzieciach i trzech P: psychopatach, poruszających się przy pomocy protez i pożerających pigułki starych pokurczach jak ja. Kapitalistyczne myślenie sprawdza się bowiem tak długo, dopóki nikt nie przeszkadza mężczyznom w pracy, żona zanoszą koszule do pralni, nie ma dzieci i żaden stary człowiek nie musi zostać zawieszony do lekarza. Przecież ten system wykształcił się do perfekcji właśnie tam, gdzie dzieci nie mają wstępu: na kampusach uniwersyteckich i w

amerykańskich *business districts*.

Ulubiony komentarz Boba na temat Yale brzmiał: tam nawet trawnik po skoszeniu spryskują after shave'em. Wiedział, co mówi, bo jego ojciec miał tam profesurę z literatury, przemiły poeta ze szkoły whitmanowskiej. W każdym razie Bob nie czuł się dobrze wśród tweedów i wież zegarowych, wolał stołki barowe i beat. W nowojorskiej Village zaprzyjaźnił się z Kerouakiem, Gore'em Vidalem i innymi, na długo zanim pochłonęła ich sława. Vidal był chyba najpiękniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałam, może oprócz Guðbergura Bergssona, który w hiszpańskich okularach słonecznych przechadzał się po Austurvöllur jak gwiazdor filmowy. (W latach sześćdziesiątych popularnym sportem wśród kobiet w Reykjavíku było chodzenie wieczorem do hotelu Borg, żeby oglądać gwiazdki. Poeta pracował tam jako nocny portier). Ale Bergsson i Vidal byli tak piękni, że żadna kobieta nie mogła ich mieć. „A więc tak wyglądają święci”, myślały naiwne dziewczynki. Dopiero wiele później, kiedy czytałam biografię Vidala, dowiedziałam się, że w tamtych latach w Greenwich co wieczór miał w łóżku trzech chłopców. Oni mogli, oni to robili, podczas gdy kobietę za to się kamieniuje.

Ich przeciwieństwem byli mężczyźni, którzy kochali tylko siebie, a świat postrzegali jako swój osobisty sejf. Patrzyli na społeczeństwo przez dziurkę od klucza własnych interesów.

I cały garnitur właśnie takich typów wybraliśmy do rządu ponad dziesięć lat temu. Wszystko, co było dobre i przydatne, zostało wpakowane do wieży kapitału i przyrostu. Przez dziurkę od klucza było to dobrze widoczne. Płaska łąka dookoła, na której pasł się głupi narodek przyrostu gospodarczego, wcale ich nie interesowała. W końcu wieża stała się za wysoka i runęła na te wszystkie wyskubane do czysta wspólne pastwiska.

Teraz Islandia jako pierwszy kraj na świecie ma na czele lesbijkę i ten prawdziwy homoseksualizm wyraźnie sprawdza się lepiej niż narcystyczny seksualizm z prawej strony, który kiedyś obficie zraszał się amerykańską wodą po goleniu.

Mój Boże, chyba naprawdę muszę się zbierać do grobu, jeśli już zaczynam chwalić komunistów!

71

SZCZUR

2002

Wreszcie Heidi była z powrotem, lodowato miła, i położyła mój komputer z powrotem na łóżku.

- Dziękuję! Uratowałaś mnie. Masz naprawdę bardzo, bardzo dobry komputer.
 - Tak, tak, mój stary, poczciwy blaszak.
 - Tak, hm... - Jej sztuczny luz jakby pękł, a w spojrzeniu pojawił się cień niepewności.
 - Całkiem niezłe się znasz na technice, prawda?
 - Tak, uczyłam się maszynopisania w dawnej Verslunarskóli. Potem byłam sekretarką tu czy tam. Kiedy mężczyźni prawie nie umieli obsługiwać telefonu.
 - I... jesteś na bieżąco... z techniką?
 - Zawsze interesowałam się wszystkim, zwłaszcza jeśli chodzi o komunikację.
 - To ostatnie powiedziałam tylko po to, żeby ją podrażnić. Spojrzała na zegarek i powiedziała:
 - Ojej, powinnam już dawno być na spotkaniu!
 - Schadzce miłosnej?
 - Otworzyła szeroko oczy.
 - Schadzce miłosnej?
 - Nie chciałam, żeby wychodziła ode mnie z uśmiechem na twarzy.
 - Tak, czyżbyś nie czytała tego, co ja czytałam?
 - Czytałam, co ty czytałaś?
 - Albo widziałaś, co ja widziałam. Podałam Maggiemu jego nazwisko.
 - Maggiemu? Jego nazwisko? Czyje i jakie?
 - Powinien już to załatwić.
 - Załatwić? Ale co?
 - Może nawet usunął zwłoki. Chciał to zrobić dla swojej matki, poczciwy chłopak.
- Teraz zapadła cisza. Potem zobaczyłam, jak jej fasada się rozsypuje. Powoli. Zewnętrznie w jej uśmiechu nie zmieniło się nic. Nadal był tak krzykliwie miły jak przedtem. Usta odpowiednio wyciągnięte, z małymi fałdkami wokół kącików. Ale stopniowo na tej fasadzie pojawiała się coraz więcej rys, rozchodziły się po jej twarzy jak sieć, dotarły do oczu, aż w końcu ten przyjazny tynk eksplodował gwałtownie.
- Kto ci pozwolił grzebać w moich prywatnych sprawach?
 - Zdrada małżeńska to nie jest prywatna sprawa.
 - Ależ tak! To jest prywatna sprawa i ciebie to nie powinno obchodzić. Maggi i ja... my... Nasze małżeństwo to nie twoja sprawa!
 - Ja tylko mam oko na mojego syna.
 - Masz oko na swojego syna?
 - Tak jak to robią matki. Mają oko na swoje dzieci.

- Ile on ma lat? Trzydzieści trzy. On ma, do jasnej cholery, trzydzieści trzy lata, a ty go jeszcze pilnujesz jak...

- Jego psychika jest i zawsze będzie na poziomie roku. Był zdruzgotany, kiedy się o wszystkim dowiedział, biedaczek.

- Dowiedział? Czy ty... czy to ty mu powiedziałaś?

- Jestem jego matką.

- Okay, ale to nie znaczy... Nie znaczy, że miałaś prawo...

- Ty mi nie mów o prawach, Heidi!

O, ale wpadka! Ragnheiður oczywiście! Chyba nie kontrolowałam mojego języka. Blondynka wykorzystała sytuację i jej oczy zaraz wypełniły się spadającymi szybko kroplami.

- Co ty w ogóle wiesz o tym, jak to jest dzisiaj być kobietą? Zawsze pod presją, setki obowiązków, ale nigdy nie dostawać tego, czego się pragnie, a kiedy wreszcie pojawia się okazja, wtedy... wtedy nie można z niej skorzystać, nie można nawet mieć odrobiny radości, bo cholerne wyrzuty sumienia wszystko zepsują.

- Mój Maggi jest dobry w łóżku.

Teraz kompletnie ją zatkało.

- Skąd...?

- Może jest trochę powolny, ale impotencji w naszej rodzinie nie ma. Nigdy nie było. Jego ojciec był cholernie dobrym kochankiem. Powinnaś raczej uderzyć się we własne piersi, czy też w to, co z nich zostało.

Znów nie wiedziała, co powiedzieć, potem rzuciła:

- Kim... ty właściwie jesteś? Szczurem?

- Tak, tak, potrafię czasem ugryźć, ale lubiłam też być gryziona!

- Ty... ty...!

Zostawiłam ją na pastwę jej wściekłości, była bezradna jak wóz terenowy z kołami zarytymi głęboko w bagnie, ale ja nie wyciągnęłam do niej pomocnej dłoni:

- Jesteś śmierdzącym szczurem w tym swoim łóżku... właśnie, obrzydliwym garażowym szczurem, który myśli, że może wszędzie węszyć, który... nie ma nic lepszego do roboty niż szpiegowanie własnej rodziny, tylko dlatego... tylko dlatego...

-... że nie przychodzą w odwiedziny?

- Tylko dlatego, że mu się wydaje, że ma do tego prawo, bo się źle czuje, bo nikt nie przychodzi w odwiedziny, a nikt nie przychodzi, bo jesteś obrzydliwym, wstrętnym potworem, który nigdy w życiu nie powiedział nikomu, że go kocha...

- Co z moimi pieniędzmi?

- Pieniądze? Pieniądzy nie ma! Nigdy nie zobaczysz tych zasranych pieniędzy! Bo na nie nie zasługujesz! Do widzenia!

Kiedy sobie poszła, odkryłam na brzegu łóżka kilka cieniutkich płatków cielistego koloru. Okruchy przyjacielskiej fasady.

72

ZAMARZNIĘTY KAMIENI

1942

W Hamburgu widziałam, jak całe domy się rozsypywały. Sześć pięter ozdobionych sztukaterią zwały się jedno na drugie. Raz o mało co zwałyby się na mnie cały wielki budynek banku. Inni nie mieli tyle szczęścia. Trude, którą poznałam przypadkiem i zaprosiła mnie, żebym zamieszkała z nią i z jej rodziną, znalazła się pod spadającym balkonem z czarną balustradą. Chciałam ją spod niego wyciągnąć, ale nie byłam w stanie. Zamiast tego zdjęłam jej buty i chciałam je zanieść jej rodzicom, ale kiedy dotarłam do ich domu, był już tylko obłokiem kurzu. Przyglądałam się butom w moich dłoniach i widziałam, jak wypełniają się pyłem. Miałam wrażenie, że prześladuje mnie klątwa. Wszystko, co było mi bliskie, zostało mi odebrane. Mama zniknęła, tata zniknął, Trude odeszła, a teraz jeszcze jej dom, jej matka, jej ojciec, jej trzech braci...

Jak do tego doszło, że stałam się sierotą wojenną? To wydarzyło się w marcu 1942 roku. Tymczasowy pobyt u pani Baum przedłużał się coraz bardziej, w końcu trwał już rok. Wszyscy sądziliśmy, że wojna się skończy po kilku miesiącach, kiedy to Hitler połknie inne kraje jak mewa śledzie. Ale potem moja sytuacja uległa zmianie. Mama znalazła mieszkanie. A że tata dostał również tydzień urlopu z rodziną, postanowili, że odbierze mnie z Amrum, a potem spotkamy się z mamą w Hamburgu, skąd dalej pojedę z nią do Lubeki.

Tata stał się innym człowiekiem. Jego twarz stwardniała, jak ryba w suszarni, na nosie miał odmrożenia. Mówił lepiej po niemiecku niż przedtem. Czułam się trochę nieswojo, kiedy snuł swoje długie opowieści. Zniknęły runy SS, wysłano go do kierowania ciężarówką. Przez całą zimę pod plandeką swojego auta przewoził przez ukraiński step materiały, ludzi i prowiant - albo w ulewnych deszczach, albo w arktycznych mrozach, jakich nie zna żaden Islandczyk.

Nigdy nie uczestniczył w walkach, oprócz okazjonalnego ostrzału z lasów, nie był na froncie (który w tamtym czasie zostawił za sobą Białoruś z Ukrainą i teraz krokiem marszowym wkraczał coraz głębiej na teren Rosji), a więc nie zabił też człowieka. A jednak

nie był tą samą osobą, która w Lubece razem ze mną liczyła stopnie do naszego mieszkania na strychu i pokazywała mi razem z mamą tańce bez muzyki. Wojskowe szkolenie nadało surowość jego kącikom ust, a rosyjska zima ukąsiła go w czubek nosa i zmroziła dno jego oczu. Choć zmusił się do kilku klasycznych żartów, z jego oczu przemawiała tundra. Różnica polegała na drobiazgach, lecz była widoczna. Była to różnica między kamieniem a zamrożonym kamieniem.

73

RAMIĘ

1942

„Jedną zimową noc pamiętam lepiej niż inne - napisał mi wiele lat później w liście do Argentyny, samotny i opuszczony w jakiejś piwnicznej dziurze w Grindavík, jako złamany człowiek z potrzebą wypowiedzenia się. - Tkwiliśmy znowu na jakimś cholernym pasie startowym między Rylskiem a Lgowem. Tamtejsza okolica jest tak samo płaska jak ocean i tak samo bezkresna. Czasami naprawdę miałem wrażenie, że poruszamy się po zamrożonym morzu. (Nocą śniłem o wielkim wielorybie, który pływał pod nawierzchnią drogi). Z jakiegoś ocalałego gospodarstwa przy drodze oddano strzały w naszą stronę. Któryś z komunistów poświęcił życie, żeby spuścić trochę paliwa z naszego pojazdu czołowego, i przestrzelił bak. To zatrzymało nas na całe trzydzieści godzin. Mój towarzysz Orel i ja spędziliśmy noc w kabinie.

Orel był synem pastora z Akwizgranu, geniusz matematyczny z grubo ciosaną twarzą, dobry kolega, ale bardzo nierozważny jak na niemieckiego żołnierza. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy, jak ważna jest ta wojna, nazywał ją »zimową baśnią«. Znał na pamięć bardzo dużo wierszy i często recytował je w szoferce. To urozmaicało nam długie godziny jazdy, ale musiałem go prosić, żeby tego zaprzestał, kiedy okazało się, że większość z nich napisał Heinrich Heine. Wiersze Heinego były zakazane w Trzeciej Rzeszy, z powodu »żydowskiego atramentu na piórze poety«, jak określił to ktoś bardziej znaczący niż ja. Syn pastora nie bardzo umiał pojąć moją potrzebę posłuszeństwa. Mówił, że kocha Heinego bardziej niż ojczyznę (!), i opowiadał mi, że kiedy Moskwa zostanie zdobyta, on pójdzie dalej, aż do Uralu, i założy tam małą kolonię, Kraj Poetów, gdzie wszystkie kobiety będą piękne jak »Dzika różyczka«, a mężczyźni będą recytowali wiersze na ulicach.

Tak, tak. Ale jedno muszę Orelowi przyznać - jak wielu mieszkańców kontynentu był mniej wrażliwy na mrozy niż ja, Islandczyk. Tamtej mroźnej lodowato zimnej zimowej nocy

spął na siedzeniu pasażera, podczas gdy ja trząsałem się z zimna za kierownicą. Musieliśmy oszczędzać paliwo, więc nie wolno było grzać silnika. Rano poczułem głód, więc wyszedłem z szoferki. Kuchnia polowa była rozstawiona w gospodarstwie i nasz kucharz gotował kawę w maleńkiej kuchni, która przypominała mi chatę starej Runi na Sviðnur. Osmalone ściany i portret Tołstoja. Tutejsza dziewczyna musiała mu pomagać w kuchni, blondynka z wężłem włosów na karku, wyjątkowo ładna jak na Słowiankę”.

[Moja uwaga: ojciec potrzebował siedemnastu lat, żeby oczyścić głowę z tych nazistowskich bzdur, i dopiero wtedy mama znów zgodziła się go przyjąć].

„Kiedy zjadłem świeżo upieczonego chleba i popiłem słodką kawą, kucharz nakazał mi zanieść kawę do stajni. W szarości świtu po prawej stronie rysował się koślawy budynek. Podeszedłem do niego, odsunąłem zasuwkę i zajrzałem do środka. Scena, która ukazała się moim oczom, mogła być dziełem pędzla holenderskich mistrzów, jakich znałem z reprodukcji w *Verdens Kunsthistorie* (Historia sztuki światowej). Było to połączenie anatomicznych rysunków Rembrandta i opowieści bożonarodzeniowej nieznanego artysty.

W kącie stały dwie wychudzone krowy. Jedna z nich, biała w łaty, odwróciła głowę w stronę światła padającego z otwartych drzwi, druga machnęła ogonem i zaryczała nerwowo. Na stole z grubych desek leżał mężczyzna w niemieckim mundurze, nieustannie walił obsasami w blat i jęczał z bólu. Nad nim pochylało się dwóch lekarzy, a pod ścianami siedziało lub stało wielu innych żołnierzy, na odwróconych wiadrach, drewnianych pniakach i kozłach, większość z apatycznymi od mrozu, wyczerpania czy alkoholu twarzami, a może wszystko naraz. Jeden z nich przyglądał się zrozpaczonej swojej wyprostowanej nodze, ciężko wzdychając, inny przyciskał do skroni zakrwawiony opatrunek.

W stajni oczywiście pachniało cudownie krowim łajnem i było odrobinę cieplej niż na dworze. Łaciata przyglądała mi się swoimi wielkimi oczami i strzygła uszami, jakby chciała dyskretnie przypomnieć, że ogrzewanie w tym pomieszczeniu jest wyłącznie zasługą jej i jej starzejącej się matki. Od razu przypomniała mi się świętej pamięci Poci-Gunna.

Wykonałem gest pozdrowienia i pokazałem dzbanek z kawą. Jeden z lekarzy podniósł wzrok i powiedział, że mam im pomóc. Pijany żołnierz ze spoconą twarzą zabrał mi dzbanek, zanim podeszedłem do stołu. Jęczący mężczyzna robił się wściekle czerwony, kiedy wykrzywił twarz, ale poza tym był błydy jak ściana. Jego prawe ramię wyglądało jak jedna krwawa miazga. Lekarz powiedział, żebym stanął po drugiej stronie stołu i przytrzymał ramię pacjenta w pozycji wyprostowanej, kiedy będą go operować. Odszedłem stół i jak najdelikatniej ująłem ramię w łokciu i w przegubie. Ale mężczyzna i tak wrzasnął z bólu. Popatrzyłem na ranę - w środku widać było odsłoniętą kość. Skoncentrowałem się więc na

młodym żołnierzu, który siedział na podłodze i z wniebożętym uśmiechem patrzył z ciemności stajni. Krowa zaryczała cicho, usłyszałem, jak krowi placek spada na podłogę.

Nadal odwracałem oczy, ale nie mogłem zamknąć uszu i usłyszałem najbardziej przeszywający dźwięk, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się usłyszeć: piła do kości. Amputowali mu ramię. Krzyki rannego zaraz ucichły, przypuszczalnie stracił przytomność, o ile nie umarł. Za nic w świecie nie chciałem na niego patrzeć, byłem całkowicie pochłonięty trzymaniem jego ramienia, które ostatecznie zostało luzem w moich dłoniach. Ogarnęło mnie przedziwne uczucie, nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem: trzymałem w rękach czyjeś odcięte ramię. Lekarze starali się zatamować upływ krwi i zamknąć ranę, a ja nadal stałem nieruchomo z tym ramieniem i starałem się trzymać je tak, żeby nie wypłynęła z niego cała krew.

A potem stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Ranny ocknął się nagle i usiadł na stole. Przesiąknięte krwią opatrunki odpadły z rany, z kikuta znów wytrysnęła krew. Lekarze chcieli zatamować ją opaską uciskową, ale pacjent odsunął ich na bok drugim ramieniem i spojrzął na mnie przekrwionymi oczami. Potem zeskoczył ze stołu, wyrwał mi swoje ramię, podniósł je do góry i zaskrzeczał z twarzą wykrzywioną jak małpa: »Heil Hitler! Heil Hitler!«.

Potem w mgnieniu oka cała krew odpłynęła mu z twarzy. Mężczyzna nabrał siniego koloru. Widzieliśmy, jak z jego twarzy ucieka życie, niczym piasek przesypujący się w klepsydrze. Nagle runął jak długi twarzą do dołu, z obydwooma ramionami, jedno stanowiło przedłużenie drugiego, wyprostowanymi w geście hitlerowskiego pozdrowienia. Odgłos towarzyszący jego upadkowi brzmiał jeszcze gorzej niż piłowanie kości. Potem w stajni zapanowała cisza, aż łaciata znów zamuczała. Żołnierz na podłodze się nie poruszał. Po kilku oddechach dwa pierwsze palce amputowanego ramienia drgnęły, jakby chciały rozdrapać ziemię”.

Rozdrapać Tysiącletnią Rzeszę.

74

HAMBURG HAUPTBAHNHOF

1942

Chyba nigdy w tak wspaniałej budowli nie wydarzyło się coś tak żałośnie smutnego jak na dworcu w Hamburgu wiosną 1942 roku. Ach, to straszne. Czy naprawdę muszę to znów odgrzewać?

Wczesnym rankiem tata i ja zbliżaliśmy się do zniszczonego w znacznej części miasta

i oglądali zbombardowane domy i złamanych ludzi. Gdzieś w dali płonęły fabryki. Dworzec wyglądał na nienaruszony i przeszliśmy razem z masą pasażerów na perony. Znaleźliśmy tor 14 i ustawiliśmy się przy nim pełni niepewnego wyczekiwania.

Ale pociąg mamy nie przyjechał o 12.02. Piętnaście minut później usłyszeliśmy: Opóźnienie wynosi około czterech godzin. Tata wpatrywał się w żelazny gąszcz i po kryjomu wyciągnął papierosa, bo jako niemiecki żołnierz palił angielskie papierosy, które zdobyłam dla niego na Amrum. Tydzień wcześniej razem z dziewczynkami znalazłyśmy na plaży wrak samolotu, a w nim cztery kartony chesterfieldów, prawie suche. Próbowaliśmy je palić, ale bez powodzenia.

Teraz tata nie wiedział, co ma zrobić. O północy musiał być znów w Berlinie; wtedy kończyła mu się przepustka. Jego pociąg odjeżdżał o 15.32. Dyscyplina w niemieckiej armii nie pozostawiała wątpliwości: jeśli tata wróci za późno, odetną mu hitlerowskie pozdrowienie przy samym ramieniu. Ale z drugiej strony nie mógł zostawić córki na tym zrujnowanym dworcu w mieście gruzów, na które jednej nocy spadło dziesięć tysięcy bomb. W każdym razie córka miała już dwanaście lat, prawie trzynaście. Pogrążony w myślach zaciągał się łapczywie, a ja wdychałam dym. Mało co pachniało tak przyjemnie jak dym z papierosa na wolnym powietrzu.

Tata upuścił niedopałek i rozdeptał go swoim wojskowym butem. Westchnął i popatrzył wzdłuż szyn, aż do samej Lubeki.

- Niech to szlag trafi!

- Ale to nic takiego strasznego, tato. Mogę tu zaczekać.

Spojrzał na mnie. W jego niebieskich jak ocean oczach zamigotała słaba nadzieja - może jednak nie będzie musiał wybierać między córką a Hitlerem. Może miała rację. Może wszystko dobrze pójdzie. Iskierka nadziei zgasła tak szybko, jak się pojawiła.

- Tylko nie mam pewności, czy ten pociąg... Może tak być, że tory... cholerni Angole!

- Czy oni wysadzili tory w powietrze? Tak myślisz...?

- Nie wiem - powiedział i potrząsnął głową w nadziei, że uda mu się w ten sposób choć trochę uporządkować panujący w niej chaos. - Nie wiem.

Tata popatrzył na zegar. Za dwie minuty trzecia. Teraz coś musiało się stać, tak czy inaczej. Podniósł torbę, powiedział, żebym wzięła swoją i poprowadził mnie z peronu do dworcowej hali, obok kiosku z gazetami i starszej, drobnej kobiety w welonie, sprzedającej róże. Dobry Boże, ciągle jeszcze pamiętam tamtą kwiaciarkę! Uśmiechała się swoimi rumianymi policzkami jak niewinne dziecko i wносиła trochę koloru do szarego tłumu. Skąd ona miała te kwiaty? Z jej czarnych jak ruiny oczu wyczytałam tajemnicę: przynosiła je z

kościół, ze swojego kościoła bez dachu. W gumowych kaloszach wspinała się na zasypaną pyłem stertę gruzów, która kiedyś była ozdobnym portalem, ale teraz pokrywała kościelne schody jak islandzkie usypisko skalne, potem wchodziła do nawy i pokonując resztki zwałonego dachu, docierała do prezbiterium, gdzie klękała przed ołtarzem, sięgała do zagłębienia na jego tyłach i wyciągała stamtąd dwie róże, które Bóg przysłał jej pocztą pneumatyczną, jak przed wojną w urzędach przesyłało się dokumenty między piętami. Każdego ranka wkładała tam rękę i wyciągała kwiaty Boga, i to z pewnością był jego jedyny konstruktywny udział w drugiej wojnie.

Tata pociągnął mnie do ciemnego, cuchnącego uryną korytarza przed ubikacjami. Oczekaliśmy, aż przejdą wszyscy korzystający z toalety, potem tata nachylił się nad swoją torbę i wyciągnął czarną, żelazną kulę, którą wcisnął mi do ręki.

- Proszę, weź to. To granat ręczny. Trzymasz go w prawej dłoni. Tak. Potem pociągasz za to drugą ręką, o tak, i rzucaś jak najdalej. Musisz o tym koniecznie pamiętać! Masz go rzucić, wtedy wybuchnie. Popatrz, tak się to robi! A kiedy go rzucisz, sama rzucaś się na ziemię. Zrozumiałaś?

Skinęłam. Choć to poszło o wiele za szybko. Sam też musiał to zauważyć i powtórzył całą instrukcję jeszcze raz.

- Daję ci to, żebyś w razie konieczności mogła się obronić, Herro. Rozumiesz? Użyj go tylko w sytuacji ostatecznego zagrożenia życia, kiedy Anglicy cię okrążą. Musisz być pewna, że jesteś w niebezpieczeństwie, bo masz tylko tę jedną broń. Jeden jedyny granat ręczny. Czy to jasne?

Skinęłam jeszcze raz i przyjrzałam się stalowemu jaju w mojej dłoni. Ojciec włożył mi w dłoń całą wojnę. To było niesłychanie ciężkie, ciężkie jak... serce. Gdzie miałam to przechowywać?

- Dokąd jedziesz, tato?

- Jadę tam, dokąd *muszę*. Wykonuję tylko rozkazy. Przypuszczalnie z powrotem na front wschodni. Wszyscy musimy się przyczynić się do zwycięstwa. Pamiętaj, Herro! Niemieckość nie może znów zostać wyrugowana ze świata. To jest też wielka nadzieja dla Islandii. Hitler postrzega Islandię jako pierwotny kraj pochodzenia rasy germańskiej, a nas jako strażników ognia.

Przy ostatnich słowach jego dłoń otoczyła moją ze schowanym w niej granatem i ścisnęła wszystko na potwierdzenie.

- Strażnicy ognia.

- Ale tato, kto wygra tę wojnę?

- My oczywiście. Hitler.

- A kiedy?

- Przyszłego lata. W lecie będzie już po wszystkim. Kiedy pokonamy Rosję. Wtedy inni też się poddadzą. Spotkamy się znowu jesienią, wszyscy troje, i przeprowadzimy się do Moskwy. Obiecano mi tam pracę na uniwersytecie. Powstanie nowy wydział nauk germanistycznych, a ja przejmę katedrę nordystyki. Świat należy do nas, Herro. Kopenhaga, Berlin, Moskwa... Jak ci się to podoba?

Niespecjalnie. Opowiadał mi to po raz trzeci, dokładnie tymi samymi słowami. Chyba sobie to teraz uświadomił, bo dodał jeszcze coś, czego przedtem nigdy nie słyszałam:

- Wyobraź sobie tylko, Herro, Rosja!... Będziesz wielką damą w dawnym państwie cara, będziesz jeździła na łyżwach, grała na pianinie i w futerku jeździła dorożką po metropolii jak Anna Karenina.

Nagle otworzyły się drzwi damskiej toalety i wyszła z nich postawna kobieta z wielkim tyłkiem. Nie zwróciła na nas uwagi, ale tata zareagował paniką.

- Nie trzymaj go tak! Nikt nie może tego widzieć! Weź, schowaj go do kieszeni!

- Ale czy on nie wybuchnie, jeśli...? Czy nie eksploduje?

- Nie, tylko jeśli wyciągniesz zawleczkę. Włóż go kieszeni płaszcza! Nie, może walizka jest jednak lepsza. Właśnie, tak. Wszystko będzie dobrze. Hitler jest przy tobie.

A dziecko zapytało:

- Czy on wie, że ja mam...?

I dziecko odpowiedziało dziecku: - Führer widzi wszystko. Jest wszędzie, wie wszystko.

Potem znów stał się dorosłym człowiekiem i długo patrzył mi w oczy. - Trzymaj się, moja kochana Herro! Muszę iść. Czekać przy torze 14, na pewno trafisz tam z powrotem. A jeśli pociąg nie przyjedzie, musisz czekać przy kasach biletowych. Tak się umówiliśmy z mamą, że jeśli coś pójdzie nie tak, tam się spotkamy. Zrozumiałaś? Tam gdzie sprzedają bilety, przy tych okienkach. - Następnie ujął obiema rękami moją głowę, uklęknął i powiedział zupełnie innym, bardziej islandzkim tonem: - Dobry Boże, moje dziecko...

Z głośników rozległa się zapowiedź, że pociąg do Berlina numer 235 odjedzie z toru 9. Było to równoznaczne z zapowiedzią łez. Błękitne oczy taty wypełniły się wodą i jeszcze raz mocno mnie uściskał, zanim zobaczyłam, jak zaczynają się przelewać.

- Niech cię Bóg chroni i czuwa nad tobą, dziecko! Ko... Kocham cię. Wiesz o tym. - Teraz już płakał, więc jego głos się załamywał. - Pamiętaj zawsze, że twój tata cię kocha.

Czułam, jak jego brzuch wstrząsany szlochem uderza o moje ciało. Zrozumiał, że

zostawia swoją jedyną córkę na pastwę losu w samym środku wojny samą jak palec na dworcu wielkiego miasta, a to tylko po to, żeby nie przegapić okazji uczynienia jej półsierotą. Ja nie płakałam. Spoczywała na mnie odpowiedzialność. Niosłam pochodnię germańskiej rasy, stałam się strażniczką ognia. Nie mogłam pozwolić, żeby na święty ogień kapały łzy.

- Niech Bóg cię prowadzi - powiedział wreszcie i wypuścił mnie z objęć. Usiłował wziąć się w garść, przełknął dwa razy ślinę i przejechał dłonią po twarzy.

- A teraz muszę iść. Żegnaj!

Założył pasek torby na ramię, wyprostował się i odszedł kilka kroków tyłem, a potem spojrzał na zegarek. Ale zanim się odwrócił, zdążyłam jeszcze rzucić:

- Tato.

- Tak?

- Nie możesz zginąć. Pamiętaj o tym!

Na krótką chwilę zamarł w bezruchu, potem otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, i zaraz je zamknął, nie tylko dlatego, że nie wiedział, co mógłby mi odpowiedzieć, ale też po to, żeby znów się nie rozplakać.

Potem pobiegł, na front wschodni, żeby jeszcze więcej ramion kierować ku wschodowi słońca. Kiedy biegł korytarzem, widziałam podeszwy jego butów. Odcinały się jasno, ale jedna miała czarną plamę po rozdeptanym papierosie.

75

ZAKAZ PŁAKANIA!

1942

Mama tego dnia nie przyjechała. Ani w ciągu wieczora. Było krótko po północy, kiedy pociąg jak kret z wgniecionym ryjkiem wjechał na dworzec i wypuł falę twarzy. Ja, wygłodzona i świeżo uzbrojona na moim posterunku przy torze 14, wchłaniałam około siedemnastu twarzy na sekundę. Wszystkie usta były naznaczone powagą życia. Ludzie tłoczyli się na całym peronie ze swoimi walizkami ze wzmocnieniem z drewnianych listewek. Jakaż masa ludzi! Jakie góry oczu! Jaka mnogość bijących serc. Czego szukali ci wszyscy ludzie w tym płonącym mieście? Dlaczego nie kryli się w lesie, czekając, aż front niepostrzeżenie minie ich zagrodę i zostawi tam czarnego volkswagena garbusa i białą pralkę AEG?

Ach, kochana mamo, oczywiście nie pamiętałam już tak dokładnie, jak wyglądasz. Nie widziałam cię przecież od roku. Ostatnim razem w Dagebüll w postaci malejącej laleczki na molo, która w końcu zamieniła się w kropkę na końcu mojego dzieciństwa. Najlepiej jak

umiałam starałam się z tej masy ulepić gliniastymi rękami przyjazne rysy mojej matki, włosy od tej, nos od innej, ale twarz, którą sobie wyobrażałam, zaraz zamieniała się w jakąś inną. Jak Bóg mógł być dla mnie tak surowy? Wysypał przede mną ze swojego żelaznego rękawa dwa tysiące kobiet, ale nie chciał dopuścić, żeby jedna z nich okazała się moją matką.

Znienawidziłam w końcu te wyczerpane kobiety, które z mroku nocy wchodziły w światło dworcowej hali, też możliwie najbardziej przyciemnione. Walczyłam z pokusą, żeby rzucić mój granat w tę bezwzględną masę oczu, która najwyraźniej nie miała końca i napływała do dworca, jakby poprzez brak mojej matki chciała ze mnie szydzić.

W końcu stałam na peronie całkiem sama i zastanawiałam się, czy wolno mi trochę popłakać, kiedy zauważyłam tabliczkę z napisem gotykiem, który w rozpaczy źle odczytałam jako „Zakaz płakania!”. Wróciłam do poczekalni i znalazłam okienka kas, ale oczywiście były zamknięte, było już grubo po północy. Usiadłam na brudnej kamiennej posadzce i oparłam się o jakieś zamknięte drzwi, wpatrując się apatycznie w plakat zdobiący przeciwległą ścianę. Przedstawiał piątkę roześmianych dzieci, które machały z okna pociągu. Pod spodem było napisane: „Jedźcie z nami na bezpieczny pobyt na wsi”.

Dlaczego nie zostałam na Amrum?

W hali tu i ówdzie jeszcze było kilkoro ludzi. Pod wielkim zegarem odbywało się wielkie rodzinne powitanie. Wokół grupy siedmiu osób stały walizki, w milczeniu czekając na decyzję, gdzie zamierzają przenocować, tenorowe głosy tryskały jak iskry z ogniska. Jakiś starszy mężczyzna przekuśtykał przez halę o własnoręcznie wykonanej kuli. Jedną nogawką spodni szorował po podłodze. Za nim w moim polu widzenia pojawiła się para młodych ludzi, przystojni i dobrze ubrani, z pewnością szwedzcy przedstawiciele socjaldemokratycznej klasy wyższej, którzy dokładnie wiedzieli, dokąd zmierzają. W tamtych latach nigdy nie widziało się w Niemczech par poniżej sześćdziesiątki. Mężczyźni wyjechali, byli zajęci zabijaniem lub dawaniem się zabić. (Jeńcami wojennymi byli wszyscy, bo wojna była jednym wielkim więzieniem, w którym nikt nie był wolny, czy nosił mundur więźnia, czy też generała). Patrzyłam, jak tamci mnie mijają. Kobieta była całkiem ładna, tylko jak wiele Szwedek miała tę nieco za szeroką kocią twarz z wielkimi oczami i mały zadarty nos. Jej jasne włosy kołysały się rytmicznie, a obcasy stukotały na kamiennej posadzce jak młoteczki krasnoludków.

Nieco później zatrzymał się przede mną uzbrojony strażnik, może nawet był to żołnierz. Niezbyt rozgarnięty drągał o kwadratowej czaszce, grubych wargach i białych brwiach pod za dużą czapkę. Rozkazał mi, żebym poszła do najbliższego schronu, czyżbym nie słyszała alarmu?

- Czekam tu na moją matkę. Ona... jest nadzorczynią w więzieniu Fuhlsbüttel, ale dostała wolne na weekend. Chcemy... chcemy zobaczyć bombardowania.

Z granatem ręcznym w bagażu wzrosła moja pewność siebie. Nawet się nie podniosłam, żeby odpowiedzieć temu typowi ze swastyką, który skwitował moje wyjaśnienia skinieniem kanciastej głowy z wielkimi oczami, a nawet uśmiechnął się do przykłądnie dzielnej dziewczynki.

- Ale... - próbował mimo wszystko zaprotestować, kiedy przerwała mu nagła eksplozja. Rozejrzeliśmy się oboje po hali. Rodzinne spotkanie na drugim końcu się rozproszyło, każdy schwycił swoją walizkę. Na zewnątrz w ciemności ruin pojawiły się płomienie, gdzieś w pobliżu dało się słyszeć wycie następnych bomb, spadających w noc jak skrzeczące ptaki, potem rozległ się przenikliwy huk, kiedy budowały sobie śmiercionośne gniazda na dachach domów i portowych magazynach. Cholerni Anglicy!

- Ale... dzisiaj w nocy już nie przyjadą żadne pociągi. Musisz stąd odejść. W nocy nikt nie może tu przebywać. Musisz udać się do schronu.

- Dlaczego nie jest pan na wojnie?

Ależ zrobiłam się bezczelna!

- Co? - zapytał zaskoczony człowiek ze swastyką.

- Dlaczego nie jest pan na wojnie? Mój ojciec jest na wojnie. Wszyscy prawdziwi mężczyźni poszli na wojnę.

- Na wojnę? Ja jestem na wojnie. Pilnuję dworca.

- To dobrze. W takim razie chciałabym tu zostać.

To była właściwa odpowiedź. To go zadowoliło i poszedł dalej. Ja siedziałam na swoim miejscu i musiałam wyglądać jak ten dzieciak z *Brzdąca* Charliego Chaplina.

Nawet pasowało, bo potem on sam miał się pojawić osobiście.

76

PÓŁ HITLERA

1942

Wielki biały zegar dworcowy nad wejściem głównym wskazywał prawie trzecią, a dworzec był praktycznie pusty. Siedziałam na środku hali i tęskniłam do mamy i do Islandii. Trochę dalej po mojej lewej stronie spały dwie niezgrabne i masywne holenderskie chłopki, owinięte w czerń; wyglądały jak dwie foki szare otulone szalami. Miałam nadzieję, że znajdę między nimi ciepłe miejsce, ale one mówiły gdzieś z głębi krtani i nie rozumiały najprostszego pytania po niemiecku. Przynajmniej dały mi kawałek kiełbasy.

Wreszcie zdrzemnęłam się na chwilę, ale zaraz się obudziłam i zobaczyłam, że z prawej strony do hali weszło dziwne stworzenie. Stało jeszcze w pewnym oddaleniu na rogu kiosku z gazetami i rozglądało się dookoła. Miało bardzo krótkie tylne nogi, za to przednie były długie i mocne. Stworzenie zauważyło mnie i powoli zbliżało się na swoich przednich kończynach.

Wkrótce okazało się, że był to mężczyzna. Był ubrany w pódługi płaszcz, na głowie miał coś kapelusopodobnego. Policzki miał nieogolone, ale podbródek był gładki. Pod prostym nosem wyrastał cienki wąsik. Stracił nogi, ale jego ramiona były tak silne, że mógł się na nich zaskakująco szybko przemieszczać po hali. W końcu usiadł obok mnie. Najwyraźniej spodziewał się, że oto znalazł odpowiednią dla siebie dziewczynę, ale jego oczy zdradziły rozczarowanie, kiedy zauważył, że ja mam nogi. Podwinęłam je jako porządna breiðafjordzka dziewczynka, więc dopiero teraz zobaczył, że kobieta jego marzeń ma wszystkie kończyny, a do tego jest dzieckiem. Chociaż był tylko połową mężczyzny, jego głos miał siłę całego faceta.

- Dobry wieczór! Dobranoc może byłoby bardziej odpowiednie, ale tego sobie życzymy na pożegnanie, a nie na powitanie. Dlatego mówię dobry wieczór, choć jest prawie rano. Jak się pani nazywa, panienko?

- Herra.

- Hecha?

- Herra. Przez dwa wibrujące R.

- Ach tak. Herra. Z Rrr jak u Führera. - Od razu zaczął naśladować Hitlera: - *In unserrem Deutschen Rrrreich**... Cóż. Dużo bym dał za dwa takie wibrujące, turlające się po języku R. Mógłbym się na nich zaturlać do Amsterdamu i potem na Morze Północne, na moim żółtym tyłku.

- Na żółtym tyłku?

- Tak. Jestem Żydem, a żydowska dupa jest żółta. Tak samo żółta jak żydowska gwiazda. Czy mogę się przedstawić: Aaron Hitler.

- A... Hitler?

- W rzeczy samej, Aaron Hitler.

Wyciągnął do mnie rękę. Wyglądała raczej jak stopa. Tkwiła w grubej czarnej rękawiczce bez palców, której wnętrze było podzielowane drewnianymi klockami. Z przodu wystawały długie palce, które razem robiły tak mocne wrażenie jak kwartet smyczkowy Beethovena. Kaleka zauważył moje wahanie.

- Musi mi pani wybaczyć, moje ramię jest moją nogą, dlatego jest uwalane solą ziemi.

Ujęłam tę dłoń. On tylko lekko uściśnął moją, a ja miałam wrażenie, że za jednym razem może mi zgnieść wszystkie kości. Za to jego ciało wyglądało szczupło, a twarz zdradzała wrażliwość, skóra była gładka i biała jak wosk, choć włosy wystające spod kapelusza, bokobrody i wąsy były kruczoczarne. Mógł mieć około trzydziestu lat. Pod krótkim płaszczem rysowały się miękkie kikuty. Jego nogi kończyły się tuż pod pachwinami.

- Czy powiedział pan Hitler? - upewniłam się jeszcze raz.

- Właśnie tak, Aaron, Aaron Hitler. Młodszy brat jego wysokości. Najmłodszy brat.

To miało być coś w rodzaju żartu, część programu nocnego, który oczywiście na zlecenie Ministerstwa Propagandy i Oświecenia Publicznego Trzeciej Rzeszy o tej porze dnia odbywał się na wszystkich niemieckich dworcach, żeby rozluźnić nastrój i dać wszystkim trochę uśmiechu. Ale dzieci to poważni ludzie:

- Brat Führera? Przecież pan powiedział... że jest pan Żydem.

- Właśnie, dlatego: cicho sza!

Przy tych słowach wyciągnął przed siebie prawe ramię jak miecz i ze świszczącym odgłosem odrąbał sobie nogi. Miałam wrażenie, że w tym miejscu swojego kabaretowego występu oczekuje śmiechu, ale ja nie byłam w stanie się zaśmiać, tylko powiedziałam skołowana:

- Ach tak?

- Skąd pani pochodzi, piękna syreno? Mówi pani ze słonym posmakiem.

- Ja pochodzę z... wysp.

- Dziecię wyspy? I podróżuje tak całkiem samo?

- Tak, mój ojciec musiał wyjechać. A ja czekam na moją mamę. Powinna dziś wieczorem przyjechać z Lubeki, ale w pociągu jej nie było.

- Ojej, z Lubeki. Wczoraj i przedwczoraj Anglicy prowadzili tam ciężkie naloty. Całe dzielnice leżą w gruzach. Jakież to kiedyś było piękne miasto! Przynajmniej patrząc od strony rynsztoka. Bo na wieże te bydlaki nigdy mnie nie wpuściły.

- Co? Co pan powiedział?

Widział, jak wybucha we mnie rozpacz.

- Nie, niech się panienka nie martwi. Pani mama jest bezpieczna.

- Co?

- Jest cała i zdrowa. Tego jestem pewien.

- Skąd... skąd pan może to wiedzieć?

- Jestem tego całkowicie pewien.

Uśmiechnął się przy tym tak łagodnie, że w jakiś niepojęty sposób poczułam się w

jednej chwili uspokojona. Był trochę czarodziejem. Na targu życia w zamian za nogi dostał pewien szczególny dar.

- I pan jest Żydem?

- Tak, ostatnim Żydem w Trzeciej Rzeszy. Kiedy mnie dostaną, wtedy się dokona. *Ein Volk, ein Rrreich, ein Führrer***.

- Ale jak się... panu udało uratować?

- Ach... mój brat Adi, oczywiście - powiedział i wzruszył ramionami, pokazując w ten sposób, że „jego brat” nie był jednak tak bezwzględny, jak wojna kazałaby się spodziewać. Potem jego wzrok powędrował po hali, przez holenderskie foki lądowe aż do wyjścia po drugiej stronie, jak gdyby chciał zaraz iść dalej. Brat Führera oczywiście nie mógł tracić zbyt wiele czasu na pocieszanie pochlipującej dziewczynki z Islandii. Ale ja nagle zapragnęłam jak najdłużej zatrzymać tego żebraka przy sobie. W jego obecności czułam się tak dobrze.

- A więc on pana chroni?

- Tak. W przeciwnym razie nie udałoby mi się uciekać. Moje nogi już uciekły, po prostu pobiegły sobie w świat. Najpierw do Szwecji, a potem do Ameryki. Tam teraz mieszkają. Czasami dostaję od nich listy. Prawa mieszka w Ohio, lewa w Kalifornii. Przyzwyczyły się do dużych odległości między sobą. Widzi panienska, jak dobrze jestem zbudowany u dołu? Czasem ktoś mnie pyta, czy to nie jest nieprzyjemne, tak pełzać na kikutchach, ale ja odpowiadam: nie, o nie, gdyż mam pod sobą dwa worki ze złotem. Dwa całe narody, które później będzie można znów wytrzebić. Muszę jeszcze tylko zdobyć harem. Staram się o to. Ale niestety niewiele jest kobiet, które chcą mieć karła z wielkim przyrodzeniem. Kobiety są bardzo przewrażliwione na punkcie braku nóg. Przekonałem się o tym. Wolą mężczyzn, którzy stoją »mocno na obu nogach«. Na przykład esesmanów albo mężczyzn takich jak mój brat Adolf. A ja się temu sprzeciwiam: błogosławieni niech będą pozbawieni nóg, gdyż czymże są nogi, jeśli nie narzędziami szaleństwa? Niech panienska popatrzy tylko, do czego doprowadził człowiek z nogami! - Rozłożył na boki swoje szerokie ramiona. - To wszystko jest dziełem unożnionych ludzi. Noga depcze, a ramię utrzymuje, tak uważam. Jestem gotów przejść odpowiedzialność, gdy tylko Adolf przegra wojnę. Wtedy wezwą mnie i zrobią kanclerzem Rzeszy. - Teraz znów zaczął naśladować swojego starszego brata i przesadnie wymawiać R: - Bo my wygrrramy i zmarrrtwychstaniemy z rrruin. Z powrrrotem staniemy wyprrostowani!

Teraz uznałam to za zabawne i wreszcie mogłam się roześmiać. To jeszcze bardziej go rozochociło.

- Kto, jeśli nie ja, potrafi wyrwać naród niemiecki z najgłębszej rozpaczyny? Człowiek,

który wie z doświadczenia, jak to jest być na samym dnie.

Przy tych słowach zastukał swoimi obcasami na dłoniach w brudną podłogę. Zaśmiałam się jeszcze głośniej. Na końcu każdego zdania zadzierał głowę do góry, jak to zawsze robił Hitler, i coraz bardziej go przypominał, aż zaczęłam wierzyć, że naprawdę jest jego bratem.

- Drodzy towarzysze, czas nadczłowieka minął, terrraz jest czas podczłowieka.

Wyprostował się, odrzucił do tyłu głowę, a ramię podniósł w hitlerowskim pozdrowieniu, ale tylko tak, że sam łokieć sterczał do góry, jakby ramię też miał amputowane; zawołał przy tym głośno:

- Halb*** Hitler!

* Z niem. „W naszej niemieckiej Rzeszy” (przyp. tłum.).

** Z niem. „Jeden naród, jedna Rzesza, jeden Führer” (przyp. tłum.).

*** Z niem. „Pół Hitlera!” (przyp. tłum.).

77

HYMEN NA GŁOWIE

1942

Samoloty wroga przelatywały nad naszymi głowami, wyładowane ogniem i zniszczeniem, które zrzucały nad starymi, zdobnymi w gzymsy dzielnicami, a potem zawracały na zachód jak syte hieny. Potem następowały krótkie chwile spokoju, w których można było zapaść w lekki sen, zanim nie przyleciała następna fala. Znow zaczynały wyć i ryczeć syreny i sygnały obrony przeciwlotniczej, później następował deszcz bomb ze swoimi jękami, a na końcu rozlegały się straszliwe huki eksplozji.

- Chodzę na kikutach po nocy, więc potrzebuję tylko połowy snu - powiedział mój nowy przyjaciel Aaron i mrugnął porozumiewawczo.

- A gdzie pan śpi?

- Och, zawsze szukam sobie czegoś nowego. Raz nocowałem w szufladzie, innym razem w gnieździe łabędzi. Kiedy śpię na miękkim podłożu, śpię głęboko, na twardym raczej lekko. Jeśli śpię pod dachem, mogę się wyspać, jeśli na dworze, to śpię jak pies z jednym okiem otwartym. Dobrze śpi się w rynsztoku, bo wtedy śni się spotkanie przy kawie z ciastkami u Boga. Ach, te wypieki! Najpewniej śpi się w leju po bombie, bo Angole z natury skąpi nie zbombardują drugi raz tego, co już raz wysadzili w powietrze. Poza tym niczego się nie boję, a najmniej śmierci. Niech przyjdzie, kiedy chce, ale wtedy w całości, a nie połowicznie.

To wszystko brzmiało jak wcześniej przygotowany tekst. Albo jak kwestie ze starej sztuki teatralnej. Miał gotowe odpowiedzi na każde pytanie i zawsze umiał odpowiednio zareagować. Każde jego zdanie tchnęło przyjemną dla uszu energią, wypowiedzi wychodziły z niego roziskrzony i naładowane elektrycznością jak linie wysokiego napięcia z elektrowni, a głos miał brzmienie czerwonego wina, płynął aksamitnie i trochę upojnie z tej twarzy przypominającej maskę pośmiertną.

Potem zaśpiewał dla mnie piosenkę:

Na dworze śpię jak twardy głaz, przez króla miłości odurzony. Jeśli się sam nie zbudzi wraz, Kraj jego w darze zostanie ci złożony. Dobry Boże, byłam oczarowana tym bezogoniastym centaurem z wąsikami Chaplina. Ale zaraz pojawił się znowu mój drugi przyjaciel, hanzeatycki Głupi Jaś z białymi brwiami i czapką. Najpierw przegonił holenderskie chłopki. Stały sztywno na nogi i wyniosły się z hali. Potem podszedł do nas.

Półbrat Hitlera zaraz puścił nową płytę.

- Dzień dobry, dzień dobry, żołnierzu! Co za wspaniałe buty. Gdyby produkowano takie buty dla dłoni, już dawno byłbym na froncie, żeby pogonić Ruskich za Don. Na rękach szedłbym na czele kompanii piechoty, gdyż na wojnie możliwe jest wszystko oprócz ucieczki.

- Kim pan jest? - zapytał Głupi Jaś i zwrócił się do mnie: - Czy on jest z tobą?

- Niech pokój będzie z panem, bo wojna już długo nie potrwa. Ale udało się wam utrzymać twierdzę i to w bohaterskim stylu. Niewykluczone, że zasłużył pan na order; w swoim czasie zgłoszę to w odpowiednim urzędzie. Nazywam się Hitler, Aaron Hitler, młodszy brat naszego ukochanego Führera, jego przyrodni brat, hołdując cnocie dokładności, a więc jakby półbrat. Czyli pół Hitlera, ta druga połowa nie była spokrewniona z nami, braćmi Hitlerami, i dlatego trzeba było się jej pozbyć! - powiedział Aaron i znów wydał świszczący odgłos i pokazał ten sam gest cięcia.

Żołnierz o jasnych brwiach przyglądał się przez chwilę temu dziwnemu zjawisku. Kim był... nie, czym był ten bezkształtny ludzki kłęb, który skomlał do niego z dołu jak żebrak, a równocześnie traktował go z góry jak jakąś partyjną szycha? A może to naprawdę był *jego* brat? Nie byli wcale niepodobni, nawet jeśli ten tutaj miał kręcone włosy i nochał jak Żyd z karykatury. Wreszcie jednak święte, nietykalne nazwisko przeważało.

- Heil Hitler! - ryknął żołnierz, aż echo wypełniło całą, wysoką na trzydzieści siedem metrów halę dworca, wyrzucił ramię naprzód, trzasnął obcasami i stanął na baczność.

Moje oczy przez całe życie oglądały niejedno komiczne wydarzenie, ale reakcja tego dzieciennego żołnierza należy zdecydowanie do najśmieszniejszych. Mimo to się nie śmiałam, najwyżej na samotnym górskim pastwisku w moim wnętrzu, schowana za szaląsem. Ale

zauważyłam, że mój przyjaciel Aaron musi tłumić śmiech, kiedy odwzajemniał pozdrowienie. To był śmiech komedianta podczas przedstawienia. I wtedy wreszcie zrozumiałam tego mężczyznę, tę połówkę mężczyzny, który życie brał na wpeł poważnie.

Żołnierz tymczasem mówił dalej:

- Szeregowy Hans Jürgen Rupert, 2. Oddział Artylerii Przeciwlotniczej 161, kapitan Gunter von Affenberg, sektor obronny Hamburg Północ, ochrona budynków i obiektów.

Aaron nadal z trudem utrzymywał powagę, ale robił, co mógł:

- Meldunek otrzymałem, opuścić ramię. Jest pan wspaniałym przedstawicielem rasy nordyckiej, szeregowy. Przyszłość należy do nas. Czy płodzi pan potomstwo?

- Przepraszam, nie rozumiem?

- Czy ma pan dzieci?

- Nie mam dzieci, jestem jeszcze młody.

- Ile ma pan lat?

- Dziewiętnaście.

- Dobrze. Ale może pan spłodzić dziecko?

- Nie rozumiem?

- Czy ma pan przydatne nasienie w swoim worku?

- Ech, myślę, że tak.

- Nasienie Aryjczyka jest złotem tego świata. Niech pan to zapamięta. Kiedy kran jest podłączony, należy go odkręcić. Wyższość to jedno, ale rozprzestrzenianie to inna sprawa. Proszę o tym pamiętać! Codziennie produkuje pan stu żołnierzy, tylko że oni stacjonują na pańskiej dłoni, której powierzchnia może być owszem istotna, lecz nie zaspokaja zbytnio głodu przestrzeni naszego narodu. Powinien pan dzisiaj zadowolić sto kobiet, a jutro dwieście. Pański magazynek jest naładowany, niech pan idzie i napełnia nasieniem płęć piękną! Tego właśnie potrzebujemy. A co pan sądzi, dlaczego na wschodzie utknęliśmy w okopach i nie radzimy sobie z tymi wiecznie parzącymi się Rrruskimi? Bo brakuje nam zapasu ludzi. Potrzebujemy jak najwięcej przedstawicieli rasy panów.

Przyglądałam się szeregowcowi Rupertowi, który rozjaśnionymi oczami wpatrywał się w mężczyznę na podłodze, to światło w nich mówiło: Rozpoznaję go, on *jest* jego bratem!

- To samo powtarzam zawsze mojemu bratu Adolfowi. „Powinieneś mieć dzieci”, mówię mu, kiedy siedzimy razem przy piwie. Powinieneś mieć co najmniej trzy kobiety dziennie i aplikować im całą dawkę. To dałoby przez dziesięć lat trzydzieści tysięcy dzieci. Gdzie bylibyśmy wtedy? Wtedy nasi żołnierze staliby przed bramami Pekina, a nie dopiero pod Moskwą. Ja sam spełniłem swoje nocne obowiązki i w okręgu bawarskim spłodziłem

siedemnaścioro dzieci w ciągu siedmiu miesięcy, ale potem musiałem stamtąd uciekać, kiedy chłopci zobaczyli mój żydowski nos wynurzający się spomiędzy nóg ich córek. Moje nogi biegły tak szybko, że w końcu nawet mi uciekły, a teraz mieszkają w sławnej Ameryce, oddzielone od ciała i bezdzietne.

- Żydowski nos? - wyrzucił z siebie żołnierz, tak samo zdumiony jak ja przedtem.

- Tak. Proszę wybaczyć, jeszcze się panu nie przedstawiłem? Aaron Hitler, ostatni Żyd w państwie mojego brata. Znajduję się tak daleko z przodu w alfabecie, że często jestem pomijany.

Komediant uchylił kapelusza, a pod spodem ukazała się kipa, czarna czapeczka na tłustych włosach. Żołnierz z trudem trawił ten widok, jego jabłko Adama przez dłuższą chwilę znajdowało się ponad ciasno zapiętym kołnierzem munduru. Poczułam wielką ulgę, kiedy Aaron wreszcie nałożył kapelusz z powrotem.

- Chwileczkę, chwileczkę, nie może mnie pan zabić! Nikt nie może mnie zabić! Wyłącznie mój brat i to tylko swoim własnym gazem. Już go gromadzi; do każdego posiłku je kiszoną kapustę i fasolę. To dopiero będzie pierdnięcie, kiedy się spotkamy, cały i połówka, jodłujący Żyd już nie może się doczekać. Holla-hi-hi!

Teraz mogliby przyjechać z wózkiem pracownicy gabinetu figur woskowych i odtransportować niemieckiego żołnierza.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć! Jestem tylko pół-Żydem. Moje obie nogi były katolickie. Dwaj niewinni księża, bardzo lubiły kołysać dzieci. Ale nie mogły znieść stania pod żółtą gwiazdą. Niech się pan nie obawia, szeregowy Rupert, nasz ukochany Führer jest czystym Aryjczykiem, zarówno jego ciało, jak i giry, i nie można mieć do niego pretensji, że ma przyrodniego brata Żyda. Nasz ojciec Alois odpowiada za tę katastrofę, która wydarzyła się, kiedy raz zaprowadził małego Adolfa do szkoły. Kazał chłopcu czekać na korytarzu, podczas gdy sam wyżywał swoją niską żądzę w szparze mojej matki i w ten sposób sprowadził na Europę to całe nieszczęście. Wszystkiemu, tak, wszystkiemu jestem winien ja! Moje poczęcie, moje narodziny. Ja! Grzech pierworodny mojego ojca. Zemsta mojego brata. Cierpienie ludzkości. O, biada, biada!

Wyciągnął ramię w stronę miasta i w tym samym momencie wybuchła w oddali kolejna bomba.

- Według naszej żydowskiej wiary każde poczęcie to hańba dla całej rodziny, dlatego my, obrzezani mężczyźni, nosimy na głowie błonę dziewiczą. - Uniósł nakrycie głowy, żebyśmy jeszcze raz mogli podziwiać jego żydowską czapeczkę. - Ukoronowani grzechem pierworodnym idziemy przez życie dręczeni płcią i przybici smutkiem i każdego dnia

przypominamy sobie o grzechach naszych przodków. Sam noszę jako relikwię błonę dziewiczą mojej pramatki Rebeki, córki Salomona z Jeruzalaim w południowej Judei, która żyła w pierwszym wieku przed Chrystusem. Kiedyś ta błona była miękka i różowa, ale teraz, jak widać, wyschła i szerniała, łamana przez kolejne pokolenia. Ale pierwotnie była to owa miękka część ciała, która musiała zostać rozsadzona na rzecz przetrwania rodu. Moi dziadowie i pradziadowie, sześciuset chłopów, nosili ją na głowach od dwóch tysięcy lat przez dwa tysiące gór, aż na sam dół do bawarskiej piwiarni w suterenie. Ale nie tylko Żydzi noszą na głowie twardą i wyschniętą błonę dziewiczą, papież w Rzymie również. Ta, którą on nosi, pochodzi od pierwszej dziewicy, Maryi. Tylko że ona jest biała, dzięki boskiemu łabędziowi, który jest członkiem Boga i wszystko, czego się dotknie, czyni czystym. Oczywiście nie można tego porównywać, to jakby porównywać jabłka i gruszki, boski wieniec utkany z promieni i mój codzienny płatek skóry, przebity przez ziemski *membrum virile*. Czy chce go pan powąchać?

Zdjął swoją dziewiczą czapczkę z głowy i podsunął pod nos żołnierzowi, który dość mocno poczerwieniał. Ja nadal powstrzymywałam śmiech i równocześnie bezgranicznie podziwiałam ten potok wymowy.

- Rebeka, córka Salomona, jerozolimka gospodyni domowa, urodzona w roku 33 przed narodzeniem Chrystusa, zmarła anno domini 77. Nieźle, prawda?

Hans Jürgen Rupert wahał się przez moment, potem poddał się nazwisku Hitler, wystawił nos i powąchał liczącą dwa tysiące lat błonę.

- No? Trochę... jak by to określić?... zapach późnego żydowskiego nasienia. Wedle prawideł naszej wiary najstarszy mężczyzna w rodzinie powinien zwilżać błonę swoim nasieniem, zanim przekaże ją najmłodszemu przy jego obrzezaniu, a więc mamy tutaj... - odwrócił czapczkę w taki sposób, że teraz leżała w jego dłoni jak miska - w tej czapczce zebrał się życiodajny sok wszystkich pokoleń, od Abrahama do Aloisa. Tak, on też, ojciec Adolfa i mój również oddał tu, co swoje. - Musiałam się głośno roześmiać. Nie mogłam się dłużej powstrzymać. To przekraczało moje siły. - A więc tutaj, w tej żydowskiej kipie można zobaczyć słynną spermę Hitlerów, z której powstał Führer i...

Huknął strzał, czapczka upadła na ziemię, podczas gdy połówkę mężczyzny odrzuciło do tyłu, tak że jego kikuty sterczały w powietrzu. Występ komedianta dobiegł końca. Śmiech ugrzązł mi w gardle. Spojrzałam w górę. Wcale nie zauważyłam, że żołnierz wyciągnął pistolet. Strzał był niesłychanie głośny. Z lufy unosiła się wąska smużka dymu. Kolejna, tak samo cienka smuga wiła się nad głową nieszczęsnego strzelca, który wpatrywał się w świeżo zaszlachtowane jagnię ofiarne, rozważając, czy przypadkiem rzeczywiście nie

zabił przyrodniego brata Hitlera. Dzięki temu mogłam się poderwać z posadzki. Kiedy żołnierz trochę ochłonął i sprawiał wrażenie, jakby mnie też zamierzał zastrzelić, stanęłam przed nim wyprostowana i zagroziłam mu granatem.

Tata może był nazistą, ale nie był głupi.

78

ŚMIESZNY TRUP

1942

Strzał trafił prosto w serce i krew lała się jak czerwone wino na brudną podłogę. Kiedy żołnierz się wycofał, podeszłam do zwłok. Byliśmy w hali sami. W oddali wyły syreny przeciwlotnicze. Przyglądałam się tej połowie mężczyzny, który teraz cały był trupem. Miał otwarte oczy, wyglądały złudnie „jak żywe”, a jednak były nieodwołalnie martwe, jak rozbite skorupki jajka, które patrzą za tym, co z nich wypłynęło. Znow przycupnęłam na posadzce. Stąd trup wyglądał jak ciemny worek, który spadł z nieba i pękł, tak że wypłynęła ciemna zawartość.

Patrzyłam to na niego, to na okienka kasowe albo wyglądałam na miasto, obracałam przy tym w kieszeni płaszczą mój granat i nie miałam pojęcia, co mam teraz zrobić.

Nagle wybuchnęłam płaczem. Pysk bobra znow pojawił się w moim gardle i zaczął uderzać w miękką część podniebienia. Na wojnie miałam zobaczyć jeszcze niezliczoną liczbę trupów, ale to był mój pierwszy.

Tak samo jak kikuty sterczała też szczecina zarostu na zapadniętej twarzy, której nawet śmierć nie mogła nadać większej bladości. Wąskie, ale ruchliwe usta, których gra tak nagle ustała, zastygły w grymasie, który można było uznać za uśmiech, ale jeszcze bardziej przypominał układ warg przy wymawianiu „ups”. Co za śmieszny trup! Komediant nawet po śmierci. Uklękałam przy nim i zamknęłam mu oczy, usta i nos, widziałam, że zrobił tak Eysteinn, kiedy wreszcie znaleźliśmy na brzegu Poci-Gunnę.

Złapałam go za ręce i pociągnęłam za sobą jak długoramienną małpę do korytarza przy toaletach. Tam położyłam go w tym samym miejscu, gdzie poprzedniego dnia tata się ze mną pożegnał. Nie mogłam sobie wyobrazić, że moja matka mogłaby mnie znaleźć siedzącą przy trupie. Potem wróciłam do hali, żeby we śnie pozbyć się strachu. Owinęłam sobie wokół szyi czerwony szalik, który mama dla mnie zrobiła w zeszłym roku, i wzięłam stalowe jajo. I w ten sposób miałam oboje przy sobie - krwiobiegi mamy wokół szyi i serce mojego taty w kieszeni płaszczą. Wreszcie zapadłam w niespokojny sen, śniłam o karłach tańczących na zielonej łące, na której poeta ze starannie przystrzyżoną brodą i w białej szacie deklamował

wiersze.

Około 6.15 hala dworca znów wypełniła się ludźmi, zwłaszcza kobietami i dziećmi, które z niezrozumiałych dla mnie powodów sądziły, że w Hamburgu będą bezpieczniejsze niż w Kilonii. Kilka kobiet wzdychało ciężko, kiedy przy wyjściu patrzyły na miasto. Jedna po drugiej wracały z dziećmi na dworzec i gromadziły się w wielkiej hali. Z zazdrością patrzyłam na dziewczynkę, która mogła trzymać się ręki swojej mamy, i dalej walczyłam z kluchą w gardle.

Siwiejąca kobieta w mundurze i w okularach otworzyła wreszcie od środka okienko kasowe. Chciałam czekać przed nim, ale żeby nie zawadzać czekającym w kolejce, ustawiłam się trochę z boku, koło budki z jedzeniem. W końcu w hali biletowej zrobiło się znów spokojniej i zostałam sama z zakurzoną, ubrudzoną krwią podłogą, która była tak samo odpychająca jak tłumy ludzi.

Czekałam i ten cały dzień, z granatem w kieszeni i głową pełną mamy.

Nie przysłała. Po dwudziestu czterech godzinach czekania przy budce z jedzeniem, podczas których odbyłam długą rozmowę z pachnącą rybami podróżną oraz musiałam odrzucić niemoralną propozycję jakiegoś grubego synka oficera, nabrałam przekonania, że moja mama utknęła pod zwaloną ścianą domu, ale miała szczęście i zabrała ze sobą robótkę i teraz nucąc pod nosem, w półmroku i pyle ruin dziergała dla siebie sweterek, bo noce nad Zatoką Lubecką potrafią być zimne.

Zastanawiałam się, czy nie kupić biletu powrotnego do Fryzji, bo tam przynajmniej mogłabym znaleźć schronienie u pani Baum, skoro podarowałam jej moją magiczną puszkę Pandory. Tylko że z przejścia mój ojciec przy pożegnaniu zapomniał dać mi choć trochę pieniędzy. Czy mogłabym coś dostać za ten granat? W końcu przełknęłam wielką kluchę w gardle i zmusiłam się, żeby spojrzeć w oczy prawdzie, że moja matka po mnie nie przyjedzie. Wzięłam walizkę i ostatni raz poszłam do korytarza przy toaletach. Dwa szczury obwąchiwały zwłoki. Nie przeganiałam ich - każdy ma swoje zadanie na tym świecie - i na odległość pożegnałam się z moim przyjacielem, poprosiłam go, żeby mi towarzyszył. Potem przeszłam przez halę, mijając miłą kwiaciarkę, która nadal miała dobre kontakty z tym w górze, i wyszłam na wojnę.

79

POLSKI KOŃ

1944

Koń niesie mnie naprzód. Jest w tym coś bardzo przyjemnego, czuć pod sobą cztery

stopy. Koń niesie mnie stępem przez skraj iglastego lasu, aż trawa szeleści. Jakiś niewystraszony wojną ptak budzi się i śpiewa o lecie w Europie. Zwariowany ptak! Las się obudził, a słońce wznosi się ponad gęsto porośnięte igłami pnie jak leniwy, ale bardzo jasny dziki kot. Dzidy promieni słonecznych przebijają się czasem przez igliwie i kłują w oczy. Piękny dzień, dobry dzień. Pełen świeżego, nowego bólu. Między moimi nogami płonie ogień. Polski koń kasztanek ostrożnie niesie ten ogień. Przeżył cztery lata wojny i wie, że jego ładunek stanowi czternastoletnia dziewczynka, która w nocy została zgwałcona.

Koń chce iść ze mną do lepszego miejsca. Zna takie jedno. Zna maleńką wolną wioskę, w której nie ma ani mężczyzn, ani żołnierzy, ani nienawiści. Au, jednak taka jazda bez siodła boli. Przyjdź, moje starsze ja, ześlij mi z nieba siodło!

Cały wiek życia wyżej leżę w łóżku, przesuwam się poza poduszkę i wyglądam znad krawędzi głęboko w przepaść. Na samym dnie widzę matowe światło. To musi być słońce, które przy obolałym końskim grzbiecie wschodzi nad zniszczonym kontynentem. O, i już jestem w ciemnych objęciach lasu. Kroczę naprzód jak mrówka o sześciu odnóżach.

Mam wrażenie, że ten las jest bardziej polski niż niemiecki. Ma w sobie coś słowiańskiego. Nie słysząc czołgów, wszystkie bomby jeszcze śpią. Nocami czasem ich detonacje rozbłyskują na huczącym samolotami niebie od zachodu. „Nieszczęsne miasto”, mamrotała chuda kobieta w bunkrze, „nieszczęsne miasto”. Już nie pamiętam, o jakie miasto chodziło, ale z pewnością wtedy wszystkie miasta były nieszczęsne. Front jest jeszcze daleko, na wschodzie nad Donem, a na zachodzie we Francji. Czasami przechodzi dokładnie nad człowiekiem, prosto między oczami. Wtedy można je tylko mocno zacisnąć. Ale tego ranka, kiedy słońce wygrywa promienny koncert na iglastych skrzypcach, nie słysząc nawet wystrzałów z pistoletu. Poza uszami nie ma nic. Za to między nimi ścierają się ze sobą całe armie. Tej nocy zostałam zgwałcona.

Koń opuszcza głowę i obwąchuje ścieżkę. Nie jestem pewna, czy już kiedyś nią nie szedł, czy może wybrał ją na chybił trafił. Nie znamy się właściwie, spotkaliśmy się przed chwilą przy pierwszym świetle poranka. Nazywam go Czerwony. Nie ma nic przeciwko temu imieniu. Dlatego chyba musi to być polski koń, jak ten facet, który wykrzyczał się we mnie w nocy, on też był Polakiem. To był napad Polski na Niemcy. Nie chciałam go rozczarować, przyznając się, że jestem Islandką. Właściwie po trzech latach mojego błąkania się przez tę wojnę już nawet nie byłam Islandką. O ile bycie Islandczykiem nie oznacza właśnie tego: przechodzenia od jednej katastrofy do drugiej.

Lato jest gęstozielone, wcale nie różni się od poprzedniego ani następnego lata, na każdym liściu wyhaftowana jest liczba 1944. Przyroda ślepa na ludzi idzie swoim torem.

Przedziwne wrażenie, widzieć rozkwitające na tej samej łące bomby i bodziszki.

W pewnej stodole mężczyzna z wydętym brzuchem opowiadał nam swoją historię. Leżał w ciepłym od krwi leju po bombie, w którym właśnie stracił nogę. Podparł się na łokciu i podniósł głowę z dymu i kurzu, żeby wyrzeć znad krawędzi leja, a tam, na górze stał uśmiechnięty mlecz, a nad nim krążył z buczeniem pasiasty byzgi i spijał nektar. „Pojąłem wtedy, że Bóg jest bezbożny”, powiedział ze smutkiem, jak ktoś, kto właśnie zobaczył, że jego ukochana woli innego, i pogładził swoje kule.

80

U SERBOŁUŻYCZAN

1944

Podobne przeżycie miałam też ja sama, kiedy wiosną jakiś czas temu w zapomnianej dziurze na wschodzie Niemiec po trzech tygodniach wyszłam z piwnicy chłopskiego domu. Niewskazane było, żebym pokazywała się na powierzchni ziemi, bo w okolicy akurat szukano Żydów, a ja nie byłam zameldowana ani nie posiadałam paszportu. To byli poczciwi ludzie, których uprosiłam, żeby mnie przyjęli, ponurzy, zajęci tylko pracą w obejściu i w polu chłopcy o czerwono żyłkowanych nosach i wąsko osadzonych oczach. Mieli koślawego syna, który mimo to pracował za trzech.

Między sobą mówili nie po niemiecku, ale po dolnołużycku, to podobnie jak fryzyjski jeden z zapomnianych języków Europy. Nauczyłam się jedynie kilku okruchów tej zanikającej słowiańskiej mowy, ale gospodyni opowiedziała mi trochę o historii Serbołużyczan. Wedle jej opowieści byli serbskim plemieniem, które wywędrowało w szóstym wieku, pokonało pół Europy i pewnego wieczoru rozbiło obóz nad brzegiem Szprewy, a kiedy następnego dnia nie mogli przejść rzeki, po prostu tam zostali. Przez tysiąc lat obozowali w tym miejscu, zmagając się z zagrożeniem ze strony ryczących przy piwie Niemców.

Swoją ziemię nazwali Lusika, Łużyce, piękna nazwa, którą Niemcy zniekształcili w Lausitz. Owa kraina, która wcześniej zniknęła wśród niemieckich lasów i trudno ją znaleźć na mapach, ma bardzo symboliczny kształt, wygląda mianowicie jak odcięty język. Internet mówi mi, że żyje jeszcze tylko około sześćdziesięciu tysięcy Serbołużyczan i dalej walczą oni o niepodległość swojego kraju i zachowanie języka, z niewielką pomocą Brukseli. Mogę jednak powiedzieć na pocieszenie tym poczciwym ludziom, że nas, Islandczyków, w najgorszych czasach w osiemnastym wieku zostało nie więcej niż czterdzieści tysięcy, a mimo to staliśmy się uznawanym narodem, ze śpiewającymi brzózkami, upadającymi

bankami, olimpijskim srebrem i noblowskim złotem.

Przebywałam u tych ludzi przez miesiąc, pracowałam za wyżywienie i dach nad głową, zanim musiałam się schować w piwnicy. Wylądowałam u nich po tym, jak pomogłam kobiecie z konnym wozem, a potem przez jakiś czas błądziłam po lasach. Gospodyni w czarnej sukni nauczyła mnie pracy w ogrodzie, pokazała, jak okopywać grządki, jak się hoduje kapustę, rzepę i ziemniaki. Z taką samą surowością goniła mnie do pracy, jak brak szczęścia w życiu gonił ją. Niemieckiego nauczyła się z dwóch śpiewników i wyśpiewywała swoje zdania w niezwykle sposób, często też się rymowały.

- Nie stój prosto pod słońcem, dziecko! To niegrzeczne. Powinnaś się kłaniać i zginać. Kłaniać i zginać przed słońcem. A po skończonej pracy legnąć na łące.

Mówiła to w biegu, bo zawsze była w ruchu, w drodze od drzwi, przez podwórze, z ziemniakami w podółku, z wodą w wiadrze, zawsze biegła, nie spoczęła ani na chwilę. (Kobiety w domu przynajmniej czasem siadały przy stole). W mieście uchodziłaby za szaloną, tutaj na wsi poruszała się w jednym rytmie z drobiem i drzewami. Natura jest wyrozumiała, jeśli o to chodzi, to jest z pewnością jeden z powodów, dla których prowincja nigdy się nie wyludni.

Jako przyzwyczajona do ciemności Islandka bez problemu mogłam spędzić kilka tygodni w mrocznym lesie, choć już dawno zaczęła się wiosna. Ale mój pobyt w piwnicznych ciemnościach pod deskami podłogi był czymś zupełnie innym. Rozumiałam troszeczkę dolnołużycki i słyszałam, że chłop chciał się pozbyć przybłądy, to bardzo lekkomyślne przyjmować obcych, kto w ogóle uwierzy, że ta dziewczyna jest z Eislandii, to na pewno Żydówka.

- W pracy jest zręczna - zaproponowała kobieta.

- Ale ściągnie nieszczęście na nas wszystkich, kobieto. I tylko nie waź się gadać rymami, kiedy przyjdą.

- Mój niemiecki jest piękny.

- Pomyślą, że sobie z nich kpisz. To może być śmiertelnie niebezpieczne.

- Islandia - wymamrotał kaleka. - Chcę jechać na Islandię.

Jak wielu nieszczęśników, Niemców czy ludzi z innych krajów, udało się go nawrócić na wiarę w Islandię. Serwowałam mu zmyślane od początku do końca bajki o wyspach białych niedźwiedzi i domach pełnych kobiet na wyspie pozbawionej drzew.

- Żadnych drzew? Nie trzeba tam rąbać drzew?

- Nie. Tam nie ma nic do rąbania.

Zamknął oczy, z ust spłynęła mu strużka śliny.

- Chcę jechać na Islandię. Nie trzeba rąbać drewna! - Potem jego twarz przybrała wyraz powagi i troski. - Ale czym się pali w piecu?

- Pali się... po prostu trawą.

- Trawą?

- Tak, mamy piece i kuchnie na trawę.

- Piece na trawę? Ja chcę na Islandię!

- Masz tutaj swoją porcję - mówiła gospodyni, podając mi kawałek chleba na dół w ciemność, czasem też trochę masła, jeśli było, albo talerz łuzycyjskiej zupy fasolowej. Właściwie smakowała okropnie, ale dla mnie była jak ciepły łosoś z nieba. Wypełniałam sobie czas rzeźbieniem drewnianych koników. W ciemnościach wióry odcinały się jasno jak nenufary w nocy. Moje dzieła były oczywiście tak samo koślawe jak moje miejsce pobytu, bo przecież musiałam rzeźbić po ciemku, gdzie mogłam się tylko domyślać kształtów. Nocą wilgotny chłód bił od ścian. Siedziałam w kącie, trzęsąc się z zimna.

Przyszli dwa razy, najpierw wściekle głośno walili do drzwi, a potem tupali na deskach podłogi. Siedziałam tak cicho, że słyszałam bicie mojego serca. Za to z góry dochodziły takie krzyki, że aż szafy się chwiały. Po latach miałam kiedyś w Reykjavíku mieszkanie w suterenie. Paliłam w nim światło dzień i noc.

- Wy słowiańskie wszy w niemieckim futrze, gadać, gdzie jest ta mała Żydówka?

- Nie ma jej tu i nie było, to się nigdy nie zdarzyło.

Rymowanie mogło być niebezpieczne. Na dole w ciemnościach zamknęłam palce na wybuchowym prezencie, który dwa lata temu mój ojciec przekazał mi na pożegnanie. „Pamiętaj zawsze, że twój tata cię kocha”. Od tamtego dnia nosiłam jajo zawsze przy sobie, miałam je w zrujnowanych domach i na otwartych przestrzeniach, ukryte w ubraniu albo na gołej skórze, tak samo jak Poci-Gunna nosiła swoje puchowe marzenia, w takich momentach dobrze było móc czerpać siłę z tego kawałka stali Kruppa.

Za drugim razem dobijali się do drzwi jeszcze bardziej hałaśliwie, aż usłyszałam jęki rymującej gospodyni, skulonej w jakimś kącie. Ale jak tu użyć granatu w piwnicy? Przecież nie można go tak po prostu rzucić do góry.

Nadal nie znalazłam odpowiedzi na to pytanie, kiedy włąz nagle został otwarty i jeden lub dwóch mężczyzn wpadło do piwnicy. W ostatniej chwili udało mi się jeszcze schować we wbudowanej w ścianę szafie. Leżałam tam płasko na półce i liczyłam w duchu wyspy Svefneyjar oraz pobliskie szkiery, a każdej liczbie towarzyszyło uderzenie serca. Szafka miała specjalny schowek. Środkowa półka sięgała nieco głębiej w ścianę piwnicy, a po otwarciu drzwi szafa widziało się tylko przednią jej część. Wsunęłam się tam, z głową i ramionami

naprzód, tylko stopy były widoczne dla kogoś, kto zajrzałby do szafy. Przykryłam je szybko kawałkiem starej zasłony, moja krew zgęstniała jak krochmal, kiedy jeden z żołnierzy szarpnął drzwiczki. Granat trzymałam przyciśnięty do piersi. Najściu towarzyszyło trochę światła, które wpadało przez otwarty właz piwnicy, i moje przerażone oczy zauważyły błysk na wypolerowanej krwią lufie, która zmiotła z półki na podłogę stare, zakurzone cukiernice. Niewidzialny żołnierz zostawił zasłonę i po raz pierwszy cieszyłam się ze swoich bocianich nóg, które tyle razy przeklinałam w mękach dojrzewania. Potem usłyszałam, że przerzuca rzeczy w drugim końcu pomieszczenia i dziękowałam Bogu, że każdego wieczoru wciskałam wióry ze strugania koników w szpary w ścianie. Zostałam w schowku, aż minęło usztywniające działanie krochmalu. Żołnierzy już wtedy dawno nie było, zatrzasnęli za sobą właz, wrzeszczeli na bieliznę, wystrzelili kulami z ust i wreszcie sobie poszli.

W domu zapanowała martwa cisza.

Na kruchych nogach z porcelany wyszłam na górę, a potem musiałam nimi przestępować nad ciężkimi zwłokami, żeby wydostać się na zewnątrz. Na kuchennej podłodze mieszała się krew pary gospodarzy. Syn z krwawiącym garbem leżał na podwórzu. Jego dusza odleciała na Islandię. Ogródek warzywny za domem bardzo się tymczasem zazielenił. Bujnie stała nać ziemniaków i marchwi oraz jarmuż. Wszystko zdrowe, świeże i pełne życia wyrastało z ziemi. To bolało. Bezbożny Bóg zabawiał się kapuścianymi głowami, podczas gdy jego dzieci były mordowane w biały dzień.

Zwmiotowałam i uciekłam stamtąd.

81

MAREK

1944

Przez następne dni byłam Czerwonym Kapturkiem bez kosza piknikowego, zablądziłam w lesie i żałowałam przede wszystkim, że nie wzięłam sobie kilku marchewek i rzep z Bożego ogródka warzywnego, nawet jeśli nadal byłam wściekła jak osa na tego najwyższego idiotę wszechświata. Już pierwszego dnia uzyskałam doskonały wgląd w sposób żywienia się robaków; potem stwierdziłam, że najpożywniejsze są one same. Do dzisiaj czuję tupot małych nóżek na języku, kiedy mam w ustach coś włochatego. Dwie noce spędziłam w pierwszorzędnym mrówczym hotelu w zbutwiałym czarnym pniu drzewa, a trzeciego dnia spotkałam złego wilka: nagle z zarośli wyskoczył dzik z okropnymi kłami. Ale wtedy Czerwony Kapturek zaczął tak dziko przewracać oczami, że skłonił bestię do ucieczki iskrzącą siłą swego wzroku.

W wojnach jest coś dziwnego: choć broń zawsze odpowiada najnowszym zdobyczom techniki, walki nadal pozostają archaiczne. Ta wojna przeniosła mnie z powrotem w średniowiecze, w sam środek baśni braci Grimm.

Pochylając się na przemian nad krawędzią łóżka i krajobrazem, który oglądałam z lotu ptaka, by porównać jego obraz z Yahoo!Maps, potrafię dzisiaj mniej więcej rozpoznać, przez jakie lasy musiałam wtedy błędzić, w moich ostatnich dniach dziewictwa. Wszystko wskazuje na to, że chodziłam po borach na wschód od Chociebuża, po niemiecku Cottbus. Co za śmieszna nazwa miasta.

Jeszcze dalej na wschód udało mi się wraz z kilkoma osobami przepłynąć łodzią przez rzekę; po drugiej stronie przyłączyłam się do rodziny uchodźców i wraz z nimi i ich wozem ciągnęłam dalej przez las. W końcu kiedyś zabrakło jedzenia i zostawili mnie nad jakimś strumieniem. Znów mogłam bawić się w Czerwonego Kapturka.

Po kilku dniach wygłodzona dotarłam do samotnej chaty leśnych robotników. W ciemnym oknie ukazała się blada twarz z wielkimi oczami i mocnym podbródkiem, której wyraz przypominał zamkniętego kota, należąca, jak się okazało, do polskiego wólczy wojennego, młodego, około dwudziestoletniego mężczyzny, który namyślał się przez dziesięć godzin, zanim podsunął mi zeschniętą i twardą jak kamień kromkę chleba.

- *Masz.*

Na zewnątrz śpiewały ptaki, a my jedliśmy w milczeniu: pierwszy raz w moim życiu mieszkałam z mężczyzną.

Marek był niesłychanie lękliwy i zwłaszcza wokół oczu naznaczony bólem. Gestami pokazał mi podcinanie gardel swoim rodzicom i stratę dwójki rodzeństwa. Próbowałam mu wytłumaczyć, jak nie udało mi się spotkać matki na dworcu w Hamburgu, ale ze względu na jego rodziców i ich los wolałam nie wspominać o ojcu. Gdzie on mógł się teraz znajdować? Czy był jeszcze żołnierzem, czy jeńcem wojennym, a może zginął? Niewykonalne okazało się dla mnie wytłumaczenie temu Polakowi, że byłam stuprocentowo islandzka, wychowana nad szerokim fiordem przy drodze na Grenlandię. Jak miałam mu to przekazać? Moja obecność tutaj, w tym lesie na kontynencie, była tak samo niesłychana, jak gdyby jagnię z Eyri zaskrobało do drzwi chaty w Ísafjörður. Za granicą Islandczyk zawsze jest czymś „niesłychanym”.

Poza tym wiosną 1944 roku, po dwóch latach wędrówek z moim przyjacielem granatem ręcznym, byłam tak gruntownie pogubiona i przeczołgana przez wojnę, że prawie nie mówiłam po islandzku, może najwyżej w języku „slandzkim”. Myślałam już po niemiecku i zapomniałam wszystkie zachody słońca z grzbietami wielorybów nad

Breiðafjörður. Zresztą przez ten czas stałam się już nastolatką, czternastoletnim podlotkiem, z włosami splecionymi w koronę, ciałem rozkwitającym z pąka i wyraźnie zaokrąglonymi piersiami. Przepuszczalnie byłam prześliczną dziewczyną, ale nie mogłam tego wiedzieć, bo od miesięcy nie oglądałam lustra.

W naszym prymitywnym domostwie stopniowo wykryształizowało się milczące porozumienie. Marek z siekierą na ramieniu wybierał się do lasu w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, a ja z mętnego strumienia w pobliżu nosiłam wodę, utrzymywałam porządek w chacie, troszczyłam się o pościel i naczynia. Był jak sprytne leśne zwierzę, a najlepiej umiał zastawiać sidła. Pewnego wieczoru spożyliśmy całego prawdziwego zająca, pod księżycem łagodzącym ból. W oddali słychać było, jak pociąg na front wschodni pędzi przez las, w stukocie kół dało się wyróżnić ciężar stalowego ładunku: wagony były pełne pożywienia dla ludzi i armat. A my siedzieliśmy przed drzwiami chaty i przeżuwali łykowate udka.

Marek rąbał drewno, pilnował ognia i smażył, a ja gotowałam mu jajka drożdów i leśne warzywa. Jeszcze tylko brakowało dziecka w naszym leśnym domku. Ale jeśli o to chodzi, nie widziałam nic pociągającego w tym wykrzywionym leśnym młodym pędzie. Dziwne tylko było, że im dłużej przebywaliśmy razem w lesie, tym bardziej facet jednak wydawał mi się atrakcyjny.

Pewnego razu on sam rozpałił tę iskrę. W samym środku lekcji polskiego. Podawał mi nowe nazwy na ogień, drewno i patelnię, a potem chciał mnie nauczyć uprzejmości. Miałam za nim powtarzać:

- Czy można... - zaczęłam, ale wtedy on wybuchnął śmiechem. Najwyraźniej zamiast „można” powiedziałam „moszna”, a ten organ w moich ustach wydał mu się bardzo komiczny. Wydał z siebie krótki, urywany śmiech, jak traktor z czkawką, ja zareagowałam szalonym, ísafjordzkim piskiem, a po chwili oboje równocześnie zawstydziliśmy się i pokryli takim samym rumieńcem. On poderwał się do góry jak grabie, którym ktoś nastąpił na zęby, napelnił kieszenie palcami i zniknął w ciemnościach. Ja pozbierałam szklanki i talerze. Gdzieś niedaleko na drzewie sowa recytowała wiersze dla myszy i komarów.

82

JAGINA

1944

Dni stawały się długie. Marek, leśne zwierzę, zniknął, żeby szukać swoich pobratymców, i czasem wracał dopiero po zapadnięciu zmroku, coraz częściej bywało, że z pustymi rękami i podrapany. Ja trzymałam się blisko chaty, opowiadałam motylom historie ze

Svefneyjar albo pisałam w myślach długie listy do mamy, które zawsze kończyły się tak samo: „Mam nadzieję, że po zakończeniu wojny znów się wszyscy odnajdziemy, ty, tata i ja, i że potem razem wrócimy na Svefneyjar, zamieszkamy u babci razem ze wszystkimi innymi”. Mimo wszystko nie przyszło mi do głowy, żeby stamtąd odejść. Kto mógł wiedzieć, co mnie czeka za następnym krzakiem? Dość już widziałam katastrof i zniszczenia, żeby wiedzieć, że najlepsza była beczynność. Czasem siedziałam tylko na progu chaty i podziwiałam porządek lasu.

Pewnego dnia na wschodnim skraju polany pojawiła się jakaś ciemna istota i szła prosto na nasz dom. Byłam sama w chacie, siedziałam na progu, rzeźbiąc w drewnie i obserwowałam, jak ciemna plama staje się kobietą wędrowcem w szerokim płaszczu i z jaskrawoczerwonymi policzkami. Ciężkim krokiem doczłapała do chaty, nie pozdrowiła mnie, tylko opadła z westchnieniem na stertę drewna i powiedziała po polsku chyba coś w rodzaju „Ufff, no nareszcie”, jakby właśnie przyszła do domu do swojej córki. Zmęczenie czyni wszystkich ludzi braćmi i siostrami.

Kobieta była już starsza, mój wzrok przyciągały jej nogi. Łydki aż do samych kostek były jak dwie grube kiełbasy, wyglądały jak słupy telefoniczne, stopy sprawiały wrażenie maleńkich i prawie trudno je było zauważyć. Odnosiło się wrażenie, że doszczętnie schodziła sobie stopy i teraz tylko na dwóch ułamanych kolumnach kroczy po łąkach i lasach. Jej twarz, prawie pozbawiona zmarszczek, była koloru fioletowego, z gęstymi, czarnymi brwiami i żółtymi jak słońce zębami. Kobieta miała kruczoczarne włosy, lekko przetykane siwizną przy uszach, które wystawały spośród włosów niczym występy skalne z wodospadu. Szeroka twarz, o wysokich kościach policzkowych była jakby zapadnięta w środku. Zęby wyglądały na zdrowe, ale rosły w ustach krzywo i na boki, jak gdyby Bóg chciał wymodelować z gliny piękne oblicze, ale potem miał problemy z osadzeniem zębów i w końcu spróbował zrobić to na siłę. Wcisnął je kciukiem, ale nie pomyślał przy tym, że równocześnie wgniata jej cały środek twarzy. W konsekwencji profil kobiety był całkowicie płaski. Nos nie wystawał zauważalnie poza kości policzkowe.

Krótko mówiąc, kobieta miała wschodni wygląd, choć nie pochodziła z krajów tundry. Powiedziała, że nazywa się Jagina Jekatierina Wołonskaja i pochodzi z oblasti Grodno na Białorusi. Jak prawdziwa prostytutka ze wsi była pewna, że znam tę okolicę i jej rodzinną wioskę, która słynęła w całym kraju ze swoich kur i wybornego siana, ale w ostatnim czasie przez ruchomy front bardzo ucierpiała. Tylko w jednym roku linia frontu przesuwała się cztery razy tam i z powrotem przez jej zagrodę. To znaczyło, że co najmniej osiem razy przemaszerowały tamtędy oddziały wojska.

Wyglądało na to, że opowiadała swoją historię już wiele razy, bo mimo ograniczonego słownictwa po niemiecku przekazywała ją, wspomagając się gestami dłoni w czarnych rękawiczkach, płynnie i z sensem.

Najpierw przyszli Ruscy, ci uciekali, opowiadała, jakby chodziło o członków jakiegoś obcego plemienia. Spalili jej stodołę. Potem przyszli Niemcy, którzy szli naprzód. Wystrzelali krowy i gotowali ich mięso w swoich stalowych hełmach. Potem Niemcy wrócili, „kaputt!”, i wzięli ją, przemocą. „Bolało. Ale chyba byli całkiem zadowoleni”. Po nich znów pojawili się Rosjanie, zwycięscy i wylewni. Wzięli ze sobą jej najwyraźniej dość leniwego męża Jewgienija. Kiedy znów się cofali, nie było go z nimi. Zabrali wtedy kury i w biegu wysysali jajka, ale na pożegnanie zdążyli jeszcze wysadzić w powietrze dom. Kiedy Niemcy znów posuwali się naprzód, nie było już nic oprócz kapusty w ogrodzie. Niewiele później zjawili się znowu, tym razem się cofając, ale wtedy kobieta skryła się w pobliskim rowie i przegapiła niemieckie ruchy wojsk - tym razem obeszło się bez gwałtu. Za jakiś czas wrócili Rosjanie, byli zmotoryzowani i jechali bardzo szybko. Jeden na chwilę przystanął, żeby się wyszczać nad rowem, i Jagina zapytała go, kiedy front przyjdzie do wsi następnym razem. Nigdy, zapewnił ją Rosjanin, strzepał kutasa i zapiął spodnie. Wtedy starej zaczął się dłużyć czas, do jedzenia miała już tylko kapustę, więc postanowiła wyruszyć w drogę.

- Idę do Ameryki - powiedziała i prychnęła z obu dziurek nosa. - Dokładnie do Żywago. Daleko stąd do morza?

- Hm, wydaje mi się, że tak.

- Tak sobie myślałam - przyznała, potem zapytała mnie: - Czy tutaj są już Niemcy? -
Badała wzrokiem otoczenie i korę na drzewach.

- Nie wiem. W chacie są kartki po niemiecku, ale ktoś wyrył na ścianie „Polska”.

- Rozumiem. Dzisiaj wszystko jest niemieckie. Nasza zagroda była przez pół miesiąca niemiecka. Miałam nadzieję, że wszystko będzie lepiej rosło, ale nie zauważyłam różnicy. Kiedy odeszli drugi raz, przyszedł mój sąsiad Fiodor i chciał się ze mną napić, wznieść toast za niepodległą Białoruś, póki się dało. To taki marzyciel, wiesz, taki... z długą brodą i krzywymi nogami. Niepodległość nie trwała długo. Ledwie zdążyliśmy wypić. Potem przyszli Rosjanie. Wiesz, jak wygląda na zachodzie?

- Na zachodzie? Nie.

- Na początku czerwca odbyła się inwazja. Słyszałaś o tym? Nie? Niemcy powinni się wycofywać. Teraz muszę jeszcze przedostać się przez front zachodni i znaleźć jakiś statek.

- Aha? A... ekhm, a jak wygląda na wschodzie?

- Wielka katastrofa! Wybuchy, bum, bum, i dużo hałasu. Ale Rosjanie powoli

posuwają się naprzód.

- Czy to znaczy, że Rosjanie zwyciężą? - zapytałam z niedowierzaniem, poważnie zmartwiona. Nigdy się nie spodziewałam, że mój ojciec będzie należał do przegranych.

- Tak, Rosjanom dobrze idzie, choć powoli. Sama ich nawet wyprzedziłam, a nie jestem koniem wyścigowym.

- Chcesz powiedzieć, że wojna się niedługo skończy?

- Nie, ona dopiero się zaczyna. Teraz Hitler będzie musiał założyć hełm. Czy widziałas go kiedyś?

- Hitlera? Nie... albo tak, przynajmniej widziałam jego ramię.

- Jego ramię?

- Tak, byłam w Monachium, kiedy przejeżdżał przez miasto.

- Powiedz, czy słyszałaś może coś o moim Wasiliju? Wasilij Wołonskij?

- Nie.

Potem nastąpiła opowieść o mężczyźnie, który później stał się jednym z najsłynniejszych dezertersów wojny. Wtedy nie do końca zrozumiałam całą tę historię, ale dużo później trochę o tym czytałam. Wasilij Wołonskij był pilotem myśliwca w Armii Czerwonej. Na początku planu „Barbarossa” dostał wraz z dziewięcioma kolegami rozkaz wylotu do ataku. Jego silnik się zaciął, więc musiał wrócić i z daleka patrzył, jak jego koledzy atakują wroga: w ciągu dziewięćdziesięciu sekund wszyscy zostali zestrzeleni. Zamiast zostać tym dziesiątym, zawrócił na północ, poleciał na wybrzeże, potem przez Bałtyk do Szwecji, o której wiedział, że jest krajem neutralnym. Tam wylądował na mikroskopijnym polowym lotnisku w lesie, grożąc pistoletem rozkazał, żeby zatankowali do pełna, i poleciał do Norwegii, potem na Atlantyk, minął Islandię i wylądował na zachodnim wybrzeżu Grenlandii. Tam znów zatankował i od jakiegoś duńskiego małżeństwa dostał trochę mięsa foki do jedzenia. Potem znów wzbił się w powietrze, poleciał do Kanady i wylądował na zamrzniętej Zatoce Hudsona, zostawił swój rosyjski samolot na lodzie i na piechotę poszedł do Churchill, tam wsiadł w pociąg, po dwóch dniach wieczorem dotarł do Chicago i starannie uczesany wmieszał się w tłum.

Dlatego Jagina tam się teraz wybierała. Ten sławny dezerters był jej synem. Wyciągnęła list od niego, ostemplowany 4.3.1943 w General Post Office w Chicago, i pokazała mi. Czyżby była w drodze już od roku?

- Nie, dopiero niedawno wyruszyłam. Dopiero kiedy wojna pożarła mój dom, a ja wylądowałam w rowie. Tam było tak nudno, samej, nawet bez kur.

Rozpaliłam ogień i nastawiłam wodę, chciałam zaparzyć jej leśnej herbaty, ale ona

wyciągnęła z kieszeni własną mieszankę, do tego chleb i szynkę. Dobra luksusowe, których nie widziałam od miesiący. Teraz zauważyłam, że na jej płaszczu naszyte było piętnaście kieszeni, w których znajdowały się najróżniejsze rzeczy. W jednej trzymała latarkę, w innej przechowywała listy.

- Czy masz coś do wysłania do Ameryki? - zapytała.

- Co? Nie, ale... - nagle przyszło mi coś do głowy. - Czy ten statek będzie może płynął przez Islandię?

Pożyczyła mi ołówek i kartkę papieru.

Kochana Mamo, Kochany Dziadku! Jestem przy życiu. Żyję. Mieszkam w lesie z chłopakiem imieniem Marek. Dobrze nam tu jest. Ale chciałabym wrócić do domu... Dalej nie mogłam pisać, bo musiałam się rozplakać. Kobieta wędrowniczka wstała z trudem i podeszła do mnie na sztywnych nogach. Pachniała zaskakująco przyjemnie, choć wyglądała na brudną. Był to zapach ukrytych jabłek. Wcisnęła się obok mnie na próg i otoczyła moje ramiona. Zatonęłam w szerokich, ciepłych i miękkich białoruskich objęciach. Płaszcz się rozchylił, czułam ciepło jej piersi, a z jej łona unosił się przyjemny zapach potu. Moje łzy spadały na ciemny materiał płaszcza, ale zauważyłam, że spływają po nim jak deszcz po skórze konia. Ach, Boże, ależ cudownie było przytulać się do kobiety.

Przed zapadnięciem zmroku wrócił Marek i przywitał nowo przybyłą z taką samą ostrożnością, jaką okazywał mnie pierwszego dnia. Mieli problemy z porozumiewaniem się i w końcu dali sobie spokój. W milczeniu siedzieliśmy i patrzyli w ogień, jak trzy sponiewierane przez wojnę kraje.

Zaoferowałam jej moją pryczę, ale podziękowała, tłumacząc, że już nie potrafi spać na leżącym, czy nie miałabym dla niej ściany albo jakiejś szafy. Zresztą mogła równie dobrze spać na dworze, była do tego przyzwyczajona.

Następnego dnia poszła dalej. Oczywiście powinnam z nią wyruszyć. Ale nie mogłam się zebrać. Coś zatrzymywało mnie w tej chacie. Podczas gdy Marek jeszcze spał swoim polskim snem, zobaczyłam, jak Jagina na sztywnych nogach wchodzi między drzewa, z piętnastoma pełnymi kieszeniami i skórzanym workiem, znów w drodze, w kierunku Berlina. Jak też ona zachowywała orientację?

- Och, rano pozwalałam się słońcu pchać, a wieczorem ciągnąć.

Natychmiast zaczęłam za nią tęsknić.

Wędrowniczka pozostawiła mnie z poczuciem samotności. Drewnianopalcy Marek wieczorami uczył mnie - z różnymi efektami - polskiego, ale nie próbował w żaden sposób bardziej się do mnie zbliżyć. Robiłam się coraz bardziej zła na niego! Dwoje młodych ludzi w pełnym rozkwicie lat, z dala od wszelkich społecznych ograniczeń, a nawet nie potrafili się pocałować. Po dwóch i pół tygodnia czerwca w naszym leśnym rajku byłam całkiem bezwolna z pożądania. To nie miało nic wspólnego z miłością, ale oczekiwałam, że okaże mi choć minimum zainteresowania. Przecież nie byłam kawałkiem drewna!

Pewnego wieczoru znów jedliśmy w milczeniu kolację, jakąś okoniowatą grillowaną rybę, którą Marek poprzedniego dnia wyczarował z leśnego jeziora. Dwa razy próbowałam się do niego uśmiechać, za drugim razem powiedział mi, że bym zgasła ogień, zanim się zrobi ciemno. Nie mogliśmy ryzykować i siedzieć dłużej na dworze, ogień mógłby zwabić kule i karabiny. Pierwszy raz położyliśmy się tuż po zmroku i ze swoich łóżek patrzyliśmy w atramentową czerń, która z biegiem czasu pojawia się po każdym zdaniu. Ta kropka wydawała mi się większa niż inne. Za oknem szumiał las, próbowałam zająć myśli analizowaniem tego szumu, ale nie potrafiłam przypisać poszczególnych dźwięków niczemu szczególnemu, po prostu przyroda wczesnego lata.

W każdym żywym liściu i źdźble, w każdym owadzie coś się poruszało, czego ludzkie ucho nie było w stanie odebrać, ale wszystko razem należało do leśnego szumu, który kojarzył mi się przede wszystkim z głośną ciszą w sali koncertowej pomiędzy uniesieniem pałeczki dyrygenta a pierwszymi dźwiękami muzyki. Może natura po prostu mówiła tylko „psst!”, bo chciała usłyszeć raport Wehrmachtu. Ale tego wieczoru nic się nie działo. Żadnych huków. Żadnych pociągów. Przypuszczalnie pod niebem na zachodzie mieli dzisiaj wolne od bomb. Drezno, Chociebuż, Berlin... Widziałam letnie ogródki piwiarni do ostatniego miejsca zajęte przez jednonogie kaleki.

Od czasu do czasu zerkałam w stronę Marka i miałam wrażenie, że on też leży z otwartymi oczami. Jego głowa zdawała się szumieć w harmonii z lasem. Stopniowo w chacie robiło się coraz jaśniej. Najpierw myślałam, że to moje oczy przyzwyczajają się do ciemności, ale potem zobaczyłam, że stół pod oknem rzuca cień na podłogę: na niebie pojawił się księżyc. Wyszłam na dwór, żeby się wysikać, i znalazłam się w scenerii, którą nadal mam w moim organie pamięci (tuż obok trzustki, tam wspomnienia są przechowywane w słodko-kwaśnym jedwabście żółtym płynie). Ciepło dnia jeszcze się nie ulotniło w środku nocy, wyraźnie było czuć, że w lesie druga zmiana ciągle się nie skończyła: komary i myszy, robaki i krety nadal nie spały, ich nadmiernie ożywiona krzątanka zapowiadała nadchodzące

zmęczenie. Kiedy się nastawiło uszu, można było słyszeć robocze śpiewy z pobliskiego mrowiska.

Księżyc przesunął się na północ, ale wyglądał, jakby zaplątał się w gałęziach drzew i utknął tam na dobre jak jasny spadochron. Liście odznaczały się ciemno na tle jasnego nieba i poruszały się tylko, jeśli coś je potrąciło. Jakiś ptak z długim ogonem zobaczył mnie, po czym nagle przypomniał sobie, że gdzieś czeka jego rodzina, i wystrzelił zniecka ponad chatę, zostawiając za sobą rozchybotaną gałąź. Przyglądałam się, jak jej drgania ustają, a do zbioru dźwięków nocnego lasu dodałam jeszcze pluskanie ciepłego strumyczka.

Po cichu wróciłam do chaty i zobaczyłam, że mój współlokator nadal leży na poduszce z otwartymi oczami, ale nie patrzy na mnie. Położyłam się na swojej własnej, lepkiej i wilgotnej poduszce i myślami przeniosłam się do domu. Jak to się mogło stać? Dlaczego ja? Wszystkie pozostałe piętnastoletnie dziewczynki z Islandii spędzały swoje młode lata między błękitnymi górami a objęciami matki i ojca, z ciepłym piecem pokojowym i świeżym ciastem na święta. Ale ja tutaj, samotne dziecko na kontynencie, od lat musiałam od rana do kolacji radzić sobie na własną rękę. Czy ta wojna kiedykolwiek się skończy? Czy wtedy wrócę do Kopenhagi i stamtąd będę mogła popłynąć z powrotem na Islandię?

A przecież moja matka, babcia i dziadek musieli mieć o wiele gorzej. Ponad dwa lata temu stracili mnie z oczu, musieli uznawać mnie za zaginioną. Napisałam do nich kilka listów i nadałam je na pocztę, jeśli jakąś znalazłam. Jednemu pocziarzowi pozwoiliłam się nawet w zamian obmacać. Ale oczywiście między Bremą i wyspą otoczoną burzliwymi falami przyboju nie kursowały żadne statki, a papier zaadresowany „Pan Ambasador Sveinn Björnsson, Reykjavík, Islandia” zółkł sobie spokojnie gdzieś w trzech różnych miastach.

Zresztą ja też nic nie wiedziałam. Może mama nie żyła. Albo tata? Albo oboje? Babcia i dziadek na pewno jeszcze żyli. Na wojnie starzy ludzie nie umierają, to była raczej domena młodych, jak Marek czy ja. A może on wreszcie kiedyś pozbędzie się tej swojej sztywności i na koniec roku pojawi się tu u nas w zaśnieżonej chacie dzieciątko, a potem, po zakończeniu bombardowań, będziemy żyli we Wrocławiu jako małżeństwo - ja będę na kursach wieczorowych uczyła robotnice rękodzieła, a co drugie lato będziemy spędzać na Islandii.

Pół godziny później rozległ się odgłos jadącego samochodu. Wtedy nawet Polak odwrócił głowę. Popatrzyliśmy sobie w oczy pod stołem, który oddzielał łóżka. Do odgłosu silnika dołączył głośny śmiech, najwyraźniej niezbyt odległy. Potem samochód chyba się zatrzymał, odezwały się głośne okrzyki i komendy: „Wypuście mnie, muszę się wyszczać!”.

Marek usiadł na łóżku, żeby wyglądać przez okno, ale nagle rozległ się głośny huk, na

stół i podłogę posypały się odłamki szkła. Polak schował się pod kocem, podczas gdy islandzka ciekawość zaryzykowała wyjrzenie przez rozbite okno. Zobaczyłam malowniczą grupę opojów: czterech Niemców w mundurach w otwartym samochodzie, którzy jechali po wertepach, wymachując czapkami, butelkami i karabinami. Padł drugi strzał. Błyskawicznie rzuciłam się w dół. Ale ta kula nie trafiła w nasz dom, przypuszczalnie była wymierzona w Księżyc, bo właśnie wygrażali mu coś głośno. Z pewnością jeszcze przed nadejściem jesieni zamierzali go zająć.

Wyczołgałam się z łóżka, wyjęłam mój granat i znów się położyłam. Marek wszystkiemu się przyglądał szeroko otwartymi oczami, ale nie pokazałam mu mojej broni, tylko schowałam ją pod kocem i zacisnęłam na niej moje dziesięć palców, choć niezbyt mocno. Leżeliśmy sztywno w łózkach, póki tamci nie opróżnili magazynków swoich pistoletów oraz swoich sikawek. I dopiero potem naprawdę zastygliśmy z przerażenia. Usłyszeliśmy, że samochód znów rusza i po leśnym poszyciu zaczyna zbliżać się prosto do chaty. Jeszcze raz powtórzyłam sobie w myślach instrukcję użycia granatu ręcznego: „Trzymasz go w prawej dłoni. Tak... Potem pociągasz za to drugą ręką... i rzucasz jak najdalej”, po raz tysięczny słyszałam w głowie głos ojca.

Gdy tylko auto zatrzyma się przy chacie, zerwę się z łóżka, otworzę drzwi i wyrzucę stalowe jajo na zewnątrz. Zawleczkę powinnam wyciągnąć tuż przedtem. Musiałam mieć „stuprocentową pewność”. Potrzebowałam trochę czasu, żeby otrząsnąć się z paraliżu i móc nasłuchiwać, co naprawdę działo się na dworze. Stwierdziłam, że moje uszy odbierają tylko szum lasu, nic więcej. Usiadłam na łóżku i wyjrzałam przez okno.

- *Sie sind weg*, nie ma ich - powiedziałam moją niemczyzną pogranicza.

Polak nie zareagował, tylko dalej leżał nieruchomo z głową schowaną pod kocem. Wyraźnie widziałam, że każdy nerw jego ciała jest maksymalnie napięty.

- *Deutsch Mädchen*, niemiecki dziewczyna - usłyszałam mamrotanie spod koca.

- Co? - zapytałam.

- *Deutsch Mädchen* - powtórzył i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że mówi po niemiecku. - *Deutsch Mädchen!*

Potem odrzucił koc, zeskoczył z łóżka i stanął przede mną sztywny, z nabrzmiętymi żyłami, ubrany tylko w wojskową bieliznę i krzyknął na mnie:

- *Deutsch Mädchen!*

Jednym ruchem zerwał ze mnie koc i przestraszył się tego, co zobaczył: na wpół rozebrana piętnastolatka z sercem swojego ojca w jednej i własną niewinnością w drugiej dłoni.

Dopiero dwie godziny później udało mi się uciec. Jak najdalej od tego diabła, którego ja, diablica, nawet pożałowałam. Naga uciekałam przez jasny nocny las, z plecakiem w jednej dłoni, ubraniami w drugiej i śladami krwi między udami. W filmie fabularnym życia widzę, jak wypadam z chatki drwała. Z mocnym postanowieniem, nigdy nie dać się zbrukać czemuś, co ludzie łączą z miłością! Tylko uciekać, uciekać daleko stąd.

Zatrzymałam się jeszcze na chwilę w odległości rzutu granatem od domu i walczyłam ze sobą, czy nie rzucić w niego sercem mojego ojca, które ten bydlak tak samo zabrał mi przemocą jak moje dziewictwo, a nie było ono zwykłą cnotą, ale międzynarodowym skarbem, który z ogromnym wysiłkiem udało mi się zachować przez pół wojny i całą Rzeszę. Jakże bezgranicznie byłam głupia! Nawet śniłam o tym potworze wcielonym. Ale potem jednym gwałtownym ruchem mu się wyrwałam i w tej samej chwili znów złapałam mój granat. I zamierzałam go użyć - uznałam, że jest ku temu dość powodów. Potem jednak las szepnął mi do ucha: „Będzie jeszcze więcej gwałtów”.

Ubrałam się, włożyłam stalowe jajo do kieszeni, a potem z palącym bólem w kroczu i czerwonym szalikiem wokół szyi ruszyłam dalej.

Stopniowo ptaki zaczynały śpiewać na moją chwałę. Na pewno natura chciała mnie uczcić za moją ofiarę na jej rzecz. Tak, Bóg był bezbożnikiem. Przeklinałam go, przeklinałam siebie, przeklinałam Marka i przeklinałam ptaki, z liściastego półmroku wyszłam na poranną łąkę o świcie. Poranek zaczynał się matowym światłem, bez słońca, ale niósł oddech - jakby ziemia wdychała światło.

Podczas gdy samotnie błędziłam po lesie, na Islandii mój dziadek właśnie wstawał, gdyż akurat w ten dzień miał zostać wybrany na najwyższy urząd w kraju. W szarym świetle budzącego się letniego dnia szedł od duńskiego łóżka, w którym jeszcze spała jego towarzyszka życia, w miękkich pantoflach i grubym namiestnikowskim szlafroku przez pokoje na piętrze, opierając się w swojej wędrowce o ramy drzwi, ramy prawa i... próg, był mianowicie nieco wyższy, niż dziadek miał w pamięci, a on nie był już najmłodszy.

Od trzech lat dziadek i babcia mieszkali na Bessastaðir. On tymczasem miał już sześćdziesiąt trzy lata, był rządowym urzędnikiem z podkrążonymi oczami, w młodych latach zapaleniec, ale po długoletniej służbie w Danii ten płomień nieco przygasł, a teraz miał być ostatnim, który powita niepodległość Islandii. Wydawała mu się nieco zbyt pospieszna, jak niedojrzały, niedowarzony czy wreszcie niegrzeczny gest wobec tak szlachetnej osoby, za jaką uważał króla. Tak mi później opowiadała babcia.

Jego kolega z ambasady, Jón Krabbe Uprzejmy, w zeszłym tygodniu doniósł mu listownie o swoim spotkaniu z królem Christianem X w zamku na obrzeżach Kopenhagi, noszącym kretańską nazwę „Sorgenfri”, czyli bez trosk. „Przygnębiające było mijać niemieckich strażników stojących przed zamkiem, tak samo jak później widzieć króla zmagającego się z bólem w następstwie upadku z konia i nieuleczalnego złamania kości oraz głęboko rozczarowanego kwestią, którą mieliśmy omawiać”.

Tak, zdecydowanie było w tym coś niewłaściwego, jeśli nie wulgarnego. Przede wszystkim stan zdrowia króla odbijał się mojemu dziadkowi czkawką: było to spotkanie z człowiekiem leżącym na deskach. Dziadek nie zazdrościł swojemu przyjacielowi Krabbemu misji przekazania królowi tej wiadomości: zaledwie pół procent Islandczyków w niedawno przeprowadzonym referendum opowiedziało się za jego koroną; 99,5 procent wybrało na króla wolność.

Babcia zawsze twierdziła, że ta rozmowa Krabbego z królem była jednym z najważniejszych wydarzeń w historii Islandii, a jednak prawie nie wspominały o niej żadne podręczniki. Przez pięćset lat urzędnicy islandzkiego rządu musieli udawać się na narady do duńskiego króla. Ta była ostatnia.

86

BEZTROSKA

1944

Dziesiąty Christian po Chrystusie przyglądał się w milczeniu ostatniemu Jónowi islandzkiej walki o niepodległość, który stał przed nim wyprostowany jak świeca na lśniącym parkiecie.

Urzędowy akt, czy też amputacja, odbył się przy kominku w chłodnym rogu sali przyjęć na piętrze zamku beztroski, Sorgenfri. Król siedział na swoim niskim podwyższeniu przy oknie, na francuskim szezlongu, wspierając złamaną nogę na stołku. Obaj byli w zbliżonym wieku: Christian X miał siedemdziesiąt cztery lata, Jón Krabbe prawie siedemdziesiąt. Dobrze się też złożyło, że akurat ten dyplomata został wybrany do tej

dziejowej rozmowy, był przecież w połowie Islandczykiem, w połowie Duńczykiem.

- Niepodległość, mówi pan? - zapytał w końcu król.

Wynik referendum był dla niego przykrym rozczarowaniem. Pamiętał, jak podczas ostatniej podróży po Islandii, latem 1936 roku, tamten śmieszny ludek masowo oddawał mu cześć, był więc przekonany, że cieszy się wielkim poparciem w dolinach i fiordach wyspy. A jednak się mylił.

- Tak jest, Wasza Wysokość. W referendum, jak mówiłem, większość Islandczyków, jak mówiłem, opowiedziała się za tą drogą.

Jón Krabbe stał nadal, z białymi jak lód włosami nad ciemnym ubraniem. Sztywny kołnierzyk jego smokingu, jak i mucha, należały jeszcze do minionej epoki. Król nie mógł się przemóc, żeby zaproponować mu zajęcie miejsca na krzesło, które przygotował szef protokołu dyplomatycznego. Było to proste krzesło stołowe bez podłokietników, które zdawało się znakomicie określać pozycję Islandii w świecie: skromne, osobne i znajdujące się tak daleko, że Krabbe musiał mówić podniesionym głosem, kiedy w końcu jednak na nim usiadł.

Jón siedział zwrócony plecami do sali z wzorzystymi ścianami i czuł się nieswojo; za nim rozciągał się ocean klepek parkietu. Na zewnątrz jaśniał radosny letni dzień, nad którym unosiły się puchate baranki chmurek, ale tu w środku panowały starość, paraliż i pałacowy chłód. Król sprawiał wrażenie nieobecnego duchem, jakby słowa gościa do niego nie docierały. Był szczupły i bardzo wysoki, przyjemny człowiek z imponującymi niegdyś wąsami.

Christian nigdy nie okazywał najmniejszego zainteresowania Islandią, która wedle jego tytułu stanowiła przecież połowę jego królestwa. Niechętnie udawał się tam z oficjalnymi wizytami i z ulgą stamtąd wracał. Panowanie nad tak rozległym królestwem było uciążliwe i skomplikowane, musiał podróżować lądem i morzem, żeby odwiedzić tamtejszych poddanych, a kiedy wreszcie znalazł się na ich biednej wysepce, okazywało się, że właściwie nie byli godni uścisku dłoni: lud, który mieszkał w krytych zieloną trawą domach i parzył herbatę z torfu. Czy to miała być kawa? A może wręcz tytoń? I to zimno! Dobry Boże! Do tego ten wiatr!

Dla Islandczyków zaś król był wielkim nieznanym i nie mieli dla niego zbyt dużo miejsca w sercach. Wiele lat później mój syn Halli zapytał mnie, jakim człowiekiem był ostatni król Islandii, a ja nie umiałam mu powiedzieć. W historii Islandii oni wszyscy wyglądali podobnie: wysocy, szczupli, w średnim wieku, plus wąsy i zwój pergaminu w dłoni - a może jednak to był pejcz?

- Niepodległość, tak? - powtórzył pogrążony w myślach Christian X, który właśnie usiłował znaleźć wygodniejszą pozycję na stołku dla swojej chorej nogi. Król był ubrany po cywilnemu, w granatowy garnitur i czarne, lśniące buty, ale mimo to trudno było połączyć ten stołek i tę nogę z aktualnym stuleciem, które wkrótce miało w połowie być za nami. - Po co chcecie niepodległości? Czyż wy, Islandczycy, nie byliście zawsze wolni? Czy nie mieszkacie na swojej własnej wyspie, nie mówicie swoim językiem? Czy nie zostawiano was zawsze w spokoju? Czy nie dbaliśmy o to? Czy kiedykolwiek ktokolwiek próbował wygnać was z waszej dziwnej wyspy? Nie byliście... nie byliście zawsze wolni?

Jedyny urzędnik islandzkiej służby dyplomatycznej milczał w odpowiedzi na te siedem pytań. Sam nigdy nie mieszkał na Islandii. Zresztą król nie oczekiwał też odpowiedzi.

- Czego chcecie jeszcze? Własnej flagi? Phi! To próżność. Własnego króla? Nie macie tu żadnych tradycji. Trzeba tysiąca lat, żeby stworzyć królestwo. Jakie...

Król utknął w swojej złości jak koń w głębokim śniegu. Nie mógł iść dalej. Dopiero kiedy zaczerpnął powietrza, mógł dalej wygłaszać swoje pretensje:

- Skąd chcecie wziąć króla? Może mamy wam kogoś dać? Tak jak daliśmy wam konstytucję, budynek parlamentu i katedrę.

- To oczywiście byłoby czymś wspaniałym, Wasza Wysokość, tylko że... - wtrącił Krabbe, ale król nie zamierzał prowadzić dialogu i dalej pohukiwał:

- Niepodległość, phi!

Był zraniony do żywego. Czuł się zdradzony przez naród, którego nigdy nie cenił ani nie szanował.

- Niepodległość? - zapytał po raz trzeci, co zabrzmiało, jakby zdradzony małżonek z nienawiścią powtarzał imię swojego rywala. Tu nic się nie dało zrobić. Islandzko-duński krab patrzył jak uprzejmy dostarczyciel złych wiadomości i czytał zdania, które król miał wypisane na czole: Tak mi się odwdzięczają! Niepodległość! Jak sto dwadzieścia tysięcy oberwańców, które mają ledwie dwa statki i jedną armatę, może w ogóle myśleć o byciu niepodległym narodem? Czy można być narodem, nie mając armii? W samym środku tych królewskich dywagacji z zamkowego dziedzińca dobiegł jakiś okrzyk po niemiecku. Król zgnębiony spuścił głowę.

Pół-Duńczyk Krabbe patrzył ze współczuciem na króla swojej prawej nogi, ale potem pomyślał też o swojej lewej nodze i mocniej się nią podparł:

- Wasza Wysokość powinien rozumieć, że każdy naród ma prawo do...

Umilkł, kiedy usłyszał za sobą kroki. Ktoś podchodził do niego z tyłu. Krabbe zeszytniał i w wyobraźni zobaczył już lochy zamku Sorgenfri. Odwrócił się, spodziewając

się surowego duńskiego oblicza, ale zamiast tego zobaczył twarz niemieckiego oficera.

- Przykro mi, ale Wasza Wysokość musi teraz, jak wczoraj zostało uzgodnione, udać się na spotkanie z pełnomocnikiem Rzeszy doktorem Bestem.

Krabbe zrozumiał, co tamten chciał powiedzieć. Król właśnie mógł się spóźnić na rozmowę z najpotężniejszym człowiekiem władz okupacyjnych, doktorem Wernerem Bestem. Krabbe spojrział wielkimi oczami na monarchę, który najwyraźniej nie zamierzał nawet poświęcić dość czasu na to, żeby dać niepodległość obszarowi stanowiącemu w kilometrach kwadratowych dwie trzecie jego królestwa. Czy ta chwila naprawdę nie miała dla niego żadnego znaczenia?

- Zaraz przyjdę - powiedział król po niemiecku, pod przymusem historii, ale z duńskim akcentem.

Oficer już prawie chciał królowi rozkazać, by natychmiast z nim poszedł, ale po porozumiewawczym spojrzeniu króla, które mówiło, że jego niskość potrzebuje jeszcze zaledwie kilku minut, odszedł bez słowa. Krabbe był w najwyższym stopniu zdumiony, niemniej utrzymał fasadę i powiedział uprzejmie:

- Rozumiem... trudną sytuację, w jakiej Wasza Wysokość się znajduje, ale z polecenia islandzkiego rządu muszę Waszą Wysokość prosić, by raczył łaskawie uznać...

- Uznać ten tchórzliwy sposób, w jaki pan... - zdenerwowany machnął ręką w powietrzu -... wykorzystuje tę przymusową sytuację?!

- Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość, prosimy, aby król respektował wolę naszego ludu.

Krabbe nagle uświadomił sobie, jak absurdalna była ta rozmowa. Dyskusowanie z królem o woli ludu było mniej więcej tym samym, jak gdyby z człowiekiem z epoki kamienia łupanego chciał porozmawiać o rzeźbie w drewnie.

Król nie odpowiadał, wreszcie cicho i obojętnie rzucił:

- Może pan odejść!

Na Islandii regent kraju wybudzony ze swojego duńskiego snu stał oparty o framugę drzwi i zastanawiał się: ale czy to jest też zgodne z prawem? Rama jaśniała, czysta i błyszcząca w porannym świetle, i szeptała swoją odpowiedź tak cicho, że dziadek nie był w stanie jej zrozumieć. Inna myśl odbijała się echem w jego głowie: może dlatego spośród

wszystkich wybierają na najwyższego przedstawiciela państwa akurat mnie, bo moja radość jest najmniejsza. Ludzie najbardziej ufają komuś, kto w trudnej sytuacji potrafi zachować spokój. Zszedł powoli schodami na dół. Oczywiście dziadek zdawał sobie doskonale sprawę, że mały naród nigdy nie może być wolny. I widział, jak śmieszne jest proklamowanie niepodległości w okupowanym kraju. Z całą pewnością Islandczycy byli pierwszym narodem świata, który będąc pod okupacją, uważał się za wolny i niepodległy.

Nigdy nie brakowało nam fantazji, pomyślał dziadek i potrząsnął głową. Był już na dole i z dawnego przyzwyczajenia wyjrzał na dwór przez okienko w drzwiach i znów pomyślał: dziwne rozwiązanie, wybudować kościół tuż przy dziedzińcu, żeby zasłaniał widok z domu. W tej chwili kościół był do połowy skąpany w słońcu, a kiedy patrzyło się dalej poza nim, widać było, że obora na Eivindarstaðir też była oświetlona porannym słońcem Północy. Właśnie przed chwilą weszło; był kwadrans po czwartej.

Dziadek zniknął w małej ubikacji przy kuchni i rozpoczął tradycyjne oczekiwanie na poranny strumień. Tego ranka wyjątkowo długo kazał na siebie czekać i kiedy wreszcie nadszedł, to w stylu godnym Napoleona Bonaparte, bo jak mówiono - cesarz Francuzów też często musiał długo wystawać pod drzewem, by je podlać, a za nim cały oddział cesarskiej straży. Pałący ból w podbrzuszu i nacisk na pęcherz to zjawiska od dawien dawna towarzyszące władzy, jak mi kiedyś wyjaśnił pewien lekarz. Prosty żołnierz tryska roziskrzonym łukiem triumfalnym, podczas gdy jego dowódca zatroskany pochyla się nad swoją pionowo skapującą kropelką.

Najważniejszy człowiek w państwie poszedł do kuchni i wziął z szafki szklankę. Odkręcił zimną wodę i zgodnie z islandzkim zwyczajem zostawił, by płynęła, włożył ręce do kieszeni szlafroka i wyjrzał przez północne okno. Choć niebo było zasnuwane szarością, słońce przebiło się przez szczelinę w chmurach nad Esją i świeciło prosto w twarz mężczyzny z lekką łysiną, ciemnymi brwiami i pięknie wyrzeźbioną okolicą ust. Na półwyspie naprzeciwko, po drugiej stronie cichego nocą Skerjafjörður, leżało uśpione małe, płaskie miasto. Sięgało aż do wierzchołka Skólavörðuholt, na którym jeszcze nie stał kościół Hallgrímskirkja.

Na wschód rozciągały się Blálfjöll, a daleko, daleko za nimi zniszczona wojną Europa, gdzie jego syn leżał w okopie albo w grobie (nie słyszał nic od niego przez ponad rok), gdzie jego synowa na pewno już wstała w swoim pięknym domku w Lubece, żeby nastawić poranną owsiankę. Tylko gdzie mogła znajdować się mała Herra? Jak ona spędzi ten historyczny dzień? Dziadek nigdy nie stracił nadziei, myślał o mnie każdego ranka, tak mi później opowiadał. Za to ja czasem całymi tygodniami o nim nie myślałam. I nie miałam

pojęcia, że miał zostać prezydentem Islandii.

W tej chwili stał w kuchni na Bessastaðir, doświadczony, korpulentny mężczyzna w najlepszym szlafroku w kraju. Ranny ptaszek jeszcze nie przebudzonego narodu, który chciał wykorzystać wojnę dla swoich potrzeb. Czy to mogło oznaczać coś dobrego? A może prędzej czy później skończy się upadkiem? Dziadek wyciągnął się nad kuchennym blatem i uchylił okno, czuł zapach napływającej do środka, przyrodzonej Islandczykom bezczelności, która przez nadchodzące lata miała jeszcze narastać, owocując pojęciami takimi jak „wojenna koniunktura”, „spasanie pastwisk”, „wojna dorszowa” i „ekspansja wikingów”.

Włożył palec w strumień płynący z kranu i stwierdził, że już czuć w wodzie lodowiec, ale dalej pozwalał jej płynąć, tak samo jak swoim myślom, jak fortepianowy akompaniament do śpiewu, który teraz wzmacniał swój ton: Tak, będąc od trzech lat zastępcą króla tego ubezwłasnowolnionego narodu, zrobił, co mógł, żeby wyperswadować ludziom te zamiary: powinni poczekać z tym do zakończenia wojny, aż znów będzie można rozmawiać jak niezależny władca ze swoimi poddanymi. Ale nikt go nie słuchał. W Althingu tylko się śmiali z jego propozycji zwołania Zgromadzenia Narodowego. A jednak ci sami mężczyźni zamierzali tego dnia w Þingvellir mianować go prezydentem, właśnie w tym miejscu, w którym Islandczycy po raz ostatni sami decydowali o swoich losach, przed siedmiuset laty.

Dziadek napełnił szklanekę wodą i zakręcił kran.

Później tego dnia miał po raz pierwszy zwątpić w obojętność bogów, kiedy siedział w łożu na Lögbergu, w strumieniach deszczu czekając na swoją wielką chwilę. Ulewa była tak intensywna, że nawet najzagorzalsi realiści zaczęli wierzyć w przesady. Przez całą ceremonię pierwsza osoba w państwie miała siedzieć przy stole na północnym krańcu trybuny, z twarzą zwróconą na południe, akurat na deszcz i wiatr. Wprawdzie dziadek miał na sobie nieprzemakalny płaszcz i czasami, jak nam później opowiadał, mógł się schronić pod parasolem, ale deszcz nieustannie bębnił w jego stół i z blatu spływał na kolana. Ale nie mógł tego w żaden sposób okazywać. Kto stoi na stewie, bierze na siebie fale. Kiedy wreszcie obwieszczono, że jest prawowicie wybranym prezydentem nowego państwa, miał mokre spodnie. I tak pierwszy prezydent Islandii musiał wygłosić swoje pierwsze przemówienie.

Czyżby to miała być mała kara boska za jego liczne grzechy, grzeszny potop? Niedługo będzie pięć lat, odkąd widział ją po raz ostatni. Od wybuchu wojny jego Lóa nie pojawiła się na Islandii. Ale jego wymuszony celibat nie wymazał oczywiście starych przewinień.

Sveinn Björnsson wrócił do przedsionka i po schodach poszedł do sypialni. Babcia Georgia odwróciła się na dźwięk skrzypienia drzwi i usiadła na łóżku.

- Czy już rano, *min skat**?

Nie odpowiedział, zamiast tego podszedł do okna i zaczął odsłaniać zasłony. Jego żona powtórzyła pytanie, ale on nadal się nie odzywał. Często drażniło go, że żona islandzkiego ambasadora, regenta wyspy, a teraz przyszłego prezydenta kraju, nigdy nie nauczyła się dobrze islandzkiego, choć miała na to prawie czterdzieści lat. Tamtego ranka najchętniej rozbiłby szybę okienną i zadźgał ją odłamkiem.

- Coś nie tak, *min Svend*?

Odwrócił się i popatrzył na Danię, która leżała przed nim w łóżku, żółtoskóra i siwowłosa. Jak to możliwe, do diabła, że całkiem niegłupia kobieta przez czterdzieści lat nie mogła nauczyć się nowego języka? Gdzieś głęboko w jej psychice musiał być jakiś opór, pewnego rodzaju pogarda narodu panów dla karłowatego języka, jakiś praduński chochlik, który jej szeptał do ucha: w nauce nie należy się zniżać. Znów jak błyskawice pojawił się w jego pamięci obraz Lone: 1939, w złotym świetle londyńskiego pokoju hotelowego śmiała się, była radosna, i to po islandzku.

- Co cię dręczy, *min ven***?

- Ach, nic.

- Jednak coś tam jest.

Dziadek cmoknął bagatelizująco i powiedział wreszcie:

- To tylko ta prezydentura. Nie wiem, czy jestem do tego właściwym człowiekiem.

Trawa na zewnątrz miała zieleń nocy. Gdzieś tam obudził się wiatr; pofałdował fiord, a tysiące łodyżek trawy zdawało się machać mężczyźnie stojącemu przy oknie.

- Ale oni nie mają nikogo innego.

- Co?

- *Islændingene* nie mają nikogo innego.

- Właśnie - przyznał i znów wyrzwał przez okno na swoją ziemię ojczystą. Człowiek na to pozwala.

Wybiorą na ten urząd kogoś, kto jest im w zasadzie obojętny, kogoś, komu wcale na tym nie zależało, w ceremonii, która najwyraźniej była też obojętna Bogu. Ale jedno będzie na miejscu, z tysiącem kapeluszy i czapek w powietrzu, z tysiącami okrzyków i radością w sercu, w mokrych ubraniach, ze słońcem i ufnością w swoich dzieciennych oczach: naród islandzki.

No tak, naród, westchnął dziadek sam sobie do ucha, tym samym tonem, którym surowy ojciec kapitułuje przed niezłomną wolą swojej córki: jeśli ona tak bardzo tego chce...

* Z duń. „Mój skarbie” (przyp. tłum.).

** Z duń. „Mój przyjacielu” (przyp. tłum.).

88

CZERWONY

1944

W tym czasie ja przedzierałam się przez nocny las, w stronę wschodu słońca. Wylądował w jakichś paprociach, wysokim do pasa zielsku, które było mi obce. W górze korony drzew trzymały cicho leśną wartę. Pałacy ból między nogami był nadal odczuwalny, ale głowa była ogłuszona jak po uderzeniu. Najdziwniejsze było to, że nie mogłam absolutnie przypomnieć sobie twarzy Marka i tylko niejasno pamiętałam, co się wydarzyło. Moje ciało zamknęło się wokół utraconego dziewictwa i myślało teraz tylko o jednym: Herra, jej ja, jej dusza, a wszystko inne, kto, co, jak, odsuwało na bok.

Może z powodu pierwotnych warunków (las i pierwszy brzask) nagle poczułam doświadczenie minionych pokoleń, które nieświadomie nosiłam w sobie, wysoko, jak cudowny kwiat, który rozwija się w kilka chwil i osłania wszystkie pozostałe rośliny. Oczywiście mama, babcia, prababcia i wszystkie moje pramatki zostały kiedyś zgwałcone. W szopach i stodołach, na łodziach i statkach, na balach, w górach, w lasach i na pustyniach, na łąkach i polach, w chatach i pałacach. I dlatego ród kobiecy z biegiem czasu wypracował tę ochronę, która teraz wyrastała z mojego najgłębszego wnętrza niczym kwiat z ziemi i zasłaniała mi widok na to, co się wydarzyło. Gdy byłam ubrana w spódnicę i bluzkę, nie było po mnie widać, że padłam ofiarą gwałtu. Nawet nie płakałam, tylko przeklinałam sama siebie po cichu, że nie poszłam na zachód z poczciwą Jaginą. (Miałabym dzisiaj sieć kwaciarni w Illinois i trzech amerykańskich supersynów: jeden zostałby senatorem, drugi kucharzem w trzygwiazdkowej restauracji, a trzeci giełdowym guru. I mieszkałabym nie w garażu, ale w bungalowie).

Z tych rozmyślań wyrwał mnie kasztanowaty koń w zielonym lesie. Ukazał mi się jak cudowna lampa, kiedy mnie zobaczył, zadarł nagle do góry głowę ze splątana, przetykana paprocią grzywą i spłoszony uskoczył kilkoma niezdarnymi susami bokiem do lasu. Przestraszyłam się tak samo jak zwierzę i zastygłam w słup soli. To był jeden z tych ogromnych koni, może nawet koń pociągowy z grubymi wargami, masywnymi stawami i kępkami włosów na pęcinach. Tego rodzaju, który bardziej łączymy z człowiekiem niż z naturą. Kiedy odwrócił głowę i mi się przyglądał, mogłam w atramentowych gałkach jego oczu wyczytać, że był co najmniej tak samo zagubiony jak ja. Oboje staliśmy jakiś czas w bezruchu i poczułam, że potrzebuję tego konia. W tym punkcie mojego życia nikt i nic nie

mogło mi pomóc, oprócz konia. A on poczuł w swoim sercu dorożkarskiej chabety, że świeżo zgwałcona, błądząca po lesie dziewczynka z Islandii jest właśnie tym, co chciał nieść na swoim szerokim grzbiecie. Było nam przeznaczone, żebyśmy spędzili ten dzień razem, najbardziej słoneczny dzień w historii Islandii.

Po kilku niepewnych oddechach mój Czerwony wysunął głowę, około stukilową czaszkę wielkości silnika motorówki. Przyłożyłam wierzch dłoni do jego czoła. Miałam wrażenie, że dotykam masywnej kamiennej ściany tajemnicy, obitej grubym aksamitem. Co leżało poza nią? Szturchnął mnie swoim miękkim pyskiem w brzuch, jakby chciał wyczuć, co tamten facet ze mną zrobił. Węszył jeszcze niżej, wsunął mi czoło między nogi i delikatnie przesuwiał tam i z powrotem. Czyżby ten koń pochodził z pierwszej pomocy dla ofiar gwałtów? Czerwony z Czerwonego Krzyża?

Wreszcie zrozumiałam, że chciał mnie wsadzić sobie na grzbiet i podstawił kark, żebym mogła wsiąść. Niepewnie schwyciłam jego szczeciniastą grzywę i przesłam nad uszami wielkości stojących pionowo lnianych serwetek. Moje obrażenia zaczęły boleć, ale zacisnęłam zęby i z delikatną pomocą Czerwonego, który powoli podnosił głowę do góry, usiadłam w końcu okrakiem na jego grzbiecie, a on zaczął biec. Na prawym udzie miał otwartą, ale niezbyt głęboką ranę i trochę kulał na tę nogę.

Koń zdawał się dokładnie wiedzieć, dokąd się wybiera, bo ruszył prosto na wschód, w stronę słońca, i niósł mnie pod zielonymi koronami drzew, przez gąszcz gałęzi, zwały kamieni, przez zasypane szyszkami ścieżki zwierzyny i liczne strumienie. Przez cały czas szedł stępem, ciężkim, znużonym, ale mimo to wydłużonym krokiem, co świadczyło o jego wielkiej wytrzymałości. Kiedy słońce oderwało się od najwyższych gałęzi, pojawiła się przed nami droga biegnąca prostopadle do naszej trasy. Czerwony zatrzymał się na chwilę i zaczął strzyc uszami, nasłuchując dźwięków z obu stron, potem opuścił głowę i przekroczył drogę, wchodząc w cienisty las po drugiej stronie. Wydał przy tym prychnięcie. Jechaliśmy coraz dalej w głąb dnia, nigdzie nie pojawiła się nawet polana, nie mówiąc o osadach czy ludziach. Z solidarności z moimi rodakami pokonaliśmy odległość Mosfellsheiði, czyli dystans dzielący Reykjavík od Þingvellir, gdzie właśnie świętowali narodziny Islandii. Wtedy i u mnie pojawiły się opady. Zatrzymałam konia, a on, uprzejmy z natury, patrzył w bok, podczas gdy ja wypuszczałam wodę ze szczeliny, aż powstała mała rzeka Öxará, z niewielką domieszką duńskiej czerwieni w swoim nurcie.

Leżę w jesiennym chłodzie mojego garażu i patrzę na siebie, jak sikam w starym borze w ciepły letni poranek i formułuję przyszłe myśli, by umieścić je w małej głowie.

To coś niewyobrażalnego: staliśmy się niepodległym państwem, nawet jeśli nigdy nie byliśmy niczym więcej niż republiką w cudzysłowie z dziwkarską flagą. Opuściliśmy czerwono-białe duńskie majtki i zamiast tego wciągnęli na maszt przemoczony błękit, zaprojektowy tak, by odzwierciedlał historię naszego narodu: czerwony krzyż dla naszych miesięcznych krwawień w otoczeniu białej spermy Duńczyków i czterech siniaków.

Tak do dzisiaj wygląda flaga, którą w swojej bezczelności gołodupców machamy innym narodom przed nosem. Mówiąc dosadnie: wyruchana, ociekająca spermą krwawa pizda z czterema siniakami po bokach, norweskim, duńskim, angielskim i amerykańskim. Tak, oni wszyscy napadli na nas ze wszystkich czterech stron świata, z północy, wschodu, południa i zachodu, i nasza wyspa ze wszystkimi miała dzieci.

A jak to wygląda dzisiaj, pyta stara łózkowa kwoka, z naszą smutną szparą na fladze i naszym łakomym uśmiechem w najdalszym kurewskim zakątku? No cóż, wciągnęliśmy na maszt starą lesbę w nadziei, że sępy i padlinożercy z innych krajów i gwałcicielskie fundusze walutowe pouciekają przed tym siwowłosym workiem kości w łóżku. To nasza ostatnia próba. Wszystkich mężczyzn już zużyliśmy. Faceci okazali się mięczakami i szeroko rozsuwając nogi, podstawiali się odwiedzającym i gościom, kobiety i mężczyźni, każdy wystawiał swoją dziurę, swoją neoliberalną dupę, która okazała się najgorszą katastrofą w historii kraju, bo była dostępna dla każdego. Wchodzili do niej tak samo tubylcy, jak i obcokrajowcy, wspólnie wyciągali kutasy i spuszczały się lewymi kredytami i innymi matactwami, aż narodowa dziura była tak wypełniona, że się zaczęła przelewać i cała ta lepka i śmierdząca breja sięgała nam do uszu. Rzeczywiście był to najwyższy czas, żebyśmy na czele postawili sobie tę kompletnie pozbawioną wdzięku żelazną dziewicę z podkutymi żelazem ustami i zadrutowanym miedzią krocem.

Dość już tego kurwienia się Islandczyków.

Ale tak właśnie wygląda los małego kraju: zawsze musi się zginać przed dużymi. Jediną rzeczą, jaka nas uratowała, była odległość. Najpierw trzeba przebyć morzem trzy słone, wilgotne tygodnie, żeby móc się spuścić w islandzką szparę. Dlatego lepiej niż Fryzycy czy Serbołużyczanie mogliśmy zachować nasz język i kulturę. Gdybyśmy przez sześćset lat byli ruchani po kilka razy w dzień i w nocy, jak to robili Niemcy z Fryzycykami, Anglicy z Irlandczykami, Francuzi z Bretończykami i Hiszpanie z Baskami, wtedy i nasz los nie różniłby się zbytnio od ich sytuacji. U nas były tylko dwa gwałty rocznie:

statek na wiosnę i statek jesienią. Przez całą długą zimę mogliśmy znów radośnie dziergać i haftować, recytując nasze rymowane eposy, a nad wszystkim rozwiesić islandzkie motto: „Na dole mnie skrzywdzili, ale tu na samej górze nadal jestem nietkniętą dziewczyną”.

90

18 CZERWCA

1944

Dzisiaj jest 18 czerwca 1944 roku. Paul McCartney kończy dwa lata. Rozkoszny malec. Kiedy zsiadam z konia i przyciskam ucho do tego pnia drzewa, mogę usłyszeć dzwoneczki, którymi jego mama Mary potrząsa nad kołyską w ceglany bunkrze gdzieś w Liverpoolu. Ich dźwięk przenika pod ziemią całą Europę, pod wojnę, i już zapowiada to dzwonięcie, którym za dwadzieścia lat będzie rozbrzmiewało każde drzewo, kiedy każdy listek będzie wyśpiewywał po angielsku *Love, Love Me Do*.

Ale dzisiaj jest dopiero 18 czerwca roku 1944 i Paul McCartney ma nie więcej niż dwa lata. Za to ja mam już czternaście, od trzech lat chodzę do szkoły piekła i mam przed sobą jeszcze dwa semestry. Koń imieniem Czerwony przez cały dzień niósł mnie przez zielony kraj.

W końcu wyszedł ze mną z lasu na zasiedlone przez ludzi tereny, gdzie były pola, drogi i w oddali domy. Koń poczuł radość w kopytach i podskakiwał świńskim truchtem po zakurzonej drodze. Powrócił ból w moim podbrzuszu.

Wiejska droga była tak jasna w słońcu upalnego lata, że musiałam przymrużyć oczy i dopiero wtedy zobaczyłam toczący się ku nam obłok kurzu, kiedy ukryty w nim czołg się zatrzymał. Czerwony przeszedł w kłus, a potem stanął jak wryty przed tym wojennym potworem. Droga była tak wąska, że czołg zajmował całą jej szerokość. Pobocza porastała trawa, przez którą biegło ogrodzenie. Nie było możliwości, żeby się minąć.

To był oczywiście niemiecki czołg. Był coraz bardziej niespokojny, zachrzęścił gąsienicami, podjechał bliżej i znów się zatrzymał. Próbowałam okazać uprzejmość i skierować Czerwonego na pas trawy, ale koń się nie ruszał. Jeszcze raz czołg potoczył się kawałek naprzód i stanął. Lufa zbliżyła się do głowy konia. Nie widziałam na dziobie czołgu żadnego otworu, miałam wrażenie, jakby kierował się własną wolą. Oto spotkanie dwóch zwierząt, roboczego konia i pancernego gada. Jeszcze raz zbliżył się do nas, a koń, zamiast zejść na bok, zwiesił głowę. Lufa armaty wysunęła się nad jego czaszką. Dla pewności przypadłam do końskiego grzbietu, ale to nie było potrzebne - wylot lufy zatrzymał się tuż przede mną. Spojrzałam w czarną dziurę wojny. Ze środka śmierdziało. Właściwie chciałam

zatkać sobie nos, ale nie miałam odwagi, żeby nie obrazić opancerzonego potwora. Czy to był moment na użycie mojego stalowego jaja? Może powinnam je wrzucić do otworu w trąbie jak szczyptę chrzanu? Koń w ogóle nie okazywał strachu i nie odsunął się również, kiedy gąsienice zachrzęściły ostatni raz. Znow się schyliłam, żeby nie dostać łufą w głowę, ale zaraz postanowiłam się jej ucześcić, zamiast tu zginąć razem z koniem. Czołg się zatrzymał, ja wisiałam na nagrzanym od słońca stalowej rurze, podczas gdy Czerwony niechętnie skręcił na pas trawy. Przeszłam po lufie i znalazłam się na pancerzu czołgu. Właz w wieżycze był otwarty i spojrzałam w dół na wnętrzności potwora. Zobaczyłam dwóch żołnierzy, spoconego blondyna bez hełmu i przeklinającego rudzielca. Między nimi biała i śliczna żywa prawdziwa koza.

- Heil Hitler! - zawołałam jako doświadczona na wojnie dziecko.

Odpowiedzieli na moje pozdrowienie, ale ja nie mogłam oderwać oczu od kozy.

- Czy ona też jest w armii?

- Co? Nie!

- Aha. To jeniec wojenny?

- Zabieraj stąd swojego zasranego konia!

- Chętnie, ale to polski koń. On nie rozumie niemieckiego.

- Na wojnie wszyscy rozumieją niemiecki! Spróbuj sprowadzić tę bestię na bok!

Spieszymy się.

Wysunęłam głowę z wnętrza czołgu i zaczęłam wołać do Czerwonego wszystkimi słowami, jakie znałam po polsku. Podniósł głowę, czołg jeszcze raz groźnie zachrzęścił i wreszcie koń zbliżył się do ogrodzenia, przebierając nogami obalił dwa paliki. Cały płot przewrócił się w chwili, gdy pancernik przeciskał się obok. Odskokczyłam w środek obłoku kurzu i zamknęłam oczy. Kiedy znow je otworzyłam, zobaczyłam mojego przyjaciela o zwycięskich kopytach, jak na skraju pola walczy z płataniną drutów, z której szybko się uwolnił i wzbijając tumany kurzu, pokłusował przed siebie. Biegł przez pole prosto w kierunku zaniedbanego gospodarstwa, które znajdowało się jakieś dwieście metrów od drogi. Ja poszłam kawałek drogą, z nasilającym się bólem podbrzusza, a potem skręciłam w stronę gospodarstwa. Może to była macierzysta stajnia mojego czterokopytnego przyjaciela?

Kiedy lekko kulejąc, dotarłam do budynków zagrody, koń stał przed domem, a przy

nim schylony chudy mężczyzna z jesiennym wąsem, który przemawiał do niego cicho po polsku. Nie trzeba było wrażliwości wielkiego poety, żeby zauważyć, iż było to spotkanie starych przyjaciół.

Czerwony odwrócił swoją wielką głowę i patrzył, jak kuśtykam na podwórko. Stał tam jak prosty chłopski syn, który nie wie, jak ma ojcu przedstawić swoją nową dziewczynę. A może był na mnie zły, bo przeszedłam na czołg?

- Dobry Hitler - przywitałam się z roztargnieniem po polsku. Stary odwzajemnił zaskoczony pozdrowienie. Letni upał gotował się w każdym źdźble trawy, a żwir trząskał jak ogień. Jakże ja, dziewczynka z krainy lodu, kochałam taką pogodę! Zawsze byłam jaszczurką. Zwróciłam się do konia i pogłaskałam go po pysku, po mokrej od potu sierści. On przyłożył mi czoło do piersi i lekko mnie odepchnął. Jeśli to miała być kara, to Czerwony szybko zmienił zdanie, podszedł krok do przodu i znów wtulił czoło między moje piersi. Pokazałam chłopu ranę na prawym boku konia, a potem zauważyliśmy jeszcze kilka krawych zadrapań na nogach, przypuszczalnie od drutów przy drodze. Staruszek podziękował mi wdzięcznym spojrzeniem, że przyprowadziłam mu z powrotem jego najlepszego konia.

Dopiero teraz zauważyłam, że trochę na uboczu stał hitlerowski żołnierz, jak wędrowiec nad morzem mgły, i przyglądał się okolicy. Mimo letniego upału miał na sobie czarny skórzany płaszcz, czapkę, a założone na plecach ręce były obleczone w rękawiczki. Chłop zniknął gdzieś z Czerwonym, a ja zostałam sama na samą z hitlerowskim kapitanem (sądząc z jego postawy, musiał być jakimś wysokim rangą oficerem). Ten odwrócił się i swobodnym krokiem zaczął iść w moim kierunku. Trzymał się z godnością, ale bez buty, prosta sylwetka, a równocześnie całkowicie rozluźniona. Jego chód charakteryzowała ukryta elegancja. Czy był uzbrojony? Na pewno był uzbrojony. Ukradkiem wymacałam mój granat. Był na samym dole w mojej torbie. Przez grube płótno czułam jego twarde płaszczy. Spokojnym, płynnym krokiem tamten mężczyzna szedł w moją stronę po rozżarzonej żwirze. Może chciał mnie zastrzelić?

Jednak cały mój strach rozplątał się pod wrażeniem wielkiego odkrycia: im bliżej podchodził, tym wyraźniej widziałam, że był to najpiękniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałam. To czoło, brwi, jego kości policzkowe i usta! Byłam zupełnie oszołomiona. Rękawiczki, płaszcz, oficerki. Czy nie było mu za gorąco? Uśmiechnął się łagodnym przymrużeniem oczu i wyciągnął rękę, nie zdejmując rękawiczki. W szkole piekła nauczyłam się unikać takich mężczyzn jak ognia i najlepiej ze wszystkich młodych kobiet wiedziałam, że mało co jest tak groźne, jak przyjazne zachowanie złych mężczyzn. Z drżącymi wargami ujęłam jego rękę.

- Dzień dobry, panienko! Skąd droga prowadzi?

- Z... z Rzeszy Niemieckiej.

- Ach, z Rzeszy. Dzisiaj wszystko jest niemiecką Rzeszą - powiedział i szerokim gestem dłoni wskazał polskie pola. - Tylko nasz dom nie jest ojczyzną. Stoi pusty. - Dziwnie rozmarzonym wzrokiem spojrział na zachodni skraj lasu. - I jakąż to podróż panienka odbywa?

Jego uprzedzająca grzeczność w ogóle mi się nie podobała. Dlaczego po prostu się na mnie nie wydierał?

- Koń... mnie tu przyniósł. Nie wiem. Właściwie to ja, wie pan, pochodzę z Islandii i...

- Ach tak, z Islandii?

Wypowiedziałam czarodziejskie zaklęcie. Ktoś tutaj natknął się na rzadką rasę. Wymamrotał coś o Islandii, dalekiej Północy, morsach i romantyzmie, nie wszystko dosłyszałam, bo moje uszy nic nie słyszały z powodu tego piękna, które oślepiło mi oczy. Mógł mieć około trzydziestu lat. Kiedyś można by na pewno określić tę twarz jako olśniewająco piękną, teraz jednak była naznaczona śmiercią. Pokrywała ją wytworna bladość, która przywoływała skojarzenia z pojęciami takimi jak trupia bladość i maska pośmiertna. Te słowa wypełzły z ciemnych jaskiń mojej podświadomości na światło księżyca, którym jaśniało czoło oficera. Tylko te cztery słowa i nic więcej. Jak wypełzające spod ziemi aktywne nocą futrzane zwierzęta.

92

POD STOŁAMI

1944

Nazywał się Hartmut Herzfeld, pochodził gdzieś ze Szlezewiku i studiował na uniwersytecie literaturę i sztukę. Dowiedziałam się tego już podczas naszego pierwszego spotkania. Zaprosił mnie na kolację do domu starego Polaka. We dwoje przy blasku świec spożywaliśmy pieczeń z dzika i pili karpackie czerwone wino. Oficer był bardzo przyjemnym towarzyszem przy stole, uprzejmy, o nienaganych manierach, nie podejmował żadnych prób przekraczania granic. A jednak przygotowałam się na to, że zaciągnie mnie, dopiero co zgwałconą, do łóżka, a potem w nocy zamorduje swoim pistoletem albo spojrzeniem. Szukałam po omacku mojego cennego jaja i przysięgłam sobie, że kiedy będzie po wszystkim, znów ucieknę przed wschodem słońca.

Ale to mogło nie być takie łatwe. Dwa trepy w hełmach tańczyły, jak im zagrał: Karl i Karl-Heinz siedzieli w kuchni ze swoimi karabinami i wąsatym chłopem Jackiem, który

karmił ich gotowaną rzepą i kurczącymi udkami. Ten stary człowiek dotychczas nie ugotował w swoim życiu nawet jajka, póki żołnierski bagnet nie zabrał mu żony, czyniąc z niego pierwszorzędnego kucharza.

Z niezrozumiałych dla mnie powodów ten mały oddział od blisko czterech tygodni stacjonował w tej zagrodzie. Najbardziej prawdopodobne wydawało mi się, że pracowali dla niemieckich służb informacyjnych, bo z jednego z pokoi co jakiś czas dochodziły szумы, trzaski i urywki wojskowych rozmów. W ten sposób w tym niewielkim towarzystwie w krótkim czasie znalazłam się wśród wyższych warstw, siedziałam w salonie z arystokracją przy stole zastawionym srebrnymi sztućcami i kryształowymi kieliszkami, a to wszystko dzięki mojemu szczególnemu pochodzeniu, godnej podziwu znakomitej niemczyźnie i praktycznie nietkniętym piersiom, które w misce wojny pięknie wyrosły i były gotowe do wypieczenia. Z nimi było tak samo jak z kwiatami, które tak samo piękne i uśmiechnięte kwitną na polu bitwy, jak i w wiosennym ogrodzie.

- Ilu Islandczyków mieszka na wyspie?

Jego głos był jak wypolerowany srebrny widelec w wytwornym kredensie.

- Około stu tysięcy, tak sądzę. Od wybuchu wojny nie byłam na Islandii.

- Sto tysięcy? To dobrze, że nie poszli pod Stalingrad - powiedział z uśmiechem.

Oczywiście nie rozumiałam tej uwagi, bo nigdy nie słyszałam o tym mieście, poza tym myślami byłam zupełnie gdzie indziej. W każdym razie on nie pozwalał sobie na żadną dwuznaczną wypowiedź, tylko przez cały czas konwersował ze mną, jak to się mówi, tonem „umiarkowanej uprzejmości”. A przy tym cielesne pokusy wyraźnie przebijały chwilami w jego oczach, kiedy uśmiechał się do mnie nad kęsem potrawy albo przynosił zamyślane spojrzenie na ciemne okno, a światło świec igrało na jego doskonałym profilu.

W pewnej chwili spojrzałam za jego wzrokiem w okno. Na wschodzie gdzieś daleko przesuwano się po niebie światło, małe i jasne, jak wojenne słońce. Znów popatrzyłam na jego twarz. Dalej przyglądał się, jak światło opada coraz niżej, a jego twarz przybierała coraz bardziej nieobecny wyraz, jak gdyby jego oczy przetwarzały właśnie tę jasność w poezję. Ale kiedy światło zniknęło za szczytami drzew na końcu pola, przyszedł do siebie, odchylił się na oparcie krzesła, unióśł brwi oraz kieliszek i wreszcie odezwał się z namysłem:

- Właśnie, wojna. - Potem dziwnie zmienionym tonem dodał. - Na każdej wojnie jest wiele wojen.

Rzucił te słowa jak kamienie w ciemność. Czekałam na plusk, który musiały wywołać, spadając na dno, żeby zmierzyć wysokość klifu, na którym on w tej chwili stał.

Ale byłam za bardzo zajęta zewnętrzną stroną rzeczy, poza tym piętnastoletnia

dziewczyna nie potrafi dostrzec wiele poza powierzchnią zjawisk: po raz pierwszy w życiu piłam czerwone wino (wódki już raz próbowałam z trzema facetami na jakimś dworcu), to była moja pierwsza randka, przypuszczalnie po raz pierwszy byłam zadurzona. Gdyż mimo ciężkich warunków był to wyjątkowo romantyczny wieczór. Siedzieliśmy tutaj, dwoje dorosłych ludzi (mój Boże, ciągle jeszcze czuję ten dreszcz, kiedy widzę, jak moje młodzieńcze ja pod postacią dziewczyny wchodzi do pokoju i siadając przy stole, już przez sam sposób, w jaki on z perfekcyjną uprzejmością podsunął mi krzesło, w mgnieniu oka przeobraża się w kobietę!), nad trzema potrawami i z dystansem szesnastu lat pomiędzy, Niemiec i Islandka, w wiejskiej chacie gdzieś w środku Polski w tak ciepły letni wieczór, że świeca nawet nie zauważyła otwartego okna i tym łagodniej oświetlała nasze spotkanie. Jej światło padało na bordowy kolor kieliszka z winem i odkrywało w nim intensywny czerwony blask, którego nie dało się zlokalizować, bo zdawał się być samym winem i w ciemnym, niemal czarnym płynie świecił jasną czerwienią jak dusza ubrana w mundur.

Wtedy on sięgnął po swój kieliszek, ale nie ujął go za szkło, tylko za nóżkę, jak człowiek światowy. Mój wzrok przykuły jego cudowne, blade i subtelne palce. Jego dłoń tak mnie zachwycała, że o mało nie padłam zemdlnona. Później miało mi się to częściej zdarzać, kiedy się w kimś zakochiwałam, w całkowitym oczarowaniu. Palce, dłonie, przedramiona działają na mnie jak narkotyk.

Ale najbardziej romantyczny był połysk małej, wypolerowanej swastyki na jego piersi. Wstydzę się za to, ale nie mogę się wyprzeć: hitlerowski symbol był dla mnie jak najpiękniejszy kwiat. Nie ma rzeczy bardziej pociągającej niż tabu.

Pod spodem zaś kłębiła się świadomość posiadania broni w naszych kieszeniach - dla pewności włożyłam swój granat do kieszeni spódniczki - która także miała erotyczne oddziaływanie: lufa i jajko. Muszę chyba zaakceptować ów głęboko mizoginiczny fakt, że niewiele rzeczy potrafi mieć tak erotycznie stymulujące działanie jak świadomość, że towarzysz przy stole po odbyciu stosunku zamierza cię zabić z broni palnej.

- Pani pewnie nie zdaje sobie sprawy, że Islandczycy są wyjątkowo szczególnym narodem.

- Nie. Jediną szczególną rzeczą jest fakt, że istniejemy. Że tak długo przetrwaliśmy. Gdybyśmy jutro mieli zniknąć, nikt nawet by tego nie zauważył.

- Ależ nie. Jest naprawdę wielu ludzi, którym by was brakowało, którzy są zdania, że Islandczycy są pragermańskim narodem, który zachował pochodzenie naszej rasy. Stworzyli nordycką mitologię... przynajmniej przechowują ją i dbają o to kulturowe dziedzictwo Germanów, tak różne od kultur starożytnej Grecji czy Rzymu, z którymi nie mamy nic

wspólnego. To Islandia jest naszą Helladą, naszymi Atenami; Ziemią Obiecaną.

To samo słyszałam setki razy od mojego ojca. Nie spuszczałam wzroku ze swastyki, zastanawiając się nad sformułowaniem odpowiedzi.

- Hm, mitologia...

Zatrzymał kieliszek w drodze do ust, uśmiechnął się lekko, potem łyknął wina i w końcu powiedział:

- Nie odpowiada pani mitologia?

Wcześniej nabrałam niechęci do wszystkiego, co wiąże się z bogami i boskimi naukami. To ściągnęło na nas za dużo nieszczęść. Dlaczego po prostu nie możemy się zadowolić byciem ludźmi? Wybitnym ludziom często przypisuje się „podobieństwo do bogów”. A ja mówię: ludzcy ludzie są najlepszymi ludźmi.

- Bogowie są nudni.

- Ach tak, a dlaczego?

Czyżbym widziała w jego oczach kpinę?

- To, co jest doskonałe, nie może być interesujące. Spotkałam kiedyś człowieka, który był tak bardzo daleki bogom i ziemski, że do połowy tkwił w ziemi, jak to określał, gdyż nie miał obu nóg. A był to najciekawszy człowiek, jakiego kiedykolwiek poznałam. Nie przeżył tamtej nocy, ale w moich myślach jest nieśmiertelny. Jeszcze trzy lata później myślę o nim częściej niż o Bogu czy o tym, co się określa Bogiem.

- Co się z nim stało?

- On go zabił.

- Kto?

- Bóg go zabił, z zazdrości. Bo był o wiele zabawniejszy i śmieszniejszy od niego.

- A pani? Czy pani też jest zabawna i śmieszna?

- Nie tak śmieszna jak pan.

- Ja? A więc jestem śmieszny?

- Tak, w tym mundurze.

Wtedy czasem mówiłam rzeczy samobójcze. Można było gadaniem pozbawić się głowy. Wojna trwała już tak długo i człowiek był wewnętrznie tak osłabiony, że czasami podświadomie prowokował jedyne możliwe wyjście z tej sytuacji. A może to tylko przemawiał przeze mnie romantyzm.

Jego reakcja była raczej powściągliwa.

- Uważa pani, że ten mundur... nie wygląda dobrze?

- O tak, ale nie na panu.

POCAŁUNEK SWASTYKI

1944

Rozczarował mnie. Nie był ani nazistowskim oficerem, jakim powinien być, ani poetą, za którego go uznawałam. Był po prostu tylko piękny. Piękny jak cholerna wypolerowana na błysk klamka u drzwi, która dobrze leży w dłoni, ugina się, kiedy tego od niej żądamy, która otwiera i znów zamyka drzwi, a potem milczy przez całą noc. Gapiłam się na tę przeklętą klamkę i nie mogłam zasnąć, ale nie wiedziałam dlaczego. Odprowadził mnie do mojego pokoju, wyjaśnił, że Jacek pościelił dla mnie łóżko i na koniec życzył dobrej nocy. Tak uprzejmie i obojętnie jak klamka. A ja przez cały czas sobie wyobrażałam, że on ma wobec mnie jakieś zamiary. Ale nic z tego, nie chciał mnie nawet zgwałcić, nie mówiąc już o zabijaniu. Byłam głęboko obrażona i nie mogłam spać.

Może dlatego mnie nie chciał, że zostałam zbrukana przez innego mężczyznę? Może byłam już zepsuta na całe życie? Nie - z jego pomocą, tego świętego, mogłam znów stać się czysta. Miłość mogła mnie uratować! Ale co ja tu sobie wymyślałam? Byłam przecież jeszcze obolała i oszołomiona po tamtym okropnym napadzie. Z pewnością najlepiej będzie przespać najpierw tę noc i odpocząć. A jednak: nie! Pragnęłam go jak człowiek na pustyni wody i leżałam na łóżku napięta jak stalowa sprężyna: jedno dotknięcie jego palca wykatapultowałoby mnie przez okno.

Po trzech dniach weszłam po prostu wieczorem do jego pokoju. Siedział ubrany w podkoszulek przy biurku obok łóżka, przed otwartym rozbrzmiewającym owadami oknem. Gdzieś za czarnym lasem przez łąki toczył się pociąg. Drobne muszki krążyły pod lampą nad jego wiecznym piórem jak niecierpliwie czytelniczki. Podniósł głowę i spojrzał na mnie, ale nie okazywał zaskoczenia, jak gdyby to było coś oczywistego, oczekiwanego, że chory z miłości podlotek nocą szturmuje jego pokój.

- O, pan pisze?

- Ach, coś tam sobie bazgrzę.

- A co pan pisze? List?

- Nie.

- Mogę przeczytać?

- Przeczytać? - zapytał, prychnąwszy śmiechem.

To mi wystarczyło, żebym mogła całkiem wejść do pokoju i zamknąć za sobą drzwi.

- Co pan właściwie tutaj robi?

- Tutaj?

- W tym domu. Dlaczego nie jest pan na froncie?

- A co *pani* tu robi?

- Ja? Nic. Koń mnie tu przyprowadził. Ja się cieszę, kiedy mam choć łóżko i dach nad głową.

Przyglądał mi się przez chwilę i powiedział:

- Herr Marie? Panie Mario?

Tak nazwał mnie pierwszego wieczoru i potem zawsze wyszczerzał się w uśmiechu, ilekroć to powtarzał:

- Panie Mario.

- Tak jest.

- Niech pani usiądzie! Muszę... tylko dopisać coś do końca.

Odwrócił się na krześle i znów nachylił nad swoimi papierami. Miał szerokie barki i mocne ramiona, ale jego plecy wyglądały na kruche, a biodra były wąskie. Zamiast siedzieć na krześle w kącie, po cichu stanęłam za jego plecami przy nogach łóżka i próbowałam zerknąć na kartki na biurku. Albo pisał wiernopoddańczy list do Hitlera, albo tworzył poezje.

Zauważył mnie, odwrócił głowę, nie przekręcając całego ciała, i znów prychnął przez nos.

- Czy pańska bielizna nie jest oznakowana?

- Słucham? - zapytał, nie patrząc na mnie. - Cała nasza bielizna jest wojskowa. Mundur, bielizna, buty, skarpety, wszystko należy do wojska.

- Dlaczego w takim razie na podkoszulku nie ma swastyki?

Nagle w jego głosie pojawiła się złość.

- Nie ma swastyki na podkoszulku? Ależ jest swastyka na podkoszulku! Jest swastyka na papierze, jest swastyka na piórze. Tylko atrament jeszcze jej nie ma. Jeszcze im się nie udało. Ten połamany krzyż jest taki ciężki, że zawsze opada na dno kałamarza.

Ostatnie słowa prawie wykrzyczał. Drzwi się otworzyły i Karl-Heinz wsunął do pokoju swój wielki nos.

- Wszystko w porządku?

- Tak, wszystko w porządku. Zamknij drzwi.

Oficer moich marzeń znów pochylił się nad biurkiem, ale już nie pisał, tylko podparł głowę rękami. Rozważałam ucieczkę przez otwarte okno. Co ja takiego zrobiłam? Dlaczego on tak mówił o swastyce? Czyżby nie był prawdziwym nazistą? Jak mógł dopuścić się takich błuznierstw? Może właśnie pisał list pożegnalny samobójcy? Nadal ukrywał swoją piękną

twarz w dłoniach. Nie miałam pojęcia, co powinnam zrobić albo powiedzieć, i zaczęłam się rozbierać - to było rozwiązanie, które przez wieki zawsze przychodziło kobietom z pomocą w trudnych sytuacjach. Zdjęłam bluzkę przez głowę, zrzuciłam spódnicę na podłogę i zdjęłam nieprane pończochy. On tymczasem się wyprostował i położył przedramiona na blacie, ale nie odwracał się do mnie, tylko siedział w bezruchu, słuchając szelestu pończoch zsuwających się z moich ud. Znów wziął do ręki pióro i pisał dalej. Wyjęłam moje piersi z koszulki. Muchy, bucząc, przemykały szybko przez smugę światła, która padała na jego lewe ramię, podkreślając każdy włos. Wydawało mi się, że owady tańczą w takt moich ruchów, czerpiąc z nich cenny prąd. Majtki zostawiłam i stałam tak na dywaniku przy nogach łóżka, tylko w majtkach. Jak mały naród przy stole negocjacyjnym.

Moja lewa pierś znajdowała się w cieniu jego prawego ramienia, za to prawa uśmiechała się w świetle lampy, aż lśnił mały, spiczasty pączek na jej czubku. Jakaż była jeszcze miła i niedoświadczona!

Stałam tak i słuchałam cichego skrobania pióra po papierze, aż poczułam się tak onieśmielona, że weszłam do łóżka i nakryłam się cienkim kocem, który oczywiście też miał gdzieś runy SS. On odłożył pióro, odwrócił się do mnie i znów lekko prychnął.

- Ile ma pani lat, panienko?

- Piętnaście.

- Piętnaście lat?

- Pod koniec lata będę miała piętnaście.

- A więc teraz ma pani czternaście.

- Ale czternaście na wojnie to tyle co osiemnaście w czasach pokoju.

- Kto tak mówi?

- Gdzieś to słyszałam. Nie jestem już dziewicą.

Miłość potrafi zupełnie pozbawić godności. Dziecko z Breiðafjörður stało się nazistowską dziwką.

- Zostałam zgwałcona.

Wstał od biurka i położył się obok mnie, na kocu, pachniał talkiem i wanilią. Gładził mnie lekko po włosach, jakby żegnał zmarłą. W tych okolicznościach mogłam sobie pozwolić na coś szalonego.

- Pan jest taki piękny! Jest pan najpiękniejszym mężczyzną świata. Jest pan... Nie mogę mówić do pana na ty? Od prawie czterech lat mówię do wszystkich pan pani i już mam tego dość. Na Islandii takie formy stosuje się tylko wobec ludzi, którzy chodzą w kapeluszach. Pozostali noszą czapki i mówi się do nich ty. Ale tutaj ludzie zwracają się tak

nawet do swoich katów. Widziałam, jak ktoś tuż przed rozstrzelaniem przy ścianie domu zawołał: „Na litość boską, niech pan do mnie nie strzela!”. Czy wołałby pan tak? Czy mogę do pana... do ciebie mówić ty?

- W Niemczech można tak mówić tylko do kogoś, kogo się pocałowało.

- To prawda?

Nie, to nie była prawda. Uśmiechnął się zgaszonym uśmiechem. Co go dręczyło? Nie mogłam teraz zadać mu wszystkich moich pytań ani szukać na nie odpowiedzi, bo właśnie spojrzał mi w oczy. Przestał się uśmiechać, zanurzył się w powagę i miłość. Pocałowaliśmy się. Pocałunkiem z nazistowską odznaką.

94

PORANEK Z TRUPEM

1944

Polskie nocne żuczki brzęczały swoją pieśń, pociągi przejeżdżały i cichły w oddali. Tej jednej nocy skończyłam piętnaście, szesnaście i siedemnaście lat. Rozkosznie obolała i wygłaskana dłońmi zasnęłam i obudziła mnie nocna burza. Hartmut wstał i zamknął okno. Leżeliśmy jak para kochanków i słuchali, jak niebo wali w ziemię, sto milionów kropel na kamień. Nie mieliśmy przyszłości, ale ten moment trzymał nas w objęciach, a czymże było życie, jeśli nie wczesną godziną poranka w ramionach mężczyzny? Myślałam o wszystkich moich strasznych przejściach, dniach głodu w niemieckich miastach i gwałcie w leśnej chacie i wszystkie te stopnie cierpienia wydawały mi się teraz lżejsze, kiedy leżałam obok tego pięknego mężczyzny w największej błogości.

- Kłamałam. Byłam jeszcze dziewicą. To był pierwszy raz.

- Z pani... niezłe z ciebie ziółko! Nie mów teraz, że naprawdę masz dopiero trzynaście lat!

- Ależ tak. Za rok mam iść do konfirmacji - odparłam piskliwym głosikiem. - Co przedtem pisałeś?

- Nic.

- Nieprawda. Co? Musisz mi powiedzieć! Oddałam ci cnotę. Masz teraz u mnie dług.

- Wiersz.

- Tak myślałam. O czym ten wiersz?

- Ach, to tylko... takie romantyczne i staroświeckie dziewiętnastowieczne bzdury.

- Przestań! Mogę przeczytać?

- Nie.

- Czy wolno pisać wiersze, kiedy jest się nazistą?

- Nie, tylko zabijać, zabijać.

- A jak to jest zabijać?

- Kto zabija, umiera. Kto zostaje zabity, żyje dalej.

Nie zrozumiałam jego odpowiedzi, ale zapamiętałam ją sobie, żeby później zrozumieć.

- Nie wierzysz w... swastykę?

- Uważasz, że Jezus wierzył w krzyż?

Zaraz zrobił się czerwony, kiedy to powiedział. Zawstydził się tego porównania.

- Przepraszam, nie jestem Chrystusem. Ale jestem... może powiem tak: jestem uswastykrzyżowany.

Za oknem deszcz bębnił o parapet, na pola i całą okolicę. Ranek jaśniał na horyzoncie, szary od wody, jak ławica śledzi w mrocznej głębi.

- Czy ty... już kiedyś kogoś zabiłeś? - szepnęłam cicho przy jego zarostcie.

- Tylko siebie samego.

- Co masz na myśli?

- Jestem skazany na śmierć.

- Co? Dlaczego?

- Za tchórzostwo.

Długo milczeliśmy. Usiadłam na łóżku i rozglądałam się po pokoju, on patrzył na bielony sufit. Spojrzałam na niego, na biel w jego oczach. Deszcz ustawał, a równocześnie robiło się coraz jaśniej. Stara pożółkła rama okienna jarzyła się przedziwnie w świetle poranka, mocna i twarda jak kamień. I gdzieś tam w zabudowaniach stał Czerwony w swoim czworonożnym śnie, pocziwy koń.

- Dlaczego...? Moglibyśmy oboje uciec. Zaraz stąd, przez okno.

- Uciec? Dokąd mielibyśmy uciekać? W państwie Hitlera wszystko ma oczy. Jeden z moich przyjaciół został zastrzelony podczas ucieczki, jak zwierzę. Strzelili mu w plecy. To ja już wolę spojrzeć prosto w oczy... mojej pomyłce.

- Twojej pomyłce? To nie jest pomyłka, że twój Wehrmacht chce cię zabić. Moglibyśmy pojechać na Islandię. Spotkałam raz starą Rosjankę, która nawet...

Nagle zauważyłam w ogródku warzywnym mężczyznę, który stał za oknem. Zasłoniłam piersi ramionami. Tamten na ramieniu trzymał karabin i ponad jego kolbę patrzył na nas. Nasze spojrzenia się zetknęły, a potem on znów zwrócił wzrok w las. Ale wyraz jego twarzy był wystarczająco jasny: gardzę tobą, ty mała wojenna kurewko, i twoim nocnym

rzemiosłem. Nie zakatrupię cię, tylko odwrócę wzrok, bo skazany na śmierć na mocy prawa powinien jeszcze raz zażyć rozkoszy życia, zanim kurtyna zapadnie.

- Który to? Karl? - zapytał Hartmut.

- Karl-Heinz - powiedziałam, opadłam z powrotem na łóżko i przytuliłam się do niego.

- Oni się zmieniają.

95

RÓŻANA KREW

1944

Nie mogłam się uspokoić. Nie poddawałam się. Uratuję tego mężczyznę i zabiorę go na Islandię. Wrócę do domu na pokładzie „Gullfossa”, z najpiękniejszym mężczyzną świata pod ramię.

Omówiłam mój plan z Czerwonym. Nie podobał mu się, ale zdradził mi, że Jacek jest w okolicy jednym z najlepszych kastratorów źrebiąt, czego Czerwony sam zresztą doświadczył, i nadal ma w domu środki potrzebne do obcinania zwierzętom jajek. Przeciągnęłam starego felczera końskiego na swoją stronę i za pomocą szesnastu słów mojej polszczyzny wtajemniczyłam go w plan. Wieczorem Hartmut przyszedł do mojego pokoju z listami i innymi przedmiotami w małym pudełku.

- Tu są listy mojej matki i kilka drobiazgów.

- Nie, zachowaj je. Jutro uciekniemy.

- Jutro? - zdumiał się. - Mimo to chciałbym, żebyś wzięła te rzeczy, na wypadek...

- Nie mów tego! Bo wypadek prowadzi do upadku, tak zawsze mówiła moja matka.

Następnego ranka zakradłam się do Karla-nie-Heinza, który ze swoim wielkim nosem leżał spocony w łóżku. Zapach chloroformu go obudził, ale zaraz znów zapadł w sen. Dla pewności wcisnęłam mu gałganek do dziurek od nosa. Na dworze Hartmut z tym samym w dłoni zaskoczył od tyłu Karla-Heinza. Żołnierz natychmiast osunął się na ziemię. Rzuciliśmy się do biegu, w kierunku północnym, na pola. Biegłam przodem, ciągnęłam go ku miłości i wolności, póki strzał nie wyrwał go z mojej ręki. Leżał teraz jak Zygryd pogromca smoków twarzą do dołu, a krew płynęła z maleńkiego źródła na jego plecach. Obejrzałam się za siebie i zobaczyłam Jacka z zapadniętą twarzą stojącego na rogu stajni. Właśnie opuszczał strzelbę.

Podniosłam ręce do góry. Cóż to była za głupota! Jakież szaleństwo! Czternastoletni, typowo islandzki idiotyzm. Zastrzel mnie, no, strzelaj, myślałam, modląc się do Pana, żeby

posłał mi kulkę przez łąkę. Ale nie zostałam wysłuchana. Pilniejsze było wysłanie innych dusz do nieba. Za domem i w środku zabrzmiały jeszcze dwa strzały. Nie dało się nie słyszeć, że każdy z nich zawierał krzyk duszy.

Opuściłam ramiona i przeniosłam uwagę z mojego własnego małego życia na śmierć większego człowieka. A może on wcale nie był martwy? Z wysiłkiem obróciłam go na plecy. Choć ubrudzona ziemią, jego twarz była piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Z czoła spływało mu czarne, lśniące błoto. W schronie przeciwlotniczym widziałam kiedyś, jak ktoś reanimował nieprzytomną kobietę metodą usta-usta. Teraz też tego spróbowałam - jak Julia ze swoim Romeem. Tylko że to nie ja tchnęłam w niego życie, lecz on ostatnim tchnieniem oddał mi swoją duszę. Poddałam się, przelękając łzy. Jego twarz była teraz chłodnym, białym, marmurowym obliczem. Och, dlaczego takie piękno musiało zginąć? Próbowałam wyryć w pamięci wyraz jego twarzy, jak recepturę szczęścia, która ukazuje się we śnie i zawiera najczystsza prawdę świata w jednym, jedynym momencie, zanim zniknie. Och, mój pierwszy i jedyny!

Potem wojenna wagantka poszła dalej. Nazistowska dziewczka wyplakała się nad polem i w lesie. Posłała Czerwonemu smutne pożegnalne pozdrowienie. Oplakiwała klęskę swojego planu, dziewczynka z wyspy marzyła, żeby samotnie w łodzi swojego serca popłynąć do domu, do mamy i taty, gdziekolwiek się znajdowali. Na kartce w pudełku Hartmuta znalazłam napisane jego ręką nazwisko mojego ojca z kilkoma informacjami: Hans Henrik Björnsson, II./Gren.rgt., Dywizja Grenadierów Pancernych „Grossdeutschland”, front wschodni, Armia „Południe”, Kursk.

Opowiedziałam mu o moim ojcu, a on obiecał, że się dowie, gdzie Islandczyk się podziewa na tej wojnie. W jednym z pokojów stała radiostacja. Ale potem powiedział mi, że niczego się nie dowiedział. Co znaczyło „Kursk”? Czy może to wojskowe oznaczenie słowa „zaginiony”?

Przełknęłam zbierające się w gardle łzy, przeszłam schylona pod gałęziami, zwinęłam się w kłębek u stóp drzewa i przywoływałam wilka, niedźwiedzia i dziką, żeby uzgodnili między sobą, który pierwszy się zajmie marynowanymi w żałobie dziewczęcymi udami. Łoże z jodłowych igieł pachniało oszałamiająco.

Wieczorem zapukałam do drzwi starszego chłopskiego małżeństwa. Mężczyzna był polskim prostakiem, który od razu wyczuł mój nazistowski zapach i wysłał mnie do stajni. W nocy pojawił się z pragnieniem odwetu i chętką na młode ciało. Rozumiałam go i uprzedziłam jego życzenia, zamieniając gwałt na ręczną robotę. Pewna kobieta pokazała mi to kiedyś w Erfurcie.

Lato 1974. Jak pięknie! Było to jedyne lato samych świąt, kiedy każdego dnia świeciło słońce, każdej nocy też. Boże, ależ Islandia była wówczas piękna! I jak cudownie było wrócić do domu!

Miałam dość zmieniających się partnerów i światowych wędrowek. Kiedy wezwałam Nachjónowi taksówkę, wymyśliłam sobie, żeby zamieszkać w Paryżu, z trójką dzieci, moi synowie mieli wtedy jedenaście i sześć lat oraz rok. Zatrudniłam bladą jak trup niańkę i przyjąłam posadę w ambasadzie islandzkiej. Bonjour, Boulevard Haussmann!

Żadna kobieta nie może określać się osobą światową, jeśli nie zaliczyła Paryża. Dwaj starsi chłopcy, Halli i Óli, chodzili do elitarnej szkoły, a mały Maggi został zapisany do *crèche*. Wtedy były to jeszcze bardzo prymitywne instytucje i przez całą zimę mały był żywiony wyłącznie białymi bułkami. Do dzisiaj walczy ze swoim bagietkowym tłuszczkiem. Mieszkaliśmy w dzielnicy XV, dość czystej, na ulicach pełno jedzenia. W drodze do metra, które na szczydach przejeżdżało nad dzielnicą, natykałam się na dziesięć melonów.

Co miesiąc biegałam po schodach i korytarzach Luwru, żeby zobaczyć *Tratwę Meduzy*, *Wesele w Kanie* i oczywiście *Króla Słońce* Rigauda, mój ulubiony obraz. Wciągałam woń metra, przemierzałam całe dzielnice, zapuszczałam się w najodleglejsze zaułki, gdzie czasami miewałam podejrzane randki wykraczające poza ramy biografii i czułam się jak w nie nazbyt nudnym, ale ambitnym filmie. W mojej pamięci Paryż jest nakrytym do uroczystego posiłku stołem z sześciopiętrowymi tortami i wieżą. Był to osobny świat sam w sobie, tajemniczy i pociągający. Lata tam spędzone były czymś w rodzaju bajki poza codziennością, trzy bajkowe lata wśród elfów i krasnali, gdyż Francuzi są tak bardzo inni, mali, drobni, piękne profile, uduchowieni, gadatliwi, a równocześnie zachowujący dyskretny dystans i zamknięci w swojej powadze. Humoru niełatwo się u nich doszukać, jak zresztą w ogóle innych wyrazów na H, ale na poezji znają się lepiej niż wszyscy pozostali, mają ją wrytą w kamieniu i wymalowaną na ulicznych szyldach. Nie można się nudzić w mieście, które oferuje dwie drogi do Rue du Paradis - albo przez Rue de la Fidélité, albo przez Passage du Désir.

Jednak wiosną 1974 miałam już wszystkiego dosyć. Liczyłam sobie czterdzieści pięć lat, a jeszcze nigdzie tak na dobre nie osiadłam. Dość już nazbierałam krajów w moim życiu. Mężczyzn też. Dość etykiety i dyplomacji. Postanowiłam jechać do domu, zanim mój żołądek

zbuntuje się przeciwko szampanowi i francuskiemu menu. Miałam już tego po dziurki w nosie, flaki mi się przewracały od francuskich frykasów i czułam nieodparty apetyt na proste islandzkie jedzenie: ohydne hot dogi i ciepłą colę w chłodnym deszczu pod żółtą wiatą hali sportowej gdzieś na szpetnym wiejskim zadupiu.

Po spędzeniu połowy życia za granicą łaknęłam swojego kraju ze wszystkimi jego niedociągnięciami. Z jego stowarzyszeniami pijących kawę kobiet, jego obsesją ciasta, spożyciem coli i plamieniem sosami koktajlowymi. Z burzami i wichrem, nieokrzesanymi, szorstkimi facetami. Z jego pozbawioną kultury, po pastersku prymitywną architekturą, kiepsko imitującą niemiecką, jego bezkresnymi parkingami i świątyniami stacji benzynowych.

Najdziwniejsze w tym pięknym Paryżu było to, że najbardziej brakowało mi tutaj surowości, brzydoty Reykjavíku i brutalnej pogody w zimie. Po prostu nie mogłam znieść tych wszystkich wypolerowanych poręczy, damulek w futrach i estetycznie przemyślanych miejsc. Nie mówiąc już o ciągłym ciurkaniu fontann. Z pewnością owa potrzeba prostoty i niedoskonałości wynikała z niedostatków uroku w naszym kraju, gdyż Islandia doprawdy nie wszędzie jest piękna. Płaskowyż na przykład jest w wielu miejscach okropnie brzydki, tak samo jak okolica wokół Snæfellsjökull, a co dopiero półwysep Reykjanes czy Hellisheiði, ten na zimno wypieczony pudding ze śnieżnej kaszy. A jednak podróżni przybywają z daleka na te zimne, nieprzyjazne pustkowia, bo mają dość owego dyktowanego unijnymi normami uroku z kamiennymi kościółkami, winoroślą i dziewczętami w zielonych fartuchach sprzedającymi jabłka. W każdym razie ja miałam tego serdecznie dość i chciałam z powrotem do domu, do mojego zacinającego lodowatego deszczyku ze śniegiem nad połaciami lawy.

Ale najbardziej tęskniłam za moimi najukochańszymi rodakami, tym zbiorowiskiem świrów na najdalszym krańcu mórz. Tęskniłam do grubiaństwa, braku wszelkich form w obejściu, owej energicznej brawury, tej młodości, jaką mają w sobie ludzie żyjący w tym niewychowanym kraju, który nie potrafi się zachowywać lepiej niż jego mieszkańcy.

Zabrałam ze sobą dzieci i zostawiłam je u Gútty, dawnej przyjaciółki z ulicy Nönnugata, a ja w tym czasie udałam się na objazd wyspy, zaliczając facetów jednego po drugim. Wchłaniałam wręcz w siebie ten kraj i jego naród, który przypadkiem akurat tego lata obchodził urodziny: w lipcu przy pięknej słonecznej pogodzie świętowaliśmy 1100. rocznicę odkrycia. Na balu w gminie Hnífsdalur siedziałam razem z operatorem buldożera z Árnafjörður i paliłam papierosy marki Viceroy, ludzie oblewali nas colą i samogonem, a na scenie jakiś zespół odgrywał tanią kopię Beatlesów. Nigdy nie czułam się lepiej. Byłam *happy*.

Już dwa razy zdążyłam się wyrzygać, kiedy następna fala wódki wyrzuciła na brzeg kieliszka marynarza w średnim wieku, chłopca jak dąb, z bokobrodami, wybitym zębem i tak szerokimi palcami, że ledwie mieściły mu się u dłoni, choć jednego i tak już brakowało. Facet był tak zalany, że nie umiał nawet się przedstawić i wyrzucał tylko spomiędzy zębów ciągle to samo pytanie:

- Czy widziałaś już kiedyś morską kozę? - Chwiał się przy tym na krześle jak na wzburzonym morzu.

- Ty jesteś moją morską kozą?

W końcu trochę mu się przejaśniło, mógł siedzieć prosto, gapił się w swoją szklankę i nagle zaczął śpiewać:

Och Rose, och Rose, Jesteś jak rabarbarowy sos! Wpłać swoje złote włosy Na moje konto W bankuuu! Zespół zgubił rytm, niektórzy odwrócili głowy, pewna starsza kobieta się uśmiechnęła. Facet skończył śpiewać i przechylił się na bok jak podcięte drzewo. Zdążyłam go jeszcze złapać, zanim runął na lepką od coli podłogę. Na chwilę oprzytomniał, położył mi głowę na ramieniu, wziął moją bladą i delikatną damską dłoń w swoją niedźwiedzią łapę i już jej nie puścił.

97

BÆRING

1974

Nazywał się Bæring Jónsson. Człowiek z Bolungarvík do szpiku kości. Sternik na statku „Vesta” ÍS 306. Pół życia spędził na mostku, mając przed sobą rozbujaany horyzont.

A przecież ja już nigdy nie chciałam się z nikim wiązać! Spędziliśmy dość szalony weekend w jego ogromnym domu u stóp Bjólfura. Między nami iskrzyło, błyskało się i grzmiało. Miałam nawet łzy w oczach na molo, kiedy się żegnaliśmy (zamustrował się na dłuższy rejs), a potem zadzwoniłam do moich synów, żeby jak najszybciej wsiadali w samolot: ich matka została kobietą z Fiordów Zachodnich.

Bæring był wesołym człowiekiem. Niski i silny, z jasnymi włosami, ciemnym zarostem i zniewalającym uśmiechem, który zawsze igrał wokół jego złamanego siekacza. Dla niego liczyło się tylko jak najwyżej i jak najdalej. To dotyczyło jego brzucha i klatki piersiowej oraz pełni jego policzków. Ten facet był samym kwitnącym życiem.

Przyjemnie było patrzeć, jak pali. U jego prawej dłoni brakowało palca środkowego („zatonął w sztormie wielkanocnym”), ale przerwy nie było widać, bo pozostałe palce były tak grube, że ją wypełniały. Tam wkładał papierosa i tak podnosił go do ust. Dla mnie to

wyglądało, jakby wysysał papierosa, jak gdyby był słomką do picia. Długo zatrzymywał w ustach dym - tak długo, aż ludzie zaczęli się zastanawiać, co się z nim stało, czy zaraz nie wyjdzie dołem. Potem powoli i z godnością wydmuchiwał go przez nos, jak biały dym z watykańskiego komina.

Kiedy się poznaliśmy, Bæring Jónsson miał pięćdziesiąt lat, ale często brano go za młodszego ode mnie, naznaczonej już przez siedem żyć. Byłam nawet tak głupia, że mi się wydawało: ten facet jest moją ostatnią szansą. Bæring był pozytywnym człowiekiem, ale głęboko w jego duszy mieszkał czarny diabeł, który zawsze wychodził z niego co cztery dni, jak mechanik, który wystawia swoją czarną od smarów głowę z maszynowni.

Pierwszej zimy czekałam na niego zawsze w porcie, trzęsąc się z zimna, ale ze szminką na ustach. Przeważnie schodził na ląd całkiem ześwirowany.

- Ach, tu jesteś! Gdzie byłeś przez cały czas?

- No, tutaj. Tam w domu.

- Ależ tęskniłem za tobą! A ty się wcale nie pokazałaś.

- Nnnie... - odpowiadałam niepewnie, bo trochę trudno mi było pojąć jego absurdalne poczucie humoru.

- No dobra. Byłaś w monopolowym?

- Tak.

- Kupiłaś też coś do mieszania?

- Tak, canada dry i sok pomarańczowy.

- A nie sok chmielorańczowy? Ha, ha.

Nawet jeśli była dziesiąta rano, najpierw musiał się napić jednego, a potem, po seksie, rozkręcał się na dobre i pił do samego wieczora. Nie zawsze umiałam sobie z nim radzić, ale mimo wszystko uważałam, że pijani faceci są też czasem zabawni. Później zasypiał i spał przez czterdzieści godzin. Potem następowała druga część urlopu na łodzi, a przebiegała ona dokładnie tak samo jak pierwsza. Był mocnym, wytrwałym kochankiem, choć wyrafinowanie nie było jego mocną stroną. W młodości był żonaty z kobietą, która teraz mieszkała w Ísafjörður. Mieli córkę, Lilję, wtedy dwudziestoletnią, czasem przychodziła do nas, żeby też się napić.

Raz po powrocie z rejsu Bæring wyciągnął ze swojego marynarskiego worka jedwabną sukienkę w czerwone i białe kwiaty i stwierdził, że kupił ją na „Szwindellandii”, gęsto zaludnionej wyspie, na którą niespodziewanie natknęli się na morzu. Leży między Islandią a Grenlandią i przez setki lat była ukryta przed marynarzami. Szwindellandia jest zupełnie inna niż nasz kraj, bardziej zielona i cieplejsza, jego kompani spędzili tam wspaniały

rozrywkowy weekend. Potrafił opowiadać takie historie, rozkręcał się wtedy i osiągał wspaniałą formę, póki nie zmógł go alkohol. Z każdym łykiem słabła miłość, każdy pocałunek oznaczał podporządkowanie, każde dotknięcie było jednostronnym wysiłkiem. Ostatniego dnia obudził się zły i ponury ze strasznym kacem. Mechanik wystawił swoją czarną głowę z włazu i komenderował mną po całym domu. „No, ruszaj się, prezydencka dziwko!”

Bałam się i zamknęłam się w ubikacji. On zaczął walić pięściami w drzwi, aż posypały się drzazgi, a potem poszedł na statek ze złamaną ręką. Ale to nawet dla niego było za dużo i trzeciego dnia wrócił drogą powietrzną, amerykańskim wojskowym śmigłowcem. Jego ramię wyglądało, jakby miał słońiowaciznę. Zwolnienie lekarskie przedłużyło się na czas nieokreślony i tak przycięty był całkiem innym człowiekiem. Mieliśmy szereg szczęśliwych dni, z prawdziwym rodzinnym życiem. Bæring był w domu i poznał moich chłopców, siłował się z nimi swoim zdrowym ramieniem i dawał Halliemu wygrywać, kiedy akurat u nas był. Halli chodził tymczasem do gimnazjum i mieszkał na stacji w Ísafjörður. Nie mogłam się nacieszyć, że mam męża, który lubi tak samo wszystkich moich synów, bo żaden nie jest jego, i je wszystko, co mu postawię na stół. Faceta, który budzi się przede mną i robi kawę dla dwóch osób. Który z uśmiechem wchodzi do sypialni i na koniec każdego dnia doprowadza moją skórę do śpiewu.

Wreszcie miałam dobre życie.

98

HREFNUVÍK

1980

Moje hitlerowskie jajo schowałam w owczarni - włożyłam je do starego drewnianego pudełka i ukryłam pod karmnikiem. Był koniec czerwca, dlatego stajnia stała pusta, w środku został tylko jeden baran, nasz jedyny tryk, Sigvaldi. Idąc do wyjścia, zatrzymałam się przy nim. Nieruchomym wzrokiem patrzył na mnie spod swoich potężnych rogów, tym tak bardzo męskim spojrzeniem. Oni wszyscy je mieli. I tak też należało z nimi postępować: zamknąć w zagrodzie.

Generator ucichł, wieczór był jasny i piękny, ale na zewnątrz na szerokiej zatoce Djúp marszczyły się jeszcze fale dnia. Nocna bezwietrzna cisza nie była daleko, już jaśniała na lodowcowej lagunie naprzeciwko. Laguna Kaldalón to jedno ze świętych miejsc Islandii. Niewiarygodne, jak długo mogłam ją obserwować, ciągle na nowo, tak samo niewiarygodne jest to, co mi to dawało. Dopóki mogłam codziennie patrzeć ponad Djúp, każdy dzień był dla

mnie niedzielą. To było jak obraz na ołtarzu. Tam, gdzie ląd stykał się z wodą, łagodnym zakolem schodził w dolinę lodowiec, który odbijał się w lodowcowym jeziorze.

Nasz dom stał w pobliżu otoczonej skałami zatoczki, mały, na biało malowany dom dla krasnoludków z zielonym dachem, z kilkoma edredonami pływającymi po zatoce. Chyba to był przypływ, tak mi się wydaje. To miejsce mogło być cudownym punktem docelowym moich podróży. Po dziesiątkach lat dryfowania na pełnym morzu Herra wreszcie zakotwiczyła. Znalazła w Hrefnuvík swój port. Zatoka znajduje się niedaleko od Ögur, pofałdowanego terenu, ze sterczącymi tu i ówdzie formacjami skalnymi, niektóre wchodzą aż do morza.

- Gdzie byłaś?

- Na chwilę wyszłam na dwór.

- Dokąd?

- Tak tylko, poszłam na chwilę do stajni, dałam Valdiemu trochę siana i...

- Już dzisiaj go nakarmiłem. Nie powinnaś się kręcić poza domem! Nie chcę tego, zrozumiano?! Może czekałaś na Jóna? Chciałaś go spotkać?

- Co?

- To który by to był?

- Nie rozumiem cię!

- Może on... może będzie twoim Mil-Jónem? Hm, będziesz go nazywała swoim Miljónem?

- Mówisz o Jónie z Móðárkot?

- Jesteś wywłoką i latawicą.

- Nie śledzisz wyborów?

- Dziwka. Jesteś tak napalona, że robisz to nawet w stajni z naszym baranem.

- Gdzie jest radio?

- Wydaje mi się, że będą młode. Beee beee! Ach nie, co ja wygaduję? Przecież ty już nie możesz mieć dzieci. Masz w sobie tylko same zepsute jaja i tak też cuchniesz, bue!

Siedział na brzegu sofy, a teraz nachylił się nad stolikiem, na którym stały butelki, szklanki i popielniczki. Przy ostatnim zdaniu plątał mu się język. Jeśli miałam szczęście, zaraz powinien zasnąć.

- Gdzie postawiłeś przenośne radio? - powtórzyłam.

- Czy ty mnie nie słuchasz, kobieto?

- Tak, ale chcę znać aktualne wyniki.

- Ty *mnie* nie słuchasz? Masz słuchać, kiedy do ciebie mówię.

Zerwał się z sofy, choć o mało nie zwał się znów do tyłu. Odłożył papierosa i obszedł stół. Chciałam uciec do kuchni, ale złapał mnie za ramię i zanim zdążyłam się obejrzeć, już dusił mnie za szyję. Okropnie śmierdział. Sfermentowany alkohol, tytoń, pot. Już od jakiegoś czasu nie mogłam z nim pić. To były złe czasy. Zacisnął łapy jeszcze mocniej i splunął mi przez ramię.

- Słyszysz teraz, Herro? Masz mnie słuchać, kapujesz? Rozbieraj się!

Puścił mnie i znów mogłam zaczerpnąć powietrza. Popychał mnie przed sobą.

- Rozbieraj się, mówię.

Pokazał na sypialnię. Był to malutki pokoik, zbudowany dla pary krasnali, która spędzała tam przytulne chwile - tyle można było wyczytać z drewnianej podłogi i ładnie pomalowanych drewnianych ścian. Byłam do tego przyzwyczajona. Lepiej zacisnąć zęby i robić, co każe. Za kwadrans będzie po wszystkim. Tego dnia mogło potrwać trochę dłużej, był zbyt pijany.

To naprawdę niezwykle, ale byłam w stanie przetrwać te codzienne gwałty dzięki temu, że myślałam o swoich dzieciach, bardzo intensywnie. Halli studiował tymczasem na uniwersytecie w Reykjavíku, Óli i Maggi chodzili do okręgowej szkoły w Reykjanes, trzy fiordy dalej. Miałam ich przed oczami, na lekcji pływania, na przerwie. Co robili, kiedy tak stali oparci o szkolną ścianę? Chyba nie zaczęli palić? A ten tutaj jeszcze nie skończył? Dzisiaj naprawdę jest źle.

On chyba też doszedł do tego wniosku, bo nie dokończył, tylko nagle przestał i strącił mnie z łóżka.

- Boże, wyglądasz obrzydliwie! Jak wyliniąta owca. Nic dziwnego, że przy takim strachu na wróble facetom opada. Wypierdalaj!

Spróbowałam wstać. Mój Boże, jaka się czułam mała. Nie większa niż kawałek skorupki jajka rybitwy.

- Wynoś się, powiedziałem!

Wypadłam z sypialni, w pokoju dziennym otuliłam się kocem. On wyszedł za mną i rozkazał:

- Wynoś się! Wypieprzaj z tego domu!

Zerwał ze mnie koc, wypchnął mnie do przedsionka, stamtąd na podwórze i zatrzasnął za mną drzwi.

Byłam pięćdziesięcioletnią kobietą, z maltretowaną fizycznie i psychicznie, przez długi czas wielokrotnie gwałconą, a teraz naga i blada jak śmierć, z podrapanymi kolanami, zostałam wyrzucona z domu na temperaturę pięciu stopni, jaką oferowało nam islandzkie lato

tego letniego wieczoru. Stałam na nogi i próbowałam wejść do domu, ale usłyszałam, jak zamyka od środka na klucz. Przy oknie błagałam o łaskę i długo płakałam. Mój kochany, dobry Bæringu! Proszę! Kochanie, skarbie, moja jedyna największa miłości! Już będę dla ciebie dobra, wszystko zrobię, jeśli tylko wpuścisz mnie z powrotem do domu.

Czyżby zasnął? Rozejrzałam się. Bryza od morza trochę osłabła, ale było mi potwornie zimno. W końcu zdecydowałam się poszukać schronienia w owczarni. Naga kobieta szuka wełny. Na palcach przeszłam przez pastwisko pełne wybojów i kamieni. Za domem biegła droga, ale na szczęście nie jechało nią żadne auto. Weszłam do tej części budynku stajni, która służyła jako stodoła, ale nie było tam nic, czym mogłabym się ogrzać. Stodoła była praktycznie pusta, tylko kilka bel siana leżało w kącie. Przypomniało mi się, że była tu kiedyś barania skóra, którą zostawili dawni właściciele. Co on z nią zrobił? Podeszłam ostrożnie do jednego ze źłobów. Sigvaldi stał jak wryty i patrzył na mnie. Tak, tam była. Bæring powiesił skórę na belce dachowej. Ściągnęłam ją na dół i wróciłam do stodoły, gdzie urządziłam sobie gniazdo w sianie i nakryłam się ciemnym, sfilcowanym futrem. W każdym razie było cieplejsze niż siano. Pomyślałam o owcach. Błogosławione stworzenia!

Przez cały wieczór siedziałam tak w kącie. Drobna, naga kobieta, która żyła już ponad pół wieku, ale niczego się nie nauczyła. Nadal byłam dygoczącą małą dziewczynką, która w noc, kiedy budziła się Islandia, została zgwałcona w leśnej chacie, a potem uciekła stamtąd jak oszalała. Nie - wtedy roznosiła mnie wściekłość, a teraz byłam złamana i opuściły mnie wszystkie siły życiowe. Życie toczy się dalej, ale nic nie idzie do przodu. Tak samo kiedy się starzejemy, rozwój nie idzie naprzód, tylko raczej się cofa. Przyjdź, młoda Herro z dawnych czasów, mów do mnie i przywróć mi siłę, którą straciłam! Gdzieś po drodze między Baires i Bæringiem. Jak do tego doszło? Że kobieta, która zaledwie kilka lat temu z pewnością siebie i paryską arogancją, wyprostowana i szykowna spacerowała bulwarem Saint-Michel, mogła tak nisko upaść, że teraz naga i szczękająca zębami siedzi w stodole o temperaturze pięciu stopni na skraju zamieszkanym terenów Islandii i pozwala niewykształconemu kwartalnemu pijakowi tak się sponiewierać, że potem nie może nawet znieść nieruchomego spojrzenia barana? Słyszałam go po drugiej stronie, faceta z rogami. Wierzgał w swojej zagrodzie. Co za upadek! A przecież nad Djúp tak mi się podobało. Oboje chcieliśmy zacząć nowe, lepsze życie i cieszyliśmy się, że możemy wyjść ze swoich dawnych ról gospodyni domowej i marynarza. Razem chcieliśmy rozwijać gospodarstwo rolne, najbardziej naturalny styl życia kochającej się pary. Pierwszą zimę dało się przetrwać, następna jesień była cudowna, a Bæring nie pił. Ale znów w czasie adwentu zapukało do drzwi wielkie świąteczne pragnienie. Chłop Bæring pojechał do wsi i wrócił z kartonem wódki, sześć butelek. Kiedy zostały

opróżnione, już kolejna szóstka przywieziona przez statek pocztowy czekała na przystani w Ögur. Potem nastąpiło pięć miesięcy pełnych picia i pieprzenia, czyli codziennych gwałtów, które stały się rytuałem w tym domu i powtarzały się z taką niezmienną punktualnością po wieczornych wiadomościach jak prognoza pogody z Państwowego Instytutu Meteorologii. W Wielki Piątek byłam wykończona i pobiegłam przez głęboki mokry śnieg do najbliższego domu, Móðárkot. Jón, który mieszkał tam samotnie, nie był człowiekiem stawiającym pytania, tylko zrobił mi gorącego grogu i siedzieliśmy długo przy kościelnych pieśniach, aż noc zadudniła do okna grzmotem. Swoje okulary czyścił mleczkiem do polerowania. „Wtedy wszystko jest jasne i czyste”, wytłumaczył mi, a ja upuściłam kilka łez do grogu.

Następnego dnia mogłam się zabrać samochodem do Ísafjörður i spędziłam święta u dwóch moich ciotek. Mieszkały razem, obie były wcieleniem gościnności i ciągle dopytywały się o chłopców. W Poniedziałek Wielkanocny zjawił się Bæring, trzeźwy i ujmujący, i przyjął zaproszenie na resztkę baraniego udźca. Wieczorem skończyła się moja wycieczka.

Po zakończeniu roku szkolnego pod koniec maja przyjechali chłopcy, dwa wesołe blondasy. Od tej chwili wszystko szło dobrze, aż do dnia, kiedy wyjechali na turniej piłkarski do Þingeyri. Gdy tylko wsiedli do autobusu, który po nich przyjechał, on otworzył pierwszą butelkę.

Znienacka przypomniał mi się mój granat, który przecież schowałam w stajni. Może to nie taki głupi pomysł... Ale zanim zdążyłam go wyciągnąć, zaskrzypiały drzwi. Mój mąż wszedł do stodoły - już nie tak pijany, za to uzbrojony w starą myśliwską strzelbę. Czasami strzelał do nurzyków na morzu albo kuropatw na lądzie. Teraz miał ochotę na kobiece mięso. Wskoczyłam z siana, przemknęłam pod ścianą działową i już byłam w stajni. Był zbyt powolny i nie zdążył nacisnąć spustu, ale wszedł na korytarz, szukając ofiary. Baran zrobił wielkie oczy, kiedy zobaczył, jak naga i z kulą wielkości pięści w dłoni wychodzę z ciemnego kąta stajni.

- Nawet się nie waż - powiedziałam drżącym głosem i tak, niemal czterdzieści lat po tym jak ojciec włożył mi tę broń do ręki, żebym mogła się obronić, włożyłam palec w kółko zawlecзки i przygotowałam się, żeby ją wyciągnąć. Wreszcie nadszedł czas.

- Co to takiego? Flaszka perfum? Jesteś nie tylko dziwką, ale i wariatką.

- Nie, to nie są moje perfumy. To granat ręczny. Niemiecki granat z wojny.

- Bzdura!

- Możesz się przekonać! Jeśli tylko spróbujesz do mnie celować, wyciągnę zawleczkę...

Byłam tak zdenerwowana i przejęta, że drżał nie tylko mój głos, ale i palce, i dłonie. I

nagle boleć się odłamał. Granat był odbezpieczony.

- Ty i twoja wojna.

Trzymałam granat przed sobą i cicho odliczałam jeden, dwa, trzy, cztery, równocześnie podchodząc do otwartych drzwi stajni. Podłoga była miękka od starych odchodów owiec. Bæring podniósł strzelbę, ja rzuciłam granat, huknął strzał. Ale ja bez szwanku wydostałam się na wolność. Granat jednak chyba nie eksplodował.

Pobiegłam do domu. Tuż zanim skręciłam za róg stajni, strzelił drugi raz. Gdzieś rozprysnęła się szyba. Wpadłam do środka, zamknęłam drzwi na klucz, złapałam z wieszaka sweter, założyłam na siebie i weszłam pod stół. Na zewnątrz rozlegały się jego ryki. Niech tylko „prezydencka szmata” wyjdzie i otworzy drzwi. Załatwił jeszcze jedno okno i wsunął lufę przez rozbitą szybę.

- Gdzie się schowałeś, Herro?

Strzał. Trafił krzesło w pokoju dziennym. Udało mi się niepostrzeżenie przeczołgać do sypialni, znalazłam tam na podłodze spodnie od pizamy i na leżąco je naciągnęłam, podczas gdy on był zajęty przy oknie. Czyżby próbował się przez nie przecisnąć? „Kurwa”, zaklął. Jeszcze jeden strzał i znów dźwięk rozbijanej szyby. Otworzyłam okno sypialni i z trudem wyszłam na zewnątrz. Kulejąc, pobiegłam w górę do drogi, słyszałam, jak woła za mną. Co się stało z moim życiem? Dotarłam na drugą stronę drogi i rzuciłam się za skalny blok, chciałam najpierw złapać oddech.

Dlaczego granat nie wybuchł? Nagle znów go usłyszałam. Teraz był na drodze.

- Herro? Przykro mi. Wyjdź już! - wysapał zdyszany.

Wyrzałam zza skały i zobaczyłam, że stoi na środku drogi bez strzelby w rękach. Cofnęłam się i wzięłam do ręki kamień. Dopiero wtedy poczułam ból w nodze.

- Gdzie jest strzelba?

- Tam gdzie została. Ja... Herro, pogódźmy się!

Jego głos zdradzał, że jeszcze był pijany, ale zaraz utonął w głośnym ryku silnika zza wzgórza. Tuż potem na szutrowej drodze ukazał się garbaty saab. Bæring odwrócił się i przeszedł na pobocze, ale samochód zatrzymał się obok niego. Rzeński głos młodego mężczyzny zapytał o chatkę myśliwską. Skorzystałam z okazji i przemknęłam przez drogę z powrotem do zabudowań. Bæring popatrzył za mną. W krzakach za domem znalazłam strzelbę, wzięłam ją i okrążyłam budynek. Za moimi plecami samochód nawrócił i znów zniknął za wzniesieniem. Zaczął się odpływ, brzeg był teraz szeroki, pierwsze kamienie wystawały jeszcze czarne od wilgoci, woda w zatoce leżała spokojna i srebrzysta. Bajecznie piękna czerwcową noc nad Djúp.

- Herra!

Przystanęłam i odwróciłam się, teraz czułam się pewniej z bronią, w granatowym marynarskim swetrze i w kraciastych spodniach od piżamy. Szedł powoli od drogi, minął dom i zbliżał się do mnie.

- Herro - powiedział teraz spokojnym tonem. - Wybacz. Czy możemy się wreszcie pogodzić?! Zostaw te głupoty!

Uniosłam strzelbę, groźnie, ale drżącymi dłońmi.

- W środku już nie ma nabojów - stwierdził pewny siebie i wyciągnął rękę, podchodząc jeszcze bliżej. - No chodź, oddaj mi ją!

Opuściłam broń, ale nie zamierzałam jej oddawać. Zaczęłam się wycofywać w stronę brzegu po chrzęszczących kamieniach. On szedł za mną. Odwróciłam się, obiema rękami złapałam strzelbę za lufę, zamachnęłam się i wyrzuciłam ją tak daleko, jak tylko potrafiłam. Spadła z pluskiem na gładką powierzchnię wody i zniknęła w głębinie. W tej samej chwili jego łapa schwyciła mnie za ramię, a on ryknął mi do ucha:

- Co ty, kurwa, zrobiłaś, głupia babo?

Błyskawicznie odwrócił mnie twarzą do siebie i wałnął pięścią poniżej nosa. Upadłam, o mało nie straciłam przytomności, wreszcie udało mi się stanąć na czworakach i wyplułam kawałek zęba. Krew kapłała na kamienie. Chciał mnie dalej bić, ale udało mi się wyrwać i spadłam na mały cypel z większymi kamieniami. Dwa razy próbowałam stanąć na nogi, za drugim razem zatrzymałam w dłoni kamień. Wkrótce znalazłam się na końcu cypla, jak umierająca, która jeszcze tylko ma szansę na jedną ostatnią myśl. Przede mną była śmierć, za mną woda. Powoli zbliżał się do mnie, z trudem utrzymując równowagę w gumiakach, z zaciśniętymi pięściami, groźnie sapiąc. Kiedy dzieliła nas zaledwie długość łodzi, pośliznął się na mokrym kamieniu i wałnął potylicą o inny głaz. Leżał potem nieruchomo. Czekałam dłuższą chwilę. Jak długo? Minutę? Pół godziny? Potem powoli i ostrożnie zaczęłam do niego podchodzić. Z głowy sączyła mu się krew. Czyżby był martwy? Moja miłość umarła?

Nachyliłam się nad nim. Nagle wydał z siebie głos, otworzył oczy i podniósł ramię. Tak się przestraszyłam, że w panice zdzieliłam go w głowę kamieniem, który nadal trzymałam w dłoni. Z lekkim trzaskiem wylądował na jego skroni.

Przeraziło mnie to, rzuciłam się na niego i próbowałam przywrócić do życia, poklepywać, gładzić, dać mu te kilka kropli miłości, które jeszcze mi zostały. Nic nie pomagało. Facet był martwy.

Opukiwałam mu klatkę jak szalona, a potem zobaczyłam umazany krwią kamień i wyrzuciłam go do morza.

Potem stałam na końcu cypla jak żywa latarnia morska i patrzyłam przez Djúp do Kaldalón i czułam się silna, opanowana, czułam się znowu sobą, jako zwyciężczyni, jako kobieta. Zabiłam mężczyznę.

To uczucie utrzymywało się przez pół godziny, potem zrobiło mi się zimno. Przeszłam nad nim, wróciłam do domu i zadzwoniłam do Ísafjörður. Powiedzieli, że najpóźniej za dwie godziny wyślą karetkę. Opadłam na sofę, wypięłam jedną butelkę, potem otworzyłam drugą i paliłam papierosy, aż wybity ząb przestał krwawić. Włączyłam radio.

Była piąta, relacje z wyborów jeszcze się nie skończyły. Włączyłam w samym środku rozmowy. Reporterka właśnie pytała nowo wybraną panią prezydent, czy uważa swój sukces wyborczy za krok w walce o równouprawnienie. Rzadko słyszało się Vigdís Finnbogadóttir udzielającą tak szybkiej, energicznej odpowiedzi:

- Tak, sądzę, że tak.

Dopiero wtedy rozkleiłam się i zaczęłam płakać.

99

BLÓMEY

1980

Płakałam przez cztery tygodnie, cały lipiec spędziłam w łóżku i do niczego się nie nadawałam. To nie była żałoba wdowy ani też wyrzuty sumienia morderczyni. Wydaje mi się, że opłakiwałam swoje własne życie. Jón z Móðárkot zaglądał czasem, żeby zobaczyć, jak się czuję. Dobry człowiek! Nie miał telefonu, ale zawsze był „połączony”, z prawdą i z czasem, tą wielką dwójką, która tyka w skałach całego kraju, bezpłatnie dostępna dla wszystkich. Tacy oni byli, ludzie mieszkający nad Djúp. Nie potrzebowali kabli telefonicznych, dopóki ich anteny skierowane były do wewnątrz.

Jón przychodził zawsze, kiedy czułam się szczególnie kiepsko. Pukał dwa razy, wchodził bezszelestnie do domu w swoich gumowych butach, pedantyczny mężczyzna, pachnący mleczkiem do polerowania, z siatką popękanych żyłek na nosie i policzkach, poza tym blady, z opadającymi w dół kącikami ust i zębami jak u owcy. Nigdy nie zadawał pytań, po prostu siedział przy mnie, kiedy czajnik się rozgrzewał. Nazywano go Pospiesznym Jónem, bo wszystko robił niezwykle wolno. Kiedy się go o coś pytało jesienią, odpowiadał na wiosnę.

O śmierci mojego męża nic nie mówiłam. A wtedy w Ísafjörður nie mieli żadnego komisarza Wallandera. Nikt nie zjawiał się z protokołem sekcji zwłok, żeby zadać mi jakieś pytania. Ludzie znali Bæringa i wiedzieli, jak on chodził... W końcu sama nie wiem, czy to ja

go zabiłam.

Nadeszła jesień i życie znów stało się lżejsze. Wstawałam, kiedy robiło się jasno, czyli codziennie o minutę później niż poprzedniego dnia. Doglądałam owiec, robiłam sobie też coś do jedzenia i sięgałam po jakąś książkę. Marynowałam mięso i gotowałam rosół na dziesięć dni. Przez cały miesiąc nie zmywałam naczyń. O siódmej, szóstej, piątej po południu znów robiło się ciemno, włączałam generator. Wieczorem kładłam się do łóżka i słuchałam radia albo po prostu błdziłam gdzieś myślami.

Pod koniec października nie miałam już więcej papierosów i nawet zapomniałam o starym nałogu, kiedy miesiąc później obwoźny sklep dostarczył mi nową partię. Uświadomiłam sobie wtedy, że znalazłam tutaj zupełnie nowy rodzaj szczęścia - szczęście w prostym życiu.

Wreszcie osiągnęłam wolność duchową. Mężczyzn i dzieci miałam już za sobą, żadnego bata nad głową, żadnego nacisku, który obecnie opanował naszą codzienność. W miastach nikt nie jest szczęśliwy, oprócz ludzi z rynsztoka i gangsterów.

Czyżbym po tych latach gonitwy na świecie stała się w końcu wiejską kobietą?

W pewien zimny adwentowy wtorek zepsuł się generator. Cisza bardzo mi odpowiadała, ale ciemność zaczęła oblegać dom jak armia, a na jej konsekwencje byłam zupełnie nieprzygotowana. Znienacka stary upiór znów zaczął podnosić swój obrzydliwy łeb. Mechanik z maszynowni mojego życia nie był jeszcze całkiem martwy. W jednej chwili znalazłam się z powrotem w środku ciemnej nocy z najokropniejszymi wizjami. Wydawało mi się, że wrócił, i w każdej chwili spodziewałam się zobaczyć lufę strzelby wsuwającą się przez okno. Z panicznego strachu przed ciemnością zaczęłam w każdym kącie palić świece. A mimo to nie mogłam zasnąć. Choć było zupełnie cicho, miałam wrażenie, że zaraz pęknie mi głowa. Jakby wszystkie gwałty z przeszłości nagle spadły na mnie znów naraz, niczym sto trupiobladych nietoperzy, które były mnie od środka i na zewnątrz swoimi skrzydłami opatrzonymi pazurami i wbijały we mnie swoje maleńkie ząbki. Doszła do tego szczególna parka: ból i porażka oraz gniew na zmarnowaną miłość i razem zaczęły okładać pejczeniem wrzeszczące zwierzątka, które gryzły tylko jeszcze mocniej. Przez tę całą kakofonię dosłyszałam jednak jakiś dźwięk z kuchni, głuche stuknięcie. Włamał się? Nie, to był huk, *ten* huk: Mała dziewczynka pojawiła się przed moimi oczami, moja mała dziewczynka, moja najdroższa, ukochana, świętej pamięci córeczka, która w innym życiu zginęła w wypadku na wąskiej ulicy. Ukazała mi się, unosiła się nad podłogą z połyskującymi w świetle świec lokami. Była taka śliczna! Miała to samo ubranko co tamtego dnia, kiedy umarła, i śpiewała piosenkę:

Blómeý, Blómeý, Ty masz swój dom, hej! Na Boga, ten głosik! To była ona. To ona. Mój aniołek, moje ukochane dziecko, taka piękna i jasna, blondyneczka z niebieskimi oczkami, moja Blómeý! A równocześnie taka upiorna jak zjawa, jakby postarzała, dziewczynka, która od trzydziestu lat ma dwa lata i chce powiedzieć swoje imię. Powiedziała: Blómeý. Potem jej nie było, zniknęła.

100

POGRZEBY

1988-1989

Moja matka zmarła w sierpniu 1988 roku, a ja pożegnałam ją słonymi łzami. Þórdís Alva, moja synowa, napisała tak wzruszający nekrolog w gazecie, że wysłałam jej za to w liście dwadzieścia tysięcy koron. W kilku prostych zdaniach przypomniała mi znów tę ziemską boginię, która w pierwsze wojenne Boże Narodzenie w łóżku ambasady usypiała mnie swoim zapachem potu. Zaledwie dwa miesiące później przerwała się ta mocna pępowina, którą znów mogłam odnowić dopiero w ostatniej chwili. Na różne sposoby moje życie było biegiem maratońskim do tego szpitala, w którym ona oczekiwała na swoją ostatnią chwilę. Zdążyłam jeszcze na czas, zdyszana uklęknęłam przy jej łóżku i jeszcze do wieczora mogłam znów być jej córką.

Ach, kochana mamo!

Johnsonowie stawili się licznie na pogrzebie, także i Björnssonowie byli w komplecie. Nawet nie byłam świadoma, jak wielką i wytworną damą stała się moja matka, zanim otworzyłam drzwi do kościoła. Przez chwilę myślałam, że znalazłam się na niewłaściwym pogrzebie, aż udało mi się rozpoznać pojedyncze twarze z Breiðafjörður, wysmagane wiatrem i ogorzone wysepki w morzu pudru i futer.

Ze stypy zabrałam ojca do domu i poprowadziłam schodami do góry w domu przy Skothúsvegur. Udało mu się włożyć klucz do dziurki, ale na progu się przewrócił. Musiałam wezwać na pomoc sąsiadów, żeby położyć go do łóżka, potem usiadłam obok, ujęłam jego łuszczącą się dłoń i przesiedziałam tak dziesięć miesięcy. Czasami czytałam mu coś z gazet, puszczałam płyty i recytowałam wiersze Schillera, które jeszcze pamiętałam: „Forma z gliny wypalona w ziemię wryta mocno stoi...”* . Czasami w jego aparaturze nadawczej pojawiała się jakieś życie i mamrotał coś o swoich „Młodych Lwach” czy jakoś podobnie. „Dużo ich było... Młodych Lwów”. Może to było jego drugie najgorsze przeżycie wojenne. Ze względu na mamę rzucił palenie, kiedy znów byli razem; teraz przeze mnie znów zaczął palić, bo czasami pozwalałam mu pociągnąć dymek z mojego papierosa. Było widać, że mu to sprawia

przyjemność, choć już nie całkiem należał do tego świata.

Raz przyniosłam moje hitlerowskie jajo i włożyłam mu do ręki. Trzymał je przez ponad godzinę, a potem zapytał o najbliższy pociąg do Berlina.

Zmarł w jasny czerwcowy dzień krótko przed kolacją. Na miejskim stawie łąbędzie zasłoniły słońce chmurą. Byłam przy nim i próbowałam pożegnać się w pokoju. Ale zaskakująco w tej samej chwili, w której wyzionął ducha, przebiegło mi przez głowę czterdzieści myśli. Czyż ten mężczyzna swoimi błędami i pomyłkami, swoim wiecznym pakowaniem się w nieszczęście nie wpłynął decydująco na moje życie? Wołałabym iść przez życie bez ojca, zamiast tego dostałam nawet potrójnego, bo na końcu był dla mnie wszystkim naraz: ojcem, synem i nieświętym duchem. Mimo wszystko był mężczyzną, dla którego zrobiłam w życiu najwięcej: potrzeba było całego serca, żeby pogodzić się z kimś takim jak on, dlatego z tego kawałka pieczeni zostało dla innych niewiele. Jestem kobietą, która zmarnowała życie na próby pokochania mężczyzny, który odebrał jej miłość.

Mój ojciec, mój ojciec...

Zorganizowałam raczej skromny pogrzeb, stałam zimna jak lód nad jego grobem i razem z trumną posłałam do ziemi sześćset najróżniejszych uczuć. Dopiero kiedy po dwóch tygodniach znów poszłam na cmentarz, pojawiły się łzy. Wtedy zrozumiałam, co się stało: zasypano moją przeszłość. Nie była już więcej widoczna. Nie mogłam już więcej w niej grzebać. Dopiero kiedy rodzice nie żyją, można zacząć własne życie. Całe dwa lata mogłam się nim cieszyć, aż wiosną 1991 roku usłyszałam od lekarzy własny wyrok śmierci.

* *Pieśń o dzwonie* w przekładzie Jana Nepomucena Kamińskiego (przyp. tłum.).

101

PANI JOHNSON

1945

Po tym jak w 1942 roku stojąca na molo w Dagebüll mama powoli zniknęła mi z oczu, nasze stosunki nigdy nie były już takie same. Dziecięca psychika nie uznaje argumentów rozsądku. Tamto dziecko czuło, że matka je porzuca. Kiedy miałam dwanaście lat, wysłała mnie samą statkiem w nieznaną, a potem choć obiecała, nie zjawiała się w Hamburgu.

Zobaczyłam ją dopiero całą wojnę później. Jako starannie uczesana szesnastolatka oczekiwałam jej w pewną słoneczną jesienną niedzielę w salonie w Bessastaðir. Szofer zatrzymał samochód, a mama wysiadła z niego jak głowa jakiegoś obcego państwa - państwa, którego nie znałam.

Przywitał ją kamerdyner Alfred. Nie ruszając się z miejsca, patrzyłam, jak na

wysokich obcasach kroczy do garderoby przez wyłożoną płytkami sień, która w Bessastaðir nazywała się holem. Zauważyła mnie dopiero, kiedy wyłoniła się znów już bez płaszcza, w jasnej sukience i poprawiała sobie dłonią włosy przed pierwszą wizytą w siedzibie prezydenta. Chciałam podejść do niej choć o krok, mimo surowego spojrzenia, ale nie byłam w stanie. Nie mogłam tak po prostu przejść nad wszystkim, co się wydarzyło. Mama przyzeglowała do mnie uśmiechnięta i próbowała przywitać mnie pocałunkiem, jak się należy w miejscach publicznych, nawet jeśli jedynie babka czekała w tylnej części salonu, ale potem zrezygnowała z tego, tylko mnie objęła, potrząsnęła z niedowierzaniem głową i palcem wytarła łzę. Znów się przytuliłyśmy, utonęłam w jej włosach, ale już nie czułam zapachu glonów, najwyżej perfumy tej, co na wojnie wygrała swój los. Została Mrs Johnson.

Nie mogłam wydobyć z siebie słowa, a mama usiłowała zagadać to milczeniem:

- Ależ się zmieniłaś, jaka już jesteś duża, moje dziecko! - W jej głosie było jednak słychać, że już do niej nie należę. Pomyślałam, że powrót na dawne miejsce będzie mnie kosztował całe moje życie. W przeciwieństwie do matki nie mogłam się rozplakać, w moim wnętrzu wszystko krzyczało z bólu, kiedy słyszałam ten drut kolczasty w jej głosie. Bóg faktów dokonanych już nas rozdzielił.

W głębi domu waliło serce mojego ojca, aż w końcu i on wszedł do salonu, co chwilę przesuwał dłoń po czole. Kiedy wreszcie wystarczająco je wygładził, mógł podać rękę kobiecie, którą porzucił dla Hitlera, a ona zauważyła, że przerzedziły mu się włosy, w oczach zaś było widać wojnę.

On się nie odezwał, ona się nie odezwała. Babcia powiedziała:

- W takim razie możemy chyba wejść do środka.

To ona zaaranżowała to długo wyczekiwane rodzinne spotkanie i teraz dowodziła nim jak generał bitwą. Umieściła nas w jadalni przy oknie, mnie obok taty, a mamę naprzeciwko nas. Jej krzesło stało na szczycie stołu, żeby mogła szybko wstać i pójść do kuchni. Poza tym przez cały czas, z łokciami na krawędzi stołu, pilnowała mamy jak strażniczka. Elín, gospodyni, wniosła naleśniki i gorącą czekoladę. Miała ciemne włosy i blade policzki i pochodziła z jakiejś okolicznej wsi, była świeża i wolna od służalczych manier.

- Chce pani, żebym jeszcze przyniosła śmietany?

- Tak, to byłoby wspaniale.

- Bitej?

- Ależ oczywiście.

- Ale wie pani, że to jest ostatnia resztką śmietany, jaką mamy w domu?

Babcia rozpoczęła grę kilkoma chłodnymi grzecznościowymi pytaniami do mamy, ale

ja patrzyłam na tatę i widziałam, jak drżała mu dłoń, zanim zdołał uchwycić uszko filiżanki. To drżenie przeniosło się na głos mamy:

- Najważniejsze jest dla mnie, żebym mogła odzyskać moją Herre.

Babcia kategorycznie odmówiła. Wtedy Hans Henrik byłby całkiem sam. Ona, Massibil, ma przecież nie tylko męża, ale też trójkę jego dzieci. Mama zaniemówiła ze zdumienia. Dzieci Friðrika były już dawno dorosłe; dwoje z nich spotkała tylko dwa razy. Ale babcia pozostawała twarda. W życiu nie można mieć wszystkiego, czego się chce. Potem zaczęły się negocjacje, które skończyły się tym, że mogłam odwiedzać mamę raz w miesiącu. Tata przez cały czas przysłuchiwał się temu w milczeniu, w końcu zaczął płakać, czego i tak nikt nie zauważył. Wytarł oczy serwetką, a ja położyłam dłoń na jego ręce na stole. Mama umilkła i z bólem popatrzyła na nasz sojusz. Jej oczy mówiły, że tatę i mnie łączy coś, czego nie ma w żadnym słowniku...

102

DEPRESJA Z BITĄ ŚMIETANĄ

1945

Tata i ja wróciliśmy do domu na początku lipca na pokładzie „Esji”, razem z większą grupą Islandczyków, którzy również od początku wojny nie byli na wyspie. Wśród pasażerów znajdował się sławny Jóhann Olbrzym, który wówczas uchodził za największego człowieka świata, oraz poeta Steinn Steinar. Przez całą podróż tata nie wychodził z kabiny, ale musiałam od czasu do czasu popatrzeć na pierwszego kochanka matki. Był niski i drobny, miał wąskie przeguby dłoni, ale tym mocniejszy był w gębie. Olbrzym za to był łagodny jak baranek. Razem tworzyli niezwykłą parę, jak brzuchomówca i jego lalka.

W pewien jasny, słoneczny poranek wreszcie znów zobaczyliśmy Islandię. Staliśmy na pokładzie, kiedy na horyzoncie wyrosły Vestmannaeyjar, a za nimi lodowiec. Pierwsze wrażenie było trochę niesamowite. Jakby się widziało swoją własną twarz, bladą i zimną, powoli wynurzającą się z wody, żeby zaczerpnąć powietrza. Potem przypomniało mi się zdanie Laxnessa: „Wiedziałem, jak wypiętrzają się moje góry, białe jak mleko i skyr*”. Po tych wszystkich trudach, biedzie i głodzie kraj wyglądał jak nakryty stół; najchętniej chciałoby się go zjeść.

Babcia Georgia dopilnowała, żebyśmy zostali odebrani z nabrzeża i natychmiast przywiezieni do Bessastaðir, gdzie tatę od razu ukryto w osobnym pokoju jak tajemnicę państwową. Podczas przyjęcia musiałam mu zanieść jedzenie na górę, gdyż nie mógł się pokazywać na żadnych oficjalnych spotkaniach. Ojciec usiadł na łóżku, nie dawał niczego po

sobie poznać, ale unikał spojrzenia córki i z zapalem zajmował się swoim kawałkiem ciasta. Usiadłam obok niego i szukałam słowa klucza, które mogłoby uruchomić rozmowę o tych strasznych rzeczach, które dręczyły mnie, nas, o których oprócz niego nie mogłam rozmawiać z nikim innym, choć były one zbyt duże, żeby dwoje małych ludzi mogło się z nimi uporać. Tata skończył jeść ciasto, popatrzył na mnie z ochroną przeciwłzową w oczach i klepnął mnie w kolano:

- Tylko o tym nie myśleć!

Babcia postarała się też, żebym spotkała się z matką dopiero trzy miesiące po naszym powrocie. Starsza pani nie mogła mamie wybaczyć tego grzechu, że wśliznęła się do małżeńskiego łóżka znanego potentata kawowego, który w dodatku miał jeszcze trójkę dzieci z inną kobietą. Dla babci nie miało znaczenia, że tamta kobieta już nie żyła, w jej oczach mama zdradziła rodzinę i dlatego została odesłana „do zamrażarki” - taka była reakcja babki, kiedy coś ją rozgniewało.

Dziwne to było lato. Na dworze jasno i słonecznie, a w środku ponuro, depresja z bitą śmietaną (codziennie zjadałam po szesnaście naleśników). Każdej nocy nawiedzały mnie sny, pełne bólu i cierpienia. Budziłam się w kłębowisku żmij w bunkrze, a tymi żmijami okazywali się ludzie. W jednym kącie rodziły się dzieci, w drugim gaszono ludzkie świece. Próbowałam pełzać naprzód, żeby przebić się do smugi jasności, ale ciągle jakieś nogi, ramiona i nagie dziecięce uda przyduszały mnie do podłogi.

Przez całe jasne noce siedziałam w oknie na strychu, patrzyłam na Skerjafjörður i zastanawiałam się, co też mama robi w mieście po drugiej stronie. Dlaczego płacząc z tęsknoty, nie chwyta się klamek i okien siedziby prezydenta?

Leżałam też przez całe noce w łóżku, nie zmrużywszy oka, i patrzyłam na mężczyznę śpiącego w łóżku naprzeciwko, jak wtedy w leśnej chacie patrzyłam na Marka, i zastanawiałam się, jak ten gigantyczny potwór wojna światowa tak precyzyjnie to urządził, że właśnie nas, ojca i córkę, jedynych Islandczyków, którzy brali udział w tym spektaklu z dwustoma milionami ludzi, połączył w cierpieniu. To była diabelska precyzja.

Bezbożny Bóg musiał mnie nienawidzić.

* Tradycyjny islandzki wyrób mleczarski, rodzaj gęstego jogurtu (przyp. tłum.).

Co można było powiedzieć o tym przekleństwie, które jak włócznia z mroku

przewiercało każdą chwilę, jaką bóg czasu odmierzał w tym najwytworniejszym domu w kraju?

Tata i ja podejmowaliśmy długie spacery, usiłowaliśmy umknąć przed tysiącem czarnych szurów z kontynentu, które prześladowały nas w każdym pokoju. Może potopiłyby się w morzu? Poszliśmy aż do Rani, a raz nawet pokonaliśmy całą drogę do Gálgahraun. Wiatr omiatał nas promieniami słońca, niósł się nad falami Lambhúsatjörn i rozświetlał siano późnego lata. Rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o tym, o czym powinniśmy porozmawiać. On opowiadał mi o letnich wieczorach w Vejle i uczył mnie wszystkiego o małżach. Pewnego dnia postanowiliśmy pójść na plażę i nazbierać omułek, wbrew ostrzeżeniom Elín:

- W tym domu żadne śluzowate małże nie trafią do garnka.

W drodze na cypel Bessastaðir minęliśmy dziadka z ciotką Lone. Przyjechała poprzedniego dnia, a teraz wracali razem ze spaceru. „Lóa przyjeżdża w piątek”, wykrzyknął na początku tygodnia prezydent ze swojego biura, a brzmiało to, jakby się bardzo ucieszył. Odruchowo pomyślałam o babci, która ze swoją robótką siedziała w głębokim fotelu w pokoju dziennym. Uniosła brwi i odpowiedziała półgłosem:

- Kto?

Wiele lat minęło, odkąd owa ptaszyna jako gość śpiewała u nich w domu. Lone Bang spędziła całą wojnę w Londynie, gdzie spotykała się z wybitnymi osobistościami, jak Zygmunt Freud czy Elias Canetti. Wielokrotnie występowała na słynnych południowych koncertach w National Gallery, kiedy oprócz śpiewu nie było tam nic do oglądania. Ale teraz wróciła do domu; wojna się skończyła, zapanował pokój.

Prezydent szedł w płaszczu i w kapeluszu, Lone miała na sobie ciemny płaszcz, a jej włosy trzepotały na wietrze jak płomień świecy.

- Dzień dobry - pozdrowił ich tata wesoło. - Byliście na plaży?

Przeszli obok w milczeniu, nie zaszczycając nas nawet spojrzeniem, ze śmiertelnie poważnymi minami, jak para prezydencka na państwowym pogrzebie. O tak, wyglądali jak wzorcowa para.

Mimo tego wszystkiego, co zdarzyło się przedtem, mam wrażenie, że był to jeden z bardziej bolesnych momentów, jakie przeżyłam z moim ojcem. Widziałam ich obu, jak rozmawiali po kryjomu w Bessastaðir, ale odkąd pojawiła się „Lóa”, wszelki kontakt ustał. A teraz ojciec odrzucił syna w obecności jego córki, żeby przypodobać się swojej kochance.

Szliśmy dalej, na sam koniec przylądka, gdzie wiatr szarpał trawę na wszystkie strony niczym zagubioną duszą. Wzięłam ojca za rękę i ścisnęłam jak matka prowadząca dziecko,

chciałam na pocieszenie powiedzieć coś o rybitwach czy szukaniu małży, ale on nie podejmował tematu. Odwróciłam się i zobaczyłam, jak nieoficjalna para prezydencka zmierza do domu, a on potajemnie ściska jej dłoń. Potem moje spojrzenie powędrowało do domu, który białął za nimi pod czerwonym dachem, wyraz mojej twarzy mógł pochodzić od babci.

Kiedy dotarliśmy na cypel, okazało się, że jesteśmy w samą porę. Był właśnie odpływ i szeroki odsłonięty pas brzegu leżał przed nami pokryty śluzowatymi wodorostami i oślizgły. Ani śladu małży czy innych skorupiaków. Musieliśmy iść bardzo ostrożnie, żeby się nie pośliznąć, ale tata szedł prosto przed siebie, po kostki w glonach, tak daleko, jak tylko mógł, jakieś dwieście metrów od granicy lądu i morza. Potem jak na mój gust o wiele za długo tam stał. Odwrócony do mnie plecami wpatrywał się we fiord i w jego drugi brzeg, gdzie od niedawna stało nowiutkie lotnisko. W końcu postanowił, że jednak tego dnia nie popełni samobójstwa i zawrócił.

Co ta kobieta wiedziała o przeżyciach mojego ojca? Jakim prawem pozwalała sobie gardzić synem żony mężczyzny, z którym łączył ją potajemny romans, a w dodatku żona owego mężczyzny była jej ciotką? Łatwo jej było mówić ze swoim „żydostwem”. Taki był los dziadka - być rozdartym między dwiema stronami. Został prezydentem oddzielenia Islandii od Danii i przez całe życie tkwił pomiędzy żoną a kochanką, w nieustannym konflikcie między rolami męża, kochanka i ojca; w dodatku przy chronicznym braku predyspozycji do odgrywania bohatera.

Dlaczego, do diabła, nie mógł przynajmniej zniżyć się do tego, żeby poszukać sobie islandzkiej kochanki?

Kiedy teraz oglądam tę scenę przez teleskop czasu: ukradkowe uściśnięcie ręki potajemnie zakochanych w wietrzny letni dzień sierpnia 1945, wtedy zaczynam podejrzewać, że kryje się w niej klucz do tajemnicy, która doprowadziła całą rodzinę do upadku. Każdy wściekle prychnął ze swojego piekła, tak się kiedyś mówiło na wyspach, a nie można podważyć faktu, że babka pół życia spędziła w piekle. Konsekwencji tego doświadczyli wszyscy - jej dzieci, synowe i wnuki...

Czy gdyby mój ojciec opuścił dom, wtedy by się nie rozpadł? Czyżby poszedł na lep nazistowskiej propagandy z powodu zapędów tej tak podziwianej wielbicielki Żydów? Czasem miłość króla jest przekleństwem dworu.

Jesienią 1948 roku tata i ja pojechaliśmy do Argentyny. Los związał nasze stopy i dłonie, więc musieliśmy jak najlepiej wykorzystać tę sytuację, zaczynając razem coś nowego, co można byłoby nazwać życiem. Na Islandii tata był napiętnowany. Po uwięzieniu w prezydenckiej siedzibie próbował niepostrzeżenie poruszać się po mieście, wynajął sobie pokój w Kvisthagi, ale kamienie sypiące się na jego okna nie dawały mu spokoju. Ja nadal mieszkałam w dobrych warunkach na Bessastaðir, ale on poszukał sobie pracy na wsi i przemoczony chodził po torfowych pastwiskach w gumiakach i ze zwojem kolczastego drutu na ramieniu.

Mimo zniknięcia ze stolicy tata nadal pozostawał narodowym problemem. Przypuszczam, że dziadek i babka najbardziej bali się duńskiej prasy. Dziadek ciągle nie mógł przeboleć oddzielenia się od Danii. Jego syn Puti został wyrzucony z piekarni w Kopenhadze tylko za to, że był Islandczykiem.

A że Islandia wówczas była jeszcze krajem milczenia, tata potrzebował dwóch lat, żeby pojąć niewyartykułowane życzenie swojego ojca, i wreszcie zniknął z wyspy. 9 września 1948 roku w siedzibie prezydenta, podczas małego przyjęcia z okazji dziewiętnastych urodzin panienci, Hans Henrik wreszcie odczytał ze wzroku gospodarza słowo, które miało być rozwiązaniem problemu: Argentyna.

Ja tymczasem miałam dość życia w Bessastaðir, ale nie miałam się gdzie podziąć; pobyty u matki były dla mnie zakazane, a w Reykjavíku trwało coś w rodzaju nieustannej bitwy na torty, nie do wytrzymania. To jedna z niepojętych tajemnic zeszłego wieku - jak te zagubione rybackie chatki tak szybko mogły zamienić się w scenografię z amerykańskiego filmu. Dawne pełne wybojów i kałuż drogi zostały wyasfaltowane i wszyscy przechadzali się nimi w niedzielnych ubraniach, jakby islandzka powojenna codzienność była świętem, na które cały naród czekał przez tysiąc lat. Świeżo wylane cementowe chodniki były nieustająco dzień w dzień pełne spacerowiczów. Głównym zajęciem większości ludzi zdawało się dumne przechadzanie się ulicami, żeby oglądać i być oglądanym. Kobiety w kapelusikach i futrzanych narzutkach, z siatką woalki nad oczami i lufką z papierosem w dłoni, od rana do wieczora w barwach wojennych, wszyscy mężczyźni wystylizowani jak do filmu: kapelusz nasunięty na czoło, papieros w kąciku ust. W sklepach młodzi chłopcy wyciągali z kieszeni grube pliki banknotów i wymachiwali nimi starym ludziom przed nosem, żeby zapłacić za drożdżówkę. Po ulicach przesuwwały się wydłużone jak jamnik cadillaki przypominające egzotyczne zwierzęta z baśni.

Wszystko się zamerykanizowało: krowy, owce, pasterze.

Przez następne pięćdziesiąt lat Amerykanie zaopatrywali nas w żołnierzy, pieniądze,

telewizję i niezdrowe słodycze. Wycofali się dopiero wtedy, kiedy młody Bush odnalazł swoje historyczne miejsce w Iraku. Potrzebował wszystkich swoich ludzi, więc w 2006 roku amerykańska baza w Keflavíku została zamknięta. Dopiero wtedy staliśmy się, zupełnie niechcący, a w niektórych przypadkach ze łzami i zgrzytaniem zębów, całkowicie niepodległym narodem: po raz pierwszy od 1262 roku Islandczycy byli wolni i bez obcych żołnierzy na swoim terytorium. To było więcej, niż mogliśmy znieść, więc zaledwie dwa lata później kraj zbankrutował.

W zimie po zakończeniu wojny próbowałam chodzić do gimnazjum razem z miejscowymi dziećmi. Większość była dwa lata młodsza ode mnie, dziewczynki oceniały chłopców po wielkości ich kolekcji znaczków, a chłopcy na prywatkach pili mleko. Dla mnie byli jeszcze dziećmi, robili w gacie, kiedy się tylko do nich zbliżałam. Musiałam się zadowolić dobrze sytuowanymi panami koło pięćdziesiątki, jak na przykład pewnym pijanym w sztok ambasadorem, który na koktajlu w Bessastaðir w poszukiwaniu toalety zablądził na górę do mojego pokoju.

Tak więc życie znów przyparło mnie plecami do ściany i zostawiło mi tylko dwie możliwości: albo dalej nudzić się w Bessastaðir, albo wyjechać z tatą do Argentyny.

105

U BRACI BENNI

1949

Jeśli na mapie świata położyć pinezkę główką na Buenos Aires tak, by igła była skierowana dokładnie na południe, to wskazuje niewielką posiadłość na brzegach Río Salado: La Quinta de Crío. Mieszkało tam osiemnaście osób, wszyscy nosili to samo nazwisko: Benítez. Hiszpańska forma pierwotnego nazwiska Benni.

Na własny użytek doiło się kilka krów, a poza tym idealnie płaska okolica była podzielona na dwie części, z jednej strony bladożółte uprawy zbóż, a z drugiej soczyste zielone pastwiska dla czarnego bydła. Zabudowania były białe w dzień, a nocą czarne jak smolisty kruk. Nigdzie nie przeżyłam tak ciemnych nocy jak tam.

W pobliżu domu za drzewami ombu stała szopa, w której mieścił się pokój, sypialnia i ustęp z dziurą w desce. Mieszkał tam tłusty mężczyzna po sześćdziesiątce, poruszający się na wózku inwalidzkim, który z powodu braku szyi wyglądał jak góra skóry. Jego mała głowa wieńczyła cielsko z potężnym podwójnym podbródkiem jak koktajlowa wisienka tort. Nigdy nie widziałam dziwniejszej twarzy - jej nos był szeroki, ale usta jeszcze szersze. Nawet bez uśmiechania się kąciki jego ust sięgały niemal od ucha do ucha. Za to oczy były maleńkie i

szkliście żółte. Pierwszym skojarzeniem na ten widok było: jaszczurka.

Tata pracował w gospodarstwie, a moim zadaniem było rano i wieczorem wydoić krowy i troszczyć się o starego mieszkańca szopy. Był niemy, głuchy i ślepy. Drzwi skrzypiały głośno, kiedy wchodziłam do niego z miską jedzenia. Powietrze było stęchłe z silną wonią starego człowieka. Jak życie mogło się tak nagle diametralnie zmienić? Jeszcze trzy miesiące temu siedziałam z Vigdís Finnbogadóttir i innymi uczennicami w kawiarni nad Tjörninn, a dzisiaj po drugiej stronie globusa karmiłam łyżeczką starego krokodyla. Bo choć z twarzy bardziej przypominał jaszczurkę, nazywano go „El Coco”.

Tymczasem w głównym budynku jego dwaj może czterdziestoletni bratankowie w białych koszulach z podwiniętymi rękawami na mocnych, opalonych ramionach siedzieli przy stole w otoczeniu swoich licznych hałaśliwych rodzin. Zarządzali majątkiem i zawsze wyganiaли mojego ojca na dwór, jak potulnego psa, za to mnie od początku nazywali Evitą i mierzyli łakomymi spojrzeniami z góry na dół, od tyłu i od przodu. O Islandii nie słyszeli nigdy w życiu, nawet nie mogli zapamiętać jej nazwy. Nazywaliśmy ich z tatą braćmi Benni. Mieli też żony, grube, szerokie i przysadziste roboty kuchenne, którym wszędzie sterczały cycki. W domu roilo się od dzieci w różnym wieku, poczynając od raczkujących larw aż do gromady szesnastolatków, podpierających białe ściany, zresztą sami mieli podobny kolor i odróżniali się od tła tylko wtedy, kiedy się czerwienili. Pomiędzy nimi snuła się smutna, żółtobrązowa twarz przypominająca suszoną śliwkę, matka braci Benni. Nigdy nie miała dla nikogo ani niczego dobrego słowa - tylko dla czarnego psa, który wylizywał jej ręce i twarz po każdym posiłku.

Gustavo, założyciel rodu, zmarł, ale żyła jeszcze wdowa po nim: kulturalna dama rumuńskiego pochodzenia, która przypuszczalnie urodziła się w połowie dziewiętnastego wieku nad alpejskim jeziorem i podobno widziała Wagnera jadącego wierzchem. Jak ptak z przetrąconymi skrzydłami sunęła, trzęsąc się, po całym domu, czaszka powleczone cieniutkim pergaminem, która przemawiała po hiszpańsku z niezidentyfikowanym akcentem. Jej nos jeszcze zachował nieco europejskiej dumy i świadczył o szlachebnym pochodzeniu, które niestety rozbiło się o skałę imieniem Gustavo, gdyż ich potomstwo, wypełniające dom i obejście, nie zdradzało ani krzty cywilizacji. Na tej farmie rezydowali wyłącznie niepiśmienni mięsożercy. Starsza pani była kimś w rodzaju gościa w swoim własnym domu.

Miała ze swoim mężem trzech synów. Najstarszy uciekł z domu z kochanką swojego ojca i wedle ostatnich doniesień mieszkał teraz z dziesiątką karłowatych Indian gdzieś w Andach. Drugi był ojcem braci Benni, ale poniósł śmierć w wypadku z młockarnią. Trzecim był głuchoniemy kaleka z szopy.

Szybko zauważyłam, że pozostali członkowie rodziny obchodzili się z Krokodylem bardzo źle. Nawet matka z arystokratycznym nosem nie chciała mieć z nim nic do czynienia i wielokrotnie mnie zapewniała, że on niczego nie słyszy i nie widzi, nic nie rozumie i nie czuje i jest prawdziwą karą boską na ziemi, *dolor de la tierra*. Jego ojciec musiał jednak mieć wobec niego jakieś resztki współczucia, gdyż zapisał mu połowę posiadłości.

Reszta rodziny musiała więc utrzymywać El Coco przy życiu, bo kiedyś zrobił jakiejś przejezdnej dziwce z Paragwaju dziecko, które jako młody mężczyzna o trafnym przydomku Big Ben pojawiło się pewnego razu w posiadłości, zażądało pieniędzy swojego ojca i sterroryzowało wszystkich mieszkańców farmy. Zewnętrznie była to, łagodnie mówiąc, imponująca postać, ale w głowie chłopak miał trochę pomyłone. Zamieszał we wszystkich małżeństwach i związkach na farmie, aż w końcu ulotnił się z domową kasą.

Tak więc rodzina rezydująca w wielkim domu posiadała jedną połowę majątku, a druga należała do Krokodyla z szopy. Gdyby mu się coś stało, przypadłaby ona jego synowi, przestępcy. Nie wolno było do tego dopuścić. Spoczywało więc na mnie bardzo odpowiedzialne zadanie. Musiałam tak długo utrzymywać przy życiu El Coco, aż jego syn zginie w bójce na noże, co przepowiedziała mu pewna Cyganka. Miało to nastąpić w trzydziestym trzecim roku jego życia. W tamtym czasie skończył właśnie trzydzieści dwa lata.

Wieczorami bracia Benni ćwiczyli w stodole rzucanie nożami.

106

PRÓBA REWOLUCJI BANIEK Z MLEKIEM

1949

Tata i ja dzieliliśmy pokój. Ojciec przeważnie źle sypiał nocami, więc często musiałam wyciągać ramię i trzymać go za rękę, aż znów mógł zasnąć. W końcu zaczęliśmy zestawiać nasze łóżka na noc, a rano znów odstawialiśmy je na miejsca, żeby nie budzić podejrzeń.

Hans Henrik był nieprzydatnym do niczego mężczyzną. Wojna wytrząsnęła z niego całą męskość jak monety ze świnki-skarbonki. Jeszcze tylko jedna dzwoniła mu w środku. Na jednej stronie miała znak swastyki, który nieustannie próbował spiłować, a na drugiej krwawiące serce.

- Myślisz, że twoja matka odeszła ode mnie tylko z powodu Hitlera, czy...?

- Tak, ja... Czy kochałeś ją bardziej niż Hitlera?

- Tak, oczywiście. Nadal ją kocham.

- Ale byłeś gotów umrzeć za niego, a nie za nią.

Nigdy nie nadawałam się na pocieszycielkę bolejącej duszy.

- Ja... Jestem... Tak.

Choć każde z tych słów miało stanowić początek zdania, razem stworzyły wyznanie zawierające głęboką prawdę: tak, ja też jestem tylko człowiekiem. Co w rzeczywistości znaczyło: tak, jestem idiotą.

Potem milczał przez dłuższą chwilę. W tym czasie słyszałam, jak pęka w nim jedna struna po drugiej, aż została już tylko jedna:

- Czy myślisz, że ona jest zadowolona z tego... faceta od kawy?

- Myślę, że nie. On nie dotarł nawet do Hvalfjörður.

Nie, jednak nie byłam całkiem pozbawiona taktu.

Po tym pierwszym lecie (zimie) zaczęłam powoli rozumieć, że najprawdopodobniej znalazłam się tu ze względu na niego, pojechałam z nim z litości. Ale przecież nie mogłam poświęcić swojego życia dla ojca. Przecież tego się nie robi. Nie mogłam jego klęski uczynić swoją, dopiero co włączyłam się w grę życia. Ale co innego mogłam ze sobą zrobić?

- Możesz w każdej chwili wracać do domu, Herro. Jeśli chcesz - mówił do mnie czasem.

- Jeśli chcę? - powtarzałam.

Właśnie po niedzieli spędzonej w miasteczku na mszy i na jarmarku wracaliśmy pieszo po szutrowej, ozłoconej słońcem drodze. Przed nami młodszy brat Benni ze swoją świtą. Starsza pani z synem pojechali przodem w aucie.

- I co wtedy? Miałabym cię tu zostawić samego?

- Tak, oczywiście, nie martw się o mnie - powiedział tata i odgarnął włosy do tyłu. Niósł marynarkę przerzuconą przez ramię. Popołudniowe słońce mocno przygrzewało, wysokie do pasa pola zbóż po obu stronach drogi niemal wrzały.

- Miałabym się o ciebie nie martwić? Ależ ja przecież nic innego nie robię!

- Jak możesz coś takiego mówić?

- Trzymam cię w nocy za rękę, nie śpię ze zmartwienia... stałam się matką swojego ojca.

- Herro, ja... Ty musisz myśleć o sobie!

- Gdybym tylko potrafiła.

- Musisz. Przecież sama też się w tym znalazłaś.

- Tak, w tej przeklętej... - zaczęłam gniewnie, ale wtedy jedna z córek Benítezów odwróciła się do nas i wystrzeliła do mnie spojrzeniem spod grzywki. Urwałam, mimowolnie

zwolniliśmy kroku, chcieliśmy zostać trochę z tyłu. Butem posyłałam małe kamyczki w kierunku słońca, które teraz świeciło nam prosto w twarz.

- Tato, dlaczego... dlaczego wdałeś się w to szaleństwo?

- Dlaczego?

- Tak. Dlaczego nie posłuchałeś mamy?

- Powinienem był to zrobić.

Dotarliśmy do podestu dla baniek z mlekiem, stojącego przy rozwidleniu dróg, gdzie skręcało się do posiadłości pod pięknym drzewem ombu. Kilka owadów nosiło słońce na pancerzach w jego długim cieniu. Rodzina Benni była już w połowie drogi do domu. Zatrzymałam się i popatrzyłam na tatę.

- Jak mogłeś być taki głupi?

Złość w moim głosie zaskoczyła mnie samą.

- Głupi?

- No pewnie. Gdybyś nie... Wtedy to wszystko by nie nastąpiło.

- Herro, nie możesz tak mówić.

- Jeszcze jak! Bo przecież tak jest. Gdybyś nie... To wszystko tylko dlatego... Ty, to ty zniszczyłeś moje życie!

- Herro, nie...

- Ależ tak. Zniszczyłeś moje życie. Rozejrzyj się tylko! - powiedziałam i zatoczyłam ręką koło w stronę zabudowań i wściekłego słońca. - Czego my tu szukamy w tej nudnej jak sto diabłów dupie świata?

- Herro, za to nikt... za to nie można nikogo obwiniać.

- Aha, nie można?

Słońce opadło właśnie w zbożowy ocean, jego długie promienie pieściły pofałdowane czoło mojego ojca.

- Nie. Po prostu tak się stało. Wojna to wojna - powiedział zmęczonym głosem.

- Tak? Wojna to wojna, a ojciec to ojciec i...

Teraz i jego głos stał się wyraźnie ostrzejszy.

- Herro, to nie jest moja wina. To było... to był nieszczęśliwy przypadek. Po prostu i zwyczajnie przypadek.

- Nieszczęśliwy przypadek?! - krzyknęłam tak, że na pewno było mnie słychać w majątku.

- Tak, cholerny przypadek.

Ależ musieliśmy przedstawiać widok! Nieszczęśliwy ojciec i jego nieszczęśliwa córka

w dalekim kraju, walczący z duchami własnej roboty, których nigdy nie będą w stanie złapać, zdusić za gardło i pokonać. Niech to diabli! On miał przecież rację. To był tylko nieszczęśliwy przypadek, nic więcej, ale to czyniło to wszystko jeszcze bardziej nieznośnym. Nie można było nikogo za to bić, tylko powietrze i brzydkiego ducha, który tam straszyl i nadal to robi. Cierpieć to jedno, ale cierpieć od rzeczy nieuchwytnych, to co innego.

- Nienawidzę tego słowa, przypadek.

- Tak.

- I tego przekłętego milczenia, które zawsze musi panować nad wszystkim. Nie wolno mówić. Nie da się nawet porozmawiać. Ty nie chcesz mówić, a nikt inny nie może...

- Ja nie chcę mówić?

- Nie, jesteś jak wszyscy. O niczym nie wolno mówić. Dziadek, prezydent we własnej osobie, lata po domu z kobietą, z którą ma romans, tuż przed nosem babci, która tylko siedzi w fotelu i dzierga, a wszyscy udają, że nic nie widzą, nikt nie może pisnąć słówka...

- Herro, uważaj...

- Nie, to wy idźcie wszyscy do diabła! Chcesz mi jeszcze i tutaj zabronić się odzywać?! Tutaj, w tej zasranej, opuszczonej przez Boga dziurze w Ameryce Południowej, sześćdziesiąt tysięcy kilometrów od Islandii. To przecież chore! To jest całkowicie absurdalne! - Znow zaczęłam krzyczeć na cały głos. - Cała rodzina jest chora. Ty jesteś chory. Dziadek jest chory. Wszyscy, cała ta cholerna rodzinka. Wszyscy chorzy! Kompletnie ześwirowani!

Płacząc, pobiegłam w stronę zabudowań. Kiedy dotarłam na dziedziniec, nie mogłam sobie nawet wyobrazić, że idę do domu i w łóżku czekam na ojca. Skręciłam i poszłam do szopy Krokodyla, mogłam przespać tę noc u niego.

Wieczorem grał dla mnie na desce. Kompozycja na dziesięć palców i dwoje uszu. Najpiękniejsza muzyka, jaką kiedykolwiek słyszałam, choć niczego nie było słychać. Prawieki temu uczył się gry na fortepianie i nadal to pamiętał. Akurat dobrze pasowało, że na koniec dnia głuchy zagrał niesłyszalny utwór dla zmęczonej milczeniem.

Po tej jednej żalosalnej próbie poruszenia Islandii z posad nie podejmowałam już kolejnych, tylko schowałam te wszystkie straszne tajemnice głęboko w moim wnętrzu. Nie byłam ani na jotę lepsza niż reszta mojej rodziny i moich żalosalnych rodaków. Tak samo jak oni skapitulowałam przed potężnym Milczkiem Milczysonem, dyktatorem Islandii w dwudziestym wieku, i byłam mu posłuszna aż do teraz w garażu.

Za to szczęście zapłaciłam siedmiokrotnym rakiem.

ZŁY OWOC

1950

4 lipca 1950 roku wydałam na świat dziewczynkę. A potem płakałam przez dwa dni i dwie noce. Ja, nieprzydatne do niczego stworzenie, które nic nie potrafiło, jednak coś stworzyłam. Ja, zgwałcona przez życie, wydałam jego owoc. Płakałam z radości, z ulgi, ze smutku i nie wierzyłam własnym oczom, kiedy włożono mi w ramiona zdrową córeczkę.

Urodziłam ją w domu, w pokoju, który zajmowałam razem z tatą. Akuszerką była stara wróżbitka ze wsi, która synowi Krokodyla przepowiedziała gwałtowny koniec. Nie podobała mi się, ale była jedyną położną w tej płaskiej okolicy, bardzo stara, pomarszczona Cyganka, starucha z obwisłym piersiami i wypukłym czołem, szorstkimi dłońmi i z brodawką na podbródku.

Nie zdradziłam nikomu, kto był ojcem, ale jeszcze nie zdążyłam do końca wycisnąć z siebie małej główki z maleńką pofałdowaną twarzą, a stara wiedźma już wszystko wiedziała. Schwyciła mocno nowo narodzoną, jakby była cielakiem, i zaczęła mamrotać pod nosem:

- Zły owoc, zły koniec! Zły owoc, zły koniec!

Urażona przecięła pępowinę i z pogardliwym wyrazem twarzy rzuciła mi krzyczące dziecko w ramiona. Ale na moim słonecznym niebie była to jedynie mała cygańska chmurka, gdyż właśnie zrozumiałam, dlaczego dzieci nazywa się promykami słońca.

Dwa tygodnie później musieliśmy uciekać z Quinta de Crío.

- Jak ty mogłaś... z *nim*? - To było jedyne, co zostało powiedziane po drodze. Przez mojego ojca. Jakaś kobieta o słowiańskim wyglądem, w chustce na głowie, odwróciła się do nas w autobusie. Na pewno wyglądaliśmy jak jakaś nieszczęśliwa para z dzieckiem. Mężczyzna koło czterdziestki z przeczczonymi włosami i grubymi żyłami na skroniach oraz jego może dwudziestoletnia żona z jeszcze nabrzmiałą twarzą z powodu dziecka i pełnymi piersiami. W pewnym sensie to podejrzenie było nawet uzasadnione. Byliśmy przeklętą przez Boga parą. A ja urodziłam nam w dodatku pół majątku.

Wróżbitka tylko zwróciła uwagę na coś oczywistego: choć malutka była śliczna jak obrazek, wykazywała wyraźne podobieństwo do El Coco. Najpierw zdecydowanie się tego wypierałam, ale po chwili tortur w szopie Krokodyl wyznał braciom Benni prawdę, a oni w szale wybiegli na podwórze. W ostatniej chwili udało mi się ukryć przed nimi małą w rowie. Inaczej utopiliby ją pewnie w skopku na mleko. Wymierzyli mi dziesięć policzków i rzucili na ziemię w stajni. Zaciśnęłam zęby i przeklinałam ich po cichu. Godzinę później opuściliśmy

majątek, ale jego dziedziczka żywa leżała w moich ramionach i to było najważniejsze. Wrócimy tu jeszcze, żeby w jej imieniu zażądać tego, co jej się należy.

108

CAFÉ DE FLORES

1952

W końcu tata i ja poszliśmy każde swoją drogą. Za dużo od niego wymagałam. Choć bardzo się staraliśmy, nie mogliśmy już mieszkać razem. Nie był w stanie patrzeć na dziecko, nie myśląc o jego ojcu. To, co mnie wydawało się sprytnym pomysłem, on uznawał za coś podłego i godnego pogardy.

- Wykluczone, żebym miał... coś *takiego*... to wykorzystywać, żeby do czegoś tutaj dojść. Herro, nie mogę tego zrozumieć... Jak coś takiego w ogóle mogło ci przyjść do głowy?

- Takie rzeczy zdarzały się już nieraz - to była najprostsza odpowiedź, ale napotkała tylko jego nic nierozumiejące spojrzenie.

Zrozumie, kiedy za rok czy dziesięć lat pojedziemy, żeby zrealizować nasz blondwłosy kupon lotto. Do tego czasu każde z nas miało sobie radzić samo.

Wkrótce znalazłam sobie przystojnego faceta o pięknych dłoniach i z głodem w oczach, który przyjął do siebie mnie i moją córeczkę: Juan Calderón, mój jedyny prawdziwy Pra-Jón.

Tata wynajął w Buenos Aires pokój u jakiejś Niemki, która nadal wierzyła w Endsieg. Pracował głównie w zakładach metalowych i prowadził bardzo skromne życie, ale zawsze mi opowiadał, kiedy spotkał na ulicy kogoś znanego. Raz przechadzał się po dzielnicy El Palomar, kiedy para prezydencka w samochodzie przejechała ulicą obok niego. Długo się tym żywił.

- Spojrzałem w oczy samego Juana Peróna!

Nawet zima spędzona w rosyjskim obozie jenieckim nie wyleczyła go z wodzowskiego paraliżu. Jego chorobą było uwielbienie dla władzy.

W styczniu 1952 roku zmarł dziadek. Ojciec pojechał na Islandię, żeby wziąć udział w pogrzebie. Ja zostałam w Argentynie, bo nie chciałam narażać mojej córki na tak długą podróż. Była moją jedyną radością. Na wiosnę zaczęła mówić - po hiszpańsku i po islandzku. Była najcudowniejszą istotą na ziemi. Mogłam na nią patrzeć całymi dniami i z trudem przychodziło mi zostawić ją czasem pod opieką młodszej siostry mojego nowego przyjaciela Juana, u którego mieszkaliśmy. Pierwszy raz poczułam, co to znaczy naprawdę być zakochanym. Tak, zakochałam się w piszącym wiersze oficerze, ale miłość do dziecka jest

czymś zupełnie innym niż miłość do mężczyzny. Dzieci nigdy cię nie opuszczą, nie zdradzą, nie dadzą sobie strzelić w plecy na otwartym polu. Na dziecku można polegać.

Świat nie widział nigdy piękniejszego dziecka niż Blómey Benítez. To było tak, jakby wewnętrzne, ukryte piękno jej ojca w jej osobie w pełni ukazało się na zewnątrz. Zawsze starałam się, żeby była pięknie ubrana, kiedy wychodziłyśmy z domu, nawet jeśli samej nie było mnie stać na nową sukienkę i chodziłam w dziurawych. Kiedy Włoszki w Boca widziały, jak spaceruję z moją córeczką, kiwały nam przyjaźnie głowami.

Pewnego dnia w maju 1952 roku Peronowie zwołali wiec w centrum Buenos Aires. Ludzie wylegli na ulice. Juan i ja z Blómey w dziecięcym wózku próbowaliśmy się przebić na największy plac w centrum, bo chcieliśmy zobaczyć bohaterów, ale ścisk był tak wielki, że nie dało się przejść. Usiedliśmy przed barem w jakiejś małej bocznej uliczce i wchłanialiśmy nastrój chwili. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam. Mimo zimy było ciepło, słońce świeciło na niebie, a wszystkie twarze jaśniały radością, zwłaszcza twarze kobiet, dla których żona prezydenta była idolką. Można mieć różne zdania na temat Evy Perón, ale to dzięki niej kobiety w Krainie Srebra po raz pierwszy mogły pójść do wyborów. Jeździła po mieście otwartym samochodem i machała do tłumów, nafaszerowana środkami przeciwbólowymi i w gorsecie usztywniającym pod płaszczem. Już od dawna była nieuleczalnie chora i zmarła zaledwie dwa miesiące później, mając jedynie trzydzieści trzy lata.

Dołączyli do nas przyjaciele Juana i urządziliśmy małą imprezę na ulicy. Malutka dreptała pomiędzy stolikami, pogryzała bagietkę, napiła się trochę lemoniady, w końcu znalazła sobie towarzysza zabaw w osobie małego synka właściciela baru. Nie martwiłam się o nią zbytnio. Na naszej uliczce, jak na większości ulic w mieście było tyłu ludzi, że nie jeździły żadne samochody. Kiedy zaczęła się mowa na Plaza de Mayo, tłumy rozproszyły się nieco. Głos pierwszego mówcy rozbrzmiewał nad dachami, a w dole, na chodniku siedzieliśmy my i świetnie się bawiliśmy.

Jeden z przyjaciół Juana, bystry i dowcipny poeta o żółtych zębach umiał znakomicie opowiadać historie. Obserwowałam Blómey, która wczłogała się pod sąsiedni stolik i podniosła z ziemi leżącą tam ulotkę. Potem z dumą się wyprostowała i wręczyła kawałek papieru swojemu nowemu przyjacielowi, który już przedtem z innych ulotek zrobił kilka papierowych samolocików. Zauważyłam, że dziewczynka ma usmarowaną buzię, ktoś musiał jej dać kawałek czekolady. Przywołałam ją do siebie, żeby ją wytrzeć, ale w tym samym momencie zawołał ją też chłopczyk i mała podreptała do niego. Razem przebiegli przez ulicę, bo papierowy samolocik poszybował na drugą stronę. Właściciel baru, życzliwy mężczyzna z piwnym brzuchem i wąsami, stał w otwartych drzwiach i obserwował całą scenę.

- Może pani być spokojna - powiedział - nasz chłopak się tu wychował. On już będzie na nią uważał.

Nad jego głową złotymi literami na zielonym tle była wypisana nazwa baru: „Café de Flores”.

Następnie głos zabrał prezydent. Perón był wybitnym mówcą o niezwykle męskim głosie. Mój Juan bardzo go podziwiał, ale tego dnia po raz kolejny zauważyłam, że wołał się ze swoim podziwem ukrywać. W kręgach jego zblazowanych przyjaciół bycie peronistą nie było mile widziane. Najwyraźniej nie zauważyli, że pod swoją koszulą Juan był w gruncie rzeczy „bez koszuli”, *un descamisado*. Wyśmiewali się z podniosłych zdań niosących się echem po ulicach, twierdząc, że *el líder* musiał się dużo nauczyć od Mussoliniego. Poeta opowiedział nawet pieprzną anegdotę o Perónie. Nie wiem, czy była prawdziwa, przerysowana, czy całkiem zmyślona, w każdym razie była przezabawna. Juan poprawił swój beret i rozparł się na krześle, rozluźniony czerwonym winem, ale w jego oczach tlił się niepokój. Jakoś mniej go lubiłam w tamtej chwili. Wszystko, co mówił w domu, tutaj chował w sobie. Nie miał odwagi bronić swojego zdania.

Blómeý podeszła do mnie, nauczyła się nowego słowa: *avión de papel*. Wytarłam jej buzię i zajęta dzieckiem przegapiłam pointę historii opowiedanej przez poetę. Blómeý podniosła z ziemi kolejną ulotkę i poprosiła mnie, żebym zrobiła jeszcze jeden samolocik. Przejął to Juan, zadowolony, że może się oderwać od żartów z prezydenta, i drżącymi rękami poskładał papier. Potem niezręcznie i bez zastanowienia puścił samolocik na ulicę. Blómeý pobiegła za samolotem i próbowała posłać go z powrotem do nas, ale ciągle padał na nos.

Kiedy Perón zakończył swoje wystąpienie, na placach i ulicach rozbrzmiała wrzawa poparcia i zachwytu. Miałam wrażenie, jakby z każdego zakątka zerwał się wiatr. Trudno to opisać, ale przez zaułki i dzielnice, przez całe miasto przeszło coś jak naelektryzowana fala nadziei i oczekiwania. W barze ktoś włączył radio. Spikerka wymieniła właśnie imię prezydenckiej małżonki, które powtórzyły jak echo wszystkie usta, aż na ulicę. „Teraz kolej na nią”. Nawet twarze Juana i jego kompanów zamiast szyderstwa wyrażały teraz coś w rodzaju uznania.

- Nie chcemy jeszcze posłuchać, co ona powie? - zapytał ktoś.

Spojrzałam w oczy Juana i zobaczyłam, że ma puste kieszenie. To spotęgowało jeszcze moją niechęć wywołaną jego tchórzostwem, więc z urażoną godnością wstałam, powiedziałam, że pokryję rachunek za cały stół, i weszłam do środka.

Stałam właśnie przy kontuarze, kiedy za plecami usłyszałam głucho uderzenie. Najpierw dźwięk silnika, a potem ten okropny odgłos. Parę chwil potrwało, zanim z ciemnego

wnętrza baru zaczęłam rozróżniać na zalanej słońcem ulicy stoliki, chodnik i ludzi. Wtedy zobaczyłam, że na środku stoi auto, amerykański krążownik szos. Wysiadł z niego mężczyzna w jasnym kapeluszu. Przepisnęłam się do przodu i zobaczyłam, że Juan pochyla się nad czymś przed maską samochodu, a potem zobaczyłam widok, który od tego czasu miałam oglądać codziennie: moja mała córeczka leżała na ulicy, z jej główki płynęło coś, co błyszczało w słońcu, ale jej uśmiech zniknął. To było najgorsze ze wszystkiego: zobaczyć wyraz jej twarzy, dwuletniego dziecka, które staje przed swoim Stwórcą, bez lęku, z powagą i przejęciem. Znajdowała się w innym świecie.

Odepchnęłam Juana na bok, nachyliłam się nad nią i oszalałam, zupełnie nad sobą nie panowałam. Jego przyjaciel, poeta, ujął jej małą rączkę, a potem potrząsnął głową. Juan obejmował mnie od tyłu i ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, był zderzak samochodu. Wypolerowany i błyszczący, chromowany amerykański zderzak.

Dopiero dwie godziny później znów pojawiłam się na świecie. I w innym życiu niż to, jakie znałam dotąd.

109

HANS BIOS

1944/1945

Nie ma dla żołnierza groźniejszej rzeczy niż oglądanie wojny z daleka. Wtedy zaczyna dostrzegać cały bezsens tego wszystkiego i nie może już powrócić do działań wojennych. Mój ojciec stracił swoją jednostkę. Stał - Islandczyk gdzieś w rumuńskim lesie - wśród drzew i przyglądał się temu szaleństwu. W tamtej chwili skończyła się dla niego wojna. Hans Henrik Björnsson nie umarł na wojnie, to wojna umarła dla niego.

Kilka godzin później znajdował się w radzieckiej niewoli. Jego wstyd z tego powodu był tak wielki, że dni, które potem nastąpiły, nie przeniknęły do jego pamięci; całe tygodnie w drodze, mosty i leśne ścieżki przelatywały przez niego jak taśma filmowa przez projektor, podczas gdy jego głowa telepała się na pryczy ciężarówki, a on wpatrywał się w swoje zabłocone buty i widział w nich mamę.

Dopiero w jakimś bezimiennym obozie w bezimiennej miejscowości znów powrócił do rzeczywistości. Spał tam w jednym pomieszczeniu z piętnastoma innymi mężczyznami; wszyscy odruchowo kulili się do siebie jak zwierzęta różnych gatunków, a o czwartej rano była pobudka: ścinanie drzew do pierwszych mrozów, potem rąbanie i piłowanie. Wszyscy jego współwięźniowie byli Niemcami, codziennie dwóch umierało, wyczerpani padali w śnieg i w ciągu kilku minut zamarzali. Ale ciągle przybywali nowi. Mój ojciec opowiadał, że

byli to ciągle ci sami mężczyźni, nie widział żadnej różnicy między tymi, którzy umarli jednego dnia, a tymi, którzy następnego ranka przyszli na ich miejsce. Czy sam też był jednym z nich? Niewiele brakowało, żeby i on umarł, jakby obóz był bieżnią sportową, na której nieustannie ścigają się życie i śmierć. Trudno było stwierdzić, po której stronie się akurat było. Pewne było tylko, że każda była lodowatym piekłem.

Wieczorami po barakach krążyły opowieści o luksusowym życiu kompanów w syberyjskich łagrach.

Wiem o tym wszystkim z listów, które pisał mi później z Grindavík i z innych miejsc w ramach szeroko zakrojonego planu pogodzenia się ze sobą i ze światem oraz odbudowania odpowiednio bliskiej relacji ze swoją jedyną córką. Te listy byłyby świetnym materiałem na biografię, ale historia jego życia brzmiała zbyt niewiarygodnie, żeby ją publikować w Królestwie Milczenia, w Islandii, choć Islandczycy nigdy nie czytali nic innego niż większe lub mniejsze kłamstwa.

Pewnego dnia jeszcze przed świtem pomaszerowali tak daleko w las, że znaleźli się na jego drugim końcu. Za ostatnimi drzewami na otwartym polu stała w śniegu kolumna ciężarówek, oliwkowozielone ciężkie auta z czerwoną gwiazdą. Z pierwszego wozu wysiadł żołnierz i palił na mrozie. Mój ojciec zobaczył siebie przed trzema laty, tamtego ranka, kiedy trzymał w rękach ramię niemieckiego żołnierza. Wtedy było mu zimno, teraz całe jego wnętrze było zamrożone na kość. Ubrania rosyjskich jeńców nie były ani trochę lepsze, wyglądały jak pizama podbita watą. Niewolnicy cieszyli się, że będą pracować, bo wtedy ciało produkuje przynajmniej śladowe ilości ciepła. Do jedzenia dostawali płatki surowego ciasta wielkości paznokcia, które rozmiękczały w pokrytej lodem wodzie.

„Przez cały czas nie mówiłem ani słowa - pisał ojciec. - Język niemiecki we mnie zamarł. Jakby Hitler się zemścił, odbierając mi mowę. Niektórzy nawet mieli wątpliwości, czy jestem jednym z nich. Ale wielu jeńców żywiło się nadzieją, kierując czasem ucho w stronę wiatru z zachodu, żeby usłyszeć huk dział Wehrmachtu. W nagrodę dostawali porcję rosyjskiego ołowiu w brzuch. Jest w tym pewne niezwykle piękno, kiedy krew zabarwia śnieg. Czerwień tak długo wgrzyza się w biel, aż odda jej całe swoje ciepło. Potem staje się czarna”.

Jego milczenie w końcu się opłaciło. W okresie przedświątecznym zaczęto przeglądać baraki w poszukiwaniu mięsa armatniego nadającego się do użytku. Wkrótce miała się zacząć ostatnia ofensywa. W rosyjskich dokumentach Islandczyk został zapisany jako „Hans Bios” i ktoś nabrał przekonania, że ów czterdziestoletni nordysta nie jest Niemcem, tylko Estończykiem. Jakieś chwilowe olśnienie kazało tacie zaakceptować ten zaszczyt i trzy dni

później znów był wolny, znów jako żołnierz. W pełnym umundurowaniu znalazł się wraz z innymi świeżymi weteranami w transporterze jadącym w kierunku Polski. Była to mniej więcej ta sama droga, jaką przeszła poczciwa Jagina na swoich kolumnach nóg, zresztą niedaleko też biegł szlak, który mój ojciec pokonał trzy zimy temu pod niemieckim dowództwem, tylko że w drugą stronę - pół wojny młodszy i z większymi nadziejami. Choć mimo wszystko fakt, iż znów się tu znalazł, w obcym mundurze i we wrogiej armii, nie był tak przygnębiający, jak się tego obawiał. Wszystko było lepsze od ścinania drzew dla Stalina, a w gruncie rzeczy mundur nie odgrywał żadnej roli. Na wojnie wszyscy są braćmi, na wojnie wszyscy są wrogami; chodziło tylko o to, żeby przetrwać. Tata walczył teraz już tylko i wyłącznie za siebie samego. Znów musiał znaleźć się w tym małym kraju, który porzucił, żeby zdobyć Rzeszę, którą właśnie stracił.

„I jeśli od strony Rosji wchodzisz do Polski, to przynajmniej choć trochę zbliżasz się do Islandii”.

110

PERŁOWA CÓRKA

1945

W tym czasie ja siedziałam na brzegu Odry. W ciemnościach płakały dzieci, matki pobrzękiwały garnkami, konie były wyprzęgnięte, a przede mną z południa na północ i z lewej do prawej płynęła potężna rzeka. Kawalek dalej most badał dno rzeki. Pocisk świetlny wystrzelił w górę, odbijając się w spokojnym nurcie między popękkanymi filarami mostu i sterzącymi z wody stalowymi dźwigarami. Gdzieś daleko rozległy się strzały. Nikt się tym nie przejmował. Przemęczenie sprawiło, że wszyscy zachowywali doskonałą obojętność. Tylko ci, którzy zostali trafieni, zatrzymywali się na chwilę, rozważając, czy mieli pecha, czy szczęście, i zaraz umierali. Pozostali najspokojniej w świecie szli dalej.

Dwa tygodnie minęły, odkąd przyłączyłam się do tej kolumny niemieckich ziemian i ich służby. Przez stulecia orali śląską ziemię, a teraz musieli z niej uciekać. To była piekielna procesja przez zbombardowane wioski w brązowym błocie, czasem w padającym śniegu. Już nie wiedziałam, gdzie kończy się moja skóra, a zaczynają buty. Ale wreszcie dotarliśmy do celu. Jeśli przejdziemy przez tę rzekę, będziemy już bezpieczni. Führer nigdy nie dopuści do tego, żeby Ruscy przekroczyli Odrę.

To był przyjemny i spokojny wojenny wieczór. Najstraszniejsze było już za nami, tutaj w blasku pocisków świetlnych jarzyła się nadzieja. Ktoś powiedział, że przetrwaliśmy luty, a po drugiej stronie rzeki zaczyna się marzec. Ziemia była goła i już częściowo sucha.

Ludzie ułożyli się do snu pod wozami albo pod drzewami. Jakiś chłopiec spał z głową opartą o koński bok, a ciężko doświadczone matki kuliły się wokół swoich nowo narodzonych cierpień, z powodu utraconych wczoraj czy przedwczoraj dzieci. Nasz siwobrody ułożył się do snu za furą, która przesunęła się kawałek i jedno z kół znalazło się tuż przy szyi starca, który spał głęboko otulony swoją brodą. Przyglądałam się jego głowie i myślałam o kryjących się w niej historiach, które opowiadał nam w zadymionych kątach ruin albo w przydrożnych rowach. Jedna z jego przodkiń pod koniec osiemnastego wieku otrzymała od swojego księcia podczas podróży do Wenecji naszyjnik z pereł. Ale nie był to zwyczajny naszyjnik ani zwyczajne perły, tylko klejnoty, którym osobisty pocałunek Casanovy nadał niesłychaną wartość. Od tego czasu naszyjnik pozostawał w rodzinie, przekazywany dalej, z szyi na szyję, z majątku do majątku, przez wszystkie wojny, które stopniowo odbierały mu perłę za perłą.

- Pradziadkowie stracili majątek w wojnie prusko-austriackiej i odkupili go za osiemnaście z owych włoskich pereł. Babka wykupiła się z wojny niemiecko-francuskiej czterema perłami. W pierwszej wojnie światowej mój ojciec zdołał uratować rodzinę, bo za dwadzieścia pereł kupił wóz i dwa konie, a tę wojnę przetrwaliśmy dzięki pozostałym perłom. Trzydzieści zapłaciłem za jazdę autem z Łodzi do Warszawy, gdzie córki Casanovy mogły sobie przypomnieć o swojej wartości. Dwie dałem za nocleg dla szesnastu osób w piwnicy ambasady, cztery za pół świniaka, jedną za ciepły płaszcz dla mojej Anny, i tak dalej. Spójrzcie! - Wyciągnął z kieszeni cienką nić, na której wisiały dwie matowe perły. - Mam jeszcze dwie. Dwie perły z naszyjnika Casanovy. - Popatrzył nam głęboko w oczy, mnie i pewnej trzynastoletniej dziewczynce z piegami, potem zsunął perły z nici na swoją dłoń. Małeńkie tęcze przebiegały po tych szarawych kulkach wielkości małego cukierka, wyglądały, jakby zostały wyryte w powierzchni macicy perłowej drobnymi żłobieniami dłuta elfów. Gdzieś daleko z nieba spadały bomby.

- Te dwie podaruję wam. Dla każdej po jednej.

Protestowałyśmy głośno, ale on się upierał i powiedział, że połowa jego rodziny zginęła w rosyjskim bombardowaniu, ta druga połowa już nie jest taka ważna. Dla niego ważniejsze jest, żeby te ocalałe cenne perły znalazły się „w rękach przyszłości”.

Więc siedziałam teraz na brzegu Odry i patrzyłam na drugi brzeg. Ręce miałam w kieszeniach. Jedna obejmowała granat, druga perłę.

Takiego tempa tata jeszcze nigdy nie przeżył na wojnie. Marsz przez Polskę przebiegał tak szybko, że całymi dniami tylko maszerowali. Czasami w jeden dzień front przesuwał się o sto kilometrów. Prawie cieszyli się, kiedy dochodziło do bitwy, bo wtedy mogli odsapnąć od marszu. Piechota siedziała w pospiesznie wykopanych, mokrych od śniegu okopach, podczas gdy artyleria odpalała swoje salwy. Tata był pod Białymstokiem, kiedy kawałek gąsienicy czołgu trafił go w hełm. Czarny dym snuł się nad białymi polami.

Potem znów szybkim marszem posuwali się naprzód, w pełnym rynsztunku, z karabinem i całym sprzętem bojowym. A że tata nie był już najmłodszym mężczyzną, w końcu przestał nadążać, zgubił swoją jednostkę i przez dwa tygodnie błędził wraz z pięcioma rannymi i wyczerpanymi kamratami przez zimozielone lasy, w których strzelali jedynie do saren i zajęcy.

„Wtedy poznałem Dimitrija Godunowa, który później nawet przyjechał na Islandię. W »Volkswillen« był o nim artykuł: »Sowiecki bohater z wizytą w Reykjavíku«. W wywiadzie wspominał też o mnie, ale to ocenzurowali. W ich wizji świata oczywiście nie mogło być nazistów w rosyjskiej armii. Wydaje mi się, że to był mój najlepszy czas na wojnie. Nauczyłem się kilku słów po rosyjsku i czułem się trochę jak na wakacjach, choć była to dopiero połowa marca. Dimitrij był drobny i zwinny, ale silny jak niedźwiedź, bardzo porządny gość. Miał w nodze żelazny odłamek, z czego zrobiła się gangrena. Był świetnym i pracowitym stolarzem, nie umiał nigdzie usiąść, żeby zaraz czegoś nie wystrugać, drewnianej łyżki albo podstawki pod garnek”.

I gdy tak siedział ze swoimi kamratami wokół blado pełgającego ogniska, ów żołnierz z Islandii zrozumiał, że pojęcia takie jak komunizm czy narodowy socjalizm nigdy do tych lasów nie dotarły.

W końcu z iglastego gąszczu wyszli na otwarty teren, gdzie obozowało wojsko. Przed szarobrązowymi namiotami stali wąsaci oficerowie i palili fajkę. Przedziwna cisza spowijała cały obóz. W zaspie leżał trup konia, przy którym przykucnęło kilku żołnierzy, wycinali sobie kawałki mięsa z jego ud i przeżuwali je na surowo. Im bliżej podchodzili ojciec i jego towarzysze, tym wyraźniej czuli jakiś nieznany zapach. Było to coś w rodzaju woni spalenizny, która jak niewidzialna mgła wisiała nad całym obozem. Kawałek dalej na północ z jakichś ruin buchały kłęby jasnego dymu. Stały tam grupki żołnierzy odwróconych plecami. Musiało się palić coś szczególnego.

Hans Bios, Dimitrij Godunow i reszta zameldowali się w obozie, a potem kierowani milczeniem oraz spojrzeniami pozostałych żołnierzy, podeszli do dymiących ruin. Smród stawał się coraz silniejszy, było też coraz goręcej. Przez kłęby dymu rozpoznali ludzkie nogi,

ramiona, głowy, nagie ciała.

Mieli przed sobą masowy grób, w którym paliło się pięć warstw zwłok ułożonych jedna na drugiej. Z powodu gorąca nie można było podejść bliżej, nie osłaniając twarzy. Martwe ciała składały się z samej skóry i kości. Co to było? Niemieccy jeńcy wojenni?

- Nie, więźniowie z obozu koncentracyjnego - wyjaśnił jakiś kozak o ponurych brwiach i czerwonych ustach, które zaraz zamknął na bezkształtnym białym skręcie. - Stamtąd. - Wskazał ruiny rozpościerające się nieco dalej na zachód. - Treblinka.

Tata rozejrzał się po twarzach rosyjskich żołnierzy. Ich wyrazu nie dało się opisać. Młodzi chłopcy i dojrzały mężczyźni stali tam i jak zahipnotyzowani wpatrywali się w najczarniejszą otchłań ludzkości. W najwyższej warstwie tata rozpoznał ciało ciężarnej kobiety. Jej brzuch był zaokrąglony i gładki, w przeciwieństwie do pozostałych wycieńczonych ciał. Tata stał w całkowitym bezruchu i wpatrywał się tylko w ten brzuch, nie zdając sobie z tego sprawy. Miał wrażenie, że życie go opuszcza i na jego miejsce wchodzi śmierć. Życie mojego ojca skończyło się wtedy w połowie, potem było dziesięć minut przerwy. Wrócił do siebie dopiero wtedy, kiedy brzuch ciężarnej poddał się temperaturze i pękł, wydając straszliwy dźwięk.

W jego wnętrzu ukazał się w pełni rozwinięty płód, żył przez moment czerwienią płomieni, póki nie spalił się na czarno jak zwęglone mięso.

Tata odwrócił się i jak w transie odszedł od tego masowego grobu. Ale nie mógł przed tym uciec. Ten smród prześladował go przez całe życie, zawsze kojarzył mu się z iglastymi drzewami.

„To było bardzo dziwne uczucie. Patrzyłem nad koronami drzew na horyzont i nagle naszły mnie okropne wyrzuty sumienia wobec tych zielonych drzew. My, ludzie, stworzyliśmy czarną plamę w historii Ziemi i obraziliśmy te zielone kochane drzewa tym smrodem i tymi potwornościami, których nigdy ludzkie oko nie powinno oglądać. Może się to wydawać dziwne, ale w tamtej chwili byłem opętany poczuciem winy wobec Matki Natury”.

W 1979 roku mój ojciec został skazany przez sąd w Reykjavíku na grzywnę w wysokości pół miliona koron za ścięcie dwóch wysokich drzew iglastych na granicy działki przy Skothúsvegur.

Czasami wpatrywałam się w moje nogi i nie mogłam się nadziwić, jakie są silne i

wytrzymałe. Zdawały się należeć do jakiegoś innego, nie tak zmęczonego człowieka. Nadałam im męskie imiona, Nonni i Manni. Bracia trzymali się razem, tylko mokry śnieg rozpryskiwał się czasem między nimi.

Ale wszystko jedno, jak daleko doszliśmy, wojna zawsze dudniła zaraz za naszymi plecami. Wmawialiśmy sobie, że przed nią uciekamy, ale raczej wyglądało to tak, jakbyśmy ciągnęli ją za sobą w ciężkim stalowym, plującym czernią wozie. Nawet Odra nie okazała się dla niej żadną przeszkodą. Spaliśmy w stodołach i w opuszczonych gospodarstwach. Raz znaleźliśmy skrzynkę ziemniaków, innym razem bochenek żytniego chleba w kuchni, ale przeważnie syciliśmy się opowieściami o szczęśliwych uchodźcach, którzy natrafili na gospodarstwo pełne jedzenia. W ubraniu jakiejś nieżywej kobiety gdzieś na poboczu drogi znalazłam kawałek masła, który zaraz schowałam w moich rzeczach i potem żywiłam się nim przez cały tydzień.

Śnieg topniał, a drogi zapełniały się jeszcze większymi tłumami uchodźców, Prusaków, Polaków i Niemców, byli nawet Niemcy nadwożańscy i przedstawiciele kilku innych narodowości. Tysiące sunęły tymi przekłętymi drogami, obok porzuconych czołgów i wielkich, wypełnionych wodą lejów po bombach, niczym zmęczeni i milczący bohaterowie Starego Testamentu, z tą tylko różnicą, że tu nie było Boga spoglądającego na dół ze swojej chmury.

Czasami drogę okalały szpalery drzew i przyglądały się nam, jak krok za krokiem idziemy ku zachodowi słońca, który czasami wyglądał pięknie, ale zawsze był smutny. Pewnego ranka minęliśmy długą kolumnę rosyjskich dzieci z takim wyrazem w twarzach, jakby już widziały całe swoje życie, do samego końca. Następnego dnia natknęliśmy się na podążające na wschód tuziny rosyjskich kobiet. Musieliśmy zejść na pobocze, żeby je przepuścić. Szły pieszo, większość w wieku około trzydziestu lat i starsze, ciągnęły obok nas z ponurymi minami jak w niemym filmie. Jedna z nich splunęła na Niemca z naszej grupy. Czy wojna już się skończyła? Wiele z nich było w ciąży i niosły te niemieckie owoce żywota gdzieś na Białoruś.

Mijaliśmy brązowe pole. Na jego środku stał niemiecki żołnierz z podniesionymi rękami i wołał jak przypalany na rożnie: „Nie strzelać! Jestem tylko strachem na wróble”.

Większość nie miała nawet siły, żeby posłać mu choć spojrzenie. Człapaliśmy dalej milczącym chórem wyczerpanych, tylko gdzieś na końcu pochodu zapiszczała samotnie harmonijka ustna.

Starzec z siwą brodą zaoferował mi miejsce na swoim wozie. Przez dwa dni mogłam siedzieć i machać nogami, ale potem w nocy ukradziono nam konia. Jego głowę znaleźliśmy

następnego dnia w rowie.

Choć siwobrody stracił całą rodzinę, śmierć konia bardzo go poruszyła, szybko zaczął zostawać z tyłu. Oglądałam się przez ramię i widziałam go na zrytej drodze, jak znika w grupie opatulonych szalem kobiet, drobna twarz z czerwonym nosem i srebrzystosiwą brodą pod przerażająco wielkim szarym niebem.

Domy stały przy ulicy jak żebracy mający nadzieję na jałmużnę i pomoc. Każdy dom i każdy kościół zdawał się prosić, żeby wyrwać go z miejsca razem z fundamentami i zabrać ze sobą do lepszego życia. Ale gdzie było to lepsze życie? Ktoś powiedział, że idziemy do bunkra Führera, gdzie on nas ugości kapustą i wódką.

Pewnej nocy zajęliśmy dawną gospodę w opuszczonej wiosce. Wielu rozsiało się na łóżkach w największym pokoju, ogień w metalowej beczce ogrzewał wyczerpanych wędrowców. Wdałam się w rozmowę z pewnym mężczyzną, który był, jak się okazało, oboistą ze Szwecji. Jego nos i policzki zdobiło kilka dużych brodawek. Opowiedział mi zawiłą historię swojego życia i w jaki sposób znalazł się akurat tutaj. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował mnie jednym. Zapalił go dla mnie i pokazał, jak należy się zaciągać. Przy pierwszym o mało nie zwymiotowałam, przy drugim prawie wyplułam płuca, przy trzecim dotrwałam do końca. Kilka tygodni później Pan Tytoń został oficjalnie moim mężem i od tego czasu się nie rozstawaliśmy. Wiosną 2005 roku obchodziliśmy diamentowe gody.

- Wojna się kończy - powiedział Szwed z brodawkami. - Potrwa najwyżej jeszcze miesiąc. Jankesi przekroczyli Ren. Stalin i Roosevelt spotkają się w Berlinie. Znam kogoś, kto może ci pomóc. Używa niemieckiego nazwiska, ale jest Amerykaninem, Bill Skewinson. Zgłoś się do niego. Bühlstraße 14. Jeśli on nie będzie mógł ci pomóc dostać się na Islandię, to już chyba nikt.

Potem zaprowadził mnie na piętro i położył do łóżka. Natychmiast zasnęłam, ale obudziłam się, kiedy poczułam jego dłoń pod swetrem.

- Mogę ci pomóc - szeptał po niemiecku ze szwedzkim akcentem.

Zerwałam się i wybiegłam z pokoju.

Przez resztę czasu trzymałam się grupy kobiet. Tutaj każdy był skazany tylko na siebie. „Każdy za siebie, a Bóg przeciw wszystkim”. Wojna łączyła ludzi, by zaraz znów ich rozdzielić. Spotykałam osoby, do których się przyłączałam na dzień lub dwa, mamroczącą staruszkę albo wieśniaczkę o czerwonej twarzy, która czytała Gunnara Gunnarssona i prosiła mnie, żebym przekazała życzenia jemu i jego rodzinie, lecz obie potem znów zniknęły w odmętach dziejów. Każdy dzień był jak cały wiek. W końcu przeszłam ze stadium

wyczerpania w trans. Droga zdawała się taśmociągiem i miałam wrażenie, że to las, domy i znaki drogowe przychodzą do mnie, a nie na odwrót.

Jednego dnia zdarzyła się taka historia: Trzech oficerów z trąbieniem przebijają się w aucie przez ludzką masę. Uchodźcy schodzili z drogi przed umundurowanymi mężczyznami w otwartym wozie terenowym. Ci siedzieli jak wykuci w kamieniu i patrzyli prosto przed siebie, aż jakaś kobieta w łachmanach wrzuciła im na tylne siedzenie zdechłego szczura. Dwaj oficerowie odwrócili się i oddali strzały z pistoletów. Dwie młode kobiety stojące obok tej od szczura padły na ziemię, auto pojechało dalej. Dwaj chłopcy rzucili się z krzykiem na staruszkę w łachmanach, zepchnęli ją z drogi do rowu i tak długo trzymali jej głowę pod wodą, aż straciła przytomność. W milczeniu poszliśmy dalej, mijając ciała zabitych. Jakaś kobieta w średnim wieku zatrzymała się jeszcze przy zwłokach i patrzyła pustymi niebieskimi oczami w bezlistny las. Dlaczego ja nadal żyłam, a one nie? Czy to wszystko było przypadkiem, czy kryła się za tym jakaś wola?

Nonni i Manni najwyraźniej znali odpowiedź i nieśli mnie bez wahania dalej. Po lewej stronie płonęły jakieś zabudowania, a na drzewach słychać było pierwsze wiosenne ptaki.

113

ZERWANE MOSTY

1945

W wojskowej barce przeprawili się na drugą stronę rzeki. Ostatnie dni były jak spowite mgłą. Mój ojciec w uśpieniu przemaszerował przez pół Polski, nocą leżał z otwartymi oczami, wpatrując się w ciemne niebo i czarne lasy. Był apatyczny i wewnętrznie sparaliżowany widokiem tysiąca płonących trupów. Z zaskoczenia został wepchnięty do piekła i teraz z trudem się z niego wydostawał. Wszyscy od lat żyliśmy na wojnie i przeżyliśmy wiele okropnych rzeczy, ale ci mężczyźni spojrzeli głębiej i zobaczyli, że człowiek spisał swoją historię w księdze wielkiego pożaru, w której leży początek i koniec, a mieszkają w niej tylko Bóg i diabeł.

Powoli, powoli wracał do siebie. Znowu odnajdywał się w rzeczywistości. Prom niósł ich przez spokojną rzekę, stu sowieckich żołnierzy. Ojciec stał od strony mostu i przyglądał się ruinie: nagie filary, popękane drewniane bale i wtedy przypomniało mu się, że trzy lata wcześniej właśnie przez ten most jechał na wschód, jako młody człowiek w drodze do kariery na wydziale nordystyki Uniwersytetu Moskiewskiego. Przedtem trzeba było załatwić tylko kilka drobnych formalności. Teraz znowu znajdował się w tym miejscu, w drodze w odwrotnym kierunku, z ofensywą na Niemcy, odznaczony czerwoną gwiazdą. Odgrywał rolę

pomocnika przy odciętym ramieniu, orał krwawe pole, strzelał w oko wojny, stracił przyjaciela, potem jeszcze jednego, widział wielki pożar w głowie Hitlera, czuł jego smród - smród, jaki wydzielala jego wizja, którą mój ojciec uczynił swoją, a teraz tutaj zobaczył ostatecznie, jak daremne było to wszystko.

Wojna nic nie dała, niczego nie osiągnięto, nic się nie zmieniło. Niemcy były Niemcami, a Rosja Rosją. Pomiędzy nimi leżała Polska. Czołgi przetaczały się przez granice na wschodzie i na zachodzie, ale wkrótce wszystko powróci do sytuacji wyjściowej. Gdyż za kilka tygodni wszystko się skończy. Po tylu latach używania broni i stali wszystko było tak jak przedtem. Jedyne, co się zmieniło, to był zerwany most. Rzeka nadal była taka sama, te same drzewa i to samo niebo.

Aha, no i jeszcze pięćdziesiąt milionów ludzi straciło życie. A może to było siedemdziesiąt milionów? Co to jest - między przyjaciółmi - te dwadzieścia milionów różnicy? Liczba ludności Islandii pomnożona przez sto sześćdziesiąt.

Wkroczyli teraz do hitlerowskich Niemiec i tata przestał mówić. Nie powiedział ani słowa więcej. Jego towarzysze broni tymczasem przeklinali każde pole, każde drzewo, spluwali na każdy kamień. Pierwszej nocy kwaterowali we wzorcowym gospodarstwie. Pan na włościach najwyraźniej nie miał czasu wszystkiego spalić; włożył tylko chleby do pieca. Wszystkie szafy w domu były pełne, wszystkie pokoje suche i czyste, a meble mogłyby pochodzić z pałacu. Nawet końskie stajnie wyglądały lepiej niż ich rudery w rosyjskiej ojczyźnie. Owa arcyniemiecka skrzętność trafiła rosyjskich żołnierzy w samo serce. Dimitrij i jego towarzysze wpadli w szał, z bagnietami biegali w amoku po całym domu, darli na strzępy obrazy na ścianach, kopniakami rozwalali meble. W spiżarni ich gniew osiągnął apogeum. Dimitrij wrócił do kuchni ubielony mąką, krzycząc: „Dlaczego, u diabła, musieli napaść na Rosję?! Przecież tu mieli wszystkiego w nadmiarze”.

Wziął ważący dwa kilo bochen żytniego chleba i z przekleństwem cisnął nim o ścianę, aż pękł, a on wybuchnął płaczem. Opadł na posadzkę z ciemnoczerwonego kamienia i wzywał swoją matkę, siostrę, swoją żonę i córkę: „Mamuszka, mamuszka... Daszeńka, Daszeńka...”.

Trzy godziny później wszyscy byli najedzeni i pijani w sztok. Cała horda pognąła do ubikacji, a tata został sam w kuchni. Żaden z jego towarzyszy nie widział nigdy splukiwanej toalety, jeden nawet umył sobie w niej głowę. Coś takiego! Tata wpatrywał się w szkło i zastanawiał się, gdzie też w tej chwili może się podziewać jego dziewczynka. Ach, na pewno jest u matki w Lubece. Przecież zawsze szczęście im sprzyjało. Czy Lubeka nie została już wyzwolona?

O północy pojawiło się dwóch żołnierzy, jeden wyższy, drugi mały, i przywlekli ze sobą dwie młode niemieckie kobiety o drżących wargach i oczach krzyczących o pomoc. Wepchnięto je do salonu i rzucono na stół. Zaczęło się od krzyku i płaczu dziewcząt, a skończyło ich całkowitym ucichnięciem. Tata nie wiedział, co jest gorsze. Przeczekał dziesięciokrotny gwałt w kuchni i patrzył na swoje palce, pięć plus pięć. Delikatna dłoń wykształconego człowieka stała się dłonią kata. Może był pierwszym Islandczykiem od ośmiuset lat, który stał się takim... rzeźnikiem? Czy zabijał ludzi? Tak, przypuszczalnie, w pierwszej bitwie nad Dniestrem. Nagle do kuchni wszedł Dimitrij, zapinając pasek spodni. Zanim rozwalił się na zastawionym butelkami stole, potrząsnął głową i powiedział jakby do siebie:

- *Nie mogu, nikak nie mogu...* Nie mogę... Do diabła, po prostu nie potrafię... taka... Boże, nie...

Potem spojrzał na tatę i podsunął mu szklankę.

- Ale chlać mogę. Mogę pić ich zasraną wódkę, choć nie potrafię wyruchać ich zasranych bab. Przeklęte Niemcy! Niechaj będą przeklęte na wieki! Na zdrowie!

Tata podniósł szklankę.

- Nic nie mówisz, Hans. Zgubiłeś język?

- Który język?

114

BÜHLSTRAßE 14

1945

Można to uznać za jeden z wątpliwych przywilejów zeszłego stulecia, by wiosną 1945 roku znaleźć się w Berlinie.

Na powitanie wyszczerzał się szkielet miasta. Puste oczodoły, gołe żebra, połamane kości. Słońce przeświecało przez resztki murów, które jeszcze stały. Całe dzielnice zostały zamienione w gruzowiska poprzecinane wydeptanymi ścieżkami. Ale w parkach Bóg dalej uprawiał swoje niesmaczne żarty i kwiaty, zielenił drzewa i wypełniał całą tę wspaniałość pochwalnymi śpiewami ptaków.

Ciemno ubrane postacie przemykały się po ulicach jak szczury, gdyż wszyscy poszukiwali jednego: czegoś do jedzenia. Czarny dym unosił się w dali, gdzieś tam wojna parskała jeszcze gniewnie jak smok zapędzony w pułapkę.

Czasami słyhać było odgłos walących się murów albo dźwięk syren, ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Od czasu do czasu gdzieś odzywał się akordeon, ów wytrzymały

instrument, który w Europie zawsze towarzyszy ważnym momentom.

Na skrzyżowaniu ukazał się czołg i dalej posuwał się ulicą jak przedpotopowy gad. Nikt nie zwracał uwagi, czy ma na wieżycze gwiazdę czy krzyż. W gąsienicach z prawej strony tkwiło oderwane ramię, było zakleszczone tak mocno, że stercząca na zewnątrz dłoń kręciła się przy każdym okrążeniu, w górę i w dół, jakby ktoś absurdalnie machał ręką.

Wszyscy byliśmy jak to miasto, całkowicie na dnie, pogrążeni w zupełnym zubożeniu, po tak długim stanie wyczerpania. Jeśli człowiek musi walczyć o to, żeby przeżyć dzień, i to przez całe lata, walczyć o każdy pojedynczy dzień, a potem triumf wreszcie znajduje się w zasięgu ręki, wtedy życie nagle zupełnie obojętnieje.

Z trudem pokonałam zwaloną ścianę domu, zapominając te dwa tysiące ludzi, których spotkałam w drodze przez Polskę. Nie wiedziałam, co mam zrobić, bo praktycznie nie było żadnego ocalałego domu. A jednak posiadałam o wiele więcej niż inni ludzie: miałam plan i pieniądze na dalszą podróż; nazwisko Amerykanina i rzadką perłę w kieszeni. Może nawet byłam najbogatszą dziewczynką w Berlinie.

Pytałam napotykanych ludzi o ulicę. Cała dzielnica była jedną wielką kamienną pustynią. Jakaś garbata kobieta przeczesała ruiny sklepu w poszukiwaniu czegoś jadalnego, ale podniosła głowę, kiedy ją zapytałam, i powiedziała, odsłaniając zajęczą wargę, z ręką wyciągniętą gdzieś w stronę sterty ruin:

- Wydaje mi się, że Bühlstraße była tam, gdzie tamten dom.

Pojedynczy dom z płaskim dachem stał w pewnym oddaleniu od wszystkich rumowisk, jak islandzki dom na wsi. Wiosenne słońce oświetliło cały ten przerażający widok, jak pani domu, która w środku nocnego przyjęcia nagle włącza światło, tak że widać potłuczone szkło i wymiociny. Choć piękna pogoda po długiej zimie właściwie powinna mnie cieszyć, denerwowała mnie tak samo jak idiotyczny ptasi koncert. Przez islandzkie zwały kamieni przedostałam się do domu. Była to klasycystyczna piętrowa willa, z kolumnami przed wejściem i uszkodzoną ścianą. Przed czterema schodkami prowadzącymi do drzwi stał strażnik w długim płaszczu.

To był chłop jak dąb, niemiecki żołnierz z gatunku tych tępych, których raczej należałoby zostawić w domu, jak Głupi Jaś z dworca w Hamburgu. Stał tutaj w jeden z ostatnich dni wojny i pocił się na słońcu. Pot strumieniami spływał mu spod hełmu. Zapytałam, czy to jest Bühlstraße 14, na co on odpowiedział: „Jawohl!”. Gdy zapytałam, czy tam mieszka kapitan, zaprzeczył. Szwed z brodawkami zapewniał mnie, że Amerykanin ukrywa się pod pseudonimem Gerhart Hauptmann.

- A więc nie mieszka tu żaden Gerhart Hauptmann?

- Nie.

Zastanowiłam się chwilę.

- A Amerykanin nazwiskiem Skewinson?

- Nie.

Jednak widziałam po wyrazie jego twarzy, że kłamie, i po krótkim namyśle sięgnęłam do kieszeni i wyciągnęłam mój skarb, którym chciałam opłacić sobie rejs na Islandię najbliższym statkiem do Ameryki, powrót do domu. O nie, to nie był żaden zasmarkany podłotek, tylko pełnowartościowy człowiek, który mógł zapłacić całą sumę za swój bilet. Wyciągnęłam rękę i pokazałam wielkiemu żołnierzowi włoską perłę z czasów Casanovy. Słońce rozjarzyło ją tęczowymi barwami, klejnot był tak samo doskonały jak przedtem. On zaś porwał perłę z mojej otwartej dłoni i włożył ją sobie do ust, spróbował nadgryźć, a potem połknął.

115

JEŚĆ DO SYTA

1945

Noc spędziłam w pobliskich ruinach. Poszukiwania jedzenia niczego nie dały, nie miałam nic innego do strawienia oprócz głupoty żołnierza. Może powinnam mu pokazać mój granat? Lepiej nie. Na pewno połknąłby go tak samo gładko jak perłę. Jako uosobienie debilizmu był odporny na każdą broń.

Płakałam trochę w ciemnościach, dwa razy powtórzyłam głośno drżącymi wargami „mama”. To było pewne pocieszenie, słyszeć, jak ktoś mówi to słowo. W odpowiedzi gdzieś daleko pojawiły się na horyzoncie dwa jasne błyski, a zaraz potem przynależący do nich huk. Pomyślałam, że to wybuchy, ale to były pioruny, bo zaraz zaczęło padać.

Wczołgałam się pod zwaloną ścianę, która drugim końcem opierała się o inny mur, tworząc pod spodem małą jaskinię, w której pachniało pleśnią i kurzem. Oczywiście niebezpiecznie było kłaść się pod czymś takim, wszystko mogło znów runąć, lecz śmierć uznałam za mniejsze zło niż przemoknięcie do suchej nitki. Ułożyłam się na boku, czułam każdą kosteczkę w moim ciele, obolałe leżały na kamiennym podłożu jak zmęczony metal - z pewnością była to pierwsza oznaka zbliżającej się śmierci - i wpatrywałam się wygłodzona w udrapowaną deszczem ciemność.

W końcu jakoś zasnęłam i muszę przyznać, że spałam zaskakująco dobrze, aż obudziłam się zdumiona. Z nieco wilgotnym bokiem wczołgałam się ze swojej jaskini, nie mając pojęcia, gdzie jestem, i przeżyłam krótkie ożywcze мгновение szczęścia, póki nie

przypomniałam sobie, że nadal jestem zameldowana pod adresem drugiej wojny światowej. Było jeszcze bardzo wcześnie, piąta albo szósta rano, bo niebo zaczynało dopiero różowieć na wschodzie, a wojna jeszcze spała, na niebie nie było żadnych ptaków.

Stałam na wielkim kamieniu, żeby z dystansu móc popatrzeć na swoje życie. A więc stoję tu w brudnym płaszczu i w zakurzonych „butach” z ruinowo czerwonym szalikiem na szyi, młoda dziewczyna, cztery miesiące przed szesnastymi urodzinami, z płonącym spojrzeniem i pełnymi życia ustami; piękna i całkowicie wolna, całkowicie głodna, całkowicie zrozpaczona.

Jedna noga wyprostowana, a druga oparta na kamieniu, łokieć spoczywający na kolanie. Klasyczna poza. Wyglądałam jak antyczny grecki posąg dziewiczej bogini, tylko że to ja byłam żywa, a otoczenie było z marmuru, martwe: resztki domów, zwały cegieł, sterty gruzów... Nawet liście na krzakach, które tu i ówdzie stały wśród ruin, były skamieniałe, a mucha na połamanej żelaznej barierce jak wyrzeźbiona z kamienia. Wszystko było martwe, wszystko ciche. Świat był pusty i mnie otaczała pustka. Byłam młodym człowiekiem w Europie w wiosennym dniu życia i miałam szalone szczęście przy wyborze tego dnia, gdyż była to najbardziej katastrofalna wiosna w historii. Dziedzictwo wszystkich poprzednich pokoleń zostało zrównane z ziemią. Wszystko, o co ludzkość od tysiąca lat walczyła, co zbudowała, do czego dążyła, wszystko, co w ogóle mnie stworzyło na świecie, zostało wymazane.

Przez moment wszystko zdawało się stać otworem, wszystko było możliwe; choć w rzeczywistości istniała tylko jedna możliwość: czułam drobne pęknięcie w powietrzu, wąską rynną w czerwonej zorzy poranka, która prowadziła ode mnie w przyszłość, rynną, przez którą musiało przepłynąć moje życie, jak woda, która zawsze wybiera najkrótszą drogę w dół. Tak. Nagle uświadomiłam sobie z głębokim przekonaniem, że ten przepiękny marmurowy poranek doprowadzi mnie na samo dno.

Wróciłam do jedyne go ocalałego domu na Bühlstraße i zobaczyłam, że nie ma przed nim strażnika. Spróbowałam otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz. Obeszłam budynek dookoła, potem usiadłam na kamieniu i czekałam, kiedy słońce rzuci na niego cień. Po godzinie przez ruiny przyszła jakaś starsza kobieta i usiadła na schodach domu. Zaraz z budynku wyszedł strażnik, przepędził ją brutalnie i stanął na posterunku.

Czekałam z pewnością ze dwie godziny, ale ten tępy olbrzym nie ruszył się ani na krok, nawet do ubikacji. W końcu mój żołądek zaczął tak burczeć, że poszłam w kierunku „miasta”, gdzie jeszcze stały jakieś domy. W na wpół rozwalonej bramie zauważyłam kilka kobiet zgromadzonych wokół garnka. Patrzyłam w ich stronę, aż pokazały mi, żebym

podeszła, i dały mi kawałek mięsa. Wolałam nie pytać, czy to był pies, czy szczur.

Podziękowałam i ruszyłam dalej ulicą. Po obu stronach stały pozbawione okien fasady, jak teatralne dekoracje. Na jakimś podwórku dwoje dzieci biło się o kromkę chleba. Bójka skończyła się tym, że jedno z dzieci zwymiotowało na drugie. Kawałek dalej przy tej samej ulicy była księgarnia. Brakowało frontowej ściany i książki na półkach były pokryte grubą warstwą kurzu, wszystkie wyglądały tak samo. Jedno wydanie w tysiącu tomów. Wyciągnęłam z półki jedną książkę i usiadłam w najdalszym zakamarku sklepu, zasnęłam i obudziłam się w dziełach Schillera, podczas gdy ulicą przetaczały się czołgi.

Zbliżał się zmierzch, a mój żołądek znów zaczął burczeć. I po raz kolejny miałam szczęście, gdyż szczęśliwym zrzędzeniem losu znalazłam w zburzonym domu coś do jedzenia: w półmroku zauważyłam białe jajko, całe, ugotowane na twardo. Jak ono się tu znalazło? Potem przy zwałonym kominie zobaczyłam kobietę o tłustych włosach. Uśmiechnęła się do mnie żółtymi zębami.

- Potrzebujesz dachu nad głową? To chodź ze mną.

Przez tylną bramę weszliśmy do stosunkowo dobrze zachowanego pięciopiętrowego domu. Jak mi powiedziała, była to dzielnica Lichtenberg. Pozostałe domy przy tej ulicy w większości nie miały dachów, jednemu brakowało czterech pięter. Na schodach siedzieli żołnierze i palili w milczeniu, ale gdy tylko nas zobaczyli, zaczęli coś wykrzykiwać. Mogłam jedynie rozróżnić, że to był rosyjski. A więc ta część miasta znajdowała się w rękach Rosjan. Na podwórzu leżały zwłoki chłopca. Z jego oczami ptaki odleciały w niebo. Z sąsiedniego podwórza wyrastał czarny dym, piękna wojenna roślina. Kobieta powiedziała, że nazywa się Brigitte. Miała trudności z wchodzeniem po schodach, przystawała na każdym stopniu, wreszcie wytłumaczyła się, prychając śmiechem:

- Ruskie bóle.

Weszliśmy do pozółkłej kuchni na trzecim piętrze, gdzie przy butelce siedziała matka Brigitte i bardzo się ucieszyła z mojego przybycia. „Świeża piękność!”, powiedziała i naląła mi wódki. Miała długie przerzedzone włosy, w jej uśmiechu brakowało zębów, a w pomieszczeniu szyb. Matka i córka pochodziły ze Szczecina, gdzie kiedyś wszyscy się za nimi oglądali na ulicach, ale teraz matka przypominała raczej starca, a córka wyglądała jak chłopak. W dialekcie, którego nie rozumiałam, wymieniły kilka szybkich, ostrych zdań. Potem znów obdarzyły mnie uśmiechami i przepiły do mnie. Piłam ich ognistą wodę i nie zwracałam, póki nie dostałam jedzenia, pierwszy normalny posiłek od wielu dni. Potem wszystko zwymiotowałam przez okienko w dachu. Światło księżycy położyło na tym łapę. Wyjrzałam na ciemne miasto ruin i wsłuchałam się w jego oddech. To dawało się od razu

wyczuć, było nie do przeoczenia: miasto kapitulowało. Na niebie nie było samolotów, powietrze drżało od cieniutkiego brzęczenia, jak po wielkim hałasie, w oddali z przytłumionym łoskotem runęła wieża kościoła, jakiś głos zawołał gdzieś z okna: „Führer nie żyje!”.

Potem w nocy i wczesnym rankiem ulice zalali rosyjscy żołnierze hałasujący okrzykami radości i kozackimi śpiewami.

Z kawałkiem sera i paroma butelkami zesłam na dół; matka i córka wykorzystywały mieszkanie na górze jako spiżarnię. Kiedy do nich weszłam, siedziały przy stole z kilkoma Rosjanami, którzy na mój widok i widok wódki zareagowali dziką radością. Jeden z nich, młody facet z wielkim nosem, zagroził mi drogę, sapiąc w twarz cuchnącym oddechem, w którym czuć było lufy karabinów i szyjki butelek. Jego wielka łapa czarna od zaschniętej krwi złapała mnie za piersi. Powiedział do swoich kompanów coś po rosyjsku, na co odpowiedzieli przerażającym wybuchem rozochoczonego śmiechu zwycięzców.

Kobieta o rzadkich włosach napełniła szklanki, a potem zaczęło się pijaństwo, toasty we wszystkich językach i śmiechy, podczas gdy w nocy za oknem płonęły domy. Wysłali mnie na górę, żebym przyniosła jeszcze więcej wódki. Na schodach natknęłam się na ciemnowłosą kobietę w halce do kolan, upiornie bladą i z obgryzionymi palcami, która z pustym spojrzeniem zapytała mnie:

- Czy widziała pani mojego Johanna? Nie widziała pani może mojego Johanna? On tutaj mieszkał.

Chciała wejść ze mną do kuchni, ale matka Brigitte odepchnęła ją i zatrzasnęła drzwi.

- To wariatka, nikt jej tu nie chce.

Najstarszy z mężczyzn był oficerem o cienkich wargach i włosach, z niewielkim brzuszkiem, który najwyraźniej zarezerwował dla siebie Brigitte. Zdawała się całkowicie akceptować jego rękę na swoim udzie. Stara rozkoszowała się zainteresowaniem mężczyzn, napawając się odzyskaną nad nimi władzą. Ich głodne spojrzenia mnie osaczały. Zrozumiałam, że znalazłam się w pułapce. Kiedy szłam do toalety, zawsze mi ktoś towarzyszył.

Dla mężczyzn wojna się skończyła. Dla nas, kobiet, dopiero się zaczynała.

Po próbie ucieczki trzymały mnie dzień i noc zamkniętą jak zwierzę w pokoju z

wiadrem. Dwa wysokie okna wychodziły na ulicę. Czasem słyszałam czołgi albo maszerujące oddziały, wrzaski i komendy, czasami wśród okrzyków i śmiechów padała salwa z karabinu.

To było przygnębiające zwycięstwo, przez większość czasu leżałam w łóżku. Brigitte nogą wsuwała mi do pokoju jedzenie i zaraz znów zamykała drzwi. Prowadziły na klatkę schodową i znajdowały się naprzeciwko kuchni kobiet ze Szczecina, która awansowała na kasyno oficerskie Armii Czerwonej. Pijaństwo zaczynało się po południu i trwało do późnej nocy. Jeśli miałam szczęście, przed kolacją nie było żadnego, ale przeważnie do świtu przychodziło trzech, czasem więcej. Pierwszy tydzień złał mi się w jedną długą noc ze stękającymi zwierzętami, cuchnącymi synami Wołgi i posapującymi wodzami z nieco starszych roczników, którzy spuszczaali się w piętnastolatkę. To był nieustający koszmar, żaden nie był lepszy od pozostałych, byłam całkiem zmaltrretowana od tego piekielnego ujeżdżania, wszystko mnie paliło bólem. Niewiele spałam, miewałam wtedy szalone, infernalnie płonące sny, podczas gdy w dzień próbowałam nadal wierzyć w Boga.

Czasami słyszałam na schodach kobietę z obgryzionymi palcami. Albo wzywała swojego Johanna, albo wygłaszała długie monologi o życiu duchowym kobiet.

Najznośniej było po ciemku, kiedy nie musiałam ich oglądać. Drzwi się otwierały i wpadało trochę światła. W progu stał „następny”, pijany, chwiejący się na nogach cień, a potem drzwi się zamykały. Po omacku szukał celu swojej wizyty, znajdował i po kilku minutach było po wszystkim. Jeśli miałam szczęście, padał zaraz na poduszkę i zasypiał na chwilę. W tym czasie nie przychodził żaden następny.

Jeden zasnął nawet od razu, jeszcze zanim zdjął spodnie. To był starszy mężczyzna z brodą, ale poza tym prawie pozbawiony włosów, pachniał jak Poci-Gunna, a chrapał jak wół. Próbowałam skorzystać z okazji i dobrać się do jego papierosów. Skąd się brali ci wszyscy faceci? Rosja wydawała mi się ogromnym wysypanym mrowiskiem. Z pewnością na jedną niemiecką kobietę przypadało ich co najmniej dziesięciu. Niektórzy udawali miłych i głaskali mnie jak kotka, żeby sobie samym wmawiać, że są moimi kochankami, a nie gwałcicielami, ale kiedy przychodziło co do czego, okazywali się największymi świniami ze wszystkich. Tamten jednak był po prostu bardzo zmęczony. Potem się obudził i zaczął mnie obmacywać, w podnieceniu zerwał z siebie mundur i sapał, leżąc na mnie. Nie był najgorszy, ale to trwało o wiele za długo. Jego biały podkoszulek jaśniał w ciemności i dźgał mnie niczym jednorogi byk. Uchylałam się przed jego śliną. Wreszcie się spuścił, zwałił się na bok, plecami do mnie, i natychmiast znów zaczął chrapać. Poszłam na sztywnych nogach do kąta, zaczekałam, aż wszystko ze mnie wypłynie, i wytarłam sobie uda starym ręcznikiem. Na pewno już dawno byłam w ciąży. Człapiąc jak stara kobieta, wróciłam na materac, ułożyłam się plecami do jego

pleców, zwinęłam w pozycji embrionalnej i myślałam: mamó, mamó, mamó. Pamiętam jeszcze, jak przymierałaś buty w mieszkaniu na Kalvebod Brygge i po słuchaniu BBC zasypialiśmy razem w łóżku. Wtedy byłam jeszcze dzieckiem, teraz jestem kurwą. Trzy razy pociągnęłam nosem, ale prawdziwy płacz nie chciał nadejść. W pewien sposób chrapanie tego mężczyzny działało uspokajająco. Z kuchni nie dobiegały już żadne dźwięki i w domu też panowała cisza. Na tę noc zakończyłam szycie.

Wreszcie udało mi się zasnąć i śniły mi się sianokosy na Svefneyjar, słońce i podwinięte rękawy.

Wczesnym rankiem żołnierz zaczął się ruszać. Stalowszara jasność wpadała przez dwa wysokie okna i oświetlała włochate męskie ramię. Jakiś szalony podszept kazał mi lekko na nie dmuchnąć. Włoski o różnej długości zafalowały w tym powiewie jak islandzkie wrzosowisko. Mężczyzna odwrócił się i skierował ku mnie twarz.

To nie była właściwa twarz. To była zdecydowanie niewłaściwa twarz.

Otworzył oczy, patrzyliśmy przez chwilę na siebie, a nasze twarze wyglądały tak podobnie, jak niewiele twarzy córek i ojców od początku świata.

W tej jednej chwili moje życie i cała moja przyszłość ułożyły się w odcinki, takie same, odlane z betonu bloki. I jedyne, co mogłam zrobić, to zejść po nich w dół aż tutaj - do tego garażu.

117

MLEKO & SZAMPAN

1945

Wyglansowane do połysku buty wyglądają spod zaprasowanych w ostre jak nóż kanty nogawek, wszystko czarne. Słońce wsiąka w dywan. Czy to są buty dziadka? Nie, to ten z włosami, premier, jak mówiła babcia. Mam na sobie przewiewną białą sukienkę w drobne żółto-zielone kwiatuszki i przechadzam się między czarnymi ptakami brodzącymi, które trójkami stoją w sali przyjęć na Bessastaðir, trącąc się kieliszkami, śmieją i konwersują, z czarnymi ogonami i białą piersią, islandzcy mężczyźni okresu powojennego. Obok nich stoją małżonki z wypiętrzonymi fryzurami, w długich rękawiczkach i sukniach do ziemi, niektóre nawet z trenem. Twarze tych kobiet są jasno upudrowane, oczy i usta umalowane mocno. Udają marmurowe posągi, gdyż żadna z nich nie mówi ani słowa, nawet nie porusza ustami, ani żeby powiedzieć zdanie, ani się uśmiechnąć.

Jest jeden jedyny wyjątek. Przy oknie stoi słynna Lone Bang w prostej czarnej sukni, z wysoko upiętymi włosami i tak samo wysokimi kośćmi policzkowymi, trochę grubo ciosana,

ale atrakcyjna twarz z szerokim uśmiechem. Otoczona wianuszkami wielbiciele kiwa energicznie głową. „Tak, byłam w Londynie”, słyszę, jak mówi po islandzku. „Tak, przez wszystkie lata wojny, byłam tam uwięziona”.

Jej akcent jest równocześnie surowy i kulturalny.

Szef protokołu Eggerz stuka w kieliszek i otwiera drzwi do sali jadalnej. Dziadek i babcia, prezydent Islandii z małżonką idą przodem, pozdrawiając gości. Słońce wpadające przez francuskie okna odbija się w okularach dziadka. Za nimi rozpościera się długi stół z doskonałą obsługą i stojącymi serwetkami. Jest nakryty dla trzydziestu osób. Przy każdym miejscu pięknie wykaligrafowana karteczka z nazwiskiem gościa. Panna Herbjörg María Björnsson, rodzina, taką karteczkę znajduję przy końcu stołu w pobliżu drzwi do kuchni między nazwiskami dwóch mężczyzn. Przy moim nakryciu stoi szklanka mleka. Jedyna na całym stole.

Po mojej lewej stronie siedzi wysoki mężczyzna o podłużnej twarzy, który wita się z zapowiedzią uśmiechu i staje za swoim krzesłem. Źle odczytuję jego nazwisko na karcie: Pan Jóhann Glückssohn, handlowiec. Jego żona, rudowłosa, w typie gwiazdy filmowej, stoi naprzeciwko po drugiej stronie stołu w futrzanym boa, z jaskrawo umalowanymi ustami i kiwa do niego. Naprzeciwko siebie mam nieco korpulentnego, prawie łysego mężczyznę, jednego z tych tryskających samozadowoleniem i humorem facetów ze wsi, których na Islandii nigdy nie brakowało, i którzy jak jeden mąż nazywają się Guðmundur. Ma mocno zaczerwienioną twarz, jakby jego sztywny kołnierzyk chciał go udusić, a wielki, wydęty brzuch rodzi przypuszczenia, że w środku od dziesiątków lat siedzi zablokowane potężne beknięcie. Po jego prawej stronie kiwa głową na boki dama z frakcji strojów ludowych. Jej szpakowaty mąż ze szczęką przypominającą niedomkniętą szufladę jest moim drugim sąsiadem: Pan Pétur Knudsen, sekretarz stanu.

Gdy tylko dziadek i babcia zajęli miejsca na środku stołu, wszyscy pozostali goście także siadają i zaczynają pogawędki, które zaraz cichną, kiedy premier wstaje ze swojego krzesła.

- To dla nas wielki i szczególny zaszczyt, gościć dzisiaj wieczorem tu w Bessastaðir. Swoją życzliwością i wsparciem nasza para prezydencka udowodniła...

Podczas przemowy przyglądam się rudej gwiazdzie filmowej naprzeciwko. Jej ciało jest nieskazitelnie czyste, jędrne i białe, nieco ściśnięte sztywną, głęboko wydekoltowaną sukienką. Jej twarz jest przykładem zdrowia i starannej pielęgnacji. Takiej kobiety nie widziałam jeszcze nigdy w życiu. Potem przesuwam wzrokiem wzdłuż stołu. Poważne twarze słuchają przemówienia z wyrazem wzruszenia i pewnego smutku w oczach, jak gdyby przez

tę strojną w jedwabie chwilę spoglądali na ciężki los małego narodu. Babcia siedzi o pięć nakryć ode mnie i podczas mowy premiera tylko mruga oczami. Ten mówi z głowy, stoi wyprostowany z niesłychaną godnością, z rozpiętą, odrzuconą do tyłu marynarką i kciukami zahaczonymi o wycięcia kamizelki przypomina dziarskiego wędrowca, który świeży i wypoczęty stoi przed górską chatą i poprawia pasy swojego plecaka. Jego białe jak śnieg włosy spływają potężną falą i każą myśleć, że ludzie z taką czupryną muszą być albo geniuszami, albo szaleńcami.

- My, Islandczycy, żywimy wielki szacunek dla urzędu prezydenta, gdyż stanowi najwyższą godność i wyróżnienie dla naszego kraju...

Dziadek wyraźnie cierpi, wysłuchując tych pochlebstw.

Przemowa się kończy i do sali wkracza gospodyni Elín, przyziemny kwiat wyhodowany w okolicy, w asyście trzech kelnerek. Wnoszą przystawkę: wędzonego pstrąga z Mývatn na nordlandzkim podpłomyku. Nie mam wprawy w posługiwaniu się sztucami, więc po prostu biorę chleb do ręki i odgryzam kawałek. Popijam go wielkim łykiem mleka. Ruda spuszcza wzrok i uśmiecha się z pobłażaniem. Goście znów podejmują rozmowy, pan Glücksson pyta ponad moją głowę:

- Czy słyszał pan coś nowego od Dawsona, Pétur?

Odwracam się do sekretarza stanu, piję kolejny łyk mleka i widzę odpowiedź wydobywającą się z szuflady jego szczęki:

- Tak, w rzeczy samej. Wszystko wygląda bardzo dobrze.

Czuję, jak w żyłach mojego sąsiada krew zaczyna się gotować, a jego żona błyska oślepiającym uśmiechem. Z kawałkiem ryby na widelcu mówi nawet:

- Ach, panie Knudsen, zanim nadejdzie jesień, musi pan wraz z małżonką odwiedzić nas w naszej letniej posiadłości w Þingvellir. Mają państwo nieustające zaproszenie.

Pani Knudsen wysuwa podbródek i ze skinieniem małej głowy posyła w odpowiedzi uśmiech aprobaty.

Gummi, siedzący naprzeciwko mnie, włącza się do rozmowy:

- Słyszałem, że starał się pan o pozwolenie na import.

- Tak, amerykańskich automobili. *Szerwolé* - oświadcza pani Glücksson z zachwytem.

- Nie tylko chevroletów, ale też chryslerów i fordów - precyzuje pan Glücksson. - Wkrótce będziemy mogli zacząć import amerykańskich samochodów w wielkim stylu.

- Niech pan sobie tylko wyobrazi - dodaje jego żona.

- Tak, to jest już zupełnie inny kraj - wtrąca pani Knudsen, potrząsając głową, z lekko wyczuwalnym nordlandzkim akcentem. - Kto by pomyślał, że ta wojna przyniesie nam taki

dobrobyt?

- To była naprawdę dobra wojna - przyznaje jej łysiejący rodak i unosi swój kieliszek.

- Wznieśmy toast, za wojnę!

Obydwie pary śmieją się z rozbawieniem z tego żartu, który wcale nie jest pomyślany jako żart, i wznoszą kieliszki. Zauważam, że mój kieliszek przez pomyłkę też został napełniony, bezmyślnie sięgam po niego, stukam się z pozostałymi i wypijam duży łyk. Ostatni raz piłam taki perlisty napój w Kopenhadze na początku wojny, kiedy to duńska dziwka poczęstowała mnie colą, a teraz poczułam, że jego działanie szybko objawia się bólem głowy.

- Szkoda, że wojna nie trwała dłużej. Wtedy odnieśliśmy jeszcze więcej korzyści - ciągnie Guðmundur, ale w odpowiedzi otrzymuje tylko uprzejme uśmiechy.

Rudowłosa odstawia swój kieliszek, przygląda mu się z niedowierzaniem i pyta:

- Jak się nazywa to białe wino? Jest trochę inne niż to, które się zna normalnie. Nie uważają państwo?

Żona sekretarza stanu wysuwa wargi i pochyla się do przodu. Następnie z drobnymi zmarszczkami wokół ust i nosa wyjaśnia:

- To jest szampan.

Najwyraźniej niedobrze jest łączyć go z mlekiem.

Zjawia się główne danie pływające w sosie: udziec barani i ziemniaki z własnych upraw. Kompot rabarbarowy i czerwona kapusta. Dorośli dostają do picia czerwone wino. Nie jestem głodna i przypomina mi się tata, który siedzi samotnie na piętrze, zamknięty w swoim pokoju. Tymczasem tu na dole szeleści jedwab i dzwonią srebrne sztuce, pani Knudsen pyta, gdzie można dostać *nylon stockings*, na co ruda odpowiada, że „jej Jóhann” zna kogoś, a mnie natychmiast przypomina się kobieta z poobgryzаныmi palcami na klatce schodowej domu w Berlinie. Pozwalam sobie na kolejny łyk szampana i zaczyna mi być niedobrze. Babcia wstaje ze swojego miejsca, odkłada serwetkę na bok i wygłasza krótką mowę, po islandzku.

- Dzięki państwu wszystkim, że przyszliście w ten wieczór do nas. Jedzenie to przybyło z daleka i wiele osób pomagało, żeby było jak najlepsze. Na deser będzie skyr.

Przy ostatnim zdaniu starsza dama uśmiecha się lekko i w odpowiedzi otrzymuje przytłumione śmiechy. Potem ze swadą mówi dalej:

- Proszę koniecznie powiedzieć dziewczynom, jeśli państwo chcecie więcej. W kuchni jest jeszcze dość.

- Nie, wszystko zostało zjedzone - wyrywa się Elín, która ze srebrną tacą w dłoni stoi na środku sali.

Ktoś się krótko śmieje, a chłop naprzeciwko mnie dostaje ataku kaszlu i robi się jeszcze bardziej czerwony na twarzy, niemal sinieje i dwoma palcami szarpie za kołnierzyk.

- Bardzo za to dziękuję, Elín - mówi babcia z ostrym spojrzeniem i dalej chwali piękny wieczór, potem znenacka milknie, nachyla się do dziadka i szepcze mu coś do ucha. Następnie siada, a prezydent wstaje tak szybko, że goście nawet nie mają czasu, żeby oklaskami nagrodzić wystąpienie jego żony.

Obwieszcza główną atrakcję wieczoru. Wyraźnie widać, że dla niego samego jest to zaskoczenie.

- To dla nas wielki zaszczyt, naprawdę wielki honor... przedstawić państwu wielką... wspaniałą artystkę, naszą drogą Lone Margarethe Bang, która zaśpiewa nam dwie pieśni.

Drzwi się otwierają i Lone wkracza z godnością do sali. Jej suknia jest tak samo czarna jak przedtem, ale we włosach widać pierwszy śnieg. Jej akompaniator Reuter idzie za nią, potem zamasyżuje odrzuca do tyłu poły fraka i siada w drugim końcu sali przy fortepianie, który dopiero dzisiaj rano z dużymi kłopotami został dostarczony do pałacu prezydenckiego.

Żeby uczcić zakończenie wojny, pierwsza pieśń jest w języku jidysz: *Du sollst nit gein*. Goście słuchają z uprzejmym zainteresowaniem. Zauważam, że podczas występu babcia ściska w palcach nóżkę swojego pustego kieliszka, podczas gdy dziadek koncentruje się na śpiewie. Druga pieśń to znów islandzka piosenka dziecięca „Litlu börnin leika sér”, jak wtedy, tamtego pięknego wieczoru w Skagen przed wieloma bolesnymi ciosami. Śpiewaczka kłania się nisko wśród burzy oklasków i z uśmiechem wypływa z sali. Widzę, jak dziadek, klaszcząc w dłonie i z zarumienioną z ożywienia twarzą, patrzy na babcię, z której twarzy tymczasem odpłynęły wszystkie kolory.

Kobieta w barwach wojennych na twarzy, która siedzi naprzeciwko sekretarza stanu, zwraca się do pozostałych gości:

- Co to był za język... w tej pierwszej piosence?

- Jidysz. Język Żydów - odpowiada pan Knudsen.

Mąż damy, z podwójnym podbródkiem i workami pod oczami, pyta:

- Ach tak? Ale dlaczego powiedziała, że to z okazji zakończenia wojny?

Sekretarz stanu próbuje tłumaczyć związek, a handlowiec obok mnie wyjmuje srebrną papierośnicę i częstuje śnieżnobiałymi lucky strike'ami. Mam wielką ochotę, ale tylko jego żona bierze jednego. Zapala papierosa żonie, potem sobie, a grubas naprzeciwko podnosi swój kieliszek z czerwonym winem i zmienia temat:

- Skąd nasz gospodarz bierze to czerwone wino?

- Na pewno zgromadził zapasy, kiedy był regentem.

- Właśnie, to na pewno rocznik trzydziesty dziewiąty, czterdziesty, bo ktoś twierdził, że to francuskie wino.

- Czy w czasie wojny nie produkowano wina?

- Chyba aż tak źle nie było, ale prawie niczego nie eksportowano z Europy.

- A więc kontynent aż tak bardzo ucierpiał od wojny?

Jej słowa zlewają się z błyskiem jedwabi i szyfonów, płomieniami świec i długimi rękawiczkami, śpiewem i szcękaniem talerzy, dymem z papierosów i mlecznym szampanem w moim brzuchu. Jest mi niedobrze. Nagle handlowiec zwraca się do mnie i zadymionym głosem pyta:

- Gdzie pani była w czasie wojny, panienko?

- Ja? Ja... my... w Danii... i w... Niemczech.

- Ach tak, naprawdę? - upewnia się jego żona.

- Tak - potwierdzam i patrzę na czerwony ślad jej szminki na żółtym filtrze papierosa.

Z niewytłumaczalnych powodów budzi we mnie obrzydzenie.

- To jak ta wojna tam wyglądała?

Eksploduję jak gejzer w Haukadal. Wielka fontanna rzygów wystrzela ze mnie strumieniem prosto na stół, przewraca pusty kieliszek i ląduje prawie na talerzu gwiazdy filmowej. Ją też trochę ochlapuje. Trzydzieści głów milknie i odwraca się w moją stronę. Ostatnią rzeczą, jaką widzę, są jasnobrązowe wymiociny zalewające mój kryształowy kieliszek z szampanem, który stoi jak śmiała rzeźba. W środku pęcherzyki powietrza nieustannie biegają do góry niczym tuziny baloników, które z okazji święta niepodległości wypuszcza się w niebo. Obserwuję je z lotu ptaka. Z daleka zdają się maleńkie.

118

8 GRUDNIA

2009

Nie wygląda na to, żebym dotrwała do czternastego. Kiepska forma. Elfy żądają coraz więcej flaszek. Zabierają je i wielkimi susami przesadzają skały w swoich miękkich skórzanych butach. Ach, czego ten kraj jeszcze sobie dzisiaj życzy, kiedy już wszystko zeszło na psy? Daj mi moje lekarstwo, Lóa! Wezmę je ze sobą na drugą stronę. A gdzie jest moje jajo? Moje carskie jajo? Jego fotografia wisiała na Amrum w kuchni. Nazywała się pani Baum, ta wredna małpa. Czy to dzisiaj jest mój ostatni dzień na ziemi?

- Chodzi ci o to?

- Przynieś mi je! Czy wiesz, co to jest? To granat ręczny... Może wyślesz nekrolog, żeby odczytali w radiu. Ech, zadzwoń mimo wszystko do mojego Maggiego!

- Przecież on tu jest. Siedzi obok ciebie.

- Naprawdę? I mała też?

- Tak, Sanna też tu jest i...

- Czy nie powinniśmy jej tego... granatu zabrać?

- Dobry Boże. Babcia była na czternastu połowach...

- Czy on może jeszcze wybuchnąć?

- Mamo?

- A może to było siedemnaście? Chyba siedemnaście.

- Jest tylko trochę rozkojarzona... Czasami tak bywa. Ale potem znów wraca do siebie.

Bob chciał koniecznie zobaczyć jego grób, więc pojechaliśmy do kościoła Santa Croce. Leżą tam Galileo i Machiavelli. Niesamowite sarkofagi. Potem chciał do jego domu. Dobry Boże! Gdzie jesteś teraz, mój kochany Bobby? Zawsze byłeś taki radosny... radosny i radosny, dobry i dobry... Ciemności, ciemności, opadasz na mnie z góry, a lej zbliża się coraz bardziej. Czy w tej łodzi nie ma wiosła? Słyszę wiosła. Ale słońce goni nas wzdłuż ulicy. Tak, nędzny świecie, byłeś mi... Czy to ten lej? Zardzewiały jak polski dok. Poszliśmy via dei Pepi aż do samego końca jak dwoje podwójnie zagubionych turystów - piękny widok! - skręciliśmy wreszcie za róg i jednak nam się nie udało, zamykali o piątej, napotkaliśmy zamknięte drzwi. To był chyba numer 70, tak mi się wydaje... Czy to ty, Dóro? Kochana Dóro, gospodyni mojego hotelu, witam cię serdecznie!

- Tysiąc czterysta lirów za noc, powiedziała.

- Co?

- Tysiąc czterysta, z pościelą i dostępem do łazienki.

- Mamo...

Och, i podarował mi pierścionek, wieczorem na wzgórzu; kupił go na starym moście, Ponte Vecchio... Ach, pomóżcie mi wstać, chcę się wysikać, muszę sikać, chcę zakończyć to życie sikaniem. Chcę wreszcie móc się wysikać!

- Wstać, wstać! Muszę siku.

- Chodź, pomogę ci.

- Via, via dolorosa... Gdzie jest światło i gdzie jest sosa? Kiedy zamykają?

- Słucham? Co ty mówisz, no chodź!

- Kiedy zamykają? Musimy tam być przed piątą. Przed godziną piątą.

- Teraz jest wpół do ósmej.

- A kiedy zamykają ubikację?
- Ubikację? Zawsze jest otwarta.
- On mieszka na via Ghibellina, numer 70.
- Kto?
- Na dzwonku jest napisane Buonarroti. Muszę siku.
- Dobrze, pomogę ci.
- Czy to jest kolejka?
- Nie, nie, oni nie muszą... To twoja rodzina.
- Wszyscy ci ludzie? Chcą się przyglądać, jak sikam? Przecież nie jestem Avą

Gardner.

- Maggi tu jest i Sanna, jest też Dóra i twój syn Halli z Þórdís Alvą, ich córka Guðrún Marsibil też właśnie przyszła...

- Cześć, babciu!
- Cześć, mamó!
- O tak, jest bardzo popularna.
- Kto?
- Śmierć. Jest bardzo towarzyska. I wszystkie jej występy są wyprzedane... Nie,

zostaw otwarte!

- Nie lepiej, żeby zamknęła drzwi?

- Nie, zostaw otwarte! Niech sobie ludzie popatrzą, skoro już specjalnie się pofatygowali. Czy rozdałaś już numerki?

- Jakie?

- Weź te numerki... och, to było przyjemne... rozdaj je wszystkim i zaproś na fajerwerki... na kremację.

- Mamó, jak się czujesz?

- Właśnie sikam.

- Czy nie powinniśmy pozwolić jej wysikać się w spokoju?

- Powiedziałaś Guðrún Marsibil?

- Tak, ona też tu jest.

- Ach, kochana! Nie byłaś trenować pływania w... gdzie to było? W Brisbane?

- Tak, właśnie. Kochana babciu! Miło cię widzieć! Ty...

- Czy to nie jest na wybrzeżu wschodnim?

- Właśnie.

- Nad Pacyfikiem?

- Tak.

- Zdjęcia też były piękne, te z twojej podróży na Nową Zelandię.

- Co? Widziałaś je?

- Czy twoje piersi nie są trochę za duże? Do pływania?

- Co ty mówisz?

- Nie było go w domu, kiedy przyszliśmy.

- Kogo?

- Mieszka na via Ghibellina 70. Na dzwonku jest napisane Buona... Lóa, pamiętaj o tym, żeby potem pójść z moimi szczątkami do spopielarni. Wszystko, ale to wszystko ma zostać usunięte bez śladu. Nie chcę, żeby cokolwiek zostało, nawet brud spod paznokci. A tobie nigdy nie wolno śpiewać. Słyszysz?

- Dlaczego?

- Nie potrzebujemy więcej śpiewających siewek.

- Okay, i tak wcale nie zamierzałam...

- Ten Philip wyjątkowo mi się podoba.

- Phil...? Czy to znaczy, że ty...

- Pochodzi z Brisbane? Przypomina mi mojego Boba. On znał Michała Anioła. Razem chodzili do szkoły. Lóa, pomóż mi wstać.

- Jasne, przepraszam!

- Gdyby nie mówiła, nie umarłaby.

- Co?

- Gdyby ona nie przemawiała, moja malutka by nie umarła. O Krokodylu nigdy więcej nie słyszałam, nie wiem, co się z nim stało.

- O czym ty mówisz, mammo?

- Podobno one są bardzo długowieczne, krokodyle.

- To prawda.

- Wtedy by nie zginął, mój kwiatuszek. Może mogłabyś położyć jej kilka kwiatków na grobie, Lóa.

- Zanieś jej trochę kwiatów na grób. Leży na cmentarzu Chacarita.

Teraz wlokę się na oczach grupy fanów z powrotem do łóżka. *No pictures, please!* Czy tam nie stoi Guðjón? Wydaje mi się, że rozpoznaję jego nogi, ale z bólu nie mogę odwrócić głowy. A lej znowu tu jest, niesamowicie zardzewiały w tym świetle, jak polski dok. Polski dok. Słyszę plusk wioseł.

- Dlaczego przyszliście tu wszyscy.

- Bo myśleliśmy...
- Że ja umrę? No dobrze, spróbuję. Spróbuję spełnić wasze życzenie.
- Nie, mam, nie! Miałem na myśli...
- Właściwie nie zamierzałam robić fajrantu przed czternastym. Który jest dzisiaj?
- Ósmy. Ósmy grudnia.
- Naprawdę? Dzień mojego Friðjóna. Gdzie moje jajo? Chcę moje jajo! Muszę je

mieć!

Ach, jak to boli, życie! Pozwalam się jej ułożyć pod kocem, a potem robi mi się czarno przed oczami. Przyjemnie będzie umrzeć. Kiedy wreszcie pozbędę się tych płuc. Czy to jest komputer? Nie, jego tu zostawię, ale jajo biorę ze sobą, i lekarstwa, leki. Tak, gdyby nie przemawiała, ta cholerna Evita, wtedy ulice by nie opustoszały i mój mały skarb byłby przy życiu. Zawsze spoczywała na mnie prezydencka klątwa. Byłam ścierką prezydenta, prezydencką dziwką; Bæring miał rację. Tylko niech nie czeka na mnie po tamtej stronie w swoim granatowym swetrze, z rumem i różami. Przynajmniej po śmierci człowiek zasługuje na trochę ciszy i spokoju, za okazaniem świadectwa zgonu. To już lepiej Bob z jego wszystkimi planami. Z nim zaraz jutro wpuściliby mnie na audiencję u diabła. Kroczylibyśmy po długim dywanie i równocześnie kłaniali się, jak małe piekielne dzieci. Książę ciemności podniósłby swój ognisty palec i powiedziałby po duńsku: *Velbekomme!* Smacznego! Diabeł mówi po duńsku. Ale na pewno ma tłumaczy. Tak, tak. Ale to chcę zabrać ze sobą, serce mojego ojca. Zacisnę na nim mocno palce. Chcę mi je odebrać. Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

- Nie podoba mi się to.
- Czy to prawdziwy granat? Czy może wybuchnąć?
- Nie mam pojęcia. Nie możemy go jej odebrać? Spróbuj jeszcze raz.
- Nie dam rady. Bardzo mocno ściska.
- Mam, musisz...
- Wcale mi się to nie podoba.
- Ona się w niego wczepia.
- Halli, musimy.
- Czy ona od dawna to ma?
- Przez całe życie, jak mi powiedziała. Tylko nie wiedziałam, że to jest...
- Może znowu spotkam połówkę Hitlera... na dworze księcia. Zaczynam się już na to cieszyć.
- Herro? Herro, słyszysz mnie?

- Może będzie należał do jego dworu, cały i przystojny.

- Zupełnie odleciała.

- O mój Boże!

- Czy możesz mi załatwić zaświadczenie?

- Co?

- Świadczenie zgonu, Lóa. Możesz mi je załatwić?

- Może już jest zepsuty. Jeśli ma go tak długo.

- Nie wiem. One jeszcze mogą wybuchnąć. Widzisz, jak mocno go trzyma?

- Ach, ach, trzymaj, trzymaj, póki możesz, a potem idź na tańce, moja Viggo Siggo i słońce Svefneyjar.

- Do widzenia, mamó. Mogę cię pocałować na pożegnanie?

Deszcz pada z jego oczu, aż stare policzki robią się całkiem mokre. Błogosławiony ten, kto przelewa łzy drugiego. Nie wiedziałam nawet, że potrafi odczuwać przywiązanie, ta uczuciowość, na pewno nie ma tego po mnie. Życie przychodzi za późno, za późno, teraz otwiera się przepaść, a łzy syna kapią wzdłuż smutnej matczynej drogi, och, jakie to wzruszająco śmieszne. Ale co za solidne żelazo! Dobrze jest dotykać żelaza. Zdziwienie, żyję, a teraz umieram, umieram jak każda inna wrona. Patrzcie, teraz wpadam w wielki lej czasu i patrzcie, tam jest napisane „*Sortie*” po francusku... a tam stoją niemieccy żołnierze z pochodniami, płomienie odbijają się w odpływie.

- Mamó, mamó!

... A tam siedzą Eysteinn i Lína cali szczęśliwi, gładzą długą brodę i uśmiechają się w blasku świec, oni należą do mnie, przecież miałam matkę tylko tygodniami, a ojca na godziny. Zza ich pleców dochodzą grzmoty śpiewów, psalmy z długich, ciemnych korytarzy: *Blessuð sértu sveitin mín* i wieczorny mrok w filiżankach z kozuchem pleśni na wierzchu, i światło maślanki w oknie, sączy się wąską nitką po piersi, cieknie ze szmerem, cieknie, szmer, szmer. Czekać na mnie przy uchylonych drzwiach, Róso, z wielorybem szatana, zjeżdżam dalej na dół. Wytrzymaj nos, droga Gunno, wysmarkaj się. Z okna na wyspie widzę góry na lądzie i płaczę nad Islandią, bo nigdy nie miałam nic lepszego niż to, to słowo, ta nazwa, nigdy samego kraju, wszyscy mieszkamy przecież na wyspach, tak, właśnie tak jest, a między nami nie ma nic oprócz wody, morze, przekłute morze, teraz ssanie w leju staje się wyraźne i wciąga łódź, teraz płynę coraz szybciej i... co... deszcz się nasila, olbrzym daje mi całusa z ciemnego nieba, a ulewa kropel spływa mi po ustach i policzkach, słone, tak, smakują słono, synowską solą, teraz mnie wciąga, *adieu*...

ZACIŚNIĘTE PALCE

2009

Moje oczy były otwarte, choć się zamknęły. Ale za nimi widziałam wszystko, co jest widzialne, i jeszcze więcej. Miałam teraz wszystkowidzące spojrzenie, stałam się wszystkowiedząca.

Jeszcze chwilę siedzieli przy mnie i całowali stygnące policzki, każdy osobno, czynili nade mną znak krzyża, trochę jak małe głupie dzieci, póki Dóra nie zaprosiła ich do siebie do domu na kawę. Potem wezwano lekarza i księdza, z których każdy odprawił mnie wedle reguł swojego zawodu.

- Taksówka czeka - powiedziała Dóra koło północy i włożyła buty, stojąc przy kuchennych drzwiach. Strażacy ze straży pożarnej Reykjavíku we dwóch męczyli się z jajem Hitlera w zaciśniętych palcach. Nie udało im się go wydostać, ale odsłonili starą bliznę na prawym ramieniu. Trzeba szczerze przyznać, że nie wyglądało to najlepiej: Stara kobieta znaleziona martwa w garażu, w dłoni ściska granat ręczny z czasów drugiej wojny światowej, a na ramieniu ma bliznę w kształcie swastyki. To przecież brzmi jak początek trzeciorzędnego kryminału.

Wynieśli zwłoki na śnieżycę i powoli odjechali pustymi ulicami, ostrożnie pokonując mokre i śliskie progi zwalniające, rzeczy, których nigdy przedtem nie widziałam, ale teraz było ich pełno na każdym skrzyżowaniu. Do kostnicy w Fossvogur nie było daleko. Tam mieli zostawić moje doczesne szczątki w celu późniejszego dokładnego zbadania.

Lóa dotrzymała słowa i nalegała na kremację. Pasujący termin był już nawet zarezerwowany: poniedziałek, 14 grudnia o 13.30. Rano wezwano zespół lekarzy ratunkowych: mężczyzna i kobieta z piłą. I tak bez dłoni wjechałam w tysiąc stopni i spłonęłam w ciągu pół godziny. Nadal mam bóle fantomowe w nieistniejących przegubach rąk.

Zaciśnięte palce zostały przekazane oddziałowi saperów straży przybrzeżnej. Kilka dni później w przedświątecznej zadymce śnieżnej serce mojego ojca zostało dynamitem wysadzone w powietrze w piaszczystym dole przy Rauðavatn i wraz z dziesięcioma palcami poleciało do Boga.

Table of Contents

Karta tytułowa

DAMA W GARAŻU

1. MODEL 1929, 2009
2. FEU DE COLOGNE, 2009
3. PAN BJÖRNSSON, 1929
4. LÓA, 2009
5. BAKARI, 2009
6. KAPSZTAD, 1953
7. SVEFNEYJAR, 1929
8. TONIĘCIE, 2009
9. „TAKSÓWKA JUŻ CZEKA”, 1959
10. JÓNOWIE, 1959-1969
11. GROSSE FREIHEIT, 1960
12. PARTY Z BEATLESAMI W HAMBURGU, 1960
13. PAN SAMEJ SIEBIE, 2009
14. PRZEPRAWA VERBJÖRG PRZEZ FIORD, 1962
15. BLITZRAC, 2009
16. CZYŚCIEC, 2009
17. GUÐJÓN I DÓRA, 2009
18. HÓTEL ÍSLAND, 1928
19. SIEDEM SEKUND, 1929
20. ZA SIÓDMYM LATEM, 1929
21. ŻNIWIARKA, 1936
22. ISLANDZKA TRADYCJA MILCZENIA, 2009
23. SKAGEN, 1937
24. LONE BANG, 1937
25. PARALIŻ FÜHRERA, 1937
26. ALDON HEATH, 2009
27. TABAKIERA, 1953
28. ZĘBATE KOŁO CZASU, 2009
29. NA PIĄTYM PIĘTRZE W LUBECE, 1940
30. KOPENHAGA, 1940
31. HITLEROWSKI SALUT W GIPSIE, 1940
32. ŚMIERĆ ŻOŁNIERZA, 1940
33. DUSZONA RZEPA, 1940

34. DUŃSKA SZKOŁA PODSTAWOWA, 1940
35. GÓWNO INNYCH LUDZI, 1940
36. ANNELI, 1940
37. MIŁOSNA EDUKACJA, 1940
38. DROŻDŻÓWKI Z CYNAMONEM, 1940
39. BÓG KŁAK, 2009
40. KAŻDY KOCHA WOJNĘ, 2009
41. SKAZANA NA KOBIECOŚĆ, 1940
42. MŁODA WIEDZMA, 1940
43. JA I JA, 1940
44. SWATKA, 1940
45. WYSPIARSKA BIEL, 1940
46. BBC, 1940
47. POCI-GUNNA, 1935
48. WESELE W CUDZYSŁOWIE, 1935
49. NIEDZIELA NA SVEFNEYJAR, 1935
50. NA ISLANDII NIKOMU NIE JEST CIEPŁO, 1935
51. ŚWIĘTY MIKOŁAJ I NOWY ROK, 1940-1941
52. NOCNY LIST, 2009
53. MATKA KRÓLÓW, 1959-1969
54. CZŁOWIECZEŃSTWO, 2009
55. KONIEC DZIECIŃSTWA, 1941
56. AMRUM, 1941
57. HEIKE & MAIKE, 1941
58. CZERWONE USTA, CZARNE BUTY, 1941
59. CZŁOWIEK Z NIEBA, 1941
60. SKÓRZANA KURTKA, 1941
61. PIĘTNO, 1941
62. NOC W NORDDORFIE, 1941
63. PRZYWÓDCA PARTYZANTÓW, 1941
64. SYNOWE, 2009
65. SKOTHÚSVEGUR 13, 2009
66. HEIDI, 2002
67. LEŃ I DIWA, 2002

68. NARZĘDZIE TORTUR, 2002
69. WŁAMANIE, 2002
70. SKĄPY KAPITAŁ, 2009
71. SZCZUR, 2002
72. ZAMARZNIĘTY KAMIEŃ, 1942
73. RAMIĘ, 1942
74. HAMBURG HAUPTBAHNHOF, 1942
75. ZAKAZ PŁAKANIA!, 1942
76. PÓŁ HITLERA, 1942
77. HYMEN NA GŁOWIE, 1942
78. ŚMIESZNY TRUP, 1942
79. POLSKI KOŃ, 1944
80. U SERBOŁUŻYCZAN, 1944
81. MAREK, 1944
82. JAGINA, 1944
83. „NIEMIECKI DZIEWCZYNA”, 1944
84. 17 CZERWCA, 1944
85. PORANEK NA BESSASTADIR, 1944
86. BEZTROSKA, 1944
87. PREZYDENT ISLANDII, 1944
88. CZERWONY, 1944
89. ISLANDZKA FLAGA ZE SZPARĄ, 2009
90. 18 CZERWCA, 1944
91. TRZASKAJĄCY ŻWIR, 1944
92. POD STOŁAMI, 1944
93. POCAŁUNEK SWASTYKI, 1944
94. PORANEK Z TRUPEM, 1944
95. RÓŻANA KREW, 1944
96. ISLANDIA, 1974
97. BÆRING, 1974
98. HREFNUVÍK, 1980
99. BLÓMEY, 1980
100. POGRZEBY, 1988-1989
101. PANI JOHNSON, 1945

102. DEPRESJA Z BITĄ ŚMIETANĄ, 1945
103. PRZYLECIAŁA NASZA LÓA, 1945
104. Z POWOJENNEGO KRAJU, 1948
105. U BRACI BENNI, 1949
106. PRÓBA REWOLUCJI BANIEK Z MLEKIEM, 1949
107. ZŁY OWOC, 1950
108. CAFÉ DE FLORES, 1952
109. HANS BIOS, 1944/1945
110. PERŁOWA CÓRKA, 1945
111. ODPOCZYNEK, 1945
112. KAŻDY ZA SIEBIE, 1945
113. ZERWANE MOSTY, 1945
114. BÜHLSTRASSE 14, 1945
115. JEŚĆ DO SYTA, 1945
116. NIEWŁAŚCIWA TWARZ, 1945
117. MLEKO & SZAMPAN, 1945
118. 8 GRUDNIA, 2009
119. ZACIŚNIĘTE PALCE, 2009